JERZY W.

BOREJSZA OSTANIEC CZYLI OSTATNI ŚWIADEK

WIELKA LITERA

JERZY W.
BOREJSZA
OSTANIEC
CZYLI
OSTATNI
ŚWIADEK

WIELKA LITERA

Mojej Żonie Katarzynie

1. Zanikło, zapomniano, zostało...

Jestem dziejopisem wieku XIX, stulecia dokumentów pisanych i przekazów utrwalonych na papierze. Mogłem się więc przekonać, jak wiele jednostek i wydarzeń znika, gdy zabraknie dokumentacji. Rosyjskie porzekadło nie na darmo powtarza prawdę carskiej policji, że człowiek bez dokumentu jest żuczkiem, jest niczym (*czełowiek biez bumażki bukaszka*). Przestaje istnieć.

Jako historyk dwudziestowiecznych totalitaryzmów natrafiłem na zdanie Benito Mussoliniego: *Umarli nie opowiadają historii*. Tak uzasadnił rozkaz rozstrzelania jeńców – włoskich anarchistów i komunistów – wziętych do niewoli przez oddziały walczące pod rozkazami Francisco Franco podczas wojny domowej w Hiszpanii. Duce uważał, że ci, którzy nie przeżyją, nie zostawią własnego zapisu, nie zaskarżą go przed trybunałem historii. Przestaną istnieć.

W roku 2018 rozpoczynam osiemdziesiąty czwarty rok życia. I widzę, jak przez Polskę i Europę przetacza się nawrotna fala ruchów bądź reżimów autorytarnych. Jednym z filarów propagandy, na których się wspierają, jest fałszowanie historii. Dwóch czy trzech polityków rozbija wielkie Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku, ignorując opinie setek historyków z Polski i świata. Prawda historyczna często przestaje w takich warunkach istnieć.

W czasie, kiedy w Polsce i w krajach naszego regionu tworzy się orwellowskie „ministerstwa prawdy", kiedy fałszowanie przeszłości, czyli kłamstwo historyczne, przykrywa się dwoma połączonymi a nieprzystającymi do siebie słowami „polityka historyczna", tym bardziej poczuwam się do dania świadectwa, często ostatniego, ludziom, których znałem i wydarzeniom, które obserwowałem.

Wiele lat spędziłem poza Polską w kilkunastu krajach europejskich, spotkałem na różnych drogach setki ludzi, chętniej piszę o nieznanych niż o kolegach i przyjaciołach, którzy już doczekali się not encyklopedycznych, ksiąg pamiątkowych i biografii. Daty życia podaję niekiedy przy postaciach mniej dzisiaj znanych. Te osiemdziesiąt parę tekstów to tylko fragmenty mojej pamięci. Spisywałem je oddzielnie przez wiele lat jako odrębne szkice, stąd niekiedy powracam do tych samych zdarzeń i świadomie nie unikam powtórzeń.

Czternaście szkiców (nr: 16, 17, 35, 37, 40, 41, 55–58, 61–63, 66), które umieściłem w „Ostańcu", było w ciągu ostatnich dwudziestu lat publikowanych po polsku, francusku, niemiecku i rosyjsku, przeważnie w księgach pamiątkowych, a niekiedy w prasie.

Może uda mi się przygotować jeszcze wersję bardziej kompletną moich wspomnień.

2. Nieistnienie

Staliśmy z moim przyjacielem Leonem na placu Wiktora Hugo w Paryżu. Był rok 1991. Leon, od ponad trzydziestu lat we Francji, wykrzykiwał: – *Teraz na świecie jest nie jeden Wiktor Hugo, są dziesiątki, setki, mrowie, mrowie, mrowie. Być sławnym na całym świecie? To osiągnęło tylko kilku ludobójców: Hitler, Stalin, Mao Zedong. A światowe znaczenie pisarzy czy malarzy? To już minęło razem z dziewiętnastym wiekiem.* Po co spisywać wspomnienia? Tym bardziej: po co to czynią ludzie trzeciego rzędu? A jednak, kiedy nas spopielą po śmierci, jest to często jedyne dostrzegalne, co po nas zostaje, ślad, żeśmy istnieli. Spisane, wydrukowane, przekłamane widzenie własnego życia. Często jesteśmy jedynymi świadkami we własnej sprawie.

Leon był już obywatelem francuskim, kiedy położyłem mu na stole polską wersję „Malowanego ptaka" Jerzego Kosińskiego. W 1990 roku brałem udział w Warszawie w jej promocji z udziałem autora. Leon nie był zachwycony książką. Co więcej, powiedziałbym, że nie był zaskoczony bezmiarem ciemnoty i okrucieństwa spiętrzonych u Kosińskiego. Sam Leon jako mały sierota wlókł się przez te tereny podczas wojny: przez to niedookreślone w książce pogranicze Polski, Litwy, Białorusi czy może i Ukrainy. Mnie rzucała się w oczy równoległość losów Chłopca z książki (domniemanego Jerzego Kosińskiego) i Leona. Leon jej nie dostrzegał.

– *Są fragmenty, które mogę uznać za prawdę* – mówił Leon. – *Ale ileż tu jawnego zmyślenia, mistyfikacji, zabawy w symbole. To baśniopisarstwo. Pour épater les bourgeois* (aby zadziwić mieszczuchów). *Aby oszołomić amerykańskiego czytelnika, aby zdobyć pieniądze i sławę. A tam był wszędzie mord, strach i głód. I tylko to. I po prostu to.*

Po paru latach Leon powrócił do tematu. Jego milionerska firma plajtowała. Stawał się rentierem, emerytem.

– Nie wiem, czy i co z tego, co Kosiński opisuje, przeżył naprawdę. Ale mogę ci opowiedzieć trochę o moim życiu podczas wojny.

Wreszcie w 1995 roku, w willi Leona w Asnières pod Paryżem nagrałem cztery taśmy jego wspomnień. Czy z tekstu wyłaniają się życiorysy równoległe? Obaj, Kosiński i Leon, pochodzili z Łodzi, z rodzin Żydów polskich, byli prawie równolatkami. Pierwszy urodził się w 1933 roku, drugi w roku 1929. Obaj, dobre dziesięć lat po wojnie, wyemigrowali z Polski. Obaj z bardzo różnym powodzeniem usiłowali robić karierę na Zachodzie. Obaj bardzo żarłocznie korzystali po wojnie z życia. Obaj mieli po wojnie rozchwianą psychikę. Z latami coraz bardziej. Wreszcie obaj, Leon zawsze i bezpośrednio, Kosiński mniej wyraziście, dawali wyraz temu, że Armia Czerwona ocaliła im życie. Czy było więcej paraleli?

Kosiński pochodził z zamożnej mieszczańskiej rodziny Lewinkopfów. Przeżył wojnę z rodzicami we względnym dostatku. Ukrywali się. Szantażowano ich, ale i pomagano. W przeżyciach Chłopca – bohatera „Malowanego ptaka" niewiele jest realiów z miejsca ich rzeczywistego pobytu – Sandomierszczyzny. Jest to niezwykle drastyczny obraz ludzkiego okrucieństwa i wynaturzeń na wschodnich krańcach dawnej polskiej Drugiej Rzeczypospolitej. Gwałt, przemoc, nienawiść – spotęgowane zło i niemal wyłącznie zło bije z każdej strony „Malowanego ptaka". Czytelnik widzi polską wieś jako piekło dla „Innych", wyraźnie jest to piekło dla Żydów, piekło dla Cyganów. Powieść Kosińskiego nie była tylko wizją, fantasmagorią. Pisząc „Malowanego ptaka", posiłkował się zapewne opowieściami innych, którzy przeżyli wojnę w warunkach o wiele bardziej tragicznych niż on. Poznał wielu takich. Wydaje się, że i z Leonem mógł się zetknąć w domu sierot żydowskich we Wrocławiu.

Do cudem ocalonych należał Leon, nazywany przez znajomych Lońkiem.

Byłem od niego młodszy fizycznie o sześć lat, ale w doświadczeniu życiowym dzieliły nas dziesięciolecia. Poczuwał się do mnie, wielokrotnie w życiu mi pomagał. Był przy mnie, kiedy chorowałem w Moskwie czy w Paryżu. Dzięki niemu jako młody chłopak miałem liczne wejściówki i do

Teatru Wielkiego w Moskwie, i do Opery Paryskiej. Poznałem go w domu mojego przyszywanego wuja, technika dentystycznego i filantropa, Bronisława Elkany Anlena. Bronek żonę i dziecko stracił w warszawskim getcie. Sam na Pawiaku ocalał jako ministrant przygarnięty przez księdza Anatola Sałagę. Po wojnie Bronek pomagał dziesiątkom młodych ludzi, Żydom i Polakom. Leonowi pomógł przy zdawaniu matury, a później zasugerował mu, aby ubiegał się o przyjęcie do słynnego moskiewskiego Państwowego Instytutu Sztuki Teatralnej (GITISu). Loniek wiedział, że to światowe centrum dla ludzi baletu, nie miał jednak złudzeń odnośnie do samego systemu radzieckiego. Opinie swoje musiał zapewne zbyt głośno wyrażać. Wydalono go z uczelni. Moja matka załatwiła przywrócenie go na studia, interweniując u ówczesnego sekretarza KC PZPR i swojego znajomego, Władysława Matwina.

Dopiero w 1950 roku Loniek odnalazł w Żydowskim Instytucie Historycznym w Warszawie dokumenty rodziny: ojca, matki i trzech sióstr. Wszyscy zostali zagazowani w niemieckim ośrodku zagłady Kulmhof (Chełmno) nad Nerem. Leon dotarł w dokumentach do jedynego zdjęcia kobiecego, jakie ocalało po jego rodzinie. Stało u niego zawsze przy łóżku, jako zdjęcie jego matki. Nie mówił o tym, ale nie miał całkowitej pewności, że jest to ona. Poszukiwanie rodziców po wojnie przez całe życie, nieudane próby stworzenia rodziny (był dwukrotnie zaręczony), poszukiwanie ludzkiej miłości zdominowały życie Lońka. Wuj Bronek dwudziestokilkuletniego Leona po prostu adoptował w latach pięćdziesiątych. Eleazar Leon Rozen z urodzenia, stał się z adopcji Leonem Anlenem.

Kosiński był chłopcem ze Śródmieścia Łodzi, z zasymilowanej rodziny polskich Żydów. Loniek mieszkał w suterenie wśród biedoty na Bałutach, na ulicy Browarnej pod numerem pierwszym. Od małego mówił po polsku, chodził do polskiej państwowej szkoły, ale rozumiał też wszechobecny na Bałutach jidysz.

Do sutereny, w której mieszkali, nigdy nie dochodziło słońce. Było to jedno duże pomieszczenie, podzielone przepierzeniem na dwa. Małym

Leonem wiele zajmowała się najstarsza siostra Bluma. Rodzice byli zapracowani: ojciec jako tapicer, matka zarabiała szyciem. Ojciec wracał późno, kiedy Loniek już spał. Przynosił pączki. Loniek dopadał do nich, kiedy budził się w nocy.

Wojna wytarła wspomnienia dzieciństwa Leona. W roku 1995 pamiętał swoje ulubione danie: placki kartoflane z cukrem. Nie mógł sobie przypomnieć imienia ojca.

Kiedy odsłuchuję taśmy z jego głosem, dociera do mnie, że o pierwsze dziesięć lat życia dopytywałem go bezlitośnie i szczegółowo. Potem, już słysząc o ogromie nieszczęść, jakie przyniosła Lońkowi wojna, nie śmiałem drążyć. Nie zakłócałem dalszego potoku jego opowieści.

Na podwórzu przed suterenę Lońka nie rosło żadne drzewo. Nie pamiętał, czy miał zabawki. Na pytanie, czy były jakieś zwierzaki, przypomniał sobie, że razu pewnego znaleźli w mące mysz.

Z przedmiotów w suterenie zapamiętał maszynę do szycia, którą matka kupiła na raty. Mieli wokoło sąsiadów żyjących i mieszkających podobnie.

W 1949 roku Leon pojechał do Łodzi odnaleźć ślady dzieciństwa. Łudził się, że ktoś przeżył. Po cichu nie chciał wierzyć, że rodzice i trzy siostry zniknęli bez śladu. Dokumenty o tym znalazł rok później w Żydowskim Instytucie Historycznym w Warszawie.

W Łodzi pojechał na ulicę Browarną. W suterenach było pusto. Kiedy w swojej zobaczył skład węgla, wybuchnął płaczem. I zrozumiał bezapelacyjnie, że jest sam. Pół wieku później mówiąc o tym, znowu zaniósł się płaczem.

Ileż tysięcy, ba, setek tysięcy ludzi różnych narodowości żyło po wojnie nadzieją i złudzeniami, że ich najbliżsi przetrwali, że gdzieś, kiedyś się odnajdą. Ja sam, już dorosły, kiedyś w 1959 roku o zmierzchu w Strasburgu roiłem, że para starszych ludzi, którzy stanęli i zaczęli mi się przypatrywać, to mogą być moi dziadkowie z Wołynia…

Leon miał dziesięć lat, kiedy wraz z wybuchem wojny pojawił się strach. Bał się wychodzić z domu. Ojciec zdecydował się na wyjazd z niemieckiej już Łodzi do sowieckiego Białegostoku. Matka została w Łodzi. Dzieci

pojechały z ojcem. Loniek pamiętał rosyjską kontrolę graniczną. Po pewnym czasie ojciec oddał Lońka do domu dziecka. Były tam dzieci różnych narodowości. Tapicer Rozen nie znalazł sobie miejsca w sowieckim Białymstoku. Wrócił z córkami do Łodzi. Może nie godził się na rozstanie z żoną i to było motywem jego działania? Loniek już nigdy nie zobaczył swoich bliskich.

W domu dziecka spędził cały rok. Kiedy Białystok zajęli Niemcy, dzieci żydowskie wyrzucono stamtąd na ulicę. I niebawem znalazł się w getcie białostockim. Miał trzynaście lat. Zdawał sobie sprawę, że Niemcy mordują Żydów bez pardonu: wszystkich. W sierpniu 1942 roku uciekł z getta białostockiego na wieś. Przygarnęli go jacyś biedni gospodarze jako pastucha. Pożytek z niego był niewielki: był zwinny, ale mały i słaby. Z nadejściem zimy gospodarze go wyrzucili. Ale z kołdry zrobili mu ubranie.

Loniek wrócił do Białegostoku. Próbował dostać się do swojego dawnego domu dziecka. Ale ten stał się czysto aryjski. Prowadziły go zakonnice. Nie dały mu jeść, wygoniły go. Samotny starał się znaleźć dla siebie ratunek. Postanowił udać się… w kierunku Związku Radzieckiego. Wiedział, że tam nie mordują Żydów.

Wyszedł z miasta idąc cały czas w tłumie na chodniku, uważając żeby nie mieszać się z Żydami zmuszonymi do poruszania się tylko po jezdni. Po wyjściu z miasta tułał się wiele dni. Spał w lesie. Jak wspominał, w lesie najgorszy był strach dziecka przed wilkami.

Pewnego dnia spostrzegł Lońka kolejny gospodarz i podwiózł go do wsi, gdzie znowu został pastuchem. Siedem kilometrów przed dużą osadą Krynki. Nowi gospodarze byli dobrzy dla niego. Ale praca dla małego chłopca z miasta była ciężka: karmić świnie, poić konie, pilnować stada. Nie zawsze dawał sobie radę z powożeniem końmi.

Nie miał z kim rozmawiać, nikt go niczego nie uczył. Zmieniali się jego gospodarze. Niektórym – jak mówił – *był potrzebny jak bydło*. Stale odczuwał brak rodziców. W chwilach, kiedy nie czuł się bezpośrednio zagrożony, wciąż o nich myślał.

Lubił tańczyć. I kiedy zapominał, gdzie jest i kim jest, włączał się niekiedy w wiejskie potańcówki. Mały, ładny, tańczący czarny chłopiec był akceptowany przez kobiety z okolic Krynek. W tych okolicach, które sam dobrze znam, Białorusini, Ukraińcy i Polacy byli wymieszani w różnych wioskach. Może łatwiej było się ukryć, nie każdy mówił czysto po polsku. Niemniej, podczas jakiejś zabawy jeden z gospodarzy doniósł obecnemu tam Niemcowi, że tu się kręci „mały Żydek". Niemiec wyciągnął pistolet, aby zastrzelić Lońka. I rzecz niesłychana – obecne na potańcówce kobiety wyrwały go z rąk Niemca i ocaliły.

Loniek chciał być taki jak jego gospodarze, nauczył się pacierzy, modlił się rano i wieczorem, chodził do kościoła. Ale był inny. Może Żyd, może Cygan? Jego gospodarze woleli tego nie sprawdzać. Ale musiał pójść z nimi do spowiedzi. Nie wiedział, jak się to robi. Nie rozumiał, co to są grzechy. Ksiądz połapał się, że z przybłędą coś jest nie w porządku. Kazał mu opuścić konfesjonał. Loniek zaparł się rękoma i nogami, że konfesjonału nie opuści. Pod konfesjonałem czekali jego gospodarze. Byłby zdemaskowany. Pewno by go wyrzucili.

Wspominając po latach powtarzał mi: *Chcesz tylko żyć, żyć i tylko żyć. I wszędzie strach, dużo strachu.*

Jedyną książeczką, jaką miał, był modlitewnik. Z niego Loniek wyczytał, że istnieje raj w niebie. Pewnego dnia postanowił się tam dostać. Porzucił stado, którego pilnował, i ruszył w kierunku horyzontu. Po wielu kilometrach przekonał się, że nie dojdzie. Zawrócił. Stawił się z powrotem w nocy. Krowy wróciły same. Ale i tak mocno oberwał za nieudaną wyprawę do nieba. Po tym doświadczeniu pozostał w nim głęboki żal do książeczki-modlitewnika.

W 1944 roku zaczął się przybliżać front. Kiedyś cudem uchronił się od pocisku, kiedy pasł krowy. W Krynkach ulokował się jakiś sztab czerwonoarmistów. Kiedy weszli tam Rosjanie, Loniek uciekł ze swojej wsi do Krynek. *Chciałem żyć, absolutnie chciałem żyć, stałem przed budynkiem dzień i noc, prosiłem, żeby mnie wzięli. Ulitował się pułkownik, Żyd rosyjski.* Loniek został synem pułku.

1. Pierwszy z lewej Loniek jako syn pułku (1944).

Człowiek może tyle znieść [to słowa Lońka z nagranej w 1995 roku taśmy – J.W.B.]. *Ja się nie myłem miesiącami. I goiłem się miesiącami z różnych parchów i ran…* Rosjanie ubrali go, trzymali przy sztabie. Podobno uczyli go po trochu stolarki, krawiectwa i fryzjerstwa. Jako syn pułku dotarł ze swoją jednostką do Berlina. Dłużej stacjonował w Neustrelitz. Przeżył niejedno bombardowanie.

Zwycięska Armia Czerwona pokazała piętnastoletniemu chłopcu morderstwa, trupy i gwałty. Z niedomówień Leona pojąłem, że zbiorowe gwałty na Niemkach musiały mu utkwić w pamięci. Czy jego wędrówka do homoseksualizmu nie miała związku z przeżyciami Lońka syna pułku?

Sam brał być może udział w rozbijaniu luster, obrazów, w niszczeniu mieszczańskich domostw niemieckich. W Niemczech pozostał do 1946 roku. Potem wysłano go z jakimś powracającym do domu oficerem do Odessy. Znalazł się w wojskowej szkole muzycznej. Uczył się gry na flecie. Był do tego za słaby. Przeniesiono go do działu bębnów i ksylofonów. Zawadził i o słynną w Odessie szkołę muzyczną Stolarskiego.

Nie wiedział, co to właściwie jest Polska. Ale i w Odessie nie znalazł sobie miejsca. Bijatyki i bałagan w wojskowej szkole muzycznej przesądziły o tym, że uciekł na dachu pociągu Odessa–Lwów. Na bilet pieniędzy nie miał.

We Lwowie żył na dworcu, trudnił się żebraniem. Odnalazł jakiś komitet żydowski, który dał mu pokój, jedzenie i pieniądze. Ze Lwowa przedostał się do Krakowa, z Krakowa do Wrocławia. I tu w domu sierot żydowskich zaczęła się repolonizacja Leona.

We Wrocławiu na kursach wieczorowych nauczył się czytać i pisać po polsku. *Zacząłem rozumieć, że istnieje świat, kultura; poszedłem do Opery Wrocławskiej jako małpa i zacząłem pochłaniać kulturę*. W niewielkiej torbie fotosów i dokumentów, jakie pozostały po Leonie jest niesamowite zdjęcie z 1947 roku z nadbrzeża Odry. W rzece pluszczą się małe dzieci, a na brzegu w półwojskowym mundurze tańczy Leon. Widać, że cieszy się życiem. Ma osiemnaście lat. Mimowolnie fotos nakłada się na film Roberto

Benigniego o ukrywaniu przed dzieckiem prawdy, że otacza je rzeczywistość Auschwitz. „La vita è bella" – „Życie jest piękne".

2. Przeżył wojnę. Dwa lata później na tle ruin Wrocławia.

Jerzy Kosiński swoją fikcją, czy jak sam ją nazwał wizją literacką, dostał się do dziesiątków encyklopedii i podręczników. Istnieje nadal ćwierć wieku po śmierci.

Leon Anlen, chłopiec tańczący na wiejskich zabawach czasu wojny w okolicach Krynek, dotarł do Opery Paryskiej. Byłem przy jego rozmowie z najsłynniejszym z francuskich tancerzy Serge Lifarem. Zniósł we Francji wiele upokorzeń. Otworzył własne kursy tańca w Salle Pleyel. Ale nie został wybitnym choreografem. Na domiar wszystkiego po wypadku na skuterze, który zresztą nie on spowodował, wstawiono mu gwoździe w kości nóg. Nie mógł już być nawet nauczycielem tańca... Mozolnie szukał innych dróg przeżycia. Przebijał się jako handlowiec, producent nowości technicznych, kolekcjoner starych zwierciadeł. Dorobił się stopniowo dużego majątku. W jego willi poznałem słynną tancerkę Christiane Vaussard oraz licznych

specjalistów od badań podmorskich ze szkoły Jeana-Yves Cousteau, syna słynnego oceanografa.

3. Najlepsze lata we Francji. Leon ze słynną tancerką Christiane Vaussard.

Ale do encyklopedii się nie dostał.

Zmarł w grudniu 1999 roku. W odstępie zaledwie kilku tygodni po nim zmarli kolejno jego francuski partner życiowy Roger i żona tego ostatniego. Wszystko, co Leon zostawił, odziedziczyła ich córka, nienawidząca go jako homoseksualisty. Mówiono o AIDS… Prochy Leona rozsypano w nieznanym miejscu. Pamiątki zniszczyła francuska rodzina jego partnera. Ariela – przyjaciółka Leona z domu sierot żydowskich – ocaliła dla mnie po nim garść dokumentów i fotografii w byle jakiej plastikowej torbie.

Leon, który przeżył wiele z tego, co wymyślił Kosiński, żyje już tylko w moim archiwum i w mojej wdzięcznej pamięci. W przestrzeni publicznej nie istnieje.

3. Moja matka

Gdy umierała w styczniu 2004 roku, miała bez mała dziewięćdziesiąt dwa lata. Ja – sześćdziesiąty dziewiąty rok życia. Jak opowiadała mi gosposia mojej mamy: – *Zamartwiała się, jak pan przeżyje jej śmierć. Czy pan to wytrzyma?* Kiedy miałem sześć lat, wojna rozłączyła nas z ojcem. Z dziennika jego wojennych peregrynacji widać, ile razy wracał wspomnieniami do żony; widać, że to dla niej pisał ten dziennik, zakładając, że sam może zginąć na froncie. Ale po wojnie żyli już faktycznie w separacji, choć często pod jednym dachem. Kiedy ojciec zmarł w styczniu 1952 roku, matka nie miała jeszcze czterdziestu lat. Była piękną kobietą, z mocnym charakterem. Przyjaciele uważali, że powinna wyjść za mąż. I popychali mocno sprawę mojego wyjazdu na studia do Związku Radzieckiego, abym jej nie wiązał rąk. Setki listów matki do mnie i moich do niej z tego studyjnego czasu świadczą o tym, jak niemal codzienną, nierozerwalną była nasza więź. Z Kazania, z Moskwy, z Kaukazu – niezależnie od miejsca pobytu co dwa tygodnie telefonowałem do matki. A potem z Francji, z Włoch, z Niemiec jeszcze częściej.

Nie wyszła ponownie za mąż. Jej główną troską byłem ja. Potem, kiedy na świat przyszły wnuki: Aleksander (1974) i Karol (1977), chłopcy zajęli miejsce równorzędne ze mną. Ale nie była typową nadopiekuńczą „żydowską matką". Jej postępowanie było podbudowane doświadczeniem medycznym i racjonalnym myśleniem. Straciwszy całą rodzinę wymordowaną w czasie wojny przez Niemców, jedyne swoje przedłużenie widziała w nas trzech. Troszczyła się o niemal każdy szczegół mojego życia. Ale prawie nigdy mnie nie całowała, rzadko chwaliła. Spytałem po latach: – *Dlaczego mnie nie całowałaś?* Odpowiedziała: – *Ojca miałeś krótko*

i tylko dochodzącego. Na mnie spadła podwójna rola, kobiety i mężczyzny. Chciałam cię wychować na mężczyznę.

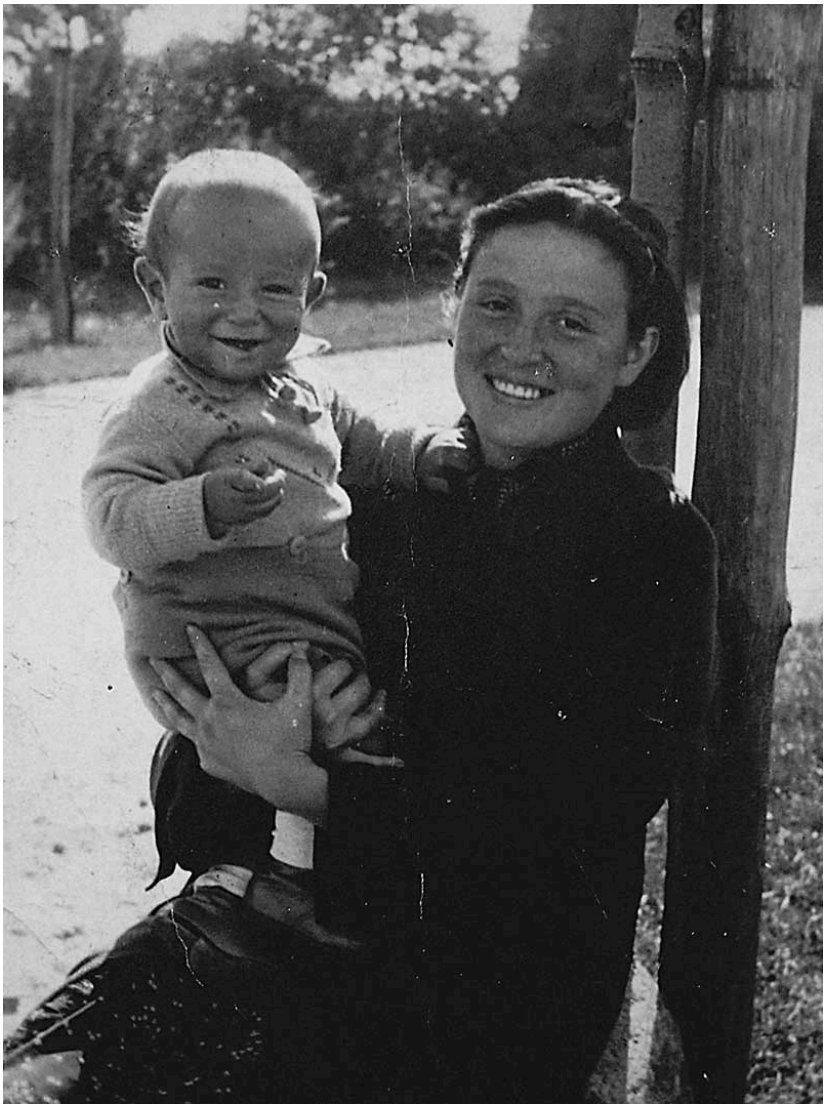

4. Na rękach matki. Trzecia kolonia na warszawskim Żoliborzu (1937).

Krytycznym, fachowym okiem oceniała moje teksty. Poprawiała moje pierwsze pełne rusycyzmów tłumaczenia pamiętników carskiego ministra wojny Dymitra Milutina o powstaniu styczniowym. Wygładzone stylistycznie nie ukazały się nigdy. Zatrzymała je bezapelacyjnie cenzura. Za zbyt powierzchowną recenzję pamiętników Bolesława Limanowskiego natarła uszu mnie – doktorowi nauk humanistycznych…

Dopatrywała się we mnie podobieństw do ojca. Kilka tygodni przed śmiercią powiedziała nagle:

– *Byłeś zbyt liberalny w 1945 roku wobec tych, którzy kolaborowali z Niemcami.*

– *Mamo!* – wykrzyknąłem – *mieszasz mnie z ojcem!*

Zaczęła się śmiać.

Latem 1941 roku zostaliśmy z mamą sami – na prawie cztery lata. Brakowało nam pieniędzy. Mama – co pamiętam – sprzedawała ubranie i buty ojca za kartofle i buraki. Dbała o to, żebym był syty. Sama nie dojadała. Kiedyś we Lwowie, prowadząc mnie za rękę, osunęła się na chodnik. Zemdlała z głodu.

Sześcioletni chłopiec z ogromną blond czupryną zaczął krzyczeć:

– *Mamo, nie umieraj!*

To byłem ja. Utworzyło się zbiegowisko. Mamę ocucono i napojono.

Potem ocaliła siebie i mnie z masowej egzekucji na ulicy Kopernika we Lwowie. Jako jedynych. Niebawem wyjechaliśmy do Buczacza pod opieką towarzysza partyjnego ze Lwowa Adolfa Capfa. Piszę o nim dalej, jako o „przyszywanym" wuju. W Buczaczu znieśliśmy kilka głodowych tygodni, zanim Adolf znalazł pracę. Ale i jego musieliśmy porzucić, zagrożeni przez denuncjatorów, którzy znali moich rodziców ze Lwowa i najęli się do pracy przy niemieckiej administracji Buczacza.

Drogę powrotną odbyliśmy trasą Lwów–Kraków–Warszawa. Kto pomagał matce w przemieszczaniu się przez okupowany kraj? Pamiętam, że we Lwowie Karol Kuryluk. W Warszawie jacyś znajomi z przedwojennego inteligenckiego Żoliborza. Przypuszczam, że Wanda Koszutska ze znanej komunistycznej rodziny szlacheckiego pochodzenia, z kaliskiego.

Dwa lata, do czerwca 1944 roku, matka pracowała w Warszawie jako gosposia przy aktorce Geni Witkowskiej. To „przy" należy rozszyfrować. Gnieździliśmy się nieraz aż w siedem osób w jednym dużym pokoju z łazienką na ulicy Smolnej 22. Siostry Drabikówny, Eugenia Witkowska i Kazimiera, córki słynnego scenografa Wincentego Drabika (1881–1933)

oraz moja mama i czworo dzieci. Mąż Geni był na Zachodzie. Mężem Kazi był Mieczysław Birnbaum (1889–1940), który zginął w Katyniu. Socjalista, legionista i człowiek zaufania Piłsudskiego podczas wojny 1920 roku, potem oficer wywiadu, zasłużony tłumacz Izaaka Babla i Jewgienija Zamiatina nie uszedłby w żadnym układzie żywy z rąk NKWD. Z rąk niemieckich też nie. Był znany. Był Żydem. Czy Kazia wiedziała przed końcem wojny, jak zginął jej mąż? Raczej nie.

Genia zarabiała na życie jako kelnerka w kawiarni „U aktorek" i w jakiejś restauracji. Kazia chyba podobnie. Mama prowadziła gospodarstwo i doglądała dzieci. Genia wiedziała o naszym żydowskim pochodzeniu. Przyjęła świadomie to ryzyko. Tak jak ryzykowała, mieszkając z rodziną – z siostrą i jej dzieckiem, synem powszechnie znanego w Warszawie dziennikarza i oficera polskiego wywiadu, pochodzenia żydowskiego. Częstym gościem na Smolnej 22 bywał znajomy obu sióstr Marek Ferdynand Arczyński (1900–1979), skarbnik Rady Pomocy Żydom przy Delegaturze Rządu na Kraj „Żegota". Chyba pomagał mamie. Jeszcze ćwierć wieku po wojnie uczył mnie, młodego profesora, jak się fachowo rozlewa wódkę.

Po przyjeździe z Buczacza do Warszawy mama umieściła mnie „na odkarmienie" w pensjonacie w Miedzeszynie. Zakazała mi reagować niechęcią na dzieci folksdojczów, które też trafiały do tego ośrodka. Byliśmy, rzecz jasna, biedni. Zawsze od małego pamiętałem o dniu urodzin mamy – 22 czerwca. Tego roku, kiedy przyjechała w swoje urodziny do Miedzeszyna, zrobiłem tutkę z papieru i nazbierałem do niej owoców jałowca. To był cały prezent. Dzięki temu szczegółowi utrwalonemu w pamięci dziecka mogę datować mój pobyt w pensjonacie państwa Kiełbików na czerwiec 1942 roku. Dziwny to był pensjonat. Dzieci folksdojczów stanowiły chyba zasłonę dla ukrywanych w nim przez stolarza Żydów.

Skąd mama miała pieniądze? Była u rodziny ojca w getcie i tam dał jej jakąś sumę czy kosztowności do spieniężenia brat macochy ojca, znany

stary lekarz, mądry doktor Bronisław Glass. I nakazał jej nie pokazywać się więcej w getcie.

Opisać, co mama przeżyła w czasie okupacji, byłoby niełatwo. We Lwowie w 1941 roku wyrzuciła za drzwi naszego mieszkania na ulicy Długosza Polaka – kolaboranta gestapo. Były to pierwsze dni po wkroczeniu Niemców i gestapowski „gość" nie był jeszcze pewien, co mu wolno. W Warszawie na ulicy Smolnej w pogoni za ukrywającymi się Żydami gestapowiec z granatowym policjantem przeszukiwali cały ogromny budynek. Kto nie mieszkał tam przed wrześniem 1939 roku był automatycznie podejrzany. Każdy sublokator. Ja, nieświadomy mojego pochodzenia, śmiałem się trochę, gdy kazali mi ściągnąć majtki. Modlić się umiałem. Uznali mnie za Aryjczyka. Kiedy gestapowiec kazał się z kolei modlić matce, odmówiła:

– *Jestem niewierząca.*

– *To jest pani Żydówką.*

– *A pan jest wierzący?* – zapytała go matka.

Panowie uznali, że i matka, która tak sobie pozwala, jest poza podejrzeniem. Dokumenty mieliśmy dobrze sfałszowane przez Ignasia Romanowicza, inżyniera chemika, komunistę, który zginął w Warszawie wśród pięćdziesięciu zakładników powieszonych w 1942 roku.

Życiorys matki zawarty jest w telegraficznym skrócie w jej nekrologu z „Gazety Wyborczej" z 9 stycznia 2004 roku: *Urodzona 22 czerwca 1912 roku na Wołyniu, zmarła 3 stycznia 2004 roku w Warszawie. Od wieku lat szesnastu zmuszona do pracy zarobkowej, była pielęgniarką. Jako siostra oddziałowa w szpitalu na Czystem poznała nędzę warszawskiej Woli i Pragi. Przystąpiła do Komunistycznej Partii Polski. Podczas wojny związana z Armią Ludową. Trzykrotnie uszła we Lwowie i w Warszawie z rąk gestapo i granatowej policji. Wojna nie pozwoliła Jej na ukończenie studiów medycznych. Pracowała od lat 1950 jako redaktor naczelny i zastępca redaktora naczelnego wydawnictwa dla dzieci i młodzieży „Nasza Księgarnia".*

Udział mamy w konspiracji był ograniczony. Rozprowadzała jakieś druki, ulotki. Nie tylko Armii Ludowej. Zaproponowano jej, aby pilnowała

laboratorium chemicznego AL. Odmówiła, tłumacząc to codzienną odpowiedzialnością za syna. Gomułka nie zapomniał mamie tej odmowy. Ale nie znam szczegółów, byłem za mały. A po wojnie prawie nigdy nie rozmawialiśmy o latach okupacji. Bez zepchnięcia pewnych wydarzeń głęboko w podświadomość trudno byłoby żyć. O lwowskiej egzekucji, z której ocaleliśmy tylko my dwoje, przez pięćdziesiąt lat rozmawialiśmy tylko raz. Matka była zadziwiona, że pamiętam szczegóły.

5. Jeden z niewielu zachowanych znaczków Szkoły Pielęgniarstwa w Warszawie (przed 1939). Odnaleziony w pamiątkach po matce (stan obecny).

Była samotną córką spalonego, rozstrzelanego i żywcem pogrzebanego narodu – sześciu milionów ofiar Holokaustu. Taki los spotkał wszystkich członków jej rodziny na ziemiach polskich. Wszystkich bez wyjątku. Pół wieku po wojnie odnalazł się jedyny ocalały pod Uralem kuzyn matki, który przez Szwecję wyjechał do Izraela. Aby żyć, należało unikać wspomnień. Dopiero po śmierci matki odkryłem w jej biurku znaczek służbowy i oryginalne dokumenty z żydowskiego szpitala na Czystem. Jak je przechowała podczas wojny – nie wiem. Nie mówiła mi nigdy, że je ma.

Matka czuła się Polką. Mówiła ładnym, literackim językiem. Ale nigdy nie zapominała o swoich żydowskich korzeniach ani o żywotności polskiego antysemityzmu. Kiedy siedemdziesiąt lat po wojnie patrzę na ludzi podających w wątpliwość polskość swoich współobywateli, którzy, aby przeżyć wojnę i powojenny ostracyzm oraz pogromy, zmieniali nazwiska, ogarnia mnie ironiczny smutek.

Pozostanie w Polsce po 1945 roku przez osoby pochodzenia żydowskiego oznaczało nie lada odwagę, było dowodem przywiązania do ziemi ojczystej. Czynili tak prawdziwi patrioci polscy, często wrośnięci w polskość jeszcze w XIX wieku. Czynili tak niektórzy wierzący w utopię przyszłego braterstwa narodów komuniści. Takim utopistą był mój ojciec, zgrywający się, jak pisał Czesław Miłosz, na rubasznego szlachciurę. Jak twierdził Jerzy Putrament, na Karola Radziwiłła „Panie Kochanku".

Matka miała wszelkie dane na dobrego lekarza. Brakowało jej tylko roku do dyplomu na Uniwersytecie Łódzkim. Niestety, ojciec ściągnął ją do Warszawy i usiłował sterować jej karierą. Matka wierzyła może jeszcze do roku 1960, może 1963 w utopie komunistyczne, ale uchylała się od pracy, która jej nie odpowiadała. Od postaw, których nie akceptowała.

Kiedy już po śmierci ojca (1952) zaczęły się aresztowania byłych uczestników wojny domowej w Hiszpanii, wpadł do niej dąbrowszczak, zastraszony młody pułkownik, polski attaché wojskowy w Belgii z pytaniem, co robić. Matka powiedziała mu: – *U mnie, w mieszkaniu wdowy po Borejszy, nie będą cię szukali. Schowaj się tu na kilka dni.*

Jeśli trzeba było zrobić choremu zastrzyk, sąsiedzi wielokrotnie budzili ją – niemłodą już byłą dyplomowaną pielęgniarkę – w środku nocy. Była zawsze gotowa spieszyć z pomocą. Ale ludzi trzymała na dystans. W zachowanych dokumentach osobowych PZPR podkreślają tę cechę. Nie spoufalała się. Przyczyny były dla mnie oczywiste: niejasna sytuacja, rozbite małżeństwo dyktowały jej odgrodzenie się od otoczenia.

Ojcu, który upajał się stworzoną przez siebie władzą, potrafiła wytknąć, że otaczają go pochlebcy, że powinien pisać, a nie zajmować się polityką i dowodzić „Czytelnikiem". Nie słuchał jej, gdy prosiła, aby się leczył, póki czas. Na kilka miesięcy przed śmiercią zaczął rozumieć jej racje. Ale było już za późno.

Była monogamistką. Po śmierci ojca nie pokochała już żadnego mężczyzny. W jej pokoju stały moje podobizny, fotografie wnuków. Fotografię ojca powiesiła tylko w moim pokoju. Nie potrafiła, nie mogła mu wybaczyć jego pogmatwanego życia osobistego po roku 1945. Ale parę

tygodni przed śmiercią, w grudniu 2003, roku matce wyrwało się: – *Was trzech bardzo kochałam, ale twojego ojca kochałam nieprzytomnie.*

Dziewczyna z ubogiej rodziny obawiała się do końca życia nędzy materialnej. Znała niemiecki i rosyjski. Tłumaczyła czasem – tylko dla zarobku – jakieś radzieckie gnioty dla dzieci. Musiałem ją bardzo często zapewniać, że wnuki: archeolog Aleksander i fizyk Karol, wyjątkowo dobrze radzą sobie w życiu i mają przed sobą świetlaną przyszłość.

Pod koniec życia znosiła z niezwykłym hartem ból fizyczny. Raz, czasem dwa razy w miesiącu, operowano jej nogę. Nie można było już aplikować znieczulenia. Rzadko krzyczała. Operujący ją chirurg, mężczyzna atletycznej budowy, mówił mi, że on sam by tego nie wytrzymał.

Cierpienie fizyczne, z którym walczyła przez wiele lat, nie chcąc zezwolić na amputację nogi, przekładało się na to, że w ostatnich dziesięciu latach życia bywała trudna w kontaktach z otoczeniem.

Zawsze samodzielna, wywróciła się w przeddzień Bożego Narodzenia 2003 roku, łamiąc miednicę. Przewieziona do szpitala, z dawną sprawnością umysłu fachowo obserwowała swój stan. W nocy wezwała lekarza dyżurnego, prosząc o ratunek ze słowami:

– *Zator płucny. To już koniec!*

4. Egzekucja 1941

Jest to wspomnienie, które zepchnąłem głęboko w podświadomość. Ale pamięć niespełna sześcioletniego dziecka utrwaliła niemal fotograficznie kilka obrazów. Wydarzyło się to około 1 lipca 1941 roku. Lwów zakwitł flagami niebiesko-żółtymi. Ukraińskie marzenia o własnym państwie u boku Hitlera. W jednej z pomniejszych ulic koło Kopernika matkę zatrzymał niewysoki Ukrainiec. Wylegitymował i doprowadził nas do tłumu ludzi, których jacyś cywile mówiący po ukraińsku pędzili jezdnią w górę ulicy Kopernika. Wydaje mi się, że kazali im krzyczeć: *Jude! Jude!*

Koło dużego gmachu (dziś wiem, że był to pałac Bielskich. W latach okupacji sowieckiej służył za siedzibę literatów) tłum zatrzymano. Zaczęła się masakra otoczonych kordonem Ukraińców ludzi. Koło nas stała para, chyba małżeństwo, w oczach dziecka niestare. Ukrainiec z drągiem rzucił się na nich i jednym uderzeniem złamał obojgu nogi. Padającemu mężczyźnie zleciała z głowy czapka. Był rudawy. Któryś z Ukraińców krzyknął do matki:

– *Uchody!*

Przepuszczono nas na chodnik. Doszliśmy do grupy Niemców w mundurach. Przyglądali się masakrze. Chyba stali na jakimś podwyższeniu, rodzaju trybuny.

6. Na prawdziwym radzieckim blankiecie paszportowym wpisane po zajęciu Lwowa przez Niemców fałszywe dane personalne matki. Paszport ten wydany dla Jadwigi (córki Andrzeja) Kantorczak posłużył za podstawę do wyrobienia później niemieckich dokumentów (faktycznie 1941).

Nie wiem, skąd mi utkwiło, że jeden z nich zwrócił się do matki, żeby popatrzyła z nimi. Matka stanęła na chwilę. Ale zaraz ruszyła w dół ulicy chodnikiem. Pamiętam jak dzisiaj, że podeszła, trzymając mnie cały czas za rękę, do parkanu pałacu, za którym stał dozorca.

– *Wpuść mnie* – powiedziała.

– *Nie.*

Kiedyś później musiała mi wyjaśnić, że był to dozorca Ukrainiec, który znał ją z czasów sowieckich, kiedy z ojcem chodziła tam na zebrania pisarzy.

7. Zdjęcie z Krościenka z Włodkiem Launbergiem. Nawet gestapo nie miało wątpliwości, że jestem aryjskim blondynem (lato 1939).

8. Siostra sławnego aktora Mieczysława Frenkla rysuje mnie w 1941 we Lwowie. Mieszkamy u nich przy ul. Długosza (stan obecny).

Była piękną kobietą, raczej w typie ukraińskim, potrafiła się porozumieć i po ukraińsku, i po niemiecku, wtedy może jeszcze z austriackim akcentem wyniesionym z galicyjskiej szkoły. Ja jako dziecko byłem bardzo jasnym blondynem o wysokim czole. Parę lat później chłopi pod Warszawą nazywali mnie Janem Sobieskim. Może zatem Ukrainiec-morderca ulitował się nad dzieckiem? Może Niemcy sądzili, że matka szła chodnikiem, na którym byli przechodnie, i przypadkowo zaplątała się w tłumie Żydów prowadzonych na egzekucję? Może coś powiedziała po ukraińsku czy niemiecku, że to pomyłka? Nie wiem.

Nie będę dopisywać tego, o czym wiem z lektur jako historyk. Z matką po wojnie rozmawialiśmy tylko raz o lwowskiej egzekucji. Raz przez pięćdziesiąt lat. Powiedziała, że z tego tłumu ocaleliśmy tylko my dwoje. I że Niemcy wykończyli zmasakrowany przez Ukraińców tłum z broni maszynowej. Do dzisiaj pamiętam twarz padającego obok nas na bruk mężczyzny. Był rudawy.

5. Niepokorny wyznawca szatana

Icchak Grünbaum (1879–1970), przez wiele lat poseł na Sejm Drugiej Rzeczypospolitej, jeden z czołowych przywódców Organizacji Syjonistycznej w Polsce, w 1932 roku wyjechał do Palestyny. Po drugiej wojnie jako pierwszy minister spraw wewnętrznych Izraela wspominał mojego dziadka Abrahama Goldberga (1880–1933), redaktora „Hajntu" („Dziś") – najpoważniejszej swego czasu europejskiej gazety w jidysz.

– *Złym był Żydem Abraham, jeśli wychował dwóch takich synów.* – Grünbaum miał na myśli zerwanie obu braci ze sprawami żydowskimi. Całkowite u Jerzego Borejszy, nie tak daleko idące u Jacka Różańskiego.

Zdanie to powtarzał mi mój cioteczny wuj, znakomity chirurg szczękowy i dentysta, Icchak Landsberg (1919–2012), który po 1945 roku nielegalnie opuścił Polskę i ostatecznie osiadł w Tel Awiwie.

Podobną opinię wyrażali w latach sześdziesiątych przy stoliku kawiarnianym w Kazimierzu Dolnym dwaj starzy endecy, których mimowolnie podsłuchał nasz przyjaciel, germanista Emil Adler.

– *Takim przyzwoitym człowiekiem był stary Abraham Goldberg, a patrz pan, jakich synów komunistów zostawił* – ubolewali.

W splątanej polskiej pamięci historycznej mój ojciec pozostał raczej – choć nie zawsze – jako symbol „komunizmu o ludzkim obliczu", „komunizmu liberalnego".

9. Redaktor Abraham Goldberg – dziadek, którego nie poznałem.

Czesław Miłosz pisał o nim: *Najbardziej międzynarodowy z polskich komunistów* [...] *z niczego zbudował, poczynając od 1945 roku, swoje państwo książki i prasy. „Czytelnik" i inne domy wydawnicze, gazety, tygodniki, wszystko od niego zależało – posady, przyjęcia książek do druku, honoraria. Byłem w jego stajni, wszyscyśmy byli.* Z „Czytelnikiem" było związanych sto tysięcy ludzi, nazywano tę instytucję wydawniczo-oświatową czwartą partią w Polsce.

W liście do mnie napisał Czesław Miłosz: *Niejedno mu zawdzięczam i zastanawiał mnie jego wielkopański gest* [...] *Ale ojciec pana był zaangażowany w działalność demoniczną i tu już pośmiertne ocalanie „moralności prywatnej" będzie zawsze wyglądało na wyliczanie jego odstępstw od zasad, jakimi musiał się kierować jako komunista.* Miłosz wyraził się kiedyś, że ojciec był wielkim

uwodzicielem w służbie szatana. Jeśli cytat nie jest całkiem dokładny lub stanowi w mojej pamięci zbitkę różnych tekstów poety, w których wspomina o moim ojcu – takie było prawie dosłownie przesłanie.

„Szatanem" był komunizm w jego sowieckim wydaniu. Tak, ojciec przynajmniej od roku 1939, od ucieczki z zajmowanej przez Niemców Warszawy, służył temu szatanowi. Ale w jego biografii szatan ten powstawał z wielu części. Zaczął czcić go jako młodzieniec zapatrzony w hasła rewolucji francuskich: wolność, równość, braterstwo. Potem przyszła wiara w utopie socjalizmu francuskiego, akces do pepesowskiego czerwonego harcerstwa, z kolei, już we Francji w czasach studenckich etap anarchosyndykalizmu. Kiedy doszedł do wniosku, że za żadną z tych ideologii nie kryje się tak ceniona przez niego – urodzonego menedżera – efektywność, zwrócił się ku komunistom polskim. W 1929 roku przystąpił do KPP. Z tego co wiem, należał do tych, którzy nie godzili się (po cichu) z jej rozwiązaniem przez Stalina w 1938 roku. Mogę wymienić przynajmniej dwóch trockistów polskich, z którymi nie zerwał więzi koleżeńskich, a jednemu z nich po roku 1945 wręcz pomagał. Rzeczywistość radziecką poznawał i oswajał dopiero po 1939 roku. Do 1939 roku nie był nigdy w ZSRR, w odróżnieniu od wielu bardziej prominentnych działaczy komunistycznych. Znalazł się tam w szczególnym okresie walki na śmierć i życie między Hitlerem a Stalinem.

10. Jerzy Borejsza przy budowie imperium „Czytelnika” (1946).

Kiedyś około roku 1960 spytałem przyjaciela ojca Tadeusza Zabłudowskiego (1907–1984), przed wojną tłumacza „Mojego życia” Trockiego, formalnie komunistę:

– *Jak mogliście popierać Stalina?*

– *Dla nas, komunistów, zwłaszcza pochodzenia żydowskiego, nie było innego równania: albo Stalin, albo Hitler. Co dla nas oznaczał Hitler po 1939 roku, było wiadomo. O Stalinie wiedzieliśmy nie za wiele.*

Moskwę widzieli nieraz przez francuskie okulary. Jak niezwykle celnie zauważa Tony Judt: *Problem stalinizmu był we Francji traktowany przede wszystkim jako dylemat historyczny: Czy rewolucja rosyjska jest prawomocną dziedziczką francuskiej? Jeśli tak, to czy nie powinno się jej chronić przed wszystkimi obcymi zagrożeniami? Cień rewolucji francuskiej nieustannie przysłaniał widok, utrudniając dostrzeżenie, co naprawdę dzieje się w Moskwie. Procesy pokazowe, które rozpoczęły się w 1936 roku, wielu francuskich*

intelektualistów, nie tylko komunistów, postrzegało raczej jako robespierreowski terror, a nie totalitarny masowy mord.

Ojciec pozostał komunistą do swojej przedwczesnej śmierci w wieku czterdziestu sześciu lat, w styczniu 1952 roku. Uważał, że komunizm ma przyszłość. Uważał tak i na łożu śmierci. Pytanie tylko: co kryło u niego słowo komunizm?

Czy był stalinowcem? Był osobliwym stalinowcem, ale był. Wierzył, że Związek Radziecki Stalina buduje lepszy ład społeczny. Jako publicysta służył kultowi Stalina, ale u niego była to raczej część obowiązkowego rytuału komunistycznego. Rytuał ten jednak uprawiał. Biografowie ojca przeoczyli jego artykuł z okresu „wielkiej czystki", w którym, minimalizując liczbę ofiar Torquemady i Inkwizycji, pisze o nich jako o części normalnej historii ludzkości. Ale postać Torquemady nie budziła w nim najmniejszej sympatii. Wiem, bo czasem coś mi mówił o Hiszpanii i Hiszpanach. Głosił apologię Sancho Pansy, prostego człowieka. Do końca życia w jego postępkach i słowach pobrzmiewało echo utopii Jana Jakuba Rousseau. Wiara w prostych ludzi, wiara w dobroć ludzką, którą czasem ukrywał pod skorupą menedżerskiego cynizmu. Był naturalnie życzliwy ludziom, bardzo chciał być popularnym, lubianym, kochanym. To było dla niego ważniejsze niż piastowanie wysokich, ale pustych funkcji. Jak twierdził jego brat, złej sławy pułkownik służby bezpieczeństwa Jacek Różański, nie nadawał się na stalinowca, bo obce mu było uczucie nienawiści. Francuska dziennikarka Dominique Desanti, znająca doskonale Borejszę, opisywała go jako świetnego menedżera i łatwowiernego polityka.

Po swoich rodzicach odziedziczył geny filantropii. Kiedy miał pieniądze, zawsze komuś pomagał, komuś je oddawał. Jako kapitan Armii Czerwonej posyłał z frontu pieniądze nie tylko swoim krewnym w ZSRR, ale i znajomym. Oddawał honoraria z radia, z gazet. Często trafiały do rodzin pisarskich w opałach: do zaprzyjaźnionej z nim Marii Michajłowny Szkapskiej czy do rodziny znakomitej poetki Mariny Cwietajewej (poznał ją na rok przed jej samobójstwem w 1941 roku). Jako prezes „Czytelnika"

stworzył fundusz pomocy pieniężnej dla dzieci powstańców warszawskich 1944 roku. Z własnej kieszeni posyłał po 1945 roku jakieś doraźne zapomogi dawnej towarzyszce z przedwojennej Komunistycznej Partii Polski, krawcowej w Łodzi. Po śmierci ojca pani ta zgłosiła się do mojej matki o pomoc. Matka musiała jej wyjaśnić, że ojciec pozostawił głównie długi, niespłacone zaliczki z niezrealizowanych umów wydawniczych.

W 1949 roku ojciec zestawiał bałwochwalczy numer tygodnika „Odrodzenie" na siedemdziesiątą rocznicę urodzin Stalina. Czy czynił to, aby walczyć o utracone wpływy w rządzącej w Polsce nomenklaturze? Czy po ciężkim wstrząsie mózgu doznanym w niejasnym wypadku samochodowym 1 stycznia 1949 roku nie był już sobą – jak twierdził później jego młody podówczas współpracownik, pisarz i tłumacz Ziemowit Fedecki? A był blisko niego, towarzyszył mu od 1949 roku przez letnie miesiące na Mazurach. Czy był poza normą psychiczną – „stuknięty" po wypadku – jak napisał Jerzy Putrament? Czy wiedząc, że został uwięziony jego stryj w Moskwie, po prostu bał się i dlatego napisał obrzydliwe artykuły o „nowym" polskim marszałku Konstantym Rokossowskim i siedzących bezpodstawnie w Warszawie na ławie oskarżonych polskich oficerach?

Jedno pamiętam: chyba wiosną 1951 roku, parę miesięcy przed śmiercią, ojciec poszedł ze mną na spacer do Łazienek. Wspominał, jak w czasach gimnazjalnych pływali łódkami po stawie w Łazienkach. Potem nagle przystanął i chyba świadomy swego stanu zdrowotnego rzucił:

– *Pamiętaj: ja nie byłem bolszewikiem*.

Żałował? Czy odgradzał się od bolszewików? Byłem za głupi, aby pytać.

Wyznawca szatana, szatańskiej ideologii. Tak. Ale w prowadzonym na froncie w latach 1941–1944 dzienniku ojca obok stron infantylnych, oprócz naiwniacko (dla mnie dziś) propagandowych zachwytów nad prostym radzieckim człowiekiem, nad urodzajną pono właśnie latem 1941 roku kołchozową wsią ukraińską, pojawiają się liczne nieortodoksyjne uwagi, notowane rozmowy oznaczone symbolem „wielkiej czystki" (1937), kontakty z ludźmi prześladowanymi w państwie Stalina. Wystarczały

całkiem, aby posłać go do łagru. Na co liczył, zapełniając obficie drobnym maczkiem gruby kajet?

W dokumentach z lat trzydziestych w archiwum dawnego Kominternu leży donos na ojca od towarzysza komunisty z polskiego więzienia, że Goldberg-Borejsza ma wątpliwości dotyczące procesów moskiewskich. Po tym donosie postanowiono, że nie można go dopuszczać do najwyższych stanowisk partyjnych i trzymano się tego zalecenia aż do jego śmierci. Decyzję tę zachowano w tajemnicy. Nie wiedziała o tym nawet moja matka. Ale jednocześnie zaznaczano, że trzeba wykorzystać zdolności Borejszy jako publicysty i organizatora. W zbiorczej opinii o Borejszy polskich komunistów z czasów wojny dla sekretarza generalnego Kominternu Georgi Dymitrowa zaznaczano, że jest uzdolnionym publicystą i był znany w kołach demokratycznych w Polsce przed 1939 rokiem. Ale dodawano, że czasem jest zdolny do nieprzewidywalnych czynów. Echa tej opinii usłyszałem w 1962 roku z ust Edwarda Ochaba, naonczas przewodniczącego Rady Państwa czyli „komunistycznego prezydenta" Polski:

– *Jesteście synem Borejszy? Tak, zdolny był towarzysz, ale pochopny, pochopny.*

Miał do niego pretensję o artykuł z niezwykle poczytnego tygodnika „Przekrój" z 1946 roku zatytułowanego ironicznie „My – agenci Moskwy". Ojciec wyśmiewał w nim dopatrywanie się w każdym zwolenniku ZSRR i kultury rosyjskiej agenta Moskwy. Aleksander Wat zanotował rozmowę odbytą po 1945 roku, kiedy to ojciec wyśmiewał agentomanię, mówiąc, że agentami nie są ci, których odróżnia się gołym okiem, ale ludzie dobrze zakamuflowani, pozornie dalecy od wszelkiej lewicy.

11. Większość domów przy ul. Wiejskiej należała do Spółdzielni Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik” (widok obecny).

Pod koniec wojny i w pierwszych latach powojennych nie przeszkadzano mu w organizacji wielkiego koncernu prasowo-książkowego „Czytelnik”. Potem już zawadzał. Mówił o tym znakomity wydawca o międzynarodowej renomie, niegdyś komunista, Adam Bromberg (1912–1993).

Bromberg został wygnany z Polski przez reżim Gomułki w ramach nagonki antysemickiej roku 1968. Zasłynął potem w Szwecji jako edytor laureatów Nobla. W swoich wspomnieniach zostawił przekaz o Borejszy, z którym nieraz się wadził za życia. Wspomnienia Bromberga przetworzył w głośnej książce „Memorbuch” jeden ze współczesnych mistrzów prozy polskiej Henryk Grynberg. O moim ojcu czytam tam: *Borejsza jeszcze we Lwowie uczył nas przemilczać to, co się nam nie podoba, i robić to, co się da. Już w Chełmie wypuścił pierwszą gazetę, w Lublinie założył pierwsze wydawnictwo, w Warszawie koncern prasowy. Uruchamiał drukarnie i produkcję papieru, budował mieszkania dla bezdomnych pisarzy. Kupił Iwaszkiewicza z całym dworem. Wiedział, jak pozyskiwać ludzi, i bardzo szybko udało mu się rozwinąć*

bezpartyjna prasę, za którą partyjna nie mogła nadążyć. Likwidacja analfabetyzmu, masowy awans chłopstwa, upowszechnienie szkół i wyższych uczelni wywołało głód książki i kupowano, co tylko wychodziło spod prasy.

W kwietniu 2004 roku, po śmierci mojej matki, wyjechaliśmy z żoną do pensjonatu w Zagnańsku koło Kielc. Jego miły właściciel Tadeusz Pawlik szybko skojarzył moje nazwisko z prezesem „Czytelnika" i powiedział mi:

– Tacy jak ja biedni chłopcy na tanich książkach „Czytelnika" uczyli się czytać. Czy nazwisko ojca pomagało panu, czy przeszkadzało w życiu?

Pomyślałem: jeśli w tak zwrotnym dla mnie, ciężkim momencie życia dogania mnie cień ojca, to znaczy, że pomaga. Ale na głos powiedziałem zgodnie z prawdą:

– I przeszkadzało, i pomagało, ale raczej to drugie.

W przekazie Bromberga czytamy dalej: *Borejsza miał siedem telefonów, trzy linie rządowe, dwie sekretarki na zmianę i pracował osiemnaście godzin na dobę. O jakiejkolwiek porze się weszło, to słuchawka w ręku: – Ach, muszę zadzwonić do Jakuba, Bolesława, Wiesława – nagi akt i rozkosz władzy. Ale to on wydostał od Rosjan Ossolineum, wprowadził program „rewolucji łagodnej", zwołał Światowy Kongres Intelektualistów. Miał za dużo energii, inicjatywy, inwencji. Nie mogli za nim nadążyć – Jakub, Bolesław, Wiesław. Do kostek mu nie dorastali, musieli się go pozbyć. Oskarżyli go o „drobnomieszczaństwo", o „liberalizm", bo nic więcej nie mogli znaleźć. Również dla Moskwy był za szybki, za obrotny i – co najgorsze – ciągle odnosił sukcesy. Żydzi zaś mieli być odpowiedzialni za błędy, niepowodzenia* i *klęski, a nie sukcesy.*

W papierach pisarza Wojciecha Żukrowskiego są ślady prowadzonej w jego obecności w dopiero co pokonanych Niemczech rozmowy dwóch komunistów: Borejszy i szefa polskiej misji wojskowej w Berlinie generała Jakuba Prawina, na temat tego, że nowa Polska będzie inna od stalinowskiego ZSRR. Widocznie nie krępowali się przed młodym oficerem AK. Złudzenia takie podzielała i część generalicji Stalina: że i ZSRR będzie inne, trzymane w ryzach powszechnym patriotyzmem zwycięzców w Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej, ale nie wielkim terrorem. Stalin natomiast już w drugiej fazie wojny kazał podsłuchiwać swoich

generałów i marszałków, aby niebawem znowu sadzać do więzień i rozstrzeliwać. Złudzenia szybko pryskały.

Do ojca mówiłem „Jerzy", rzadziej „tato". Jerzy – wyznawcą szatana? Tak, ale myślącym, że szatana będzie można obejść, robić swoje niezależnie od niego. Niezależnie od niego czynić dobro dla kultury polskiej.

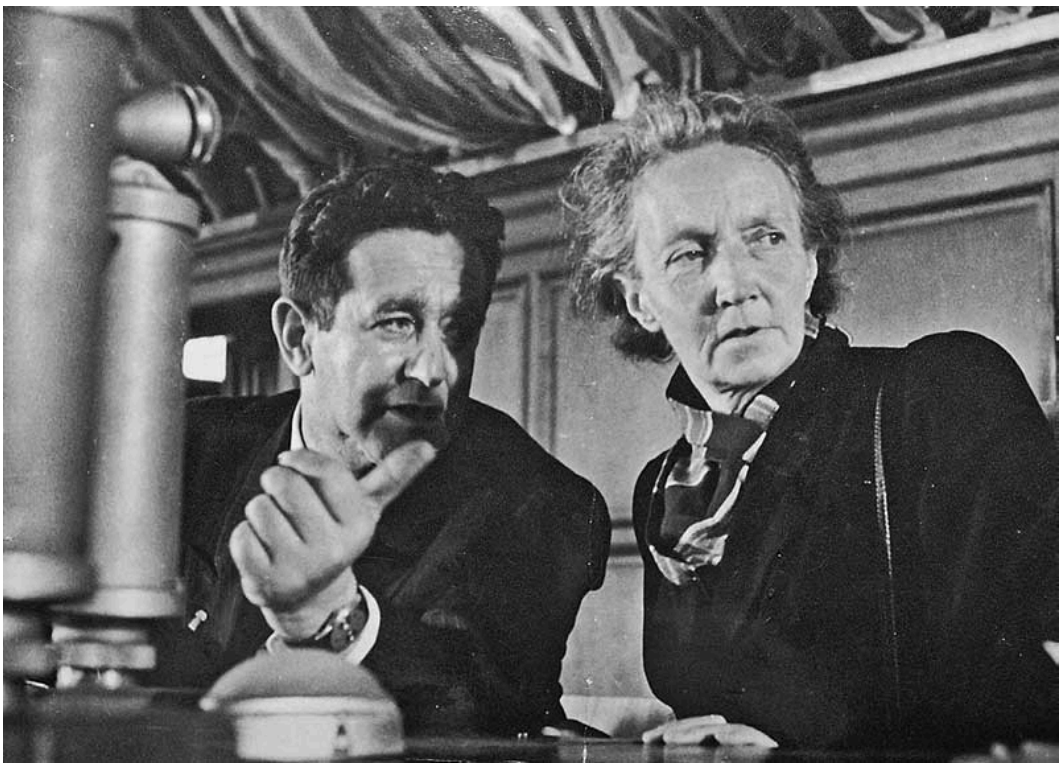

12. Prezes Borejsza z Ireną Joliot-Curie podczas obrad Światowego Kongresu Intelektualistów w Obronie Pokoju we Wrocławiu (sierpień 1948).

Zachowało się w archiwum Wiaczesława Mołotowa niestety niedostępne jeszcze nawet po roku 2000 sprawozdanie Władimira Jakowlewa (radcy ambasady radzieckiej w Warszawie w latach 1945–1948) z rozmowy z Borejszą w 1948 roku. Możliwe, że dotyczyło Światowego Kongresu Intelektualistów w roku 1948 we Wrocławiu. Z wydanego w 2005 roku po rosyjsku tomu dokumentów „Stalin i kosmopolityzm" widać, że Moskwa godzi się na tę inicjatywę, ale odnosi się do niej nieufnie. Biuro Polityczne partii radzieckiej w oddzielnej uchwale z 14 sierpnia zaznaczało, że inicjatywa nie jest jego, lecz Polaków i Francuzów, i wydało swojej delegacji

już jawnie zimnowojenne instrukcje. Mowa Aleksandra Fadiejewa zakłóciła obrady kongresu. Przewodniczący delegacji radzieckiej popisał się niesłychanymi napaściami i inwektywami pod adresem André Malraux, Jeana-Paula Sartre'a, Henry'ego Millera, Thomasa S. Eliota. Padały słowa o imperialistycznych agentach, pornografii, czynieniu z ludzi „czworonogów". Po natychmiastowej interwencji Warszawy u Mołotowa udało się wyciszyć delegację radziecką. Ale efekty kongresu zostały zredukowane. Niemniej nigdy potem Polski nie odwiedziła jednocześnie taka plejada artystów i uczonych z całego świata. Przed całym światem pokazano też nowo nabytą polskość Wrocławia.

13. W Wilanowie Jerzy Borejsza z zaprzyjaźnionymi gośćmi z Francji. Od lewej Paul Eluard i Pablo Picasso.

Na zewnątrz kongres był mimo wszystko sukcesem. Ale też końcem kariery ojca. Aleksander Fadiejew znał go z czasów wojny. Wtedy jako przewodniczący związku pisarzy radzieckich poparł podania ojca o przyjęcie go do czynnej służby w Czerwonej Armii. Nie było to łatwe. Ojciec był komunistą, ale cudzoziemcem i nie należał formalnie do partii bolszewików – WKP(b). Po Wrocławiu w 1948 roku Fadiejew złożył donos do władz w Moskwie o odpowiedzialności ideowej Borejszy za kongres wrocławski. Odebrano mu to, co sobie najwyżej cenił: funkcję prezesa „Czytelnika". Niebawem też, 1 stycznia 1949 roku, padł ofiarą wypadku

samochodowego, po którym się już nie podniósł. Przeszedł ciężki wstrząs mózgu.

14. Znaczek kongresu z polskiego Wrocławia (1948).

Dyrektor gabinetu ojca w „Czytelniku" Mirosław Hegeman twierdził, że był to błąd prowadzącego auto jednego z towarzyszy ojca. Dwie inne osoby związane z „Czytelnikiem", w tym Irena Szymańska, rozmowę z którą nagrałem, złożyły mi po latach relacje, jakoby wypadek był zorganizowany. Przez dziesięciolecia sądziłem, że to Hegeman miał rację. Dzisiaj, kiedy przeczytałem mnóstwo akt w archiwach moskiewskich o metodach NKWD i paranoicznych rozkazach Stalina, nie jestem już tak pewien. Jednak wobec panujących obecnie teorii spiskowych, tendencji do dopatrywania się w zwykłych wypadkach zbrodniczego zamysłu, wolę nie zabierać tu

głosu. Około 1950 roku aresztowano w Moskwie w ramach nagonki antysemickiej członka radzieckiego Żydowskiego Komitetu Antyfaszystowskiego (EAK, zwanego w skrócie „Antifą") stryja Borejszy, tłumacza Lejba Goldberga. Nigdy się nie dowiem, co ojciec o tym wiedział i co myślał. Lejb po powrocie z zesłania zmarł w 1955 roku. Nie było mi dane go poznać.

Dopiero w latach dziewięćdziesiątych ujawniono, że przyjaciel ojca, bezpartyjny, ale związany z lewicą przywódca francuskiej Résistance Yves Farge, minister aprowizacji w rządzie Charlesa de Gaulle'a, który organizował z ojcem Ruch Obrońców Pokoju, zginął w czasie wizyty w ZSRR 31 marca 1953 roku nie w „normalnym" wypadku samochodowym, jak długo sądzono, ale w takim, który „zorganizowano". Zwiedzając kraj, o którym nie miał pojęcia, Farge zaczął wyrażać jakieś wątpliwości. Riposta była natychmiastowa – zabójstwo. I od razu pośmiertnie przyznano mu Międzynarodową Stalinowską Nagrodę Pokoju. Było to klasyczne zagranie z repertuaru kremlowskiego mordercy. System działał już bez jego twórcy, sam Stalin zmarł w początkach marca.

Aleksander Fadiejew z kolei popełnił samobójstwo w maju 1956 roku od razu po referacie Nikity Chruszczowa o zbrodniach Stalina. Napisał list pożegnalny. Czuł się współwinny. Jak mierzyć stopień odpowiedzialności za system Lenina i Stalina? Tworzyły go miliony ludzi. Miliony ludzi wierzyły w propagandę głoszoną z Moskwy, że tworzą lepszy świat sprawiedliwości społecznej. Miliony ludzi, którzy chcieli przeżyć, było zmuszonych do udziału w tym systemie. Wierzący w stalinizm stawali się antykomunistami. Kaci zostawali ofiarami.

I jak wyznaczyć własnemu ojcu miejsce w owym dalekim już od nas wszechświecie? Chyba celnie ujął to światowej sławy szekspirolog Jan Kott (1914–2001): *Borejsza był wielkim wizjonerem na miarę tych pierwszych lat po wojnie, kiedy nadzieje, wszystkie nadzieje, nie zostały jeszcze stracone.* A Tadeusz Konwicki powtarzał nieraz: [...] *Borejsza był fenomenem, którego nie potrzebowała tamta epoka. Tak, Borejsza był swego rodzaju geniuszem, którego nie chciał jego własny system. Tak, Borejsza był skazany na upadek już w tym*

pierwszym momencie, kiedy wchodził na stopnie tronu stworzonego przez siebie imperium. Ale on tego nie wiedział [...]. *Ale on myślał, że socjalizm, który na naszych oczach stawał się realny, potrzebuje ludzkiej inteligencji, rozmachu, mądrej inicjatywy i rozumnej tolerancji dla ludzkich grzechów dawnych oraz dzisiejszych, stale rodzących się w działaniu.*

6. Citizen Hearst czy agent radziecki?

O ojcu powstała niejedna książka biograficzna, ukazały się nie dziesiątki, lecz setki wspomnień. Nie tylko po polsku. Jeszcze ćwierć wieku temu na wielkich obchodach 50-lecia wybuchu drugiej wojny światowej we Frankfurcie nad Menem szwajcarski publicysta François Bondy (1915–2003), kiedyś komunista, po wojnie wydawca antykomunistycznych „Les Preuves", wspomniał ojca dobrym słowem. Bondy – propagator Witolda Gombrowicza i przyjaciel Konstantego Jeleńskiego. Byli tacy – całkiem często – którzy nazywali ojca „czerwonym Hearstem", porównując go do słynnego Williama Randolpha Hearsta (1863–1951), twórcy ogromnego amerykańskiego koncernu prasowego, bohatera słynnego filmu Orsona Wellesa „Obywatel Kane". Zarówno ojciec, jak i Amerykanie nawiązywali do tego określenia. Po raz pierwszy spotkałem je w „New York Timesie" z 26 października 1945 roku. Nie byle kto, bo jeden z najgłośniejszych publicystów amerykańskich Walter Lippman powiedział o nim w 1947 roku: *U nas mógłby zostać nawet prezydentem.*

Ale nie brakowało i takich, którzy pisali o ojcu bardzo krytycznie. Do najgorszych inwektyw należały określenia typu „stary agent NKWD", „człowiek Moskwy". Znamienne, że tym ostatnim określeniem posługiwali się zgodnie odpowiedzialny za „bezpieczeństwo" i kulturę polityk numer dwa w systemie Polski stalinowskiej – Jakub Berman i znany, ale dopiero po roku 1960 jako antykomunista, Aleksander Wat. Tłumaczenie jest dosyć proste. Obaj panowie znali się dobrze. Berman otworzył parasol ochronny nad Watem po jego powrocie do Polski z zesłania.

15. Niektórzy nazywali go „czerwonym Hearstem”. Podpisanie w Nowym Jorku umowy o współpracy „Czytelnika” z United Press (1947).

Wat błysnął w pełni talentem poetyckim już po śmierci mojego ojca. Ojciec zaś cenił nie jego, ale swego przyjaciela Juliana Przybosia – antagonistę Wata.

Kto będzie w stanie odtworzyć takie układanki?

Znam akta moskiewskie polskich ludzi kultury z czasów „wielkiej czystki”. Aby wydobyć z nich akty samooskarżenia często przedstawiano im rzekome, sfałszowane zeznania ich znajomych. Co okazano Watowi jako zeznania mojego ojca, nie wiem – w teczce (Ch)wata w Moskwie ich nie ma.

To, że Wat w „Moim wieku” przeinaczył wiele faktów, opisałem przed czterdziestu laty w liście do Czesława Miłosza. Dużo obszerniej ujął to na swoich nagraniach świadek epoki – Adam Ważyk. Znał mnie tylko z widzenia, ale zatrzymał mnie na ulicy, w alei Róż, gdzie mieszkał pod numerem ósmym, i trzymając za guzik mojej marynarki, dosłownie pienił się z oburzenia na „mity Wata”.

To, że Wat może mieć kłopoty z pamięcią, wiedziałem od profesora Zdzisława Askanasa, znakomitego kardiologa, który leczył prywatnie i jego, i mnie – od dzieciństwa. Kiedyś spotkałem Wata właśnie w mieszkaniu profesora przy ulicy Mokotowskiej w Warszawie.

„Stary agent NKWD"? „Agent NKWD?" Był raczej jak wielu komunistów „agentem wpływu". Starym? Niemożliwe. Granicę ZSRR przekroczył po raz pierwszy jesienią 1939 roku docierając do Kijowa. Z teczki personalnej Kominternu wynika, że do 1939 roku miano o nim bardzo skąpe informacje w Moskwie. Z pewnością służył w wywiadzie frontowym Armii Czerwonej w latach 1942–1943. Miał w optyce radzieckiej zasługi wojskowe, których nie miał cywil Berman i nie mógł mieć uwięziony w 1940 roku Aleksander Wat. Ale nie mieszajmy pojęć „wywiad wojskowy" i „NKWD".

Mogę też dla obiektywizmu historyka dodać, że nie znalazłem zeznań ojca o świetnym pisarzu historycznym Teodorze Parnickim, choć ten ostatni twierdził, że właśnie one ocaliły mu życie.

Kiedy w latach dziewięćdziesiątych, za czasów Borysa Jelcyna, otwarto archiwa postradzieckie, postanowiłem sprawdzić co się da z biografii ojca.

Przede wszystkim to, co słusznie ojcu wypominają: ogłoszony 1 lutego 1944 roku w „Nowych Widnokręgach" w Moskwie artykuł „Tragiczna karta katyńska", w którym uzasadnia, że zbrodni w Katyniu dokonali Niemcy. Uzasadnia motywy i rzekome okoliczności, ale nie opisuje szczegółów zbrodni.

20 stycznia 1944 roku przywieziono go na oględziny grobów w Katyniu w grupie dziennikarzy amerykańskich i angielskich oraz przedstawicieli ambasady USA. Okazano im groby spreparowane przez tak zwaną komisję Burdenki. Część dokumentów była sfałszowana. Profesor Nikołaj Niłowicz Burdenko (1876–1946), wybitny medyk rosyjski i radziecki, między innymi osobisty lekarz Stalina, zdążył tuż przed śmiercią wyznać swemu przyjacielowi, że do fałszerstwa go zmuszono. Uwierzyli w nie niektórzy cudzoziemcy przywiezieni do Katynia. Zarówno w przekazie do Waszyngtonu ambasadora USA Williama Averella Harrimana (1891–1986), jak i w artykule ojca znalazła się wzmianka, że ekshumowano ciała

oficerów i żołnierzy. Otóż Niemcy żadnych grobów żołnierskich w Katyniu podobno nie znaleźli… o tym wiedziano od wiosny 1943. Radzieccy organizatorzy fałszerstwa katyńskiego nie zwrócili na to uwagi. Przeholowali.

Czy ojciec pisząc „Tragiczną kartę katyńską", świadomie kłamał? Zajmujący się zbrodnią katyńską Natalia Siergiejewna Lebiediewa oraz dziennikarz „Süddeutsche Zeitung" Thomas Urban twierdzą niezależnie od siebie, że pisząc na gorąco dziesięć dni po wizycie w Katyniu „wstępniak" o zbrodni, ojciec nie znał prawdy, że początkowo znali ją tylko nieliczni. W dzienniku ojca z lat 1941–1944 nie ma żadnych śladów tej sprawy. Natomiast jest wiele zapisów z linii frontu o zbrodniach niemieckich, przerażających swym okrucieństwem. Uwierzyć w jeszcze jedną zbrodnię hitlerowską nie było trudno.

Czy fakt włączenia ojca do grupy dziennikarzy zagranicznych zawiezionych do Katynia nie był szczególnym dowodem zaufania służb radzieckich? Ale z drugiej strony – kogo mieli dopuścić? Był chyba jedynym (poza Wandą Wasilewską) znanym publicystą polskim po stronie komunistycznej w ZSRR. Nie brak i dalszych wątpliwości. Za „Nowe Widnokręgi" odpowiadała z nominacji Stalina Helena Usijewicz, córka wybitnego rewolucjonisty Feliksa Kona (1864–1941), wysoko notowanego w Moskwie. Usijewicz nie radziła sobie z powierzoną jej funkcją. Do kierowania realną pracą redakcyjną ściągnęła ojca z frontu przy pomocy Wandy Wasilewskiej. Ojciec bronił się przed tym. Z dziennika lat 1941–1944 widać, że nie obyło się to bez „burzliwych rozmów" z Wasilewską. Dlaczego nie chciał wracać do Moskwy? Wezwany rozkazem zjawił się do pracy w redakcji 13 maja 1943 roku.

Już 21 maja ojciec notował w dzienniku (wymazując potem nazwisko informatora): *Przedwczoraj zgłosił się do mnie Ch.* […] *znajomy jeszcze ze lwowskiego* […] *Opowiadał mi o Berlingu, który ponoć zdaniem jego jest ciemnym typem, o jego dziewczynie Mice, która jest zoologiczną antysemitką, o pułkowniku Bukojemskim, który jest nie mniej antypatycznym człowiekiem.*

Nie podobała się ojcu deklaracja ideowa Związku Patriotów Polskich napisana przez Alfreda Lampego: *Wypocona z trudem, głównie przeciwko…* Helena Usijewicz, mieszkająca od dziesięcioleci w Moskwie, lepiej wyczuwała, czego wymaga stalinowska cenzura i odrzucała ojcu teksty. Ojciec w dzienniku pisze o dwóch grupach w Związku Patriotów Polskich: o dawnych członkach Komunistycznej Partii Polski i o ludziach radzieckich. Siebie nie zalicza do żadnej z tych grup. Serce włożył w długie artykuły do „Nowych Widnokręgów" o Mikołaju Reju, Julianie Tuwimie, Juliuszu Kleinerze. Nieprzypadkowo wśród założycieli i działaczy prostalinowskiego Związku Patriotów Polskich do lata 1944 roku jest w dalekim drugim szeregu. Nie odpowiem więc na pytanie, czy znał prawdę o Katyniu już w styczniu 1944 roku. Potem z pewnością tak.

W ten czy inny sposób, jak większość działaczy komunistycznych, można go nazwać agentem wpływów Moskwy. Trzecia Międzynarodówka – Komintern – była centralą tych wpływów. Ale ojciec w dokumentach tej centrali zaistniał naprawdę dopiero w latach wojny.

Z dokumentów, do jakich dotarłem w dwóch archiwach moskiewskich, można przypuszczać, że z racji służby na froncie (przesłuchiwanie jeńców, dezinformacja przeciwnika, udział w walkach o miasto Wielkie Łuki) był w latach 1942–1943 związany z radzieckim wywiadem wojskowym. Pod naciskiem wojskowych w pierwszych krytycznych miesiącach wojny władza NKWD do 1943 roku była ograniczana. Formalnie w latach 1942–1943 wywiad przestał podlegać NKWD. Order Czerwonej Gwiazdy, który ojciec otrzymał, dawano przeważnie za męstwo osobiste. Jak w Rosji carskiej Krzyż świętego Jerzego. I na wykazaniu swojej odwagi ojcu zależało. To widać z jego meldunków i listów, które się zachowały w moskiewskich archiwach.

W jakimś polskim piśmie czytałem opis tego, jak ojciec, rzekomo w mundurze NKWD, wiózł siłą do Polski z Rumunii, z emigracji, wicepremiera przedwojennego rządu, twórcę Gdyni Eugeniusza Kwiatkowskiego. Wystarczy zajrzeć do wspomnień Kwiatkowskiego, którego ojciec namówił do powrotu do kraju, aby się przekonać, jak było

naprawdę. Ojciec rozmawiał z Kwiatkowskim jako wysłannik warszawskiego rządu. Córka Kwiatkowskiego zachowała ojca we wdzięcznym wspomnieniu. Ale epitet „agent" w Polsce po doświadczeniach dwóch stuleci zaborów i okupacji niszczy każdego, wielkiego i małego. Tak próbowano niszczyć legendę Piłsudskiego, bo musiał współpracować z wywiadem austriackim, aby przygotować i wprowadzić do boju swoje legiony.

Ojciec przesłuchiwał na froncie dziesiątki jeńców: polskojęzycznych Ślązaków czy niemieckich socjaldemokratów, czy komunistów siłą wcielonych do Wehrmachtu. Niektórzy z nich pomagali potem Armii Czerwonej w walce z hitlerowskimi dywizjami. Nie byli zdrajcami, ani szpiegami, ani agentami. Trochę dokumentów o tych ludziach leży jeszcze w moim archiwum domowym.

16. Ślązacy, jeńcy z Wehrmachtu, pozują z numerem „Nowych Widnokręgów" na froncie kalinińskim (ok. 1943).

Znany historyk rosyjski zapytał mnie, czy nie zachowały się jakieś notatki Jerzego Borejszy z bankietu u Stalina. Według ogłoszonej niedawno drukiem księgi osób, które w latach 1924–1953 przyjął Stalin, na

Kremlu w nocy z 21 na 22 lipca 1944 roku, w grupie 24 osób znalazł się tam i mój ojciec.

Rosjanin użył słowa „bankiet". Spotkanie odbywało się od godziny jedenastej wieczorem do pierwszej w nocy 22 lipca – niespełna dwie godziny. Wiele lat po śmierci ojca opowiadali o nim jako pośredni świadkowie Władysław Matwin i jego żona Malina. Ojciec nie miał przyzwoitych spodni. Pożyczył je na tę okazję od Matwina. Od razu po wizycie u Stalina zjawił się z powrotem u Matwinów, aby je zwrócić. Poskarżył się, że nie bardzo było co jeść na Kremlu. I dostał to, co mieli Matwinowie: chleb ze smalcem.

Nie był to więc, jak widać, bankiet z iście bizantyjskim przepychem, w jakim celował gospodarz Kremla. Takimi ucztami Stalin podejmował na przykład Winstona Churchilla (zaznaczonego czterokrotnie w księdze przyjęć kremlowskich).

Księga jest źródłem ważnym, ale dalece niekompletnym. Stalin podejmował swoich i obcych polityków w rozmaitych miejscach: na podmoskiewskich daczach i na Krymie, gdzie nieraz przebywał na długich urlopach, nie tylko na Kremlu. Nie zawsze kremlowskich gości zapisywano do księgi. Czyżby nie byli tam nigdy organizatorzy zabójstwa Lwa Trockiego, szefowie NKWD Leonid Eitingon czy Pawieł Sudopłatow? Ze wspomnień generała–mordercy Sudopłatowa jasno wynika, że był na Kremlu po instrukcje u Stalina.

Polscy goście Stalina w nocy z 21 na 22 lipca znaleźli się na zwykłej „masowej odprawie" związanej z tworzeniem rządu lubelskiego. Najpierw 15 lipca w towarzystwie Mołotowa Stalin spotkał się na dłuższej rozmowie z Wandą Wasilewską i Michałem Rolą-Żymierskim. Rozmowa w szerszym gronie z Rolą-Żymierskim, Edwardem Osóbką Morawskim, Marianem Spychalskim, bratem Wincentego Witosa Andrzejem, Hilarym Mincem, Jakubem Bermanem odbyła się późnym wieczorem 19 lipca.

I potem dopiero nastąpiło tłumne spotkanie, na którym obwieszczano początek Polski nazwanej później „lubelską".

Manifest nowej władzy z 1944 roku, ogłoszony według oficjalnej historii Polski Ludowej w Chełmie 22 lipca, był przygotowany zawczasu w Moskwie. Wiem tylko tyle, że ojciec brał pono udział w redagowaniu tego dokumentu.

Może w archiwach Federalnej Służby Bezpieczeństwa w Moskwie znajdą się jeszcze dodatkowe materiały, jak powstawała „Polska lubelska". Kto, kogo i dlaczego popierał? Jakie były kryteria formowania pierwszego i drugiego szeregu wysyłanych do Polski? Mnie do takich akt nie dopuszczono.

7. Kapitan z Wielkich Łuków

Jeśli nie promowały ojca radzieckie służby tajne, to w jaki sposób nagle z chwilą wkroczenia Armii Czerwonej na ziemie polskie zaczyna się jego zawrotna kariera? Na to mam próbę odpowiedzi: przypomnijcie sobie słynną kiedyś sztukę niemieckiego pisarza Carla Zuckmayera „Kapitan z Köpenick".

Zuckmayer utrwalił konkretne wydarzenie z 16 października 1906 roku, które zbulwersowało całe Niemcy. Szewc Friedrich Wilhelm Voigt (1849–1922), hochsztapler, który sporo czasu spędził za drobne przestępstwa w więzieniach, przejął na oczach wszystkich władzę nad miasteczkiem Köpenick (dziś część Berlina). Zakupił w sklepie ze starzyzną mundur kapitana armii pruskiej. Mając dużą siłę przekonywania, przejął komendę nad miejscowym oddziałem żołnierzy. Na ich czele pomaszerował na ratusz. Aresztował burmistrza. Za pokwitowaniem przejął kasę magistratu. Potem na czele żołnierzy udał się do Berlina. Postawił żołnierzom po piwie z kiełbaską. Nakazał im pilnować porządku. I zniknął z pieniędzmi. Całe Niemcy przez dziesięć dni dochodziły prawdy: kim był wszechwładny kapitan? Kiedy ustalono, kim był charyzmatyczny oficer, całe Niemcy na czele z cesarzem Wilhelmem II trzęsły się ze śmiechu. Ale pozostało pojęcie „köpenickiady" i wyrazisty pomnik „kapitana" Voigta, który stoi przed ratuszem w berlińskiej dzielnicy Köpenick.

W latach osiemdziesiątych polonista Zbigniew Gregorczyk zaczął zabiegać o upamiętnienie mojego ojca we Wrocławiu. Odwodziłem go od tego pomysłu. W Polsce żadnym „czerwonym" – mówiłem wtedy – nie stawia się pomników, nie poświęca im ulic. XXI wiek potwierdził, jak partykularną, partyjną i krótkotrwałą jest polska pamięć historyczna.

Ojciec był jednak rzeczywistym kapitanem Czerwonej Armii, potem majorem Wojska Polskiego. Bardzo swój mundur majora cenił i chodził w nim jeszcze po wojnie. To, że przeżył wiele ciężkich miesięcy frontowych, dodało mu jeszcze pewności siebie. I zachowywał się, jakby wszystko mógł. Nie na darmo zastanawiał się Czesław Miłosz, skąd brał się u ojca ten „wielkopański gest". A Jerzy Putrament opisywał, jak ojciec, załatwiając sprawy pierwszorzędnej wagi, potrafił bluffować. Udawał, że może – ludzie myśleli, że może. Chyba w końcu zaczął sam wierzyć, że wiele może. Pisano, że przybierał nieraz pozy Karola Radziwiłła „Panie Kochanku". Nie chodziło tu o hulaszczy tryb życia, od którego ten były anarchista był jak najdalszy. Czyniono aluzje do sposobu, w jaki pozyskiwał szeroką popularność, mówiąc głośno niektóre prawdy oczywiste, choć zabronione, do metod, jakimi potrafił zaagitować młodego naonczas kapitana okupacyjnej armii brytyjskiej w Niemczech (znanego później potentata medialnego Roberta Maxwella [1923–1991]), aby dostarczył niemieckie zdobyczne maszyny drukarskie „Czytelnikowi".

W niewiele miesięcy po kongresie intelektualistów w 1948 roku skończyła się „köpenickiada" ojca, „köpenickiada" która dobrze służyła polskiej kulturze.

Opowiadała mi matka, że ojciec nieoczekiwanie poprosił ją jesienią 1948 roku, aby towarzyszyła mu jako świadek na spotkanie z Rosjanami bodaj do hotelu „Bristol". Musiało to być szczególne spotkanie, bo ojciec nigdy nie mieszał matki do takich spraw. Na spotkaniu doszło do ostrej dyskusji na temat przyszłości Ruchu Obrońców Pokoju. Ojciec, czując się promotorem sprawy, tłumaczył, że masowy ruch nie powinien nosić wyraźnie komunistycznego charakteru. Rosjanie zaś twierdzili, że trzeba powołać międzynarodową nagrodę pokoju i nadać jej imię Stalina. Ojciec podobno twierdził, że to nie ma sensu, jeśli tworzy się ogólnoświatowy wielomilionowy ruch w obronie pokoju. Tłumaczył, tłumaczył. I wreszcie zirytowany wykrzyknął:

– *Tu mi włosy na dłoni wyrosną, jeśli to będzie nagroda imienia Stalina!*

Jako historyk zawodowiec tę relację matki nagrałem.

Ojciec bywał zapalczywy, wybuchowy. Matka była mocno zaskoczona. Na co ojciec liczył? „Wszechwładny" kapitan spod Wielkich Łuków? Podobno starał się potem o wyjazd do Moskwy, do samego Stalina, aby jemu przedstawić sprawy. Duże ryzyko ze strony człowieka, który już miał czas, aby przyjrzeć się tamtemu systemowi władzy. W pozostałym po ojcu radzieckim kalendarzyku kieszonkowym na rok 1941 pod datą 21 grudnia wydrukowano: *Dzień urodzin sekretarza KC WKP(b), genialnego wodza i kierownika mas pracujących całego świata J.W. Stalina*. Cytuję słowo w słowo. Taka była oficjalna poetyka owych czasów. Rozmówcy ojca chowali się na takich kalendarzykach, gdzie zaznaczano wyłącznie daty dotyczące partii bolszewickiej, jej wodzów i ZSRR.

Do Moskwy ojca nie puszczono. Nikt go zresztą nie zapraszał. Z prezesury „Czytelnika" go odwołano. Nie wybrano go nawet na „kongresie zjednoczeniowym" PPR i PPS w grudniu 1948 roku na członka KC zjednoczonej partii, został zastępcą członka. Despekt był jawny. Potem przyszedł wypadek samochodowy 1 stycznia 1949 roku. Nie zaproszono ojca nawet na inaugurację wielkiej budowli narodowej, którą wymyślił – Domu Słowa Polskiego.

Czy Rosjanie z hotelu „Bristol" donieśli o „karygodnym wybryku" Borejszy? Jaki miało to wpływ na dalsze losy? 21 grudzień 1949 roku, w 70-lecie oficjalnych urodzin Stalina, powołano do życia Stalinowską Międzynarodową Nagrodę Pokoju. Miała być odpowiedzią na Pokojową Nagrodę Nobla.

Z czasem dwóch Polaków odznaczono – czy naznaczono? – pokojową nagrodą stalinowską. Nikomu, rzecz jasna, nie przyszedł na myśl ani w Moskwie, ani w Warszawie mój ojciec. Ale od lat siedemdziesiątych – po ćwierćwieczu ciszy – zaczęto go przypominać. Między innymi to, że ocalił rękopisy „Pana Tadeusza" Mickiewicza ze zbiorów lwowskiego „Ossolineum" oraz rękopisy Słowackiego wywiezione do Krzemieńca.

W roku 1994 na półwiecze „Czytelnika" Julian Stryjkowski przypominał, że w Moskwie w hotelu „Moskwa" *w początkach 1944 roku Borejsza zaczął improwizować, jak on sobie wyobraża architekturę kultury polskiej. Mówił takie*

rzeczy, które przechodziły moje pojęcie. I on to wszystko wcielił w życie [...] *On tworzył literaturę polską z prawdziwych pisarzy. Kultura polska bardzo wiele mu zawdzięczała* [...] *Niestety, odpłacono mu bardzo źle.*

Kapitan z Wielkich Łuków słynął z niesłychanych pomysłów. Ale nigdy dla własnej korzyści, nie jak tamten z Köpenick.

17. *Nasza sprawa słuszna. Zwyciężyliśmy*. Medal „Za zwycięstwo nad Niemcami w Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej 1941–1945” nadany za bezpośredni udział w walkach prawie piętnastu milionom żołnierzy. Pierwsze medale przyznano 15 czerwca 1945.

8. Dziennik ojca 1941–1944

To kilkadziesiąt stroniczek zapełnionych maczkiem, czasem chyba rozmyślnie ledwo czytelnym. Pierwszy wpis 11 lipca 1941 roku, ostatnie skrótowe zapisy z roku 1945. Ojciec pisał dla siebie i dla żony. Nie wiedział długo, czy matka i ja, sześcioletni, żyjemy. Widać z dziennika, jak głębokie było jego uczucie do żony. Przez dwa pierwsze lata wojny unikał jakichkolwiek romansów. W dzienniku zanotował, że gdyby zginął, jest on przeznaczony dla matki. Usiłował w nim sam dla siebie sygnalizować inspiracje do przyszłej pracy literackiej.

W czerwcu 1941 roku wbrew ostrzeżeniom znajomych, że wojna wisi w powietrzu, pojechał do Kijowa w sprawie podręczników szkolnych dla ludności polskiej. Niemcy błyskawicznie zajęli Lwów, gdzie mieszkaliśmy wtedy, i wojna rozdzieliła nas do początków 1945 roku.

Pamiętam ten zimowy dzień, kiedy dwóch oficerów w polskich mundurach zajechało willysem przed chałupę Pawlaków w Jaktorowie koło Żyrardowa. Czyściłem na ganku, połykając łzy, moje półbuty na drewnianej podeszwie. Była niedziela i matka jak zawsze wymagała ode mnie tej czynności, której nie znosiłem.

Patrzyłem na dwóch przyjezdnych, na kierowcę i chwilę trwało, zanim się zdecydowałem, który jest moim ojcem. Wybrałem prawidłowo – majora. Obok siedział kapitan Jerzy Putrament.

Te prawie cztery lata, które nas rozdzieliły, odtwarzam dopiero teraz, ukończywszy lat osiemdziesiąt. Odtwarzam z dziennika ojca i z jego listów pisanych do Marii Szkapskiej.

Potwierdzają one lapidarny komentarz Władysława Bieńkowskiego (1906–1991), który po zajęciu Lwowa przez Niemców wpadł do matki

i zapytał:

– *Czy masz pieniądze? Jerzy cię jakoś zabezpieczył? Nie masz niczego? No tak. Jak zawsze żyjący poza rzeczywistością.*

Ziemowit Fedecki ujął to pół wieku po śmierci ojca inaczej, wspominając *postać Borejszy, człowieka, który łączył w sobie najdziwaczniejsze i zupełnie sprzeczne cechy charakteru. Którego czasami lubiliśmy, czasami wręcz nie znosiliśmy, ale który urzekał otoczenie swoimi fantastycznymi pomysłami.*

Dziennik jest przekładańcem różnych zapisów. Najpierw na Ukrainie, potem w Moskwie, na froncie kalinińskim, pod Wielkimi Łukami, w przerwach w Kujbyszewie (dziś to znowu Samara), wreszcie już na dłużej z powrotem w Moskwie.

Zapiski wypełnia walka z biurokracją radziecką o to, aby dostawszy się na front, walczyć na normalnym statusie oficerskim, a nie jako korespondent, intendent czy ochotnik. Nie dopuszczają go, bo nie zdążył przed wojną zostać członkiem partii, czyli WKP(b). Był za to członkiem partii rozstrzelanych i zakazanych przez Stalina – Komunistycznej Partii Polski. Przebieg wojny zmusił Moskwę do wykorzystania tych komunistów polskich, którzy przeżyli. Echa braku zaufania komunistów radzieckich do dawnych członków KPP odezwą się jednak jeszcze w powojennej Polsce Ludowej w 1956 roku. Na dodatek ojciec chyba nie miał obywatelstwa radzieckiego.

Osiąga swój cel dopiero po roku swoistej przepychanki, interwencji i podań u najwyższej nomenklatury radzieckiej. Odwołuje się do znienawidzonego faworyta Stalina generała Lwa Mechlisa, rozmawia parokrotnie z życzliwym mu zastępcą Dymitrowa w Kominternie – Dmitrijem Manuilskim, znanym cynicznym aparatczykiem. To Manuilski podobno poprzez radiostacje Kominternu ustalił z towarzyszami z polskiego podziemia, że matka i ja żyjemy.

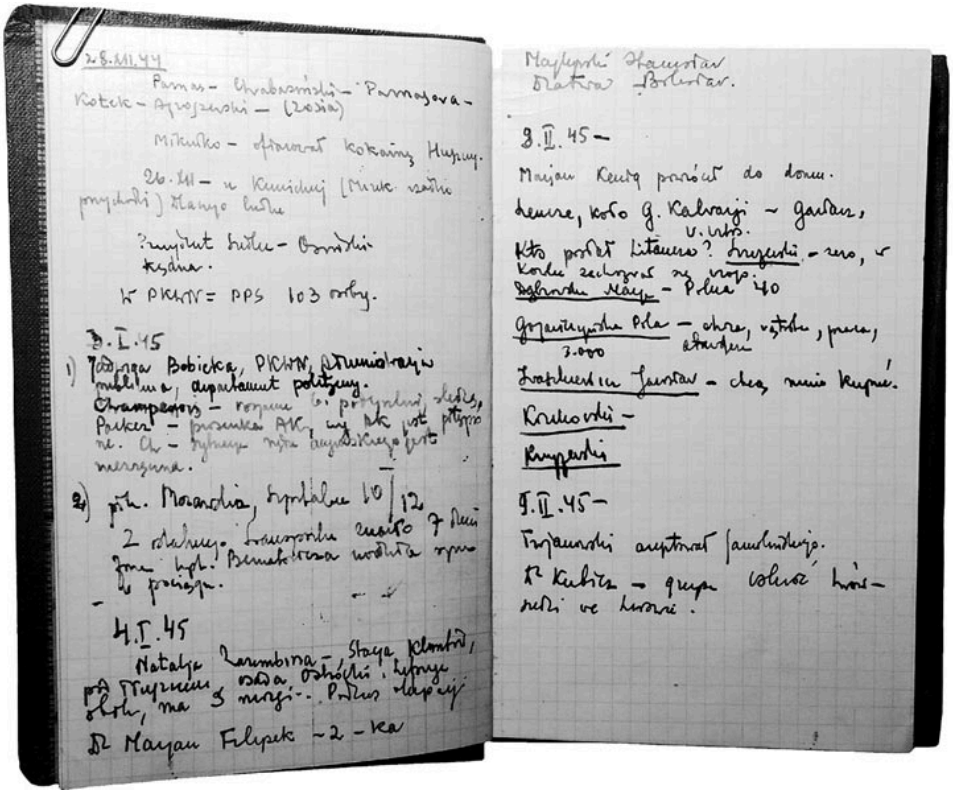

18. Dziennik pisany na gorąco. Zapiski ze stycznia i lutego 1945. z zanotowanymi słowami Jarosława Iwaszkiewicza: *Chcą mnie kupić.*

Pojawiają się w dzienniku nazwiska różnych nachodzonych przez ojca oficerów i komisarzy. Niekiedy z inwektywami pod ich adresem. Ale specjalnie chyba ojciec podkreśla w ankietach anarchistyczne „grzechy" swojej młodości, w tym wizyty w Paryżu u emigranta atamana Nestora Machno. Wie doskonale, że w 1941 roku zwracając uwagę na swój miniony anarchizm, tym samym odwraca uwagę od podejrzeń o inne śmiertelne herezje. Anarchizm był traktowany jak niegroźna wysypka. W dodatku Żyd chodzący do antysemity Machno to było zapewne dla sprawdzających ojca dodatkowe curiosum.

Ojciec uważał się za Polaka. Ale w opiniach radzieckich o nim ze Lwowa znalazłem określenie „żyd zabiegający o sprawy polskie". Po rosyjsku: „еврей ходатайствующий по польским делам". Był przecież tam projektodawcą głośnych „obchodów mickiewiczowskich" we Lwowie jesienią 1940 roku w... nieokrągłą osiemdziesiątą piątą rocznicę urodzin

poety. Stały się one sygnałem, że Stalin może nieoczekiwanie zaświecić kartą polską w oczy swojego hitlerowskiego sojusznika. Obchody wzbudziły niepokój ambasadora niemieckiego w Moskwie Friedricha von der Schulenburga. Wysłał o nich raport do Berlina. O tym oczywiście ojciec wtedy nie wiedział.

Osiemnastego sierpnia 1941 roku ojciec notuje w Moskwie:

Siła Hitlera jest jeszcze wciąż niedoceniana, optymistyczne paplanie o zwycięstwie nic nie da. Jeżeli uda się zatrzymać jego ofensywę na okres zimowy, rzucić nowe siły na front, zorganizować na jego tyłach powstanie, zniszczyć bombardowaniem jego ośrodki przemysłowe – wtedy jest możliwe zwycięstwo. W przeciwnym wypadku, w razie rozbicia Czerwonej Armii historia świata jest cofnięta o stulecia, grozi zupełny upadek kultury.

Propaganda krótkowzroczna. Należałoby społeczeństwu przedstawić całą grozę sytuacji i wstrząsnąć nim. Czy nie będzie w dniach najbliższych przemówienia Stalina?

Stalin przemówił pełnym głosem dopiero w listopadzie, w rocznicę rewolucji.

Ojciec jawnie liczył się z tym, że Niemcy mogą zdobyć Moskwę. 25 marca 1942 roku notował: *Toczą się zaciekłe boje, Hitler rzucił swoje rezerwy przygotowane do wiosennej ofensywy. Ponosimy olbrzymie straty i każdy metr ziemi zdobywamy poprzez grudy trupów.* Zabitych często nie chowano, zamarzali i tarasowali drogi.

10 kwietnia 1942 roku ojciec „dostał się" wreszcie na front. Od razu przesłuchuje jeńców. Zapisuje wypowiedź niemieckiego lotnika: *Jest to walka dwóch światopoglądów, aczkolwiek między narodowo-socjalizmem a komunizmem nie ma różnicy.* Ojciec zapewne traktował te słowa jako świętokradztwo? Czy słynny dzisiaj pisarz Wasilij Grossman, który był podówczas korespondentem wojennym pod Stalingradem, już w czasie wojny miał takie myśli jak niemiecki lotnik? Znając jego twórczość, mogę zakładać, że pojawiły się wyraźnie dopiero po roku 1945 i wtedy znalazły się w jego słynnej powieści „Życie i los". Do czego doszedłby ojciec, gdyby żył dłużej? Całkiem zaślepiony w latach wojny nie był. 17 listopada 1941 roku

ubolewał, że społeczeństwo radzieckie ma *feudalny stosunek do pracy, do dobra ogólnego.* Raziła go często dezorganizacja, dostrzegał biedę i głód. W notatniku słychać echa tragedii oblężonego Leningradu. Notuje antysemityzm radziecki i polski, a także to, że Słowacy i Polacy biorą udział w pogromach Żydów na ziemiach polskich.

W dzienniku ojca nie brak uwag czasami kąśliwych o Ilji Erenburgu, z którym po wojnie będzie się spotykał. 17 czerwca 1942 roku ojciec nie omieszkał zapisać słów pisarza niemieckiego Johannesa Bechera, emigranta w ZSRR, o Erenburgu: *Erenburg tak nienawidzi Niemców, gdyż z ich winy musi przebywać w Związku Radzieckim.* [a nie w ukochanej przez niego Francji – J.W.B.].

Pamiętam, że mnie, kilkunastoletniemu, ojciec opowiadał, kim była Lili Brik, muza Majakowskiego. Znał ją osobiście i jawnie nie znosił. Teraz z dziennika dowiaduję się, że takie obrazy tworzyli ojcu i antagonista Majakowskiego, poeta gruziński Georgij Szengeli (1894–1950), i redaktorka z moskiewskiego radia. Oto zapis z 26 stycznia 1942 roku: *obraz Lili Brik: mała, złotowłosa, wamp, o postaci dziewczęcia i drapieżnej twarzy, ściągnięte, ogniste włosy, wyzyskująca materialnie Majakowskiego po tym, jak właśnie ona go w najcięższych dlań chwilach wysunęła* [opuściła – J.W.B.]. *Wmówiła weń, że jest geniuszem, zmuszała Brika, żeby przyjmował jego rękopisy. Majakowski – awanturnik, zewnętrznie pewny siebie, szuler karciany, chodzący z grubą, wielką laską, upominający się nachalnie o pieniądze, zdradzany przez Brik, prostytutkę salonową, która po jego śmierci przez kilka dni bezustannie szlochała, nagle postarzała się, zbrzydła, stała się brzuchatą starą babą. Cóż to za świetny temat dla noweli! Albo Jesienin i Izadora Duncan! Słusznie, że Borys Pasternak to jedyny żywy klasyk literatury rosyjskiej.*

Kult dla Pasternaka ojciec potwierdził organizując dla niego jakieś fikcyjne wypłaty z „Czytelnika" od razu po wojnie. Jesienina wielbił. A tłumaczenia Majakowskiego i we Lwowie, i w Warszawie popierał „po linii partyjnej" jako *największego poety naszej radzieckiej epoki* (słowa Stalina).

W dzienniku niewątpliwego internacjonalisty pojawiają się nazwiska emigrantów polskich, hiszpańskich, niemieckich, przeważnie

komunistów. Widać, że wszystko co hiszpańskie jest ojcu bliskie. Wypytuje Hiszpanów o los swoich dawnych znajomych z czasów anarchistycznej młodości, pyta kto uszedł z rąk Franco. Z emigracji polskiej w ZSRR w tych miesiącach przewija się w dzienniku kilka razy nazwisko Ksawerego Pruszyńskiego. 10 grudnia 1941 roku w Kujbyszewie znajoma ojca, Elza, *opowiadała wczoraj o rozmowie z Pruszyńskim: zachwycony Stalinem, powiada, że siwy jak gołąb, ale krzepki staruszek. Pruszyński porównywa stosunek nasz* [tzn. komunistów radzieckich – J.W.B.] *do sprawy polskiej do stosunku Napoleona. Wykorzystać Polaków i dyktować. Powiada, że eksportować rewolucji tak jak to czyniono w zachodniej Ukrainie nie wolno – i ma stuprocentową rację*. Te ostatnie trzy słowa są komentarzem Borejszy.

W dzienniku natykam się na echa bezpardonowego krytycyzmu wobec Józefa Becka, Władysława Sikorskiego i emigracji londyńskiej. Oto jeden z takich zapisów: *Sikorski ma się tak do Piłsudskiego jak Puryszkiewicz do Stołypina. Kot ponoć wyrażał się, że p. Wasilewską i nas wszystkich puści się do Polski tylko z wizą na zagranicznym paszporcie. „Wiadomości Polskie" w Londynie kontynuują kampanię antyradziecką: w ostatnim numerze artykuł Pragiera o 20 r. i artykulik „Nie, panie Mayski". Polacy i Żydzi mają szereg wspólnych cech. Megalomania narodowa, cierpiętnictwo, mesjanizm.*

Z kręgu Kominternu w dzienniku występują nazwiska Salomona (Sołomona) Łozowskiego czy Michaiła Borodina. Ojciec, trzydziestosześcioletni, pisze 24 stycznia 1942 roku o starszym od niego o lat dwadzieścia słynnym emisariuszu Kominternu, który rozsiewał jego hasła w USA, w Meksyku, u Kemala Paszy: *Wieczór leninowski w Informbiuro: wystąpienie Borodina. Wysoki, krzepki starzec o czarnych wąsach mandaryna chińskiego opowiadał o prostocie i równowadze wewnętrznej Lenina, Sun-Jat-senie.* Borodin – doradca Kuomintangu w latach 1923–1927, rzecznik współpracy z nim komunistów, przyjaciel Sun-Jat-sena – był żywą legendą. André Malraux uwiecznił go pod postacią Katowa w swojej „Doli człowieczej". Borodin-Gruzenberg w ramach „czystek antysemickich" Stalina został rozstrzelany jeszcze za życia mojego ojca, 29 maja 1951 roku. Łozowskiego, od 1941 roku w kierownictwie Sowieckiego Biura Informacyjnego, spotkał

ten sam los. Aresztowano go już w 1949 roku. Rozstrzelano w sierpniu 1952 roku. Czy czasami niepoczytalne zachowanie ojca po wypadku z 1 stycznia 1949 roku warunkował tylko przeżyty wstrząs mózgu, czy też i świadomość tego, co oznacza walka z kosmopolityzmem w Moskwie: że świetnie sam się kwalifikuje do następnego procesu?

Do jakiego stopnia ojciec był świadom, jak nieludzki jest reżim, który popierał? Do 1939 mógł ulegać propagandzie. Ale kiedy znalazł się w okupowanym Lwowie? Podczas wojny? Po wojnie?

Dziennik z lat wojny dostarcza pośrednich odpowiedzi. Przede wszystkim fakt, iż ojciec dziennik taki prowadził na linii frontu, świadczy o tym, że nie zdawał sobie jasno sprawy, czym to mu grozi. Co wiedział o wielkim terrorze? Czy usprawiedliwiał nieustającą walkę Stalina z „wrogami wewnętrznymi"? Czy też uważał, że trzeba ją przeczekać?

W zapiskach pojawiają się często postacie, których nie potrafię odcyfrować i tylko zdania-sygnały *rozmowy o 37. roku,* czyli o „wielkiej czystce". Podczas przyjazdów do Kujbyszewa (Samary), dokąd w 1941 roku przeniosła się z zagrożonej Moskwy część instytucji, ojciec pomieszkuje u człowieka, którego nazywa „starym Palczykiem".

Pod datą 26 grudnia 1941 roku zapisuje: *Ciekawa rozmowa o Stalinie, 37 roku itd.* Pod 3 stycznia 1942 roku czytamy: *Stary Palczyk opowiada ciekawe rzeczy o czasach minionych. Autorytet Stalina u towarzyszy: nie wyjeżdżał za granicę, stale poświęcał sobą* [sic! – J.W.B.]. *Człowiek prosty, pracy, okrutny w wykonaniu swoich planów. Dzieje Solca Arona Aleksandrowicza. Przyjaźń Stalina do Ordżonikidze. Rok 1937 – szczęście nasze, że ludzie Trockiego zostali wyniszczeni. Stalin na warcie honorowej u trumny Ordżonikidze.*

4 stycznia ciąg dalszy: *Stary Palczyk opowiada* [...] *z nienawiścią o Wyszyńskim*. Tak, o tym samym Andrieju Wyszynskim, prokuratorze generalnym ZSRR, synu Januarego, rozumiejącym jeszcze po polsku potomku powstańca styczniowego. I według wywodów, które około roku 2000 czytałem w archiwach Federacji Rosyjskiej, podobno dalekim kuzynie kardynała Stefana Wyszyńskiego. Ale tego, co ja odtworzyłem pół wieku później jako historyk, ojciec wiedzieć nie mógł. Natomiast wiedział, że

nazwisko Andrieja Wyszynskiego było symbolem śmierci tysięcy ludzi. To Wyszynski prowadził wielkie procesy pokazowe lat 1933–1939. Kim byli ludzie, których nazwiska padają w dzienniku ojca?

„Stary Palczyk" (1876–1957) – Akim Grygoriewicz, rozmawiając z ojcem, ma lat sześćdziesiąt pięć. Nie bez wysiłku jako zawodowy historyk znalazłem dokumentację o tym człowieku. A nie był to byle kto. Urodził się w Wilnie, student medycyny, stary bolszewik, zesłany na Syberię, w latach 1907–1914 na emigracji w Monachium. Jako lekarz służył na froncie do 1918 roku. Potem w służbie dyplomatycznej… i pracownik prokuratury w latach 1935–1939.

Znamienne jest jak ojciec zapisał opowieść Palczyka. Jakby przytaczał dowody na *mądrość Stalina* (to określenie też zapisał przy nazwisku Palczyka) w kraju ogarniętym buntami chłopskimi, chaosem na wsiach i niewątpliwym jeszcze cichym oporem starych bolszewików, dawnej opozycji wobec Stalina. W 1934 roku delegaci na XVII Zjazd partii masowo w tajnym głosowaniu opowiadają się przeciwko Stalinowi. Palczyk wykładał pewnie ojcu, co by było, gdyby kraj w rozkładzie najechali Niemcy, a rządzili trockiści? Ale opowiadał też o Sergo Ordżonikidze, który protestował przeciwko Stalinowi i został przez niego doprowadzony do samobójstwa.

Opowiadał o Aronie Aleksandrowiczu Solcu (1872–1945), z którym był chyba spowinowacony czy zaprzyjaźniony. Solc też pochodził z guberni wileńskiej. Członek rosyjskiej socjaldemokracji od 1898 roku. W 1912 na kolejnym zesłaniu w Narymie był razem ze Stalinem. Podobno musiał dzielić łóżko ze Stalinem, bo w petersburskim mieszkaniu Aliłujewych, przyszłych teściów Stalina, powracający z zesłania już się niemieścili. Tej zażyłości Solc zawdzięczał może to, że w 1938 roku Stalin nakazał go umieścić w szpitalu psychiatrycznym, a nie rozstrzelać. A z punktu widzenia Stalina było za co. Solc – niegdyś student prawa z Uniwersytetu Petersburskiego – działał w Centralnej Komisji Kontroli partii bolszewickiej i w różnych organach prokuratury na kluczowych stanowiskach. Otaczała go mitologia nieco podobna do tej, która

wytworzyła się wokół Feliksa Dzierżyńskiego – podkreślano jego „absolutną osobistą uczciwość". Nadzorował między innymi podział żywności dla więźniów pracujących przy budowie kanału Białomorsko-Bałtyckiego. Kiedy wybuchł strajk głodowy, robotnicy wdarli się do jego mieszkania. Nie miał żadnych zapasów: robotnicy znaleźli dwa zmrożone kartofle. Solca nazywano „sumieniem partii".

W październiku 1937 roku w wystąpieniu na konferencji aktywu partyjnego zażądał powołania komisji dla zbadania działalności Andrieja Wyszynskiego. Mówił podobno, że nie ma *szkodnictwa w partii, a sprawy tworzy sam Wyszynski*. Stalina osobiście nie atakował. Ale bronił znanych mu oskarżonych. Pisarz Jurij Trifonow (1925–1981) opowiadał, że chroniąc bezskutecznie jego ojca Walentyna Trifonowa (1888–1938), Solc rzucił się na Wyszynskiego ze słowami: *znam Trifonowa trzydzieści lat jako bolszewika, a ciebie znam jako mienszewika*. Te słowa mówił sprawując funkcję przewodniczącego kolegium prawnego Sądu Najwyższego ZSRR. A jednak był Solc sam odpowiedzialny od lat dwudziestych za masowe represje, żądając nieraz dla niewinnych ludzi najwyższych wymiarów kary.

Przełom w zachowaniu Solca nastąpił około 1935 roku. Podobno zwątpił w obiektywność procesów o zabójstwo Kirowa, a także w oskarżenia Zinowiewa i Kamieniewa. Z urzędu zaczął odwoływać w latach 1935–1937 usuwanie z partii wielu ludzi, ratując im życie. Wyrzucenie z partii oznaczało wówczas aresztowanie i wyrok.

Stalin jak na jego normy zachowania wykazywał cierpliwość. Solc udawał – czy wierzył – że Wyszynski działa na własną rękę, a nie z rozkazu Stalina. Zażądał w lutym 1938 roku spotkania ze Stalinem. Dostał odmowę. Wyraził więc głośne przekonanie, że *Stalin i mienszewicy to to samo*. Ściągnięto wtedy lekarzy i prosto z pracy odwieziono Solca do szpitala. O dziwo, według Anastasa Mikojana po wybuchu wojny niemiecko-radzieckiej zaproponowano Solcowi ugodę. Miał odwołać swoje wypowiedzi i w zamian dostać etat archiwisty w Centralnej Bibliotece im. Lenina w Moskwie. Solc nie zgodził się. Oświadczył, że *Stalin jest ukrytym kontrrewolucjonistą*. Wtedy już zamknięto go w szpitalu na zawsze. Zaczął

podobno protestować, ogłaszając głodówki. W trakcie jednej z nich zmarł 30 kwietnia 1945 roku. Ktoś, chyba Mikojan, już jako emerytowany członek Biura Politycznego partii bolszewickiej skomentował, że takie formy walki utraciły swoje znaczenie: *To było dobre przy caracie.*

Razem z Solcem i Palczykiem do owej grupy wileńskiej należał też stary bolszewik Nikołaj Nikołajewicz Krestinski (1883–1938), absolwent wydziału prawa Uniwersytetu Petersburskiego, czołowy dyplomata radziecki. Czytając kiedyś jego raporty w archiwum MSZ w Moskwie, mogłem się przekonać, jak panicznie jako pierwszy zastępca komisarza spraw zagranicznych Maksyma Litwinowa bał się Stalina. Oczywiście, został zgładzony.

I wreszcie, zastanawiając się nad tym, co mógł opowiadać Palczyk, uświadomiłem sobie, że z tego samego kręgu bolszewików, znających język polski i pochodzących z terenów Litwy, był Josif Aronowicz Piatnicki (1884–1938). Działacz ten odgrywał kluczową rolę i w Kominternie, i w Komitecie Centralnym WKP(b). Piatnicki na plenum KC w czerwcu 1937 roku, po serii procesów „wielkiej czystki", zaprotestował przeciwko udzieleniu nadzwyczajnych pełnomocnictw NKWD i jego szefowi Nikołajowi Jeżowowi. Co więcej, zażądał wzmocnienia nadzoru nad NKWD. Piatnicki w tym momencie, z racji pełnionych funkcji, mógł być zaliczany do pierwszej dziesiątki bolszewików. Następnego dnia na plenum w oparach stalinowskiej paranoi Jeżow ogłosił, że znaleziono akta świadczące o tym, że Piatnicki pracował dla carskiej Ochrany. Postawił wniosek o wotum nieufności. Piatnicki odmówił wycofania swoich wypowiedzi. W jego obronie wystąpiła Nadieżda Krupska. Nie pomogło nazwisko wdowy po Leninie. Miesiąc później Piatnicki został aresztowany. Zmasakrowany w strasznych torturach zginął rok później. Należał do bliskich przyjaciół Solca. Co z tego Palczyk opowiedział ojcu?

Dziennik i papiery ojca z lat wojny zawierają sporo materiału dla historyka. Nie zdążył mi, niestety, przekazać tego, co widział i słyszał, w czym brał udział, kiedy tworzono „Polskę lubelską".

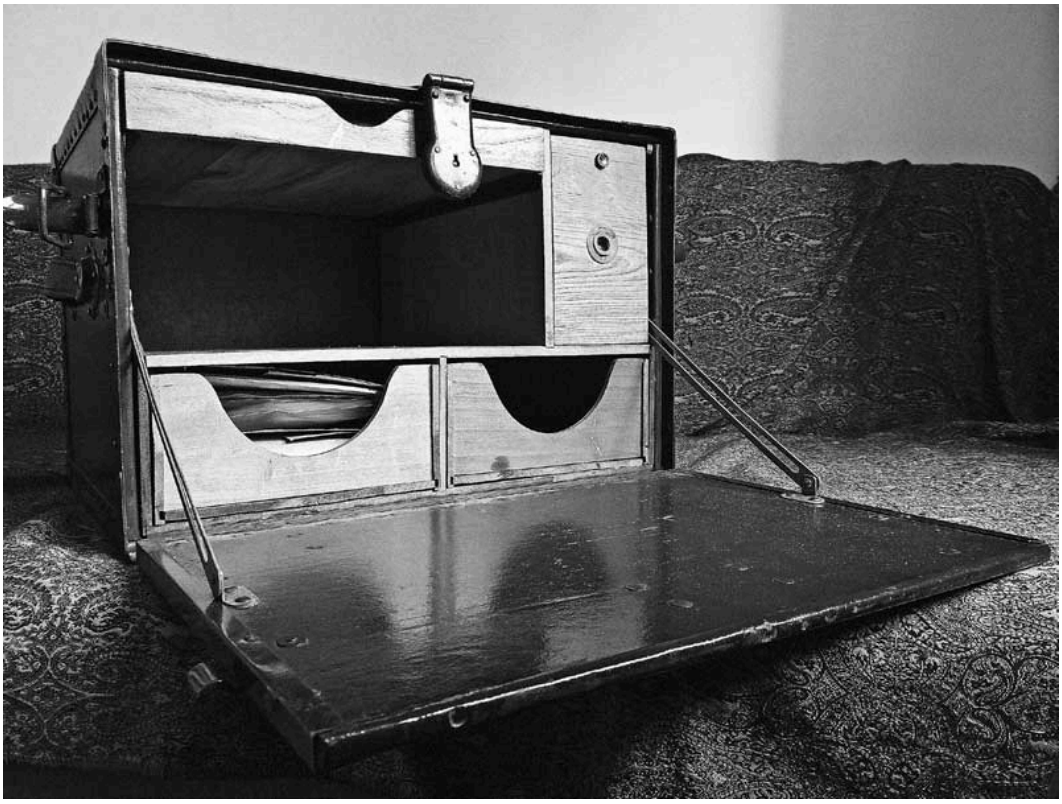

19. Oficerskie biurko polowe Jerzego Borejszy, produkcji amerykańskiej, przekazane Armii Czerwonej w ramach pomocy wojskowej lend-leas (ok. 1942).

23 maja 1944 roku ojciec dowiaduje się od kolejnej delegacji KRN, która przyleciała do Moskwy: *Podali mi pierwszą wiadomość o Wuni, że jest w Warszawie, pracuje jako służąca u Niemców. Dziecko podobno jest również tam.* Wiadomość nie była całkiem dokładna. Matka pracowała u Gieni Witkowskiej, na której pogrzebie, zorganizowanym przez Teatr Polski, byłem na warszawskich Powązkach dwadzieścia lat później.

Jedną z istotnych notatek jest zapis ojca z 20 lipca 1944 roku: *Przedwczoraj delegacja Rady Krajowej u Mołotowa. Rozmowa na temat administracji w Polsce. W nocy St*[alin] *dzwonił do Jana* [zapewne Dzierżyńskiego – J.W.B.], *że nie chce ani wojskowej, ani cywilnej administracji*. To ważki dowód na spotykaną teraz tezę, że dopiero w początkach sierpnia 1944 roku, po wybuchu powstania i bezowocnych z punktu widzenia Stalina rozmowach ze Stanisławem Mikołajczykiem, który przebywał w tych dniach sierpniowych w Moskwie, dyktator zadecydował o tym, że

nie przyjdzie z pomocą powstaniu i zagarnie Polskę bezapelacyjnie pod swoje rządy.

Jakie wnioski wyciągnął z tego mój ojciec? Nieprzypadkowo Eryk Krasucki, autor kilkakrotnie wyróżnianej biografii mojego ojca, zakończył ją zdaniem: *Pytań jest mnóstwo, ale żadnej odpowiedzi nie ma.*

9. Barwy totalitarnego czasu

Wiosną 1957 roku samolot wiozący śmiertelnie chorego Curzia Malapartego z Pekinu do Rzymu zatrzymał się w Moskwie. Pisarzowi, który już nie wstawał, towarzyszyli lekarze włoscy i chińscy. W imieniu Związku Pisarzy Radzieckich honory domu czynił podczas międzylądowania rosyjski tłumacz literatury włoskiej. Malaparte nie szczędził mu frazesów o wielkości Chin i ZSRR. Był w kolejnej fazie uwielbienia dla systemów totalitarnych. Po faszyzmie, który współtworzył, po komunizmie włoskim przyciągał go teraz maoizm. Ale rosyjskiemu tłumaczowi pospieszył powiedzieć, że chciałby spędzić pół roku na Syberii. I wyjaśnił swoje życzenie następująco: *Marks uważał, że nie można zbudować socjalizmu na pustyni. Ale to właśnie stanie się tematem mojej nowej powieści, która będzie poświęcona budowie socjalizmu na pustyni*.

Znam dosyć dobrze twórczość i życiorys Malapartego. Zbierając materiały do jego biografii, odwiedziłem przed laty we Florencji jako jeden z pierwszych biografów siostrę pisarza Eddę Ronchi Suckert. I wiem, że nadłamany chorobą Malaparte, poszukiwacz paradoksu i barokowych wypiętrzeń rzeczywistości, pragnął zawsze za wszelką cenę rozgłosu. Epatował stalinowskich mieszczuchów. A co myślał naprawdę? Trudno się będzie dowiedzieć. Zmarł w trzy miesiące po tej rozmowie.

Bez dokładnej znajomości epoki, jej aparatu pojęciowego, jej języka, zmiennego stopnia ciśnienia aparatu terroru, szczegółów biografii aktorów działających na scenie politycznej trudno mechanicznie czytać ich enuncjacje, dzienniki, utwory.

O ile znam Malapartego, za tą szokującą wypowiedzią kryła się jawna dla mnie kpina, ale może i jakiś pomysł twórczy. Darując przed śmiercią swoją willę na Capri rządowi chińskiemu, chciał raz jeszcze zwrócić oczy

świata na siebie. A dlaczego w ten sposób? Albowiem oceniał, że lokuje pamięć o sobie w kraju największej przyszłości. A więc lokuje na długo.

Tę nieznaną dotychczas notatkę o Malapartem znalazłem kilkanaście lat temu w Centralnym Państwowym Archiwum Literatury w Moskwie. Energiczna pani dyrektor zawezwała mnie wtedy przed swoje oblicze i zapytała:

– *Malaparte, André Malraux? Tego szukacie? A nie łaska obejrzeć dokumenty własnego ojca?*

W ten sposób dowiedziałem się zupełnie nieoczekiwanie, że są tam dotyczące ojca akta Związku Pisarzy Radzieckich. A przede wszystkim dziesiątki jego listów do nieznanej mi Marii Michajłowny Szkapskiej (1891–1952).

O tym, że taka Rosjanka istniała, wiedziałem z papierów i książek pozostałych po ojcu. Szkapska działała w Związku Pisarzy Radzieckich, a także, w czasie drugiej wojny światowej, w prasie. Pomagała ojcu w załatwianiu różnych spraw w Moskwie. Zorientowałem się, że stosunki ich musiały być bliskie, bo książeczkę dla dzieci o strasznych okrucieństwach hitlerowskich zadedykowała ojcu w 1942 roku słowami: *Mojemu przybranemu synowi*. Temat bestialstwa wojny pojawił się też w jej ekspresjonistycznym poemacie z 1923 roku o wojnie domowej w Rosji, nazwanym „Rzeczywistość". I ten poemat opatrzony został długim odręcznym przesłaniem do ojca, że zastępuje jej w tych dniach dwóch synów. Zacząłem więc zaglądać do całego zbioru dokumentacji o Szkapskiej w archiwum. Synowie, jak się okazało, nie uszli prześladowaniom stalinowskich czasów. Kiedy ojciec poznał Szkapską, obaj jeszcze służyli w Czerwonej Armii. Pod datą 25 lutego 1941 roku ojciec notował: *Wieczorem u Marii Michajłowny Szkapskiej: szlachetny typ rosyjskiej inteligentki. Czytałem jej wiersze. O matce, dzieciach, b. miłe, kobiece. Opowiadała o starszym pokoleniu pisarzy, o Gorkim, Błoku, Erenburgu. Ich stosunku do kolegów, literatury. W świetle jej opowiadań widać całą przeciętność, epigonizm obecnego środowiska literackiego.*

20. Maria Michajłowna Szkapska, „dobry duch” Jerzego Borejszy podczas wojny.

Możliwe, że ojciec poetce dotkniętej w 1942 roku niedowładem lewej stopy pomagał w jakichś czynnościach codziennych. Mogło ich zbliżać wspomnienie Tuluzy i Paryża, miast, w których oboje studiowali. Szkapska przed pierwszą wojną światową, ojciec w latach dwudziestych. Szkapska ukończyła w Tuluzie wydział filologiczny. Ojciec liznął jeden rok budownictwa na tamtejszej politechnice i dużo anarchizmu.

W miarę mojego zagłębiania się w moskiewskie archiwum Szkapskiej zrozumiałem, że była to postać nietuzinkowa. Zapowiadała się jako wybitna poetka, popierali ją w różnym czasie i Aleksander Błok, i Maksym

Gorki. Dziecko wielodzietnej petersburskiej biednej rodziny drobnego urzędnika, pozostawiona sobie samej w wieku jedenastu lat, ciężko pracując zdobyła wyższe wykształcenie. W jej życiorysie są i studia chińskiego w Paryżu, i próby dostosowania się w pracy dziennikarskiej do władzy radzieckiej. Wychowała trójkę dzieci. Interesowała się hodowlą psów, szczególnie pudli. Stąd też zapewne, jak dopiero teraz zrozumiałem, kiedy w Moskwie utworzono tymczasem Rząd Jedności Narodowej, w naszym domu w 1945 roku pojawił się czarny szczeniak, pudel francuski o imieniu Dam.

Ojciec asystował w Moskwie przy tworzeniu rządu. Kiedy samolot powrotny z warszawską delegacją wylądował na Okęciu proszono ojca, aby usuwał się sprzed kamer. Nie licowało z powagą chwili pokazywanie zwalistego mężczyzny, któremu z jednej kieszeni palta wystawał czarny łebek, a z drugiej biała butelka z mlekiem. Szczeniak miał dopiero sześć tygodni. W opowieści ojca szczeniaka miała mu rzekomo darować dla mnie wnuczka Lwa Tołstoja. O Szkapskiej w ogóle nie wspominał. Prawdą jest, że znał rodzinę Tołstoja. Była bardzo liczna. Niektórzy członkowie rodziny dali się uwieść stalinowskiej propagandzie i po wojnie wrócili do Związku Radzieckiego. Jeden z wnuków Tołstoja uczył moich kolegów na Uniwersytecie Moskiewskim serbo-chorwackiego. Wrócił z Jugosławii. W rosyjskiej Wikipedii to jednak Maria Szkapska figuruje jako hodowca pudli. Zmarła zresztą na atak serca w kilka miesięcy po śmierci ojca, właśnie na wystawie psów.

Ojciec opowiadał, że nasz Dam pochodzi od suki, która była psem wojskowym. Podobno mądre biedne pudle karmiono pod czołgami. Tak przyuczone głodzono. A potem przyczepiano im miny i na widok niemieckiego czołgu spuszczano ze smyczy. Uzbrojone wbiegały więc pod czołgi. Efekt był straszny.

Szkapska znała wiele znakomitości rosyjskiej kultury. Z kim ona właśnie zapoznała ojca, trudno mi ustalić. Ale z jakiejś notatki ojca widzę, że 22 lutego 1941 roku – jeszcze przed napaścią Niemców na ZSRR – rozmawiał z Mariną Cwietajewą. Rok później, 12 stycznia 1942 roku, odnotował

wiadomość o samobójstwie poetki. Znał Olgę Bergholc, Borysa Pasternaka i wielu innych niezbyt dobrze widzianych i w różnym czasie prześladowanych przez Stalina. Borysa Pilniaka zgładzono na rozkaz Stalina w 1938 roku. Ale 3 marca 1942 roku Szkapska czytała ojcu fragmenty swojej korespondencji ze znakomitym autorem „Śmierci komandarma". Nie omieszkał tego zaznaczyć w swoim dzienniku.

17 maja 1943 roku ojciec notuje: *Przedwczoraj przyjechałem do Moskwy wezwany przez Główny Zarząd Polityczny Czerwonej Armii, a faktycznie przez Wandę* [Wasilewską – J.W.B.]. *Proponują mi stanowisko w redakcji „Wolnej Polski"* [...] *Wczoraj grała Judina Appassionatę u Szkapskiej. Niezwykły koncert.*

Maria Wieniaminowna Judina (1899–1970), genialna niepokorna i religijna pianistka, była tolerowana przez Stalina jako osoba „nawiedzona" („jurodiwaja"). Na tej zasadzie uchodziły jej bezkarnie różne wystąpienia. Ludzie zbierający się u Szkapskiej nie należeli na ogół do zwolenników Stalina. Znaczna część jej dziennika jest świadomie napisana w sposób nieczytelny, niemożliwy do odczytania dla osób postronnych. (Dotyczy to zresztą i kilku stron w dzienniku mojego ojca). Ale pod datą 15 lutego 1939 roku udało mi się znaleźć jasny zapis w dzienniku Szkapskiej: *Umarł Mandelsztam. Nadia otrzymała paczkę z powrotem* [...] *Jaki los spotyka naszych poetów.* Następują strony wyrwane z dziennika. Osip Mandelsztam, jak dzisiaj wiemy, zmarł w obozie w ostatnich dniach grudnia 1938 roku.

Nadieżda Mandelsztam też należała do kręgu znajomych Szkapskiej. Ojciec i ją może poznał.

Bywali, rzecz jasna, u Szkapskiej politycy i dziennikarze służący Stalinowi, tacy jak zaprzyjaźniona z nią Helena Usijewicz. W tym systemie nie należy jednak sądzić ludzi zbyt pochopnie. Kryto się z myślami, słowami, nie mówiąc o prowadzeniu po cichu dzienników. Ojcu Usijewicz, Feliksowi Konowi, odrzucono w „Komsomolskiej Prawdzie" zamówiony uprzednio artykuł. Był pewnie niezbyt dopasowany do bieżącej propagandy. Nie wytrzymał stary członek partii „Proletariat" i wypalił: *Wam potrzebny jest nie artykuł Feliksa Kona, ale ikona.*

Z zapisków powojennych Szkapskiej widać jej obawę, że ojca ponosi uzyskana w Polsce władza. Ni to się jej spowiada, ni to składa przed nią samokrytykę. Pyta: cóż można oferować przeciwko wpływom Kościoła katolickiego? Szkapska dopisuje do tej notatki jakiś wyraźnie czytelny frazes o radzieckich doświadczeniach. Dla kogo to pisze? Dla tych, którzy mogą ją aresztować? Wierzy w to, co pisze?

Prowadzenie dzienników w czasach stalinizmu czy hitleryzmu wiązało się z dużym ryzykiem. Odczytywanie ich jest trudne, bo nie zawsze wiemy co, po co i dla kogo jest pisane. Potępiany za udział w zbrodniach Stalina sekretarz generalny Kominternu Bułgar Georgi Dymitrow pozostawił tysiąc kilkaset stron dziennika z lat 1933–1949 wyglądających na zwykły notatnik buchalteryjny. Ten powiedział to, tamten owo. Wydał instrukcje, zwołał zebranie, zaprosił na obiad. Unikał jakichkolwiek komentarzy własnych. Ale dokładnie zapisał na przykład zastrzeżenia swojego gościa Liona Feuchtwangera do procesów moskiewskich. Sprawia to wrażenie, że mógł je podzielać. Ale nie opatrzył słów niemieckiego pisarza żadnym komentarzem.

Znanego na całym świecie bohatera procesu lipskiego z 1933 roku, który jako oskarżony pognębił Göringa i jego Kameraden, potrafił niepokoić po nocy szef NKWD – Ławrentij Beria. Dymitrow pisał dziennik, od pewnego momentu zakładając, że może go użyć przeciwko niemu prokurator Józef Stalin.

10. Miejsce urodzenia

Urodziłem się w średniej wielkości kraju położonym w środku Europy. Cudzoziemscy pochlebcy nie omieszkali nazwać go sercem Europy. Serce jako symbol wrażliwości, czułości, ośrodek napędowy życia europejskiego? Gruba przesada. Środek geograficzny? Może tak.

Ziemia ta wydała wiele wybitnych i uzdolnionych jednostek. Bardzo często tam, gdzie krzyżowały się różne narodowości i kultury. Największy astronom tego kraju Mikołaj Kopernik jako głównego języka używał niemieckiego. Najbardziej znany kompozytor Fryderyk nosił po ojcu Francuzie nazwisko Chopin, najznakomitszy poeta narodowy Adam Mickiewicz czuł się Polakiem, ale za ziemię ojczystą uważał Litwę, nigdy nie był w historycznych stolicach Polski Warszawie i Krakowie. Pochodził z obrzeży rozległej niegdyś wielonarodowościowej Rzeczypospolitej Polskiej. I przypisują mu oprócz korzeni polskich czy litewskich także bądź to żydowskie, bądź to tatarskie parantele.

Ten kraj utracił ostatecznie swoją wielokulturowość w rzeziach drugiej wojny światowej, w nowych podziałach granicznych dokonanych przez ZSRR, USA i Wielką Brytanię. Miliony Żydów – obywateli polskich wymordowano. Trup kładł się gęsto w walkach ukraińsko-polskich. Ukraińców i Niemców wysiedlono i przesiedlono. Stała się Polska prawie jednorodna narodowo. Wybitny polski filozof, Tadeusz Kotarbiński, ubolewał nad tą utratą wielości etnicznej.

Po doświadczeniach drugiej wojny, po obu totalitaryzmach: hitlerowskim i stalinowskim, pozostało nam zadziwiające dziedzictwo: dawne plagi narodowe. W powszechnym użyciu jest pojęcie odpowiedzialności zbiorowej, częste są przejawy ksenofobii i antysemityzmu… Polska należy do krajów europejskich przyjmujących

dzisiaj najmniejszą liczbę emigrantów-cudzoziemców. Pozostały po ludobójstwie hitlerowskim zaledwie śladowe grupy Żydów polskich. Ale na tej ziemi, która posłużyła jako centrum hitlerowskich obozów zagłady dla całej Europy, na płotach i murach młodociani niedouczeni w szkołach ciemniacy u progu XXI wieku wypisują hasła „Żydzi do gazu".

Nie chciałem się pogodzić z prawdą, iż należę do narodu o niskiej kulturze politycznej, o niskiej w kontekście europejskim kulturze ogólnej. Wyrosłem jako licealista czy student w atmosferze polskiej wyjątkowości, polskiej bohaterszczyzny, polskiej wiktymologii. Pisałem eseje o polskich powstaniach, o Polakach – żołnierzach czy rycerzach wolności, o Polakach więźniach i męczennikach. Prawdziwie, ale jednostronnie.

Moi synowie, jeszcze jako mali chłopcy, robili mi czasem lodowate prysznice:

– Ojciec, ty nie jeździsz autobusami tyle, co my. Ty nie słyszysz, co ludzie gadają w tłoku. IIe razy plują na Ruskich, Żydów i Murzynów.

To były lata osiemdziesiąte.

W roku 2014 mój starszy syn, profesor paleobotaniki w Meksyku, zapytał mnie przez telefon:

– Ojciec, dlaczego ty właściwie nie wyemigrowałeś z Polski?

Nie miałem nigdy takich planów. Wychowałem się jeszcze w Europie wielu ojczyzn, przed czasami szybkiej globalizacji, zniesienia paszportów i granic, przed czasami wspólnoty technologicznej świata. Druga wojna światowa i zimna wojna po niej rozpaliły nie tylko patriotyzm, ale i nacjonalizmy, a przynajmniej sentymenty mocnej odrębności narodowej.

Wielonarodowościowy tłum studentów z ZSRR i ze świata studiujący na Uniwersytecie Moskiewskim, gdzie i ja byłem, oficjalnie chowano w duchu internacjonalizmu, równości narodów i ras. Pod tą pokrywką bulgotały jednak urazy, niechęci, a czasem po prostu nieskrywana wrogość, ksenofobia, antysemityzm oraz wielkorosyjski szowinizm.

21. Start wskrzeszonego przez „Czytelnika” Tour de Pologne z ul. Wiejskiej. Na trybunie pierwszy z lewej prezydent Warszawy Stanisław Tołwiński. Przemawia Jerzy Borejsza (22 VI 1948).

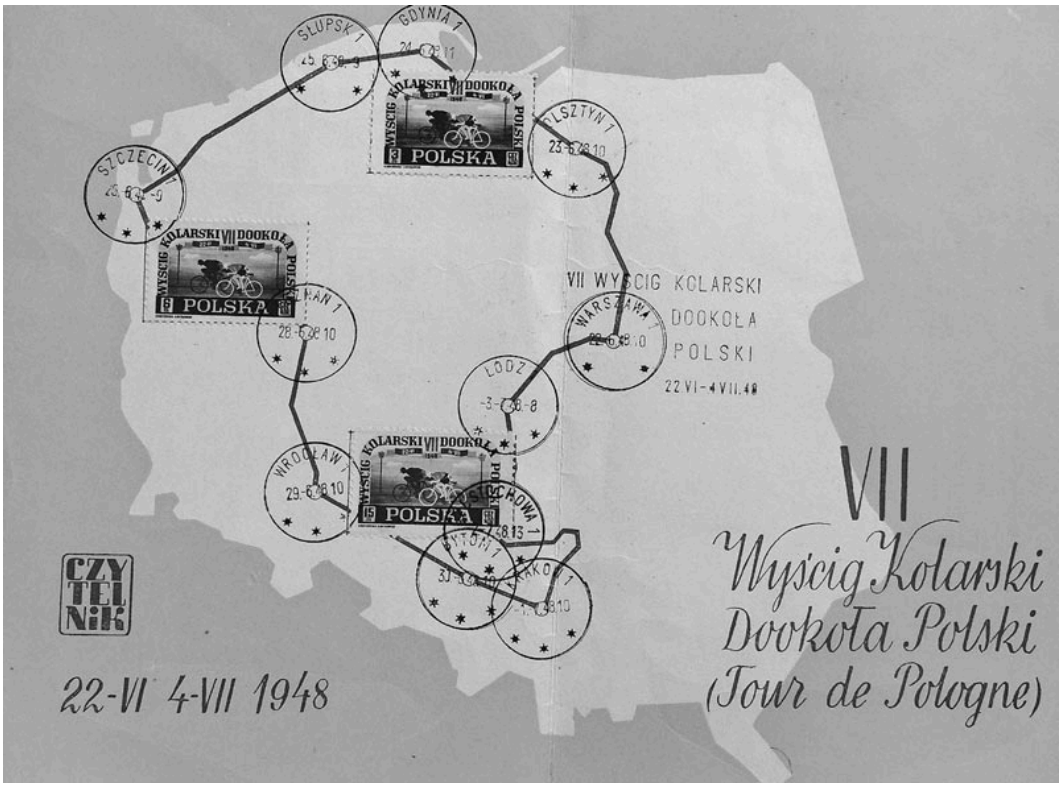

22. Program VII Tour de Pologne. Nieprzypadkowo trasa przebiegała przez Ziemie Zachodnie (22 VI–4 VII 1948).

Patrzyłem ze zgrozą na urzędowy antysemityzm rozpętany przez partię polską, rzekomo komunistyczną, w 1968 roku, Ale czułem się nie kandydatem do wygnania, ale gospodarzem mojej zhańbionej ziemi. Miałem poczucie, że to mój „czerwony ojciec" – anarchista czy komunista, dziecko znanej żydowskiej rodziny – zorganizował w 1945 roku odbudowę pierwszych domów w Warszawie. Pamiętałem, jak uruchamiał pierwszą drukarnię w zburzonej Warszawie i jak ciągnął mnie, jedenastoletniego chłopca, po nocach wozami kolportażu gazet i książek swojego wielkiego wydawnictwa po szosie Łódź–Łowicz–Warszawa. Pięćdziesiąt takich samochodów renault kupił dopiero co we Francji. I był z nich niezmiernie zadowolony. Były dla niego symbolem odradzającego się życia. Tak jak były nim akcje: taniej książki, walki z analfabetyzmem, rowerów dla listonoszy wiejskich. To ojciec patronował przywróceniu przedwojennego wyścigu kolarskiego Tour de Pologne. To jego wydawnictwo założyło fundusz pomocy dla sierot po powstańcach 1944 roku. To on zaplanował budowę

wielkiego centrum drukującego prasę i książki – Domu Słowa Polskiego (ten projekt niebawem zmarnowano). Tak więc nie ukrywam, że uważałem, iż kto jak kto, ale ja z pewnością powinienem na wzór ojca być polskim patriotą. I zawsze, już w wieku dorosłości, to słowo wywoływało we mnie obraz nocnej jazdy wozami kolportażu, światła reflektorów na szosie Łódź–Warszawa.

23. Wmurowanie kamienia węgielnego pod nigdy nieukończony kompleks Domu Słowa Polskiego przy ul. Miedzianej 11 w Warszawie (1948).

W 1968 roku, kiedy z uwagi na pochodzenie wymieniano mnie wśród kandydatów do usunięcia z Wydziału Historycznego Uniwersytetu Warszawskiego, sekretarz komitetu partyjnego uczelni, Jarema Maciszewski, utalentowany historyk, który skompromitował się niechlubną działalnością polityczną, wywołał mnie z budynku wydziału na dziedziniec:

– *Wiesz co, uprzedzono mnie, żeby ci nie wytykać pochodzenia, bo się będziesz śmiał. Tyś przecież pisał rzeczy patriotyczne jeszcze przed nami.* (Miał na myśli

przede wszystkim moją książkę o emigracji polskiej po powstaniu 1863 roku).

Frakcja nacjonalistów generała Moczara, do której przylgnął historyk Maciszewski, uzurpowała sobie prawa do frazeologii patriotycznej.

Przeniesienie się za granicę proponowano mi parę razy. W 1963 roku Francuzi z paryskiej Fundacji Walthera Rathenaua. W 1978 roku profesurę stałą w Instytucie Historii Europejskiej w Moguncji zaproponował mi znany profesor Gothold Rhode. Odchodził właśnie na emeryturę.

W Polsce mój wniosek o profesurę leżał niezałatwiony już osiem lat. Ale propozycji niemieckiej nie przyjąłem.

– *Po co pan wraca?* – zapytał Rhode.

– *Po pierwsze* – odpowiedziałem – *moją ojczyzną jest język polski. W żadnym innym języku nie wyrażę tak dokładnie moich myśli. Po wtóre, nie wracam dla ludzi. Ci bywają bardzo różni. Nie czynię sobie złudzeń. Wracam dla polskich lasów. To jest moja ojczyzna, moja ziemia, od Kaszub po Bieszczady.*

11. Imiona

Imię nadano mi dla uczczenia bułgarskiego komunisty Georgi (Jerzego) Dymitrowa (1882–1949). W 1933 roku uwięziony przez nazistów w Niemczech i oskarżony o współudział w podpaleniu Reichstagu wsławił się popisową obroną przed Sądem Najwyższym Rzeszy w Lipsku. Swoimi ostrymi replikami skompromitował oskarżającego go Hermanna Göringa – bądź co bądź numer drugi w hierarchii Trzeciej Rzeszy. Trzymany w areszcie prewencyjnym, został wydalony w roku 1934 do Związku Radzieckiego. Tam Stalin, licząc na jego międzynarodową popularność, uczynił go sekretarzem generalnym Międzynarodówki Komunistycznej (Kominternu). Z nazwiskiem Dymitrowa wiązano nową taktykę Kominternu – tworzenia Frontów Ludowych i porzucenia dotychczasowych ataków na „socjalistycznych kuzynów" – socjaldemokratów. Jako wroga numer jeden ogłoszono faszyzm. Pod wrażeniem tych wydarzeń rodzice nadali mi na cześć Dymitrowa imię Jerzy.

Podczas wojny niemiecko-radzieckiej ojciec poznał Dymitrowa, który poparł jego starania o przyjęcie do Armii Czerwonej.

Kiedy teraz, jako historyk totalitaryzmu, czytam dziennik Dymitrowa czy jego korespondencję ze Stalinem, widzę zastraszonego i zależnego funkcjonariusza. Zapis jest prowadzony tak, aby mógł służyć dla obrony, jeśli i jego – Dymitrowa – będą chcieli rozstrzelać. A jednak z tego dziennika wynika, że bułgarski komunista zdawał sobie chyba sprawę, iż znalazł się w trybach piekielnej maszynerii. Wrócił do sowietyzowanej Bułgarii wraz z końcem wojny i stał się współreżyserem tej sowietyzacji. A jednak popierając ideę powołania Federacji Bałkańskiej, złożonej z Bułgarii, Jugosławii, Rumunii i Albanii, doprowadził Stalina do furii.

Podobno po cichu zachęcał też Titę do samodzielności. Dyktator nie pragnął tworów konkurencyjnych czy porównywalnych z ZSRR. Zaprosił Dymitrowa do ZSRR, odsunął go od sprawowania władzy, zrugał jak uczniaka. Bułgarski komunista zmarł niebawem w Moskwie. Według niektórych wersji pomogli mu w tym ludzie Ławrentija Berii.

Będąc w Sofii na kongresie studiów bałkanistycznych w 1976 roku, złożyłem wizytę patronimiczną w mauzoleum Dymitrowa. Przewrotny los sprawił, że piętnaście lat później pracując w Paryżu, związałem się bliższą znajomością z bułgarskim patriotą – uchodźcą i antykomunistą – znanym fizykiem, profesorem Minko Balkanskim. Otóż obsesyjną ideą Balkanskiego stało się: doprowadzić do zburzenia mauzoleum Dymitrowa. Dokonano tego w 1999 roku.

12. Wariacje wokół nazwiska

Czesław Miłosz hasło o moim ojcu zaczął w swoim „Abecadle" od zdania: *Malownicze nazwisko, ale przybrane. Stylizacja również w życiu na rubasznego szlachciurę, choć to była tylko maska.* Stylizacja na szlachciurę bezsprzecznie tak. Nasuwało ją samo nazwisko zamożnej szlachty polskiej z Litwy, rozlegle skoligaconej – nawet z Radziwiłłami. Ale z dokumentów różnego rodzaju wynika, że nie było całkiem przybrane. Nosiła je rzekomo babka mojego ojca, z pewnością używał go jego stryj, znany poeta żydowski Menachem Borejsza (Boraisha, 1888–1949), czynny po wyemigrowaniu z Warszawy w Partii Demokratycznej w USA, klasyk poezji jidysz, pochowany w Nowym Jorku. Z dokumentów oficjalnych wynika, że przed rokiem 1914 w Rosji carskiej Aron Goldberg, mój pradziad, aby chronić licznych synów od przymusowego poboru do wojska, używał dla nich nazwisk Goldberg i Borejsza wymiennie. Mój ojciec urodził się jako Beniamin Goldberg. W rodzinie Goldbergów ustaliło się, że ludzie pióra mieli prawo do używania nazwiska Borejsza. Poeta i eseista Paweł Hertz (1918–2001) zwrócił moją uwagę na hebrajski źródłosłów tego nazwiska. Nazwisko nawiązuje do pierwszych słów Księgi Rodzaju Starego Testamentu: *Na początku Bóg stworzył niebo i ziemię* (po hebrajsku zaczyna się od słowa „bereszit").

Według niejasnych przekazów nazwisko to było w rodzinie od bardzo dawna. Nie jestem w stanie tego sprawdzić. W jaki sposób nosili je jednocześnie ludzie różnych stanów społecznych? W każdym razie na biblijne pochodzenie nazwiska „Borejsza" (pisanego i przez „y" i przez „i" krótkie) zwracało uwagę kilka osób. Między innymi uczynił to i Antoni Słonimski (1895–1976) w swoim „Alfabecie wspomnień": [...] *gdy jeszcze*

światło nie oddzielone było od ciemności, nie było Związku Literatów i tramwajów, duch Borejszy unosił się nad wodami.

Ojciec od połowy lat trzydziestych zaczął swoje legalne publikacje podpisywać „Jerzy Boreisza", pseudonim stał się we Lwowie lat 1939–1941 nazwiskiem. Nieco później „i" przekształciło się w „j".

Wariant bułgarski

Kilkakrotnie zadawano mi bardzo trudne pytanie: czy nazwisko bardziej mi pomagało, czy przeszkadzało w życiu. Moje nazwisko „Borejsza". Nazwisko mojego ojca Goldberga-Borejszy: Polaka, Żyda, komunisty, anarchisty, człowieka dużych zasług i dużych błędów. Według określenia Stanisława Stommy nie komunisty, ale *Żyda liberała*. Nie da się nigdy zsumować jasno wszystkich za i przeciw. Tak wiele skojarzeń i reakcji wiąże się z tym nazwiskiem. Było ono znane z herbarzy. Ale idąc tym tropem, nietrudno ustalić, że wielu potomków tej rodziny zruszczyło się. Po dziś dzień w Moskwie można odnaleźć Borejszów. Znane są nazwiska przynajmniej dwóch generałów z armii rosyjskiej (z wojny rosyjsko-tureckiej 1877–1878) i z początków Armii Czerwonej po 1917 roku. Ten pierwszy nie-przodek pośmiertnie ocalił mnie od pewnych trudności politycznych.

W roku bodaj 1976 miałem referat na międzynarodowym kongresie bałkanistycznym w Sofii. Między innymi zwróciłem uwagę, jak cenne mogą być akta Stolicy Apostolskiej do odtwarzania dziejów Bałkanów. Po sesji pojechaliśmy na wycieczkę, aby odwiedzić monastyr Rilski. Opiekował się nami zaprzyjaźniony ze mną znany historyk i polityk bułgarski Iłczo Iwanow Dimitrow (1931–2002). Zbliżyła nas praca ramię w ramię w Rzymie w archiwum włoskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

W autokarze w czasie jazdy Iłczo podszedł nagle do mnie i po cichu uprzedził:

– Patrz do przodu. Z prawej strony siedzi dwójka z Czechosłowacji. Zamierzają zgłosić na ciebie donos do Moskwy w związku z twoim niesłusznym politycznie „peanem na cześć Watykanu". Ale nie przejmuj się. Wytęż uszy i podsłuchaj, jak ja ich zgaszę. I jak będą się jeszcze łasić do ciebie.

Po chwili Iłczo dyskrecjonalnie gromkim głosem informował siedzących przede mną historyków – chyba z Bratysławy:

– A wiecie, kto dowodził artylerią rosyjską w czasie wyzwalania naszego kraju w roku 1877? Generał Borejsza, przodek obecnego tu naszego kolegi.

Iłczo blefował na własny rachunek. I dodał:

– Wyobrażacie sobie, jak tam lubią tego Polaka.

I rzeczywiście na najbliższym postoju nieznani mi dotychczas koledzy z bratniego kraju demokracji ludowej pospieszyli się przedstawić.

Spoza pleców „przedstawicieli Gustava Husaka", zamordysty i namiestnika z łaski Moskwy, Iłczo puścił do mnie oko. Pacyfikatorzy praskiej wiosny byli dla nas elementem wrogim. Ale Iłczo Iwanow Dimitrow żył w określonym systemie. Uczestników kongresu przyjął Todor Żiwkow, dyktator kraju przez rekordowe trzydzieści pięć lat (1954–1989). Z przyjęcia pozostały mi w pamięci tylko ogromne kryształowe kandelabry. Iłczo zaprzyjaźnił się podobno z córką dyktatora, został rektorem Uniwersytetu Sofijskiego, później dwukrotnie był ministrem edukacji: w ostatnich latach Żiwkowa i ponownie, sześć lat po jego upadku. Mogę zaświadczyć, że znałem go jako przeciwnika komunistycznych dogmatyków. Sprzeciwiał się na przykład określaniu rządów cara Borysa III jako monarchofaszyzmu, co było wtedy dowodem odwagi. W monastyrze Rilskim ściszonym głosem opowiedział mi o popularności cara i losie jego szczątków ukrywanych, aby przeciwdziałać kultowi.

Fetowanie mnie przez paru bułgarskich znajomych wywołało podobno natychmiastowy protest w Sofii ludzi osławionego Tadeusza Walichnowskiego z warszawskiego MSW, pseudouczonego i żydożercy, pracującego podówczas w Instytucie Krajów Socjalistycznych. Bałkaniści przestali mnie zapraszać.

Wariant moskiewski i Juliusz Słowacki

Jako świeżo upieczony magister Moskiewskiego Uniwersytetu Państwowego uzyskałem w 1957 roku zezwolenie na pracę w archiwum radzieckiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych. W owym czasie szczęśliwcy, którym zezwalano na pracę w archiwach, otrzymywali teczki akt dobierane według widzimisię odpowiedzialnych archiwistów. Inwentarzy akt nie dawano. Petent dostawał tylko to, co archiwum zechciało mu dać. Selekcja dotyczyła i pozornie dalekiej już przeszłości: na przykład na całe stulecia wstecz polityki zagranicznej caratu. Po drugiej wojnie światowej w warunkach rozpętanego przez Stalina wielkorosyjskiego szowinizmu ZSSR bronił dobrego imienia carów. Trudno było z dostępem do akt zarówno dziewiętnastowiecznych ministrów, jak i rewolucjonistów wszelkiej maści.

Nie wzbudziło więc entuzjazmu i moje zapotrzebowanie archiwalne na akta o Adamie Mickiewiczu i Józefie Bemie – bohaterze powstania 1830 roku i wodzu armii w rewolucji węgierskiej 1849 roku; obie rewolucje zdławiła armia rosyjska pod wodzą feldmarszałka Iwana Paskiewicza. Dialektycznie kojarzono wszystko: odwoływanie do Bema i Paskiewicza było przypominaniem, że dopiero co Chruszczow zdławił rewolucję węgierską 1956 roku, podczas której głośne były manifestacje polsko-węgierskiego braterstwa broni.

Postarano się natrętnego młokosa – czyli mnie – skierować na inne tory. W archiwum pracował mój starszy kolega ze studiów Wołodia Sirotkin, później znany w ZSRR jako historyk Francji.

Wołodia szybko przyniósł kilka teczek o drugorzędnych polskich emigrantach w zachodniej Europie. Na wierzchu położył mi z naciskiem dokumenty z ambasady rosyjskiej w Londynie.

– *To ciebie zainteresuje! To chyba o jakimś twoim przodku* – rozciągnął gębę w szerokim uśmiechu.

I zrozumiałem, że ktoś z jego przełożonych postanowił mnie udobruchać, licząc na mój snobizm.

Ledwo zajrzałem do akt mianującego się hrabią Napoleona Borejszy i powiedziałem Wołodi:

– *Nie rób ze mnie głupca. Dobrze wiesz, że mam korzenie żydowskie, a nie szlacheckie.*

– *Wszystko jedno – przepisz sobie, co trzeba.*

Przepisałem.

Ambasada w Londynie notowała po wojnie krymskiej, że mimo amnestii po roku 1856 nie otrzymano zezwolenia z Petersburga na powrót Napoleona Borejszy herbu Wadwicz do cesarstwa. Uchodził za osobę niezajmującą się polityką, ale miał opinię karciarza, oszusta i kłamcy.

Przedstawiał się jako hrabia, właściciel osiemdziesięciu pięciu psów myśliwskich. *Według informacji, które dotarły do Ambasady* – czytamy w raporcie – *Napoleon Borejsza znajdował się od 1840 do 1844 roku w Afryce przy głównej kwaterze francuskiej.* Wszem i wobec opowiadał o swoich polowaniach tam na lwy. Kilkanaście lat wojażował po Niemczech, Anglii i Francji. Usiłował ożenić się bogato ze starą baronową niemiecką, używając polskich emigrantów jako tłumaczy, bo nie znał niemieckiego. Potem rzekomo zalecał się do jednej z Dołgorukowych ze słynnej rosyjskiej rodziny książęcej. Ciążyły na nim różne wyroki za sprawy kryminalne. Dwukrotnie za oszustwa był wydalany z Francji. Wreszcie – jak czytamy w dokumencie, który wpadł mi w ręce w Bibliotece Polskiej w Paryżu: *W r. 1852 wrócił do Paryża, gdzie podobnym przemysłem* [czytaj: oszustwem – J.W.B.] *się utrzymywał; aż na koniec schwytany wyrokiem Siódmej Izby Trybunału z dnia 24 lutego 1853 został skazany na 18 miesięcy więzienia i na ostateczne wygnanie z Francji.*

Te pozornie błahe szczegóły i daty mają znaczenie dla historii polskiej literatury, dla odczytania jednego z największych naszych poetów Juliusza Słowackiego.

Przypadkowo odkryte dokumenty o Napoleonie Borejszy, znanym z niesamowitych opowieści i zmyśleń, pokazują, że postać Borejszy ze słynnego poematu poety „Beniowski" została wydobyta z polskiej

rzeczywistości emigracyjnej. Czy Słowacki tylko słyszał o nim? Czy go spotkał osobiście?

Posłuchajmy, jak brzmi początek pieśni ósmej „Beniowskiego".

Jak zajechali me ambasadory
Do Krymu nie wiem, ale pan Borejsza
Mówił, że spotkał na stepie upiory,
Dropie, limany, a rzecz najdziwniejsza
Z bodiaków wielkich i kolących bory,
Od których puszcza białowiejska mniejsza;
W tej puszczy wielkie skrzydlate połosy
I ludzie, którzy mają płaskie nosy
[...]
Mówił, jak okręt pośród wielkiej burzy
Płynąc podpierał i dopłynął zdrowy.
Jak spotkał rybę, co łeb miała kurzy
A zresztą była kobietą prócz głowy,
A ogon wielki gdyby u Sylena –
Szlachta krzyczała wnet, że to Syrena!

Na co Borejsza zgodził się – u stołu
To było – wtenczas wszystko prawdą zda się;
Mówił, jak chciano go chmurą popiołu
Zdusić na wieży, a on się po pasie
Spuszczał, tnąc w górze ten pas, a u dołu
Sztukując [...]

Ów Borejsza w „Beniowskim", postać posła księcia Radziwiłła „Panie Kochanku" gdzieś około roku 1770 na Krym z listem do chana wysłana,

mogła powstać z inspiracji wyczynami „naszego" Napoleona Borejszy, rówieśnika Słowackiego na emigracji. Ten szlachciura z Litwy rodem, opój, który u Słowackiego i haszyszem nie gardzi, słynął z bezczelności.

I w pieśni dziewiątej czytamy:

Więc gdy Borejsza przed czerwonym Khanem
Stanął; przeżegnał się naprzód dwa razy
I stanął prosty jak drąg przed Dywanem
Z tłumaczem, który czekał na rozkazy,
[...] *i rzekł te wyrazy,*
Które w lot muza nieśmiertelna chwyta:
„Daj temu psu list księcia – niech przeczyta".

Jako historyk nie odpuściłem sobie dalszego śledztwa. Brnąłem przez owe „limany" (płytkie jeziora stepowe), „połosy" (węże), i „bodiaki" (rośliny stepowe) „Beniowskiego" i dotarłem do śladów Borejszów, którzy pojawili się na Krymie. Heraldycy rosyjscy wspominają gdzieś nawet o gałęzi krymskiej Borejszów. *Se non è vero è ben trovato. (Jeśli to nie jest prawdziwe, to jednak dobrze wymyślone).*

Nie ma dymu bez ognia. Mniej więcej w latach 1768–1770 w konfederacji barskiej, która posłów rozsyłała z prośbami o pomoc dla polskiej szlachty, pojawia się postać regimentarza Ignacego Borejszy. Czy Słowacki uczynił zbitkę literacką z kilku postaci?

Nie wiem, co i gdzie czytał do „Beniowskiego" Słowacki, ale postać komiczna litewskiego bajczarza Borejszy nie powstała z czystej fantazji. Ani tylko z lektury pamiętników sarmackiego Jana Chryzostoma Paska, dopiero co wydanych w roku 1836, po półtora wieku od ich powstania. Wiemy, jak zaczytywali się nimi współcześni Słowackiego. Pokrewieństwo Borejszy z Paskiem rzuca się w oczy.

Życie nieoczekiwanie postawiło kropkę nad „i" przygodom moim z moim nie-przodkiem Napoleonem Borejszą. Machinalnie przerzucając

strony jednej ze starszych książek telefonicznych Paryża, natrafiłem w patrycjuszowskiej dzielnicy XVI na nazwisko „Borejsza". Kiedy zamieszkałem sam na lat kilka w „szesnastce", ślad po tej osobie już zaginął.

Moje kontakty z heraldykami rosyjskimi z Petersburga, którzy odnaleźli mnie w latach dziewięćdziesiątych z nadzieją, że uzupełnię im dane do księgi szlachty rosyjskiej, okazały się pouczające. Dowiedziałem się, że niezbyt liczna na świecie grupa ludzi związanych nazwiskiem Borejsza ma odnogę polsko-litewską, rosyjską – najpewniej ze zrusyfikowanej szlachty Wielkiego Księstwa Litewskiego, a także jakieś odpryski wśród ludności żydowskiej i chłopskiej. Nosiciele nazwiska mogli się wywodzić ze wsi w Mohylewskiem, która należała do szlacheckiej rodziny Borejszów. Przyjęli być może nazwisko swoich dziedziców. Ale natrafiłem i na inne wyjaśnienia: że nazwisko szlachta przejęła od Żydów z uwagi na jego oryginalność starotestamentową.

W rosyjskim ruchu rewolucyjnym znaleźli się bezspornie i chłopi o nazwisku Borejsza. Takim był na przykład Anton Stiepanowicz Borejsza (1858–1924), współlokator słynnego narodowolca terrorysty Polaka Ignacego Hryniewieckiego, od którego bomby zginął w roku 1881 car Aleksander II. Ów Anton (Antoni) z trudem uniknął stryczka. Wiele lat spędził na Syberii i przeżył obie rewolucje 1917 roku, pozostawiając pamiętniki.

To rozszczepienie ludzi o tym samym nazwisku sprawiło, że w powstaniu 1863 roku Borejszowie znaleźli się po przeciwnych stronach powstańczego losu.

W bitwie pod Małogoszczą padł znany z odwagi niespełna dwudziestoletni młodzieniec, prawnuk Tadeusza Reytana, Paweł Borejsza. Okoliczności jego bohaterskiej śmierci, zgodnie z historycznym przekazem, odtworzył Artur Grottger na znanym obrazie. A w powiecie Bielsk Podlaski z powstańcami styczniowymi bezlitośnie rozprawiał się pułkownik armii rosyjskiej Ignacy Borejsza, który przeszedł na prawosławie. Wydaje się, że to jego awansowanego do stopnia generała-

majora spotykamy w wojnie rosyjsko-tureckiej (1877–1878) na czele dywizji walczącej o przełęcz Szipka.

Dziś rosyjskich Borejszów pozostało mniej niż polskich. Heraldycy z Petersburga odnaleźli kilkanaście osób w Moskwie i w dalekim Jekatierynburgu. Są wśród nich osoby nie tylko pochodzenia szlacheckiego.

Zdaje się, że heraldycy z Petersburga odkrywszy ślady żydowskie i chłopskie pod nazwiskiem Borejsza, zrezygnowali z odtwarzania dziejów tej zamożnej i rozlegle skoligaconej rodziny w księdze współczesnej szlachty rosyjskiej.

Nadal nie mam jasnego obrazu, skąd pochodzi moje nazwisko.

Jak Borejsza został Kantorczakiem

Długo po wojnie, długo po zakończeniu studiów wyższych zorientowałem się, że możliwe, iż w roku 1935 zarejestrowano mnie po urodzeniu jako Jerzego Kantora. Czy nosiłem formalnie nazwisko panieńskie matki? Rodzice nie mieli ślubu. Podobno na prośbę macochy ojca Ewy Glass zawarli ślub formalny w pierwszych dniach wojny, we wrześniu 1939 roku. Jak było naprawdę – nie wiem.

Podczas wojny inżynier chemik Ignacy Romanowicz, zaprzyjaźniony z matką, sfałszował nasze dokumenty, nadając im bardziej aryjskie brzmienie. Sam zginął w roku 1942, powieszony w Warszawie wśród słynnych pięćdziesięciu zakładników. Jak pisał po latach Władysław Broniewski:

Ich było tylko pięćdziesięciu,
z Powiśla, z Woli byli wzięci,
z warsztatów pracy, fabryk, hut...
To oni każdą z bruku cegłą

O wolność bili się, o lud,
O chleb nasz i – o Niepodległą!

Mam nadzieję, że kiedyś historia Polski wyrówna rachunki i przywróci pamięci narodowej tych, którzy walczyli z hitlerowskimi okupantami, a są skreślani w Trzeciej Rzeczypospolitej za to, że jak Ignaś wierzyli w czerwoną utopię, której nie zdążyli poznać.

Dzięki Ignasiowi zostałem Jurkiem Kantorczakiem, synem porucznika z 81. pułku piechoty. Do dziś pamiętam nieszczęsny a prawdziwy numer tego pułku. Nieszczęsny, bo gdzieś około 1943 roku zdun naprawiający piec w mieszkaniu w Warszawie przy ulicy Smolnej 22 okazał się służyć w tym samym czasie, co rzekomy Kantorczak w 81. pułku w Sokółce. I bardzo się dziwił, jak mógł nie zauważyć porucznika Kantorczaka. Matka do sztucznego nazwiska ojca dodała realne dane służby wojskowej starszego strzelca Benjamina Goldberga. Dopiero w połowie lat trzydziestych ojciec zaczął posługiwać się „zapasowym nazwiskiem" rodzinnym Borejsza, podobno po swojej babce. Z użyciem „i" krótkiego sygnował swoje artykuły jako „Jerzy Boreisza". To nazwisko utrwalone w dokumentach we Lwowie z lat 1940–1941 pod okupacją sowiecką było mnie, małemu dziecku, znane jako jedyne.

Wiedziałem, że nosi je mój duży i hałaśliwy ojciec, który zna wiele języków obcych. Był to w moich oczach jego główny tytuł do chwały. Musiano coś przy mnie mówić o języku portugalskim, albowiem choć ojciec go nie znał, otoczony malcami z przedszkola popisywałem się wyliczaniem języków, które zna tata, szczególny nacisk kładąc na portugalski.

Od razu po wkroczeniu Niemców matka zaczęła mi wybijać z głowy i nazwisko Borejsza, i rzekome władanie przez ojca językami obcymi. Było to zadanie niełatwe. Ojciec był daleko po drugiej stronie frontu i traktowałem to jako niewytłumaczalne zaprzaństwo. Lekcje „genealogii rodzinnej" odbywały się we Lwowie. Matka dawała mi jakieś smakołyki

jako premię za szybkie przyswajanie. Nie pomagało. Groziła przemocą fizyczną. Długo stawiałem opór. Wreszcie uległem.

Działo się to w mieszkaniu przy ulicy Długosza, które rodzice wynajmowali u rodziny słynnego aktora Mieczysława Frenkla, i które musieliśmy szybko opuścić. Naszedł nas tam jakiś gestapowiec, który znał nazwisko mojego ojca. Obiecał, że powróci.

Matka nie zdawała sobie na szczęście sprawy, że zmiana nazwiska tkwiła we mnie głęboko jako zadra. Kojarzyłem prawidłowo, że Rosjanie to „Borejsza", a Niemcy to „Kantorczak". Kiedy w styczniu 1945 roku w Jaktorowie pod Warszawą, gdzie mieszkaliśmy wówczas, zobaczyłem pierwsze czołgi radzieckie, powiedziałem do matki: – *I co ty myślisz, że ja nie pamiętam, że się nazywam Borejsza?*

Była wstrząśnięta.

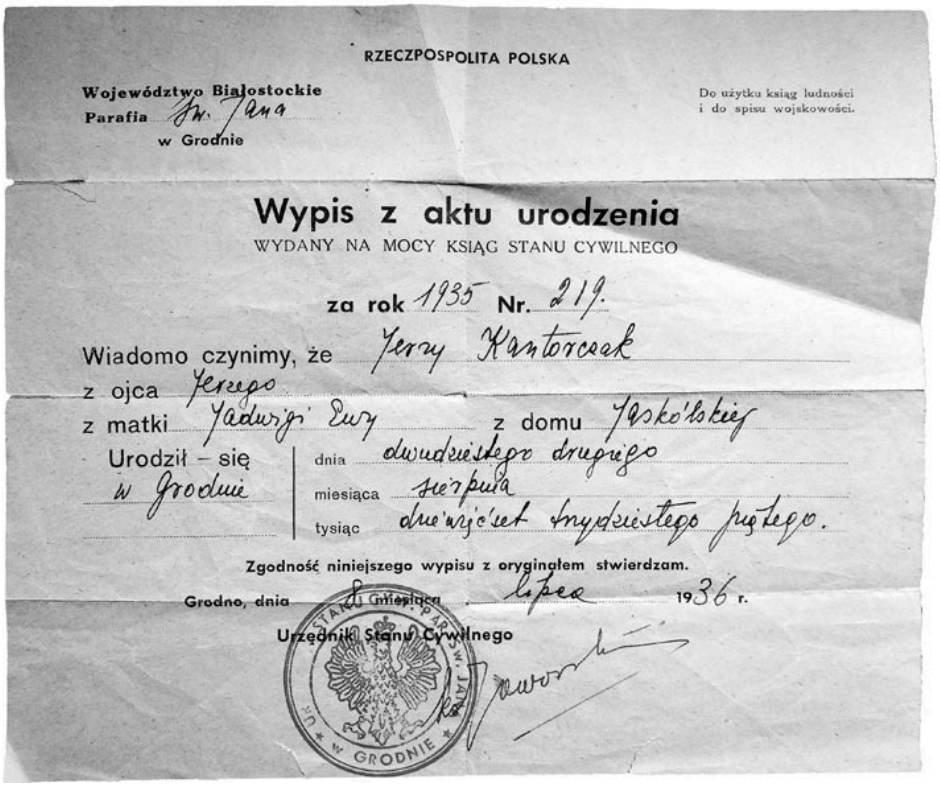

RZECZPOSPOLITA POLSKA

Województwo Białostockie
Parafia Św. Jana
w Grodnie

Do użytku ksiąg ludności i do spisu wojskowości.

Wypis z aktu urodzenia
WYDANY NA MOCY KSIĄG STANU CYWILNEGO

za rok 1935 Nr. 219.

Wiadomo czynimy, że Jerzy Kantorczak
z ojca Jerzego
z matki Jadwigi Ewy z domu Jaskólskiej
Urodził – się w Grodnie
dnia dwudziestego drugiego
miesiąca sierpnia
tysiąc dziewięćset trzydziestego piątego.

Zgodność niniejszego wypisu z oryginałem stwierdzam.
Grodno, dnia 8 miesiąca lipca 1936 r.
Urządnik Stanu Cywilnego

USC STANU CYWILNEGO W GRODNIE

24. *I co ty myślisz, że ja nie pamiętam, że się nazywam Borejsza?* Sfałszowany akt, w którym prawdziwa była tylko data mojego urodzenia.

Nazwisko kojarzyłem z obecnością Rosjan. Może dlatego, że kolejne mieszkanie, w którym matka prowadziła moją przymusową reedukację, było połączone z innymi wspólnym balkonem. Zmierzchało. Po balkonie szedł jakiś młody człowiek śpiewając po rosyjsku zawadiacką piosenkę czerwonoarmistów ze Lwowa: „Poliuszko, polie…".

Pamiętam, że matka w tym momencie powiedziała: – *Szaleniec. Naokoło są Niemcy. Pamiętaj: nazywasz się Kantorczak, nie Borejsza.*

13. Dzieciństwo

Moje pierwsze wspomnienia z czasów, kiedy miałem trzy-cztery lata: rodzice wychodzą. Zostawiają mnie w wąskim pokoju w cudzym mieszkaniu, ściany są zastawione półkami. Na półkach książki. Pośrodku pokoju duży, siwy pan z dużą brodą. Miał się mną zaopiekować. Po latach matka wyjaśniła mi, że był to znany działacz ruchu ludowego, nasz sąsiad Tomasz Nocznicki, poseł na sejm; zaraz po odzyskaniu niepodległości był krótko ministrem. Urodzony w 1862 roku poważny pan został poproszony o opiekę nad trzyletnim malcem. Było to około 1938 roku.

Byliśmy mieszkańcami Żoliborza, nowej dzielnicy warszawskiej inteligencji, postępowej, a nawet czasami nadmiernie rewolucyjnej. Policja nie lubiła tu aresztować politycznych. Kiedyś, gdy usiłowali wyprowadzić ojca na komisariat, matka podobno otworzyła okno i zaczęła wzywać sąsiadów. Policjanci dali spokój.

Matka posłała mnie do przedszkola w naszej dzielnicy. Mimo patronatu samej żony marszałka, Aleksandry Piłsudskiej, zaparłem się, aby tam nie chodzić. Natomiast dwa lata później ochoczo pomaszerowałem do przedszkola w sowieckim już Lwowie. Nie były to deklaracje światopoglądowe. Po prostu byłem starszy.

Miałem pięć lat. Pamiętam, gdzie się mieściło lwowskie przedszkole przy ulicy Długosza. Pamiętam, że miałem przyjaciela – rówieśnika imieniem Kuba. Był chyba pochodzenia żydowskiego, bo po wkroczeniu Niemców do Lwowa natychmiast zniknął. Matka mówiła mi: – *Odnajdziemy go po wojnie*. Na to ja: – *Dopóki się nie odnajdzie, będę do ciebie mówił Kuba.*

25. Na rękach ojca. Trzecia kolonia na warszawskim Żoliborzu (1937).

Po roku czy dwóch, już po powrocie z Ukrainy do Warszawy, matka wyperswadowała mi, że nazywanie jej męskim imieniem niepotrzebnie budzi ciekawość ludzi.

Kiedy mieszkaliśmy przy ulicy Smolnej 22 w Warszawie, warunki do nauki były ograniczone. Moja matka ze mną i dwie córki znakomitego scenografa Wincentego Drabika z trójką dzieci – osiem osób gnieździło się często w jednym pokoju. Matka spała na kanapie, a ja na dostawionych do kanapy krzesłach. Chodziłem czasem na jakieś nielegalne lekcje dla dzieci. Prowadziła je działaczka konspiracyjna Armii Krajowej Zofia Rudnicka

(Paulina Hausmanowa [1907–1981]). Ale czytać naprawdę nauczyła mnie matka. Najpierw zabierała mnie nad Wisłę i czytała na głos. A potem już ruszyłem powoli sam. Miałem chyba osiem lat, kiedy przeczytałem „Serce" Edmunda de Amicisa. Ta książka bez wątpienia ukształtowała mój system wartości. Czterdzieści lat później moi synowie odmówili czytania tego „sentymentalnego starocia".

Książki podrzucał niekiedy Marek Arczyński, skarbnik Rady Pomocy Żydom. Po wojnie działacz Stronnictwa Demokratycznego, poseł na Sejm Ustawodawczy, miał jawne sympatie lewicowe i piłsudczykowskie. Obdarował mnie nie przypadkiem książką „Mały Piłsudczyk" i wyuczył kilku pieśni, przede wszystkim „Pierwszej Brygady". Piłsudczykiem był też uroczy, jowialny Pan Jan z najwyższych pięter naszego domu. Znosił mnie do piwnicy na plecach, kiedy miałem wysoką gorączkę, podczas nalotu radzieckiego na Warszawę. Pamiętam, że życzyłem po cichu Rosjanom, aby rozwalili wszystkich Niemców na Smolnej, choćby nawet razem z nami. Na naszej ulicy stacjonowało sporo jednostek niemieckich.

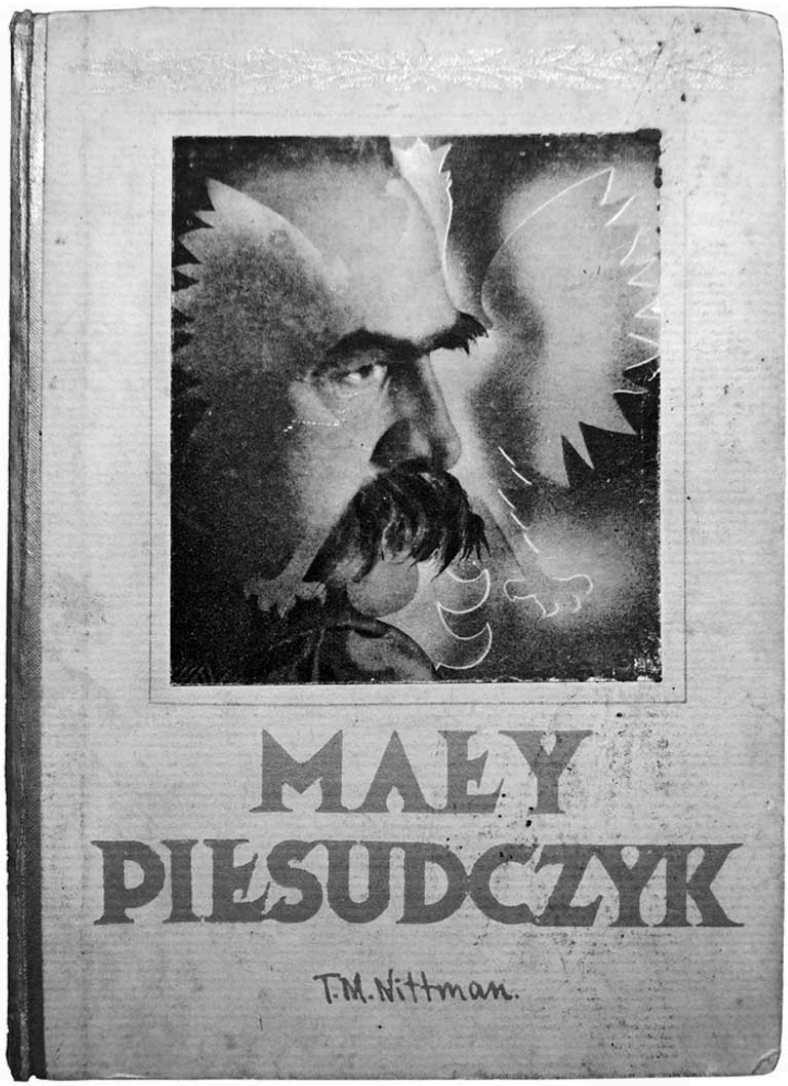

26. Marek Arczyński obdarował mnie „Małym Piłsudczykiem” (ok. 1944).

Pan Jan, żołnierz legionów, był pochodzenia żydowskiego (tego oczywiście dowiedziałem się już po wojnie). Często zaglądał do kieliszka. Potrafił nieraz w nocy wracać podchmielony po godzinie policyjnej, śpiewając w nos niemieckim wartownikom. Chyba byli to lotnicy, żołnierze z mniej krwiożerczych formacji. Puszczali go wolno. Jego żona skrzypaczka drżała o niego. Przeżyli wojnę, osiedlili się we Wrocławiu.

Mały, poważny, jasnowłosy wtedy, z dużą czupryną byłem rozpieszczany przez starsze kobiety. Jedna z nich zaprowadziła mnie za rękę na dach

naszej kamienicy i pokazała płonące getto. Pamiętam jej słowa: *Dzięki Ci, o Boże, że Niemcy to za nas zrobili.*

My z matką wynieśliśmy się ze Smolnej dokładnie 21 czerwca 1944 roku. Podobno przyczyną były jakieś nieporozumienia między paniami. Pamiętam dokładnie datę, bo odwoził nas do Międzyborowa pod Żyrardowem dziwny pan ze złamanym nosem. Matka następnego dnia miała urodziny.

21 czerwca 1944 roku o siódmej wieczorem, tak jak mi podpowiedział dziwny pan, wręczyłem matce nieco przed czasem czekoladki. Dziwny pan okazał się potem komunistą, oficerem Armii Ludowej, Zbigniewem Paszkowskim (1913–1975). Brał udział w powstaniu warszawskim. Ożenił się z przyjaciółką matki Ireną, wdową po Ignasiu Romanowiczu, inżynierze chemiku, który kierował laboratorium chemicznym Armii Ludowej. Ignaś znalazł się wśród pięćdziesieciu powieszonych przez gestapo w październiku 1942 roku. Na szubienicach w odwecie za akcję Armii Krajowej zawiśli ludzie różnych przekonań.

Po wojnie widziałem parę razy pułkownika Zbigniewa Paszkowskiego, pracował w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego. Spotykałem go w domu u profesor biologii Ireny, jego żony, kiedyś też na plaży w Sopocie. Podobno ten milczek w lepszych dniach mówił ludziom dzień dobry. Nie udało mi się nigdy z nim porozmawiać. A jednak to on potrafił podobno powiedzieć publicznie ministrowi spraw wewnętrznych Moczarowi, szefowi pseudopatriotycznej antysemickiej frakcji partyzantów w PZPR:

– *Będziesz wisiał za to, co wyprawiasz.*

Matka w Międzyborowie, a potem w Jaktorowie dorabiała handlem obnośnym. Całą zimę wędrowała po wsiach z towarem ze sklepu naszego dawnego sąsiada ze Smolnej, który po powstaniu otworzył sklepik w Jaktorowie. Pamiętam, że do towarów należał papier toaletowy sprzedawany inteligencji, która po powstaniu tułała się w okolicach Żyrardowa. W tych zimowych wędrówkach, w butach na drewnianych podeszwach, matka okaleczyła sobie stopy na całe życie. Mnie to ominęło, chociaż posyłany codziennie w zimie po świeże mleko dla mnie

i mniejszego ode mnie Maćka Janiszewskiego, mieszkającego ze swą matką razem z nami w jednym pokoju, biegałem po bezdrożach. Parę razy wpadłem do strumieni pokrytych skorupą śnieżno-lodową. Wracałem z drewniakami przymarzniętymi do stóp. Trzeba było je odmrażać.

U wspomnianego właściciela sklepu, w którego córeczce Zosi podkochiwałem się jeszcze w Warszawie, odbywały się jakieś komplety – nauczanie dzieci. Wątpię, czy regularnie. W każdym razie poszedłem z tą dzieciarnią do kościoła. I tam usłyszałem, jak ksiądz potępiał inteligentów z Warszawy, którzy przestali chodzić do kościoła. Wykrzyknął:

– *To Żydzi!*

Wróciłem do domu, do naszego jaktorowskiego gospodarza Pawlaka i oświadczyłem mamie:

– *Więcej do kościoła nie pójdę. Ksiądz skazuje was na śmierć.*

Nie wiedziałem wówczas, że matka jest z pochodzenia Żydówką, ale wiedziałem, że takie określenie to wyrok śmierci.

W Łodzi po wyzwoleniu rodzice zapisali mnie do renomowanej prywatnej szkoły podstawowej na Piotrkowskiej 120, w której nauczano religii. Pamiętam, że z lekcji religii wychodziło poza mną jeszcze dwoje dzieciaków: przyszły inżynier Janek Białas (Piotrowski), syn jednego z przywódców PPS–WRN, szefa Społecznego Komitetu Antykomunistycznego, który w 1946 roku przedostał się do Londynu, i przyszły poeta Jarek Marek Rymkiewicz, którego matkę lekarkę bardzo lubiłem. Ojciec jego, prawnik, był pisarzem.

Nauczycielki okazywały mi życzliwość. Koledzy mniej. Kiedy któregoś dnia pogonili mnie, rzucając kamieniami po głównej ulicy miasta – Piotrkowskiej, z różnymi okrzykami przeciwko niedowiarkowi, dostałem wysokiej gorączki. Miałem dopiero dziesięć lat. Pamiętam, że w nocy przy moim łóżku czuwały na zmianę matka i jej przyjaciółka Róża, porucznik Wojska Polskiego, która przyszła z armią polską z ZSRR. Z uwagi na niski wzrost i rysy twarzy była potocznie nazywana „Chinką". Przed wojną była pielęgniarką w żydowskim szpitalu na Czystem, gdzie moja młodziutka matka była siostrą oddziałową na oddziale psychiatrycznym.

Po zajściach w prywatnej szkole matka przepisała mnie do szkoły Robotniczego Towarzystwa Przyjaciół Dzieci przy ulicy Cegielnianej. Tam i w świetlicy, którą wydawnictwo ojca prowadziło w Łodzi przy ulicy Kościuszki, nawiązałem wiele znajomości na całe życie.

14. Szkoła

Po wojnie nadgoniłem program szkolny i poszedłem jesienią 1945 roku w Łodzi do klasy piątej. Ojciec nie miał jeszcze w Warszawie mieszkania. Kiedy przyjeżdżałem do niego, sypialiśmy razem na jednym szerokim tapczanie w pokoju, który przylegał do jego służbowego gabinetu w „Czytelniku" na Wiejskiej 12. Sekretariat, gabinet prezesa i pokój mieszkalny były niewielkie i tworzyły jeden ciąg w amfiladzie. Bardziej reprezentacyjny budynek „Czytelnika" był obok, dopiero w budowie. Ojciec pracował po nocach. Kiedyś zwalił się spać w dzień w pokoju mieszkalnym, nie zamykając drzwi do gabinetu. Nasz duży pudel imieniem Dam skorzystał z okazji, wślizgnął się do gabinetu i spokojnie rozparł na fotelu prezesa. Przez sekretariat z drugiej strony wszedł umówiony z ojcem przyjaciel Eryk (Lipiński), znakomity grafik. Pies nie drgnął, z sąsiedniego pokoju rozlegało się donośne chrapanie. Eryk narysował całą scenę z Damem na fotelu za biurkiem i podpisał *Dziękuję Panu Prezesowi za audiencję*. I poszedł. W tych warunkach trudno było mnie przenosić do Warszawy i posyłać do szkoły. Aby nie tracić czasu, ojciec umieścił mnie u swojego brata Jacka (Józefa) Różańskiego, który z rodziną miał służbowe mieszkanie na ulicy Narbutta 6. Obok, na Narbutta 14, mieściła się Szkoła Podstawowa nr 85. Siłą rzeczy, zapisano mnie do niej. W czasie wojny budynki szkoły służyły jako koszary SS. Po kilku tygodniach gotowe było nasze mieszkanie w budynku „Czytelnika" na ulicy Frascati. Matka sprowadziła się z Łodzi, a ja zacząłem dojeżdżać z Frascati do szkoły na Narbutta. Z początku dowoził mnie ojciec z kierowcą lub któryś z kierowców „Czytelnika". Ale zauważyli to koledzy, mimo że nie wysiadałem pod samą szkołą. Poprosiłem, aby z tego zrezygnować. Nie chciałem się wyróżniać. Auta osobowe były wtedy wielkim luksusem.

I odtąd na Narbutta, i później na Wiktorską wędrowałem tramwajem lub trolejbusem.

Mieszkając z początku na Narbutta, miałem bardzo słabe pojęcie o tym, co robi mój stryj. W mieszkaniu poza ciotką i moją wtedy sześcioletnią siostrą stryjeczną Stefą mieszkała jeszcze jedna pani. Wiedziałem, że obie panie pracują w Komitecie Centralnym Polskiej Partii Robotniczej. Zorientowałem się, że stryj ma do czynienia z więźniami, bo na jednej z etażerek stał duży model statku żaglowego. Pokazywał go wszystkim, mówiąc:

– *To zrobili mi więźniowie.*

Osławionego później pułkownika Różańskiego prawie nigdy nie było w domu. Za to często zachodziła – stara w moich ówczesnych oczach jedenastolatka – sąsiadka Maria Kamińska (Eigerowa). Zapamiętałem, że ta pani pochodzi z bardzo bogatej rodziny przemysłowców łódzkich, że wyrzekła się dóbr i wszystkiego, aby walczyć o komunizm, i że przed wojną była w Polsce więziona za przekonania. Asceza była widoczna zarówno w mieszkaniu Marii Kamińskiej, jak i pułkownika Różańskiego. Puste ściany, żadnych cennych mebli, żadnych dywanów. Nie mieli nawet własnej lodówki, na co skarżyła się dojeżdżająca do nich stara gosposia, pani Czesława.

W szkołę na Narbutta wprowadzał mnie mieszkający nieopodal na ulicy Puławskiej Lolek (Leon) Kasman, bratanek członka KC PPR, znanego komunisty takoż Leona Kasmana. Zbliżały ich nie tylko imiona, ale i wygląd zewnętrzny. Od małego do dużego byli to wysocy, przystojni mężczyźni. Stryj, zrzucony z desantem radzieckim na Lubelszczyznę, odnalazł Lolka w jakimś krakowskim sierocińcu. Rodziców Lolka pochłonęła wojna. Lolek był żywy, wesoły, pełen inwencji. Zaprowadził mnie do mojej nowej klasy. Na jednej z pierwszych lekcji była geografia. Brakowało podręczników. Pamiętam, że nasza nauczycielka, bodaj pani Kucharska, podyktowała nam tekst o Wołyniu. Na następnej lekcji kazała nam w pośpiechu wydrzeć stroniczki o Wołyniu z zeszytów. W szkole była inspekcja. Wołyń nie był już polski. Szło nowe.

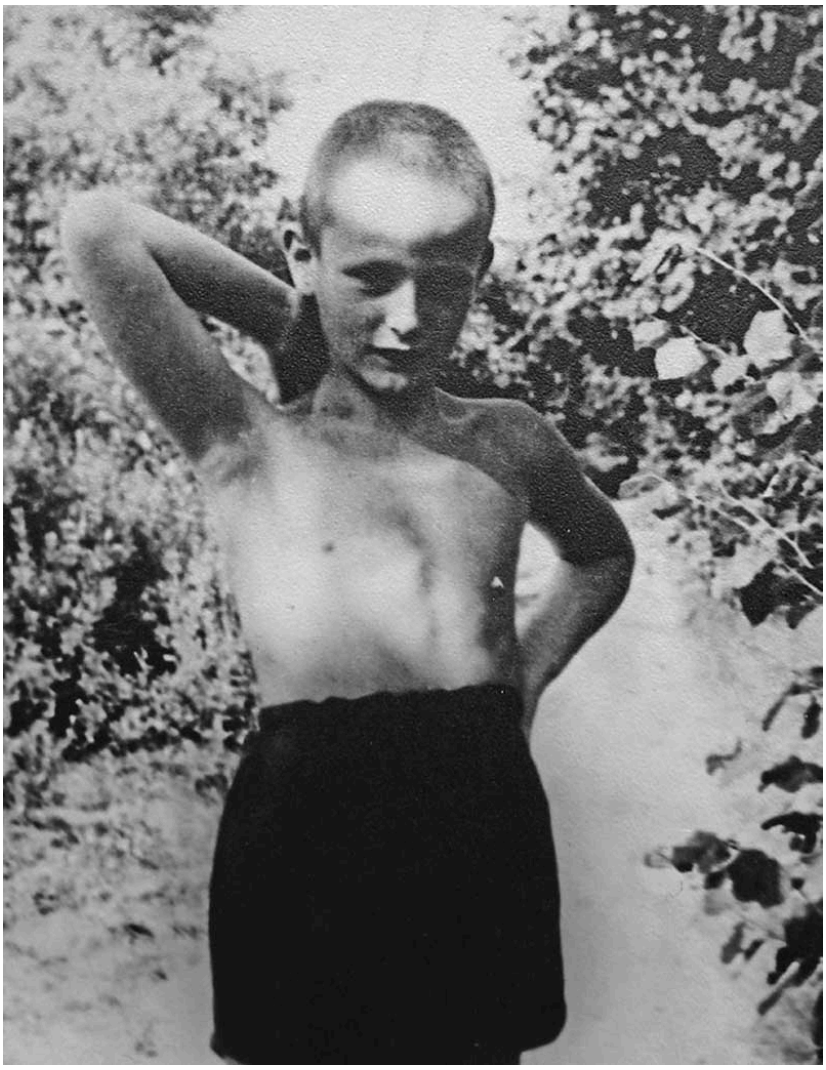

27. Pierwsze powojenne zdjęcie na koloniach „Czytelnika” w Tuszynku pod Łodzią. Po doświadczeniach wojennych ogolony na zero (1945).

W 1948 roku, w związku ze Światowym Kongresem Intelektualistów we Wrocławiu, szkole nr 85 nadano imię dziewiętnastowiecznego bohatera, prezydenta Meksyku, Benito Juareza. Przypuszczam, że z inspiracji mojego ojca, który interesował się zawsze Meksykiem i miał jakieś kontakty z czołowym politykiem meksykańskim, generałem Lazaro Cardenasem (1895–1970), zresztą też działaczem Ruchu Obrońców Pokoju.

Ani szkoły na Narbutta, ani później ostatnich klas w szkole TPD nr 3 na ulicy Wiktorskiej nie nosiłem zbyt głęboko w sercu. Z kilku powodów. Byłem dobrym uczniem, ale z matematyką i zwłaszcza z fizyką miałem

duże trudności. Po dziś dzień nie mogę pojąć, że ziemia jest okrągła. Migałem się, jak mogłem, od klasówek. Na maturze miałem sporo piątek i ku zdumieniu nauczycieli napisałem na bezapelacyjną piątkę maturę z matematyki. Ale na pytania z fizyki nie potrafiłem wydukać ani słowa. Komisja składała się z mądrych pedagogów. Dodali pięć do dwóch i podzielili przez dwa. I na maturze miałem z matematyki i fizyki dwie trójki. Podobno młody nauczyciel, który nas uczył fizyki, dopiero co wyszedł z więzienia. Podobno był krewnym Marii Bohuszewiczówny (1865–1887), bohaterki pierwszej polskiej partii socjalistycznej „Proletariat". Nie mogłem jakoś pogodzić tych faktów: więzienie za socjalizmu. Nie rozumieliśmy też, dlaczego aresztowano ojca naszej koleżanki Anki, bezpartyjnego pułkownika dyplomowanego, Albina Leszczyńskiego. Starano się go uwikłać w całkowicie wydumany stalinowski proces polskich wyższych oficerów. Później dowiedziałem się, że był dwukrotnie odznaczony orderem Virtuti Militari, za rok 1920 i 1939. Na całe szczęście przeżył. O takich sprawach mówiliśmy półgębkiem. Ale żyliśmy w wirwarze stale narzucanych aktywności. Czasu na myślenie nie było za wiele.

Dzieci, które wyszły z piekła wojennego, różnie reagowały. Ja chciałem być aktywny. Wiele lat po maturze, po dyplomach uniwersyteckich, przeczytałem słowa Franza Leopolda Neumanna w jego klasycznym „Behemocie" o życiu w systemach totalitarnych: *Narzucanie aktywności zamiast myślenia oznacza, że ludzie nigdy nie mają możliwości ani czasu na samodzielne myślenie.*

Moje dzieciństwo było związane z domami „Czytelnika", z jego ośrodkami wypoczynkowymi w Świdrze i na Bukowinie Tatrzańskiej. Nie forytowano mnie specjalnie jako „syna prezesa", co więcej, w Świdrze raz mnie poturbowano. Koledzy ze szkoły podstawowej usiłowali mi ściągnąć majtki. Doszło do bijatyki. Dopiero w wiele lat później, przypominajac sobie tę scenę, zrozumiałem, że pewnie chcieli sprawdzić, czy jestem obrzezany, czy jestem Żydem, czy nie. Poskarżyłem się listem do ojca. Odpowiedź była lakoniczna: żebym się nie obrażał i nie skarżył o byle co,

a jeśli cię naprawdę obrażą, nie przebaczaj, wal w mordę. Miałem trzynaście lat na koloniach w Bukowinie, kiedy siedemnastoletni dryblas z Krakowa zaczął się przy kolegach naśmiewać z Kongresu Intelektualistów we Wrocławiu i z mojego ojca. Uderzyłem go w twarz. Gdyby nie koledzy, którzy złapali go za ręce, byłby mnie zmiażdżył. Wychowawcom niczego nie powiedzieliśmy.

Trzech bardzo młodych badaczy dziejów „Polski Ludowej" pytało mnie, jak wyglądało życie towarzyskie nomenklatury. Od końca 1948 roku mieszkałem z matką w „nomenklaturowym domu" w alei Róż 6. Ale z sąsiadów prawie nikogo nie znałem. Lata 1949–1952 upłynęły pod znakiem ciężkiej choroby i śmierci ojca. Nie było mi do balowania. W roku 1952 wyjechałem na studia do ZSRR.

28. Ewa Borejszyna zaraz po wojnie.

Do dwudziestego czwartego roku życia zachowano mi po ojcu prawo do korzystania z lecznicy rządowej. Byliśmy z matką w kręgu władzy. Ale dalekim. Nie bez znaczenia pozostawał fakt, że wojnę spędziliśmy z matką na ziemiach polskich. Ankieterzy policyjni na ślepo zakładali, że w ZSRR. Znamiennie pomylił się oficer śledczy w procesie Karola Modzelewskiego, zaliczając mnie do jego znajomych z Moskwy. W rzeczywistości poznałem go sporo miesięcy po procesie. Znałem z seminarium profesora Henryka

Jabłońskiego tylko Jacka Kuronia. Prawie nikogo z aktywnych potem tak zwanych komandosów.

Drugim powodem, który trochę zrażał mnie do szkoły, była dominacja zwartej grupy kolegów mówiących ze sobą na przerwach międzylekcyjnych po rosyjsku. Były to dzieci repatriantów ze Związku Radzieckiego i kilkoro ich warszawskich kumpli. Grupa może dziesięciu, ale trzęśli szkołą. Wyróżniali się pracowitością, nawet kujoństwem. W szkole nazywano ich „chińskimi uczonymi". Walerian Majewski czy Janek Rychlewski z niewielką kohortą wspólników rządzili wszystkim. Na przerwach stale latało głośno rosyjskie słowo „silon" (mocna sprawa), którym wyrażali podziw i aprobatę.

Ci repatrianci bynajmniej nie byli dziećmi czołowej nomenklatury komunistycznej, choć i paru takich nie brakowało. Znamienne, że różnice między nami uzewnętrzniały się stopniowo coraz bardziej w miarę zaostrzania stalinowskiego kursu politycznego w Polsce. Jak mi ponad sześćdziesiąt lat później przypomniał profesor wyższej szkoły w USA, informatyk Majewski, to ja około 1947 roku wciągnąłem jego jako dwunastolatek do koła „młodzików" (nie osiągnęliśmy wymaganej kategorii wiekowej) Związku Walki Młodych, organizacji prokomunistycznej. Zbieraliśmy się poza szkołą niedaleko rogu ulic Puławskiej i Rakowieckiej w pomieszczeniach tak zwanej Dzielnicy ZWM Mokotów („dla dorosłych"), gdzie rządzili starsi. Pełno było tam sporów i przemówień, przychodziło dużo młodzieży robotniczej, gęsty dym papierosowy wypełniał salę zebrań… Zapamiętałem płomienne wystąpienia Stefanka Marodyego (1935–2005) o lepszym ustroju. Malutki błyskotliwy Stefan i kupa starszych chłopaków z innej bajki, czasami już pracujących zarobkowo. Do mego pamiętnika szkolnego w siódmej klasie jeden Stefan wprowadził wpis polityczny: *Walką, nauką, pracą budujemy nasz dom – Polskę Ludową*. Wyglądało to osobliwie na tle zwykłych banalnych życzeń koleżanek i kolegów dwunasto- i trzynastoletnich: *Idź śmiało przez życie, miej byczą minę, łap szczęście za ogon i duś jak cytrynę.* Lub po prostu: *Jak ciche potoki wody płyną po zielonej niwie, tak niech płynie wiek twój młody cicho,*

słodko i szczęśliwie. Stefan Marody szybko rozstał się na studiach w Odessie z mirażami dzieciństwa, czemu dawał głośno wyraz. Odwołano go do kraju.

Wśród młodych robotników my, smarkacze ze szkoły podstawowej z ulicy Narbutta, nie czuliśmy się zbyt na miejscu. Nasza niewielka grupka młodzików ZWM przeniosła się na Marszałkowską 18 do dzielnicy Śródmieście. Byłem tylko kilka miesięcy władzą – przewodniczącym „secesjonistów". Zajęliśmy się głównie wycieczkami rowerowymi do lasu w Powsinie. I niebawem nasze koło uległo rozproszeniu.

Po przeniesieniu nas – starszych uczniów – do szkoły TPD nr 3 przy ulicy Wiktorskiej przestałem się udzielać aktywnie w organizacjach młodzieżowych. Widać to z zachowanych protokołów zebrań szkolnego Związku Młodzieży Polskiej – następcy ZWM. Widać to i z krótkich dziejów grupki przeciwników ustroju zorganizowanej w szkole do bicia członków ZMP – mieliśmy już po piętnaście, szesnaście lat. Mnie nie było na liście proskrypcyjnej, co aktyw ZMP miał mi za złe. A pierwszego pobito kierownika oświatowego Zarządu Szkolnego ZMP, mojego przyjaciela prawie od przedszkola do dzisiaj, Krzysztofa Pomiana. Bicie aktywistów organizował mój kumpel Zygmunt Czechowski, zwany „Pyzą". Uwięziono go. Wypuszczono „Pyzę" po interwencji mojego dogorywającego już w Konstancinie ojca, który zaapelował, aby z wygłupów gówniarzy nie robić sprawy politycznej.

Po uwolnieniu „Pyzy" ojciec zaprosił nas do siebie do Konstancina. Mieszkał wtedy w willi u państwa Witwickich. Pojechaliśmy we dwóch na rowerach. O czym ojciec mówił z Zygmuntem, nie pamiętam. Pamiętam za to, że nalał jemu i sobie po kieliszku wódki. Spojrzał na mnie i powiedział:

– *Jurek jeszcze nie powinien pić.*

Może obawiał się po prostu reprymendy matki.

Przeszło wiele dziesięcioleci od mojej matury w maju 1952 roku. Przewodniczący naszego szkolnego ZMP Walerek Majewski od dawna jest w Waszyngtonie. Pozostał zdeklarowanym rusofilem, ale jednocześnie jest antykomunistą, przyjacielem znanych rosyjskich emigrantów-dysydentów.

Między innymi Witalija Aksionowa. I przysyła mi stare materiały archiwalne o naszej młodości. Czynny nadal zawodowo ponad osiemdziesięcioletni pedagog informatyk uruchomił w sobie maszynę retro. Żyje przeszłością.

Oto nadesłany przez niego fragment z protokołu zebrania Zarządu Szkolnego ZMP z 13 grudnia 1950 roku: *Nasze błędy to* – cytuję dosłownie – *dopuszczenie do zbyt dużego rozrostu ZMP – ogarnięcie 80% do 100 % młodzieży. Przeniknięcie do organizacji synów kułaków i obcych klasowo. Oderwanie aktywu od mas, zbyt mała walka z działalnością wroga. Niedostateczne są osiągnięcia młodzieży w walce o pokój. Nie dbano o to, jak młodzież spędza czas po szkole. Za mało walczyliśmy z objawami demoralizacji, przejawami wrogiej roboty [...] Nie korzystaliśmy z doświadczeń Komsomołu.* I dalej w tymże duchu spisywano w roku 1950 bełkotliwe i bezmyślne protokoły naszego szkolnego ZMP. Skąd braliśmy tych kułaków? Te porządki w naszej szkole zaprowadzili głównie koledzy repatrianci z ZSRR. Uczyli się dobrze, mieli wpojoną jakąś wojskową dyscyplinę. Czytali namiętnie radziecką literaturę i gazety. I przeszczepiali nam radzieckie wzorce. Powołali do życia koleżeńskie patrole zwane „lekką kawalerią", które chodziły do mieszkań i kontrolowały, jak się uczymy. (Ale również zwracały uwagę na kłopoty materialne kolegów). Współgrało to z ogólną atmosferą w stalinowskiej Polsce, w totalitaryzowanym społeczeństwie. Krytyki i samokrytyki były dniem codziennym życia naszej szkoły, za byle co usuwano z ZMP. A to skutkowało blokowaniem drogi na studia wyższe. Godziłem się z tym całym bełkotem propagandowym. Ale nie godziłem się często z usuwaniem kolegów z ZMP. Wiedziałem, czym to grozi. W podtekście zaś było i to, że usuwani przeżyli wojnę tak jak ja, w Warszawie, a usuwający częściej w dalekim ZSRR. Jeden z członków zarządu szkolnego nie wytrzymał i publicznie powiedział, że *niektórzy zachorowali na manię wyrzucania i zawieszania.* Krzysiek Pomian, który też wojnę przeżył w Azji Środkowej, członek zarządu szkolnego, nagle oświadczył, że *my nie wiemy, jak wygląda walka klasowa, nie orientujemy się.*

Przesyłając mi kopie szkolnych protokołów około roku 2000, trzymający nas niegdyś za twarze Walerek Majewski, przewodniczący szkolnego ZMP, dopisał żałosny komentarz: *Stalin dostawał akurat nasilonej paranoi i nam spuszczano jego nastroje.*

29. Siedemdziesiąt lat po maturze spotkanie kolegów ze szkoły Towarzystwa Przyjaciół Dzieci (TPD) nr 3. Od lewej: Walerian Majewski, Leon Kasman, Wojciech Salski, autor, Ernest Skalski (lipiec 2017).

Po latach okazało się, że dzieci, dziewczęta i chłopcy z mojej szkoły przeszli przez magiel i głód radzieckich domów dziecka, byli sierotami czy półsierotami po rozstrzelanych w czasie „wielkiej czystki" polskich komunistach. Terror, pranie mózgów, codzienna indoktrynacja ukształtowały tych nieletnich budowniczych polskiej kopii stalinizmu. Majewski, Rychlewski, Jurek Trawiński stracili w „wielkiej czystce": pierwszy – dziadka, drugi – ojca, trzeci – matkę. Trawiński zresztą nie pchał się do wychowywania kolegów. Większość przybyszy z ZSRR znormalniała z czasem. Ale nie wszyscy. Długie lata przemilczali prawdę o swoim dzieciństwie. W latach dziewięćdziesiątych wielu kolegom z tego pokolenia przywoziłem z Rosji jako historyk mający wtedy dostęp do akt

Międzynarodówki Komunistycznej, kopie dokumentów o tragicznej śmierci ich bliskich.

Pojmuję to, że dzieci oderwane od rodzin można było zindoktrynować. Ale dlaczego polski stalinizm budowali dorośli po długich latach sowieckich łagrów? Czy wiara w religię komunistyczną usprawiedliwiającą przemoc i zbrodnię tłumaczy wszystko?

15. Aleja Róż 6 i literaci

W 1948 roku przenieśliśmy się z domu „Czytelnika" do pięknego trzypokojowego mieszkania w alei Róż 6. Ta historyczna uliczka w samym sercu Warszawy po raz kolejny zaczęła po odbudowie pełnić funkcje oazy rządowej. Za caratu przy ulicy tej mieszkali niektórzy wysocy urzędnicy, między innymi ojciec poety Aleksandra Błoka – profesor prawa Uniwersytetu Warszawskiego, też Aleksander. W międzywojniu widywano tu często Józefa Becka. Podczas okupacji niemieckiej nowi okupanci.

Premier Cyrankiewicz dawał tam od 1948 roku przydziały pisarzom, zwłaszcza pod numerem szóstym. Tu mieszkali Władysław Broniewski, Gałczyńscy (których poznałem wtedy bliżej, byli bardzo kontaktowi i sympatyczni), Jan Kott, Leon Kruczkowski, później sprowadził się Antoni Słonimski. Nie wyczerpywało to całego spisu wprowadzonych tam ludzi kultury i nauki. Do tych ostatnich należał profesor medycyny nefrolog Tadeusz Orłowski. Wprowadzał się i wyprowadzał z tego budynku zależnie od swoich układów małżeńskich Włodzimierz Sokorski, ówczesny minister kultury. Pozostałe domy były bardziej czysto rządowe, mieszkał tam Cyrankiewicz i wielu ministrów. Tam, jak i pod ambasadami Wielkiej Brytanii i Czechosłowacji, okalającymi aleję Róż, stacjonowała na zewnątrz i wewnątrz ochrona milicyjna. „Szóstka", wbrew antykomunistycznym legendom kojarzącym poetów z milicjantami, nie miała żadnej kontroli przy wejściu. Na prawo na parterze w skromnym jednopokojowym mieszkanku mieszkała teściowa profesora (i polityka) Stefana Żółkiewskiego pani Bormanowa. Niedawno w prasie wyczytałem, że mieściła się tam placówka BOR-u (Biura Ochrony Rządu)... Nie zmieniało to w niczym faktu, że ulica była, jak to się mówiło, „nomenklaturowa" – tu mieszkania przydzielał sam premier bądź Urząd Rady Ministrów. Po

śmierci ojca matka poprosiła o zamianę trzypokojowego mieszkania jako zbyt dużego luksusu na dwupokojowe. Przypominam: był rok 1952 i znaczna część Warszawy leżała jeszcze w gruzach. Dodam od razu, że znałem tylko paru lokatorów z numeru szóstego i nikogo z osobistości spoza tego domu (poza premierem, o czym za chwilę).

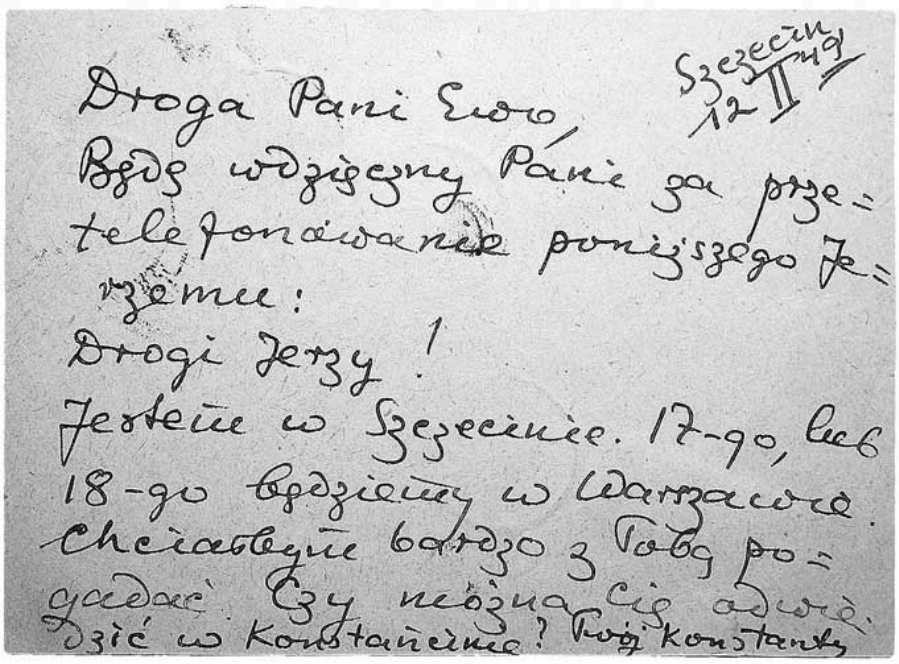
Szczecin 19 II 12
Droga Pani Ewo,
Bądź wdzięczny Panie za prze=
telefonowanie poniższego Ze=
szemee:
Drogi Jerzy!
Jesteście w Szczecinie. 17-go, lub
18-go będziemy w Warszawie.
Chciałbym bardzo z Tobą po=
gadać. Czy możnaby się gdzieś
dzić w Konstancinie? Twój Konstanty

30. Jedna z wielu kartek od sąsiada Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego (1949).

Władysław Broniewski mieszkał w lewej klatce schodowej naszego domu i znany był z nadużywania alkoholu. Nie wspomnę już o „wieszczu pomniejszym", też tęgo pijącym Stanisławie Ryszardzie Dobrowolskim. Ten sympatyczny osobiście poeta dał się nagle wciągnąć w morze antysemickich bałwanów 1968 roku. I mieszkańcy „domu literatów" mieli go w pogardzie. „Głupia sprawa". Taki tytuł nosiła mizerna powieść, jaką napisał pod publiczkę generała Mieczysława Moczara. Sięgał często do kieliszka. Ale nie w alkoholu tkwiła przyczyna kompromitacji Dobrowolskiego.

Alkoholikiem numer jeden alei Róż był niewątpliwie wielki i tragiczny poeta arcypolski Władysław Broniewski. W rzadkich okresach trzeźwości napisał:

Uliczką chodzą muzy
i Ildefons Konstanty.
Za dużo rządowych limuzyn
Więc chciałbym uciec stamtąd.

A także:

Ja chciałbym zbiec z różanego raju na bosaka, bez alkoholu.

Biografowie piszą o jego trudnym ostatnim małżeństwie. Już po zawarciu tego związku w grudniu roku bodaj 1948 byłem z rodzicami, z Broniewskimi i ze słynnym fizykiem Stefanem Pieńkowskim na zaproszenie Stanisława Lorentza na święta Bożego Narodzenia w pałacu w Nieborowie. Grono było niewielkie. Jadaliśmy przy jednym długim stole. Służba podawała skromne dania, porównując zapewne to ubóstwo z czasami dawnych właścicieli pałacu – Radziwiłłów. Wpatrywałem się w mojego idola – Broniewskiego. Był trzeźwy. Ale jego stosunki z żoną były oschłe. Był nieuprzejmy. Kiedy wróciliśmy do naszych pokoi, ojciec spojrzał na mnie i wytłumaczył:

– Stale jest myślami przy swojej wielkiej miłości Marii Zarębińskiej; zmarła rok temu.

Rok później chyba, jako czternastoletni uczeń, spotkałem Broniewskiego na schodach. Nie pamiętam, jak to dokładnie było. Wiem, że kończył właśnie „Słowo o Stalinie" na konkurs ogłoszony na 70-lecie „wielkiego wodza" (1949), „ludożercy" (2017 – kiedy piszę te słowa). Pozwolił mi czy też zaproponował, abym sobie przepisał do gazetki ściennej w mojej szkole TPD nr 3 na ulicy Wiktorskiej w Warszawie pierwsze zwrotki poematu. Zachwycony uczyniłem to. Podejrzewam, że był to pierwodruk. Lustratorzy mają za co mnie sądzić.

Wyczyny alkoholowe Broniewskiego są znane. Ja sam byłem świadkiem niejednego. W Juracie (chyba latem 1953) maszerował sam główną ulicą

w kierunku plaży o jedenastej w dzień tylko w slipach i w szlafroku, z butelką wódki wystającą z kieszeni. Matka moja zobaczyła go i po cichu kazała mi iść za poetą i pilnować, żeby się nie utopił.

Rok czy dwa lata wcześniej pani Franciszka Szewczyk, nasza gosposia, kobieta potężnej postury, wróciła w niedzielę z miasta z naręczem kwiatów i oznajmiła niedbale mojej matce:

– *Wie pani, na schodach oświadczył mi się ten poeta z drugiej klatki.*

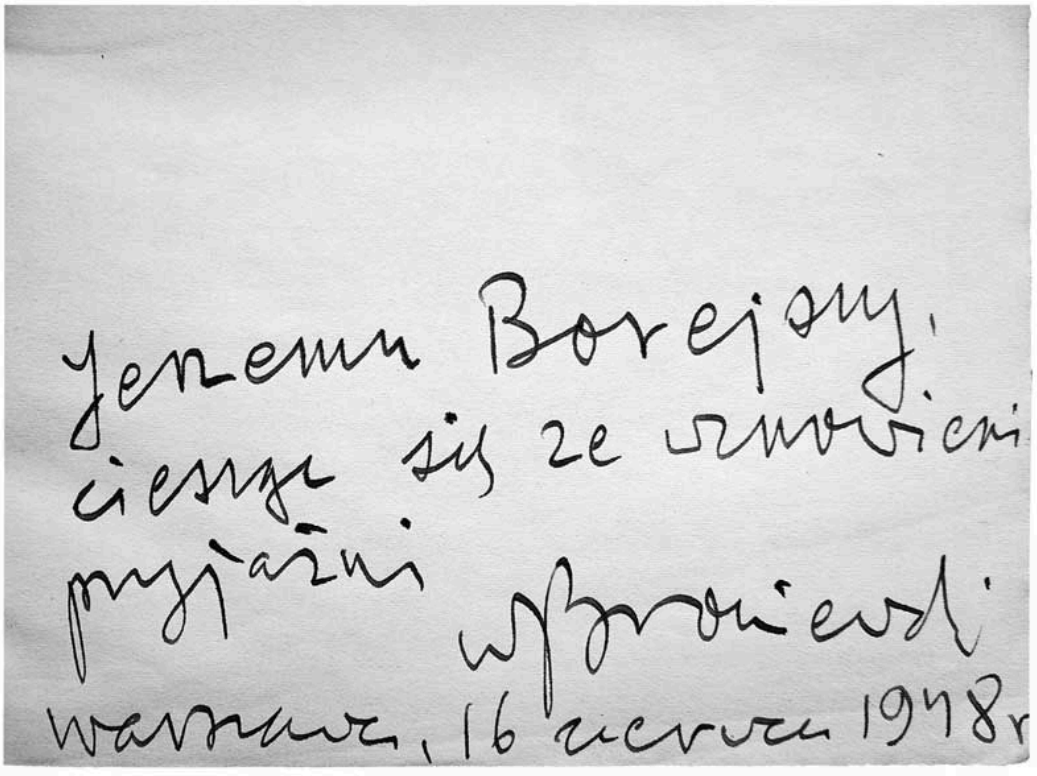

31. Dedykacja W. Broniewskiego na *Wierszach zebranych*, ślad wznowienia przyjaźni po trudnych latach w ZSRR (1948).

Broniewski miał znany powszechnie zwyczaj budzenia znajomych w nocy, gdy był w szczególnym upojeniu alkoholowym. Kiedyś zerwał o czwartej czy piątej nad ranem sąsiada Władysława Matwina, podówczas na krótko tak zwanego liberalnego sekretarza Komitetu Centralnego PZPR. Matwin, człowiek solidny, syn górniczej rodziny, szanujący naukę i kulturę samouk z tytułem magistra matematyki, zszedł z żoną – oboje w piżamach i kapciach – piętro niżej.

Nastawili się na coś niezwykłego.

I rzeczywiście.

– *Napisałem rzecz genialną* – oświadczył rozochocony Broniewski. – *Słuchajcie!*

I odczytał im wypisaną z pamięci na kartce całą „Odę do młodości" Adama Mickiewicza. Nie kojarzył, że to ktoś już napisał sto czterdzieści lat wcześniej.

Ale z późniejszych lektur, ze strzępów rozmów na schodach, ze zdań, jakie poeta rzucał czasem wpatrzonemu weń uczniakowi wiem, że dzisiejsi biografowie nie doceniają kalibru intelektualnego tego wielkiego poety, jego oczytania i łatwości tłumaczenia z rosyjskiego. Z jakąż przesadą autora więziennych wierszy ze Lwowa umieszczona na piedestale Polski Ludowej.

W archiwum ojca zostały nikłe ślady po Broniewskim. Ojciec po uwięzieniu Broniewskiego we Lwowie złożył jakoby obciążające go zeznania. W teczce Broniewskiego w tak zwanym archiwum Kominternu w Moskwie nie znalazłem potwierdzenia. Ale jest ona bardzo fragmentaryczna.

Za to w dokumentach ojca widziałem skrawek papieru zapisany jego ręką. A w nim słowa: *Władek! Wyjdź z hotelu, to porozmawiamy*. Czy ojciec bał się podsłuchów, czy i zbędnych świadków? Jakim cudem tekst się zachował u ojca? Jako brudnopis? Oddany ojcu przez Broniewskiego, aby nie został w jego papierach? Mogło to być parę słów napisanych w Moskwie po wypuszczeniu Broniewskiego w 1941 roku z więzienia na Łubiance lub na początku roku 1942 w Kujbyszewie. Dziennik ojca z lat 1941–1944 potwierdza, że po wypuszczeniu poety z więzienia spotykali się i że pisał do niego listy.

Znali się dobrze z lat trzydziestych Ojciec wydrukował w tygodniku „Czarno na Białym", w którym często zastępował redaktora naczelnego, słynny wiersz Broniewskiego z 1939 roku, napisany w obliczu grożącej inwazji niemieckiej – „Bagnet na broń":

Są w ojczyźnie rachunki krzywd,
Obca dłoń ich też nie przekreśli,
Ale krwi nie odmówi nikt [...].

Broniewski wybaczał i krzywdy osobiste. Prawdziwe i urojone. W książkach pozostałych po ojcu jest zbiór poezji Broniewskiego z dedykacją z 16 czerwca 1948 roku: *Jerzemu Borejszy, ciesząc się ze wznowienia przyjaźni.*

16. Grypsy z Konzentrationslager Auschwitz

Nakładem Wydawnictwa Uniwersytetu Jagiellońskiego ukazały się grypsy pisane przez dwóch więźniów najstraszniejszego hitlerowskiego obozu koncentracyjnego i zarazem obozu zagłady: Auschwitz-Birkenau. Więźniami tymi byli polityk Józef Cyrankiewicz (1911–1989) i lekarz Stanisław Kłodziński (1918–1990). Ogromny tom dokumentów. Porównuję liczne dowody bohaterstwa obu więźniów, bohaterstwa w warunkach ekstremalnego, codziennego zagrożenia życia i zbiór drukowanych i internetowych inwektyw, a także prawdziwych zarzutów miotanych pod adresem „wiecznego premiera" Polski Ludowej. Porównuję też inwektywy i zmyślenia o Cyrankiewiczu ze słowami najwyższego uznania o nim, jako więźniu Oświęcimia, które słyszeliśmy podczas prelekcji doktora Piotra Cywińskiego, dyrektora Muzeum Auschwitz-Birkenau w Oświęcimiu, w Instytucie Historii PAN w dniu 22 marca 2016 roku.

Premierem był – z niewielką przerwą – od roku 1947 po 1970. Z czasów mojego dzieciństwa pamiętam, że ojciec lansował kandydaturę Cyrankiewicza na premiera. Mówił kiedyś przy mnie do matki, że jest to „niezwykła inteligencja". Łysy, smukły podówczas, przystojny, dosyć wysoki mężczyzna bywał w latach 1946–1947 w naszym mieszkaniu, w domu „Czytelnika" przy ulicy Frascati. My, dzieci pracowników Spółdzielni Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik", uważaliśmy, że jesteśmy bardzo ważni, bo firma naszych rodziców posiadała przy ówczesnej ulicy Daszyńskiego (Wiejskiej) kilka domów, a Centralny Komitet Wykonawczy Polskiej Partii Socjalistycznej (PPS), którego sekretarzem generalnym był Cyrankiewicz, zaledwie jeden budynek. W dodatku przyszły premier lubił dzieci, nie zachowywał dystansu. Pamiętam, że parę razy przewiózł nas

autem. Kiedyś dał nam po pomarańczy. Jadłem je wtedy pierwszy raz po wojnie.

Jedna wycieczka samochodowa z Cyrankiewiczem utkwiła mi w pamięci. Limuzyną rządową produkcji radzieckiej, ZIS-em 110, już jako premier wybrał się z moim ojcem w jakąś letnią niedzielę roku 1947 nad Wisłę, chyba w stronę Otwocka. Mnie i małym Witkowskim kazali zabrać piłkę. We trójkę umościliśmy się na tylnym siedzeniu. Okazało się, że nie słyszymy, o czym dwaj panowie rozmawiają ze sobą: przednia część samochodu była odgrodzona szybą. Dojechaliśmy szosą niedaleko Wisły. Starsi przykazali nam grać w piłkę w pobliżu auta, a sami oddalili się dobre kilkaset metrów od nas na brzeg rzeki. Nie zadawałem sobie pytania, o czym rozmawiali. To, co mi wtedy utkwiło w pamięci, to szybkość, z jaką premier gnał po szosie – 130 czy 140 kilometrów na godzinę. Na wąskiej drodze.

Dziś, bez mała siedemdziesiąt lat później, zakładam, że kamuflowali jakieś rozmowy polityczne. Nie chcieli być podsłuchiwani. Może o zjednoczeniu PPS z komunistami? Z dziecinnych lat zapamiętałem tylko, że ojciec nie był zwolennikiem małżeństwa Cyrankiewicza z piękną aktorką Niną Andrycz. Jej wspomnienia i wywiady traktuję jako bardzo niepełne źródło historyczne. Z akt, do jakich zajrzałem w archiwach Moskwy około 2000 roku, wynikałoby, że władze ZSRR uważały aktorkę pochodzenia rosyjskiego za osobę bliską Rosji, a Cyrankiewiczowi nigdy nie ufano do końca. Wiedziano, że jest wybitnie inteligentny, że jeszcze w czasie wojny należał do prawego skrzydła PPS, wrogiego wobec ZSRR; więcej – że był nadzieją przywódców partii na czas powojnia. Zawiódł srodze swoich pepesowskich protektorów. Po prostu ich zdradził. Dlaczego?

Jak opowiadał Cyrankiewicz mojemu ojcu, ojciec matce, a matka po latach mnie, jeszcze przed wybuchem wojny niemiecko-radzieckej wywiad radziecki zauważył go jako polityka rokującego dużą karierę. Mówił ojcu, że, jak się okazało po 1945 roku, posiadali jego fotografię z obozu w Auschwitz. Trudno się temu dziwić. Jest praktyką najlepszych

wywiadów, że typują zawczasu „rokujących polityków". Tak zapewne było i w tym przypadku.

Ilekroć przechodzę teraz na wielkim cmentarzu warszawskim Powązki obok grobu Kazimierza Pużaka (1883–1950), myślę o Cyrankiewiczu. Pużak – bohater walk z caratem, zamknięty w Twierdzy Szlisselburskiej w Petersburgu, zmarł w więzieniu Polski Ludowej w czasie, kiedy jego dawny faworyt był premierem rządu. Czy ktokolwiek potrafi wytłumaczyć postawę Cyrankiewicza?

Cyrankiewicz po paru latach wiedział już, gdzie żyje i w jakim systemie działa. Nie żył w świecie iluzji większości komunistów. Po Oświęcimiu jednak w równaniu: Hitler czy Stalin chyba bez wielkich wahań wybrał Gruzina. Niemców i niemiecki znał. Część grypsów z obozu jest przecież pisana po niemiecku. Za to na pierwszych spotkaniach ze Stalinem potrzebna była pomoc tłumacza. Rosyjskiego się dopiero nauczył. A kiedy poznał dokładnie realia ZSRR, było za późno, żeby uciekać. Zresztą dokąd? Jego młodszy brat lekarz Jerzy nie wrócił do kraju z londyńskiej emigracji i zginął w niejasnych okolicznościach w 1960 roku.

Kiedy nie narażał się zbytnio, był po ludzku wierny swoim znajomym i przyjaciołom. Był na przykład do końca lojalny wobec mojego ojca, choć ten nie liczył się już w grach politycznych po 1948 roku, a nawet był źle widziany przez rządzących towarzyszy z Moskwy i Warszawy. Cyrankiewicz odwiedzał chorego, samotnego ojca chyba latem 1949 roku w Rucianem. Wynajdywał mu wtedy fikcyjne zatrudnienia zapewniające zarobki. Wraz z Adamem Rapackim przyszli w ostatnich dniach do szpitala, do umierającego. Premier zajął się jego pogrzebem. To poruszyło do udziału w pogrzebie i komunistycznych towarzyszy ojca. Tłumnie przybyli drukarze i pisarze. Na prostej płycie ze szwedzkiego granitu Cyrankiewicz zarządził krótki napis „działacz robotniczy, publicysta". Pominął określenie „komunista", które zazwyczaj umieszczano wtedy w podobnych sytuacjach. Nie był to przypadek. Wiedział o anarchistycznej przeszłości ojca i pretensjach Moskwy do „komunisty Borejszy".

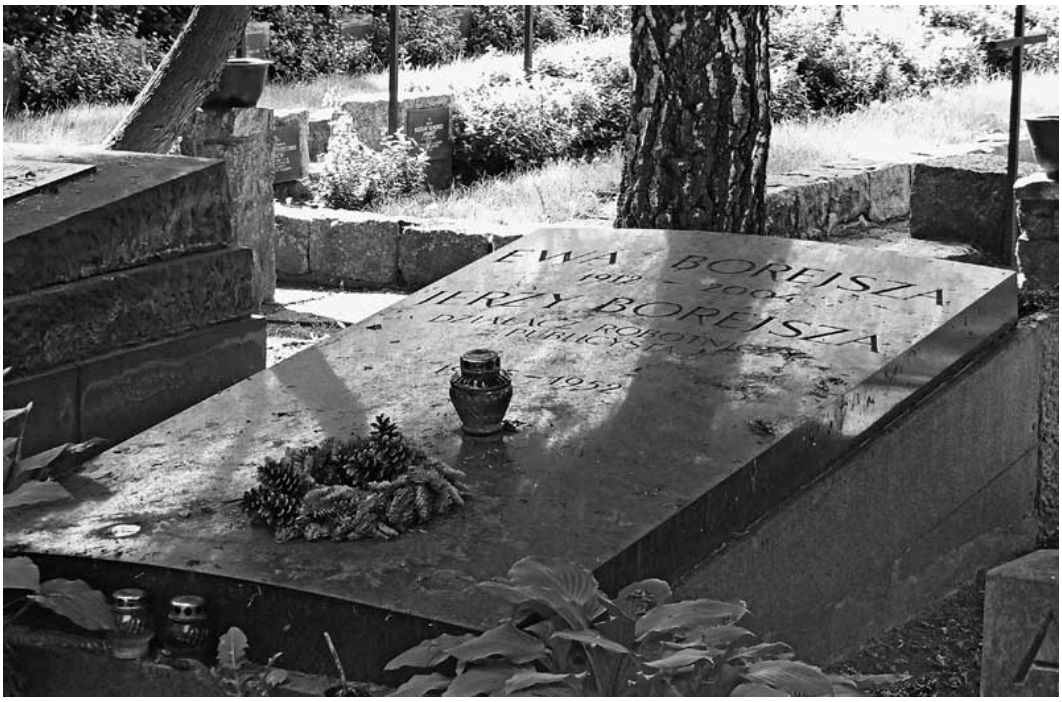

32. Grób Jerzego i Ewy Borejszów na powązkowskim Cmentarzu Wojskowym (widok obecny).

Jako student Uniwersytetu Moskiewskiego na początku marca 1956 roku byłem na spotkaniu z delegacją polską na XX Zjazd KPZR. Bierut, jawnie chory i słabowity, czy posępny Berman nie przyciągali młodzieży, ale Cyrankiewicz, rozluźniony i wesoły, skupiał tłum wokół siebie. Nie dziwię się autorom raportów do Moskwy, że nie ufali Cyrankiewiczowi. Ale co go zmusiło do tego, żeby trzy miesiące później grozić strajkującym robotnikom poznańskim ucięciem ręki za protest przeciwko totalitarnej władzy? Czyżby liczył, że jest to cena płacona Moskwie i towarzyszom za dalszy awans? Tłumaczył się, że brutalną groźbą powstrzymał grożące dalsze krwawe zajścia.

Z akt moskiewskich jawnie wyziera, że nie miał szans na zostanie numerem pierwszym. Był za bardzo krakowski, za bardzo europejski. Kiedy zostawiano mu margines swobody, wykazywał się zbyt jawnie tolerancją i zdrowym rozsądkiem. To zupełnie nie przystawało do irracjonalnej ideologii stalinizmu.

Po wystąpieniu Cyrankiewicza do robotników Poznania jako dwudziestoletni student, znający go bądź co bądź osobiście, na wiele lat przestałem kłaniać mu się na ulicy.

Dopiero dwadzieścia lat później los usadził mnie jako tłumacza na weselu młodej lekarki z Krakowa, która wychodziła za mąż za Włocha, za jednym stołem z Cyrankiewiczem. Pił mocno. Tylko wódkę. W pewnym momencie próbowałem z nim zamienić kilka słów. Spytałem, co myśli o wyrzuceniu Aleksandra Sołżenicyna z ojczyzny przez władze radzieckie. Moje pytanie było szczytem naiwności. Milkliwy pijący ekspremier zbył mnie jednym zdaniem.

Minęło kolejnych dziesięć lat. Gdzieś w 1988 roku zajechałem do matki w aleję Róż – na tej rządowej ulicy mieszkał i Cyrankiewicz. „Tygodnik Powszechny" ogłosił wtedy parę moich tekstów. Między innymi głośny podówczas artykuł o dylematach Aleksandra Wielopolskiego.

Matka powiedziała mi:

– *Wyobraź sobie, co się przydarzyło. Zadzwonił nagle Cyrankiewicz. Ostatni raz rozmawiałam z nim w roku 1960. Skąd miał numer mojego telefonu? Nie wiem. Narzekał na samotność. A potem powiedział, że czytał twoje artykuły w krakowskim „Tygodniku Powszechnym", że przecież sam mógł stać się dobrym dziennikarzem, a tak zmarnował życie jako polityk.*

Zmarł parę miesięcy potem, w styczniu 1989 roku.

Przyjaciel Cyrankiewicza, Włodzimierz Reczek, mieszkający obok mojej matki czasem zatrzymywał mnie na schodach lub ulicy, żeby porozmawiać. Był kiedyś czynny w SWO „Czytelnik, współpracując z moim ojcem. Zaufanie do moich rodziców przenosił na mnie. Ostatni raz spotkałem Reczka już po odznaczeniu go Orderem Orła Białego przez Aleksandra Kwaśniewskiego, co wzbudziło sporo protestów polityków Trzeciej RP. Nikłej postury dawny prezes GKKFiT ciągnął za sobą ogromną pustą walizę. Miał już ponad dziewięćdziesiąt lat. Nie wytrzymałem i spytałem:

– *Dlaczego pan minister tak się męczy?*

– *A to na ordery* – odpowiedział ironicznie stary krakowski inteligent.

Latem 1968 roku Reczek powiedział mi: *Józek spotkał się z Moczarem na pertraktacje. Mówił, że nie miał wyjścia, bo Ochab i Rapacki wycofali się z polityki.* Lata później Reczek załamywał ręce, że Cyrankiewicz spalił dziennik z pierwszych lat wojny, który prowadziła jego sekretarka. Podobno potem, pod koniec życia, usuwał wszystkie dokumenty. Nie ułatwił zadania tym, którzy zechcą podjąć trud napisania biografii tego chyba najzdolniejszego polityka, jakiego miała w dyspozycji formacja zwana Polską Ludową. Głównie – w dyspozycji.

17. Moi Hiszpanie

Pięcie „Hiszpanie”. Musiało to być wiosną 1943 lub 1944 roku. Matka pojechała ze mną na prawy brzeg Wisły w Warszawie, na Saską Kępę. Odwiedziła tam rodzinę, która dziwnie mówiła po polsku.

– *Kim są ci ludzie?*

– *To Hiszpanie. Hiszpania ma sojusz z Hitlerem.*

Matka po latach nie kojarzyła tej wizyty. A pamięć miała świetną. Podejrzewam, że była to jakaś zakamuflowana rodzina żydowska.

Pierwsi realni Hiszpanie, o których usłyszałem kilka zdań od ojca, nazywali się Buenaventura Durruti (1896–1936) i Rafael del Riego y Nűñez (1785–1823). Z tym pierwszym związana była anarchistyczna młodość ojca we Francji i w Hiszpanii. Lata 1924–1927. Podobno ojciec przyjaźnił się z Durrutim. Jakieś ślady ojca z tego czasu jeszcze jako Beniamina Goldberga istnieją podobno w organie hiszpańskich anarchistów „Acción”. Na wojnę do Hiszpanii w obronie republiki matka nie puściła ojca. Kiedy mnie urodziła, miała dwadzieścia trzy lata.

– *Nie porzucisz rocznego dziecka. Wojowałeś o to, żebym jak najszybciej urodziła. Więc na razie zostań.*

Durruti zginął dowodząc oddziałami anarchistów w obronie Madrytu w 1936 roku. Okoliczności jego śmierci nie są jasne. Czy poległ na pewno od kuli nieprzyjacielskiej? Nie wiemy. Stał się legendą europejskiego anarchizmu. Na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych głośną powieścią Hansa Magnusa Enzensberga o Durrutim „Die kurze Sommer der Anarchie” (Krótkie lato anarchii) zaczytywała się w Niemczech lewicująca młodzież.

Po zwycięstwie Franco ojciec czas jakiś myślał, czy nie wyjechać z nami z Polski do Meksyku, gdzie skryła się znaczna część hiszpańskich emigrantów-republikanów. Wrzesień 1939 roku przeciął te raczej platoniczne marzenia. Ale Hiszpania była legendą jego życia. Podobno praźródło tej miłości mieściło się w Tuluzie, gdzie – nie od niego to wiem – ojciec zakochał się w jakiejś Hiszpance czy Katalonce. Był nie tylko młodym współpracownikiem Durrutiego. Podobno brał udział w nieudanej próbie powstania separatystów katalońskich pod wodzą Francesca Macià (1859–1933). Zanim zdążyli się porządnie zorganizować, wychwyciła ich w 1926 roku koło granicy żandarmeria francuska. Ale ktoś puścił wśród Polaków mocno wyolbrzymione pogłoski o moim ojcu jako adiutancie Macii – później w latach 1931–1933 bądź co bądź przewodniczącym Stanów Generalnych Katalonii, jej prezydencie. Jak dokładnie było, nie wiem. Do mnie dotarło tylko tyle, że z nieznanych mi w dzieciństwie powodów ojciec często prosił, aby grać mu na pianinie stary hymn kataloński „Els Segadors" (Żeńcy). Pieśń ta zrodziła się około 1640 roku w związku z powstaniem chłopskim. Słowa były wielokrotnie zmieniane. Nie znam wersji katalońskich. Z polskiego tłumaczenia pamiętam: *Katalonia piękny kraj, pola żyzne, łany hojne, król jegomość wielki pan wypowiedział nam dziś wojnę.*

Do kilku melodii, które usiłował odtworzyć ojciec, należał „Hymn Riego". Słuchałem go od maleńkości: *Soldados, la patria / nos llama a la lid / juremos por ella / vencer o morir.* Musiał często płynąć z naszego radia na Żoliborzu – telefunkena z zielonym okiem – w latach 1936–1939, bo melodię przyswoiłem sobie od wczesnego dzieciństwa. Co dziwne, mój syn Karol twierdzi, że nuciłem ją jeszcze w latach siedemdziesiątych, kiedy był w wieku przedszkolnym. I on dzisiaj, stare chłopisko, ją zna.

Hymn ułożono na cześć generała Rafaela Riego. Napisał go w roku 1820 wojskowy, mason, literat, osobisty przyjaciel generała Evaristo Fernándeza de San Miguela. Riego zmusił króla Ferdynanda VII do przywrócenia konstytucji i odsunął go od władzy. Francuskie „sto tysięcy synów świętego Ludwika" – żołnierzy posłanych do Hiszpanii uchwałą Świętego

Przymierza europejskich monarchów – zdusiło próby republikańskich Hiszpanów. Riego został stracony. Jednak król Ferdynand VII ogłosił w 1822 roku „Hymn Riego" oficjalnym hymnem państwowym i nie zostało to nigdy odwołane. Ale zastąpił go „Marsz Królewski". Nowa wersja „Hymnu Riego" została oficjalnie przywrócona w 1931 roku po obaleniu monarchii. Przetrwała do końca wojny domowej w 1939 roku.

Miałem szesnaście lat, kiedy umarł ojciec. Wszystko toczyło się jeszcze w cieniu drugiej wojny światowej. Nie zdążyłem zapytać ojca o wiele spraw. Wiele ukrywano, o wiele nie pytano. Ojciec zakładał wtedy Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Hiszpańskiej. Teraz, na progu XXI wieku, nie udało się odnaleźć jego akt. Uczestnicy wojny domowej w Hiszpanii zostali w paranoi Stalina wpisani na listę podejrzanych kosmopolitów. Wielu uwięziono i stracono.

Pół wieku później ojciec triumfowałby, gdyby dożył. Portret generała Rafaela Riego wisi w budynku hiszpańskich Kortezów. „Els Segadors" zostali w 1993 roku oficjalnym hymnem Katalonii.

Po śmierci Franco w Katalonii wzniesiono pomnik na cześć Macià na centralnym placu w Barcelonie. Inny pomnik ku czci Durrutiego i anarchistów odsłonięto zaledwie parę lat temu w północnej Hiszpanii w mieście Leon. Nazwisko Durrutiego budzi nadal wiele za i przeciw, polemiki na temat anarchizmu i terroryzmu.

Ojciec był odnotowany w jakichś aktach w Madrycie. Jako Goldberg z roku 1926 czy jako Borejsza z lat 1930–1940? W 1963 roku odmówiono mi wizy turystycznej, mimo że wstawiali się za mną francuscy historycy sztuki. Co więcej, paryski znajomy ojca z lat młodości Armand Pawin usiłował załatwić mi wizę przez protekcję słynnego torreadora Luisa Miguela Dominguina (1926–1996). Podobno nie udało się z uwagi na to, że mylono mnie z ojcem. Nie wiem. Faktem jest, że bohater prozy Hemingwaya – Dominguin – miał brata komunistę, który działał w podziemiu. Podobno podczas jakiegoś polowania dyktator Franco zapytał go:

– *Ma pan podobno komunistę w rodzinie?*

– *My w rodzinie wszyscy jesteśmy komunistami* – odpowiedział znany z arogancji torreador.

Ale nie ma dymu bez ognia. Podczas mojej rozmowy z Pablem Nerudą w ambasadzie Chile przy Avenue de la Motte-Picquet w Paryżu we wrześniu 1972 roku poeta nagle zapytał:

– *Czy zachowały się jakieś papiery, listy z pobytu Jorge w Hiszpanii w latach dwudziestych?*

– *Żadne. Był przecież smarkaczem.*

– *Szkoda.*

Ojciec stale powtarzał:

– *Najpiękniejszymi kobietami Europy są Hiszpanki. Musisz ożenić się z Hiszpanką.*

Nie bacząc na to, że byłem może dwunastoletnim dziecinnym, czerwieniącym się niezgrabiaszem, zaprowadził mnie do warszawskiego mieszkania swojego przyjaciela architekta Manuela Sàncheza Arcasa (1897–1970) i żartem swatał mnie z jego starszą ode mnie rok córką. Sànchez Arcas, ambasador republikańskiego rządu hiszpańskiego, w Polsce był od wielu lat na emigracji. Jako znakomity architekt, znany w Europie, czynnie interesował się odbudową Warszawy. Sànchez Arcas towarzyszył ojcu podczas podróży po Polsce z Nerudą i Picassem. Zachowałem jego zdjęcia z bunkrów w kwaterze Göringa na Mazurach z czasów wojny. Nie mam natomiast zdjęcia „pięknej Hiszpanki". Ale kto chce, niech poszuka reprodukcji jej portretu narysowanego podczas wizyty Picassa w Serocku 5 września 1948 roku. Nie był to przypadek. Znali się z Hiszpanii. Sànchez Arcas był tym, który zlecił Picassowi namalowanie Guerniki. Obraz pokazano w pawilonie hiszpańskim podczas Wystawy Światowej w Paryżu w 1937 roku.

Franco wysoko umieścił Sàncheza Arcasa na liście komunistycznych wrogów. Specjalne zarządzenie z roku 1942 blokowało mu dożywotnio wykonywanie zawodu w Hiszpanii. Architekt zmarł w Berlinie. Nie doczekał powrotu do ojczyzny.

Ze słynnych generałów Republiki Hiszpańskiej poznałem dzięki ojcu dwóch. Najpierw arystokratę z najwyższych kręgów socjety hiszpańskiej, dowódcę sił powietrznych Republiki Ignacio Hidalgo de Cisneros y López de Montenegro (1896–1966).

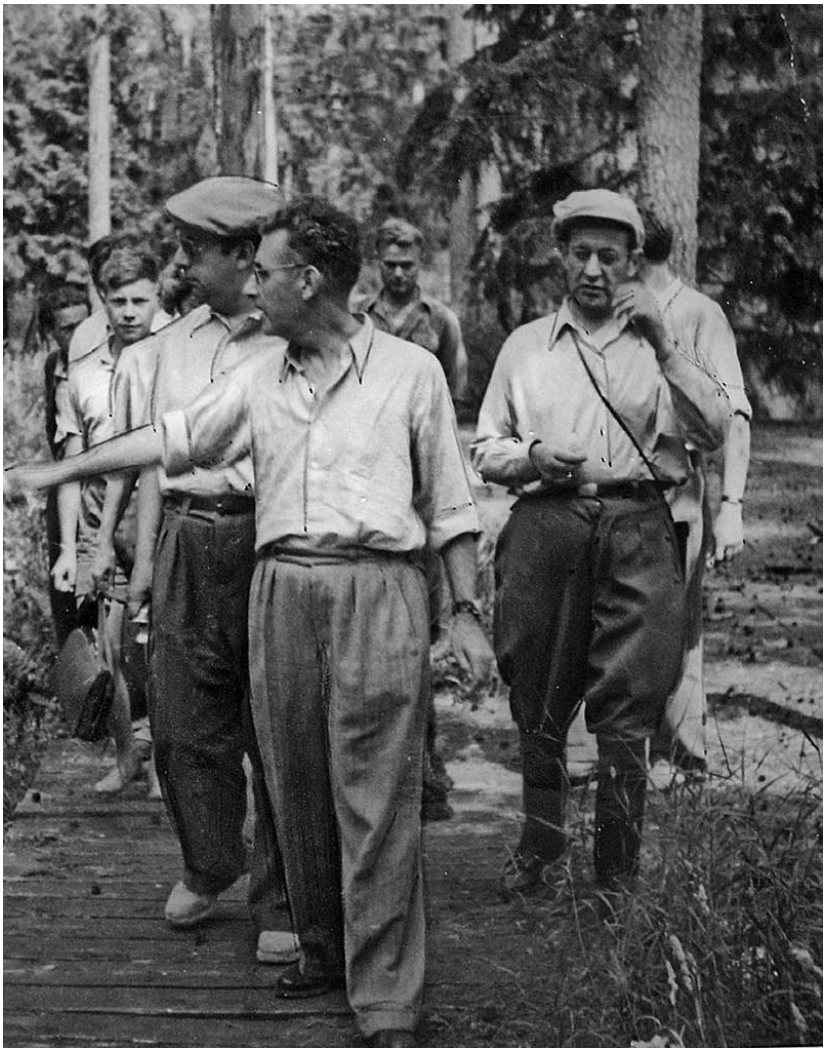

33. Pięć lat po zakończeniu wojny przed bunkrem w kwaterze Göringa na Mazurach. Jerzy Borejsza oprowadza Pabla Nerudę (pierwszy z lewej) i architekta Manuela Sàncheza Arcasa, którego autor znał od dzieciństwa.

W naszym mieszkaniu w alei Róż jedliśmy we trzech obiad. Jedzenie podawała z całym protokołem nasza gosposia Franciszka Szewczyk. Ojciec był niesłychanie starannie jak na niego ubrany, w białej koszuli. Hiszpan,

szczupły, wysoki i elegancki, rozmawiał z ojcem po hiszpańsku; ja usiłowałem coś dukać po francusku. Generał zwrócił się do ojca:

– *Ile ma lat?*

– *Trzynaście.*

– *To niech się z nami napije koniaku. Już czas.*

Tak poznałem smak tego trunku.

34. Na zakopiańskich Krupówkach Jerzy Borejsza z hiszpańskimi przyjaciółmi (1950): Pablem Nerudą i Ignacio Hidalgo de Cisneiros y López de Montenegro, dowódcą lotnictwa republikańskiego w czasie wojny domowej w Hiszpanii.

Hidalgo de Cisneros zmarł w Bukareszcie.

W tym samym chyba czasie, podczas urlopu mamy, zjawił się ojciec z innym wesołym krępym Hiszpanem. Sami w domu. Było lato. Obaj panowie tylko w koszulach, a ojciec przyrządzał jedno z nielicznych dań, które potrafił zaserwować: jajecznicę na kiełbasie.

– *To jest, synu, człowiek, o którym Hiszpanie śpiewają pieśni: generał Juan Modesto.*

Juan Modesto (1906–1969), wesoły Hiszpan, były sierżant Legii Cudzoziemskiej, podobno brawurowy dowódca, w czasie drugiej wojny służył jako ochotnik w Armii Czerwonej. On też nie doczekał śmierci Franco. Zmarł w Pradze czeskiej.

Czeska Praga, Bukareszt, Berlin, Kuba – tam kończyli swoje żywoty. Związek Radziecki ani klimatem, ani zwyczajami, ani ogólną atmosferą, zwłaszcza po rewelacjach Chruszczowa o tym, z kim się zbratali, nie miał dla nich specjalnej siły atrakcyjnej. Kiedy tylko reżim w Hiszpanii zelżał, moi byli koledzy ze studiów w ZSRR – dzieci emigrantów hiszpańskich – zaczęli wracać do ojczyzny.

Ze znajomych ojca przeżyli Franco i zaczęli wracać do Hiszpanii Enrique Líster Forján (1907–1994), generał hiszpański, sowiecki – broniący Leningradu, wreszcie, generał jugosłowiański, doradca wywiadu Fidela Castro. Jego życie mogłoby służyć za kanwę filmu przygodowego. Powrócił też via Argentyna i Włochy Rafaele Alberti (1902–1999), jeden z największych poetów hiszpańskich. W Rzymie miałem jeszcze okazję w 1971 roku rozmawiać z Albertim. Tłumaczył mi, że bezwzględna logika hiszpańskich walk domowych: monarchia czy republika, generałowie, czy demokracja pchała w objęcia komunizmu ludzi pierwotnie od niego dalekich. A potem w tych objęciach, siłą rzeczy, pozostawali na wychodźstwie. Kim był daleki Stalin i czym stał się stalinizm, nie wiedzieli przez wiele lat. A kiedy się przekonali, znaleźli się już w pułapce. Tak mówił słynny Alberti.

Po micie ojcowskim dalekiej Hiszpanii pozostała mi znajomość pieśni wojny domowej i sporo oryginalnych książek. Może też nie jest całkowitym przypadkiem, że mój starszy syn Aleksander, archeolog i paleobotanik, ożenił się z Meksykanką i został obywatelem Meksyku.

18. Przygłup w kraju Sowietów

W Związku Radzieckim na studiach znalazłem się niemal przypadkowo. Myślałem o polonistyce na Uniwersytecie Warszawskim. W ostatniej chwili zjawił się u nas w domu brat ojca pułkownik Różański i powiedział matce:

– *Towarzysze z KC sugerują, aby Jurka posłać na studia do ZSRR.*

Po latach dowiedziałem się, że w KC istniała nieformalnie „trójka": Edward Ochab, Franciszek Mazur i Zenon Nowak, z zadaniem „likwidacji wszelkich nieporozumień" związanych z postacią mojego ojca. Owi członkowie Biura Politycznego mieli potwierdzić Moskwie, że zmarły w styczniu 1952 roku Jerzy Borejsza nie zasługiwał na represje. W Moskwie ojciec był w niełasce, o czym piszę w tekście „Niepokorny wyznawca szatana".

Przyjaciele matki poparli sugestię wyjazdu. Mnie po cichu mówili, że matka ma ledwo czterdzieści lat i powinna sobie ułożyć własne życie, a moja obecność będzie tu stanowiła przeszkodę.

W ten sposób w sierpniu 1952 roku jako siedemnastoletni żółtodziób znalazłem się bez mała tysiąc kilometrów od Moskwy – w Kazaniu nad Wołgą na Wydziale Historycznym Uniwersytetu. Nie był to dowód szczególnej łaski, albowiem dzieci zasłużonych towarzyszy z Komitetu Centralnego PZPR pozostały na ogół w Moskwie i Leningradzie. Wielu nieprotegowanych posłano za to daleko od Moskwy. Tak zaczęła się moja szkoła janczarów. Czy istniał oficjalny plan tworzenia szkoły janczarów? Wątpię. Wysyłając w latach pięćdziesiątych i później po kilkuset studentów, władze wykazywały się lojalnością wobec wielkiego sojusznika. Ale jednocześnie Adam Rapacki (1909–1970), podówczas minister

szkolnictwa wyższego, żegnając na Dworcu Gdańskim w roku 1950 kilkuset odjeżdżających do ZSRR studentów, mówił: *Pamiętajcie, że jesteście ambasadorami Polski Ludowej*. Kłaniano się, ale nie zawsze nisko. Część wysyłanych widziano jako przyszłe kadry polityczne czy wojskowe Polski Ludowej. W Kazaniu szkolili się między innymi lotnicy.

Studia Polaków w Związku Radzieckim doczekały się opracowań kilku historyków. Wynika z nich, że samych studentów wysłano w latach 1945–1956 ponad dwa tysiące, ponadto około dwustu pięćdziesięciu doktorantów (zwanych wtedy aspirantami). Statystyki są wymowne: prawie tysiąc osób wybrało kierunki techniczne, ponad siedemset studia medyczne, rolne, artystyczne i wychowanie fizyczne. Na kierunkach humanistycznych, ideologicznych była zdecydowana mniejszość.

Czy w ZSRR wychowano głównych janczarów Polski Ludowej? Chyba niezbyt licznych. Z tamtejszych absolwentów zauważyłem na przestrzeni wielu lat kilku zaledwie ministrów i wiceministrów, więcej partyjnych „aparatczyków" niższego szczebla czy pracowników aparatu bezpieczeństwa. Kilku najinteligentniejszych objawiło się po latach w polskiej dyplomacji, kilku najbardziej zaufanych w służbie konsularnej.

Sporo opuściło ZSRR z uczuciem głębokiego rozczarowania „przodującym ustrojem", niejeden jako zdecydowany przeciwnik moskiewskiego systemu. Niektórzy z moich kazańskich i moskiewskich kolegów Polaków szybko emigrowali na Zachód, do Kanady, do Francji. Nie wrócił do Polski jako herold ZSRR reżyser Jerzy Grotowski (1933–1999) z Państwowego Instytutu Sztuki Teatralnej w Moskwie (GITISu). Sporo kolegów dziennikarzy, poczynając od przyjaciela mojego dzieciństwa, cudem ocalałego z Holokaustu Stefana Marody'ego (1936–2005), studiującego historię w Odessie, głośno wyrażało swój zawód i dezaprobatę.

Ogólnopolski zjazd absolwentów uczelni radzieckich w listopadzie 1956 roku okazał się demonstracją krytycyzmu sporej grupy studentów wobec ZSRR, jego nauki i systemu. Ci, którzy dostrzegali pozytywy takich

studiów, też nie byli bezkrytyczni. W latach 1956–1957 powracających z uczelni w ZSRR witano często niechętnie.

Urzędniczka w ministerstwie, która entuzjastycznie odprawiała mnie na studia w 1952, w 1957 roku powitała mnie słowami:

– *Marzenia o zatrudnieniu na Uniwersytecie w Warszawie po studiach w ZSRR? Może, może coś się znajdzie w Opolu.*

Przedstawiłem dokument, o który wystarali się moi rosyjscy profesorowie, że wyróżniam się wysokim poziomem naukowym. W roku 1957 w satelickiej, ale zrewolucjonizowanej Polsce to nie pomagało. Po 1956 roku skończyło się masowe wysyłanie na studia do cywilnych uczelni w ZSRR.

Znaczna część absolwentów uczelni radzieckich oscylowała w latach 1960–1970 wokół Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej w celach towarzyskich i koniunkturalnych. Niektórym z nich po powrocie po prostu nie ufałem. A oni znając moje poglądy, często nawet starali się mnie unikać. Na zjazdy absolwentów nie zapraszano mnie, mimo że długo byłem członkiem przodującej partii.

Nie można zapominać, że do ZSRR przysyłano również studentów, aby zdobywali wiedzę ze specjalności, w których kraj ten zapewniał wysoki poziom naukowy. Można wymienić na przykład fizykę jądrową, chemię (Kazań był tu tradycyjnie na światowym poziomie) czy języki azjatyckie.

Przy rekrutacji w latach pięćdziesiątych dużą uwagę zwracano na pochodzenie chłopskie i robotnicze. Większość kolegów wywodziła się z małych miast i ze wsi. Prawowierność polityczna była sprawdzana. Dla kandydatów organizowano kurs przygotowawczy. Nasz w roku 1952 odbywał się w Warszawie. Okazało się, że jeden z kolegów słuchał w bursie, gdzie mieszkaliśmy, różnych radiostacji, między innymi BBC. Na publicznym zebraniu kandydatów zapytano go:

– *Dlaczego słuchasz BBC?*

– *Szukam prawdy obiektywnej.*

Do ZSRR oczywiście nie pojechał.

Na kursie przygotowawczym obserwowano najmniejsze przejawy niesubordynacji. Mnie udzielono upomnienia za to, że nie prowadziłem notatek z geografii i rosyjskiego. Nie prowadziłem, bo przedmioty te wykładały nauczycielki z mojej szkoły i niczego nowego się nie dowiadywałem.

Przed wyjazdem przez miesiąc podciągano poziom ogólny młodzieży, często dobranej z uwagi na kryterium pochodzenia, a nie rzeczywistych wyników w nauce szkolnej.

Wyjeżdżając nie miałem zielonego pojęcia, jak jest naprawdę w Związku Radzieckim. O tym, że właśnie około roku 1930 i później wyginęły nie krocie, ale miliony chłopów, dowiedziałem się bardzo późno. Bodaj w latach siedemdziesiątych. Poproszono mnie o przewiezienie z Niemiec do ZSRR ogromnego maszynopisu informacyjnego o głodzie na Ukrainie, wywołanym przez przymusową kolektywizację. Przewiozłem. Nie bez strachu, że się mocno narażam.

Od razu jednak pragnę zaznaczyć, że mimo obaw, jakie musiał odczuwać siedemnastoletni chłopiec przed nieznanym, wyjeżdżając w roku 1952 byłem przekonany, że Stalin jest największym z żyjących ludzi, a ZSRR najlepszym krajem. Nasiąkałem propagandą ze szkoły, z gazet, z książek, z kręgu znajomych. Ojciec był już w ostatnich latach zbyt chory, aby mnie do czegokolwiek przekonywać, matka nie miała pojęcia o rzeczywistości ZSRR. Wierzyła w utopię. Ale wychowałem się w Warszawie w najgorszych czasach stalinizmu w środowisku, które wierzyło lub chciało wierzyć w „nowy ustrój", w „nowego człowieka". Była to nowa religia.

Ojciec był zawsze zajęty. Owszem, podkreślał, że to Armia Czerwona pokonała Hitlera, że biła się bohatersko, że ZSRR na skutek wojny straciło dwadzieścia milionów ludzi. On pierwszy mi to uświadomił. Sam jako ochotnik był na froncie. W Armii Czerwonej dosłużył się stopnia kapitana. Dostał order za odwagę osobistą. Ale o wojnie nie chciał rozmawiać.

Kiedyś zaraz po wojnie byłem na koloniach w Tuszynku pod Łodzią. Ojciec wpadł samochodem zobaczyć, jak mi się wiedzie. Trafił akurat na

moment, kiedy jakiś maruder – żołnierz Armii Czerwonej, pijany, próbował molestować naszą młodziutką wychowawczynię. Ojciec natychmiast zrugał go czystą ruszczyzną. Sołdat, patrząc na samochód, wypalił:

– *Gdybym ja nie wojował, to byś nim nie jeździł.*

Na co ojciec:

– *Gdybym ja nie wojował, to ty byś nie chodził po tej ziemi.*

Czerwonoarmista zawrócił. Ojciec kazał mnie i mojemu przyjacielowi Jankowi Białasowi odprowadzić go do szosy.

– *Niech się nie wałęsa tu po domach.*

Mieliśmy po dziesięć lat. I misję wykonaliśmy. Matka, gdy się o tym dowiedziała, zgłosiła pretensje do ojca o narażanie nas na niebezpieczeństwo. Ojciec bronił się, że czerwonoarmiści nie krzywdzą dzieci...

Przed wyjazdem do ZSRR widziałem u nas w domu wielu Francuzów i Hiszpanów, ale chyba tylko jednego Rosjanina. Pozostałych ojciec musiał widywać w pracy.

Za to pełno było propagandowych książek autorów radzieckich tłumaczonych na polski. Zaczęły pojawiać się masowo od 1949 roku. Były to takie powieści jak Siemiona Babajewskiego „Kawaler Złotej Gwiazdy" o życiu kołchozowym czy „Daleko od Moskwy" Wasylija Ażajewa o budowie rurociągu naftowego na Dalekim Wschodzie. Obowiązkową lekturą szkolną była „Jak hartowała się stal" Nikołaja Ostrowskiego (1904–1936) – opowieść o kilkunastoletnim chłopcu, który stał się bolszewikiem i jako żołnierz walczył podczas rewolucji na Ukrainie i w Polsce. Ostrowski, który stracił wzrok, dyktował tę w znacznej mierze autobiograficzną książkę już jako niewidomy. Zmarł bardzo młodo.

Największe może wrażenie wywierały na mnie powieści szpiegowskie Nikołaja Szpanowa: „Podżegacze" i „Spiskowcy". Wydane w masowych nakładach siały grozę, opisując agentów, zdrajców i podstępną politykę mocarstw zachodnich, organizujących krucjaty przeciwko ZSRR. Ten

obraz utwierdzała bardzo w tych latach popularna lektura autorów anglosaskich Michaela Sayersa i Alberta Kahna „Wielki spisek przeciwko ZSRR". Po studiach w ZSRR wiedziałem, że to makulatura. I nie wróciłem już do nich. Dopiero pół wieku później jako zawodowy historyk zorientowałem się, kto był kim z autorów moich szkolnych lat. Nikołaj Szpanow nie był historykiem, lecz specem od fantastyki wojskowej. Współautor „Wielkiego spisku przeciwko ZSRR" Michael Sayers (1911–2010), urodzony w Dublinie, pisał tę książkę od razu po pokonaniu Trzeciej Rzeszy w swoim prokomunistycznym okresie. Chyba krótkim w perspektywie jego stuletniego żywota. Sayers, znany scenarzysta, związany przyjaźnią z George'em Orwellem, bliską znajomością z Samuelem Beckettem, T.S. Elliotem czy Orsonem Wellesem zapłacił wysoką cenę za czasy swojego „Wielkiego spisku". Umieszczono go w USA na listach proskrypcyjnych. Po latach dopiero odnowiono jego amerykański paszport. Ten wybitnie uzdolniony pisarsko kosmopolita zapłacił, jak ktoś powiedział, wysoką cenę za to, że miał *złe poglądy w złym czasie w złym miejscu*".

Zdumiewające, jak czas wymył całkowicie z mojej pamięci fabułę owej literatury o osaczonym, bohaterskim i kwitnącym Związku Radzieckim.

Matka poprosiła przed moim wyjazdem na studia znakomitego tłumacza Ziemowita Fedeckiego (1923–2009), aby dał mi wskazówki, jak się uczyć rosyjskiego. Wysoki, kościsty i zębaty Ziomek (przeszliśmy od razu na „ty") powiedział autorytatywnie:

– *Ucz się na pamięć Lermontowa. Wiersze, wiersze i jeszcze raz wiersze.*

Stąd też pamiętam po dziś dzień jako tako „Borodino" i początek poematu „Bojarzyn Orsza" – moje pierwsze poezje rosyjskie.

Ziomka znałem od dziecka. Z Mazur. To on ściągnął mojego chorego ojca w 1949 roku do Rucianego. A rok później sprowadził do leśniczówki „Pranie" Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego. To on zresztą z rekomendacji ojca jako dwudziestodwuletni attaché ambasady polskiej w Moskwie zjawił się w 1945 roku u Pasternaka. Potem pomagał mu

finansowo na koszt spółdzielni „Czytelnik” i, wreszcie, po latach przewiózł na Zachód maszynopis „Doktora Żywago”.

Sześć „lat tłustych” po wojnie wymyło chyba ze mnie myślenie logiczne. Natychmiast po przejechaniu granicy w Brześciu Litewskim wyprowadzono nas do poczekalni dworcowej. Wytaszczyłem moje dwie walizki, postawiłem pod kasami biletowymi i przekonany, że w ZSRR nie kradną, ruszyłem na miasto. W drzwiach poczekalni złapał mnie za rękę starszy kolega i ze słowami: – *Ty mały idioto* – doprowadził z powrotem do walizek.

35. Ziomkostwo studentów polskich w Kazaniu liczyło sto osób. Na zdjęciu zrobionym przed wejściem do bursy od lewej: Eugeniusz Michalak, autor, Alfred Małecki (1952).

36. Prawie sześćdziesiąt lat później w tym samym miejscu niewiele się zmieniło.

W Moskwie czekał na mnie mój szalony i bezgranicznie oddany przyjaciel Leon Anlen, wtedy student słynnego Państwowego Instytutu Sztuki Teatralnej (GITISu). Związek Radziecki znał na wylot jako żydowski sierota, przygarnięty przez żołnierzy Armii Czerwonej w roku 1944 na Białostocczyźnie. Leon natychmiast pokazał mi sutereny Moskwy, nędzę mieszkańców radzieckiej stolicy. Ale było to w przejeździe do Kazania. Zarejestrowałem, ale nie zamyśliłem się jeszcze nad tym.

Myśleć zacząłem dopiero powoli w Kazaniu. Bieda, biurokracja, alkoholizm i panoszący się w tym mieście bandyci niwelowali propagandę, którą nasyciły mnie gazety i organizacje młodzieżowe oraz lektury szkolnego czasu warszawskiego.

Bursę naszą w Kazaniu zbudowano na skraju miasta podczas wojny, podobno w czynie społecznym. Warunki były prymitywne. Przez całą zimę spałem w swetrach naciągniętych na piżamę i w ciepłych skarpetach. Kaloryfery nie zawsze działały. Kiedyś zamarzł mi atrament postawiony w kałamarzu przy oknie. Na łazienkę składały się dwie połączone sale

z betonową podłogą. W pierwszej tkwił rząd pordzewiałych zlewów, w których można się było myć, w drugiej dziury w podłodze zastępowały nam sedesy. W salce uznanej za ubikację kał zamarzał na podłodze. Sześćdziesiąt lat później, jako gość Uniwersytetu Kazańskiego, byłem świadkiem instalowania w tejże sali wyczekiwanych od dziesięcioleci muszli klozetowych.

Kazań nie był miastem, które chętnie pokazywano cudzoziemcom. Odpowiedzialnemu urzędnikowi polskiej ambasady, komuniście sprzed roku 1938, Leonowi Pohorylesowi, który z urzędu objeżdżał polskie ośrodki studenckie, w pewnym momencie odmówiono nawet prawa wjazdu do Kazania.

W ramach zapoznawania z krajem pokazano nam w samym mieście kombinat futrzarski. Patrzyliśmy na zardzewiałe rury i domyślaliśmy się, że przedsiębiorstwo trwa niezmiennie w budynkach od czasów caratu. Przy pięknej słonecznej pogodzie popłynęliśmy statkiem po Wołdze do jakoby przodującego kołchozu. Bieda biła w oczy. Posiłek dla cudzoziemskich gości składał się z białego sera i chleba, kołacze mi się po głowie, że były i jakieś owoce. Moi koledzy znający realia wiejskie w Polsce nie mogli pojąć celu tej wycieczki. Ale trafiali się i tacy, którzy godzili się na wszystko. Rok po moim wyjeździe z Kazania pisał do mnie Polak, student trzeciego roku historii Roman Maksymiuk, że cały wydział zawieziono na wykopki kartofli do kołchozu, piętnaście kilometrów od stolicy Tatarstanu: *Wieś Bogorodskoje jest biedna. Mieszkańcy jej codziennie wędrują do miasta, wynoszą na rynek mleko, kartofle, jaja itp. Do pracy w kołchozie wychodzi znikoma ilość ludzi [...] początkowo oprócz ziemniaków nie było nic do jedzenia.Później zabito na mięso konia a po kilku dniach drugiego. Było trochę mleka, chleb, margaryna, kasza, tak że ogólnie biorąc warunki złe nie były. Spaliśmy jak kto może [...] wstawałem o 3 albo 4 nad ranem, aby się rozgrzać.*

Cudzoziemcom niepropagandowe warunki życia wynagradzać miały stypendia dwu- i trzykrotnie wyższe od tych, które otrzymywali studenci rosyjscy. Ale co mógł kupić student w Kazaniu nawet mając sporo pieniędzy? Któregoś dnia mój czeski kolega Ladislaw Skokan postanowił

mi pokazać hotel, w którym w latach dwudziestych zatrzymywał się Włodzimierz Majakowski, w centrum miasta, przy ulicy Baumana. Usiedliśmy w ładnej wielokątnej salce restauracyjnej. Kelner przyniósł nam na srebrnej tacy dwa talerze z jajecznicą i zielonym groszkiem. W jadłospisie nie było żadnych dań mięsnych.

Przyjaciel mojej matki, były ochotnik Brygad Międzynarodowych walczących przeciwko Franco przysłał mi w prezencie z Brukseli do Warszawy solidne, wielkie buty narciarskie, które miały w jego pojęciu chronić mnie przed rosyjskimi chłodami. Budziły one w Kazaniu takie zaciekawienie, że dla osłabienia go kupiłem ciemny kombinezon robotnika fabrycznego i nosiłem go zamiast normalnej marynarki i spodni. I to nie pomogło. Dla niektórych pozostałem w uniwersytecie znany głównie jako właściciel niesamowitych butów.

Na prośbę matki jadący z delegacją literatów pisarz Jerzy Broszkiewicz zabrał dla mnie paczkę żywnościową. Z Moskwy nie wolno było wysyłać na prowincję takich przesyłek. Nie wolno było ogołacać miast uprzywilejowanych z produktów żywnościowych. Paczkę udało się wysłać dopiero z Tbilisi. Ale okazało się, że po drodze wyjęto z niej słoik z domowym smalcem ze skwarkami i wstawiono zamiast tego smar karabinowy. Patrzyliśmy z kolegą Jurkiem Pająkiem w osłupieniu na szarą masę czegoś niejadalnego. Dużo starszy od nas mój kolega z pokoju Baszkir, który służył na froncie, połapał się od razu:

– *To smar karabinowy.*

Baszkir ów przy kolegach w pokoju miał zwyczaj prowokować mnie, mówiąc:

– *Czas już, żeby Polska stała się naszą siedemnastą republiką.*

Gorąco protestowałem. Baszkir, sekretarz organizacji partyjnej na wydziale geologii, po moim kolejnym proteście wyszedł ze mną na korytarz w bursie i ostrzegł:

– *Ja się tylko wygłupiam. Ale inni mogą to robić w niełądnych celach. Nie daj się łapać na takie haczyki.*

Jurek Pająk, zapalony turysta i narciarz, wkręcił się do jakiejś uczelnianej wyprawy na Ural. Powrócił z niej pod wrażeniem.

– *Wyobraź sobie, natrafiliśmy na wioskę, w której byli sami zesłańcy z Armii Krajowej już pożenieni z Rosjankami.*

Koleżanka Basia Kwiatkowska pojechała do znajomej w Ufie. Było to w ostatnich miesiącach życia Stalina. Prasa sowiecka grzmiała przeciwko lekarzom żydowskim, rzekomym zbrodniarzom w białych kitlach. Antysemityzm w ZSRR osiągał swoje apogeum.

Basia poinformowała mnie zwięźle: – *W Ufie był pogrom.*

Oczy otwierały mi się coraz szerzej.

Starałem się dostrzegać jak najwięcej pozytywów nowego kraju, ale nie mogłem się powstrzymać od głośnych pytań: Dlaczego jest tu tyle alkoholizmu i bandytyzmu? To Beria wypuścił w grudniu 1952 roku z więzienia osławionych „dekabrystów" – kryminalnych, którzy terroryzowali miasto nad Wołgą. Edward, mój kolega z roku, Polak, zaatakowany w biały dzień nożem w jednej z knajp w centrum Kazania wyrwał nóż napastnikowi i broniąc się zabił go. Procesu nie miał, ale musiał po cichu opuścić ZSRR. Starsi koledzy z polskiego ziomkostwa podkreślając, że jestem jeszcze niepełnoletni i nie rozumiem rzeczywistości, poparli moje i mojej matki starania w polskiej ambasadzie, aby przenieść mnie do Moskwy. Niebawem zresztą i polskie władze doszły do wniosku, że trzeba poprzenosić studentów z Kazania czy Rostowa do radzieckich stolic. I z uwagi na poziom naukowy i na jawną biedę na prowincji. W ten oto sposób na początku roku akademickiego 1953/1954 znalazłem się na wydziale historycznym MGU – Moskiewskiego Uniwersytetu Państwowego.

Jako spadek po pobycie w Związku Radzieckim pozostała mi znajomość języka rosyjskiego w mowie i w piśmie. Znam dziesiątki pieśni i wierszy rosyjskich i radzieckich. Niektóre zresztą przyswoiłem sobie najpierw po polsku jako uczeń szkoły w Warszawie. W 1950 roku ukazał się śpiewnik „Polskie pieśni rewolucyjne". Wcale pokaźny. A kończył go marsz z refrenem:

Ludu pracy, broń Sowietów,
Tam socjalizmu nowy rośnie ład.
Gdy się jeży las bagnetów,
Ręce precz od Związku Rad.

Tekst powstał około roku 1930, kiedy to Stalin głosił już budowę socjalizmu w jednym kraju. Psychoza osaczenia ZSRR przez świat kapitalistyczny grzmiała z każdej zwrotki:

Gdy wszędzie bezrobocie
W Radzieckim Związku praca wre,
W kołchozach chłopów krocie
Traktorem orzą ziemie swe.

A jednak po doświadczeniach kazańskich nie zwątpiłem jeszcze w ustrój.

19. Kazań sentymentalny

W informatorze dla dowództwa Wehrmachtu w roku 1941 znalazło się parę stron encyklopedycznych o Kazaniu. Liczono się z tym, że armia niemiecka tam dotrze. Informowano, że na przedpolach miasta znajduje się miejsce wypoczynkowe, dacze nazywane *niemiecką Szwajcarią*, co – cytuję dokument – *świadczy o tym, że niemieckie wpływy dotarły do Kazania*. Śladów niemieckich jest w Kazaniu sporo. Przede wszystkim, niemieccy uczeni odegrali kluczową rolę przy założeniu w roku 1804 uniwersytetu. Ale później dziesiątkami zadomowili się w uniwersytecie Polacy, najczęściej zesłańcy, poczynając od towarzyszy Adama Mickiewicza – filomatów i filaretów.

37. Dom, w którym mieszkał młody Lenin. Wiele podobnych przetrwało w Kazaniu do dzisiaj.

W XIX wieku czterech rektorów i około sześćdziesięciu, może nawet stu profesorów i wykładowców było Polakami. Często okazywali się oni

sławami światowej nauki.

Polacy od XVIII wieku wędrowali przez Kazań na zesłanie. Przed pierwszą wojną światową zjawiali się tutaj i w pogoni za zarobkiem. W latach 1915–1918 miasto zapełniło się tysiącami polskich uciekinierów znad Wisły. Niektóre źródła podają nawet liczbę dwudziestu tysięcy. U progu XXI wieku ostało się tylko szczątkowe Towarzystwo Orła Białego i nauczanie fakultatywne języka polskiego w Gimnazjum Miejskim nr 5. Wielu Polaków zginęło w Kazaniu w pamiętnym roku 1937, podczas „wielkiej czystki".

W Gimnazjum nr 5 na uroczystości jakiegoś jubileuszu w roku 2011 młoda pianistka Rosjanka zagrała nagle pieśń z 1863 roku:

Hej strzelcy wraz, nad nami orzeł biały
A przeciw nam śmiertelny stoi wróg…

Nie znała słów. Wiedziała tylko, że melodia jest polska. I nic więcej. Przez kogoś, z pokolenia na pokolenie, dotarła do niej. Wyjaśniałem…

Dziś w Kazaniu obok rosyjskiego rozbrzmiewa język tatarski. Ze wzruszeniem oglądałem po latach ostatnie relikty starego Kazania – domy, meczety. Za moich studenckich lat nie szanowano tatarskiej, muzułmańskiej odrębności. Trzykrotnie władza radziecka reformowała alfabet języka tatarskiego. Aż skończyło się na cyrylicy. W latach 1952–1953 widziałem kolegów Czuwaszów czy Tatarów, którzy bardzo starali się ukryć swoją narodowość. Stalin wprowadził po roku 1945 wszędzie priorytety dla członków, jak mówił: *wielkiego narodu rosyjskiego*. Oznaczało to często po prostu rusyfikację. W informacji dla dowództwa Wehrmachtu pisano, że 80 procent ludności Kazania stanowią Rosjanie, a wśród pozostałych 20 procent są i Tatarzy. Ale wieś była tatarska.

Niemcy mieli wiadomości nie tylko z encyklopedii. W latach dwudziestych na mocy cichych umów między Rosją sowiecką a Republiką Weimarską w Kazaniu i okolicy szkolili się i ćwiczyli niemieccy czołgiści i lotnicy, łamiąc zakazy traktatu wersalskiego z 1919 roku. Potem nabytą

wiedzę wojskową wykorzystali w czasie napaści na Związek Radziecki. W Kazaniu szkolenie odbył Heinz Guderian (1888–1954), dowódca wojsk pancernych Hitlera, pod koniec drugiej wojny światowej szef sztabu wojsk lądowych. Na słynnym zdjęciu z września 1939 roku uśmiechnięty Guderian z radzieckim kombrygiem (stopień wojskowy powyżej pułkownika) Siemionem Mojsiejewiczem Kriwoszeinem (1899–1978) przyjmują wspólnie defiladę sojuszniczych wojsk w Brześciu Litewskim. Podzielili Polskę. O czym myślał Żyd Kriwoszein, który niedawno prowadził radzieckie czołgi przeciwko frankistom i faszystom w Hiszpanii? Już się tego nie dowiemy. Za późno. Po pokonaniu Trzeciej Rzeszy generał-lejtnant Kriwoszein został honorowym obywatelem Brześcia.

Po sześćdziesięciu latach, w roku 2011 odwiedzam Kazań. Opuściłem go nie ukończywszy osiemnastu lat. Teraz jestem tam gościem honorowym. Wymyśliłem wmurowanie na ścianie budynku uniwersytetu tablicy upamiętniającej Jana Baudoina de Courtenay (1845–1929), uczonego, filologa i demokraty, czynnego po polsku i po rosyjsku twórcę „kazańskiej szkoły filologicznej" i poważnego kandydata do prezydentury Polski lat dwudziestych. Uroczystość odbywa się z wielką pompą, z udziałem rządu Tatarstanu i polskiego ambasadora Wojciecha Zajączkowskiego. Po niej wytworne przyjęcie.

Pokazują mi metro i nowe dzielnice. Idę ulicą Szczapowa. Profesor historii Uniwersytetu Kazańskiego Afanasij Szczapow (1836–1876) pisał: *Boże, jakże wstrętne jest duszy rosyjskiej bytowanie pod kluczem! Przestrzeni ona pragnie, powietrza!*. Zmarł na zesłaniu w Irkucku – „pod kluczem" za przemówienie na pogrzebie chłopów poległych od kul carskiego wojska. Schodzę w dół ku centrum Kazania ulicą Szczapowa. Przestrzenna, pełna powietrza. Naokoło nowe domy mieszkalne. Zamożne. Przez duże oświetlone okna widać obszerne komnaty. Zmierzcha. Nagle zdaję sobie sprawę, że ulica pogrąża się w ciemnościach. Nie ma ani jednej latarni.

38. Odsłonięcie tablicy w trzech językach (polskim, rosyjskim i tatarskim) upamiętniającej Jana Baudouina de Courtenaya. W uroczystości na Uniwersytecie Kazańskim wzięli udział przedstawiciele rządu Tatarstanu, ambasady polskiej i rektoratu uczelni (2011).

– *Dlaczego tu tak ciemno?* – pytam przyjaciela, który oprowadza mnie po swoim mieście.

– *Ci, którzy tu mieszkają, nie potrzebują latarni. Oni nie chodzą ulicą, oni podjeżdżają do mieszkań limuzynami.*

Ulica Szczapowa należy do nowej nomenklatury.

Pytają mnie nieraz: jak było w Kazaniu w ostatnim roku panowania Stalina? Jak widział to młodzieniaszek przybyły z Polski? Jak wyglądały „moje uniwersytety" – nawiązując do tytułu powieści dawnego mieszkańca Kazania Maksyma Gorkiego?

20. Telefon z Kazania

Miałem siedemnaście lat. Co dwa tygodnie jechałem tramwajem z dalekiego przedmieścia na główny plac milionowego Kazania, aby z Centralnego Telegrafu zadzwonić do Warszawy do matki. „Dalekie przedmieście" to określenie umowne. Nasz budynek był wtedy chyba ostatnim w mieście. Za nim już rozpościerały się pola.

39. Obraz „Poranek naszej ojczyzny" wisiał wszędzie w ZSRR i krajach satelickich. Mnie towarzyszył przez pięć długich lat studiów.

Pola widniały też na obrazie, pod którym siedziałem w dużej poczekalni Centralnego Telegrafu pośród publiczności złożonej często z podróżujących kołchoźników. Na podłodze parterowej sali obok

czekających leżały tłumoki poświadczające ich status. Obraz wraził mi się w pamięć. Był duży, dominowała w nim biel półwojskowego munduru Stalina. Stał z przerzuconym przez rękę płaszczem na skraju bezkresnych pól. Duży i zamyślony, ogarniał wzrokiem snopowiązałki, dymiące na horyzoncie kominy fabryczne i linię wysokiego napięcia. Przez lat sześćdziesiąt do dzisiaj pamiętam podpis pod obrazem „Poranek naszej Ojczyzny".

Na połączenie z Warszawą czekało się długo. Czasem godzinę, czasem i trzy godziny. Łączono przez Moskwę. Naokoło dyżurna wywoływała do kabin oczekujących na rozmowy do pobliskich nadwołżańskich miast i osiedli, do stolic Mordwinów, Maryjców, Udmurtów, Czuwaszów: *Czeboksary, przejdźcie do trzeciej, do trzeciej*. Po dziś dzień słyszę zwłaszcza nazwę jednego miasta, która wtedy zadziwiała mnie swoim brzmieniem *Mamadysz, Mamadysz – oczekują was, kabina pierwsza.* Ta nazwa kojarzyła mi się z jakąś głęboką orientalną prowincją. W odróżnieniu od Czeboksarów, bądź co bądź półmilionowej stolicy Czuwaskiej Republiki Autonomicznej. W poczekalni niósł się zawsze lekki szum rozmawiających. Kiedy jednak dyżurna wołała *Warszawa, do dziesiątej!* (najczęściej łączyli do dziesiątej) zapadała prawie absolutna cisza. To była wtedy dla Tatarów i Czuwaszów nie bliska, ale daleka zagranica. W roku 1952 nie słyszałem nigdy, aby wywoływano Rzym czy Paryż. Sześćdziesiąt lat później Kazań miał już stałe połączenie lotnicze z Frankfurtem nad Menem. Tuż przede mną lądowała w Kazaniu żona byłego prezydenta Clintona – Hillary. Zwiedziła błyskawicznie miasto, zaznaczając zainteresowanie USA niewojowniczymi tatarskimi muzułmanami. Uczyniła to jako urzędujący sekretarz stanu.

Niewielkie tatarskie miasteczko Mamadysz nieznane Polakom okazało się leżeć niedaleko Kazania. Ma długą przeszłość historyczną. Niejaki Lew Tołstoj pisał w XIX wieku, że woli je od Paryża czy Rzymu… czy była to ironia? Czy chęć ucieczki od „wielkiego świata"?

Obraz „Poranek naszej Ojczyzny" namalował w latach 1946–1948 Fiodor Szurpin, znany jeszcze w latach trzydziestych sztandarowy malarz realizmu socjalistycznego. Syn chłopskiej rodziny z guberni smoleńskiej.

Wychowanek moskiewskich szkół. Obraz otrzymał w 1949 roku Nagrodę Stalinowską. Umieszczono go w Galerii Trietiakowskiej. Spodobał się wodzowi. W Moskwie opowiadano, że Stalin pokazał obraz synowi Wasilijowi i powiedział mu: – *Myślisz, że jesteś Stalinem? Nie. Myślisz, że Stalin to ja? Nie. Prawdziwy Stalin jest na tym portrecie.*

„Poranek naszej Ojczyzny" wisiał w tysiącach kopii wzdłuż i w poprzek całego Związku Radzieckiego, wisiał i w krajach satelickich. Czekając pod jego kopią w dusznej sali przy placu ówcześnie Waleriana Kujbyszewa, dzisiaj imienia tatarskiego poety Gabdulla Tukaja, przy placu, który wielokrotnie zmieniał nazwę, ale zawsze był ważnym punktem miasta, nie znałem historii obrazu.

Bałwochwalczy „Poranek naszej Ojczyzny" był jedyną ozdobą poczekalni. Ten obraz oraz cisza i przestrach na hasło „Warszawa", wskazujące na to, że obok jest cudzoziemiec, na zawsze wraziły mi się w pamięć.

Kiedy w niedzielę wychodziłem po godzinach czekania na mroźny plac Kujbyszewa, dopadałem wygłodzony ulicznego sprzedawcę pierożków. Były gorące, nadziewane siekanymi jelitami baranimi. Z kilkoma pierożkami zawiniętymi w gazetę wchodziłem do najbliższej bramy przy ulicy Baumana, aby zjeść je w nieco mniejszym chłodzie. Z jedzeniem, a zwłaszcza z lokalami, w których można było się pożywić, na prowincji rosyjskiej radzono sobie z trudem.

W Domu Oficera Armii Czerwonej w Kazaniu, gdzie mieliśmy prawo jako cudzoziemscy studenci korzystać z restauracji, przysiadała się do nas często żona wysłanego do Rumunii wojskowego Rosjanina. Kobiecina ta użalała się nad naszym losem:

– *Wy biedacy tak jak i Rumuni nie macie uniwersytetów. Musicie się uczyć u nas.*

Była na poziomie słowa „uczyć się", a nie studiować. To się wyczuwało. A do Domu Oficera chodziliśmy czasem na obiady, co było ważne przy dotkliwym w Kazaniu braku mięsa, przy kłopotach z żywnością. Potem

czas jakiś mieliśmy prawo żywić się w stołówce pracowników rządu Tatarskiej Republiki Autonomicznej.

21. Kazań codzienny

W Kazaniu mieszkaliśmy prawie za miastem. Owej zimy 1952/1953 wracaliśmy z biblioteki w centrum tramwajami. A potem piechotą wśród niskich drewnianych domków z czasów carskich. Latarnie były rozrzucone rzadko. Bandytyzm w tym okresie plenił się wzdłuż Wołgi. Koło naszej bursy przebiegał w wąwozie tor kolejowy. Bandyci zepchnęli tam pod pociąg węgierską studentkę. Przeżyła, ale jako kadłubek. Wracaliśmy wieczorem grupkami – po trzech, czterech. Wąsaci milicjanci, często zdemobilizowani niedawno żołnierze, mieli patrolować uliczki. Bali się bandytów nie mniej niż my. Nasz kolega Edward czasem dla kawału wzywał głośno: – *Milicja!* Nieraz odpowiadał na to tupot nóg uciekającego w przeciwnym kierunku milicjanta.

Szarość, bieda, ogromne braki w zaopatrzeniu – oto moje wspomnienia.

W którąś niedzielę rano wybrałem się do Parku Kultury i Wypoczynku (oczywiście imienia Gorkiego). Było pusto i zimno. I nagle usłyszałem pijackie śpiewy. Kobiece. Ujrzałem trzy baby okutane w palta i chusty, może trzydziestoletnie. Ujęły się pod ręce. Tańczyły i śpiewały czastuszki. Były w stanie dalekim od trzeźwości. Miliony mężczyzn zginęły na wojnie. Mężczyzna stał się towarem deficytowym, a samotne kobiety – codziennością stalinowskiej Rosji. Moi dwaj starsi koledzy Polacy „grasowali" w fabrykach, a nawet w kołchozach pod Kazaniem wśród miejscowego dziewiczostanu. Wielu pożeniło się z Rosjankami. Ale władza radziecka nie ułatwiała tych kontaktów sojuszniczym przybyszom. W ramach odgrodzenia od świata, w ramach budowy socjalizmu w jednym kraju, wydano zakaz zawierania związków małżeńskich z cudzoziemcami. O zezwolenie można się było ubiegać latami. W Kazaniu zasłynął Polak, inżynier, ojciec dwojga dzieci, mieszkający od dawna z ich rosyjską matką

i ubiegający się bezskutecznie o zezwolenie na ślub. Owo restrykcyjne zarządzenie cofnięto dopiero po śmierci Stalina.

A nie zapominajmy, że nawet zawieranie wszelkich znajomości, nie tylko męsko-damskich, było źle widziane. Nieliczni i nieliczne odważali się, czy to w Kazaniu, czy w Moskwie, zapraszać do domu cudzoziemców. W kraju trwała kampania przeciw kosmopolitom. Pojęcie to wykraczało daleko poza środowiska Żydów radzieckich. Każdy, kto był poza granicami ZSRR, kto oglądał obcy kraj, kto za dobrze znał języki narodów nietworzących ZSRR, nie mówiąc już o osobach posiadających krewnych zagranicą, był podejrzany. Podejrzani byli na przykład moi starsi koledzy, byli oficerowie floty czarnomorskiej, studiujący geologię. Dlaczego? Pod koniec wojny zawijali do portów tureckich. Widzieli inny brzeg. Podejrzani byli i ci, którzy zobaczyli dostatek zdobywanych i rujnowanych przez siebie wsi niemieckich.

W Kazaniu wspomniani lejtnanci zdemobilizowani z floty na Morzu Czarnym mieli ułatwienia przy rekrutacji na studia. Dostawali się bez egzaminów. Mały Kolia Goliakow poczuwał się trochę do opieki nade mną. Tak samo wysoki Kim (imię miał bardzo prawomyślne, pochodziło od skrótu: Komunistyczny Internacjonał Młodzieży). Wdzięczny za niejedną pomoc, posłałem im pocztówki z wakacji w Polsce. Nie tylko nie odpowiedzieli. Byli lekko przestraszeni moją głupotą: dostarczyłem wszak pisemnych dowodów na ich kontakty z zagranicą.

Po drugim roku studiów (już w Moskwie) powtórzyłem tę samą głupotę z koleżanką ze studiów, postawną Tatianą, z którą zaczęliśmy flirtować. Na moje listy z Warszawy nie odpowiedziała. Kiedy tylko wróciłem po wakacjach do Moskwy, wypytałem się jakoś o jej adres i rozgorączkowany pojechałem na stację metra Krasnopresnienskaja. Do domu nigdy mnie nie zapraszała. Mieszkała ze starszą siostrą w drewnianym domku w starej robotniczej dzielnicy Moskwy. Krasnaja Presnja była symbolem walk z rewolucji 1905 roku. Tani nie było w domu. Otworzyła mi życzliwa starsza siostra. I słysząc moje głupie pretensje o brak odpowiedzi na listy, musiała wyjaśnić:

– Widzisz, ja sama – też niepełnoletnia – musiałam wychowywać Tanię. Naszych rodziców rozstrzelano w 1937 roku.

Szczególną niechęć do Polaków okazywał w Kazaniu wykładowca marksizmu-leninizmu, wysoki, wyleniały blondyn S. kandydat nauk (tytuł odpowiadający polskiemu doktorowi). Znałem go tylko z nazwiska. Dystans między studenciną pierwszego roku a wykładowcą był duży. Sześćdziesiąt lat później dowiedziałem się, że S. miał na imię Władysław, był synem Józefa. Został jako „podejrzany Polak" usunięty z Leningradu do Kazania. Był poetą. Pozostały po nim zbiorki poezji.

Usunięto S. z tego samego Leningradu, w którym w latach „polskiej operacji" Stalina–Jeżowa rozstrzelano za polskie pochodzenie setki robotników-metalowców partyjnych i bezpartyjnych, „operacji", w której zginęło około 140 tysięcy Polaków.

Strach przed ujawnianiem polskiego pochodzenia przetrwał przez całe dziesięciolecia od „polskiej operacji" lat 1937–1938.

W pierwszych dniach lutego 1953 roku zdawałem na Uniwersytecie Kazańskim u Arkadija Siemionowicza Szofmana (1913–1993) egzamin z historii starożytnego Rzymu. Mojej odpowiedzi na ostatnie pytanie o bitwę pod Akcjum jawnie nie słuchał. Przyglądał mi się. I wreszcie, widząc, że kolejna zdająca koleżanka nie zwraca na nas uwagi, zapytał z wyraźnym współczuciem: *– Jakiż to los was tutaj rzucił?* I nie czekając ani chwili na odpowiedź, wpisał mi stopień do indeksu i wskazał drzwi wyjściowe. Sedno sprawy polegało na tym, że w tym samym czasie Szofman był jednym z sekretarzy uniwersyteckiej organizacji KPZR. Tego człowieka, znającego sporo języków obcych, rok czy dwa później odwołano ze partyjnego stanowiska. Wiosną 1956 roku, od razu po XX Zjeździe KPZR, spotkałem go przypadkiem na Manieżnoj Płoszczadi, w centrum Moskwy. Na mój widok otworzył ramiona i zawołał:

– Doczekaliśmy!

Dwa czy trzy dni po śmierci Stalina musieliśmy zaliczyć w ramach studium wojskowego bieg narciarski po płaskim terenie za Kazaniem. Cała grupa kołysała się na nartach czekając na rozkaz naszego pułkownika.

Śnieżyło. Obok mnie stał na niewielkiej górce jak zawsze lekko pijany kolega Rosjanin, mój rówieśnik. Jego nazwisko – Batyr (po rosyjsku siłacz, mocarz) – pasowało do jego ogromnej postaci. Nagle odezwał się na cały głos: – *Staryj padoch* (stary zdechł). I niemal równocześnie padła komenda naszego antypatycznego pułkownika Ukraińca: – *Marsz!* Wszyscy udali, że niczego nie słyszeli. W Kazaniu po śmierci Stalina panowała dziwna cisza, stan oczekiwania. Miasto było sterroryzowane przez kryminalistów, których wypuścił Beria w ramach amnestii grudniowej w 1952 roku, ironicznie zwanych „dekabrystami". Batyr był miejscowy i pułkownik, gdyby doniósł, zasadnie mógł się obawiać ciosu nożem w plecy. Z biblioteki uniwersyteckiej do naszej położonej podówczas na peryferiach miasta bursy wracaliśmy wieczorami na ogół w grupach kilkuosobowych, obawiając się napaści. Istniały jakieś grupy mafijne i stowarzyszenia samoobrony. Mnie jako żółtodzioba i małolata wzięli pod opiekę starsi o lat dziesięć, piętnaście studenci geologii, byli oficerowie floty czarnomorskiej – koledzy z bursy. Poczuwali się do tego, żeby przejść ze mną główną ulicą Baumana przez kilka „kabaków" (szynków), sygnalizując ludziom przy kontuarach *Ten jest nasz, jak się napatoczy, zostawcie go w spokoju*.

Pisarz Wiktor Pietrowicz Astafjew (1924–2001), weteran z czasów wojny, wspominał w 1991 roku, że kampania przeciwko kosmopolityzmowi była odgłosem tej walki, która rozpoczęła się w latach 1942–1945 przeciwko wpływom Zachodu, siłą rzeczy umocnionym przez warunki nowych aliansów. *Było rzeczą niezbędną* – wywodził Astafjew – *usunąć tych żołnierzy, tych wolnomyślicieli, którzy własnymi oczami zobaczyli, że zwyciężeni żyją bez porównania lepiej od zwycięzców, że tam przy kapitalizmie życie toczy się zdrowiej i bogaciej* [...] *No, jak napatrzy się na to żołnierz i po powrocie do rodzinnej wsi zobaczy karaluchy, głodne dzieci, to się wypowie* [...] *Jak z takimi walczyć? Tylko likwidować. I oto towarzysz Stalin zaczął niszczyć tych, którzy ocalili jego skórę.* W kategoriach więźniów Gułagu pojawiły się podczas wojny określenia WNT (za chwalenie niemieckiej techniki), po 1945 roku określenia: WAD (za chwalenie amerykańskiej demokracji), WAT (za chwalenie amerykańskiej techniki), PZ (za czołobitność przed Zachodem).

Po tym, jak żołnierze Armii Czerwonej zatknęli flagę na Reichstagu, Stalin nie chciał dalej podbijać orężnie Europy. Do Hilarego Minca, ówczesnego polskiego ministra przemysłu, powiedział podobno niebawem po wojnie podczas osobistej rozmowy: *Mogłem wziąć całą Europę po La Manche, ale Francuzi lubią żreć, a u mnie nie ma co żreć.* Powtarzał mi to po latach przyjaciel i Minca i mojego ojca wojewoda szczeciński Leonard (Lusiek) Borkowicz.

22. Pod portretem Waltera

Na powitanie w Moskwie mój przyjaciel Leon oprowadził mnie po stolicy, pokazując biedę ludzi i miasta i powiedział:

– *To kolos na glinianych nogach.*

Nie byłem tego zdania ani wtedy, ani dzisiaj. Po Kazaniu Moskwa wydawała mi się oazą bezpieczeństwa i dobrobytu. W sposób, którego nie potrafię odtworzyć, wylądowałem w grupie studentów w katedrze historii południowych i zachodnich Słowian. Przez trzy lata mieszkałem w bursie „na Stromynce". Mieszkali tu nie tylko studenci uniwersytetu, ale i wielu innych uczelni. Był to czworobok koszar w dzielnicy Sokolniki. Koszary podobno pamiętały czasy Katarzyny Wielkiej. Dochodziło się albo dojeżdżało tramwajem do stacji metra. Stamtąd do centrum i pieszo niemal pod samym Kremlem przez plac Manieżny do starych budynków uniwersytetu.

Bursa w koszarowych salach przeważnie ośmio-, a nawet dziesięcioosobowych gromadziła setki studentów. W pokojach łóżko stało przy łóżku. Przy nich szafki nocne. Ubrania w walizkach pod łóżkami. Stołów do pracy nie było. Mały stolik w kącie, na którym jedliśmy po kolei. Zmęczenie rozładowywaliśmy chodząc po długim czworobocznym korytarzu.

Warunki higieniczne były tylko nieco lepsze niż w Kazaniu, ale podobne. Za to przy wyjściu z wielkiego budynku tuliła się łaźnia publiczna. Musiała być drewniana, bo kiedyś się zapaliła. I Marian Stefanowicz, Polak z Litwy, siadłszy na parapecie pokoju na drugim piętrze, ze znawstwem obserwował niewielki pożar, uspokajając nas:

– *Nie bójcie się, rebiata. Były strażak z wami!*

Marian istotnie zaczynał karierę jako członek ochotniczej straży pożarnej w miejscowości Niemenczyn. Straż ta zasłynęła tym, że znajdując się w budynku niedalekim od kościoła, nie była w stanie ugasić jego pożaru. Strażacy leżeli akurat pokotem na pryczach po większej popijawie. Władza radziecka rozgoniła ów oddział strażacki. Sprawa trafiła do gazet, a Marian – zwany Marianasem – jakimś cudem na wydział historii Uniwersytetu Moskiewskiego jako stypendysta rządu Litewskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej.

Marianas nadal używał alkoholu. Głowę miał słabą i sprawiał różne kłopoty. Pamiętam scenę, kiedy pijany Marian zaszedł do umywalni i zaczął przy ludziach urągać swojemu sąsiadowi z pokoju, Wani Kurbatowowi:

– *Kto ty jesteś Wania, zwykły ruski chłop pańszczyźniany, a ja jestem polski szlachcic.*

Mały, krępy, silny Wania potaszczył szybko Mariana na plecach do pokoju, do łóżka, aby pijany nie zabrnął dalej w politykę. Marian miał zwyczaj ubliżać po pijaku władzom litewskim, szczególnie pastwiąc się na całe szczęście nie nad sowieckimi dygnitarzami, ale nad zmarłym prezydentem z przedwojnia Antanasem Smetoną i rządem burżuazyjnej Litwy. Ale czasem dostawało się i współczesnym. Ten uzdolniony samouk pochodził z jakiejś wsi zaściankowej szlachty polskiej na Wileńszczyźnie. Natomiast poczciwy Wania, starszy od niego, zdążył już odbyć służbę w Armii Czerwonej i znał cenę życia. W ogromnej bursie z własną, podłą zresztą, stołówką i lecznicą mieszkali najróżniejsi ludzie z ZSRR i krajów satelickich, zwanych wtedy krajami demokracji ludowej. Z przyszłych polityków przewinęli się wtedy przez bursę ludzie tacy jak Michaił Gorbaczow czy znani później z praskiej wiosny: Jiří Pelikán, Zdeněk Mlynář i nieco młodszy mój przyjaciel Ivan Laluha.

Kiedy myślę o bursie przy ulicy Stromynka 32, staje mi często przed oczyma moja praczka. Mieszkała w tym gmachu jako sprzątaczka. Trzydziestoparoletnia, blada, wychudzona, wielodzietna. Moja mania chodzenia w czystej bieliźnie i uprasowanych koszulach była dla niej

źródłem istotnych zarobków. Widzę jeszcze dzisiaj, jak idzie korytarzem bursy, jakby ciągnąc za sobą nogi.

Z początku umieszczono mnie ze starszymi kolegami Rosjanami. Moim sąsiadem w pokoju był uroczy student Tola Nowosielcew, który codziennie wkuwał wtedy język perski i opowiadał mi o Chazarach – koczowniczym ludzie pochodzenia tureckiego, o ich tolerancji wyznaniowej, w której mieszał się szamanizm z islamem, chrześcijaństwem i judaizmem. Tola przeszedł potem do encyklopedii jako Anatolij Pietrowicz Nowosielcew (1933–1995), znany badacz historii ludów wschodnich pochodzenia tureckiego. W latach 1988–1993 był dyrektorem najważniejszego instytutu historycznego Akademii Nauk, pierwotnie zwanego Instytutem Historii ZSRR. Wybrano go na fali pierestrojki. Stanowisko było, jak to się w owych czasach mówiło, nomenklaturowe; zapraszano go na narady w instytucjach politycznych. Kiedy po wielu latach niebytności w ZSRR zjawiłem się w czerwcu 1991 roku w Moskwie, Tola ściągnął mnie do siebie do domu. Żona dokądś wyjechała. Przy kawalerskiej kolacji powiedział mi:

– *Już po Gorbaczowie. Byłem na posiedzeniu zamkniętym sztabu generalnego. Marszałkowie krytykowali go bez pardonu.*

A potem dodał:

– *Mnie też wykończą. Nasłali mi do instytutu arywistę z dawnej nomenklatury.*

Miał rację. Ciężko chory zmarł cztery lata po naszym spotkaniu.

Mimo, że w owym roku akademickim 1953/1954 mieszkał z nami ówczesny boss partyjny na szczeblu uniwersyteckim Wiktor Tomilin, nikt nikogo nie upolityczniał. Wiktor był często wykpiwany za swoją obsesję szukania zdrowej żywności. Kiedyś wmówiliśmy mu, że na ulicy Gorkiego (Twerskiej) sprzedają języki wielorybów w konserwach. Niezwykle zdrowe. W niedzielne poranki ironista Wadim Juszenko rozpoczynał dzień, leżąc jeszcze w łóżku komunikatami imitującymi „kołchoźnik" – zawieszony na ścianie odbiornik radiowy podłączony do wewnętrznej sieci bursy.

Jeden z komunikatów Wadima pamiętam do dzisiaj:

– *Towarzysze! Nasza ojczyzna odniosła ostatnio kolejny wielki sukces! Nasz kraj w produkcji piwa na głowę ludności pobił Pakistan, Iran i wiele innych krajów*

razem wziętych.

Tu w wyliczeniu Wadima następował ciąg krajów muzułmańskich, w których zakazane były napoje zawierające alkohol.

Kończący studia starszy kolega czeski Miroslav Horáček – też z naszego pokoju – wielokrotnie odwiódł mnie od jeżdżenia na zajęcia do centrum, urządzając ze mną turnieje gry w cymbergaja na dużej walizce.

W pół roku po śmierci Stalina było już wyczuwalne pewne małe rozluźnienie, redukcja powszechnego strachu. Ale mnóstwo odruchów warunkowych, które wytworzył lub utrwalił stalinizm, przetrwało ponad pół wieku po śmierci „największego wodza światowego proletariatu". Przede wszystkim pogarda dla ludzkiego życia.

40. Spotkanie w Paryżu (1949). Od lewej: Jerzy Borejsza, Ołeksandr Kornijczuk i Ilja Erenburg. Czy autor „Odwilży", spotykając się w 1956 z nami, studentami na Uniwersytecie Moskiewskim, uważał nas za przygłupów?

Odwilż. Pamiętam spotkanie z Iljąą Erenburgiem po XX Zjeździe KPZR. Siedział znudzony wśród studentów. Czy uważał ich za przygłupów? Czy

obawiał się donosicieli? Opowiadał, jak dla mnie, banały, tłumacząc, że istnieją tacy wybitni malarze jak Picasso czy Matisse. Prawie niczego nie powiedział o życiu w ZSRR. Studenci spodziewali się, że autor „Odwilży" zapowiadającej zmiany powie coś o przebudowie stalinowskiego jeszcze kraju. Ani słowa.

Po niedługim czasie zdałem sobie sprawę, że wszyscy jesteśmy w ten lub inny sposób nadzorowani. Na kolegów donosili często szefowie wydziałowych komórek partyjnych czy doktoranci opiekujący się cudzoziemskimi studentami. Około roku 2000, kiedy byłem z serią wykładów w uczelniach moskiewskich, jeden z miejscowych docentów odpisał moją charakterystykę z akt dawnego komitetu miejskiego Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego: *On nie jest komunistą, to z przekonań szwedzki socjaldemokrata, ale rusofil*. Kto ją sporządził, nie wiem. Ale kiedy na piątym roku kończyłem studia już w bardzo przyzwoitych warunkach, z własnym pokojem w nowym gmachu uniwersytetu na Wzgórzach Leninowskich, spotkałem na korytarzu bursy w noc noworoczną pijanego Fiedię K., byłego kapitana Armii Czerwonej, sekretarza KPZR na naszym roku. Obaj wzdychaliśmy do tej samej dziewczyny. Ja platonicznie, on na poważnie. Był po wojsku, dziesięć lat starszy ode mnie, cherlawy; nie miał u niej szans. Było mi go szkoda. Gdyby zauważono, że „sam sekretarz" błąka się pijany i gadający głupstwa, mógłby sobie napytać biedy. Zaciągnąłem go do pustego pokoju nieobecnego chwilowo mojego przyjaciela etnografa Griszy Kusznariowa. Usiłowałem uśpić. Nie dawało rady. Wtedy dałem mu środek nasenny. Od razu dwie pastylki. Nie wiedziałem, że zawarte w nim opium stanowi z alkoholem mieszankę wybuchową. Fiedia stracił zupełnie samokontrolę. Poskarżył mi się, że musi stale pisać donosy na studentów naszego roku. Ale zachował resztki czujności. Nie odpowiedział na pytanie: co napisałeś na mnie?

Miałem u kapitana pewien mir. Na czwartym roku studiów powiesiłem sobie nad łóżkiem w pokoju jeszcze na Stromynce fotografię portretową pewnego generała podpisaną przez niego. Był nim Świerczewski-Walter.

Fiedia widział ją. Jak się potem okazało, myślał, że to podobizna mojego ojca. Z papierów personalnych cudzoziemców, do których musiał mieć dostęp, mógł wyczytać, że ojciec służył w Czerwonej Armii. Ale i w moim przypadku z pewnością pisał donosy. To po prostu należało do jego obowiązków.

Portret Waltera zdjąłem ze ściany po XX Zjeździe KPZR. A może wcześniej matka, która przyjechała z delegacją polskich wydawców pierwszy raz w życiu do Moskwy, zwróciła mi uwagę, że to trąci fanfaronadą.

Matka przyszła niezapowiedziana do bursy na Stromynce. Byłem w pokoju sam. Siedziałem przy małym stoliku w ciemnym kącie za szafą i jadłem spokojnie chleb z kiełbasą rozłożony na gazecie. Obok stało wiadro na odpadki. Matka rozpłakała się. Nie tak sobie wyobrażała warunki na studiach w kraju Sowietów.

Pierwszym kolegą, którego matka zobaczyła, był Chińczyk Chań Cuń-li. Czasami uczyłem go rosyjskiego. Losy związały nas na całe życie, o czym dalej. Był z innego wydziału. Władze chińskie chyba już nie ceniły wtedy radzieckiej humanistyki. Nie pamiętam Chińczyków – studentów historii. Ale zapewne jacyś byli.

Katedra historii Słowian południowych i zachodnich jawiła mi się od początku jako miejsce życzliwości. Jedyną osobą spoglądającą nieco z rezerwą na studentów był kierownik katedry Siergiej Aleksandrowicz Nikitin. Wydawało się, że patrzy na nasze małe stadko jak na niedouczonych żółtodziobów. (Później dowiedziałem się, że i on poznał bardzo wcześnie przesłuchania radzieckich śledczych). Ale jego sugestywne wykłady o Bałkanach fascynowały mnie. Wiało od nich duchem starego rosyjskiego panslawizmu, protekcjonalnej życzliwości silniejszego do „młodszych braci" – Serbów, Bułgarów, Czarnogórców. Zajęcia z Nikitinem pobudziły mnie do szperania w dziewiętnastowiecznych książkach i rękopisach Biblioteki Lenina (dziś nosi nazwę Centralnej Biblioteki), do zdobywania wiedzy o tym, co się działo podczas wojny rosyjsko-tureckiej 1877–1878 roku.

Przeciwieństwem charakterologicznym Nikitina był w moim subiektywnym odczuciu Iwan Aleksandrowicz Woronkow. Interesował go los studentów, ich problemy i bolączki. Bodaj po trzecim roku studiów zgłosiłem się do niego, że chcę wracać do Polski. Powiedziałem, że studiowanie historii Polski (której poświęcono część wykładu) w Polsce jest może bardziej naturalne. A przede wszystkim, że bardzo tęsknię za matką, a i ona też chciałaby już mieć jedynaka u siebie w Warszawie.

Woronkow, który pełnił wiele funkcji pozanaukowych, bez wątpienia posiadał moje dossier, zrozumiał, o co naprawdę chodziło, że ogarnęły mnie zwątpienia. Ujął to lapidarnie: *jeśli wyjedziecie na własne życzenie, żizni u was w Polsze nie budiet* (w Polsce wam nie odpuszczą). Popatrzył na mnie i zaproponował:

– *Żebyście nie tracili czasu, załatwię wam dostęp do archiwów. Nie musicie chodzić na wszystkie zajęcia, zdawajcie tylko wszystkie egzaminy.*

I załatwił. Najpierw do moskiewskiego archiwum uniwersyteckiego. Pierwsze teczki archiwalne, z jakimi się zapoznałem, były z lat 1860–1862 i dotyczyły moich poprzedników, bardzo licznych studentów polskich, którzy ze względów często rzekomo zdrowotnych brali dłuższe urlopy. Podtekst był jasny: szli do konspiracji patriotycznych, z których niebawem miało się zrodzić ogólnonarodowe powstanie styczniowe.

Po archiwum uniwersyteckim uzyskałem dostęp do głównych archiwów moskiewskich. Trzeba było dużej dozy życzliwości, aby w tamtych czasach studentowi, a w dodatku cudzoziemcowi, zapewnić dwa lata buszowania po archiwach. Była to dla mnie znakomita szkoła pracy z dziewiętnastowiecznymi dokumentami. Okres po 1914 roku był wtedy w archiwach w ogóle niedostępny. Dostęp do inwentarzy – spisów imiennych i problemowych teczek – był też prawie niemożliwy. Na ogół radziłem sobie sam, podpytując w miarę możności archiwistów. Czasami w sprawach dokumentów do dziejów podziemnej partii polskiej Drugiego „Proletariatu" (1888–1892), o którym pisałem pracę magisterską, konsultowałem się z Iriną M. Bielawską, moim promotorem. Mimo że na naszych oczach kruszył się kult Stalina, mówiła ze mną niechętnie

o sprawach pozanaukowych. Widać było w jej zachowaniu smutek i dużą powściągliwość. Dzisiaj wiem, że była w tym pamięć o terrorze, o „wielkiej czystce".

Dlatego, kiedy znalazłem teraz w XXI wieku w Internecie jawnie propagandowy hymn katedry historii Słowian południowych i zachodnich MGU (Moskiewskiego Uniwersytetu Państwowego), którego pierwsza zwrotka brzmi podobno:

Союз нерушимый народов славянских
Без собствнной кафедры жил как в дыму
Но в тридцать девятом возникла как в сказке
Она на истфаке в стенах МГУ

(Związek niezłomny narodów słowiańskich
Bez własnej katedry żył jak we mgle
Lecz w trzydziestym dziewiątym powstała jak w bajce
Na wydziale historycznym w murach MGU)

zadałem sobie pytanie, kiedy powstał ten hymn i czy katedrę historii Słowian południowych i zachodnich tworzono w wesołej atmosferze? Czy w roku 1939 wspomnianym w hymnie „życie było jak w bajce"? Czy można było wtedy mówić o „niepodważalnym sojuszu narodów słowiańskich"? W roku 1939 Czechosłowacja była ostatecznie podzielona i okupowana. To mogło w imię solidarności słowiańskiej pobudzić znanego uczonego Władimira Iwanowicza Piczetę do przedstawienia na wiosnę 1939 roku odpowiednich planów utworzenia katedry narodów słowiańskich. Ale otwarcie katedry 1 września 1939 roku nastąpiło w dniu napaści Trzeciej Rzeszy na Polskę, w niewiele dni po podpisaniu paktu przyjaźni ZSRR z państwem Hitlera. Nie był to pakt wsparcia Polaków – zachodnich Słowian, a wręcz przeciwnie. Proslawizm i panslawizm Rosji Romanowów miał przede wszystkim ostrze antytureckie i antyniemieckie, w stosunku

do Polaków krył tendencje rusyfikacyjne. Idea jedności słowiańskiej w wykonaniu Stalina była koniunkturalnym, czasowym, zmiennym hasłem propagandowym, na dobre podjętym w roku 1941 i wygasłym w momencie narodzin planów federacji południowosłowiańskiej (Dymitrow–Tito) i zerwania ZSRR z frondującą Jugosławią.

Panslawizm, austroslawizm, antyslawizm – w każdym razie zainteresowania kiedyś rozbudzone w MGU odezwały się u mnie po latach, owocując niedawno moimi publikacjami o wojnie krymskiej 1853–1856, a także o hitlerowskich planach masowej zagłady wszystkich Słowian.

O Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej zdarzyło mi się parę razy rozmawiać z Wierą Iwanowną Władimirską, wykładowczynią marksizmu-leninizmu. Sama była na wojnie jako młoda dziewczyna. O jej frontowych przygodach opowiadano sobie po cichu niestworzone historie: między innymi, jakoby natknąwszy się pełznąc pod zasiekami z drutu kolczastego na jakiegoś Niemca, zamordowała go własnymi rękoma. W okresie XX Zjazdu KPZR stwierdziła, że nie przeczytałem ostatnich prac Stalina i mimo to postawiła mi piątkę, prosząc, żebym jednak do nich zajrzał. To też był mocny sygnał, że następują zasadnicze zmiany. Potem, kiedy jako lektor z ramienia polskiej ambasady pozwoliłem sobie na zebraniu publicznym studentów historii dać wyraz mojej sympatii dla Imre Nugya, to Władimirskya i Bielawska storpedowały wniosek zgłoszony przez jednego z wykładowców o usunięcie mnie z Uniwersytetu. Moja matka, która spotkała przypadkowo Władimirską, była pod wrażeniem jej wdzięku i manier. Obie wykładowczynie, broniąc mnie, podkreślały zapał, z jakim przekopuję archiwa, i moje głębokie zainteresowanie i sympatię dla kultury rosyjskiej.

Lat studiów nie zmarnowałem. Poznałem wielki kraj, jego ludzi, język i kulturę. Z tysięcy mikrofilmów, które przywiozłem pół wieku temu, korzystam nadal. Byłem chyba pierwszym Polakiem, który niebawem po 1953 roku dostał tak szeroki dostęp do archiwów XIX wieku. Zapomniałem bezmyślność, nieuctwo i szowinizm niektórych wykładowców. Mogę tylko poniewczasie ubolewać nad setkami godzin straconych na wkuwanie

stalinowskich pustych i do cna zakłamanych podręczników tak zwanego marksizmu-leninizmu. A z wdzięcznością wspominam wykłady Igora M. Reisnera, Piotra A. Zajonczkowskiego, Anatolija W. Ado, którzy przybliżali mi dzieje Azji czy historię społeczną i gospodarczą Rosji i Francji.

Naszym znakomitym dziekanem był archeolog Artiemij Władimirowicz Arcichowski (1902–1978), odkrywca gramot na brzozowej korze w Nowogrodzie Wielkim. Jako konsultant przy budowie moskiewskiego metra, a także filmów Siergieja Eisensteina zarabiał krocie. I pieniądze te chętnie rozdawał potrzebującym studentom. Głębokim basem witał po łacinie gości zagranicznych. Była to postać bardzo kolorowa. Nie jedyna.

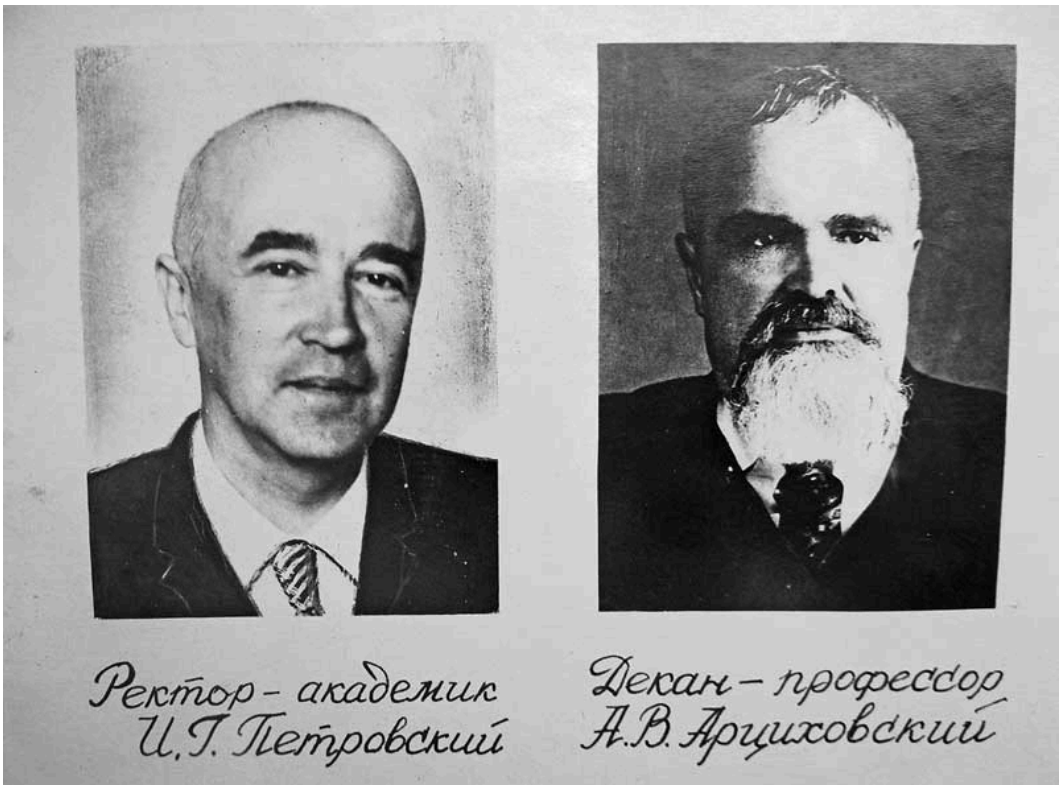

41. Album rozpoczynały zdjęcia rektora i dziekana mojego wydziału. Tym ostatnim był znany w świecie archeolog Artiemij Arcichowski.

Z historią krajów azjatyckich zaznajamiał nas Igor Reisner (1899–1958). Potomek starej rodziny inteligenckiej, brat sztandarowej rewolucjonistki 1917 roku Larissy, był w stalinowskiej Rosji podejrzany i zarazem

wykorzystywany jako znawca języków i realiów Afganistanu i Indii. Dyplomata od młodości i wywiadowca Kominternu, do partii bolszewików wstąpił bardzo późno. Może był do tego zmuszony. Jego awanse naukowe hamowano. Za to w przerwach pod naszą salą wykładową widzieliśmy nieraz czekających na konsultację u niego głównych członków Radzieckiej Akademii Nauk. Na wykładach siadałem jak najbliżej Reisnera. Wykładał świetnie. Chodził przy tym. Czasami potykał się. Był prawie zawsze pod wpływem alkoholu.

Zawodowym dyplomatą i profesorem okazał się Borys Sztejn (1892–1961), przyjaciel Maksima Maksimowicza Litwinowa. Był między innymi radzieckim ambasadorem u Mussoliniego w latach 1934–1939, o czym kiedyś napomknął w rozmowie ze mną. Może był to rok 1956. Wykładał u nas pod koniec swojej kariery. Wiem o nim teraz dużo z dokumentów, nie ze studenckich rozmów. W latach 1952–1953 więziony, ledwo uszedł z życiem.

Ze wzruszeniem patrzę na fotografie ze starego albumu absolwentów wydziału historycznego z 1957 roku, na koleżanki i kolegów z naszej „słowiańskiej grupy", na podobizny Tani Grigoriewej, Żeni Makowej, Ziny Kotichinej, Ksieni Chwostowej, Aliny Czumak, Koli Gorelczenko i Mariana Stefanowicza, na fotografię mojego przyjaciela etnografa Griszy Kusznariowa. W późniejszych latach po studiach stracił cały dzień, aby dojechać z prowincji na godzinę rozmowy ze mną w Moskwie. Zina stała się znakomitym ekspertem archiwalnym, wydaje dzienniki Mikołaja II. Mieszkał w bursie na Stromynce i aspirant Michaił S. Gorbaczow. Słyszałem o nim, ale go nie poznałem. Rozgłos zdobył w dobie pieriestrojki Jurij Afanasjew, mój przyjaciel ze studiów, założyciel jednej z najlepszych uczelni humanistycznych w Rosji. Niegdyś płomienny działacz komsomolski i partyjny, na progu XXI wieku czołowy przeciwnik Władimira Putina i krytyk imperializmu i zacofania Rosji. Między innymi autor książki „Groźna Rosja". Na studiach pomogłem mu w jakimś tłumaczeniu z francuskiego. Przed śmiercią za zasługi w zbliżeniu z Francją został oficerem francuskiej Legii Honorowej.

42. Pamiątkowa księga absolwentów Uniwersytetu Moskiewskiego z fotografiami profesorów i nas studentów (1957).

Niestety, nazwiska niektórych kolegów odczytuję już tylko na cmentarzach, w Moskwie ostatnio na historycznym Cmentarzu Nowodiewiczym zobaczyłem nagle nagrobek świetnego historyka sztuki cerkiewnej Aleksandra (Saszy) Rogowa. Przyklejony do grobu ojca, bezwzględnego stalinowskiego komisarza Floty Bałtyckiej podczas Wielkiej Wojny Ojczyźnianej. Cień zmarłego wcześnie ojca pozwalał Saszy na różne „ekscentryzmy": wyznawał prawosławie, wyuczył się świetnie polskiego i na wakacje jeździł do podkrakowskiego opactwa benedyktynów w Tyńcu. W moim domu została ikona – pamiątka po nim.

Na apelach przyjaźni brakuje już wielu... jak pisał Sergiusz Jesienin. (*На перекличке дружбы многих нет*)...

Opuszczając ZSRR w 1957 roku, znałem dobrze drogi do archiwów, ale pojęcia nie miałem o ogromie systemu Gułagu, o zasięgu mordowni kierowanych z Łubianki. O ich istnieniu już wiedziałem. Moja wiedza

opierała się głównie na referacie Nikity Chruszczowa o zbrodniach Stalina, na ulotnych napomknieniach kolegów: czyjś ojciec wrócił z zesłania, ktoś był uwięziony w tej samej miejscowości, na którą skazano go za czasów Mikołaja II. Zdawałem sobie już sprawę z powszechnego strachu, ze „zbrodniczych wypaczeń systemu". Nie pojmowałem, że za fasadą pozornej, pięknej utopii, w którą zwłaszcza z daleka wierzyło wielu naiwnych, krył się system zorganizowanej zbrodni o ogólnoświatowym zasięgu. System, który nie był ani pozytywną „przyszłością świata", ani przyszłością Rosji. Wiedziałem już, że wzorcem socjalizmu może być Szwecja, ale jak tysiące Polaków myślałem, że system można naprawić i na wschodzie Europy. Jeśli nie w ZSRR, to przynajmniej u nas, w Polsce. Witold Kula opowiadał mi, że Austriak Aleksander Weissberg-Cybulski, którego spotkał w Paryżu, znakomity fizyk zasłużony dla ZSRR, więzień stalinowski, który porażał nawet śledczych z NKWD logiką swojego oporu, autor „Wielkiej Czystki" – książki klasycznej, znanej w wielu językach – nie utracił już daleko od Moskwy, we Francji, wiary w idee socjalizmu.

To przemawiało do mnie. Dopóki system trwał, można go było zmieniać z pozycji opornej śrubki, ale nie bezczynnego obserwatora.

W latach 1956–1957 mieliśmy na wydziale prawdziwy hymn, który po przyjacielsku wykpiwał przewagę kolegów Ormian we władzach wydziału. Ironiczna piosenka brzmiała (w moim przekładzie):

A przodem kroczy Trusz
Prawdziwy mąż stanu,
Bałajan, Seranjan i cała reszta
A za nimi już my,
Synowie wydziału, razem wszyscy
Burżuje i robotnicy.

I istotnie, obok dzieci nomenklatury szli na pochodach chłopcy i dziewczęta ze wsi i przedmieść. Dokładnie ze wspomnianej w piosence grupy „mężów stanu" pochodzi rządzący od dziesięcioleci rosyjską nauką

historyczną na każdym etapie dziejowym sędziwy już, ale rzeźki Aleksandr Oganowicz Czubarjan.

23. Lektor ambasady

Przez pewien czas byłem aktywistą w ziomkostwie polskich studentów i aspirantów w ZSRR. Zaczynałem skromnie. W Kazaniu jako najmłodszego powoływano mnie do protokołowania zebrań. Podziwiałem kolegów, którzy bardzo zabiegali o funkcje w zarządzie. Całą salę studencką w Kazaniu, a było wtedy z siedemdziesiąt osób, rozśmieszył kolega Gerard. Ten starszy towarzysz lubił dramatyzować swoje dzieje. Uciekł z nowicjatu. I życiorys swój kończył nieodmiennie słowami: *światło prawdy ukazała mi dopiero pewna towarzyszka z komitetu wojewódzkiego partii w Kielcach*. Powszechną tajemnicą było, że owa starsza od Gerarda towarzyszka przez dłuższy czas wykazywała mu zalety stosunków męsko-damskich. Ciekawe, że Gerard nie był jedynym chłopcem wiejskim, który zrezygnował z zakonu czy kariery księżowskiej na rzecz partyjnej i studiów w ZSRR. Takich spotkałem tam kilku.

Podczas lat odwilży 1955–1956 (byłem już od dawna w Moskwie) ktoś z kolegów doszedł do wniosku, że nie popisywałem się gorliwością polityczną na żadnych zebraniach ziomkostwa czy partii, nikogo nie prześladowałem. Mogę więc być w nowym okresie dobrym kandydatem do władz całego ziomkostwa w ZSRR. Stu delegatów z różnych ośrodków na zebraniu w Biurze Radcy Handlowego wybierało nowe władze. Kandydaci do zarządu całego ziomkostwa tłoczyli się na trybunie z różnymi uwagami, starając się zbierać głosy. Popatrzyłem i na oczach wszystkich poszedłem grać w ping-ponga w sąsiedniej sali. Efekt był piorunujący. Dostałem dziewięćdziesiąt dziewięć głosów na sto. Sam, oczywiście, głosowałem na siebie. Kim był ten jeden sprawiedliwy – nie wiem. Głosowanie dało początek mojej krótkotrwałej karierze. Zostałem kierownikiem kulturalno-oświatowym ziomkostwa. Do prowadzenia chwilowo chóru zmusiłem

Jerzego Grotowskiego. Potem dodano mi jeszcze odpowiedzialność za szkolenie polityczne. Głównie dotyczyło ono polskiego października. W samej Moskwie rozsyłaliśmy tezy do chyba jedenastu zespołów samokształceniowych. Pomagało mi trzech kolegów historyków. Jeden, Ernest Skalski, jeszcze z mojej warszawskiej szkoły, został później znanym dziennikarzem. Karierę ministerialną w Polsce zrobił najgorzej uczący się z tej trójki.

43. Po XX Zjeździe KPZR Bolesław Bierut spotkał się w gmachu uniwersytetu z polskimi studentami. To amatorskie zdjęcie jest zapewne jednym z ostatnich, jakie mu zrobiono. Widziałem go, ale stałem przy jawnie zadowolonym i wesołym Józefie Cyrankiewiczu.

Byłem strasznym gołowąsem, kiedy wezwał mnie do siebie podówczas chyba sekretarz ambasady Władysław Napieraj (potem dyrektor departamentu w MSZ i ambasador w Bułgarii). Przyszły zawodowy dyplomata pokazał mi książkę do nauki rosyjskiego, którą pilnie wkuwał.

– Widzicie, ja się dopiero uczę, a wy tak płynnie mówicie. Będziecie występowali jako lektor w naszym imieniu. Ale z uwagi na wasz młody wiek będzie wam towarzyszył D., studiujący teraz w Moskwie, a w ogóle to jest były sekretarz do spraw ekonomicznych w ważnym województwie.

Towarzysz D., mężczyzna po trzydziestce, mocnej budowy, przydawał mi splendoru. Nie wiem, jaka była jego znajomość języka gospodarzy, bo na ogół milczał. Razem byliśmy między innymi w MGIMO (Moskiewskim Instytucie Stosunków Międzynarodowych) – kuźni kadr nie tylko dyplomatycznych, ale i wywiadowczych.

Z sali przysyłano mi na niepodpisanych kartkach sporo pytań. Zauważono, że kartek nie zostawiam na stole, tylko drę i chowam do kieszeni. To zachęcało do pytań. Ale nie wszystkie podarłem. Niektóre zachowały się cudem do dzisiaj w moich papierach. Sala rozumiała moje wypowiedzi i aluzje. I teraz po sześćdziesięciu latach odtwarzam, o co pytano.

Oto niektóre z tych pytań, które przepisuję po latach:

– Mówicie o „polskiej drodze" do socjalizmu. Nie bardzo rozumiem, czym ta nowa droga różni się od starej?

– Jak ocenia się Bieruta?

– Jeśli człowiek miał autorytet w partii, to partia odpowiada nie tylko za kult wodza, ale za coś, co było i kultem partii. A więc myliła się nie tylko jednostka, ale i partia.

– Czy zmieni się wasza polityka zagraniczna? Czy będziecie mieli szersze kontakty kulturalne z Zachodem?

Zaledwie trzy lata po strasznej fali antysemityzmu w ZSRR ktoś pytał mnie z sali*: – A czy macie problemy z antysemityzmem, czy nie?*

– Jaka jest proporcja realistycznej i futurystyczno-dekadenckiej sztuki w Polsce?

– Mówiliście, że w Polsce wydaje się studenckie gazety i pisma. Za jakie pieniądze się je wydaje? Kto tworzy te redakcje?

Któryś z pytających stwierdził na kartce: *– W Polsce jest pełna wolność prasy, a w ZSRR nie. Czy nie dojdzie u was do przewrotu?*

Pytania tego rodzaju niespełna trzy lata po śmierci Stalina sygnalizowały, że ludzie zaczynają myśleć, a nawet po cichu się buntować.

Do MGIMO zawsze rekrutowano nie tylko pewnych ideologicznie, nie tylko dzieci nomenklatury, ale wielu ludzi inteligentnych. ZSRR świadomie kontynuowało jeszcze dziewiętnastowieczne tradycje szkolenia dyplomatów, na które tak wielką uwagę zwracał kierujący przez dziesięciolecia polityką zagraniczną po wojnie krymskiej (1853–1856) minister Aleksandr Gorczakow. Nie kto inny, jak stary urzędnik carski, a twórca dyplomacji sowieckiej, ludowy komisarz spraw zagranicznych Gieorgij Cziczerin umilał sobie wolne chwile, pisząc biografię księcia Gorczakowa. Federacja Rosyjska zaś nie tak dawno obchodziła dwusetną rocznicę urodzin dyplomaty: 1798–1998. Ciągłość tradycji.

Praca herolda polskiego października była wyczerpująca. Występowałem wielokrotnie i gdzie mnie proszono, zdarzało się, że na sali bywało sto, dwieście i więcej osób. Między innymi zaprosiła mnie czechosłowacka organizacja partyjna.

– *Co mam mówić?* – spytałem Słowaka Ivana Laluhę, przyjaciela, z którym łączyły mnie tak zwane wtedy rewizjonistyczne poglądy.

– *Nie ma znaczenia, co powiesz. Włóż na zebranie twoją lazurową muszkę zamiast krawata.*

I tak zrobiłem. Ivan triumfował:

– *Widzisz, teraz pojęli, że w Polsce dokonała się rewolucja.*

Stałe latanie do ambasady i po zebraniach przeszkadzało mi w pisaniu pracy magisterskiej. Sam zrezygnowałem z wszelkich funkcji.

Ostatni bodaj raz mówiłem do kolegów z wydziału historycznego o rewolucji węgierskiej 1956 roku, popierając Imre Nagya i potępiając interwencję radziecką. Napięcie na sali było ogromne. Obecni Rosjanie mieli krewnych w Armii Czerwonej okupującej Węgry, dwóch moich bliskich kolegów węgierskich uciekło prosto z Moskwy na barykady Budapesztu. Był to początek listopada 1956 roku.

Sekretarz wydziałowej organizacji KPZR wykrzykiwał pod moim adresem:

– *Wy podtrzymujecie Kadara tak, jak sznur podtrzymuje powieszonego! Widać i słychać, że jesteście za Imre Nagyem!*

Byłem.

Sekretarz zażądał usunięcia mnie ze studiów.

24. Studium wojskowe

Jeden dzień w tygodniu, w Kazaniu i w Moskwie, był przeznaczony na studium wojskowe. Zajęcia prowadzili emerytowani wojskowi wyższej rangi – od podpułkownika do generała. Za plecami wszyscy mieli dopiero co zakończoną z czynnym udziałem wojnę. I wykładowcy i co starsi słuchacze. Nie brakowało wśród obywateli radzieckich, naszych kolegów, takich, którzy byli na froncie. Zdemobilizowani korzystali z ułatwień przy przyjęciu na studia. Było to pokolenie trzydziestolatków. Trafiali się nieraz i starsi.

Zapamiętałem doktoranta Kostię Żurawlowa z moskiewskiej bursy „na Stromynce". Miał lat około czterdziestu, ja ledwo dziewiętnaście. Mieszkaliśmy w dziewięciu w jednej sali. W niedzielę nikt się nie kwapił ze wstawaniem. Dziewięciu chłopa przewracało się pod kocami z boku na bok. Którejś wiosennej niedzieli zbudziłem się wcześniej. I zobaczyłem dziwne widowisko. Kostia najwyraźniej był już na zakupach w mieście. Gdzieś udało mu się jakimś cudem kupić pomarańcze. I oto po cichu przesuwał się od jednego łóżka do drugiego, kładąc śpiącym upominki na szafkach nocnych – po pomarańczy. A był to w ówczesnej Moskwie roku 1954 rarytas.

Co nim powodowało? Dobroć ludzka. Ale może też tęsknota za rodziną, której przez wydarzenia wojenne nie zdążył założyć. W gestach tego silnego, krępego mężczyzny chciałem widzieć coś ojcowskiego.

Scenę tę zapamiętałem może bardziej wyraziście niż częste ocieranie się w budynku przy ulicy Hercena w Moskwie o studentów wydziału historycznego – kalekich byłych żołnierzy Armii Czerwonej. Słowo „ocieranie się" jest nieprzypadkowe. W tych pierwszych powojennych

latach, po widowiskach masowego okrucieństwa, po wspomnieniach ulic i pól pełnych trupów, słabiej reagowaliśmy na widok ludzi bez nóg czy rąk.

Otóż na półpiętrze, między salami wykładowymi moskiewskiego wydziału historycznego, przy drzwiach do toalety urządzili sobie palarnię papierosów nasi beznodzy koledzy. Często mieli nogi ucięte powyżej kolan. Wind nie było. Protez brakowało. Poruszali się po schodach przy pomocy drewnianych klocków trzymanych w dłoniach. Podciągali się ze stopnia na stopień. Pełzli. Trzeba było uważać, aby na nich nie nastąpić. Zapamiętałem chyba trzech takich studentów.

Wojna w ZSRR była w latach pięćdziesiątych nadal wszechobecna: w braku mężczyzn, w biedzie i głodzie widocznych jawnie poza Moskwą i nielicznymi – często propagandowo wydzielonymi – ośrodkami. Na wiosnę 1953 roku cudzoziemskich studentów z Kazania przetransportowano Wołgą na niewielkim statku do podobno „wzorcowego kołchozu". Na stołach wystawianych na kołchozowej ulicy nie było mięsa, nie było ryb, nie było prawie niczego do jedzenia. Wśród moich polskich, na ogół starszych ode mnie kolegów, wielu było ze wsi. Zaczęli po cichu szemrać. Rodziły się – ukrywane przecież – wątpliwości: co może ofiarować „przodujący ustrój"?

Już po studiach, po referacie Nikity Chruszczowa na XX Zjeździe KPZR, najbardziej myślący z polskich studentów zadawali sobie pytanie: jak długo terror i wieloletnia indoktrynacja mogą jeszcze utrzymać w posłuszeństwie to społeczeństwo? Takie pytania zadawali sobie z pewnością moi koledzy ze studiów w ZSRR – reżyser Jerzy Grotowski czy publicysta Ernest Skalski. Okazało się, że na bardzo długo można sterroryzować masy. Pamięć o tym, czym był i być może totalitarny terror, co z niego przetrwało, nadal działa na terytoriach dawnego Związku Radzieckiego.

Pojawił się na naszym studium wojskowym w Kazaniu były frontowy sierżant, rosyjski Żyd, student nazwiskiem Wigałok. Bywał dowcipny i wesoły. W zimie 1952/1953 mieliśmy zajęcia na temat „Jak zdobywać Nowy

Jork?". Wigałok z kamienną twarzą zadał naszemu antypatycznemu pułkownikowi z Ukrainy pytanie:

– *A jaki typ kaloszy będziemy fasować na Nowy Jork?*

Słuchacze wybuchnęli śmiechem. Pułkownik przemilczał pytanie. Nie śmiał się. W przerwie okrążyliśmy kolegę.

– *Czemu się wygłupiałeś?*

– *Wcale się nie wygłupiałem. Jeśli dadzą nam dobre kalosze, to przy spadaniu z drapacza chmur będziemy mieli trochę ochrony* – kpił dalej Wigałok.

– *Stary cię odnotuje, gdzie trzeba.*

– *Trudno.*

Do dzisiaj pamiętam przetarte, wyszarzałe ze starości spodnie i bluzę Wigałoka, niegdyś sporządzone z czarnego welwetu.

Wigałok nieraz dawał do zrozumienia, że nie jest podporą systemu. Ale wybrał się na pogrzeb Stalina do Moskwy w marcu 1953 roku. Przedostać się do stolicy przez kordony nie było łatwo. W samej Moskwie ustawiano zapory z ciężarówek, które miały ograniczyć napływ chętnych do konduktu żałobnego. W przepychance pogrzebowej, zgodnie ze starą tradycją z czasów carskich, zginęło mnóstwo ludzi.

Chudy Wigałok wrócił. Opowiadał:

– *Wyobraźcie sobie. Pełznę pod ciężarówką i na kogo wpadam? Z drugiej strony posuwa się nasz gruby generał. Zderzyliśmy się pysk w pysk.*

Co powodowało kolegą Wigałokiem? Kult Stalina czy chęć uczestnictwa w widowisku o światowym znaczeniu?

W jeden z marcowych słonecznych dni po śmierci „wodza narodów" natknąłem się na schodzącego z uniwersytetu w dół do centrum miasta naszego wykładowcę topografii podpułkownika Winokurowa. Wysoki Winokurow kroczył z godnością wskazującą na spożycie alkoholu. Sprawiał wrażenie człowieka, który nie przejął się śmiercią Stalina. Nie zauważył mnie. W uliczce było tylko nas dwóch. I Winokurow uśmiechał się sam do siebie.

Kiedy wykładał topografię czy egzaminował nas, nie było nam do śmiechu. Alfred M. – pilny student z Poznańskiego – zdawał siedem razy. Edward i ja zdając za trzecim razem znaleźliśmy się wśród najlepszych z Polaków. Winokurow po wpisaniu zaliczenia do indeksu kazał mnie samemu zostać w audytorium. Zapytał:

– Myślisz, że was męczę? Mylisz się. Wrócisz do Polski. Spyta cię marszałek Rokossowski: „Kto cię uczył wojskowego rzemiosła?". Powiesz: „Pułkownik Winokurow" (Dodawał sobie jedną gwiazdkę do podpułkownika). *„Ch... on, a nie pułkownik ten Winokurow" – powie Rokossowski. Dlatego muszę wymagać. Rozumiesz?*

– Tak jest.

Do studium wojskowego przykładałem się specjalnie, bo wierzyłem w jego przydatność „w walce ze światowym imperializmem". Pod koniec roku 1955 „światło prawdy" – jak mawiał jeden z moich słowackich kolegów – zaczęło do mnie docierać. Zrozumiałem grozę ćwiczeń z obrony przeciwatomowej i retoryki zimnowojennej. Jako obywatel polski nie mogłem składać egzaminu końcowego na stopień oficerski i pod tym pretekstem po trzecim roku wypisałem się ze studium wojskowego.

Komendant studium w Moskwie generał Daniłow, niegdyś podoficer chyba jeszcze za Mikołaja II, ubolewał:

– Byłbyś, Borejsza, naszym obywatelem, zrobiłbym z ciebie zaraz kapitana.

Generał miał do mnie – smarkacza, który lubił wkuwać i popisywać się nabytą na krótko wiedzą – wyraźną słabość. Na przerwach wołał mnie do siebie i opowiadał:

– Wiesz, Borejsza, jakie piękne widoki były podczas wojny fińskiej? Staniesz sobie na skraju lasu wieczorem i patrzysz. A tam po fińskiej stronie parada świateł. Żółte, czerwone, niebieskie. Ta fińska swołocz miała kolorowy angielski proch. Ech!

Po wojnie w 1940 roku wezwali mnie na Kreml. Dawali odznaczenia. A ja, rozumiesz, zdobywałem wyspy fińskie. Michaił Iwanycz [Kalinin, „prezydent" ZSRR – J.W.B.] *przypiął mi Order Lenina i mówi: – „Jakbyś ty, Daniłow, nie wytracił wszystkich ludzi, całej dywizji, to byś miał Bohatera Związku Radzieckiego. A tak masz tylko Order Lenina. Ech!".*

25. Białe małżeństwo Leona

Notwie znalazłem się na krótko. I przez przypadek. Mój przyjaciel Leon, obywatel polski, student Państwowego Instytutu Sztuki Teatralnej (GITISu) w Moskwie przyjaźnił się z jakąś inteligencką rodziną w Warszawie. Rodzina ta miała ciotkę, polską Żydówkę, która próbowała opuścić ZSRR, dokąd rzuciły ją wojenne losy. Łatwo powiedzieć, ale w końcu lat pięćdziesiątych było to zadanie karkołomne, tym bardziej że owa Maria (zwana potocznie przez wszystkich Mary) miała „strategiczny zawód": była inżynierem, specjalistką pracującą przy budowie zapór wodnych. Zarabiała dobrze. Miała własny kąt – oddzielny pokój w centrum Moskwy. Ale nie podobał jej się ustrój i ledwo co wyciszony po śmierci Stalina państwowy antysemityzm.

Leon podjął się, na prośbę warszawskiej siostrzenicy Mary, sprowadzić samotną kobietę-inżyniera do Warszawy. Okazało się, że nie ma innej drogi niż fikcyjne małżeństwo. Leon do małżeństwa z kobietą nie nadawał się, był homoseksualistą. Potraktował wszystko jak zabawę. Tym bardziej że miał wówczas lat dwadzieścia osiem, a „panna młoda" chyba o dwadzieścia więcej. Po ślubie Mary panikowała, że KGB się zorientuje że Leon z nią nie mieszka, że sąsiedzi doniosą, że rzekomy mąż przechodząc pod jej oknami, rzuca w nie kamykami. To o kamykach było prawdą.

Mary zaczęła mnie, dwudziestolatka, zapraszać na obiady i zachęcać, abym przemówił Leonowi do rozumu. Leon zaśmiewał się, pytając, jak sobie wyobrażam jego mieszkanie z Mary w jednym pokoju.

Pani inżynier po złożeniu podania emigracyjnego została usunięta z pracy i siedziała na bagażach. Zmobilizowałem do pomocy kilku kolegów Polaków. Niektórzy z nich pracowali w Biurze Repatriacyjnym przy polskiej ambasadzie. To ułatwiało sprawę.

Nadszedł dzień wyjazdu. Zaczęliśmy w kilku ładować dobytek Mary do dużego samochodu, który miał ją zawieźć do pociągu na Dworcu Białoruskim. Ale pod kołami samochodu zapadła się część podpiwniczonego dziedzińca przy starej kamienicy. Pojazd ugrzązł w środku. W dzikim pośpiechu znaleźliśmy następną taksówkę. Przeładowaliśmy wszystko. Na dworzec wpadliśmy w ostatniej chwili. Walizki wrzucaliśmy do już ruszającego pociągu.

Mary pobyła trochę u rodziny w Polsce i ruszyła do Izraela. Po kilku latach spotkałem ją w Warszawie. Wracała z Izraela… do ZSRR. Podobno nie zezwolono jej na ponowne zamieszkanie w Moskwie. Osiedliła się w Rydze, gdzie miała szwagra.

Po latach zapytałem Leona, kiedy był już obywatelem francuskim:

– *A co z rozwodem?*

Nie udzielił mi jasnej odpowiedzi.

Pochodną białego małżeństwa Leona była moja wyprawa w lipcu 1957 roku do Rygi, gdzie moim jedynym znajomym był szwagier Mary. Zezwolenia formalnego na wyjazd do Rygi nie miałem. Ale tak dalece w moich spodniach z szerokimi nogawkami i w innych szczegółach upodobniłem się do Rosjan, że z początku w Rydze o nic mnie nie pytano. Bez trudu dostałem wieczorem miejsce w hotelu robotniczym. Ale przy meldunku rano zorientowano się, że jestem cudzoziemcem i wyproszono mnie, mówiąc, że miejsce dla mnie przygotowano już w hotelu „Metropol". Tam umieszczono mnie w jednym pokoju z wielkim łożem małżeńskim z niemieckim studentem. Gdy tylko otworzyłem usta, Peter podszedł do drzwi, wywołał mnie z pokoju na korytarz i powiedział:

– *Nie miej złudzeń. Pod łóżkiem umieszczono nam podsłuch. Zaoszczędzili sobie roboty, lokując nas razem.*

Ryga wywarła na mnie duże wrażenie. Starałem się dotrzeć wszędzie: do gmachu Politechniki Ryskiej, gdzie za caratu studiowało tylu Polaków, między innymi późniejszy prezydent Ignacy Mościcki. Na Łotwie w Libawie ukończył gimnazjum pierwszy prezydent Polski – Gabriel Narutowicz. Zacząłem od starego miasta, dotarłem do obu katedr

(luterańskiej i katolickiej), do polskiego kościoła, poszedłem na cmentarze ukwiecone i utrzymane w porządku nieznanym w Rosji. Widać było długą tradycję cywilizacyjną. Zwracałem uwagę na ubiór ludzi bardziej estetyczny niż w Moskwie czy Leningradzie. Notowałem w moim dzienniku: *Rosjanie, którzy od dawna mieszkają w Rydze, dostosowują się do tubylców. Wyrażają się bardzo powściągliwie o wzajemnych stosunkach z Łotyszami: chyba już nie będą nam strzelać w plecy jak w 1940 roku.* Ale stosunki wzajemne były jednak złe, tym bardziej że Łotysze przestali stanowić większość ludności stolicy. Przekonywałem się czasem, kto jest, a kto nie jest Łotyszem, obserwując reakcję w miejscach publicznych na mój bezbłędny wtedy rosyjski. Zachwyciłem się pasmem letniskowych i uzdrowiskowych miejscowości położonych nad samym brzegiem morza w wysokim sosnowym lesie. Między pięknymi willami ciągnęły się nad brzegiem chodniki z płyt z datą 1871. Wtedy zjeżdżała tu elita Niemców nadbałtyckich, wysocy urzędnicy carscy, profesura z Dorpatu (dzisiejszego Tartu) i Rygi.

W mieście można się już było natknąć na inteligentów wracających z zesłania. Parę słów zamieniłem z nieznanym Łotyszem w księgarni międzynarodowej. Mówił o tym, jak wielu Łotyszów i Polaków wyemigrowało stąd w latach 1939–1945 do Anglii, Ameryki i Australii. *Paczki stamtąd pomagają przeżyć wielu tubylcom*. Mówił pozytywnie o Niemcach. Stosunek Niemców do Polaków kształtował się, według niego, inaczej niż na ziemiach Drugiej Rzeczypospolitej. Decydujące jednak o stosunkach narodowościowych było germanofilstwo wielu Łotyszów.

Władza radziecka rozproszyła miejscową Polonię i zlikwidowała wcale niemałe przed 1939 rokiem szkolnictwo. W księgarni międzynarodowej stało dwadzieścia półek z książkami niemieckimi i tylko jedna polska. Ale język polski można było usłyszeć w wielu miejscach Rygi. Polak, ekonomista, którego poznałem, kiedy kupował „Trylogię" Sienkiewicza, woził mnie później swoim autem – radziecką pobiedą – po mieście. Zapisałem: *Polską Gomułki nie jest zachwycony, ale to już nieźle. Chciałby pojechać do Polski, na razie może z wycieczką: ale wie pan, krzywo na to patrzą.*

Polonię, która uchowała się na Łotwie, ów ekonomista szacował na trzydzieści tysięcy. Z latami okazało się, że było ich wtedy prawie dwa razy więcej, ale woleli kamuflować swoją narodowość, obawiając się prześladowań. Bardzo żywa była pamięć masowych wywózek z lat 1944–1949.

Opuszczając Rygę, zanotowałem: *Ładne europejskie miasto, Europa.*

26. Archipo-Osipowka

Posługuję się moim dziennikiem. Był piątek, 9 sierpnia 1957 roku. Kraj Krasnodarski. Kaukaz. Miejscowość Archipo-Osipowka nad Morzem Czarnym. Położona nad rzeką Wułan. Niegdyś w tym miejscu wznosiła się Twierdza Michajłowska, potem stanica Wułanska. A pod koniec XIX stulecia wieś nazwano na cześć żołnierza, Rosjanina Archipa Osipowa, który w 1840 roku, broniąc twierdzy przed podobno ogromną rzeszą Czeczenów, wysadził się w powietrze wraz z prochownią. Rozglądałem się i tu z zainteresowaniem za wszelkimi śladami polskich zesłańców wcielanych do wojsk carskich na Kaukazie. Za karę po każdym powstaniu, lub po prostu w myśl zasady: jak najdalej od swojej grupy etnicznej. Po klęsce Napoleona w Rosji, na terenach Gruzji stłoczono przecież wiele tysięcy jeńców – Polaków. Walczyli przeciwko miejscowym ludom, przechodzili niekiedy na ich stronę, budowali stanice, poszerzali i wykuwali w skałach szlak przecinający Kaukaz z północy na południe (tak zwana Wojenno-Gruzinskaja Doroga).

Owego sierpniowego dnia najpierw wdrapałem się na stromą górę nadrzeczną. Ale żadnych śladów umocnień na niej nie znalazłem. Potem postanowiłem popatrzeć na okolicę z dołu, z rzeki. Wsadziłem bezmyślnie do łódki dwie koleżanki z naszej rosyjskiej wycieczki turystycznej: Polkę Irenę i Chinkę Miao Li i popłynęliśmy. Nadspodziewanie szybko znaleźliśmy się w zatoce morskiej.

Po niewielu metrach usłyszałem okrzyk z góry:

– *Zawracaj, delfiny!*

Krzyczał żołnierz straży granicznej. Miał posterunek ukryty na górze, pod którą płynęła nasza niewielka rzeczka.

I rzeczywiście. Pośrodku zatoki igrało kilka delfinów. Prawdopodobnie te same, które widziałem, jak ścigały się ze statkiem, kiedy płynęliśmy do małej osady Dżanhot.

W Dżanhot zwiedziliśmy dom-muzeum Władimira Korolenki (1853–1921), znakomitego pisarza, słynnego rewolucjonisty o polsko-ukraińskich korzeniach. Był ongiś autorytetem na miarę Lwa Tołstoja czy Antoniego Czechowa. Wiedziałem już w 1957 roku, że jeden z najbardziej wykształconych bolszewików Anatolij Łunaczarski (1875–1933) widział w nim po rewolucji lutowej kandydata na prezydenta Rosji. Pół wieku później, jako stary historyk wiem więcej – o czym mnie wtedy nie uczono – że Korolenkę, przeciwnika zarówno białego, jak i czerwonego terroru, bezlitośnie krytykował Lenin – ojciec tego drugiego.

Jak znalazłem się na Kaukazie? Byłem wśród kilku cudzoziemców, którzy dostali poprzez Uniwersytet Moskiewski skierowania na wycieczkę. Jej trasa biegła nad Morzem Czarnym przez Krasnodar, Noworosyjsk, Gelendżik, Soczi aż do jeziora Rica. Zezwolenie wizowe mieliśmy jako cudzoziemcy tylko na trasę wycieczki. Ale z doktorantką Uniwersytetu Warszawskiego Ireną, moją ówczesną partnerką życiową, zaryzykowaliśmy i na tydzień pojechaliśmy dalej, do Abchazji aż po Gagry i Suchumi. Ukryliśmy się na odpoczynek na skraju wielkich sadów pod Gantiadi. Naszą gospodynią była Ormianka Aleksandra Kazandżian, stołowała nas prowadząca nielegalny pensjonat Ukrainka, nadmorski wiejski bar należał do Gruzinów. Jazgotliwa Kazandżian trzymała, jak mówiła, z „ludźmi rosyjskimi". Ale o przyjaźni narodów ZSRR nie było mowy. Wyczuwało się antagonizm Rosjan i Gruzinów. Mówiłem wtedy bezbłędnie po rosyjsku. Mnie brano więc za Rosjanina, moją towarzyszkę za Litwinkę. Nikomu nie przyszło do głowy, że po Abchazji wbrew prawu porusza się para cudzoziemców. Prywatnych letników z całego Związku Radzieckiego kręciło się tam sporo. Ku naszemu zaskoczeniu przez Batumi i Suchumi docierała zza granicy mała kontrabanda. Można było bez trudu kupić tureckie damskie lakierki wyjściowe. Czuło się pewne

rozluźnienie w rok po referacie Nikity Chruszczowa. Ale tylko w sprawach mniej ważnych.

O zabytki i ślady przeszłości dbano rzadko. Pod Gantiadi niszczały na samym brzegu morza resztki budowli kościelnej podobno z X wieku, obok był stary cmentarz katolicko-prawosławny. Przechodziło się tamtędy beztrosko do baru pełnego miejscowego wina i likierów.

Teraz, ponad pół wieku później, czytam, jak tamte wsie przekształciły się w kurorty z własnymi lotniskami. Reklamowane są w Europie, obsługiwane przez niemieckie linie lotnicze.

W roku 1957 szpiegomania nadal kwitła. W miejscowości Asze jakaś kobieta wypłynęła trzy kilometry w morze. Zanotowałem: *Zatrzymano ją, przyjechał dowodzący strażą pograniczną. Od razu plotki, rozmowy o szpiegostwie, zresztą bardzo popularne tutaj.*

I jeszcze zapisałem: *Zaopatrzenie zwiedzanych przez nas miejscowości nadmorskich kiepskie. Poza owocami trudno coś dostać. Nowo-Michajłowka, duża wieś, przedstawia pod tym względem obraz nędzy i rozpaczy. Jedyne stałe towary w sklepie to wódka, wina, papierosy, perfumy.*

Cały sierpień spędziłem na poznawaniu nie tylko pobrzeża Morza Czarnego, ale i homo sovieticus. Nasza wycieczka składała się z niemal samych Rosjan z różnych zakątków europejskiej części kraju. Nikt nie odważał się na rozmowy o polityce. Ci ludzie wiedzieli, co to strach. Tylko jeden turysta jak zapiewajło od czasu do czasu rzucał w przestrzeń, że przyszłość może zapewnić tylko towarzysz Stalina Wiaczesław Mołotow. Odpowiadało mu milczenie.

Oglądanie skromnego drewnianego domostwa Stalina nad górskim jeziorem Rica nie wywołało żadnych politycznych komentarzy. Owszem, komentowano rezerwat starych, sczerniałych czy skamieniałych drzew. Był to gatunek cisów. Przewodnik mówił, że pokazywany zagajnik liczy sobie koło dwóch tysięcy lat.

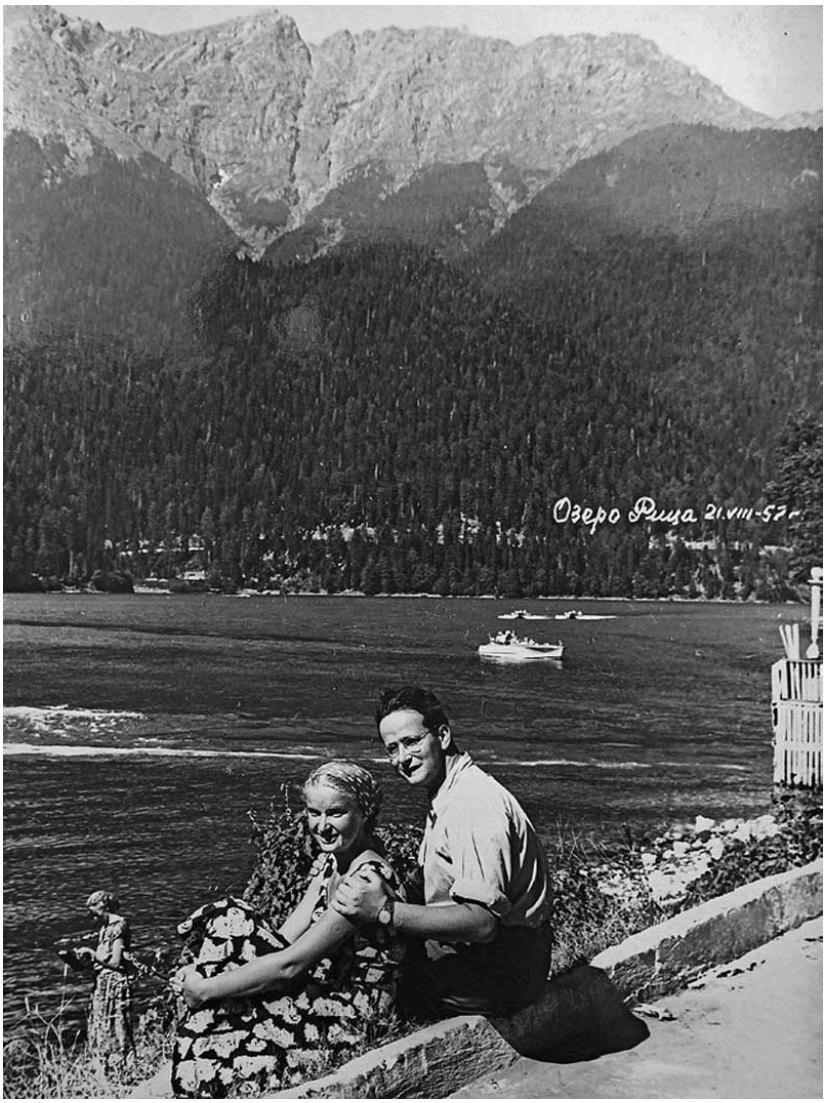

44. Nad jeziorem Rica na Kaukazie z przyjaciółką Ireną Spustek. W tle znana willa Stalina (1957).

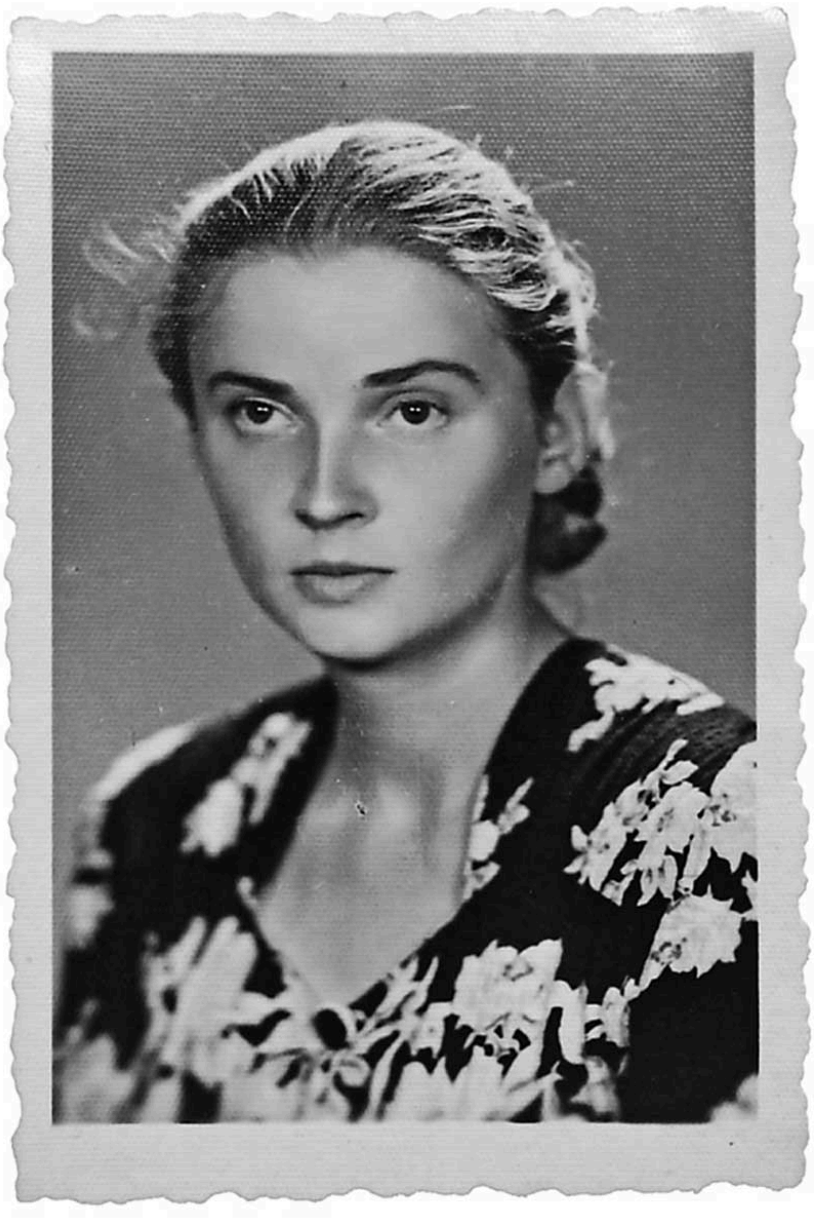

45. Przyjaźń z Ireną przetrwała do końca jej życia. Zmarła w 2013.

Tak oto dwanaście lat po wojnie jako świeżo upieczony magister historii zawędrowałem na Kaukaz. Byłem z dziewczyną. Mieszkałem na głębokiej wsi w Abchazji nad Morzem Czarnym w bajkowym otoczeniu. Czytam w prowadzonym wtedy dzienniku: *Drewniany domek pod palmą, figowce i brzoskwinie pod oknami, góry na horyzoncie.* I nagle zdanie, że *nocą światła przejeżdżających samochodów przypominają mi okupację.* Dziś, po pół wieku, nie pamiętam już, co przypominały. Pamiętam natomiast przepiękne skały

i przepaście nad morzem i puste wtedy, ukwiecone i rozgrzane wąwozy Kaukazu.

Pociągiem z Soczi do Moskwy wracaliśmy wtedy czterdzieści cztery godziny.

27. Bracia Lewoniewscy

Jako student przemieszczałem się powoli po bezkresnym Związku Radzieckim pociągami, czasem autobusami, nigdy samolotami. Może jakiś wpływ na to miał uraz po katastrofie, jaką widziałem w Kazaniu.

Kazań był dużym ośrodkiem produkcji samolotów, centrum szkolenia przyszłych inżynierów i badań nad lotnictwem. Jeden z naszych rosyjskich kolegów z bursy miał brata lotnika-oblatywacza. Nie wiem, z jakiej okazji trzech pilotów oblatywaczy po spożyciu jakiegoś świątecznego alkoholu „dosiadło" swoich samolotów i zderzyło się nad miastem w biały dzień. Zginął wówczas brat naszego kolegi. Katastrofę widziało wiele osób. Było o niej głośno w Kazaniu.

Budynek lotniska za moich studenckich czasów był nędznym barakiem. A w dodatku, studiując nieco ślady polskie w Kazaniu wiedziałem, że pod tym miastem rozbił się w 1933 roku w czasie próby rekordowego przelotu na Syberię polski lotnik wojskowy i sportowy, kapitan Józef Lewoniewski. Przed jego grobem zdążył jeszcze przed własną tragiczną śmiercią pochylić czoła jego rodzony brat, pilot wojskowy radzieckiego lotnictwa Zygmunt Lewoniewski.

W hierarchii polskiej ksenofobii rusofobia często może spierać się o pierwsze miejsce z antysemityzmem. Brak wiedzy o tym, jak dalece splatały się losy polskie z rosyjskimi, ile łączy oba społeczeństwa jest powszechna. Poczynając od drugiej połowy XVIII wieku, przez z górą sto czterdzieści lat, a licząc czasy radzieckie i więcej, tysiące polskich jeńców i zesłańców trafiały na Syberię czy na przymusowe osiedlenie w głębi Rosji. To również setki tysięcy emigrantów z ziem polskich do Rosji za chlebem, za lepszym zarobkiem, to polscy budowniczowie Baku czy Permu. Rodem z XIX wieku jest przecież dwuwiersz:

W Warszawie to ja byłem zwykły głupiec,
a w Moskwie jestem „uchar" – kupiec.

Owych „zuchów-kupców", kolejarzy, inżynierów, urzędników, wojskowych, którzy dobrze zapisali się w dziejach Rosji, było wielu. Wymowny jest tu przykład rodziny Romualda Traugutta – dyktatora powstania styczniowego – która po jego męczeńskiej śmierci z rąk rosyjskich weszła poprzez małżeństwa w związki z rosyjskimi eksploratorami Azji.

Po rosyjskich rewolucjach 1917 roku (lutowej i październikowej) Polacy masowo wracali na ziemie polskie; ale też ze względów politycznych, rodzinnych czy materialnych tysiące pozostawały w Rosji radzieckiej. Uciskane przed rokiem 1917 mniejszości: Żydzi, Polacy, Łotysze, Gruzini, należały obok Rosjan do głównych budowniczych nowego systemu. Mniejszości brały swoisty odwet za czasy minione.

Eksploratorzy polscy w służbie rosyjskiej na Kaukazie, w Azji, na Syberii czy na Sachalinie to temat opisany w encyklopediach i dziełach naukowych. Bardzo często młodzi zesłańcy polscy stawali się słynnymi na całą Rosję odkrywcami. Góry Czerskiego? Któż wie, że na Syberii są dwa – nie jedno – wielkie pasma górskie nazwane na cześć Jana Czerskiego (1845–1892), zesłańca-geologa. Pierwsze pasmo długości ok. 1500 kilometrów – dłuższe od europejskich Karpat – przecina Jakucję, krótsze piętrzy się za Bajkałem. Faunę tegoż Bajkału badał inny słynny na cały świat uczony Benedykt Dybowski (1833–1930). Też zesłaniec z powstania styczniowego. Potem profesor we Lwowie, członek krakowskiej Akademii Umiejętności; w roku 1928 został członkiem Akademii Nauk ZSRR.

Idąc główną aleją powązkowskiego Cmentarza Wojskowego w Warszawie do grobu moich rodziców zawsze mijam grób kapitana lotnictwa myśliwskiego, słynnego pilota doświadczalnego Józefa Lewoniewskiego (1899–1933), kawalera wielu polskich odznaczeń. Pracował w Instytucie Badań Techniki Lotnictwa.

Jego rodzony młodszy brat Zygmunt (Sigizmund, 1902–1937) był radzieckim pilotem morskim i wojskowym. Zdobył sławę w całym Związku Radzieckim, ratując z kry lodowej na początku roku 1934 rozbitków z wyprawy lodołamacza „Czeluskin". Wsławił się też przelotem z Los Angeles przez Alaskę i Syberię do Moskwy. Zginął wraz z załogą nad Biegunem Północnym podczas kolejnej próby bicia rekordów lotniczych. Był ulubieńcem Józefa Stalina. Wielokrotnie gościł u niego na Kremlu. Należał do pierwszych odznaczonych w roku 1934 gwiazdą Bohatera Związku Radzieckiego.

Obaj bracia wychowali się w Petersburgu w rodzinie polskich emigrantów. I tam otrzymali początki wykształcenia. Polacy studiowali tłumnie na uczelniach Petersburga. Iluż Polaków po petersburskiej Politechnice budowało przemysł odrodzonej Polski po roku 1918. Do założycieli znanej fabryki traktorów „Ursus" pod Warszawą należał na przykład petersburski absolwent, urodzony na Kaukazie Kazimierz Gierdziejewski (1888–1957), później profesor głównych polskich uczelni, dziadek mojej żony Katarzyny.

Obaj bracia Lewoniewscy służyli od razu po rewolucji w Armii Czerwonej. Zygmunt dowodził nawet pułkiem. Potem los i poglądy rozdzieliły ich, chyba bardziej geograficznie niż mentalnie. W encyklopediach radzieckich Zygmunt figuruje jako „Lewaniewski". „O" przy rosyjskiej wymowie przekształciło się w „a". Nie dożył do słynnego rozkazu 00485 ludowego komisarza NKWD Nikołaja Jeżowa z sierpnia 1937 roku. Na polecenie Stalina zaczęła się wtedy osławiona „polska operacja" NKWD – więzienie i mordowanie Polaków mieszkających w ZSRR. Do aresztów trafiło około 140 tysięcy osób związanych z Polską. Większość z nich straciła życie. Po raz pierwszy w ZSRR zastosowano bez osłonek kryterium przynależności narodowej jako podstawę wymierzania kar.

Polskich komunistów wśród ofiar było nie więcej niż trzy tysiące. Reszta odpowiadała po prostu z paragrafu „Polacy".

Czy Zygmunt Lewoniewski przeżyłby „wielką czystkę”? Ulubieniec byłby przecież w paranoicznym umyśle Stalina obciążony posiadaniem brata w polskim mundurze.

Wspólny kamień ku czci obu braci został ufundowany w 1983 roku w Sokółce, mieście, z którego pochodzili.

28. Riepin, Komuna Paryska i Chińczycy

Utopijni socjaliści dziewiętnastowieczni byli jednym z tematów, które mnie pasjonowały w młodości. Znałem nie najgorzej rosyjską i francuską literaturę o nich, czytałem sporo źródeł archiwalnych. Nieprzypadkowo napisałem biografię generała Komuny Paryskiej Walerego Wróblewskiego. Odnalazłem dokumenty policyjne o komunardach, którzy ratowali się ucieczką do Szwajcarii czy Anglii. Na XIII Międzynarodowym Kongresie Nauk Historycznych w Moskwie w 1970 roku powierzono mi referat o wojnie francusko-pruskiej 1870 roku i Komunie Paryskiej. Zawdzięczam też spotkaniom historyków Komuny znakomitą kolację bożonarodzeniową w Paryżu w 1970 roku, u czarującego komunisty Jeana Bruhata (1905–1983), smakosza i chyba znakomitego kucharza. Parasol ochronny roztoczył nade mną socjalista, patron francuskich studiów historii społecznej, wielki Ernest Labrousse (1895–1988), dając mi list rekomendacyjny do historyków włoskich.

Nic więc dziwnego, że wiele lat później w Galerii Tretiakowskiej w Moskwie zwrócił moją uwagę mały, ciemny obraz Ilji Jefimowicza Riepina (1844–1930) „Doroczny mityng pamięci pod ścianą komunardów na Père-Lachaise w Paryżu". Riepin, już jako słynny malarz, był w roku 1883 kolejny raz w Paryżu. Wtedy powstał obraz. Pewnie widział manifestację tych, co powrócili z wygnania i tych, którzy wyszli dopiero co z ukrycia dwa lata po amnestii. Malowanie czerwonego sztandaru ponad zbitym tłumem ludzi przez poddanego cara Aleksandra III, reakcjonisty i stupajki, w dwa lata zaledwie po zabójstwie poprzedniego monarchy – jego ojca – przez terrorystów z Narodnej Woli było deklaracją poglądów. Obraz wisiał swego czasu w rogu jednej z sal Galerii Tretiakowskiej. Nie rzucał się w oczy. Nie

należał do arcydzieł mistrza. Przy kolejnej wizycie nie udało mi się go odszukać. Może był w renowacji?

Co mógł myśleć po latach najsłynniejszy z pieredwiżników o Rosji, jaka wyrosła z rewolucji październikowej 1917 roku? Mieszkał aż do śmierci o miedzę od Petersburga, ale nie w Związku Radzieckim, a w nowo powstałej Finlandii.

Komuna Paryska była i pozostaje sto pięćdziesiąt lat później źródłem najróżniejszych schematów, mitów i łgarstw. W XIX wieku była symbolem ludowego powstania w obronie ojczyzny, haseł wolności, braterstwa, demokracji czy utopii socjalistycznych. Nie mogła nie budzić sympatii Riepina – malującego ciężką dolę rosyjskiego ludu, sympatyzującego z narodnikami, autora słynnych „Burłaków na Wołdze".

Ale Karol Marks zmitologizował Komunę Paryską dla całego świata, czyniąc z niej wzorzec dyktatury proletariatu, którą nie była. Lenin i bolszewicy pociągnęli ten wątek, przedstawiając się jako kontynuatorzy Komuny Paryskiej. Kiedy Lenin wyliczył, że jego władza trwa już sto dni, czyli dłużej niż Komuna Paryska, zatańczył podobno z radości na zaśnieżonym placu Czerwonym w Moskwie. Czerwony terror bolszewicy usprawiedliwiali doświadczeniem Komuny, którą rząd francuski zdusił w sposób okrutny i bezmyślny, rozstrzeliwując bez sądu tysiące ludzi. 18 marca – dzień wybuchu Komuny – był obchodzony w ZSRR jako święto Międzynarodowej Organizacji Pomocy Rewolucjonistom.

Polacy wzięli tłumnie udział w Komunie Paryskiej. Mówi się o czterystu, a nawet więcej polskich uczestnikach Komuny. Widzieli w niej ruch zbrojny przeciwko wojskom pruskim – wojskom okupanta ziem polskich. Przed tymi wojskami skapitulował rząd francuski. Ludność Paryża nie zgodziła się na kapitulację. Jednym z haseł Komuny była niepodległość Polski. Nie jest więc dziełem przypadku, że Komuna powołała na swoich generałów Polaków.

„Komunard" to pochodna od słowa „la commune" (gmina) – byli więc oni generałami czy oficerami „gminy miasta Paryża". Dzisiejsi Polacy

utożsamiają bezzasadnie pojęcia „komunard" i „komunista", komunę miasta Paryża i komunizm.

Dla prawicy europejskiej Komuna Paryska stała się synonimem anarchii, bezbożnictwa, barbarzyństwa i zagrożenia rządami „czerwonych".

Trudno było ją pojąć wielu współczesnym. Poseł cesarza Chin, który wiosną 1871 roku znalazł się w Paryżu, w zdumieniu patrzył z balkonu na toczące się na ulicach boje.

Pół wieku później przywędrowali do tegoż Paryża po nauki rewolucjoniści z Azji. Co dały im uczelnie i fabryki francuskie? Przeszli przez nie sternicy komunistycznych Chin Zhou Enlai (1898–1976) i Deng Xiaoping (1904–1997). Nie najgorsi z rządców tego wielkiego państwa. Ale studiował tu również czas pewien, wprawdzie bez powodzenia, twórca najbardziej bodaj morderczego totalitaryzmu azjatyckiego – Pol Pot (1925–1998).

29. Moskwa 1971

Zapomnijcie o tym, co tutaj mówiono – szepnął mi do ucha, nachylając się, wysoki mężczyzna w ciemnym, chyba czarnym, garniturze.

Siedziałem za długim stołem biesiadnym w jednej ze znanych restauracji moskiewskich.

– *Zapomnijcie* – powtórzył. – *Towarzysze za dużo wypili. Wiemy o was wszystko. Wiemy, żeście u nas studiowali. Wy jako jedyny z cudzoziemców rozumiecie dobrze, co się tu mówi po rosyjsku. Wiemy też, że wasz ojciec był oficerem w naszej armii.* – Na nieruchomej twarzy mówiącego nie widać było emocji. Ale groźba była jawna.

Po chwili, stale stojąc nad nami, wysoki mężczyzna zwrócił się z jakimś zdaniem w najczystszej francuszczyźnie do mojego sąsiada. Jego słowa do dzisiaj brzmią mi dokładnie w uszach.

Następnego dnia zapytałem mojego znajomego, znanego dysydenta i historyka Aleksandra Niekricza: – *Kim mógł być wysoki mężczyzna?*

– *Ależ to oczywiste* – roześmiał się Sasza. – *To ostatnia swołocz, pułkownik K., syn białego emigranta, który wrócił z Francji. Odpowiada w naszej Akademii Nauk za kontakty zagraniczne.*

O czym miałem zapomnieć?

Kto siedział za stołem biesiadnym?

W stulecie wybuchu Komuny Paryskiej Moskwa postanowiła zwołać rocznicową konferencję naukową. Nieoczekiwanie zadzwonił do mnie historyk profesor Tadeusz Cieślak jako urzędnik Polskiej Akademii Nauk, żebym przyszedł do niego do Pałacu Kultury i Nauki.

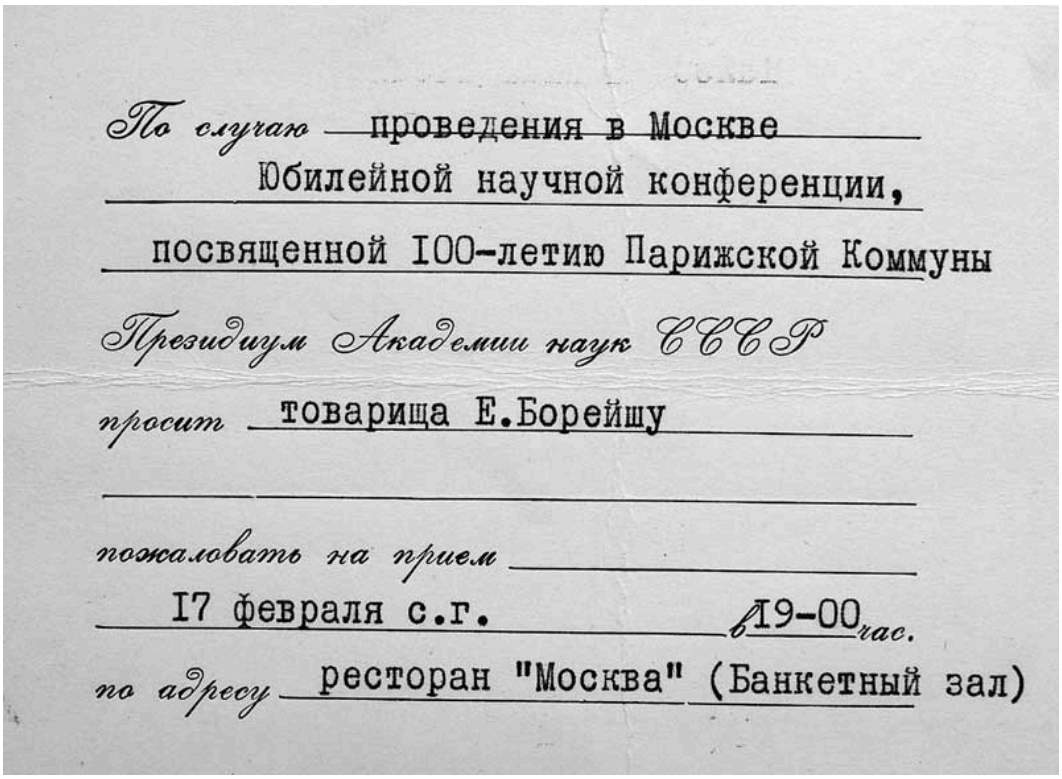
По случаю проведения в Москве
Юбилейной научной конференции,
посвященной 100-летию Парижской Коммуны
Президиум Академии наук СССР
просит товарища Е.Борейшу
пожаловать на прием
17 февраля с.г. в 19-00 час.
по адресу ресторан "Москва" (Банкетный зал)

46. Zaproszenie na spotkanie z okazji stulecia Komuny Paryskiej firmowane przez Radziecką Akademię Nauk z udziałem członków Biura Politycznego KPZR (1971).

– *Pojedziecie do Moskwy na czele delegacji. Jadą dwie towarzyszki, które znacie. Są starsze od was, więc możecie sobie dla otuchy dobrać jakiegoś kolegę.* Kiedy zaprotestowałem, że sytuacja będzie niezręczna, uciął krótko: – *Chcę, żeby to dobrze wypadło. Tylko wy znacie biegle i rosyjski, i francuski. Tylko wy pracowaliście z Francuzami nad historią Komuny Paryskiej.*

– *Profesorze, ale mnie od dwóch lat próbują usunąć z Uniwersytetu.*

– *To dla mnie nie ma znaczenia.*

I tak pojechałem do Moskwy, dobrawszy jeszcze do towarzystwa zaprzyjaźnionego ze mną młodego historyka z Krakowa – Jerzego Zdradę, który znał się na dziejach XIX wieku, ale już miał przypiętą łatkę przeciwnika ustroju. Cieślakowi i to nie przeszkadzało. Był reemigrantem z Francji, od dawna chyba komunistą. Nade wszystko chciał, aby Polacy dobrze wypadli.

Komunistyczna Partia Francji postanowiła tymczasem skorzystać z pretekstu rocznicowego i poprowadzić z Moskwą pertraktacje na najwyższym szczeblu politycznym. Na czele delegacji francuskiej postawiono Jacques'a Duclosa, znanego człowieka zaufania Moskwy. Komuną interesował się jako historyk amator i był od dawna we Francji przewodniczącym Stowarzyszenia Przyjaciół Komuny Paryskiej. Duclos, członek Biura Politycznego Komunistycznej Partii Francji, zebrał dopiero co 21 procent głosów jako kandydat w wyborach prezydenckich. Francuskim komunistom wydawało się, że Moskwa podejmie z nim konsultacje polityczne. Breżniewa to ewidentnie nie interesowało. Zaczęła się więc zabawa z iście bizantyjskim protokołem. Witano Duclosa jako historyka, nie polityka, ale żeby go uczcić urządzono dwa przyjęcia z udziałem członków Biura Politycznego i Sekretariatu KC KPZR oraz przybyłych na konferencję zwykłych historyków z Polski, NRD i innych krajów satelickich. Wśród radzieckich notabli znalazł się między innymi Piotr Nikołajewicz Pospiełow, dyrektor Instytutu Maksizmu-Leninizmu i nadal członek KC. To jego wystąpienie miał na myśli pułkownik, mówiąc, żebym zapomniał.

47. Współautor „Krótkiego kursu historii WKP(b)”, a później referatu Nikity Chruszczowa o zbrodniach stalinowskich – Piotr Pospiełow.

Pospiełow mocno sobie popił, wstał, zaczął śpiewać stary hymn rewolucjonistów polskich i rosyjskich „Warszawiankę”, a potem wszem i wobec oświadczył, że na plenum KC KPZR w sprawie wkroczenia wojsk paktu warszawskiego do Czechosłowacji Aleksandra Dubczeka nie było jedności, on i kilku towarzyszy było przeciwko.

Mówił to współautor całkowicie sfałszowanych historii bolszewików, osławionej historii WKP(b) i biografii Stalina, które latami były obowiązkową lekturą dla milionów obywateli radzieckich, jednocześnie autor tez do referatu Nikity Chruszczowa o kulcie Stalina, który dał

początek pierwszej destalinizacji. Czy Pospiełow mówił prawdę? Czy przypadkowo w tymże 1971 roku utracił już na zawsze członkostwo w Komitecie Centralnym? Nie wiem. Wiedziałem natomiast, wtedy w 1971 roku, że za nagłaśnianie niewczesnych wynurzeń członka partii bolszewickiej od 1916 roku mógłbym – jak mi dano do zrozumienia – zapłacić nawet głową. Były precedensy. Nie nagłaśniałem.

Na drugim przyjęciu było niewiele osób. Formalnie zaproszono tylko „przewodniczących delegacji". Posadzono mnie obok Jacques'a Duclosa. Był malutki, pękaty, okrągły. Moi przyjaciele Francuzi, komuniści w młodości, nazywali go Cukiernikiem („Pâtissier"). Była to aluzja do jego stylu oratorskiego. Podobno w młodości pracował w piekarni. Z tego obłego ciała dobywał się stentorowy głos. Ale rzadko. Nie chciał rozmawiać. Na mnie patrzył podejrzliwie. Naprzeciwko siedział najstarszy na sali członek radzieckiego Biura Politycznego Łotysz Arwid Pelsze. W ogóle się nie odzywał. Wszyscy spełniali obowiązek uhonorowania obecności towarzysza Duclosa w Moskwie.

30. Czy znieczulica?

Po pierwszym roku studiów skierowano mnie na lipiec 1953 rok, jako element pewny ideologicznie na obóz „Służby Polsce" – państwowej organizacji paramilitarnej, która używana była do prac w rolnictwie i na budowach. Istniała tylko kilka lat – do roku 1955. Prowadziła obowiązkowe przysposobienie zawodowe i wojskowe. Miałem status wychowawcy. Pamiętam, że wygłosiłem pogadankę o życiorysie Stalina. Zasypywany pytaniami, dlaczego aresztowano wtedy Ławrentija Berię, nie potrafiłem odpowiedzieć. Obozowiczów umieszczono w Olsztynie, trochę włóczyliśmy się bez celu. Pod więzieniem natknęliśmy się na jakiegoś oszołomionego człowieka. Okazał się oficerem, właśnie wypuszczonym na wolność. W kilka osób zaprosiliśmy go na piwo. Ale o nic właściwie nie pytaliśmy. Był rok 1953 i logika dziejów nam, szesnasto- czy osiemnastoletnim, mocno się zachwiała.

Po latach zadaję sobie pytanie: dlaczego tak łatwo przyjmowaliśmy do wiadomości najbardziej sprzeczne informacje? Dlaczego wpasowaliśmy się w slogany propagandowe i w prymitywne warunki bytowania w Związku Radzieckim? Myślę, że odpowiedzią była nie tak dawno przecież zakończona wojna. Jako mały chłopak widziałem mordowanie ludzi (Lwów, Warszawa), trupy na ulicach (Warszawa) i polach (pod Żyrardowem). Przeżyłem wielotygodniowy głód jako siedmiolatek (Buczacz), zbieranie grzybów olszówek i pokrzyw na szpinak po sierpniu 1944 roku (Międzyborów), kiedy okresowo brakowało matce pieniędzy na żywność. Chodziliśmy wtedy na darmowe zupy do Rady Głównej Opiekuńczej (RGO).

Wiosną 1943 roku wyprowadziłem pięcioletniego może Jacka Witkowskiego na spacer pod wiadukt mostu Poniatowskiego. Szliśmy

dołem niedaleko wiaduktu po „kocich łbach". W tym momencie żandarmeria osaczyła uciekiniera z getta, który biegł po wiadukcie. Na naszych oczach przerzucił nogi przez barierkę i skoczył głową w dół. Jego mózg rozprysnął się pod naszymi nogami. Szybko uciekłem stamtąd razem z malcem.

Kiedyś, z kolei, nasze dzielne łobuziaki usiłowały wypchać z zaułka auto – „dekawkę" – którym niebacznie utknął na nieprzejezdnej Smolnej inny żydowski uciekinier. Najwyraźniej porwał samochód. W okamgnieniu pojawiła się żandarmeria niemiecka. Jego natychmiast ujęli. A jeden puścił się za nami, skaczącymi na trzepaki, a z nich przez mur posesji na dalsze podwórka. Nie połapał nas.

Zakodowane przeżycia wojenne musiały redukować naszą wrażliwość. Ale nie była to znieczulica. Jak pisze w swojej „próbie autobiografii" Andrzej Walicki: *Uczciwość nakazuje przyznać, że życie wymuszało w jakimś stopniu niedopuszczanie do centrum świadomości łapanek i publicznych egzekucji na ulicach, a nawet (co dziś tak trudne jest do zrozumienia) zagłady społeczności żydowskiej w warszawskim getcie. Jeśli w drodze na komplety natrafialiśmy na „Obwieszczenie" o publicznej egzekucji „polskich bandytów", np. o publicznej egzekucji w dniu 3 grudnia 1943 na rogu ulic Puławskiej i Rakowieckiej, to omijaliśmy szerokim łukiem miejsce egzekucji i nauka odbywała się jakby nigdy nic. Sądzę, choć brzmi to okropnie, że bez tej skorupy spontanicznie powstających uodpornień przetrwanie wśród Polaków nadziei i ducha oporu byłoby niemożliwe* („Idee i ludzie", 2010).

Po powrocie do Warszawy w roku 1945 i 1946 chodziłem czasem nie po ulicach, ale po zwaliskach gruzów w samym centrum miasta między ulicami Smolną, Kruczą i Wiejską. Mój dom sprzed powstania – Smolna 22 – został doszczętnie zburzony. I dzisiaj nie ma po nim śladu. Po maturze wiedziałem już, że za Katyń odpowiadają Sowieci. Ale nowej wojny chcieli podobno Amerykanie z USA. My, członkowie organizacji młodzieżowych, maszerowaliśmy po ulicach Warszawy, skandując: „W odpowiedzi na atomy budujemy nowe domy".

„Atomy” to było USA. A poza tym Amerykanie podobno zrzucali na nasze pola stonkę ziemniaczaną, która niszczyła zbiory. Nie pamiętam, czy wierzyłem w to. Prawdopodobnie tak. Ale czytałem książki: pamiętam „Hiroszimę” Johna Herseya. Miałem w ręku wiele tekstów o Oświęcimiu. Jako trzynastolatek czytałem „Pożegnanie z Marią” i „Kamienny świat” Tadeusza Borowskiego. To Armia Czerwona wyzwoliła Oświęcim. To Amerykanie rzucili bomby atomowe na Hiroszimę i Nagasaki. Bez odtworzenia układanki faktów i zmyśleń, rzeczywistości i propagandy tych pierwszych lat powojennych młody lustrator dziadków z połowy XX wieku niewiele zrozumie.

31. Drugi na liście

Na liście było dziewięciu skazanych na śmierć przez chińską Czerwoną Gwardię – hunwejbinów. Jako drugi z kolei figurował mój przyjaciel Chań Cuń-li. Pierwszego rozstrzelano. Następnym zamieniono wyroki na obóz ciężkiej pracy. Działo się to pół wieku temu. Cuń-li opowiadał mi o tym tylko raz. Mam nadzieję, że dokładnie zapamiętałem jego przekaz o ogromnych ofiarach „wielkiego skoku" i „rewolucji kulturalnej".

Mój chiński przyjaciel pochodzi z biednej, wielodzietnej rodziny robotniczej z okolic Mukdenu (Shenyangu). Od małego był zaprawiony do pracy fizycznej. To pozwoliło mu przetrwać trudy więzienia i obozu. Pomogła mu samodyscyplina. Aby nie postradać zmysłów, powtarzał codziennie ćwiczenia gimnastyczne i zaczął się uczyć japońskiego. Jego współskazańcy na ogół wariowali. Spał na betonowej podłodze. Pewnego wieczoru zbudzili go jacyś ludzie, mówiąc, że jest wolny. Poprosił ich aby nie żartowali, że chce spać. Byli to pracownicy miejscowego komitetu partii komunistycznej. Powiedzieli mu, że jest zrehabilitowany.

Ze zrujnowanym zdrowiem, z nadwyrężoną pamięcią, to niegdyś „cudowne dziecko" ziomkostwa studentów chińskich w Moskwie wyszło na wolność. Z czasem, kiedy stał się już zamożnym starszym człowiekiem, wstawiono mu cztery stenty w układ krążenia. Po różnych przeżyciach został honorowym przewodniczącym Chińczyków zamieszkałych w Federacji Rosyjskiej. 15 stycznia 2018 roku skończył osiemdziesiąt trzy lata. Jest dla swoich rodaków czcigodnym patriarchą, o którym już sporo lat temu nakręcono w Szanghaju film.

Nasza przyjaźń z dramatycznymi przerwami trwa już sześćdziesiąt trzy lata. W roku akademickim 1955/56 byłem studentem czwartego roku na wydziale historycznym Uniwersytetu Moskiewskiego. Mieszkałem

w starych ogromnych koszarach z czasów carskich, przekształconych przez władzę radziecką w bursę akademicką. Pokoje były przeważnie ośmioosobowe. W moim było trzech Węgrów, Rumun, Rosjanin, Polak z Litwy. Zająłem przezornie miejsce w rogu pokoju przy oknie. I ani się obejrzałem, jak w październiku 1955 roku moim sąsiadem okazał się nowo przybyły z Chin student pierwszego roku w Instytucie Dyrektorów Gospodarki Narodowej.

Po rosyjsku mówił słabiutko.

Mojej matce udawało się czasem przesłać przez okazję jakąś paczkę żywnościową z Warszawy. Dzieliłem się z sąsiadem. Karton z polskimi jabłkami trzymałem pod łóżkiem. Którejś zimowej nocy obudził mnie straszny turkot. Cuń-li też się zbudził. I starając się uświadomić mi, co się dzieje, powtarzał:

– *Przeciwko kot, przeciwko kot.*

Nie znał jeszcze słowa „mysz", a do jabłek dobierały się myszy. Podpowiadałem mu czasem rosyjskie słowa.

Był uprzejmy, uśmiechnięty, inteligentny. Chińscy studenci, zmagając się z językiem rosyjskim i wiedzą radziecką, regularnie nie dosypiali, zarywając noce. Zapełniali nieliczne sale pracy indywidualnej, rozrzucone tu i ówdzie na różnych piętrach budynku. Przechodząc nocą, można było spostrzec w tych pomieszczeniach Chińczyków w identycznych granatowych bluzach, siedzących za stołami z notatkami i z nieodłącznymi kubkami z ciepłą wodą. Popijanie mocno cukrzonej wody miało podobno pobudzać do wytrwania w nocnej pracy. Cuń-li powtarzał mi często: *Ja nie mogę wytrzymać tak, jak oni. Muszę się wyspać.*

Był dostatecznie zdolny, aby zwrócić na siebie uwagę. Łatwo nawiązywał kontakt z rosyjskojęzycznymi kolegami, ze studentkami Rosjankami. Kiedy pod koniec tygodnia wyciągał z walizki jeden ze swoich krawatów w smoki, wiedzieliśmy, że idzie na randkę z koleżanką, która chyba na zlecenie organizacji komsomolskiej miała mu pomagać w nauce. Węgrzy natychmiast zaczynali festiwal docinków i „porad matrymonialnych" dla nieszczęśnika.

Elegancki Cuń-li opędzał się słowami:

– *Dajcie spokój. To jeszcze dziecko.*

Ale wszyscy milkli, kiedy czasem Cuń-li wyciągał skrzypce. Pamiętam, że na początku znajomości wykonał ku zdumieniu nas wszystkich fragment „Sonaty księżycowej" Beethovena. Okazało się, że miał słuch absolutny. Karierę studencką zaczynał z myślą o konserwatorium. Ale władze uznały, że bardziej celowe będzie posłanie go do ZSRR, aby został ekonomistą lub geologiem. Szybko zmieniły zdanie, uznawszy, że w dziedzinie gospodarki Kraj Rad nie bardzo może świecić przykładem. Po różnych zmianach przeniesiono Cuń-li na wydział fizyki Uniwersytetu Moskiewskiego. Jako fizyk mój przyjaciel już nie błyszczał. Niemniej, kiedy przedstawiciel chińskiej ambasady zjawił się w dziekanacie z zapytaniem, kto ze studentów chińskich byłby zdolny kontynuować fizykę na specjalizacji atomowej, po pewnych wahaniach wskazano Chań Cuń-li.

Ale tu w karierę mojego przyjaciela wdała się polityka.

Cuń-li nie mieszkał już wtedy ze mną. Ale stale się spotykaliśmy. Przylgnął do mojej polskiej przyjaciółki, zbierającej w Związku Radzieckim materiały do rozprawy doktorskiej o Polakach w czasie pierwszej wojny światowej. Irena, człowiek niezwykłej łagodności i skromności, była obdarzona przepięknymi blond włosami. Po rozpuszczeniu sięgały jej do kolan, Po moim powrocie do Polski w 1957 roku pozostała dłużej w Moskwie i stała się łącznikiem z Cuń-li. Kiedy moja matka z delegacją polskich wydawców odwiedziła Moskwę, Cuń-li natychmiast zjawił się w hotelu, by się przedstawić. Rozmawiał z nią kilka razy, okazując typowy podobno dla Chińczyków szacunek dla osoby starszej. (Matka miała wówczas zaledwie czterdzieści pięć lat). Chyba staliśmy się dla niego namiastką rodziny. W późniejszych listach z lat sześćdziesiątych. pozdrawiał moją mamę jako „synek Cuń-li".

Lubił pisać listy. Wiele z nich zachowałem. Oto jeden z najdawniejszych z Moskwy, datowany na 22 stycznia 1958 roku: *Wczoraj zdałem ostatni egzamin na czwórki. Nauka w ogóle szła mi z trudem. Przez minione pół roku nigdzie nie chodziłem. Nawet w mieście nie byłem ani razu. A to dlatego, że nauka*

na wydziale fizyki jest bardzo trudna. Za złe stopnie z naszego wydziału wyrzucają. Dlatego w początkach semestru bardzo się bałem [...]. *Ale wszystko jedno, nie mogę odpoczywać, dlatego, że u nas odbędzie się chińskie zebranie. Będzie trwało 10 dni, a może trochę krócej. Mnie interesuje, jak wasze prace, jak rozwija się kraj, jak ludzie żyją.*

Prymus z ekonomii i z geologii, zawiedziony swoimi „tylko" czwórkami z fizyki, był przemęczony, rozgoryczony, a na domiar wszystkiego interesował się polityką. Pamiętam jego uwagi w rodzaju: w ZSRR żyje się lepiej niż w Chinach, a w Polsce i na Węgrzech pewnie lepiej niż w Związku Radzieckim. Pamiętam, jak po referacie Nikity Chruszczowa o zbrodniach Stalina Cuń-li uśmiechając się rzucił zdanie: *Okazuje się, że Tito już nie jest psem łańcuchowym imperializmu.*

Zebranie dziesięciodniowe, o którym chyba z lękiem pisał Chań Cuń-li, zapowiadało jego zgubę. W atmosferze referatu Chruszczowa i XX Zjazdu KPZR w tak zwanym obozie socjalistycznym zaczął się w roku 1956 okres przewartościowań. Oczywiście, w języku i dogmatach poszczególnych systemów. Pamiętam, jak polscy studenci zapełnili perony Dworca Białoruskiego w Moskwie, kiedy Chruszczow witał Władysława Gomułkę. Było to 15 listopada 1956 roku. Zamieszanie było takie, że znalazłem się pięć metrów może od obu przywódców. W tłumie usłyszałem potem w najczystszej ruszczyźnie wypowiedziane cicho słowa najwyraźniej pod adresem Chruszczowa „kakoj plugawieńkij". Czy chodziło o wygląd zewnętrzny pierwszego sekretarza KPZR, rzeczywiście pękatego, z łysą głową i twarzą pokrytą brodawkami, czy o jego krytykę Stalina?

Mao Zedong doszedł tymczasem do wniosku, że przyspieszona kolektywizacja, nacjonalizacja i industrializacja budzą w jego kraju zbyt groźny opór. I postanowił niebawem po XX Zjeździe w Moskwie poluzować cugle. Rzucił więc hasło: „Niech rozkwita sto kwiatów, niech współzawodniczy sto szkół". Wydawało się, że zwiastuje to chińską odwilż, pozwala na różnorodność poglądów.

Były to złudzenia. Kiedy Mao Zedong spostrzegł, że po kraju rozlewa się zbyt groźna dla jego systemu fala swobodnej krytyki, to „sto kwiatów" po

kilkunastu miesiącach zastąpiła kampania przeciwko prawicowcom. Tych, którzy niebacznie się wychylili, przywoływano do porządku. Okrutnie.

Cuń-li tymczasem zaczął sobie pozwalać na otwarte wypowiedzi. A mieszkał już w pokoju z kolegą Chińczykiem, synem jakiegoś podobno urzędnika partyjnego, który niebawem w czasie seansu obowiązkowej samokrytyki doniósł na niego. I Chań Cuń-li odwołano do Chin.

Był to dla niego szok tak silny, że bliski był samobójstwa. Irena wspierała go. Ale niepocieszony tłumaczył jej, że będzie hańbą i to, że wróci, i to, że stawi się u rodziny z pustymi rękoma. Jedyne, co Irena mogła zrobić, to pomóc mu kupić dobry radioodbiornik. I na tym kończą się moje wiadomości o losach studenta wielu wydziałów Chań Cuń-li z jego pierwszego moskiewskiego pobytu.

Cuń-li został zaliczony do pół miliona „prawicowców". 26 września 1958 roku znalazł się w Pekinie w hotelu Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego. Nikt nie chciał z nim rozmawiać. W październiku posłano go pod Wielki Mur Chiński do kopania rowów, w których sadzono jabłonie. Wśród stu posłanych do tej pracy zajął pierwsze miejsce. *Pracowałem jak wół* – napisał Cuń-li do mnie. – *Miałem urobek 1,5 lub 2 razy większy niż inni, ale nie uznawano tego*. Nadal nikt nie chciał z nim rozmawiać.

Odmówiono mu prawa do kontynuowania nauki w wyższej uczelni w Chinach. Wreszcie posłano go jako nauczyciela języka rosyjskiego do historycznego miasta Luoyang nad Żółtą Rzekę, do zakładanej tam politechniki. Daleko od jego rodziny w Mandżurii

Co mam robić – pisał Cuń-li – *mogę tylko pracować*. Praca w Luoyang sprowadzała się czasem do nauczania języka rosyjskiego na najniższym poziomie. Nie miał stałego zatrudnienia, stał się chłopcem do wszystkiego. Zarabiał 28 juanów miesięcznie. Średnia praca robotnika wynosiła wtedy 50 juanów. *Wstydzę się* – pisał – *że nie mogę pomagać moim starym rodzicom.* Przylepiono mu metkę „burżuazyjnej opozycji". Życie studenckie w Rosji wydawało mu się utraconym rajem. Popadł w głęboką depresję. Ale w zakończeniu listu Cuń-li wyrażał swoją radość, że *nasz kraj bardzo szybko idzie do komunizmu, Ja bardzo chętnie oddam moje siły sprawie budownictwa*

naszego kraju. Pracujemy po 10 godzin. Wolnego czasu nie ma. Niedziel nie ma. Raz na dwa tygodnie dzień wolny. Nie sposób się oprzeć wrażeniu, że mój przyjaciel nie mógł się swoimi odczuciami dzielić z otoczeniem, więc pisał często do mnie. Mógł jednak podejrzewać perlustrację korespondencji przez pocztę chińską. Stąd owe pochwalne wtręty pod adresem władzy. A może trochę resztki dawnej indoktrynacji?

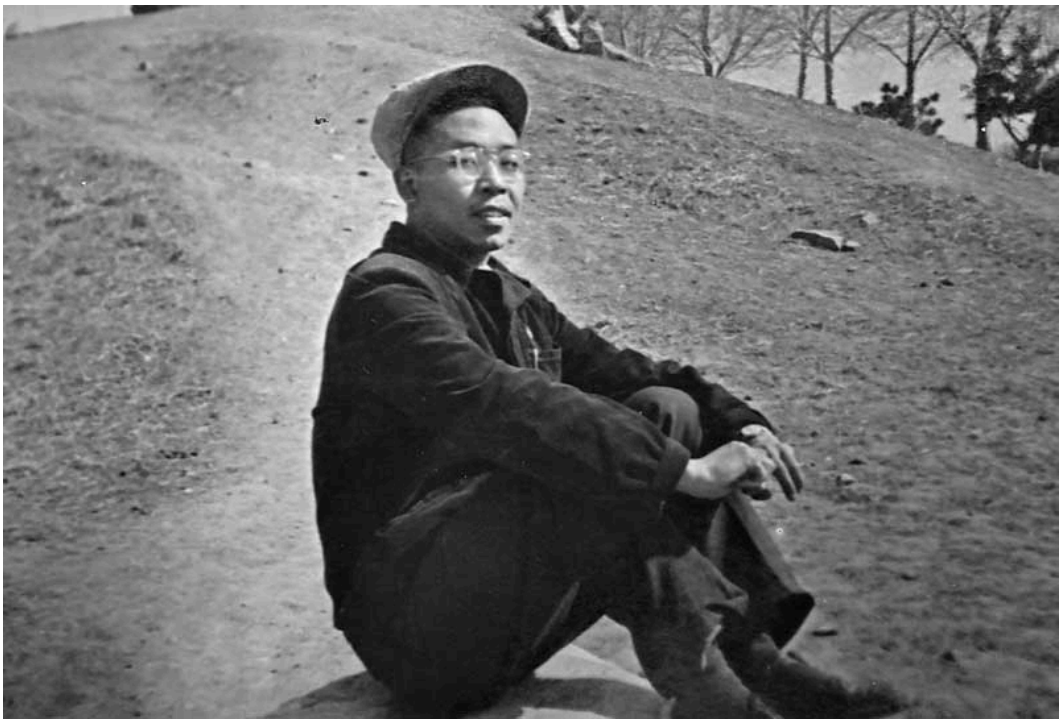

48. Mój przyjaciel na zesłaniu w południowych Chinach. Fotografia z ostatnich listów, które mógł przesłać.

Odwołanie „prawicowca" Chań Cuń-li do Chin zbiegło się z nagłym przejściem Mao Zedonga do polityki „wielkiego skoku naprzód". Wódz uznał, że wszelka ograniczona demokratyzacja (krytyka Stalina, polityka „stu kwiatów") osłabia dyktaturę Komunistycznej Partii Chin. Od 1958 roku narzucił więc jej odwrotność. „Wielki skok" oznaczać miał gwałtowne przejście Chin wprost do komunizmu. Największą wagę przywiązano do wytopu stali w przydomowych i przyzakładowych dymarkach. Przetapiano wszystko, co się dało, do klamek i narzędzi rolniczych włącznie. Otrzymywano nieprzydatne żeliwo. Na wieś przerzucano do tego wytopu stali dziesiątki milionów ludzi. Program bezpłatnego żywienia ludności

w komunalnych stołówkach okazał się kolejną utopią, powodującą olbrzymią klęskę głodu. Zajęci przy dymarkach chłopi nie zbierali plonów. „Wielki skok" przyniósł wielki głód. W jego następstwie zmarło – według różnych szacunków – od minimum dziesięciu do czterdziestu nawet milionów ludzi. W 1961 roku rozpoczęło się przywracanie gospodarki do stanu z 1958 roku. Mao Zedong utracił przejściowo część władzy.

W tym czasie, 27 kwietnia 1960 roku, Cuń-li pisał: *Budowa naszego kraju postępuje bardzo szybko. To się nazywa „wielki skok". Prawdopodobnie słyszeliście o tym.*

Po powrocie do Chin Cuń-li nie od razu pojął, że wszelkie porównania z ZSRR są źle widziane. W jednym z listów z 1959 roku wyrwało mu się: *Nasz instytut jest zbudowany na bazie technikum podczas „skoku" w naszej ojczyźnie. Ponad tysiąc ludzi, w tym około dwustu studentów pierwszego roku. Szczerze powiem, że taki instytut jest jeszcze gorszy niż technikum w Związku Radzieckim.*

Skarżył się dalej na gorący klimat, tak różny od jego ojczystej Mandżurii. I nieustanną pracę po dwanaście godzin. Zezwolono mu na nauczanie rosyjskiego w instytucie przekształconym z technikum, który szumnie nazwano politechniką. Ale dwadzieścia godzin tygodniowo zajmowano na szkolenie polityczne lub wojskowe. *W niedzielę* – pisał – *idziemy do dobrowolnej (obowiązkowej) pracy.*

1 kwietnia 1959 roku donosił mi z Luoyang: *W minionym roku zlikwidowaliśmy czterech szkodników: wróble, muchy, komary i myszy. Z tego powodu na polach nie znajdziesz ani jednego ptaka. Kiedy wybierasz się w pole jest bardzo przyjemnie. Słyszysz tylko żaby „gua-gua.* Ta walka ze szkodnikami była znana jako jeden z poronionych pomysłów Mao Zedonga. Czy Cuń-li pisał to na poważnie, czy kpił?

1 czerwca 1960 roku pisał, że leży chory od kilku dni i niczego nie jadł. *U nas nie sprzedają niczego. Na rok przysługuje tylko 200 gram wieprzowiny. 500 gram chleba dziennie. O owocach i jajkach nie ma mowy. Ważyłem 65 kg w 1958 roku, a teraz tylko 56. Ale Chińczykom codziennie dają 500 gram chleba dla każdego. To wielkie zwycięstwo* – ciągnął dalej jawnie dla cenzury Cuń-li –

wiadomo, że do wyzwolenia Chin wielu ludzi umierało z głodu i chłodu. Wierzę, że za kilka lat to wszystko minie. Jest 40 stopni. Ale ja postanowiłem czytać książkę „Zaorany ugór” [Szołochowa – J.W.B.] *po rosyjsku.* Do listów co roku dołączał swoje fotografie z krótkim komentarzem: *Wiesz, jak wyglądałem.*

26 czerwca 1960 roku pisał z Luoyang: *„Instytut skierował mnie na budowę zbiornika wodnego, który znajduje się 75 kilometrów od miasta. Wczoraj piechotą wróciłem z uczniami. Bolą mnie nogi i jestem bardzo zmęczony. Nawet chodzenie sprawia mi trudność. Przez ostatnie dwie doby spałem tylko pięć godzin.*

Na początku 1961 roku Cuń-li między frazesy o Komunistycznej Partii Chin wcisnął kilka zdań o tym, że spuchł z głodu i nie ma siły, aby chodzić. *Takich jest u nas wielu. W fabryce traktorów ponad tysiąc chorych ze spuchniętymi twarzami i nogami.* Pisał o strasznej drożyźnie, podając ceny. I dodawał, żebym jako komunista… nie powtarzał tego, co pisze.

Do domu, do rodziców przez trzy lata nie mógł pojechać. Za bilet do Mandżurii musiałby zapłacić 80 juanów, a w 1960 roku zarabiał 47. Wydarły mu się spodnie. Nowe kosztowały 40 juanów.

29 czerwca 1961 roku Cuń-li pisał: *Nic nowego. Moje życie nie jest zbyt przyjemne. Pogorszyłem się. Ważę teraz 50,5 kg. Jestem coraz słabszy i słabszy.*

U mojego przyjaciela stwierdzono anemię i zapalenie wątroby. Lekarz dał mu zwolnienie z pracy na trzy miesiące i dodatkowy przydział żywności: kilo cukru, kilo wieprzowiny i kilo jajek, a także dodatkowo dwa kilo chleba.

Powstały problemy, jak mu przesłać jakąś paczkę z Polski, unikając opłat celnych. Dzięki łańcuchowi znajomych polskich i chińskich na raty do Cuń-li dotarły witaminy, czekolada i ubranie. Zajęło mi to trochę czasu. Cuń-li zapamiętał te przesyłki na całe życie. Coś z ubrania sprzedał, aby mieć na jedzenie. Niepiśmienni rodzice podobno pierwszy raz w życiu spróbowali czekolady. Nie mogli tylko zrozumieć, z jakiego to kraju. O Polsce nigdy nie słyszeli.

Cuń-li udało się wreszcie dotrzeć do rodziców na prowincji w Mandżurii, około stu kilometrów od Mukdenu (Shenyangu). Jego zdrowie chwilowo się poprawiło. Bracia i siostry dokarmiali go jarzynami

i owocami. Kiedy wrócił do Luoyangu pod koniec lata 1961 roku okazało się, że na rok zawieszono zajęcia i studentów posłano do pracy na wsi.

W jednym z listów tego czasu Cuń-li nawiązując do kultowej radzieckiej książki ociemniałego Nikołaja Ostrowskiego *Jak hartowała się stal,* mającej przekonywać, że bolszewik zniesie wszelkie trudności, pisał gorzko – *a ty dostajesz obraz tego, jak hartuje się Cuń-li.*

Korespondencja ze mną była dla niego główną nicią, która łączyła go z lepszym, sytym i godnym światem lat studenckich. Pisał do mnie znad Żółtej Rzeki częściej niż do własnych rodziców. Mimo że, jak się okazało po latach, był ode mnie o kilka miesięcy starszy, traktował mnie dosłownie jak starszego brata. W listach z Chin jako stały motyw powracała nostalgia za studencką Moskwą. Pytał, czy pamiętam dwie brzozy, które rosły na dużym, pustym dziedzińcu naszej bursy przy ulicy Stromynce. Ten paskudny kwadrat przestrzeni zamknięty czworobokiem starych koszar, pośrodku którego widniała mała cerkiewka przekształcona za władzy radzieckiej w jakiś skład, był jednym z licznych obrazów pojawiających się przez dziesięciolecia w pamięci kiedyś wesołego i dowcipnego chińskiego chłopca Chań Cuń-li. Przyjaźń do mnie przenosił na moją ówczesną partnerkę życiową Irenę i moją matkę. Wspominał je często. Widząc narastający w Chinach terror, doszliśmy z Ireną do wniosku, że dalsza korespondencja z nami może jeszcze bardziej zaszkodzić Cuń-li. Świadomie przestaliśmy pisać, dawszy przyjacielowi do zrozumienia, dlaczego. Cuń-li zachował mój ostatni list – życzenia noworoczne na 1965 rok.

Do Luoyang zbliżała się „rewolucja kulturalna". Mao Zedong, aby przywrócić sobie pełnię władzy, zrewolucjonizował pod tym hasłem miliony młodych ludzi przeciwko systemowi swoich partyjnych towarzyszy. Kolejny wieloletni spektakl nienawiści w wymiarze miliarda ludzi ogarnął całe Chiny. Rozbito wszelkie struktury. Po śmierci Mao w roku 1976 zaczęła się masowa rehabilitacja i ułaskawienia. Dopiero jesienią 1977 roku odbyły się pierwsze od wielu lat egzaminy na uczelnie wyższe.

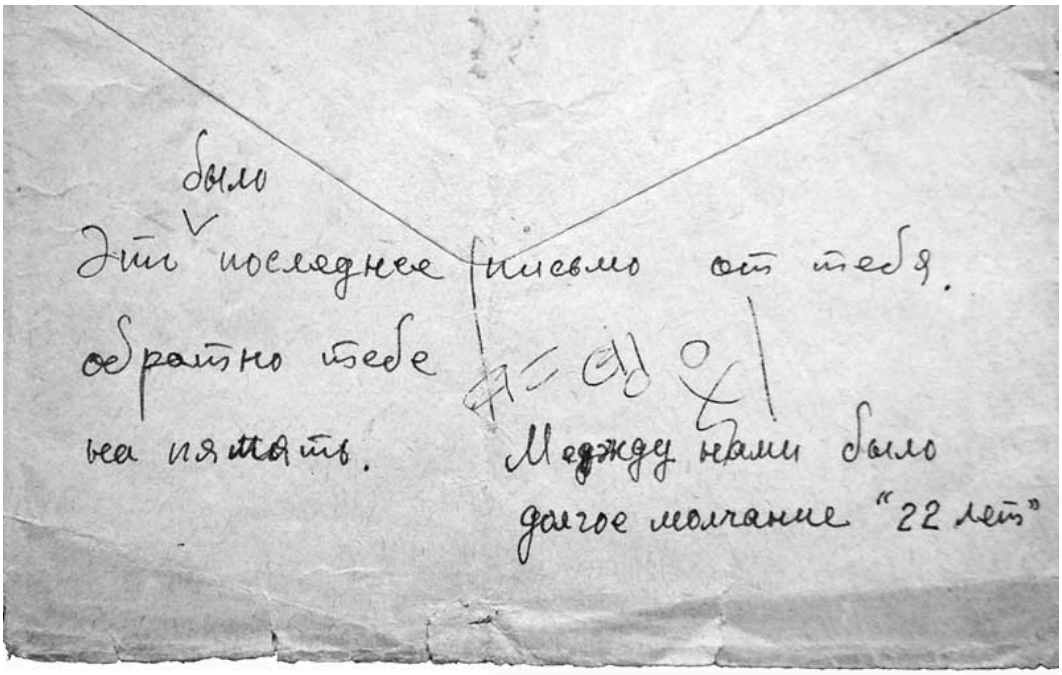

49. Notatka Chań Cuń-li na kopercie z 1964: *To był ostatni list od ciebie. Już ci nie odpowiedziałem. Między nami było długie milczenie „22 lata”.* Przechował ją i przekazał mi podczas spotkania, kiedy udało mu się przyjechać do Warszawy dopiero w 1987.

Na dwadzieścia dwa lata nasze stosunki z Cuń-li zamarły. On nie wiedział, czy ja żyję, ja zaś mogłem domniemywać – jak się szczęśliwie okazało niesłusznie – że postradał życie podczas rewolucji kulturalnej. Po dwudziestu dwóch latach Cuń-li przyjechał do Warszawy, odnalazł mnie i wręczył mi „na pamiątkę” mój ostatni liścik do niego, z kopertą, na której widnieje jego adnotacja *między nami było długie milczenie „22 lata”.*

Latem 1986 roku nadszedł nieoczekiwanie z Moskwy na niezmieniony od dziesięcioleci adres mojej matki list od Chań Cuń-li, pełen okrągłych zdań, pozbawiony konkretnych informacji. Moja matka długo obracała w rękach kartkę i przeczytawszy list powiedziała:

– *Musiał siedzieć w więzieniu.*

I rzeczywiście, kiedy Cuń-li wiosną 1987 roku dotarł na moje zaproszenie do Warszawy, poprosił, abym zamknął się z nim w jednym z pokoi, bo chce mi coś opowiedzieć. Kiedyśmy zostali sami, ściągnął koszulę i powiedział:

– Obejrzyj moje plecy. Mnie bili.

Na plecach widać było blizny.

List zawiadamiający, że Cuń-li żyje, zaginął gdzieś w papierach po mojej matce. W następnym, z 20 września 1986 roku pisał: *Dzisiaj o godzinie 17 otrzymałem list od Ciebie z Warszawy. Ja bardzo, bardzo i jeszcze raz bardzo się ucieszyłem. Kiedy czytałem Twój list, ze wzruszenia zalałem się łzami. Ogarnęła mnie masa wspomnień.*

Cuń-li stopniowo wyjaśniał mi swoje przejścia życiowe. W owych „latach milczenia" ożenił się, urodził mu się syn. Ale kiedy oskarżono go jako „wroga ludu", żona i syn musieli się go wyrzec. Syn, kiedy dorósł, rozpoczął pracę w fabryce, nie odebrał nawet podstawowego wykształcenia. Po „rehabilitacji" Cuń-li oferowano pracę wykładowcy ekonomii politycznej w luoyangowskim Instytucie Materiałów Budowlanych. Otrzymał tam, zdaje się, jakieś funkcje administracyjne, mieszkanie, odszkodowanie pieniężne. Ożenił się po raz drugi z młodą, ładną dziewczyną. Niestety, jak się okazało, ciężko chorą na raka. Został wdowcem. W 1986 roku przydzielono mu roczny staż w Instytucie Gospodarki im. Plechanowa w Moskwie. Wykorzystał go i po to, aby mnie odnaleźć.

Dużo spraw wyjaśniliśmy sobie ustnie, kiedy przyjechał do Warszawy. Ambasada chińska w Moskwie zezwoliła na tę podróż, ale postawiła kilka warunków. Między innymi, aby zapoznał się z jakimś polskim ekonomistą. Poprosiłem Andrzeja Olechowskiego, podówczas pracującego w Ministerstwie Współpracy Gospodarczej z Zagranicą, aby odegrał tę rolę. Zostawiłem ich sam na sam na pół godziny. I kiedy zjawiłem się po odbiór mojego chińskiego przyjaciela, okazało się, że nie byli w stanie się porozumieć. Andrzej w ogóle nie zna rosyjskiego, a Cuń-li poza chińskim mógł jeszcze zaproponować rozmowę po japońsku. Według Olechowskiego Cuń-li, zmęczony bezskutecznymi próbami porozumienia z polskim ekonomistą, w pewnym momencie nawet przysnął z głową na biurku. O trudnościach językowych w sprawozdaniu dla chińskiej ambasady w Moskwie Cuń-li z pewnością nie wspomniał. Zlecenie zostało wykonane.

W czasie stażu w Moskwie w 1987 roku mój przyjaciel nawiązał nowe znajomości. Zaproponował małżeństwo atrakcyjnej Rosjance, inżynierowi, tłumaczce z japońskiego Walentynie Wasiliewnie Jefremowej. Walentyna uznała jego propozycję za utopię.

– *Z czego będziemy żyli? Z mojej skromnej emerytury?*

– *Nie martw się o to, tylko zgódź się. Ja zarobię.*

Cuń-li uzyskał wtedy prawo pobytu w Moskwie i zamieszkał u Walentyny. Pobrali się. Został tłumaczem i pośrednikiem w handlu z Chinami. Jest dzisiaj zamożnym człowiekiem, znanym i w Rosji, i w Chinach.

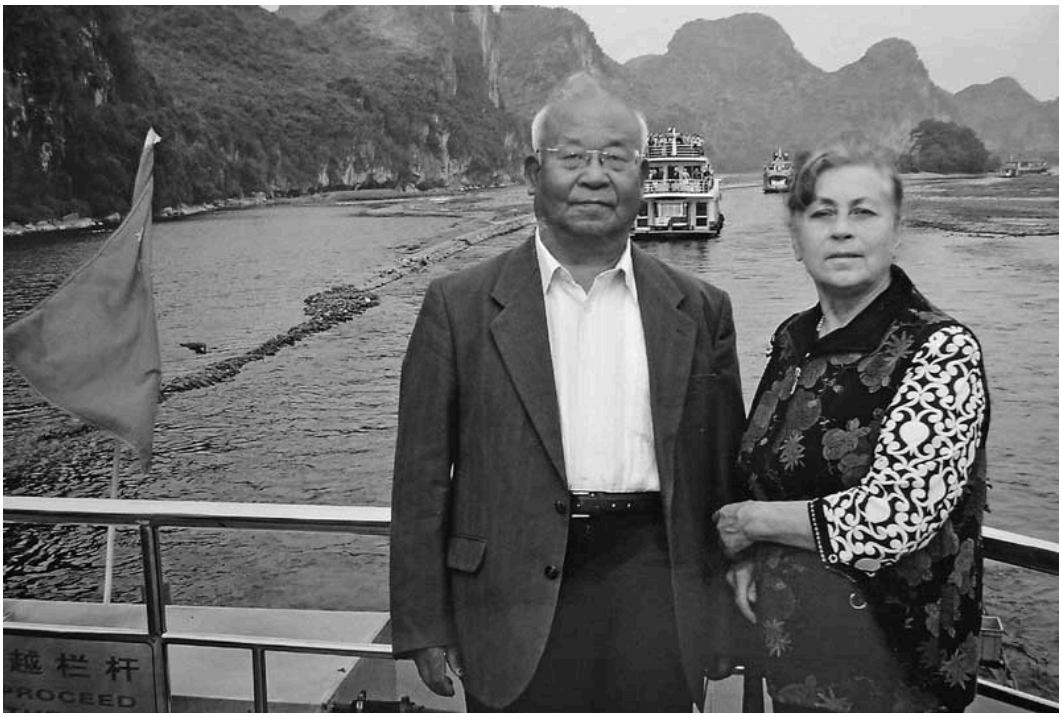

50. Chań Cuń-li z żoną Walentyną Jefremową na Żółtej Rzece. Odnaleźliśmy się po ponad dwudziestu latach i podtrzymujemy kontakty telefonicznie i mailowo.

Jego żonę Walentynę też znają szeroko w Moskwie, głównie jako opiekunkę bezdomnych psów i kotów. Cuń-li zauważył kiedyś filozoficznie:

– *Mnie też przygarnęła jak bezdomnego psa.*

Wyliczył kiedyś, że pomógł finansowo dziesiątkom krewnych i powinowatych. Od wielu lat nalega, aby zafundować mi wielką podróż po Chinach. Bądź co bądź według jego tytulatury jestem „najlepszym cudzoziemskim przyjacielem".

Cuń-li jest teraz dumny z rozwoju gospodarczego Chin. Ale w dyskusje polityczne się nie wdaje. Kiedy rodacy w pociągach czy autobusach w Chinach stawiają mu pytania, odpowiada:

– *Czytajcie gazety. Tam wszystko jest napisane.*

32. Daleko od konspiracji

Miałem dwadzieścia lat w 1955 roku. Ojciec mój zmarł trzy lata wcześniej jako znany działacz komunistyczny. Nie miałem pojęcia, że jego droga do komunizmu nie była strzeliście prosta. Dopiero po roku 1989 zdziwiłem się, kiedy stwierdziliśmy, że na jego grobie na powązkowskim Cmentarzu Wojskowym w Warszawie jedynymi kwiatami od organizacji politycznej w ostatnim ćwierćwieczu okazała się wiązanka z szarfą podpisaną „Anarchiści polscy". Matka moja wierzyła w ideologię komunistyczną jeszcze kilka lat po 1956 roku – po referacie Nikity Chruszczowa o zbrodniach stalinizmu. Wierzono wówczas, że wyjrzy nareszcie ludzka twarz nowego ustroju. Świadomość, że komunizm stalinowski oznaczał udział całych społeczeństw i państw w działaniach przestępczych stopniowo docierała do wierzących w ideologię, którą roznoszono po świecie w opakowaniu „Marks–Engels–Lenin–Stalin". Krytyk Stalina Chruszczow, krytyk Stalina Anastas Mikojan pozostali u władzy jeszcze przez dziesięciolecia po śmierci dyktatora. System pozostał ten sam. Trochę złagodzony. Tylko w gronie rodzinnym przewodniczący Rady Najwyższej ZSRR Mikojan był zdolny podobno powiedzieć: *My wszyscy mamy ręce unurzane we krwi po łokcie.*

Około roku 1955 zgłosiłem się na kandydata do PZPR, zwanej niedokładnie partią komunistyczną. Pchała mnie do tego tradycja rodzinna oraz koledzy ze studiów, którzy już w większości nie tylko do partii należeli, ale byli jej aktywistami. Przynależność do partii była w ziomkostwie polskich studentów i aspirantów w ZSRR niemal rytuałem. Ale byli i tacy, którzy nie obnosząc się z tym, korzystali z radzieckiej nauki, zachowując dystans wobec ustroju i partii. Na przykład mój przyjaciel od dzieciństwa, konstruktor lotniczy Włodzimierz Matysiak-Launberg. Imię

dostał zapewne na cześć Lenina, ale do partii nie wstąpił. Lata wojny spędzone z rodzicami w radzieckiej Azji zapewniły mu dozgonny reumatyzm. I takiż krytycyzm wobec ZSRR. Od małego był jednostką samodzielnie myślącą i kiedy już w roku 1945 po powrocie do Polski natknął się na wybryki antysemickie i prześladowanie ateistów przez uczniów w szkole podstawowej przy ulicy Hożej w Warszawie podał jako wyznanie grekokatolik.

Nie potrafię już dziś odtworzyć toku mojego ówczesnego myślenia. Wierzyłem w ideologię, ale nie w jej radziecką czy polską praktykę. W 1956/1957, na ostatnim roku studiów, mieszkaliśmy w ogromnej, luksusowej na owe czasy bursie Uniwersytetu im. Łomonosowa na Wzgórzach Leninowskich, w rekreacyjnej dzielnicy miasta. Aby porozmawiać o polityce, wychodziliśmy z moim słowackim przyjacielem Ivanem Laluhą na długie spacery po śniegu. Laluha stał się później znany jako socjaldemokrata, doradca Aleksandra Dubczeka.

Około roku 2000 jeden z docentów wydziału historycznego uniwersytetu odpisał dla mnie z akt miejskiego komitetu KPZR moją poufną charakterystykę z tamtych czasów. Jej kluczowe zdanie brzmi: *On nie komunista, ma poglądy szwedzkiego socjaldemokraty. Ale jest rusofilem.* Skąd ta wiedza? Zapewne z perlustracji mojej naiwnej korespondencji z pewnym Holendrem, którego poznałem na festiwalu młodzieży w Warszawie.

Po 1956 roku część tych, którzy znali lepiej ZSRR, spędzili tam wojnę, wyzwalała się ze stalinowskiego dogmatyzmu. Żona Władysława Matwina, ówczesnego sekretarza Komitetu Centralnego PZPR – Malina – wyraziła się jasno do mojej matki, dowiedziawszy się, że „zapisałem się" do PZPR:

– I po co? Dlaczego mu na to pozwoliłaś?

Dłuższy pobyt we Francji w roku 1963, podczas którego spotkałem wielu ludzi myślących chodziłem, co prawda nieregularnie, na zajęcia Pierre'a Renouvina, Raymonda Arona i Luciena Goldmanna – miał wpływ zasadniczy na moją postawę polityczną. Stałem się tak krytyczny wobec ustroju PRL, że matka spytała mnie:

– *Po co więc wróciłeś?*

Moi francuscy przyjaciele, ekskomuniści Georges Bram i Jean Grobla, mówili mi: *Wait and see. Ktoś musi reformować twoją ojczyznę.*

Ale nie reformowałem. W pamięci miałem tragiczną karierę ojca. Do połowy lat sześćdziesiątych często apelowano do mnie, abym pozostał w partii z uwagi właśnie na tradycję „po ojcu". Niektórzy używali określenia „tradycję liberalnego komunizmu".

Kiedy wróciłem na początku 1964 roku z moich wojaży, wezwał mnie pierwszy sekretarz Komitetu Uczelnianego PZPR Andrzej Jezierski, dobry historyk, ale cynik i brutal.

– *Będziesz odpowiadał za pracę z młodzieżą w Komitecie Uczelnianym.*

– *Ani myślę.*

– *Ja ci każę jako sekretarz.*

– *Odpowiesz za takie stalinowskie metody.*

Nie zgodziłem się. Wiedziałem, że uprzednio za „pracę z młodzieżą" odpowiadał zdaje się Karol Modzelewski, uwięziony właśnie wraz z Jackiem Kuroniem po liście otwartym do członków partii. A przede wszystkim nie miałem ochoty angażować się w cokolwiek poza wykonywaniem zawodu historyka. W sprawach aktywności partyjnej byłem „konsekwentnym dekownikiem." Przez całe ćwierćwiecze mojej przynależności do PZPR nie pełniłem żadnej funkcji, uchylałem się często od udziału w zebraniach. W latach siedemdziesiątych moja absencja była już notoryczna.

To „battibecco" – jak mówią Włosi: starcie, kłapanie dziobem – z Jezierskim pchnęło później mojego rozmówcę do rozpatrywania mnie w roku 1968 na jakiejś liście proskrypcyjnej jako trockistę. Było to całkowite zmyślenie. Swoją wrogość okazywał mi niepotrzebnie i w początku lat siedemdziesiątych., kiedy przez krótki czas prowadziłem zajęcia w filii Uniwersytetu Warszawskiego w Białymstoku. A on sprawował tam władzę jako prorektor.

Klub Krzywego Koła
zaprasza
Staromiejski Dom Kultury
Warszawa, Rynek Starego Miasta 2, Strona Barssa
na czwartkowe zebranie dyskusyjne
które odbędzie się dnia 25 [illegible] o godz. 18.00
na temat: O polskiej anarchii
zagaja: Paweł Jasienica
ZARZĄD KLUBU

51. Po powrocie do Warszawy zacząłem chodzić na zebrania Klubu Krzywego Koła. Imienne zaproszenie na spotkanie z Pawłem Jasienicą o polskiej anarchii w gomułkowskiej rzeczywistości miało swój smak dla byłego studenta w ZSRR (lata 60.).

Jezierski przynajmniej nie należał do grona „volksdocentów" (inaczej – docentów marcowych) – tych, którzy dostali nominacje, nie broniąc habilitacji. Dostali za deklarację promoczarowską. Widziałem w tych latach na uniwersytecie takich cyników, którzy udawali graczy politycznych i rzekomo przyjęli „volksdocenturę", aby złagodzić partyzantów Moczara i bronić kolegów. Później przemilczali w życiorysach te nominacje i orientacje. Przemilczeli udatnie i to, że donosili lub wydawali poufnie negatywne opinie byłym studentom kontestatorom ubiegającym się o pracę.

Przejść suchą nogą przez tamte czasy było trudno. Nie będę wymieniał nazwisk. Często dotyczy to już nieżyjących. Ale zjawisko warte jest zaznaczenia. Istniało.

Z moich czasów w Uniwersytecie Warszawskim, z lat 1964–1975 (a właściwie 1957–1975, bo od roku 1957 uczęszczałem na seminaria

doktoranckie profesorów Jabłońskiego, Kieniewicza, Kuli) nauczyłem się zachowywać ostrożność – może nie zawsze słusznie – w obcowaniu z pewnym typem nieznajomych; jeśli ktoś zaczynał nawiązywać ze mną stosunki, obdarowując mnie od razu rzadkimi książkami, lub zaczynał nie à propos mówić o moim ojcu. W czasie pracy na uniwersytecie w ten sposób zidentyfikowałem kilku donosicieli. Zakładam, że w przekazanej im mojej charakterystyce mogły być wskazówki: „Bibliofil. Przewrażliwiony na punkcie swego ojca".

Nie sądzę zresztą, aby wiele na mnie donoszono. Nie byłem zwierzyną polityczną. Jak dalece raporty policyjne mogą odbiegać od rzeczywistości, przekonałem się przez kilkadziesiąt lat pracy w archiwach czy to francuskich, czy rosyjskich. Francuzi w nadzorowaniu emigracji słowiańskich posługiwali się często ludźmi nieznającymi języków swoich „podopiecznych". Ci zmyślali na potęgę. Arcyszpieg policji carskiej na zachodzie Europy z lat 1840–1875, Polak Julian Aleksander Bałaszewicz (występujący pod kryptonimem hrabia Albert Potocki), wymyślał groźne spiski, aby powiększyć swoje płatności z Francji i z Rosji. Tak i dzisiaj postępują służby specjalne różnych krajów, celowo przesadzając w raportach dla swoich rządów w opisach zagrożeń, co przekłada się na zwiększenie ich budżetów.

W kwietniu 1979 roku gościliśmy naszego przyjaciela z RFN, profesora Hansa Henninga Hahna. Henning rzeczywiście współdziałał z Adamem Michnikiem i polską opozycją, ale my byliśmy w tym czasie pochłonięci wychowywaniem dwójki małych dzieci (cztery i dwa lata). Niemniej dossier zawiera fotografie moją, żony Marii, mojej matki-emerytki, zdjęcia paszportowe obu maluchów oraz dokładny opis tego, co moja żona nabyła w sklepie spożywczym, a ja w ciastkarni (*w towarzystwie 4-letniego chłopca…*). Tak powstało całe dossier w ramach dobrze płatnej pracy wywiadowczej. Nie znaleziono śladów naszej działalności antypaństwowej

Metody działania policji w ciągu ostatnich dwóch stuleci należałoby podzielić na wiele podokresów, zależnie od ustroju, kraju i rozwoju różnych technik. Przesadą trąci stare rosyjskie powiedzenie z XIX wieku

o wszystkowidzącym oku i wszystkosłyszącym uchu carskiej policji. Ale po roku 2000 natrafiłem w jednym z instytutów naukowych Moskwy na kopię pisma, które zabłąkało się chyba nieprzypadkowo w dokumentach historycznych położonych na moim stole. Życzliwy Rosjanin ostrzegał mnie z kim mam do czynienia. Urzędnik państwowy prosił o opinię dyrektora tego instytutu, czy można mi ufać, w związku z wywiadem o odpowiedzialności Rosji za sprawę katyńską, którego udzieliłem „Polityce" w 1988 roku. Znany mi sygnatariusz listu nie zna polskiego. Skąd tak doskonała „pamięć wsteczna"? Odpowiedź jest prosta: ze zdigitalizowanych danych „białego wywiadu" rosyjskiego z przeszłości (przegląd prasy polskiej).

52. Bywali u nas w domu Niemcy i Włosi, co skutkowało zainteresowaniem służb. Nie ominęło ono, jak widać z fotografii zachowanej w aktach IPN, nie tylko mnie, ale i mojej żony Marii, i dwóch malców.

Dużo było oportunizmu w moim formalnym pozostawaniu w PZPR. Po roku 1968 szantażowano mnie, że rzucenie legitymacji partyjnej będzie równoznaczne z usunięciem z Uniwersytetu Warszawskiego. W latach 1971–1972 wykreślono mnie z PZPR, później w ramach „operacji wiązanej" (chcesz wykładać, musisz należeć) – przywrócono. I tak zresztą usunięto mnie z UW w roku 1975 i przeniesiono do Instytutu Historii PAN. Czasy się zmieniały. Profesor Henryk Wereszycki, bądź co bądź symbol oporu

przeciwko stalinizacji nauki historycznej, namawiał mnie do pozostania w PZPR:

– *Ktoś będzie musiał odbudować Polskę demokratyczną.*

Podobną opinię wyraził do mnie pod koniec lat siedemdziesiątych Karol Modzelewski podczas spaceru po parku w Domu Literatów w Oborach. Spodziewano się przebudowy ustroju, ale nie totalnego obalenia i całkowitego upadku ZSRR. Słyszałem Bronisława Geremka i Karola Modzelewskiego zgadzających się, że upadek Związku Radzieckiego chyba za ich życia nie nastąpi. Było to w drugiej połowie lat osiemdziesiątych w zakrystii w kościele Świętej Trójcy na Solcu. To samo słyszałem i z ust niemieckich, i włoskich dyplomatów z najwyższej półki na kolacji po obchodach stulecia śmierci Garibaldiego w roku 1982 w Bonn.

W latach 1979–1981 uchylono lufcik dla legalnej opozycji. Zezwolono zacnym ludziom spod znaku Stefana Bratkowskiego, Kazimierza Dziewanowskiego, Bogdana Gotowskiego, Andrzeja Wielowieyskiego na stworzenie klubu dyskusyjnego, konwersatorium „Doświadczenie i Przyszłość" (DiP). Należałem do niego. Produkowaliśmy memoriały i ekspertyzy jak zdemokratyzować ustrój, uczynić go bardziej gospodarnym. W odpowiedzi na ankietę DiP-u pisałem 22 maja 1979 roku: *Nieliczenie się z opiniami inteligencji, ograniczanie jej roli, sprowadzanie jej czynności do funkcji czysto służebnych pociąga za sobą utratę tego, co było pozytywnymi odrębnymi cechami wyróżniającymi społeczeństwo polskie i w dużym stopniu sprzyja dalszemu ogromnemu upadkowi moralności publicznej, nazywania kłamstwa prawdą* [...].

Pisaliśmy wiele słusznych memoriałów, ale nie miały one wpływu na rzeczywistość PRL. Prawie cała para szła w gwizdek.

Przystąpiłem, siłą rzeczy, w 1980 roku i do „Solidarności" – na lat dziesięć. Moje członkostwo ustało przed moim wyjazdem do Francji w 1991 roku.

Legitymację PZPR oddałem od razu po 13 grudnia 1981 roku.

33. Protekcja filozofa

Lato 1967 roku. Upał. Wczasy nad morzem w Jastrzębiej Górze w domu wczasowym „Bałtyk" dobiegały końca. Szukałem sposobu, aby je przedłużyć w jakiejś kwaterze prywatnej. Przed jednym z piętrowych, niedużych domów drewnianych siedziała niedbale ubrana tęga starsza kobieta. Na moje pytanie: – *Czy nie wynajmuje pani pokoi?* – odpowiedziała:

– *Skąd pan jest?*

– *Z Warszawy.*

– *Słucha pan radia?*

– *Jakiego?*

– *No przecież wiadomo, „Wolnej Europy".*

– *Słucham.*

– *A zna pan pana Kołaczkowskiego?*

– *Jakiego Kołaczkowskiego?*

– *No tego filozofa, o którym tyle mówią.*

– *Leszka Kołakowskiego?*

– *No tak, o niego mi chodzi.*

– *Znam.*

– *No to ja panu wynajmę pokój na piętrze.*

Jejmość przepytywała mnie głośno. Rozmowa niosła się po ulicy. Ale przyniosła pożądane rezultaty. Prawdę mówiąc, z Kołakowskim raz w życiu wypiłem kawę w warszawskim hotelu „Bristol" i to w towarzystwie osób trzecich. Ale dzięki temu dwu- czy trzykrotnie pomieszkiwałem potem u pani, którą okazała się wdowa po Jerzym Marcinie Osmołowskim (1872–1952), komisarzu generalnym zarządu cywilnego ziem wschodnich

po pierwszej wojnie światowej, człowieku, którego Józef Piłsudski darzył zaufaniem.

Pani Maria Osmołowska głośno manifestowała swoje antyreżimowe nastawienie. Lat wtedy chyba blisko osiemdziesięciu, nieco przygłucha, puszczała nastawione na „Wolną Europę" radio na cały regulator. Zabrano jej ziemię i zabudowania, jakie odziedziczyła po mężu w Jastrzębiej Górze. Zajmowała już tylko ostatnią pozostałość: dom dawnego ogrodnika. Władze z Pucka usiłowały go zagarnąć i przenieść panią Marię do domu starców. Broniła się, najmując za słone pieniądze miejscowych prawników. Miała jeszcze ukrytą biżuterię.

Nie budziła we mnie sympatii. Opowiadała z zadowoleniem, jak z delegacją polskiego harcerstwa składała we Włoszech hołd Benito Mussoliniemu. Była dużo młodsza od męża. Zachowała przyzwyczajenia z zapóźnionego polskiego dworku czy dworu kresowego. Pozostał przy niej sługa – przywleczony z Polesia, zza Buga poczciwy ułomny chłopina zwany po nazwisku Chomiczem. Zajmowali na parterze dwa pokoje w amfiladzie połączone drzwiami, przez które wszystko było słychać. Ale Osmołowska lubiła przywoływać sługę dzwonkiem-kołatką. Chomicz protestował i powtarzał, że wystarczy go zawołać, że minęły czasy dzwonienia na służbę. Obie strony wtajemniczały mnie w swoje animozje. Pani Maria ubolewała, że Chomicz ulega złym wpływom „komunisty" palacza w kotłowni pobliskiego domu wczasowego „Bałtyk" i zapomina o hierarchii, że traktuje ją zbyt poufale.

Chomicz lubił mnie. Był wdzięczny, że poznawszy ich życie, zacząłem ich bronić przed miejscowymi kombinatorami.

– *Ona w piwnicy ma dobre koniaki* – donosił. – *Ale pana nie częstuje. A tym adwokatom z Pucka daje. Interesowna.*

Wieczorami siadał na przyzbie i przyglądał się zachodom słońca ginącego w morzu. Kiedy był w dobrym humorze, tytułował mnie „doktorem", w złym humorze zwracał się do mnie „panie profesorze".

– *Pan doktor prosto z pociągu, w nocy nie spał. Zaraz zrobię panu takie wiedeńskie śniadanko. Ona nie słyszy, w ta pora śpi jeszcze* – rządził się Chomicz

w kuchni. Już niedowidział i utopił mi w jajkach w szklance dużą muchę. Wyciągnąłem ją ukradkiem.

– *Pan profesor smutny jakoś. A co to by było za życie „biez kłapotów”* – ogłaszał Chomicz. – *Ale ta panienka, co do pana przyjechała, bardzo śliczna* – pocieszał.

Niezależnie od moich sympatii złożyłem w Urzędzie Rady Ministrów w Warszawie pismo w obronie Marii Osmołowskiej. Wykorzystałem niektóre dane z życiorysu jej męża, którego poglądów chyba nie rozumiała i nie podzielała.

Jerzy Osmołowski sympatyzował w młodości z socjalistami, obracał się wśród oświeconej inteligencji ówczesnej, ziemianin z Polesia, okazywał zrozumienie dla aspiracji ludności białoruskiej. Wśród znajomych jego przewijają się nazwiska czołowych masonów: Stanisława Stempowskiego i Rafała Radziwiłłowicza. Jako młody człowiek bywał u Elizy Orzeszkowej, w późniejszych latach u Marii Dąbrowskiej.

W życiorysie Osmołowskiego, kiedy służył w wojsku, pojawił się nawet zaskakujący moment. Po rewolucji lutowej 1917 roku, stacjonując w Kiszyniowie, został wybrany przewodniczącym tamtejszego Komitetu Wykonawczego Delegatów Rad Żołnierskich i Robotniczych. Był nim krótko. Z bolszewikami nie było mu po drodze. Ale przyglądając się temu życiorysowi polskiego szlachcica i ziemianina, przypomina się, że w Polsce pod zaborami były setki jemu podobnych w jego klasie społecznej. Socjalizm widzieli jako drogę do niepodległości Polski. Wszyscy prezydenci Polski międzywojennej: Gabriel Narutowicz, Stanisław Wojciechowski, Ignacy Mościcki, pochodzili z rodzin szlacheckich. I wszyscy we wczesnej młodości byli socjalistami.

Osmołowski znał wiele znakomitości. Jak ustaliłem, bywał w Bibliotece Publicznej miasta Warszawy w latach trzydziestych u jej dyrektora Faustyna Czerwijowskiego, społecznika rodem z Ukrainy. Tam natknął się na mojego ojca. Zapewne w czytelni. W każdym razie po wojnie, jak opowiedziała mi pani Maria, poszedł na ulicę Wiejską na rozmowę z prezesem „Czytelnika”. Żonę posadził nieopodal w kawiarni „Ujazdowskiej”, mówiąc podobno:

– Weź sobie, Marysiu, jakieś ciastko i poczekaj. Tej rozmowy i tak nie zrozumiesz.

34. Okolice Treblinki

W roku 1957 powróciłem ze studiów w Moskwie. Na pożegnanie kupiłem sobie kajak-składak i małe radio tranzystorowe. Składak był jednym z drobnych owoców odwilży w ZSRR. W każdym razie tak nam mówili sprzedawcy, zachwalając jego szkielet z pustych w środku rurek aluminiowych. Twierdzili, że taką produkcją uboczną dorabia jakaś fabryka samolotów dla wojska. Był niezatapialny. Budził zachwyt dzieciarni w wioskach nadbużańskich.

Nad Bug zacząłem jeździć za sprawą poznanej w Moskwie Polki Ireny, która przyjechała tam zbierać materiały do rozprawy doktorskiej o Polakach w Petersburgu. Miała ona jakby przybraną rodzinę pod wsią Zuzelą, za Małkinią, ponad sto kilometrów od Warszawy. Kluczem do tych związków było nazwisko panieńskie jej matki, Genowefy z domu Wyszyńskiej (1891–1959), wiążące ją w jakiś sposób z miejscowym organistą, ojcem prymasa Stefana Wyszyńskiego. Panna Wyszyńska jeździła na wypoczynek do Zuzeli jeszcze przed pierwszą wojną światową. Po tej wojnie przeniosła się do następnej wsi, długiej ulicówki Ołtarzy-Gołaczy. Zaprosiła ją tam Leokadia Ołtarzewska (1904–1994), po mężu Zaleska. Ołtarze-Gołacze leżały nieco na uboczu od szosy, za lasem, wyciągnięte wzdłuż Bugu. Kiedyśmy wysiedli z autobusu, Irena powiedziała:

– *Połóż się na łące, ja przelecę się do wsi i uprzedzę, że sprowadzam gościa.* – O telefonach nie było tam wtedy co marzyć.

Nastawiłem sobie tranzystor i... zasnąłem. A radio grało. Irena zbudziła mnie, pokrzykując:

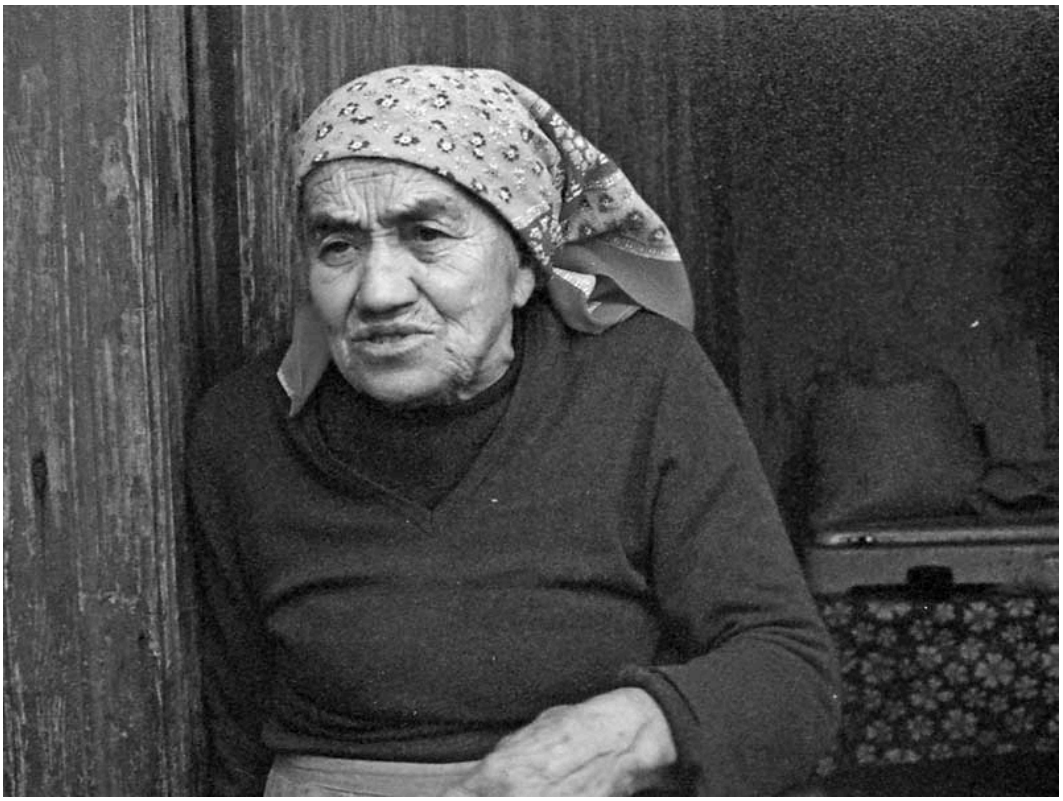

53. Leokadia Zaleska, zaprzyjaźniona gospodyni z okolic Treblinki, która opowiadała mi o okupacyjnej rzeczywistości tych terenów.

– Coś ty narobił! Tu jakaś babina pasła krowy. Nie widziała ciebie w wysokich trawach. Usłyszała głosy, które wydobywały się jakby spod ziemi i natychmiast przygnała krowy do wsi przerażona, że duchy na łące harcują!

Nie wierzyłem własnym uszom, kiedy jakaś ponad osiemdziesięcioletnia kobieta zapytała mnie któregoś dnia:

– A jak tam, panie, miewa się car Mikołaj?

Pomieszanie epok, obyczajów i narodowości rzucało się w oczy. Wielu było gospodarzy z dawnej szlachty zaściankowej: Obryccy, Ołtarzewscy, Zalescy. Domy drewniane w historycznym miasteczku Nur mówiły o doszczętnie wymordowanej ludności żydowskiej. Typ fizyczny w okolicy, na co zwróciła moją uwagę pani Loda Zaleska, przypominał, że nie brakowało tu niegdyś i kolonistów niemieckich.

Pani Loda Zaleska i jej mąż Józef, zawsze gościnni, mieli trójkę dzieci. Pani Loda była małą, zgarbioną, krępą kobietą o przepięknych niebieskich

oczach. Starsza od męża o dobrych kilkanaście lat, długi czas rządziła domem. Pan Józef, wysoki i wybitnie urodziwy słynął jako miejscowy Casanova. Mimo jego niewierności małżeńskich, występowali jako zgrana para. Mówiono mi, że kiedy Loda pod koniec życia była już niedołężna, był jej oddanym pielęgniarzem.

Po drugiej stronie rzeki ciągnęły się najbardziej zapuszczone wsie. I tam Niemcy ukryli obóz zagłady w Treblince. Tam też dojeżdżały przez Małkinię z całej Europy transporty Żydów skazanych na śmierć.

Pani Loda czasem wspominała przede mną czasy okupacji niemieckiej. Ich dom sąsiadował z opuszczoną przez właścicieli chałupą.

– *Dzisiaj wieś im zazdrości* – mówiła Loda. – *Przechowali w czasie wojny żydowską rodzinę, która zabrała ich potem do swoich krewnych do Brazylii.*

Ale pani Loda nie wierzyła w powszechną dobroć ludzką. Kiedyś wróciła z wesela w pobliskiej wsi i z lękiem w oczach powiedziała mi:

– *Wydało się, panie Jurku, że w czasie wojny grabili Żydów. Panna młoda dostała kufer pełen bielizny i koronek. Nie wszyscy domyślali się, skąd to było. Ale ja pamiętam.*

Pamięć poszczególnych osad czy wiosek była pamięcią zamkniętą. Po wielu latach dowiedziałem się, że jedna z wiosek, ubogo wyglądająca, położona bodaj najbliżej Treblinki, niezmiernie się wzbogaciła na prostytucji i handlu z esesmanami i ukraińską obsadą Treblinki. Ale dopiero dzieci czy wnuki tych grabicieli, wyjeżdżając długo po wojnie do odległych miast, miały nie wiadomo skąd pieniądze na zakup mieszkań czy samochodów. Przeszłość wojenna była na zewnątrz otoczona zmową milczenia. Na wewnątrz wieś była podzielona na dwa obozy. Przyjezdni nie rozumieli przyczyn wrogości. Otóż jeden z głównych esesmanów miał kochankę, która była mężatką. Mąż młodej kobiety robił sceny. Zniecierpliwiony esesman zastrzelił go. Wieś na dziesięciolecia podzieliła się na krewnych zabitego i rodzinę niewiernej. A złoto ukryli zgodnie wszyscy.

Kiedy poznaliśmy się już lepiej, pani Loda zamyśliła się i powiedziała pokazując w stronę łąk za rzeką:

– Któryś z tych za rzeką był na pogrzebie pana ojca. Wie, kim pan jest. Czasy mogą być różne. Może pan pojedzie z nami w niedzielę do kościoła? Niech zobaczą pana na nabożeństwie.

Pojechałem.

Wiosną 1968 roku pani Loda napisała do mnie krótki list zapraszając na pół roku do Ołtarzy. List głosił: *Wiemy, że w Warszawie teraz niespokojnie. Niech pan może spakuje swoje książki i przeniesie się do nas na wieś. U nas spokój, to sobie pan przeczeka.*

Antysemicka nagonka w Warszawie jawnie przypomniała jej o czasach hitlerowskiej okupacji.

W inny sposób zareagował na „kampanię antysjonistyczną" mój przedwcześnie zmarły przyjaciel Jerzy Łojek (1932–1986), jeden z patronów polskiej prawicy. Wpadł wiosną 1968 roku do mieszkania mojej matki. Szedł prosto z Wydawnictwa PAX, gdzie dostał jakąś dużą zaliczkę, może za swoją głośną potem książkę „Dzieje pięknej Bitynki". Pisarzem był dobrym. A pieniądze miał poupychane po kieszeniach. Wyciągał je garściami i usiłował mi wcisnąć.

– Bierz, ja mam za dużo. A ciebie pewnie wyrzucą z pracy.

W Treblince byłem dwa razy. Pół wieku po wojnie. Zieleń wybujała na kościach pomordowanych. Zginęło tu prawie milion niewinnych. Kamienie z nazwami miejscowości, z których zwożono ludzi naznaczonych gwiazdą Dawida, pozostałości paleniska krematorium, ściana lasu. Pół wieku wcześniej w roku 1945 wyglądało tu inaczej. O tym, co się tu działo, opowiadał mi emerytowany major, który dowodził zaraz po wojnie kompanią ochrony terenu Treblinki. Ochrony głównie przed miejscową ludnością ryjącą ziemię w poszukiwaniu złota i kosztowności i bandytami udającymi partyzantów lub nieszczęśnikami, których głód zmuszał do rozbojów. Los chciał, że rok po rozmowie z majorem, daleko od Treblinki w miejscowości Liszna w Bieszczadach natknąłem się na rotmistrza, który przedstawił mi się jako partyzant walczący z „lubelską władzą" jeszcze w kilka miesięcy po zakończeniu wojny. Na tym samym terenie, niedaleko Kosowa Lackiego. Zestawiając wspomnienia majora

i rotmistrza zrozumiałem, że w oczach starego berlingowca właśnie partyzanci tego rotmistrza byli bandytami łupiącymi ludność w okolicach Treblinki. Pokrywały się daty i opisy.

Na nową bezkrytyczną mitologię „ludzi wyklętych" – tych, co z bronią w ręku walczyli z „czerwonymi rządami" po 1945 roku – krzewioną teraz w Polsce patrzę z dużą rezerwą zawodowego historyka.

35. Rok 1968: świadkowie odchodzą

Świadkowie umierają, dokumenty giną, wspomnienia blakną. Mój przypadek może drobny, ale nieschematyczny, nie został opisany do dzisiaj w żadnych kronikach historiografów. Dlaczego tyle osób go przemilczało? Z teczki moich starych dokumentów postaram się więc odtworzyć niektóre fakty, a zarazem mechanizmy minionej epoki.

Od roku 1964 byłem wykładowcą na Wydziale Historycznym Uniwersytetu Warszawskiego. 8 marca 1968 roku, dokładnie o wpół do dwunastej, wbiegłem do Pałacu Kazimierzowskiego, aby złożyć w dziekanacie egzemplarze mojej rozprawy habilitacyjnej dla recenzentów. Ostatnie tygodnie mozoliłem się nad jej wykończeniem wiele kilometrów od Warszawy, w Kazimierzu nad Wisłą. Nie miałem pojęcia, co dokładnie dzieje się w stolicy. Niewyspany i przemęczony, zbiegając po schodach Pałacu Kazimierzowskiego natknąłem się na studentów Irenę Lasotę i Andrzeja Zabłudowskiego. Lubiłem ich, znałem, ceniłem ich dysydencką działalność. Andrzej wykrzyknął: – *Zaraz będzie mityng. Chodź z nami*.

Ale ja przede wszystkim chciałem spać. Wiedziałem ogólnie, że chodzi o protest w obronie „Dziadów" Mickiewicza, których wystawiania w Teatrze Narodowym zakazano, i o przywrócenie na studia usuniętych z Uniwersytetu Warszawskiego dwóch dysydentów. Ale niezbyt przytomny odjechałem autobusem do domu i zbudziłem się dopiero późnym wieczorem. Kiedy następnego dnia zjawiłem się na wydziale, zrozumiałem, że ominął mnie udział w historycznych wydarzeniach.

8 marca o godzinie dwunastej rozpoczął się wiec studentów w obronie podstawowych swobód obywatelskich. Wiec przebiegał spokojnie, ale pod koniec został zaatakowany przez oddziały milicji i „aktywu robotniczego".

Demonstracje rozlały się po całym kraju. Hasła encyklopedyczne informują: *Marzec 1968 (8–23 marca) – kryzys polityczny zapoczątkowany demonstracjami studenckimi m.in. w Warszawie, Gdańsku, Krakowie, Łodzi i Poznaniu, brutalnie rozbitymi przez oddziały Milicji Obywatelskiej i Ochotniczej Rezerwy Milicji Obywatelskiej, tzw. aktywu robotniczego (ORMO).*

Do konfrontacji popychała frakcja ministra spraw wewnętrznych generała Mieczysława Moczara. W polskiej monopartii była to grupa nacjonalistyczna, antysemicka, populistyczna. Wojna sześciodniowa izraelsko-arabska dostarczyła im doskonałej pożywki do eliminowania starych funkcjonariuszy partyjnych, często pochodzenia żydowskiego, niezwiązanych na ogół z Izraelem. Ale ZSRR potępił Izrael i zerwał z nim stosunki dyplomatyczne. W ślad za nim uczyniła to Polska. Pretekst był doskonały. Polska kampania „antysjonistyczna" była po prostu popisem antysemityzmu. Akcje antysemickie cieszyły się poparciem dosyć szerokich kręgów polskiego społeczeństwa. Ale z drugiej strony nie brakowało i takich, którzy radowali się, że „nasi polscy Żydzi" rozgromili „sowieckich Arabów". I wreszcie, wielu Polaków czynnie wyrażało sprzeciw wobec podsycania antysemityzmu na ziemi, na której Trzecia Rzesza zorganizowała swe główne obozy zagłady.

Do protestów uczelnianych władze doczepiły etykietę „działań sjonistycznych", skrzętnie wyszukując studentów pochodzenia żydowskiego dla ilustracji „czysto polskich" działań rządzących. Hasła „przeciwko rewizjonizmowi i sjonizmowi" służyły przykręcaniu śruby kontroli autorytarnej całemu narodowi i eliminowaniu bardziej liberalnych działaczy partyjnych, takich jak na przykład minister spraw zagranicznych Adam Rapacki, który na żaden rasizm w Polsce przystać nie mógł. W wyniku „kampanii antysjonistycznej" zmuszono do emigracji z Polski około piętnastu tysięcy Polaków pochodzenia żydowskiego i Żydów, a także „Polaków polskiego pochodzenia". Ta ostatnia kategoria była nieliczna. Emigracja czy wyjazdy przeciętnych Kowalskich z Polski natrafiały, jak wiadomo, na wiele barier. Jeden ze znanych mi z widzenia na Krakowskim Przedmieściu w Warszawie obywateli pochodzenia

arystokratycznego znalazł sobie babcię Żydówkę i złożył podanie o wyjazd. Opowiadał o tym wykrzykując:

– *Dzięki niej będę mógł wyjechać. Kochana babcia Sara !*

Polska po 1968 roku na skutek zakrojonej na skalę ogólnonarodową akcji politycznej straciła wielu ludzi nauki i kultury, setki młodych i utalentowanych obywateli. Okryła się niesławą na długie lata.

Opuścili Polskę setkami i zaślepieni bądź świadomi budowniczowie stalinizmu. Korpus oficerski Ludowego Wojska Polskiego „oczyszczono" według ustaw norymberskich. Ale nie ludzie tak zwanej nomenklatury stanowili grupę dominującą. Członkowie Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej byli wśród emigrantów w mniejszości.

Wielu na marcu 1968 roku, zwłaszcza członków partii, zbudowało swoją karierę. W uczelniach było to bardzo widoczne. Niektórym wykładowcom nadawano na przykład tytuły docentów bez konieczności przejścia obowiązującej procedury habilitacyjnej. W środowisku nazywano ich, z jawną aluzją do hitlerowskich Niemiec, „volksdocentami" lub „marcowymi docentami". Pozytywne jest to, że zainteresowani i ich rodziny w życiorysach i nekrologach dziesiątki lat później przemilczają takie wstydliwe fakty.

Czytam nekrologi i śmieję się. Wiem, że to nie wypada. Ale przypomina się fraza z piosenki Georges'a Brassensa *Les morts sont tous de braves types* (Wszyscy zmarli to porządni faceci). Nie zamierzam zanurzać się w piekiełku rozliczeń personalnych, ale o niektórych, na szczęście nielicznych, kolegach historykach wiem, że korzystając ze sprzyjającej atmosfery intrygowali na potęgę na swoją korzyść. Budowali swoje kariery na pozbywaniu się konkurencji o „antysocjalistycznym nastawieniu" czy „niepolskich korzeniach". Nie czytałem i nie zamierzam czytać w archiwach donosów na mnie z czasów PRL. Ale to nie oznacza, że przynajmniej w kilku przypadkach nie wiem, kto na mnie donosił. Studenci uprzedzali mnie zresztą, że moje wykłady monograficzne o faszyzmach bywają nagrywane. Było to ułatwione z uwagi na możliwość ukrycia się w tłumie słuchaczy. Mam przed sobą starą listę obecności.

Niekiedy na wykłady stawiało się do stu osób. Wtedy odbywały się w większych salach, poza wydziałem.

Jarema Maciszewski, skądinąd utalentowany historyk, już jako kierownik Wydziału Nauki Komitetu Centralnego PZPR, przechodząc kiedyś obok sali, w której siedzieli moi seminarzyści, zauważył:

– *My dwaj mamy najliczniejsze seminaria na tym wydziale.*

Nie powstrzymałem się, by mu nie odpowiedzieć:

– *Ty wiesz, że u mnie dodatkowo głosują nogami przeciwko usuwaniu mnie z uniwersytetu.*

Do usunięcia wytypowano mnie i profesora Rafała Gerbera, starego komunisty, oraz nieco starszego mojego kolegę Jerzego Holzera. Kryterium wspólne było jedno: pochodzenie żydowskie. Ale ich ostatecznie pozostawiono na uczelni. To, że ktoś był katolikiem w drugim czy trzecim pokoleniu, nie miało większego znaczenia dla specjalistów z polskiego Rassenamtu – odpowiedniego referatu w polskim Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. Kryteria były jawnie rasowe. Szef tego tak zwanego referatu żydowskiego miał za sobą ćwierć wieku pracy w organach bezpieczeństwa publicznego. A po odsunięciu go od tych jakże „delikatnych szacunków rasowych" w wieku lat czterdziestu rozpoczął piorunująco szybką „karierę naukową". Doktorat dostał w 1967 roku, habilitację w 1970. W latach 1976–1980 był dyrektorem naczelnym Archiwów Państwowych, w latach 1980–1990 rektorem Akademii Spraw Wewnętrznych w Warszawie. Najgłośniejszym jego utworem była bzdurna książka o „sojuszu Izraela z NRF". Opisuję karierę człowieka, do którego przyznawały się kolejno wszystkie ekipy polskiej monopartii: przy Gomułce, Gierku i Jaruzelskim. Nazywał się Tadeusz Walichnowski. Jego kariera pokazuje ciągłość władzy i poglądów kolejnych rządzących Polską bez mała pół wieku.

Tego profesora – generała służb tajnych – po wprowadzeniu stanu wojennego mianowano członkiem Rady Naukowej Instytutu Historii PAN. Jako sekretarz (z wyboru) tej Rady mogłem przyjrzeć się bezgranicznej bezczelności pseudoprofesora. Podczas dyskusji na posiedzeniu rady nad

pracą mojej doktorantki o człowieku wyjątkowo czystych rąk, jakim był Karol Kuryluk (1910–1967), „odwilżowy" minister kultury w latach 1956–1958, Walichnowski zabrał głos, przedstawiając się jako jego dobry znajomy. Znałem Karola od moich przedszkolnych lat i oczywiście zaprotestowałem. Cóż mógł mieć wspólnego Kuryluk – Sprawiedliwy wśród Narodów Świata z antysemitą panem W.? Przynależność do organizacji komunistycznych łączyła ludzi bardzo różnych, zarówno z odmiennymi kodeksami moralnymi, jak i w ogóle bez żadnych zasad.

Profesor-generał był łasy na wszelkie odznaczenia i wyjazdy zagraniczne. Korzystał z tego, że PRL przez dziesięciolecia była uznanym państwem. Wymieniano protokolarnie odznaczenia i wyróżnienia. On dostawał francuskie czy bułgarskie. To, że za jego poduszczeniem wygnano z Polski tysiące ludzi za pochodzenie rasowe, nie docierało często do cudzoziemców. Przed nimi ówczesną Polskę reprezentowali ludzie tacy jak pogromca Uniwersytetu Warszawskiego, jego rektor w latach 1969–1980 Zygmunt Rybicki (1925–1989). Był on w latach siedemdziesiątych nawet przewodniczącym Komitetu Nauk Prawnych PAN. Słyszałem na własne uszy, jak na ogólnym zebraniu uniwersyteckiej organizacji partyjnej chełpił się gdzieś około 1969 czy 1970 roku usunięciem stu kilkudziesięciu pracowników naukowych za syjonizm i rewizjonizm.

Kiedy w roku 1968 zażądał na posiedzeniu Senatu wydalenia mnie z uniwersytetu, był jeszcze formalnie tylko prorektorem, musiał trochę się liczyć z autorytetami spoza nomenklatury rządzącej Polską. I wtedy na posiedzeniu Senatu światowej sławy uczony, dyrektor Instytutu Matematycznego, Stanisław Mazur, przedwojenny komunista i dobry znajomy mojej matki, zadał tylko krótkie pytanie:

– *Za co?*

Rybicki podobno wskazał na teczkę:

– *Tu są jakieś raporty.*

I przedłużono mi zatrudnienie na rok.

Taki ping-pong z przedłużaniem co rok mojego zatrudnienia trwał do 1975 roku. Co roku ktoś ze znanych ludzi nauki i kultury ujmował się za

mną. Z moich szefów czynili to profesorowie Aleksander Gieysztor, dyrektor Instytutu Historii czy Stefan Kieniewicz. Ten ostatni na jakimś etapie tej przepychanki sporządził o mnie obszerną opinię naukową, z której wynikało, że jestem całkowicie niegroźnym pożeraczem dokumentów, szczurem archiwalnym funkcjonującym poza światem rzeczywistym. Ale nie o moją domniemaną działalność polityczną troszczył się Rybicki. Usunięcie mnie stało się dla niego jedną ze spraw prestiżowych. Ujmowali się za mną co roku poza moimi plecami ludzie perswadujący, że *nie wypada usuwać jedynego syna człowieka tak zasłużonego dla kultury polskiej jak Jerzy Borejsza* (sformułowanie Osmańczyka). Dowiedziałem się nie od razu, że interweniował Jarosław Iwaszkiewicz, którego osobiście nigdy nie poznałem. Zabrał głos Julian Przyboś. Edmund Osmańczyk zmobilizował Wojciecha Żukrowskiego i Wilhelma Szewczyka do interwencji grupowej w mojej obronie w kuluarach Sejmu. Dowiedziałem się o tym od Osmańczyka po latach. Nikogo z nich o interwencję nie prosiłem. Czynili to z uwagi na mojego ojca.

Próbowałem przeczekać. W grudniu 1968 roku obroniłem rozprawę habilitacyjną. Temat wybrany na wiele miesięcy przed bojami o wystawienie Mickiewicza w Teatrze Narodowym okazał się nagle bardzo aktualny politycznie.

Rozprawę ogłosiłem w postaci książkowej pod tytułem: „Sekretarz Adama Mickiewicza". Pokazywała poprzez postać tegoż sekretarza Mickiewicza – Armanda Lévy'ego – związki wieszcza narodowego z masonerią, z utopijnymi socjalistami, wreszcie filosemityzm Mickiewicza. Samo motto książki, kiedy ukazała się w roku 1969, brzmiało prowokacyjnie. Był to cytat ze słynnego historyka francuskiego Jules'a Micheleta, który zwracając się do Polaków, powiedział zasadnie o Lévym: *Najwierniejszy z wiernych waszej sławnej ojczyzny*. Francuz, katolik ale według ówczesnych kryteriów ludzi rządzących Polską, Żyd z uwagi na pochodzenie rasowe, a do tego czołowy mason europejski „najwierniejszym z wiernych Polsce"? To była herezja. Dziwiono się, że cenzura przepuściła tę książkę. Zawdzięczam to życzliwości kilku osób,

w tym nieznanego mi cenzora, który oświadczył podobno prywatnie: *Rozumiem wydźwięk książki, ale nie zamierzam jej zatrzymywać. Odchodzę na emeryturę.*

Książkę zauważono i w Polsce, i za granicą. Miała wiele pochwalnych recenzji we Francji i w Izraelu. W 1974 roku dostałem za nią prestiżową Nagrodę Fundacji im. Kościelskich w Genewie. Powodzenie książki bynajmniej nie zwiększało moich szans uniwersyteckich.

Nie byłem działaczem opozycyjnym. Ale jak wielu innych znalazłem się na listach proskrypcyjnych. Na wiosnę 1968 roku razem ze wszystkimi kolegami dostałem wymówienie z Państwowego Wydawnictwa Naukowego, gdzie należałem jako najmłodszy do doborowego grona konsultantów serii popularnonaukowej „Omega". Seria ta była prowadzona przez Krzysztofa Pomiana na najwyższym poziomie światowym. Stała się łupem żony jednego z członków Biura Politycznego PZPR. Przeniesiona do innego wydawnictwa, szybko wytraciła swój poziom.

Podpis dyrektora, który rozwiązywał ze mną umowę, jest nieczytelny. Był to jeden z młodych więźniów Majdanka, oficer Armii Krajowej, którego mój ojciec w Lublinie wyłowił do pracy w „Czytelniku". W 1946 roku spędzał razem z moimi rodzicami urlop w Międzyzdrojach. Uczył mnie pływać. Kto i co zmusiło go, aby to właśnie on podpisał mi wymówienie?

Nie miałem do niego żalu. Jakim mechanizmem totalitarnego młyna go zmuszono? Nie wiem, ale w tym samym czasie obserwowałem przypadki ledwo znanego mi dyrektora z resortu finansów. Był niebieskookim blondynem o popularnym w Polsce nazwisku, podobno sierotą adoptowanym przez jakąś chłopską rodzinę. „Życzliwi ubecy" pojechali do jego parafii sprawdzać metrykę. Okazało się, że był adoptowanym dzieckiem żydowskim. Natychmiast zwolniono go z pracy. Musiał być dobrym specjalistą, bo zatrudniono go w jednym z sąsiednich krajów demokracji ludowej.

16 lipca 1968 roku złożyłem z dwutygodniowym opóźnieniem w wydawnictwie MON maszynopis biografii pułkownika powstania

styczniowego i generała Komuny Paryskiej Walerego Wróblewskiego. Redaktor przyjął maszynopis. Wyjechałem zaraz potem na wycieczkę ze studentami Wydziału Historycznego na Ukrainę i do Rumunii. Kiedy wróciłem w sierpniu, na klatce schodowej pod drzwiami mieszkania znalazłem paczkę, a w niej wszystkie egzemplarze maszynopisu. Paczka leżała na schodach kilka dni, mieszkanie było zamknięte, bo matka wyjechała na urlop. Do paczki dołączono list o rozwiązaniu umowy z uwagi na opóźnienie. Zażądano zwrotu zaliczki w trybie natychmiastowym. Podpisy tym razem były bardzo czytelne. Nie dziwiłem się temu. Pułkownik Edward Szpitel (niebawem generał) i pułkownik Stanisław Reperowicz należeli podobno do znanych zwolenników frakcji partyzanckiej Moczara. Ich pisma jako szefów wydawnictwa miały styl dostosowany do poglądów. Było im obojętne, że Stefan Kieniewicz – największy autorytet naukowy – pochlebnie ocenił mój maszynopis i że, wreszcie, ja jeden w Polsce dysponowałem kompletem nieznanych archiwaliów z Rosji i Francji o Wróblewskim.

Sprawa odbiła się pewnym echem w kręgu wydawców. Z „Czytelnika" zaproponowano mi:

– *Książkę wydamy my. Ale trzeba będzie odczekać kilka miesięcy, aby nie drażnić tych łobuzów z wydawnictwa MON.*

Pierwsze wydanie wznawianej potem książki ukazało się w roku 1970. Nosiła ona przejrzysty tytuł: „Patriota bez paszportu". Był to czas, kiedy tysiące ludzi uważających się za Polaków wyganiano z Polski, odbierając im paszporty.

Rok 1968 był dla mnie rokiem nadziei, dopóki demokratyzowała się Czechosłowacja. Miałem w Pradze i Bratysławie przyjaciół zaangażowanych w walkę o socjalizm o ludzkim obliczu. Liczyłem po trochu na to, że gdyby w Polsce uniemożliwiono mi pracę, znajdę ją w czeskiej Pradze.

21 sierpnia 1968 roku pozbawił mnie poczucia tego psychicznego komfortu. Wojska paktu warszawskiego wtargnęły do Czechosłowacji.

W grudniu 1968 roku uzyskałem habilitację. Pamiętam kolację, jaką uczciłem po obronie moich recenzentów: Stefana Kieniewicza, Henryka Wereszyckiego, Rafała Gerbera i dziekana Stanisława Herbsta. Siedzieliśmy w pustej sali Hotelu Europejskiego. Wereszycki, który dopiero co skończył lat siedemdziesiąt, przeszedł był na emeryturę, ale brylował pełen ognia bojowego. Podczas kolokwium habilitacyjnego zadał mi prowokacyjne na tamte czasy pytanie o rolę masonerii w dziewiętnastowiecznej Europie. Wydobyłem, oczywiście, pozytywne osiągnięcia tego ruchu, wspierającego dążenia narodowowyzwoleńcze Włochów, Niemców, Polaków, społeczeństw bałkańskich.

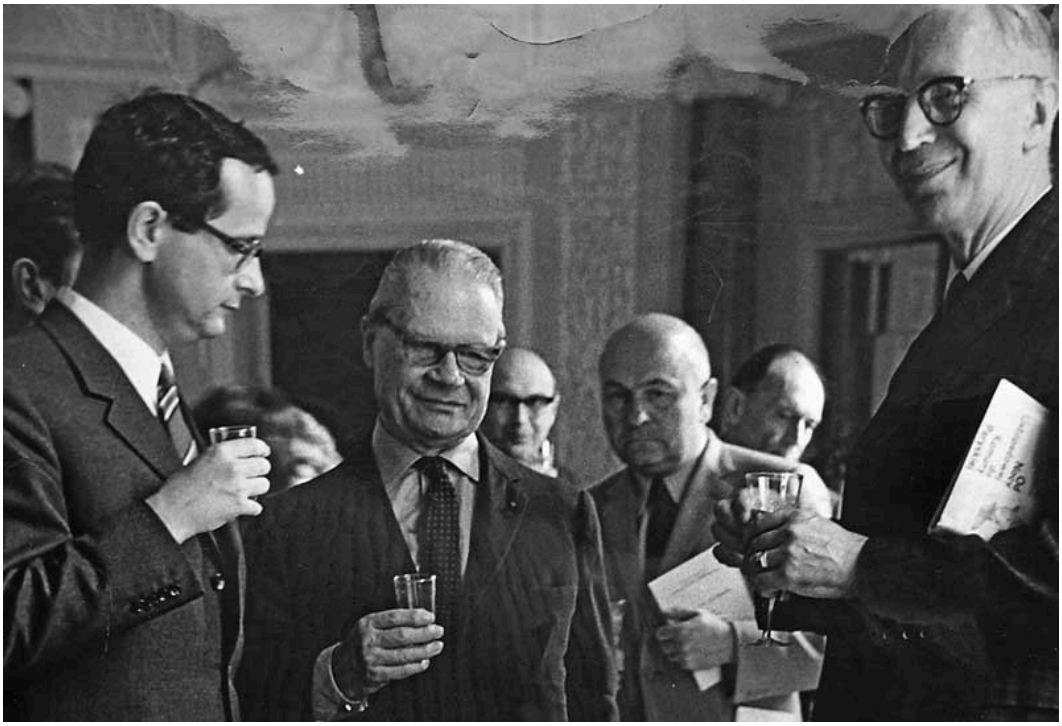

54. Podczas konferencji na Uniwersytecie Warszawskim rozmawiam z patronem francuskiej historii społecznej Ernestem Labroussem i polskim klasykiem Stefanem Kieniewiczem (1971).

Kiedy wyszliśmy po kolacji, odprowadzałem Wereszyckiego do hotelu nauczycielskiego na Powiślu. Nagle zatrzymał się pod pomnikiem Kopernika i zapytał:

– *Ale pan nie zamierza emigrować?*

– *Ani mi to w głowie.*

– *To dobrze* – odparł Wereszycki. – *Pan wie, że wojnę spędziłem w niemieckim obozie jenieckim. Kiedy nas wyzwolili Amerykanie, mój młodszy kolega, Adam Rapacki, z rodziny zasłużonej dla Polski, też pepeesiak, wahał się, czy warto wracać. Spytał mnie o radę.*

– *Ależ, kolego* – powiedziałem. – *Nie ma wahania. Kraj może popaść w niewolę. Ale kto będzie bronił kultury polskiej? Kultura polska!*

Po habilitacji nie otrzymałem przysługującej zazwyczaj nominacji na docenta. Przeniesiono mnie na etat starszego wykładowcy. Więcej obciążeń, mniej zarobków. „Docentów marcowych" dodatkowo zirytowało, że w imieniu Polski wygłosiłem zasadniczy referat o wojnie francusko-pruskiej 1870–1871 i Komunie Paryskiej na XIII Międzynarodowym Kongresie Nauk Historycznych w Moskwie w 1970 roku. Byłem w tej dziedzinie uznanym specjalistą, ale była to też cicha demonstracja. Wytypowano mnie nieprzypadkowo z inicjatywy Aleksandra Gieysztora i historyków francuskich. *Kto nas reprezentuje, za młody* – grzmiał na zebraniu jeden z karierowiczów w Wojskowym Instytucie Historycznym w Warszawie.

Rektor Rybicki zawziął się, żeby mnie usunąć z Uniwersytetu. Miał poparcie odgórne aż do sekretarza KC Andrzeja Werblana – ideologa czystek marcowych. Nękał mnie różnymi listami służbowymi. Od wiosny 1971 roku poprosiłem o urlop naukowy na wyjazd do Włoch. Otrzymałem stypendium Fundacji Luigiego Einaudi z Turynu. Zajmowałem się faszyzmem włoskim. Pozwolono mi wyjechać. Okazało się potem, że rektor liczył, iż z wyjazdu nie wrócę.

Latem 1972 roku dostałem w Rzymie wiadomość z Genewy, że powinowata królowej brytyjskiej Elżbiety II, Marie-Claude Erskine jest gotowa przekazać mi zbiór dokumentów i pamiątek po swoim przodku generale powstania styczniowego Józefie Hauke-Bosaku (1834–1871). Józef Hauke był poprzez rodzinę Battenbergów spokrewniony z dynastiami rządzącymi Europą. W kolekcji, poza rzeźbą dłuta Teofila Lenartowicza i pozłacaną szablą podarowaną pułkownikowi Hauke przez cara,

znajdował się bezcenny zbiór rękopisów obejmujący niemal cały XIX wiek, z listami Jana Henryka Dąbrowskiego, Wiktora Hugo, Giuseppe Garibaldiego i wielu innych znakomitości.

Stypendium włoskie dobiegało końca, ale dostałem miesięczne stypendium Institut des Hautes Études Internationales w Genewie, które miało mi ułatwić odebranie daru. Zwróciłem się z podaniem o przedłużenie o miesiąc urlopu naukowego. Poparł mnie mój szef Aleksander Gieysztor, poparł mnie specjalnym listem dyrektor Stacji Naukowej PAN w Rzymie Bronisław Biliński. Rektor milczał. Milczenie uznałem za przyzwolenie. Nie miałem wyjścia – nie mogłem dopuścić, aby taka kolekcja przepadła.

W początkach października 1972 roku rektor oznajmił publicznie, że ja, jak widać, do Polski już nie wrócę. Oznajmił na tyle głośno, że „zachęcająca wiadomość" dotarła do mnie. Ale jednocześnie inny telegraf bez drutu doniósł do Genewy, że mój częsty rozmówca, wybitnie uzdolniony uczestnik mojego seminarium, Antoni Macierewicz, równie publicznie odparł: – *Jurek nie ucieknie z urlopu naukowego. Na pewno wróci. Najwyżej potem oficjalnie wymówi pracę i wyjedzie.*

Ta wiara w mój kodeks etyczny znanego już dysydenta dodała mi otuchy w Genewie.

Od razu po moim powrocie Polskie Radio nadało w dzienniku porannym wiadomość o bodaj najcenniejszym wtedy dziewiętnastowiecznym zbiorze dokumentalnym, jaki dotarł z zagranicy do Biblioteki Narodowej w Warszawie. Ale lista proskrypcyjna działała. Wiadomość zdjęto natychmiast z anteny.

Przez następne lata rektor nękał mnie pismami, w których żądał ciągle wyjaśnień, jak to nie mając jego zgody pisemnej, pozwoliłem sobie na takie spóźnienie. I nic nie pomogło, że dyrektor Biblioteki Narodowej, dobry historyk i przyzwoity funkcjonariusz partyjny, Witold Stankiewicz podkreślał moje zasługi i publicznie mnie fetował.

Mechanizmy kontroli w państwie monopartyjnym działały: wrogów – nawet potencjalnych – należało tępić zawczasu. Nie byłem przecież

czynnym dysydentem. Ale pisałem i wykładałem prawdy historyczne niewygodne dla nomenklatury, nazywającej się socjalistyczną (komunistami nazywali siebie wtedy już nieliczni). Znany podówczas dziennikarz Bogdan Gotowski zwrócił mi uwagę:

– *Panie Jurku, opozycyjni studenci czytają pana artykuły w „Polityce" o tym, jak komunardom paryskim niesłusznie dopisał Marks, że stworzyli wzorzec dyktatury proletariatu, o tym, jak się u nas fałszuje historię, o tym jak sami faszyści zbuntowali się przeciw Mussoliniemu i obalili go. Studenci czytają i wyciągają wnioski. Pan świadomie czy nieświadomie buntuje.*

W roku 1973 brałem udział w wąsko specjalistycznym sympozjum polsko-węgierskim. Pierwszy dzień obrad grupy może dwudziestu osób odbył się w Malborku. Ja drugiego dnia w Gdańsku miałem mówić o wpływach faszyzmu włoskiego w krajach nadbałtyckich. Wszedłem wcześniej do audytorium i spostrzegłem w kącie trzy nowe twarze. Trzech tęgich mężczyzn w średnim wieku. Przyjaźnie zbliżyłem się i dosiadłem do nich.

– *Panów wczoraj nie widziałem?*

– *Przyszliśmy dać odpór temu Borejszy* – padła odpowiedź.

W tej chwili wywołano mnie na trybunę. Przybysze zorientowali się, że popełnili gafę i zniknęli. Nie byli to naukowcy. Musiałem być na jakiejś liście proskrypcyjnej z niezbyt jasnymi instrukcjami.

Dla moczarowców moje „zasługi patriotyczne" były obojętne. Tylko Jarema Maciszewski, podówczas pierwszy sekretarz Komitetu Uczelnianego PZPR, wyciągnął mnie pod koniec lata 1968 roku z budynku wydziału na dziedziniec uniwersytetu i boleśnie oznajmił:

– *Złożyłeś legitymację partyjną z powodu Czechosłowacji i mam nakaz usunięcia ciebie z Uniwersytetu.*

– *Kto ci powiedział, że złożyłem legitymację? To nieprawda.*

Bystry Jarema straszył i ostrzegał. Na swój sposób życzliwie.

– *No to dzięki Bogu nie muszę tego robić* – wyrzucił z siebie Jarema.

Po czym zaczynający swoją długą dwudziestoletnią karierę w aparacie partyjnym w ramach tak zwanej grupy nacjonalistycznej Jarema dodał:

– *Ty pisałeś książki patriotyczne jeszcze przed nami.*

Miał na myśli moją opasłą „Emigrację polską po powstaniu styczniowym", wydaną w 1966 roku.

Kiedy awansował na zastępcę kierownika, a później kierownika wydziału KC zatracał kolejne hamulce. Jego szef Werblan widocznie wpoił mu nowy kodeks. Ten znakomity wykładowca, którego posłuchać przychodzili nawet ludzie z miasta, brał teraz udział w usuwaniu ze stanowisk dziesiątków naukowców. Pamiętam lekarza, starego profesora z Akademii Medycznej w Białymstoku, syna legionisty Piłsudskiego. Tępiono go, bo wygrzebano mu żydowskie pochodzenie. Nie wytrzymał, po prostu płakał przy mnie. Interweniowałem u Maciszewskiego, którego ojciec był przecież znanym legionistą, oficerem Pierwszej Brygady. Nie kiwnął palcem w bucie. Mając takie pochodzenie, musiał jeszcze bardziej uważać. Miał pewne trudności w partyjnych awansach, musiał się lepiej zasłużyć niż inni. Żal mi jego zmarnowanych talentów historyka. W mojej bibliotece leży jego cenna „Szlachta polska i jej państwo" (1969) z dużą dedykacją, w której podziękował mi za inspirację do tej książki i zawarcie z nim umowy na nią w PWN (jeszcze zanim mnie stamtąd wyrzucili).

Z Maciszewskim mimo wszystko do 1975 roku rozmawiałem. W Rzymie w 1972 roku spotkaliśmy się w kawiarni. Komitet Uczelniany PZPR w tym czasie wykreślił mnie z listy członków partii – formalnie za niepłacenie składek. Maciszewski mówił jasno: jeśli chcesz zostać na uniwersytecie musisz choćby symbolicznie wpłacić po złotówce za zaległe miesiące. Etatu wtedy nie stracisz. Co do awansów, na razie nie ma mowy. Będziesz mógł wyjeżdżać za granicę i będziesz sobie pisał. Moja młoda żona – świadek rozmowy – która jako studentka zdążyła chyba w marcu 1968 roku oberwać jeszcze pałką na dziedzińcu uniwersyteckim od ORMO, była zszokowana. Jak dalece nie miało to niczego wspólnego z wartościami naukowymi czy moralnymi!

Po roku dalszej pracy na uniwersytecie zgłosiłem się do Maciszewskiego na rozmowę w budynku KC. Awansował. Powitał mnie na progu swojego sekretariatu okrzykiem: – *Rybicki się skarży, że go prześladujesz!*

– *Jeśli to ma być tonacja rozmowy, to szkoda czasu.*

Maciszewski ściszył głos. Zaproponował mi szklankę soku pomarańczowego. Prawdziwego, co było w tych czasach rzadkością dla zwykłego śmiertelnika.

Rozmowę ze mną zakończył znaczącym zwrotem:

– *Rozpatrzymy twoją sprawę kompleksowo*.

Wyszedłem z wielkiego gmachu KC. I dopiero na ulicy dotarło do mnie, że ten zwrot, modny w Polsce od lat siedemdziesiątych, miał zapewne oznaczać dalsze próby wyrzucania mnie z uniwersytetu.

W roku 1974 z pomocą pospieszył mi Związek Radziecki. Mój kolega ze studiów, Aleksander (Sasza) Rogow, namówił wpływowego profesora z Radzieckiej Akademii Nauk, Władimira Wołkowa, aby zaprosił mnie na wykład o faszyzmie włoskim do Moskwy. Sasza był bezpartyjny, bardzo inteligentny, świetnie mówił po polsku, na wakacje jeździł czasami do benedyktynów do Tyńca, zajmował się średniowieczem rosyjskim, architekturą i malarstwem cerkiewnym. Czasem zaznaczał, że jest prawosławny, wierzący. Jak z tym było, nie wiem. Pijący mocno był na pewno. Dowiedziawszy się o moich kłopotach etatowych, zorientował się, że imienne zaproszenie dla młodego badacza może poprawić moją sytuację. Takie wskazanie palcem, że „tego właśnie chcemy widzieć", było ówcześnie rzadko praktykowane. Zazwyczaj zapraszano ogólnikowo „przedstawicieli" tych lub innych specjalności.

Sasza znał dobrze klawiaturę totalitarnego fortepianu. Jego szczególna sytuacja polegała na tym, że był synem czczonego polityka, który zmarł wprawdzie w 1949 roku, ale pozostawił rodzinie mieszkanie w pobliżu Kremla i legendę człowieka zasłużonego dla radzieckiej ojczyzny. Iwan Wasilewicz Rogow (1898–1949), ojciec Saszy, był w stopniu generała zastępcą słynnego i po dziś dzień czczonego w Rosji admirała Nikołaja Gierasymowicza Kuzniecowa (1904–1974) – człowieka, który wbrew

zaleceniom Stalina po cichu przygotował Flotę Bałtycką do wojny z Trzecią Rzeszą. Odkomenderowany przez Stalina do nadzorowania Kuzniecowa generał Rogow stał się jego lojalnym zwolennikiem i pomocnikiem. Znany ze srogości, nazywany był Iwanem Groźnym. Nic więc dziwnego, że korzystając z radzieckiej chwały ojca, Sasza mógł sobie pozwolić na wiele. Liczył, że referat dla znakomitości Radzieckiej Akademii Nauk i to, że właśnie w roku 1974 wydano w radzieckim Wilnie tłumaczenie mojej książki o Wróblewskim na język litewski, polepszy moje szanse warszawskie.

Nadzieje okazały się płonne. Donosiciele w Moskwie potraktowali mój referat jako wykazanie podobieństwa między faszyzmem włoskim a ZSRR Breżniewa. Prawdą było, że sala często się śmiała podczas mojego wykładu. I odtąd aż po rok 1991 nikt mnie do ZSRR ani nie zapraszał, ani nie wysyłał. Maciszewski wyburczał mi na wydziale, że z Moskwy dali sygnał, aby mnie więcej nie puszczać. Na ile było to prawdziwe, nie wiem. Ale prawdą jest, że bodaj jedynego wtedy poważnego w ZSRR badacza faszyzmu włoskiego, Borysa Remowicza Łopuchowa, publicznie tępiono za jego prawdziwe opisy tego, że włoska klasa robotnicza popierała faszyzm. Rzecz jasna, według schematu klasa robotnicza (czytaj po marksistowsku: proletariat) mogła walczyć tylko o jeden ustrój: o socjalizm typu radzieckiego.

Rektor Rybicki trwał w uporze, aby mnie usunąć. Każdy chwyt był dobry. Posunął się do tego, że którejś wiosny oświadczył na Senacie, że w moim przypadku nie jest to sprawa polityczna, lecz obyczajowa: uganiam się za studentkami. Kolega, z którym dzieliłem pokój w Instytucie, poczciwy Józef Ryszard Szaflik, wrócił przygnębiony z posiedzenia Senatu. Oskarżenie było wyssane z brudnego ubeckiego palca. W tym czasie naszedł mnie w biały dzień w moim pokoju uniwersyteckim oficer SB, dopytując, dlaczego wałęsam się z jakąś młodą panienką po cudzoziemskich ambasadach. Dotyczyło to spotkań z moim przyjacielem z włoskiej ambasady, znanym później ambasadorem w wielu państwach i pisarzem, Paolo Gallim. Przestraszony wykrztusiłem:

– Chyba nie macie panowie kartoteki na bieżąco. Panienka jest moją ślubną żoną.

A Szaflikowi powiedziałem:

– Z tymi panienkami to bzdura. Zdradzę ci, Józiu, między nami, że jestem impotentem.

Jakiś diabeł wiosenny mnie podkusił. Dla poważnego docenta, jakim był Józio, był to argument. Informacja się rozeszła. Po miesiącu dopadł mnie trzeci lokator naszego pokoju, mój przyjaciel, już uczony o dużej renomie, historyk cerkwi i były więzień sowieckiego łagru, Andrzej Poppe. Znany raptus, huknął na mnie:

– Cio się wygłupiaś? Ciały wydział o tym plotkuje!

Nasz raptus lekko seplenił.

Moja sprawa, drobna na tle morza prawdziwych ludzkich nieszczęść po 1968 roku, ciągnęła się wiele lat. Czytając dzisiaj zachowaną przeze mnie teczkę dokumentów z tego czasu, mimowolnie odtwarzam niektóre trybiki, jakie kręciły się w tym systemie. Widzę siebie jako pieniacza za wszelką cenę pragnącego utrzymać się na uniwersytecie, a na dodatek niezbyt skłonnego do małych kompromisów, które mogły w tym pomóc. Któregoś dnia na korytarzu Pałacu Kazimierzowskiego stał jeden z moich dziekanów i rozmawiał z Rybickim. Zauważył mnie i przerwawszy rozmowę, podbiegł do mnie:

– Chodź, przedstawię cię Rybickiemu, podasz mu rękę i będzie po sprawie. – Pamiętam jak dzisiaj, że odpowiedziałem:

– Za wysokie progi na Jacka Soplicy nogi.

Nie podszedłem. Rybicki to widział i wiedział. Nie byłem w stanie podać ręki człowiekowi, który wyrzucił z uniwersytetu mojego przyjaciela od dzieciństwa, Krzysztofa Pomiana. O tym pomyślałem wtedy, nie o wielkiej polityce.

Co roku pisałem interpelacje, protesty. Większość kolegów i zwierzchników zachowywała się przyzwoicie. Dwóch tylko niejawnie popychało moje usunięcie z wydziału. Niech im ziemia lekką będzie. Nie

wymieniam ich nazwisk. W ich nekrologach pomieszczono jawne nieprawdy. Nie byli antysemitami, byli po prostu karierowiczami bez nadmiaru skrupułów. Szkodzili ludziom, ale dzisiaj nie mogą się bronić.

Nie było reguł. Czasem od wszelkich niewygodnych rozmów na temat mojego etatu ręce umywali bezpartyjni wykładowcy. W przepychanki o moje zatrudnienie angażował się za to nieraz, wtedy jeszcze członek PZPR, Andrzej Poppe.

Leży przede mną pismo Instytutu Historycznego z 8 lipca 1975 roku, podpisane przez zawsze przyzwoitego Antoniego Mączaka i kontrsygnowane przez broniącego mnie sekretarza organizacji wydziałowej PZPR profesora Stanisława Piekarczyka. Oto jego treść:

Ob. dr hab. Jerzy Borejsza

Wielce Szanowny Panie Doktorze,

W odpowiedzi na zapytanie uprzejmie donoszę, że kontynuowanie przez Pana seminarium i wykładu monograficznego z zakresu najnowszej historii Europy Zachodniej i ruchów faszystowskich dla studentów historii U.W. Instytut uważa za niezbędne. Wynika to zarówno ze znaczenia naukowego i politycznowychowawczego tej tematyki, jak też ze znacznego zainteresowania nią studentów, nie tylko zresztą lat wyższych.

Jednocześnie informuję, że prof. dr Aleksander Gieysztor jako dyrektor Instytutu wystąpił 16.12.1974 do Dziekana Wydziału Historycznego U.W. z prośbą o rozważenie sprawy wszczęcia postępowania mającego na celu przyznanie Panu – w sześć lat z górą po habilitacji – tytułu naukowego profesora nadzwyczajnego.

Łączę wyrazy szacunku,

Z-ca Dyrektora Instytutu Historycznego UW, Prof. dr Antoni Mączak

Prof. dr Stanisław Piekarczyk

Mówienie, choćby po cichu, o profesurze dla mnie musiało dodatkowo zirytować Rybickiego. Zwróciłem się listownie o rozmowę w sprawie mojego etatu do sekretarza KC Andrzeja Werblana, głównego ideologa Marca odpowiedzialnego za czystki. Do rozmowy nie doszło, ale kiedy

w pierwszych dniach października 1975 roku przyszedłem na wydział, moje biurko było wysunięte z pokoju na korytarz. Wpadłem do dziekana Henryka Samsonowicza:

– *Co się dzieje?*

– *A to pewnie woźny się pomylił.*

W pokoju sposobiła się już bezmyślnie do urzędowania na moim miejscu znacznie starsza ode mnie pani profesor.

– *A nie wiedziałam, że pan tam siedział.*

Pomyłka wynikła z tego, że władze z KC PZPR z Rybickim i z sekretarzem PAN uzgodniły ustnie odłączenie mnie od kontaktów ze studentami i przeniesienie do Instytutu Historii PAN. Na tym polegała widocznie odpowiedź Werblana.

Nie poinformowany bądź po prostu uczciwy prorektor Władysław Rodewald (chemik) 20 listopada 1975 roku pisał oficjalnie do dziekana Wydziału Historycznego:

W związku z nieuregulowaniem do dnia dzisiejszego sprawy przeniesienia Ob. dr hab. Jerzego Borejszy z Uniwersytetu Warszawskiego do Polskiej Akademii Nauk, uprzejmie proszę Obywatela Dziekana o zajęcie stanowiska w wyżej wymienionej sprawie.

Jednocześnie informuję, że do chwili obecnej nie otrzymałem zgody zainteresowanego, jak również stanowiska Dyrektora Instytutu.

PROREKTOR

Prof. dr Władysław Rodewald

Nie wyraziłem nigdy zgody na usunięcie mnie z Uniwersytetu Warszawskiego. Więcej: napisałem protest do rektora.

Jeden z moich pozauniwersyteckich przyjaciół załatwił mi rozmowę z superpartyjnym dyrektorem departamentu, któremu podlegały uniwersytety. Ten mnie uprzejmie poinformował, że decyzja jest

nieodwołalna. Ze łzami w oczach odwróciłem się do okna. Straciłem panowanie nad sobą i wybuchnąłem:

– *Ten faszysta Rybicki odpowie kiedyś za to.*

Za moimi plecami rozległ się spokojny głos:

– *Wiem o tym.*

– *Teraz już nie będę się krępował w informowaniu korespondentów „Le Monde" i innych czasopism.*

– *To co mogę zrobić dla pana?*

– *Przynajmniej utrzymać mi seminarium magisterskie.*

Dyrektor S. załatwił to.

Moje związki z Uniwersytetem Warszawskim ostatecznie zakończyło pismo zastępcy dyrektora Instytutu Historycznego z 2 października 1978 roku, w którym zawiadomił mnie, że zamyka się moje seminarium magisterskie. To już nie była inicjatywa odgórna, ale oddolna sygnatariusza tego listu.

Leżą przede mną różne „listy rehabilitacyjne" „Solidarności" i Uniwersytetu Warszawskiego z 1981 roku, informacja „Kuriera Polskiego" z tego czasu, że usunięcie mnie z UW było karą za treść moich wykładów o faszyzmie. Henryk Samsonowicz jako nowy rektor czynił w swoim piśmie do mnie aluzję do ponownego zatrudnienia. Ale po krótkiej chwili wolności nadszedł stan wojenny i następne osiem lat.

Ćwierć wieku później, w związku z jubileuszem Wydziału Historycznego, jeden z moich ulubionych studentów z lat siedemdziesiątych, a dziekan w 2005 roku, Włodzimierz Lengauer, przysłał mi list:

Pragnę przekazać Panu Profesorowi swoje wyrazy żalu, że nie jest Pan pracownikiem Wydziału Historycznego Uniwersytetu Warszawskiego.

Znając sprawę usunięcia Pana z Uniwersytetu Warszawskiego w roku 1975 stwierdzam, że w pełni solidaryzuję się z pismem profesora Henryka Samsonowicza, ówczesnego Rektora UW, z 4 maja 1981 roku.

Mam nadzieję, że po roku 1989 znalazł Pan Profesor pełne możliwości realizacji zawodowej i odniósł wiele satysfakcji także z pracy dydaktycznej.

W Rosji tego rodzaju zakończenie nazywa się rehabilitacją nie pośmiertną, lecz przedśmiertną. Czas już najwyższy wydać księgę żywych i zmarłych, dokładny spis tych, których utracił Uniwersytet Warszawski w następstwie wydarzeń marcowych. Świadkowie odchodzą. Patrzy na nich w galerii rektorów w Pałacu Kazimierzowskim Zygmunt Rybicki. Już tylko z portretu.

Historia płata złośliwe figle. W grudniu 2012 roku na otwartą dyskusję w moim konwersatorium w PAN nad najpoważniejszą polską biografią Stalina zjawił się jako ekspert były sekretarz KC, blisko dziewięćdziesięcioletni Andrzej Werblan. Po zakończeniu dyskusji osobiście podziękował mi za możliwość wzięcia w niej udziału.

36. Strasburg 1959

W listopadzie 1959 roku promotor mojej rozprawy doktorskiej umieścił mnie na liście stypendystów do Francji. Na trzy miesiące do wysoce prestiżowej École des Hautes Études en Sciences Sociales w Paryżu. Po drodze miałem wykorzystać miesięczne stypendium centrum dziennikarskiego przy uniwersytecie w Strasburgu. Była to moja pierwsza podróż na Zachód. Pociąg jechał po zmroku przez jasno oświetlone miasteczka i osady Niemiec Zachodnich. Po ciemnych obszarach europejskiego Wschodu było to mocne wrażenie. Na światła zaraz po przejechaniu granicy Republiki Federalnej nałożyły się dźwięki miarowo bijącego dzwonu z wieży małego kościoła. Pół wieku później jeszcze czasem je słyszę.

Z duszą na ramieniu dotarłem do Strasburga. Był bogaty, reprezentacyjny, gęsto nasycony historią, pełen polskich śladów, które znalazłem i opisałem. Na wieży katedry strasburskiej widniały jeszcze wydrapane nazwiska polskich generałów i oficerów z powstania 1830 roku, szukających schronienia we Francji. W archiwach departamentalnych leżały podania Adama Mickiewicza i dziesiątków polskich emigrantów. Monarchia Ludwika Filipa obawiała się Polaków – nosicieli fermentu rewolucyjnego. Każdy musiał uzyskiwać oddzielne imienne zezwolenie na wjazd do Paryża.

Prodziekan, Francuz starej daty, na powitanie wtrącił w rozmowie jakby przypadkiem: – *Proszę uważać na osoby o sztucznych nazwiskach*. O bardziej przejrzystą aluzję było trudno. Młody opiekun sporej grupy cudzoziemców nosił nazwisko „Przyjmowalski" (Receveur). W naszej grupie była przepiękna dziewczyna z Madagaskaru, pozornie dziennikarka. Spotkałem ją później w Paryżu w niejasnych okolicznościach, ale od

początku i chyba słusznie podejrzewałem, że współpracowała ze służbami nadzorującymi cudzoziemców. Oczywiście nie takimi szczeniakami jak ja.

Były to czasy zimnej wojny. Kolega z ZSRR też nie budził za grosz zaufania. Wyraźnie dodatnio rysowali się najstarsi wśród nas dwaj Jugosłowianie, niewątpliwie ludzie piszący. Jeden z nich brał chyba udział w wojnie domowej w Hiszpanii. Wśród Polaków rej wodził mały, życzliwy ludziom, żywy i prostolinijnie dowcipny Henryk Frydlender (1918–2003).

Syn żydowskiej rodziny z Lubelskiego. Jak pisał potem o nim w nekrologu znany dziennikarz Marek Rapacki: *W drugiej połowie lat 30. zeszłego wieku zaczął studia prawnicze w Warszawie, ale nie potrafił się pogodzić z ONR-owskimi rozróbami i numerus clausus na Uniwersytecie, więc poprosił ojca o pieniądze na wycieczkę do Paryża, na Wystawę Światową, i już nie wrócił. Rodzice na próżno starali się ściągnąć go z powrotem – czuł, że zanosi się na coś okropnego: to on błagał rodziców i siostry, żeby do niego dołączyli. Ostatnie listy wymienili w sierpniu 1939 roku. Rodzice i dwie z trzech jego starszych sióstr zginęli w Treblince, trzecia siostra z mężem – w Bełżcu.*

Mierzący mniej niż sto sześdziesiąt centymetrów Henryk zgłosił się do polskiego wojska we Francji i popłynął w 1940 roku bić się z Niemcami pod Narvikiem. Potem był we francuskim ruchu oporu. Związał się z komunistami. Był po wojnie redaktorem polskiej gazety, która namawiała Polaków z Francji, aby wracali podnosić kraj z gruzów i budować Polskę Ludową; nie szczędził krytyki kapitalistycznej Francji.

W największym natężeniu zimnej wojny, około roku 1950, został wraz z innymi komunizującymi Polakami wyrzucony z Francji. Po powrocie do Polski zaczął wątpić, czy o taki kraj i o taki ustrój walczył. W tym momencie poznałem Henia. Zawdzięczam mu wprowadzenie w wiele realiów Francji. To on ściągnął na spotkanie ze mną studenta chemii w Strasburgu Georges'a Brama, który stał się moim najlepszym przyjacielem na całe pół wieku.

Henio w hotelu w Strasburgu dzielił duży pokój i łoże małżeńskie z innym polskim dziennikarzem dość dużej postury. Ten zaledwie kilka lat później objawił się nieoczekiwanie jako zwolennik nacjonalistów spod

znaku Mieczysława Moczara. Henio spotykając mnie w Warszawie, powtarzał:

– *No i popatrz: jak to człowiek nigdy nie wie, z kim śpi.*

Sfrancuziały Henio miał dosyć polskich faszystów i nacjonalistów. Pisał jeszcze do marca 1968 roku w tygodniku „Dookoła Świata", ale nie miał złudzeń, że w jego otoczeniu roi się od donosicieli. Wymieniał ich głośno z nazwiska. Pozbawiony pracy zdecydował się na powtórną emigrację. A pewien korzystający z państwowego antysemityzmu tępicieli Henia objawił się w 1980 roku jako zasłużony dysydent.

Do mieszkania Henia przybiegł w 1968 roku jeden z kilku najbardziej znanych moczarowskich dziennikarzy, aby go przekonać, że nie musi wyjeżdżać (mieszkanie stanowiła kilkunastometrowa klitka bez łazienki, tylko z umywalką, w odległej robotniczej dzielnicy Warszawy).

– *Henryku, ty, najbiedniejszy Żyd Warszawy, nie musisz emigrować* – wołał herold Moczara.

– *Nie będę, Ryszardzie, pod jednym dachem z faszystami.*

No to się zemścili. I mimo że Henryk prosił tylko o jedno: o pozostawienie mu polskiego paszportu, paszport mu zabrano.

Z prawem pobytu Henryka nad Sekwaną wcale nie było łatwo. Francuskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych piętrzyło przeszkody. Regulowało rachunki za „nielojalne zachowanie wobec Francji" w pierwszych latach powojennych, to znaczy za działalność na rzecz Polski Ludowej. A potem, kiedy już w latach siedemdziesiątych Henryk zamieszkał spokojnie w Paryżu, żył ubogo, przygarnięty na małej posadce w tygodniku „Le Nouvel Observateur".

Podczas pierwszej wspólnej kolacji w Strasburgu podszedł do mnie łysy pięćdziesięcioletni mężczyzna, wiceprzewodniczący Związku Dziennikarzy Izraela.

– *Powiedziano mi, że na liście jest jakiś Borejsza. Jeśli pan jest potomkiem Abrahama Goldberga, mam się przedstawić.*

Poczułem się zażenowany. O moim dziadku po mieczu wiedziałem niewiele. Dopiero tam w Strasburgu nieznajomy dziennikarz, Żyd pochodzący z Łodzi, zaczął mi objaśniać, jak ważną postacią był Abraham Goldberg (1880–1933), zmarły dwa lata przed moim przyjściem na świat.

– *Pana dziadek figuruje wśród założycieli naszego państwa. I z tego tytułu może pan otrzymać stypendium na studia.*

Było to dla mnie zupełnym zaskoczeniem. Podziękowałem podkreślając, że jako Polak nie czuję się w prawie zgłaszać po izraelskie stypendium. Ale po powrocie do Polski w 1960 roku zacząłem się interesować życiorysem Abrahama Goldberga.

To zaskakujące pojawienie się cienia nieznanego dziadka ojcowskiego przypomniało mi rodziców matki, u których mieszkałem jako pięciolatek. Zacząłem się zastanawiać, że matka nigdy nie mówiła, jak zginęli. A któregoś dnia o zmierzchu przed ratuszem w Strasburgu jakaś para starszych ludzi trzymających się za ręce stanęła i zaczęła mi się z dużej odległości uporczywie przyglądać. Nie widziałem dokładnie ich twarzy. Ale sylwetki wydawały się podobne do niewidzianych od lat dwudziestu dziadków. Miałem krótką chwilę wahania: A może ocaleli?

Ale opanowałem się, odganiając majaki.

37. Moi Niemcy

O siemnaście lat spędziłem w różnych okresach mojego życia poza Polską. Mogę pisać o moich Francuzach i mojej Francji, o moich Włochach i moich Włoszech, mogę pisać o moich Rosjanach i mojej Rosji. Będą to generalnie obrazy pozytywne i całościowe. W Niemczech spędziłem więcej czasu niż we Włoszech: osiem dni w NRD i ponad cztery lata w RFN, a później w zjednoczonym państwie niemieckim. Ale o ile komunikacja międzyludzka z Włochami i Francuzami pojedynczo i zbiorowo, czy z Rosjanami była dla mnie łatwa i prosta, o tyle mogę napisać o moich Niemcach, ale zwrot „moje Niemcy" byłby dla mnie trudny. Jako historyk czasów totalitarnych mogę mówić o moim widzeniu Trzeciej Rzeszy, jako badacz wieku XIX o moim obrazie Otto Bismarcka, Karola Marksa, Fryderyka Engelsa, Friedricha Lessnera czy Heinricha Heinego, niemieckiej emigracji politycznej po Wiośnie Ludów – o przyjaciołach i wrogach sprawy polskiej i Polaków.

Starałem się poznać kulturę niemiecką. A dzięki Fundacji Humboldta i różnym z jej wsparcia wynikającym kontaktom naukowym przemierzałem wielokrotnie ziemie niemieckie, doceniając krajobrazy, muzea, zamki i świątynie w różnych zakątkach tego jednego z sześciu najciekawszych dla mnie turystycznie krajów Europy. A jednak zbyt wielowarstwowe, sprzeczne i przeciwstawne są moje doznania, trudniej mi o empatię z przeciętnym Niemcem niż z przeciętnym Włochem. Nie sądzę, że dlatego, iż moi żydowscy przodkowie po ojcu pochodzili kiedyś z Hiszpanii, a studiowali we Francji, bliżej mi z tego powodu do kultur romańskich.

55. Jako stypendysta Alexander von Humboldt Stiftung w Kolonii.

Lwowianin czy „wilniuk", mieszkaniec Wielkopolski i Pomorza, obywatel Warszawy czy Krakowa patrzył na Rosjan bądź Niemców nie tylko z uwagi na większą czy mniejszą znajomość języka sąsiadów (zaborców, okupantów); poprzez ogólny pryzmat bliskości czy obcości, ale jednostkowo, odnosząc się do swoich własnych doświadczeń życiowych.

Pierwszymi Niemcami, jakich pamiętam, byli oficerowie kierujący od razu po wkroczeniu do Lwowa w 1941 roku (po obławie przy pomocy ukraińskich nacjonalistów) masową egzekucję Żydów w centrum miasta na ulicy Kopernika, naprzeciwko siedziby lwowskich literatów. W ogólnym zamieszaniu Niemcy wzięli niespełna sześcioletniego blond chłopię i jego

wyglądającą na Ukrainkę, mówiącą po ukraińsku i z austriackim akcentem po niemiecku, matkę za zabłąkanych przypadkowo przechodniów. Chodnikami wzdłuż jezdni uciekali jeszcze nieliczni świadkowie masowego mordu. Zepchnięte w podświadomość okoliczności tej drastycznej egzekucji opisałem w tej książce. Pamiętam je aż nadto dokładnie. Podobno z egzekucji ocaleliśmy tylko my dwoje. To przeżycie od pierwszego dnia na długo świadomie i podświadomie zaprogramowało mój stosunek do Niemców.

Około 1989 roku zaprosiłem moich berlińskich przyjaciół Gelfertów w Bieszczady. Hans-Dieter (poeta, pisarz i kierownik katedry literatury anglosaskiej w Wolnym Uniwersytecie Berlińskim) kiedyś nie wytrzymał i zapytał mnie podczas przebijania się przez zarośla na jednej z górek nad Liszną: – *Jak ty w ogóle ocalałeś?*

Moja odpowiedź była prosta: – *W dzieciństwie byłem blondynem, a poza tym nie miałem wyraźnej świadomości mojego żydowskiego pochodzenia.*

Na ulicy Smolnej, gdzie mieszkaliśmy do 21 czerwca 1944 roku, kwaterowało niemieckie wojsko. Mieszkaliśmy w dużym pokoju z łazienką w siedem osób: córki słynnego scenografa Wincentego Drabika z trzema synkami i ja z matką. Kiedyś kazano mi zabrać małego Jacka, młodszego ode mnie o trzy lata, na spacer. Przechodzący ulicą oficer lotnictwa dał malcowi cukierka. Kiedy tylko się oddalił, wytrąciłem Jackowi cukierek z piąstki i wkopałem do rynsztoka:

– *Nie wiesz, że Niemcy trują dzieci?*

Zrozumiał. Nie płakał.

Okres powstania przeżyliśmy w Międzyborowie pod Żyrardowem. Przesunęły się tamtędy niedobitki oddziałów powstańczych ścigane przez Niemców. Na warszawskich ulicach i pod Żyrardowem „moi Niemcy" mieli dla mnie jeden wymiar: zagrożenia, śmierci i trupów. W styczniu 1945 roku ofensywa radziecka wyzwoliła nas nieco bliżej Warszawy, w Jaktorowie. Świadomie podkreślam: wyzwoliła – takie było pierwsze odczucie naszego gospodarza Pawlaka, a nawet właściciela pobliskiego dworu i moje – małego chłopaka, nie mówiąc już o mojej matce. Dwaj kapitanowie

czerwonoarmiści stanęli u Pawlaka na kwaterze. Dali mi się pobawić pistoletem. Miałem już dziewięć lat i zapamiętałem słowa piosenki, którą jeden z nich – Ukrainiec – smętnie śpiewał w kółko:

A dieti sprosili, gdie papa –
pogib na giermanskoj wojnie.
(A dzieci spytały gdzie tata –
zginął na niemieckiej wojnie).

Drugi kapitan, masywniejszy, usiłował przerwać to niebohaterskie zawodzenie.

W Jaktorowie odnalazł mnie po prawie czterech latach niewidzenia ojciec. Kiedy zobaczyłem w willysie trzech ludzi w polskich mundurach, nie bez trudu rozpoznałem ojca. Niebawem przeprowadził nas do Łodzi, gdzie początkowo mieściła się centrala tworzonego dopiero wielkiego podówczas koncernu – wydawnictwa „Czytelnik", któremu prezesował. Tam w Łodzi, nie potrafię już odtworzyć kiedy dokładnie, zobaczyłem długą kolumnę jeńców niemieckich ciągnących główną ulicą miasta – Piotrkowską. Zauważyłem kobiety, które wyskakiwały z tłumu stojących na chodnikach, aby spoliczkować jeńców. Ludzie łapali je i powstrzymywali.

Zamieszkaliśmy przy ulicy Przejazd w dużym mieszkaniu podobno po zarządcy młynów, oficerze SS, Kalinke. Uciekł z rodziną, zostawiając wszystkie rzeczy. W pośpiechu takim, że kiedy współpracownicy ojca zajmowali mieszkanie, to jak opowiadał Czesław Kulesza, były oficer AK i więzień Majdanka, w hallu stały jeszcze na stole talerze z zupą owocową. Został też między innymi sześciokątny mały stolik inkrustowany masą perłową w formie gwiazdy Dawida, jawnie zrabowany Żydom. Matka za przejęte „poniemieckie meble" poszła zapłacić do jakiegoś urzędu miejskiego. Pięćdziesiąt osiem lat później, przed śmiercią, przekazała mi kwit ze słowami: *zachowaj to, ja niczego nie rabowałam*. Zachowały się atlasy szkolne podpisane Ingeborg Kalinke. Natknąłem się na to nazwisko

ostatnio w gazetach współczesnych w relacjach o związku wypędzonych. To chyba tylko przypadkowa zbieżność nazwisk?

Zanim się skończyła wojna, ojciec jeszcze w mundurze majora I Armii Wojska Polskiego zabrał mnie na Śląsk swoim willysem. W pamięć wraził mi się jeden szczegół tej niezwykłej podróży. O wczesnej godzinie w chłodny poranek jechaliśmy przez puste ulice Opola. Na ulicach kręciły się tylko dzieci. Ojciec poprosił kierowcę (chyba był nim pan Witkowski), aby się zatrzymał. Zagadał coś do dzieciaków. Nie wiem, czy po polsku, czy po niemiecku.

– *One są głodne* – powiedział do nas. – *Masz mój deputat oficerski?* – zwrócił się do Witkowskiego. – *Dzielimy*. – Były to chleb, marmolada, „małpi smalec" (blady i bez skwarek) z przydziału od amerykańskiego sojusznika dla sowieckich towarzyszy broni.

Zaprotestowałem:

– *To są Niemcy*.

– *To są dzieci* – odparł ojciec. A potem, spojrzawszy na mnie sponad okularów dodał: – *Nie bój się, dla ciebie też starczy*.

Zrozumiał chyba, co może czuć dziecko, które spędziło wojnę pod okupacją niemiecką. Matka musiała mu już chyba za moimi plecami opowiedzieć o naszej gehennie okupacyjnej. O sześciu tygodniach w Buczaczu na Ukrainie, kiedy nie widzieliśmy na oczy chleba, żywiąc się tylko plastrami buraków cukrowych pieczonymi na płycie kuchennej.

Godzi się wspomnieć, że w owym okresie lwowsko-buczackim ratował nas jako rzekomy „wujek" łódzki włókniarz, dwujęzyczny Polak niemieckiego pochodzenia, członek socjaldemokracji niemieckiej, potem „Spartakusa" i wreszcie KPP – Adolf Capf. Jego bezbłędny niemiecki i „piękne imię" stanowiło nie lada ochronną barierę przed miejscowymi ukraińsko-polsko-niemieckimi kacykami, reprezentującymi w prowincjonalnym Buczaczu wielki Berlin.

Tak więc wiosną 1945 roku w Opolu pobrałem od mojego „czerwonego" ojca pierwszą lekcję internacjonalizmu, że wszyscy ludzie są równi i nie ma odpowiedzialności zbiorowej. Pamiętam jeszcze, że po wrocławskim

Światowym Kongresie Intelektualistów w Obronie Pokoju w sierpniu 1948 roku półgębkiem i niechętnie wspominał, że polscy mieszkańcy Śląska obrzucili kamieniami jadący na kongres niemiecki autobus, w którym siedziała Anna Seghers. I, wreszcie, już ciężko chory w latach 1949–1950 ojciec chętnie rozmawiał z Mazurami w Rucianem, gdzie mieszkał część roku, po niemiecku. A niemiecki był tam właśnie w tym czasie językiem de facto zakazanym. Można go było wyraźnie usłyszeć tylko wieczorem w parku, kiedy wychodzący z kina, nierozpoznawalni w ciemnościach, rozmawiali na głos po niemiecku. Nas, polską młodzież w wieku szkolnym, to oburzało.

Matka po wojnie doskonaliła swój niemiecki do celów zawodowych, ale nie pamiętam, aby kiedykolwiek przykładała się do proniemieckich lekcji internacjonalizmu. Jej rodzice, a moi dziadkowie, jej obie siostry i ich małe dzieci zostali zamordowani od razu po wkroczeniu Niemców do miasteczka Berezne na Wołyniu w sposób tak straszny, że oszczędzę tego opisu czytelnikom. Sam dowiedziałem się szczegółów dopiero, kiedy dorosłem. Nie byli komunistami, nie byli wierzącymi Żydami. Podpadali pod Rassengesetze. „Dzieła" dokonało zapewne jakieś Einsatzkommando.

Kiedy w roku 1978 mieszkałem z rodziną jako stypendysta Alexander von Humboldt Stiftung w Bonn-Bad Godesberg w pięknym domu fundacji, z jeszcze piękniejszym widokiem ze wzgórz na płynący dołem Ren, z moimi malutkimi dziećmi bawiła się nieraz wdowa po słynnym nobliście fizyku Wernerze Karlu Heisenbergu. O życiu współtwórcy mechaniki kwantowej i badaczu jądra atomowego w Trzeciej Rzeszy powstała, jak wiadomo, rozległa literatura. Podobno grzeszył głównie naiwnością wielkiego uczonego. Matka wiedziała dobrze, kim są nasi sąsiedzi. Pani Heisenberg i ją zapraszała z dziećmi na popołudniowe herbatki. Nie pytałem matki nigdy, o czym wtedy myślała. Ogródek pani Heisenberg widać było wyraźnie z tarasu naszego mieszkania, gdzie w ciepłe dni wiosny 1978 roku rozkładałem kserokopie dokumentów z archiwum Auswärtiges Amtu w Bonn z czasów Trzeciej Rzeszy. Powstała swoista przypadkowa konfrontacja. W dokumentach pojawiło się i nazwisko

fizyka, którego gestapo nieufnie obserwowało. Pytań na temat tego, czy jej mąż zdawał sobie sprawę, do czego podczas drugiej wojny można było wykorzystać jego badania, wytwornej pani Heisenberg nie zadawałem.

W 1978 roku mówiłem już po niemiecku, ale moja droga do języka niemieckiego i do Niemiec była długa. Do nauki niemieckiego zabrałem się późno, zmuszony badaniami historycznymi. Moimi kolejnymi prywatnymi nauczycielami byli dwaj byli oficerowie I Armii Wojska Polskiego: Mieczysław Hammer-Jarzyna i Henryk Godlewski. Ten ostatni – komunista – był cudem uratowanym więźniem oskarżonym w Polsce w czasach stalinowskich w procesach wojskowych. Henryk opowiadał mi, że aby nie zwariować od paranoicznych oskarżeń stalinowskich prokuratorów i wykpić je, czasem grali w więzieniu na korytarzach w grę „proces o kradzież korony Bolesława Chrobrego", dzieląc między sobą role.

Obaj moi nauczyciele dorabiali na życie lekcjami, pierwszy znał język niemiecki ze studiów w Wiedniu, drugi spędził młodość w Wolnym Mieście Gdańsku. Bardzo różni ludzie, ale obaj czarujący i kulturalni, potrafili wpoić mi początki języka zachodnich sąsiadów. Ale o żadnej poważniejszej znajomości niemieckiego nie mogło być mowy. Czytałem. I to mi wystarczało.

W roku 1970 na XIII Kongresie Nauk Historycznych w Moskwie wygłosiłem po francusku referat o wojnie francusko-pruskiej i Komunie Paryskiej. Po dyskusji podszedł do mnie profesor Gotthold Rhode i wyraził zdziwienie, że nigdy nie byłem w Niemczech. (Prawdę mówiąc: zupełnie świadomie nie miałem na to ochoty). Ten znany badacz – poznański Niemiec o skomplikowanej przeszłości – był dwujęzyczny. Nawiązał się kontakt naukowy, mieliśmy wspólnych znajomych. Różniły nas mocno poglądy polityczne, ale Rhode namówił mnie z czasem, abym stanął do konkursu o stypendium Fundacji Humboldta. Zajmowałem się już od dobrych kilku lat faszyzmem włoskim. Rhode zasadnie twierdził, że bez znajomości literatury naukowej i archiwów narodowego socjalizmu moja wiedza nie będzie pełna. W roku 1976 przyznano mi stypendium i wyjechałem najpierw na kurs językowy do Murnau via Monachium.

W pociągu na trasie Regensburg–Monachium znalazłem się sam na sam ze sklerotycznym siwym starcem, który bredził sloganami z czasów Trzeciej Rzeszy. Spotkałem kilku nieco podobnych, ale nie tak sklerotycznych, na zebraniu przedwyborczym Franza Josepha Straussa w Murnau, które odbywało się w jakiejś zamkniętej sali i dokąd bezprawnie wślizgnąłem się z przybyłą na kurs językowy francuską anarchistką z Sorbony.

Ale powoli Murnau i Monachium otworzyły przede mną zgoła inne Niemcy. Dla mnie patrzącego z boku były to często nie tylko różnice pokoleniowe, ale i geograficzne. Między rentierami z Murnau i Garmisch-Partenkirchen a mieszkańcami Berlina Zachodniego różnice w nastawieniu do przeszłości i do cudzoziemców były zasadnicze.

Ludzie z Institut für Zeitgeschichte (Instytutu Historii Współczesnej) w Monachium, do którego byłem przypisany, poczynając od Martina Broszata czy mojego bezpośredniego tutora Wolfganga Jacobsmeyera, byli przyjaznymi, wzorcowymi demokratami i antyfaszystami. Ich wysoki poziom naukowy i obiektywizm rzucał się w oczy, zwłaszcza że miałem skalę porównawczą – kilka lat spędzonych we Francji i we Włoszech.

W Murnau, kiedy intensywnie wzbogacałem mój niemiecki, zaczęły mnie nawiedzać mary przeszłości. Po nocach zwroty zasłyszane w dzieciństwie powracały, słowa z megafonów dworcowych z Krakowa, z ulic Warszawy. Bez ładu i składu. Słowa, których przez trzydzieści lat w ogóle nie pamiętałem. Ale nie trwało to długo. Po monotonii prasy PRL rzuciłem się chciwie na wolną prasę niemiecką.

Dwa pierwsze lata spędzone głównie w Monachium i w Bonn pod skrzydłami Fundacji Humboldta pozwoliły mi zrozumieć, że starzec z pociągu Regensburg–Monachium należy do wymierającej mniejszości. Poznałem znakomitych menedżerów Fundacji Humboldta, poczynając od Heinricha Pfeiffera, Thomasa Berbericha czy Dietricha Papenfußa. Papenfuß okazywał aktywne i niesłużbowe zainteresowanie badaniami polskiego stypendysty jeszcze wiele lat po zakończeniu mojego stypendialnego pobytu. Ilekroć przypominam sobie personel tej najlepiej chyba zorganizowanej fundacji europejskiej, tylekroć wiem, że mam

jeszcze dług do spłacenia: muszę skończyć moje studium książkowe o „ Cudzoziemskich partnerach Hitlera".

Zaprzyjaźniłem się w latach siedemdziesiatych „dożywotnio" ze znanym historykiem niemieckim, dzisiaj profesorem uniwersytetu w Oldenbourgu, zawsze agresywnie broniącym praw i prawd o ludziach z Europy na wschód od Niemiec – z Hansem Henningiem Hahnem. Podczas posiedzenia komisji podręcznikowej w 1978 roku polski współprzewodniczący obrad, znany ze swoich nacjonalistycznych ciągot i braku manier, słuchając świetnie wyuczonej polszczyzny ruchliwego bruneta, wypalił pod adresem Henninga, skądinąd syna kapitana Wehrmachtu:

– *Pan jest oczywiście polskim Żydem.*

Dziesięć lat później, pisząc przedmowę do polskiego wydania książki Henninga „Dyplomacja bez listów uwierzytelniających. Polityka zagraniczna księcia Adama Czartoryskiego 1830–1840", nie powstrzymałem się od jawnej dwuznaczności, nazywając go „emisariuszem księcia Adama nad Renem". Wiele osób wiedziało o jego zaangażowaniu w sprawy „Solidarności", które wspierał w Kolonii i gdzie indziej, a także o jego przyjaźni z Adamem Michnikiem.

Zaprzyjaźniłem sie z całą rodziną wspomnianego powyżej profesora i pisarza Hansa-Dietera Gelferta. Z nimi przyjaźń wielopokoleniowa trwa już ćwierć wieku: ich synowie przyjaźnią się z moimi. Poznałem ich dzięki mojemu starszemu synowi Aleksandrowi. Miał dziesięć lat, kiedy znając zaledwie kilkadziesiąt słów niemieckich, poszedł do szkoły w Berlinie-Wannsee. Tam zobaczyłem, jak świetnie potrafią funkcjonować komitety rodzicielskie (szczególnie w dzielnicy inteligencji i ludzi zamożnych, gdzie cudzoziemcy byli raczej rzadkością). Barbara Gelfert wzięła pod swoją opiekę mrukliwego Alka. Co wtorek po szkole wędrował do Gelfertów na swoje ulubione lasagne. I milczał, porozumiewał się raczej za pomocą gestów. Milczał cztery miesiące. Młodszy ośmioletni Karol poszedł do szkoły, w ogóle niczego nie kojarząc po niemiecku. Wychowawczyni

poleciła dla tego jedynego cudzoziemca nakleić na meblach i na przedmiotach kartki z nazwami, aby mógł się zorientować w abc języka.

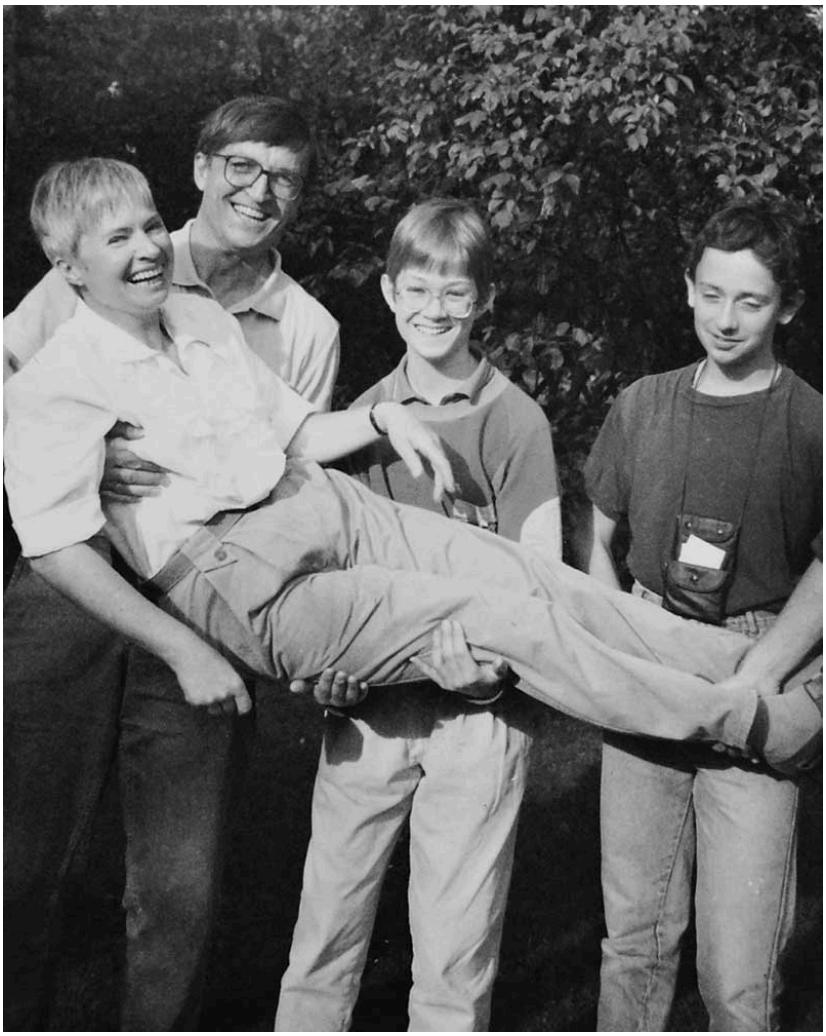

56. Przyjaźń wielopokoleniowa trwa już pół wieku. Nastoletni Aleksander z rodziną Gelfertów (Barbara, Hans-Dieter i Axel).

Dwie Niemki, matki kolegów Aleksandra, odciągnęły mnie na bok na lodowisku, na którym ślizgały się dzieci, i zaczęły perswadować, żebym nie dręczył moich synów, bo w ciągu roku języka nie opanują. A jednak wysiłkiem małych chłopców, nauczycieli, Gelfertów, opiekunów z Kindergarten i wielu osób twierdza została zdobyta. Po roku obaj zupełnie płynnie posługiwali się niemieckim z berlińskim akcentem.

Językowe przygotowanie chłopców uzupełniał już w Warszawie zamieszkały w Polsce od lat ponad trzydziestu Jürgen Hensel. Zimą 1990 roku profesorowie Uniwersytetu Karola i Ruprechta w Heidelbergu wylewali mi swoje żale, że nie pojmują, jak nagle mógł opuścić miasto jeden z najlepszych młodych doktorów historii – Jürgen Hensel, decydując się na funkcję łącznika i tłumacza w sensie dosłownym i przenośnym na ciernistej drodze polsko–niemieckiego pojednania.

Z okresu berlińskiego 1984–1985 pochodzi też moja znajomość z profesorem Wolfgangiem Wippermannem, wrogiem wszelkiej ksenofobii, oraz z dziennikarzem i historykiem, Jürgenem Schmädeke, człowiekiem o dużej tolerancji i wrażliwości. Jako sekretarz Historische Kommission zu Berlin, która gościła mnie półtora roku, był pomocny w wielu sprawach. Kilkanaście miesięcy po moim pobycie w Berlinie zawitał do Polski. Pojechaliśmy do moich znajomych gospodarzy na wieś niedaleko Małkini. Schmädeke poprosił mnie, abym zboczył nieco z drogi i zajechał do Treblinki.

Unikam zwiedzania obozów zagłady. Ale podjechałem na parking przy Treblince. Mój dziesięcioletni wówczas syn, idąc z nami ku obozowi, zobaczył szyny kolejowe obok szosy i – jak każde dziecko w podobnych okolicznościach – nieświadomy do czego służyły, zaczął po nich skakać ku obozowej rampie. Spojrzeliśmy po sobie z Jürgenem Schmädeke i obaj jednocześnie pobledliśmy.

38. „Śmieszne sto milionów Słowian”…

Taki tytuł nadałem mojej książce o poglądach Adolfa Hitlera na przyszłość Słowian w jego Europie. 6 sierpnia 1942 roku w luźnej rozmowie z kręgiem najbliższych współpracowników w swojej kwaterze Werwolf (Wilkołak) na Ukrainie, z której prowadził wojnę przeciwko całemu światu, powiedział jasno: *Pochłoniemy albo usuniemy śmieszne sto milionów Słowian*. I mordował ich milionami.

Na lata 1984–1985 gościnny ośrodek badawczy w Berlinie Zachodnim – Historische Kommission zu Berlin – ofiarował mi stypendium. Było to koleżeńską inicjatywą znanego badacza dziejów Szwecji i Słowiańszczyzny, Klausa Zernacka (1931–2017). Mój pobyt należało jakoś usprawiedliwić. Chyba Zernack podsunął temat „Hitler i Polacy”. Czytając dokumenty i opracowania, doszedłem do dosyć oczywistych wniosków. Austriak Hitler przez długi czas nie był czołowym polakożercą. Stawał się nim po pierwszej wojnie światowej, kiedy zamieszkał ostatecznie w Niemczech. Przejmował poglądy znacznej części społeczeństwa niemieckiego na „zacofanych Polaków”. Im dalej czytałem dokumenty, tym bardziej się potwierdzało, że zamierzał po zagładzie Żydów częściowo wymordować, a częściowo wysiedlić Słowian daleko na Wschód. Wrogiem numer jeden wśród Słowian byli Rosjanie, często utożsamiani przez führera Trzeciej Rzeszy z „judeobolszewią”; na liście do eksterminacji na drugim miejscu po roku 1939 znaleźli się Polacy.

Podjąłem mimowolnie temat nie tylko poglądów wodza, ale i całego narodu.

Robocze rezultaty moich badań przedstawiłem na sporym zgromadzeniu historyków niemieckich zwołanym przez Zernacka w Historische Kommission w Berlinie. Gospodarz nie był ze mnie

zadowolony. Oświadczył, że przedstawiłem narodowy, polski punkt widzenia. Tej opinii przeciwstawili się znany badacz nazizmu Eberhard Jäckel (1929–2017) i Hans von Herwarth (1904–1999), głośny dyplomata niemiecki. Obaj podkreślili, że historyków nazizmu można dzielić przede wszystkim według szkół interpretacyjnych, a nie narodowości. A mój dobry znajomy historyk berliński Wolfgang Wippermann powiedział mi bez ogródek w czasie przerwy w dyskusji:

– *Cóż chcesz. Mamy ogromne brzemię winy za Holokaust. Dodawać do tego antyslawizm? Prawie nikt się do tego nie garnie.*

Hans von Herwarth poparł mnie jako świadek historii, znający dobrze wschodnią Europę. Spędził prawie całe lata trzydzieste w Moskwie. Był sekretarzem ambasadora Friedricha von der Schulenburga. 24 sierpnia 1939 roku, chcąc zapobiec wojnie, przekazał zaprzyjaźnionemu dyplomacie amerykańskiemu Charlesowi E. Bohlenowi i jednemu z włoskich dyplomatów informację o rokowaniach niemiecko-sowieckich oraz pełen tekst tajnego protokołu do paktu Ribbentrop–Mołotow.

Natychmiast też w 1939 roku zaciągnął się do Wehrmachtu, aby uchronić się z innego zresztą powodu przed represjami. Mimo że wywodził się ze starego patrycjuszowskiego rodu z Augsburga, znanego już w XII wieku, mimo że dziadkiem jego był Heinrich Tiedemann, jeden z twórców arcygermańskiej Hakaty, von Herwarth miał pewną skazę według ustaw norymberskich: jego babcia była pochodzenia żydowskiego. Wojsko zabezpieczało go przed represjami. Został z kolei adiutantem generała Ernsta Köstringa, nadzorującego formacje ochotnicze złożone z narodowości ZSRR, między innymi Rosjan i Ukraińców. Von Herwarth był poniekąd mimo woli praktykiem antyslawizmu.

Wiele książek poświęcono Generalplan Ost, zaleceniom Hitlera, Himmlera i Heydricha dotyczącym gnębienia i eksterminacji Słowian. O znaczeniu podbudowy ideologicznej tych działań, jej upowszechnieniu w społeczeństwie niemieckim mówi się stosunkowo niewiele. Temat chętnie podjęli Francuzi na dużej konferencji o rasizmie, która odbyła się na Sorbonie. Mój tekst „Antyslawizm Adolfa Hitlera” wzbudził polemiczne

uwagi autora słynnego filmu „Shoah", pisarza Claude'a Lanzmanna (1926–2018), w tonie, że takimi tematami odwraca się tylko uwagę od Holokaustu. W podtekście dźwięczały już zarzuty o polskim antysemityzmie. Wyrastałem na jego przedstawiciela.

Przed oficjalną repliką powstrzymał mnie siedzący obok mnie znany historyk Pierre Vidal-Naquet (1930–2006):

– *Nie warto. To w tej chwili człowiek jednej idei. Będzie się sprzeczał.*

Po zamknięciu konferencji, już w wyjściu, na stopniach do gmachu Sorbony nie wytrzymałem i podszedłem do Lanzmanna:

– *Nie po to mój dziad Abraham Goldberg był wśród prekursorów państwa Izrael, aby pan mnie atakował jako polskiego antysemitę.*

– *A to co innego* – Lanzmann popatrzył na mnie zdumiony i lekko ugiął kolana… pewnie, aby uczcić mojego dziadka.

W 1989 roku na konferencji pod patronatem kanclerza Helmutha Kohla pokazywano nam Berlin w 50-lecie wybuchu drugiej wojny światowej. Siedziałem podczas objazdu w autokarze obok wytwornego starszego pana. Okazał się nim Erich Goldhagen, emigrant z Czerniowiec, znany profesor w USA i ojciec jeszcze bardziej znanego autora „Gorliwych katów Hitlera" – Daniela Jonaha Goldhagena. Daniel przypomniał i uświadomił szeroko w świecie prawdę historyczną o tym, że nie tylko Hitler i jego drużyna, ale znaczna część narodu niemieckiego czynnie popierała politykę podbojów, wiedziała o masowych mordach, ciągnęła korzyści z eksterminacji Żydów i innych narodów.

Do autokaru, którym jechałem z Goldhagenem starszym, dosiadło się czterech profesorów z Izraela w czarnych kapeluszach, spod których wypływały długie pejsy. Pewnie byli to chasydzi. Mój sąsiad powiedział im parę zdań w jidysz. Panowie podnieśli się ze swoich miejsc i unieśli kapelusze w moją stronę.

– *Co się dzieje, profesorze?*

– *Powiedziałem im, czyim jest pan wnukiem.*

57. Mój dziadek Abraham Goldberg, pierwszy z prawej, z braćmi Izraelem i poetą Menachemem.

Dziadek Goldberg pomagał nieraz sprawie polskiej. Na wiosnę 1993 roku jako dyrektor Stacji Naukowej Polskiej Akademii Nauk w Paryżu urządzałem obchody 50-lecia powstania w getcie warszawskim. W tym celu spotkałem się z przedstawicielami CRiF (Komitetu Reprezentacyjnego Instytucji Żydowskich we Francji). Byli niechętni występowaniu w naszych pięknych salach na rue Lauriston 74. Doszło do wywodów o legitymizowaniu polskiego antysemityzmu przez ich obecność. Dyskusję ucięła piękna, przedwcześnie zmarła pani Hélène Obadia, kustosz z Bibliothèque Nationale:

– *Opanujcie się, panowie. Napadacie na wnuka Abrahama Goldberga.*

Obchody odbyły się z udziałem ambasadora Izraela w Paryżu. Furorę wywołał jego ogromny czarnoskóry ochroniarz, Żyd z Afryki.

39. „Szanujcie wiek sędziwy!”

Ten okrzyk starego krokodyla Muggera z „Księgi dżungli” Rudyarda Kiplinga utkwił mi w uszach jako dziesięcioletniemu chłopcu. I po dziś dzień odzywa się echem: „Szanujcie wiek sędziwy!”.

Znany szeroko w świecie filozof, politolog i historyk Ernst Nolte (1923–2016) wydał, przekroczywszy granicę lat dziewięćdziesięciu, książkę wspomnień i komentarzy „Rückblick auf mein Leben und Denken” (Spojrzenie wstecz na moje życie i myśl).

Starszego ode mnie lat dwanaście badacza poznałem na jakiejś tłumnej konferencji około roku 1983 w Berlinie. Najpewniej było to w pięćdziesiątą rocznicę przejęcia władzy w Niemczech przez Adolfa Hitlera („Machtübernahme”). Nolte powiedział wtedy z trybuny, że Auschwitz należy wymieniać jednym tchem z Katyniem, gdyż są to zjawiska porównywalne. Zaprotestowałem, mówiąc, że Auschwitz należy porównywać z całym Archipelagiem Guług, a nie tylko ze zbrodnią katyńską. Nolte przyjął tę korektę. Równanie Auschwitz = Archipelag Guług pojawia się bardzo często w jego dziełach.

Rozgłos zdobył Nolte w wieku lat czterdziestu książką „Der Faschismus in seiner Epoche: die Action Française, der italienische Faschismus, der Nationalsozialismus” (Faszyzm w swojej epoce: Action Française, włoski faszyzm, narodowy socjalizm). Przetłumaczono ją na wiele języków. W dziele tym Nolte analizował powiązania skrajnej prawicy francuskiej z faszyzmem włoskim i narodowym socjalizmem, ich cechy wspólne. Książka Noltego zachęciła mnie do zajęcia się oddziaływaniem faszyzmów zachodniej Europy na pokrewne ruchy wschodnio- i północnoeuropejskie. Z tej inspiracji powstała moja książka „Rzym a wspólnota faszystowska” (1981), przetłumaczona równocześnie na język włoski.

„Faszyzm w swojej epoce" pokazujący zagrożenie naszego świata poprzez łączenie sił skrajnej prawicy, faszystowskich populistów i nazistów, spotkał się z uznaniem ludzi lewicy. Ale Nolte uzyskawszy renomę na lewicy, zaczął szybko weryfikować swoje poglądy. Negatywne reakcje wywołały w nim ruchy studenckie 1968 roku w Europie Zachodniej. Rozwinął teorię, że narodowy socjalizm i program Hitlera były li tylko odpowiedzią na działania bolszewików, na Rosję sowiecką, na ZSRR.

Całkowita zmiana poglądów Noltego jest wynikiem nie tylko poszukiwania prawd historycznych, ale i ludzkich, rodzinnych emocji.

W latach 1984–1985 przebywałem czas dłuższy w Berlinie Zachodnim jako stypendysta jednego z tamtejszych instytutów. Nolte wtedy zaprosił mnie do siebie do domu. Podjął moją żonę Marię i mnie z ujmującą prostotą. I w pewnym momencie wspomniał młodszego brata Heinza, który powołany do wojska w 1944 roku, zginął niebawem na froncie. Powiedział wtedy:

– *Winien jestem pamięci mego brata i pamięci tych wszystkich mordowanych, wygnanych, uciekinierów i przesiedleńców z lat 1944–1945 szukania prawdy historycznej.*

Nie wiedziałem, że słowa te zwiastują dalsze zaostrzenie poglądów Noltego. Niebawem wybuchł słynny spór historyków niemieckich o przeszłość dwudziestowiecznych Niemiec. Tak zwany Historikerstreit. Nolte ogłosił tekst „Przeszłość, która nie chce przeminąć". Dawne wykazywanie podobieństw między partiami skrajnej prawicy europejskiej posłużyło mu do negowania teorii szczególnej drogi rozwoju Niemiec i wyjątkowości narodowego socjalizmu („Sonderweg").

W twórczości Noltego z upływem lat naród, który masowo brał udział w Holokauście – naród niemiecki – przedstawiany jest jako jeden z kilku podobnych w Europie. Jego główna teza, powtarzana przez wiele lat, głosi, że narodowy socjalizm jest przede wszystkim odpowiedzią na bolszewizm a także – ale nie na pierwszym planie – na systemy liberalno-demokratyczne. Nolte, starając się wyjaśniać, wielokrotnie usprawiedliwia. Mówi na przykład o „jądrze racjonalnym" narodowosocjalistycznego

antysemityzmu, które motywuje emocje i postawy nieracjonalne, eksterminacyjne. Za owo „jądro racjonalne" uznaje nadmierne znaczenie osobistości żydowskich w socjalizmie, komunizmie i kapitalizmie.

Nie pomogły deklaracje Noltego, że zbrodnie nazizmu uznaje za bezprecedensowe w dziejach świata. Powszechnie krytykowano go za to, że jego definicje faszyzmu jako „zjawiska ponadnarodowego", jego metoda porównująca i zrównująca totalitaryzmy różnego typu prowadzi do „unormalnienia" i usprawiedliwienia niemieckiego narodowego socjalizmu i Trzeciej Rzeszy.

Większość niemieckich historyków, choćby wielkości takie jak Jürgen Habermas i Eberhard Jäckel, ostro polemizowała z Noltem. Polemikę z nim podjęli również Francuz François Furet czy Włoch Renzo De Felice, żeby wymienić tu tylko najsłynniejszych. Furet w swoich rozrachunkach z komunistyczną młodością nawiązał w latach dziewięćdziesiątych do tezy Noltego o porównywalności zbrodni nazistowskich i komunistycznych, o dwuznacznej roli antyfaszyzmu komunistów, którzy maskowali zbrodnie Stalina i ZSRR. Furet przystał na rozważania historyczno-genetyczne Noltego dla wyjaśnienia ideologii nazistowskiej i komunistycznej (w odróżnieniu od strukturalnych metod Hanny Arendt). Ale w pojedynku uczonych ujawniły się zasadnicze różnice. Przede wszystkim Furet podkreślał, że zarówno faszyzm, jak i bolszewizm zrodziły się z pierwszej wojny światowej, że faszyzm miał swoją odrębną drogę rozwojową i trudno go sprowadzić do reakcji na bolszewizm. A nadmierne poszukiwanie analogii zaciera, zdaniem Fureta, wyjątkowość zjawiska, jakim była hitlerowska Rzesza.

Z tym większą ciekawością sięgnąłem do ostatniej *summy* wspomnień Noltego. Niemało w nich stereotypowych nawiązań do myślenia Niemców w latach 1920–1930. Jakby z wiekiem Nolte coraz dokładniej odtwarzał to, co było dawniej, bardzo dawno.

Zdaniem Noltego, życie codzienne w Berlinie w latach 1940–1941 nie było tak straszne, jak to malują historycy, bo w książce telefonicznej Berlina można było znaleźć wtedy jeszcze numery i adresy wielu osobistości

i organizacji żydowskich. Zastanawiające jest, jak przy każdym uczonym niemieckim czy francuskim Nolte zaznacza „żydowskie pochodzenie"… życzliwie i dokładnie… Dopiero teraz, w wiele lat po śmierci Fureta, dowiedziałem się ze wspomnień Noltego, że był on pochodzenia żydowskiego. Znając osobiście Fureta, nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Ślepota? Czy może wpojono mi inną siatkę pojęć?

Nolte oświadcza, iż patrząc wstecz: *ma zrozumienie dla milionów Niemców, którzy w roku 1939 byli przekonani, że Polska – pod swoim reżimem wojskowym – była krajem szczególnie uciskającym wszystkie swoje mniejszości i bezprawnie odrzucała żądanie, aby Gdańsk, z którego „Wersal" uczynił z jego czysto niemiecką ludnością wolne miasto, przyłączyć do Rzeszy Niemieckiej.*

U schyłku życia Nolte uważa za uzasadnione roszczenia terytorialne Trzeciej Rzeszy wobec Czech i Moraw. Pisząc o celach mocarstw uczestniczących w wojnie, dochodzi do konkluzji, że żadnemu – włączając tu Trzecią Rzeszę – nie można przyznać całkowitej racji bądź całkowicie jej pozbawiać. Pisze Nolte, że głównym „racjonalnym" celem Hitlera było *zjednoczenie Europy przeciwko USA i ZSRR.*

Wspomniana książka Noltego roi się od podobnych bredni. Szkoda, że niegdysiejszy poważny politolog przeistoczył się w obrońcę hitlerowskiej Trzeciej Rzeszy, nieliczącego się z faktami historycznymi. Trudno mi po lekturze ostatniej książki szanować wiek sędziwy Noltego.

40. Moi Włosi

Moje Włochy. Często powraca mi obraz z okien pociągu. Wielokrotnie o wczesnej godzinie porannej przemierzałem w latach 1970–1980 trasę Wiedeń–Rzym koleją przez Toskanię i Lacjum. Prawie za każdym razem, patrząc na zalane słońcem, budzące się domy i pola, na długie ciągi cyprysów, miałem przeczucie przygody: nowych możliwości, pasjonujących dokumentów w archiwach, niezwykłych ludzi. Powiew nieokreślonej radości.

Pierwszego Włocha poznałem jako dziecko zaraz po wojnie. Był to wielki, dobroduszny, tęgi, jowialny Umberto Barbaro. Sycylijczyk, komunista, krytyk filmowy. Jakim był zawodowo, nie wiem. Po ludzku był przyjemny, uśmiechnięty. Patrząc na niego, mogłem sobie wyobrażać Włochy jako krainę wesołych, zadowolonych ludzi.

Ożenił się z Polką. Już po jego przedwczesnym, nagłym zgonie zaprzyjaźniona z moją matką Helenka Barbaro zaprosiła mnie do Rzymu. Był rok 1964, styczeń. Jechałem rzemiennym dyszlem z Paryża, zatrzymując się w Wenecji i Florencji. W Wenecji mieszkałem w jakimś hoteliku na tyłach placu Świętego Marka. Wylegałem od wczesnego ranka na brzeg morza. Było pusto. Zachowałem jako pamiątkę fotografię słońca przebijającego się nad łodziami poprzez poranną mgłę.

We Florencji czekał na mnie na dworcu mój przyjaciel z Paryża, Włoch, architekt, błyskotliwy Casanova, znany już ze swoich podbojów miłosnych. Jako naturalizowany Francuz, budowniczy wielu obiektów, zasłynął później. Kiedy wyskoczyłem z pociągu, od razu na peronie zdążył mi powiedzieć:

– Tylko się ze mną nie całuj. Tu, we Florencji, to może wyglądać podejrzanie.

Na Sylwestra Giampiero (onże Jean-Pierre Buffi) zaprowadził mnie do książęcej rodziny zamieszkującej w jednym z pałaców w centrum miasta.

Przyjęcie było skromne, koleżeńskie, kilka pokoleń rodziny właścicieli, trochę znajomych. Ale oprawa tego wieczoru oszałamiająca. Gospodarze pokazali kilkanaście swoich komnat i pokoików. W jednym z nich wyjaśniono mi:

– *A to jest dzieło Masaccia.*

Pomyślałem wtedy, że można by za nie zakupić całe wyposażenie rządowej alei Róż w Warszawie, gdzie mieszkał wieczny polski premier Józef Cyrankiewicz, wielu ministrów i ludzi kultury. Uświadomiłem sobie przepaść między pustoszonymi przez stulecia przez wojny i grabieże ziemiami polskimi a Półwyspem Apenińskim, gdzie w każdym miasteczku, zza kolejnej górki wyzierały bezcenne zabytki.

Ów typ Francuzo-Włocha, z jakim zapoznałem się w latach sześćdziesiątych, należał do częstych. Po Rzymie oprowadzała mnie Helenka Albani, młodziutka koleżanka Francuzka z naturalizowanej rodziny włoskiej. Bardzo uzdolniona, była już lektorką języka włoskiego na Sorbonie. W pinakotece watykańskiej szepnęła z zażenowaniem: – *Uwaga, z lewej strony masz mały bohomaz twojego rodaka*. I rzeczywiście, był to Sobieski Jana Matejki.

Owi Francuzo-Włosi łączyli często wrażliwość i subtelność florencką czy turyńską z francuskim racjonalizmem. Wielu spotkałem potem w École Pratique des Hautes Études i na uczelniach paryskich.

Ojciec mojej przewodniczki po Rzymie był biednym włoskim anarchistą, który wyemigrował do Francji za czasów Mussoliniego. Tam, nie pytałem jakimi drogami, stał się właścicielem banku. Poznałem go w zabawnych okolicznościach. Moja koleżanka zaprosiła mnie na kolację do rodzinnej willi pod Paryżem. Jej mama z namaszczeniem pokazywała mi ich wysoki standard życia, zamożność. Ojciec spóźniał się na kolację. Kiedy wchodząc, usłyszał, co mówi żona, klepnął ją rozmyślnie po chłopsku w tyłek. I zaczął opowiadać o swojej biednej młodości.

W latach sześćdziesiątych poznałem milkliwego i nieprzeniknionego dyrektora Instytutu Giangiacomo Feltrinelli, Giuseppe Del Bo. Rzekomo był kiedyś wychowankiem jezuitów. Interesował się tak jak ja wtedy Komuną Paryską i kręgiem europejskich znajomych Karola Marksa. Spotkaliśmy się na paru konferencjach. Fundacja, którą założył włoski multimilioner, w młodości komunista, potem patron lewaków Giangiacomo Feltrinelli (1926–1972) wykonała ogromną robotę wydawniczą i naukową. To oni przetłumaczyli i upowszechnili „Doktora Żywago" Borysa Pasternaka. Del Bo przy jakimś przejeździe przez Warszawę (w drodze z Moskwy lub do Moskwy) przedstawił mnie patronowi w hotelu „Bristol". Milioner był na luzie, rozmowa urywkowa i grzecznościowa. Nie podejrzewałem, że mam przed sobą nie tylko wydawcę, ale i wspólnika terrorystów. Byłem w Rzymie w marcu 1972 roku, kiedy zginął pod Mediolanem. Nie ulegało dla mnie wątpliwości, że zgładził go któryś z wywiadów.

Byłem po latach ponownie w Rzymie, kiedy z rąk Czerwonych Brygad zginął w 1978 roku Aldo Moro. Otwarty ku lewicy wybitny polityk chrześcijańskiej demokracji. Ta śmierć mną wstrząsnęła. Omawiali ją przy mnie jego znajomi. Był ministrem spraw zagranicznych, kiedy przez kilkanaście miesięcy przesiadywałem w archiwum jego urzędu. Natykałem się na ministra na korytarzu, chodząc do mojego protektora Luigi Vittorio Ferrarisa, szarej eminencji MSZ. Ferraris załatwił mi stypendium turyńskiej Fundacji Luigiego Einaudi. I używał swojego autorytetu, aby wyrabiać mi kolejne zezwolenia na dostęp do akt. Nie było to łatwe. Dyrektor archiwum MSZ Renato Mori (1912–1988) ciskał za naszymi plecami gromy na Amerykanina Johna F. Coverdala, później autora wybinej książki o Włochach w wojnie domowej w Hiszpanii i na mnie. Mori krzyczał podobno:

– *Ten czerwony ze Wschodu i jego wspólnik z Opus Dei zadręczą mnie!*

Jego następcą był wybitny historyk Enrico Serra (1914–2007), bardziej liberalny, ale też nie nazbyt szczodry w udostępnianiu mi akt. Los jest przewrotny i w roku 1985 Ferraris, podówczas ambasador włoski w Bonn,

przysłał do mnie na rozmowę do Berlina swojego współpracownika, zdolnego młodego dyplomatę, autora prac o faszyzmie francuskim. Okazał się synem jednego z owych rygorystycznych dyrektorów archiwów włoskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Posyłano go jako sekretarza ambasady do Moskwy. Zadałem mu pytanie, czy jest żonaty.

– *Nie.*

– *To bardzo niedobrze.*

Powiedziałem Ferrarisowi, że znam dostatecznie metody sowieckich gospodarzy i samotny młody kawaler nie będzie miał lekko w Moskwie… Okazałem się prorokiem. Po roku pobytu młody dyplomata uwikłany podobno w zorganizowany przez gospodarzy romans musiał opuścić placówkę.

Najlepiej poznałem Włochy podczas stażu naukowego w latach 1971–1972. Byłem gościem nobliwej Fundacji Luigiego Einaudi. Nosiła imię znakomitego ekonomisty, prezydenta Włoch Luigiego. Przewodził jej jego syn Mario. Wokół Fundacji gromadził się kwiat piemonckiej arystokracji ducha, patrycjuszy Turynu: filozofowie europejskiej sławy Norberto Bobbio (1909–2004) i Alessandro Passerin d'Entrèves (1915–1989). Pamiętam jeden obiad wiosną 1972 roku w centrum Turynu w restauracji na świeżym powietrzu, gdzie byli wszyscy ci panowie (dzisiaj już ze „Stowarzyszenia Umarłych Uczonych") i ja, doproszony młokos trzydziestokilkuletni z sowieckiego Wschodu. Znany fizyk włoski Carlo Franzinetti (1923–1980) kpił, że my dwaj jako młodzież nie ośmielimy się przy tym stole dyskutować z takimi tuzami. Ale ośmielał się. Debatowano, jak można obalić dyktaturę greckich pułkowników, nie wywołując wojny w Europie. Pytanie to zadałem wtedy publicznie na międzynarodowym mityngu socjalistów w Turynie Andreasowi Papandreu (1919–1996). W wymijającej odpowiedzi twierdził, że antyfaszyści greccy oczekują tylko masowego wsparcia moralnego. Pułkowników obalono bez wojny europejskiej w 1974 roku. Siedem lat później Papandreu został premierem demokratycznej Grecji.

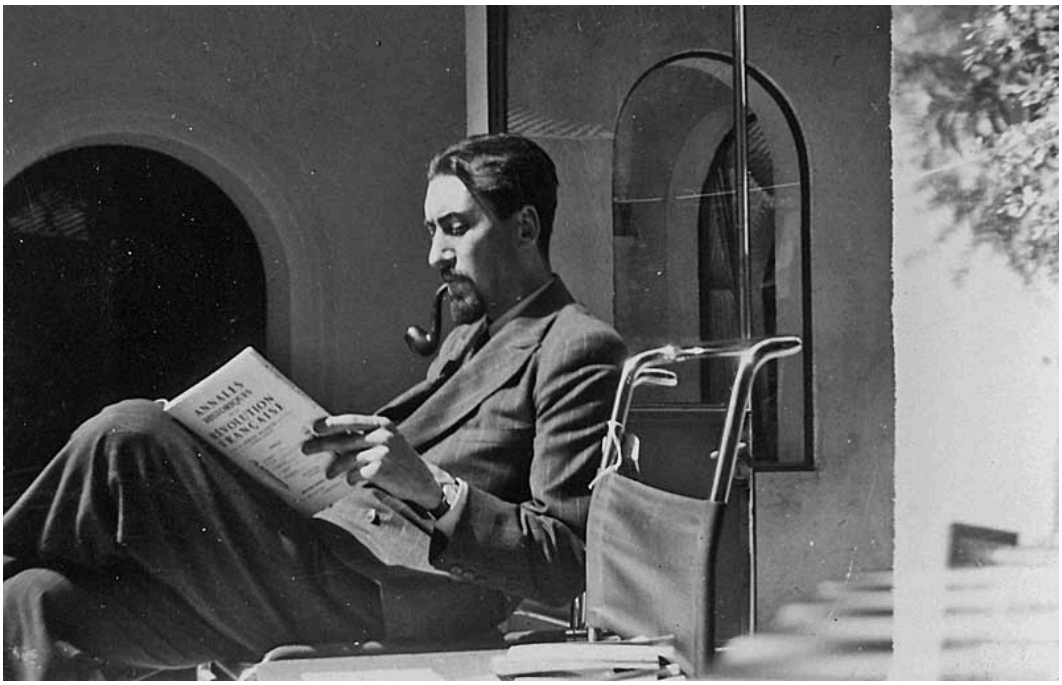

58. Ćwierć wieku później Franco Venturi został moim oficjalnym patronem we Włoszech.

Moim opiekunem naukowym z ramienia Fundacji Luigiego Einaudi była inna znakomitość turyńska Franco Venturi (1914–1994), przedstawiciel długiej dynastii historyków. Był synem jednego ze słynnej trzynastki profesorów, którzy w 1932 roku odmówili złożenia przysięgi na wierność Mussoliniemu. Ojciec, Lionello Venturi, wyemigrował do końca drugiej wojny światowej do USA. Syn poznał więzienia Franco i Mussoliniego, odegrał niebagatelną rolę we włoskim ruchu oporu, w organizacji Giustizia e Libertà (Sprawiedliwość i Wolność). A po wojnie uciekł od bieżącej polityki do nauki. Nie od razu. W roku 1947 został attaché do spraw kultury ambasady włoskiej w Moskwie. Trzy lata pobytu w stalinowskiej Moskwie pozbawiły go wielu złudzeń. Wykorzystał pobyt, aby odtworzyć wielowątkowe dzieje ruchu narodnickiego – rosyjskich rewolucjonistów końca XIX wieku. Skorzystał z wielu udogodnień w swoich badaniach, bo kraj dopiero sznurowano w kolejny gorset kłamstwa i dogmatyzmu po wojnie. W latach pięćdziesiątych studia o rosyjskiej inteligencji ostatniego ćwierćwiecza XIX wieku były już w Moskwie źle widziane. Wszystko przesłaniała wirtualna historia podyktowana przez Stalina, według której

wszyscy błądzili, mylili się i uprawiali dywersję, poczynając od XIX wieku, z wyjątkiem jego samego i Lenina. Dotyczyło to i narodników. Chodziłem w Moskwie na seminarium o narodnikach Piotra Tkaczenki, wyraźnie zmarginalizowanego przez kolegów, prawiących banały, zmyślenia i idiotyzmy o historii KPZR.

Na tym tle solidna, wielotomowa historia narodników rosyjskich mojego tutora Venturiego była wydarzeniem naukowym godnym podziwu. Po powrocie do Włoch przez dziesięciolecia zajmował się europejskim wiekiem Oświecenia. Żył w wieku XVIII i przejawiał niewielkie zainteresowanie moimi studiami nad faszyzmem włoskim. Rozmawialiśmy za to o uzupełnieniach i przypisach do nowego wydania jego „Il populismo russo". Parę razy sprawdziłem mu jakieś teksty. Książka, która doczekała się wielu przekładów, nie została – mimo moich prób – przyswojona polskiemu czytelnikowi. A szkoda! Dotyczy częściowo i polskich dziejów: po roku 1870 Polacy tłumnie uczestniczyli w ruchu narodnickim i socjaldemokratycznym w Rosji. Setkami. Nieprzypadkowo Aleksander II zginął id bomby rzuconej przez Polaka Ignacego Hryniewieckiego. Tym wydarzeniem Venturi zamknął zresztą swoją wielotomową historię narodników.

Nieco wcześniej niż Venturi w ZSRR rezydował jako dyplomata inny z czasem sławny filozof i historyk: starszy od niego Isaiah Berlin (1909–1997), pierwszy sekretarz ambasady brytyjskiej w 1945 roku, zawodowy dyplomata. Urodzony w Rydze znał płynnie język rosyjski, poruszał się w zmrożonym stalinizmem kraju o wiele swobodniej niż włoski kolega. Jego długie, ogłoszone potem rozmowy z Anną Achmatową, Sergiuszem Eisensteinem i Borysem Pasternakiem przeszły do historii. Berlin zdawał sobie dokładniej sprawę z obozowej rzeczywistości sowieckiego totalitaryzmu. Ale i Venturi szybko zaczął dostrzegać, gdzie się znalazł. W liście do przyjaciela z października 1947 roku pisał, że pejzaż wokół Leningradu zamykają druty kolczaste obozów koncentracyjnych. Ale, jak się zdaje, łudził się, że są one przeznaczone głównie dla jeńców

niemieckich. Kiedy poznałem go ćwierć wieku później, nie miał już tych iluzji.

Podczas pobytu w Moskwie Venturi bardzo pilnie prowadził „biały wywiad": czytał prasę radziecką na temat zła, „które pokonało jeszcze większe zło" – hitleryzm. Pisał raporty do Rzymu o „konspiracji milczenia", która otacza obcokrajowców w ZSRR, o tym, że nie socjalizm, ale szowinizm wielkoruski jest kamieniem węgielnym ustroju sowieckiego. *Rosjanie* – pisał Venturi w raporcie z początków 1949 roku – *są wychwalani jako twórcy nie tylko państwa sowieckiego, ale rewolucji i państwa specyficznie socjalistycznego.* Nie od razu pojął attaché włoskiej ambasady, czemu służyły hasła walki z kosmopolityzmem i pojęcie „internacjonalizmu". To ostatnie szybciej odczytał – jako dążenie do uniformizacji i absolutnego podporządkowania Moskwie wszystkich partii komunistycznych i krajów demokracji ludowej. Oburzał się, że Rosjanie zupełnie bez wyczucia zmuszają Polaków do świętowania w 1950 roku 150-lecia śmierci „rzeźnika Warszawy", który dławił powstanie 1794 roku – Aleksandra Suworowa.

Oburzał się też planami wzniesienia pomnika Suworowa w Moskwie na placu Komuny Paryskiej, twierdząc, że to połączenie dokładnie ilustruje, czym jest „patriotyzm sowiecki".

Pytanie, jakie postawił sobie historyk Venturi, było kluczowe: czy i co wspólnego mają Stalin i bolszewicy po roku 1917 z narodnikami, ze swoimi poprzednikami sprzed pierwszej wojny światowej. Po powrocie z Moskwy ogłosił drukiem, że niewiele ich łączy. Mówią o tym zarówno jego książki, jak i opasły tom raportów i listów „Franco Venturi e la Russia", wydany już pośmiertnie w XXI wieku.

To, co Venturi szybko pojął w Moskwie, to stosowana przez reżim zasada zbiorowej odpowiedzialności, cechująca wszystkie reżimy totalitarne. Znał to z Włoch Mussoliniego i z Hiszpanii Franco. W Moskwie i Leningradzie Józefa Stalina widział na każdym kroku: winna była grupa literatów, grupa krytyków teatralnych, chłopi ukraińscy. Pojedyncze jednostki były używane tylko jako przykłady w tępieniu masowym wrogów, na ogół urojonych. Nienawiść była siłą napędową wszystkich

totalitaryzmów: wrogowie rasy, wrogowie klasy, wrogowie narodu, wrogowie ojczyzny.

O tym jeszcze ze mną rozmawiał. Ale do dyskusji o samym faszyzmie włoskim odsyłał mnie do swojego przyjaciela Leo Valianiego (1909–1999).

Jeździłem do Valianiego do Mediolanu na rozmowy o penetracji propagandowej i wywiadowczej Europy przez włoskich faszystów. Valiani, jeden z czołowych polityków Półwyspu Apenińskiego, zechciał opowiedzieć mi niejedno o działaniach banków włoskich w Europie za czasów faszyzmu i ich grach z reżimem. Sam pochodził z Chorwacji, miał austriackich krewnych. W młodości komunizował, walczył po stronie republiki hiszpańskiej przeciwko Franco. Po ujawnieniu paktu Ribbentrop–Mołotow zerwał z komunistami. Stał się jednym z przywódców podziemia antyfaszystowskiego, spotykał się z jego ramienia z Allenem Dullesem i amerykańskim wywiadem.

Valiani znający południową i wschodnią Europę dzięki więzom rodzinnym, mówił po niemiecku, węgiersku, chorwacku, chyba i po rumuńsku. Jego wuj Wilhelm Ippen, jeden z komunizujących w młodości znanych socjalistów rumuńskich z Czerniowic, znalazł się w radzieckim gułagu. Tam zmarł w 1952 roku.

Valiani, kiedy go poznałem, był człowiekiem suchym, rzeczowym. Czuło się u niego pewną nostalgię za Austro-Węgrami.

– *Mogły się stać wielką demokratyczną republiką wielu narodowości. Antytezą Związku Sowieckiego.*

Po wojnie Valiani związał się z partią republikańską. Przez ostatnie dwadzieścia lat swego życia funkcjonował jako dożywotni senator Republiki Włoskiej.

Żył w obawie, aby faszyzm nie odrodził się we Włoszech. Tą obawą przed faszyzmem tłumaczył tworzenie przez Feltrinellego czerwonych brygad terrorystycznych. Uważał, że Feltrinelli działał w dobrej wierze.

Żona profesora Venturiego, Gigliola Spinelli Venturi, była siostrą jednego z ojców Unii Europejskiej, Altiero Spinellego (1907–1986). On też był zamknięty przez lat dziesięć w więzieniach Mussoliniego. On też – jak

wielu z tego pokolenia – uległ w młodości iluzjom, że można zbudować komunistyczny raj na ziemi.

Pani Venturi wspomniała mi, że z pobytu w ZSRR zachowali na długie lata niektóre przyjaźnie osobiste. Należał do nich Lew Siemionowicz Gordon (1901–1973), kurator kolekcji rękopisów Woltera w Bibliotece Sałtykowa-Szczedrina w Leningradzie. Kiedy w ZSRR pojawił się Venturi, Gordon był chwilowo na swobodzie i normalnie pracował. Zbliżyła ich główna pasja zawodowa Włocha – studia nad wiekiem XVIII, nad myślą Oświecenia.

Gordon od lat dwudziestych wielokrotnie był oskarżany i zsyłany do obozów. Urodzony w Paryżu, władający wieloma językami syn emigrantów stanowił cel wzorcowy dla sowieckich agentów bezpieczeństwa. Kiedy około roku 1956 powrócił z kolejnego zesłania, nakazano mu zamieszkać w Permie (podówczas miasto Mołotow). Venturi opłacił mu i dostarczył mikrofilmy z leningradzkich zbiorów, przesłał książki, skontaktował go z czołowymi badaczami europejskiego Oświecenia. W prowincjonalnych miastach ZSRR, aż do śmierci w Sarańsku w roku 1973, towarzyszyła Gordonowi przyjaźń Venturiego.

Cena, jaką Gordon opłacił swoje widoczne jeszcze dzisiaj miejsce wśród badaczy francuskich filozofów wieku XVIII, była nieporównywalna do łatwej drogi życiowej znanych mi paryskich badaczy tego okresu.

Zależnie od wieku faszystowski lub komunistyczny okres bądź epizod w życiorysie miała znaczna część poznanych przeze mnie Włochów. Czasem byli faszyści stawali się komunistami. Nie było to rzadkością.

Mój najserdeczniejszy włoski przyjaciel Costanzo Casucci (1921–1997) kierował się w życiu sprawami nieznanej mu osobiście Czechosłowacji. Jako młody chłopiec wystąpił z młodzieży faszystowskiej na znak protestu przeciwko podziałowi Czechosłowacji w Monachium w 1938 roku. Potem powołano go do wojska. W Afryce dostał się do niewoli angielskiej. Wstąpił niebawem do partii komunistycznej. Na wieść o przewrocie komunistycznym w Pradze w roku 1948 wystąpił z niej. Potem już przez pół wieku starał się nie zrzeszać.

Plebejski i hałaśliwy Costanzo wyłowił mnie w roku 1971 w czytelni rzymskiego Archivio Centrale dello Stato. Otoczył mnie natychmiast opieką naukową i towarzyską. Do słabości tego potężnego, rudawego i łysiejącego potem przy mnie przez lat dwadzieścia Włocha należało wprowadzanie cudzoziemców, a zwłaszcza cudzoziemek w realia włoskich archiwów i włoskiego życia. Jego wygląd był daleki od schematycznego stereotypu Włocha. Jego wygląd był pochodzeniem od… Longobardów, ludu zachodniogermańskiego. Ci ostatni, jak wiadomo, w VI wieku przemieścili się na północ Półwyspu Apenińskiego. Pochodził z rodziny wyższego oficera marynarki włoskiej. Był kawalerem, udającym przed nieświadomymi Casanovę. Jeździł z wycieczkami po całej Europie. Na pytania o wrażenia ze Szwecji czy z Węgier miał zawsze tę samą odpowiedź: – *Donne favolose!* (bajeczne kobiety)!

Był nieśmiały wobec kobiet i pokrywał to hałaśliwymi deklaracjami. Kiedy był na nasze zaproszenie w Polsce, zawiozłem go do osady nad Bałtykiem. Tam żartem – może nie całkiem żartem – zacząłem go swatać. Poczciwy Costanzo tak się zagubił, że zasnął w samo południe na kanapie podczas mojej rozmowy z gospodynią. Nie wiem, może cierpiał na cukrzycę.

Po powrocie z Krakowa oznajmił mi:

– Co za miasto! Nieraz musiałem się chować po bramach.

– Co takiego?

– Ano, tam jest pełno zakonnic w czerni. Prawie na każdym kroku. A ty znasz nasz przesąd, że jak ci przejdzie drogę zakonnica, to wróży nieszczęście.

Takie słabostki miewał agnostyk Costanzo. Zarabiał dobrze jako archiwista wyższej rangi, ale mieszkał i żył skromnie. Część pieniędzy tracił na to, by pokazywać cudzoziemskim podopiecznym wspaniałości Włoch: zapraszając do restauracji, na wycieczki i robiąc prezenty. Od czterdziestu lat przechowuję podarowane przez Costanza wytworne skórzane pojemniki podróżne na krawaty i na przybory do obuwia. Oczywiście od Gucciego – z najdroższego sklepu.

Costanzo skorzystał z wcześniejszej emerytury z archiwów i w latach osiemdziesiątych wyłonił się w nowej funkcji dyrektora biblioteki Giustino Fortunato przy via Monte Giordano w Rzymie, poświęconej sprawom południa Włoch. Złośliwi dowcipkowali, że swoimi szerokimi plecami zasłaniał działania mafii. Była to oczywista bzdura. Kiedy zjawiłem się w jego nowej siedzibie z moim młodszym synem Karolem, natychmiast wyciągnął nas do pobliskiej cukierni i zaczął wpychać w dziecko ciastka.

Poczciwy, zawsze zorientowany ku lewicy Costanzo był poważnym i znanym badaczem. Dopiero po jego śmierci zdali sobie z tego w pełni sprawę ci, którzy widzieli w nim przede wszystkim dziwaka, starego kawalera o gwałtownych reakcjach i nie zawsze bezbłędnych manierach.

Costanzo odpowiadał w archiwach państwowych przede wszystkim za dokumenty do czasów faszyzmu: sekretariat osobisty duce, Ministerstwo Kultury Ludowej, zbiory personalne, które scalał, katalogował i regulował delikatnie i obiektywnie do nich dostęp. Zajmował się też aktami opozycji antyfaszystowskiej. Wydał między innymi tomy o braciach Carlo i Nello Rossellich, założycielach organizacji Giustizia e Libertà, która stała się później matecznikiem demokracji włoskiej. Wywodzili się z niej prezydenci i premierzy Włoch po roku 1945, tacy jak na przykład długowieczny Alessandro Pertini (1896–1990). Bracia Rosselli zostali zamordowani w 1937 roku we Francji przez tamtejszych faszystów na zlecenie z Rzymu.

Costanzo był przeciwny jednostronnemu demonizowaniu faszyzmu włoskiego, malowaniu dziejów Włoch w barwach czarno-białych. W obozie angielskim siedział razem z Włochami-faszystami, nie stronił od nich, starał się ich zrozumieć. Ale kiedy go poznałem, słyszałem, jak się zaperzał, mówiąc, że Renzo De Felice (1929–1996), papież historiografii faszyzmu, tak dąży do zrozumienia racji włoskich faszystów, że niweluje znaczenie nastrojów antyfaszystowskich, podziemia antyfaszystowskiego. A jednocześnie bolał nad tym, że Włochy przez Mussoliniego i jego czasy utraciły możliwość odgrywania roli wielkiego mocarstwa.

Ze swojej rangi zawodowego archiwisty Costanzo był niezmiernie dumny. Uważał dobrych archiwistów za sól ziemi. Nie onieśmielały go tytuły profesorskie Renzo De Felicego czy Girolamo Arnaldiego.

Dostałem się szybko w orbitę najgłośniejszego z włoskich faszystologów – Renzo De Felice. Wielokrotnie nawiedzałem go w ciągu dwudziestu lat w jego rzymskim mieszkaniu.

Autor ośmiotomowego „Mussoliniego" był mistrzem szczegółu, człowiekiem wielkiej pracowitości. Nie wiedział, co to urlop, spacer, do kina trzeba go było wyciągać. Z rozkoszy życia znajdował nieco czasu na jedzenie. Do dzisiaj brzmi mi w uszach jego falset, kiedy po późnej kolacji w jego mieszkaniu rozlegało się: *Ho mangiato come un porcellino* (Najadłem się jak prosiaczek). Jego żona Livia De Ruggiero (1927–1997), córka znanego historyka filozofii, tylko się uśmiechała. Przeżyła męża o rok. Ciężko chora, starała się doredagować w ciągu tego roku dzieło męża. Nie mieli dzieci i chyba Livia ze swoimi nienagannymi manierami nieco matkowała pracowitemu chłopcu.

Korzystałem wielokrotnie z ogromnej biblioteki De Felicego. Był uprzejmy i uczynny wobec wszystkich. Ale cenił swój czas. W archiwach wśród młodszych pracowników miał opłacanych pomagierów, wyszukujących mu różne akta na zlecenie. Aby zdobyć jakiś dokument, gotów był się zaprzyjaźnić nawet z diabłem. Któregoś dnia przy kolacji oświadczył mi ze śmiechem:

– *Wczoraj dowiedziałem się, że jesteś sowieckim szpiegiem.*

– *Od kogo?!*

– *A wczoraj miałem na kolacji szefa policji rzymskiej. Musiałem mu wyjaśnić, że te plotki pochodzą z polskiej ambasady. Zauważyli pewnie, że masz w Rzymie za dużo znajomych.*

Nie miałem złudzeń, że kolacje dla szefa policji czy dawnych faszystowskich prominentów mają w podtekście szukanie dokumentów bądź wyjaśnienia problemów do książek Renzo.

De Felice zwykł był mawiać, że kto rozpoczynając życie, nie chorował na „szkarlatynę" faszystowską czy komunistyczną, będzie miał kłopoty ze

zrozumieniem istoty tych problemów. Sam przebył szybko „szkarlatynę komunistyczną" i odbył potem długą drogę jako sympatyk czy członek kilku partii. W ostatnim wcieleniu pamiętam go jako republikanina i liberała, optującego za tymi partiami w wyborach europejskich.

Pewien starszy profesor z Maceraty, romanista, którego gościnnie oprowadzałem po Warszawie, został mi przedstawiony przez De Felicego:

– *To jest prawdziwy komunista*. – Tu Renzo De Felice puścił do mnie dyskretnie oko. Zrozumiałem, że coś się za tym kryje. Po paru dniach wspólnego maszerowania po Warszawie romanista zawstydził się widocznie moim troskliwym oprowadzaniem. Stanął dosłownie na rogu Marszałkowskiej i Alej Jerozolimskich i wykrztusił z siebie:

– *Ale powinienem się panu przyznać, że ja byłem także faszystą*.

Wybuchnąłem śmiechem:

– *Professore! Półtora roku czytałem akta personalne w Rzymie w Archivio dello Stato. To mnie naprawdę nie dziwi.*

Po powrocie profesora do Maceraty, małego miasteczka niedaleko Ankony, z tamtejszego uniwersytetu (założonego ku mojemu zadziwieniu w roku 1290) przez lat kilkanaście wysyłano mi czasopismo tamtejszych romanistów.

Zwyczajem De Felicego było zapisywać się w programach różnych konferencji naukowych i rzadko na nie jeździć. Hołdował, zdaje się, zasadzie: w ten sposób będą wiedzieli, jak ważny jestem. I że żyję. Wystarczy.

Lubił za to kameralne dyskusje. Zapoznał mnie z kręgiem swoich bliskich, którzy zbierali się w willi jego przyjaciela Giuseppe Talamo (1925–2010). Rodzina Talamo pozostaje w mojej pamięci jako najmilszy, najcieplejszy po ludzku dom rzymski. Bywałem tam często z żoną w niedziele w roku akademickim 1971/1972. Talamo był historykiem XIX wieku, długoletnim dyrektorem prestiżowego Instytutu Risorgimento, Odrodzenia włoskiego. Ten neapolitańczyk jawił się jako człowiek niezwykle skromny. Małżonków Talamo widziałem ostatni raz w roku 2004 – słabych, ale w miarę dobrej kondycji psychicznej. Potem już

przeczytałem tylko wspomnienie pośmiertne o Giuseppe, napisane przez prezydenta Włoch.

De Felice przychodził do Talamo ze swoją żoną Livią. Ale wszystkich przyćmiewał, górował w dyskusjach Rosario Romeo (1924–1987), wybuchowy Sycylijczyk, najgłośniejszy historyk włoskiego XIX wieku, autor wielotomowej biografii ojca zjednoczonych Włoch, Camilla Cavoura. Renzo słuchał przyjaciela w zachwyceniu.

Do ulubionych żartów Romeo należało prowokowanie mnie do rozmowy o ZSRR. Dla podniesienia temperatury dyskusji wdawał się w apologie, jeśli nie ZSRR Breżniewa, to dziewiętnastowiecznej Rosji carów. Zaperzałem się, starając się oponować. Pikanterii dyskusjom przydawało to, że Romeo był zdeklarowanym antykomunistą. A ja zachowałem swoje socjalistyczne sympatie. I nawet zaprodukowałem się w jakimś piśmie włoskich socjalistów. Ale Romeo uwielbiał *l'art pour l'art* – ćwiczenia retoryczne w dyskusjach.

De Felice wypoczywał. Przysłuchiwał się. Związek z De Felicem nie zawsze otwierał wszystkie drzwi. Znakomity Leo Valiani czy lewicowe młode wilki z Turynu z czasem oskarżali nawet De Felicego o pewne sympatie do faszyzmu.

De Felice utonął w pracoholizmie. Nie zredagował już ostatnich tomów swego dzieła. Historyk i popularyzator dziejów włoskich Denis Mack Smith (1920–2017) krytykował kolegę zasadnie za przerażający nadmiar przypisów i dygresji. Anglik nie harował w archiwach. Napisał błyskotliwe, zwięzłe syntezy, które funkcjonują na całym świecie. Wykorzystał benedyktyńskie trudy Renzo. Ośmielałem się nieraz mówić o tym De Felicemu:

– *Napisz na razie biografię syntetyczną w jednym tomie, bo zrobi to Mack Smith.*

– *Zdążę.*

Nie zdążył. Zmarł w wieku sześćdziesięciu siedmiu lat. Denis Mack Smith swoją biografię upowszechnił w wielu językach.

Spotykałem nie tylko przywalonych papierami historyków, ale i z rekomendacji Renzo żyjących jeszcze ministrów Mussoliniego: dłużej Fulvio Suvicha (1887–1980), przelotnie Dino Grandiego (1895–1988). Z Suvichem ostatni raz rozmawiałem na dwa lata przed jego śmiercią. Tym razem nie w Rzymie, ale w Trieście.

Rozmowa była powolna i długa. Dotyczyła zamachu dokonanego 9 października 1934 roku w Marsylii, w którym życie stracił król jugosłowiański Aleksander I i minister spraw zagranicznych Francji Louis Barthou. Suvich pełnił wtedy w Rzymie obowiązki ministra spraw zagranicznych, formalnie zastępując na tym stanowisku Mussoliniego.

Przez dwie godziny usiłowałem wydobyć wiadomości: ile włoski MSZ wiedział o przygotowaniach do zamachu, czy sterowany przez Włochów Ante Pavelić (1889–1959) nie maczał w tym palców? Suvich, przeciwnik Hitlera, bardziej nacjonalista niż faszysta, negował jakąkolwiek swoją wiedzę o wydarzeniach, które doprowadziły do zamachu w Marsylii.

Rozmowa toczyła się w pomieszczeniach towarzystwa ubezpieczeniowego – Riunione Adriatica di Sicurtà w Trieście. Portrety na ścianach przypominały, że firma istnieje od lat trzydziestych XIX wieku. Suvich znalazł się tam na czele po usunięciu na mocy praw rasowych Arnoldo Frigessi – właściciela o żydowskich korzeniach. Ale widocznie raczej chronił poprzednika. Kiedy Frigessi powrócił w powojniu do swojego towarzystwa ubezpieczeniowego, Suvich zachował jakieś funkcje.

Rozmową ze mną był zaniepokojony. Wiedział, że poleca mnie Renzo De Felice, cieszący się już wtedy jako obiektywny historyk pewnym mirem wśród faszystów. Powiedziałem mu wprost, że akta wspierania przez włoski MSZ terrorystów macedońskich i faszystów chorwackich Pavelića zachowały się i mogą go obciążać. I że mam do nich dostęp. Z opóźnieniem, ale trochę ustąpił. Dosłał mi w 1978 roku do Bonn, gdzie podówczas mieszkałem, dwa liściki. Wynikało z nich pośrednio, że włoski MSZ miał jakąś wiedzę, że zamach się szykuje. Ale działo się to poza jego plecami. Znając pozytywne nastawienie Suvicha do Francji, mam wrażenie, że mogę mu wierzyć. Ale to, ile w zamachu było udziału Niemiec,

terrorystów macedońskich i faszystów chorwackich i kto kim manipulował pozostaje nadal niejasne.

Włochy można ogarnąć rozumem (nawiązując do słynnego rosyjskiego porzekadła „rozumem Rosji nie ogarniesz"), ale ta cywilizacja – owoc tysiącleci – obfituje w wiele układów i pojęć, które cudzoziemiec nie od razu sobie przyswoi. Na przykład tolerancja nieznana dzisiejszym Polakom sprawiała, że za naszym skromnym stołem w Rzymie w biednej dzielnicy Monte Sacro padli sobie w objęcia prałat ze Stolicy Apostolskiej Romeo De Maio i członek (do czasu, potem z partii wystąpił) Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Włoch Rosario Villari. Skądinąd znakomity historyk. Związki międzyludzkie, przyjaźnie, wspólne małe ojczyzny wytwarzają tam więzi często silniejsze od podziałów politycznych. Ich wspólnym mianownikiem jest tolerancja, mocniejsza niż w większości krajów, zwłaszcza rozdartej i bratobójczo skłóconej Europy Wschodniej.

Przy włoskiej łatwości nawiązywania znajomości i ciekawości świata mógłbym wspominać jeszcze dziesiątki osób takich jak przyjaciel całej Europy Środkowowschodniej, znany dyplomata Luigi Vittorio Ferraris (rocznik 1928), który jako sekretarz ambasady włoskiej w Warszawie w latach 1967–1969 włączył się w akcję pomocy ofiarom marcowego antysemityzmu, potem był szarą eminencją włoskiego MSZ, wieloletnim ambasadorem w Niemczech i, wreszcie, dołączył do grona doradców prezydenta Włoch. Moimi osobistymi przyjaciółmi stali się ambasadorostwo Giuliana i Paolo Galli. Paolo (rocznik 1934) dopiero po przejściu na emeryturę ujawnił swój nietuzinkowy talent pisarski.

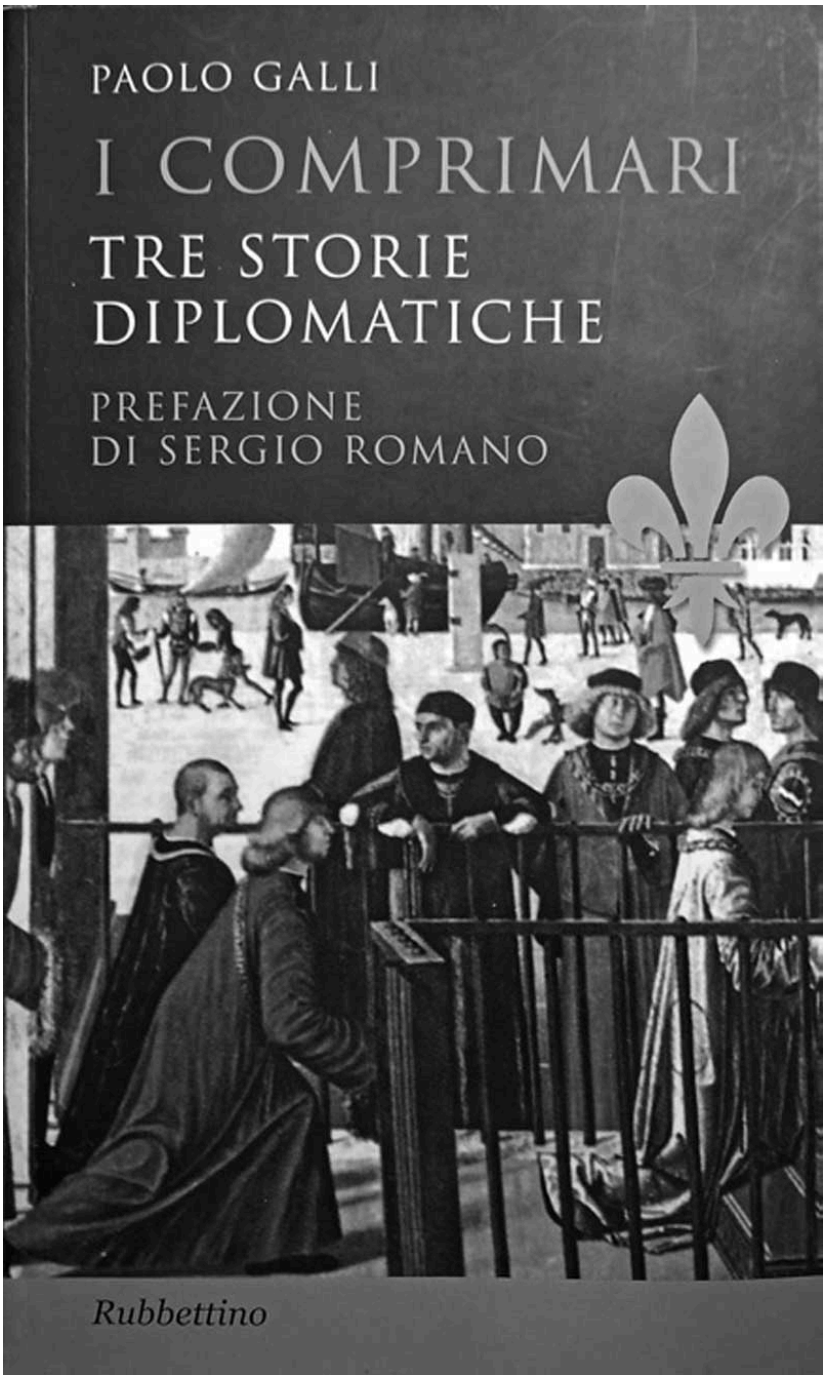

59. Okładka książki Paola Gallego.

Na czele starych polonofilów włoskich wymienić mogę nieżyjących już naszych osobistych przyjaciół Girolamo Arnaldiego (1929–2016), wieloletniego dyrektora Instytutu Średniowiecza w Rzymie i jego żonę Sarę. Poznałem też cały legion młodszych i młodych Włochów. Włosi mają,

moim zdaniem, większe zdolności do przystosowywania się do odległych narodów niż Francuzi. Stąd łatwiej ich znaleźć wśród cudzoziemców osiadłych w Polsce.

W roku 1939 Polskę odwiedził jako stypendysta rządowy Angelo Tamborra (1913–2014). Po wojnie stał się głównym włoskim historykiem Europy słowiańskiej. Wydawał też akta Stolicy Apostolskiej. Pomagał mi w Rzymie i niebawem wypiliśmy z jego inicjatywy bruderszaft.

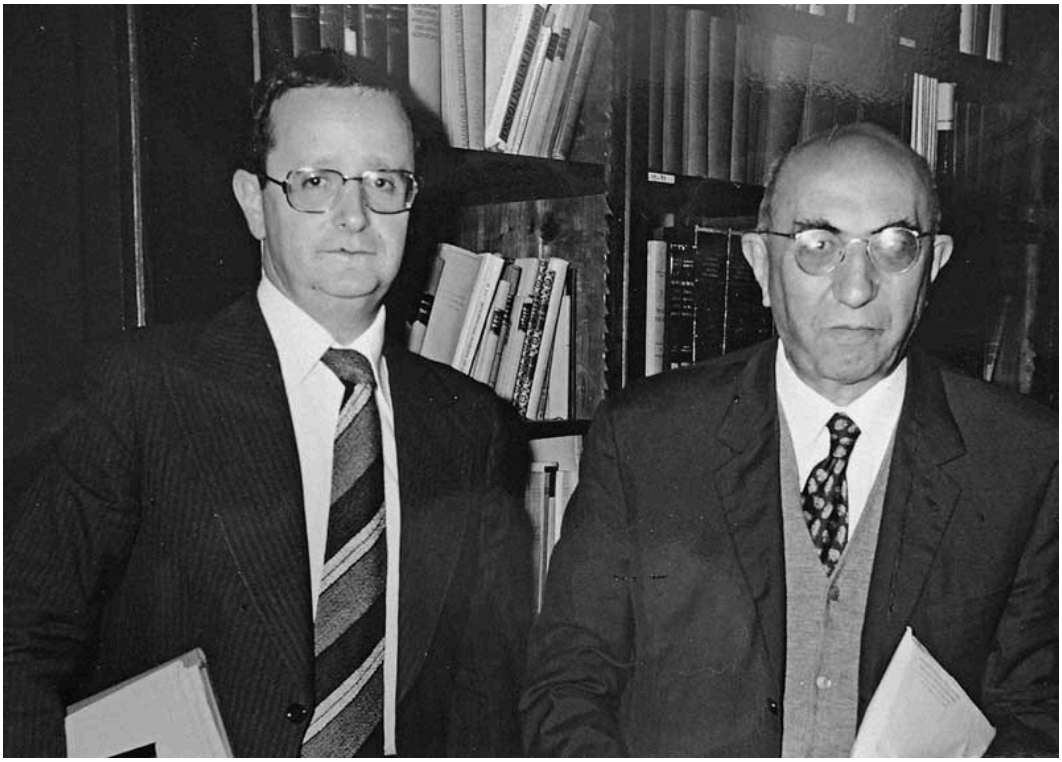

60. Po moim wykładzie w Stacji Naukowej PAN w Rzymie z Angelo Tamborrą, z którym mimo różnicy pokoleń połączyła mnie wieloletnia przyjaźń.

Usilnie przeglądałem podówczas w archiwach setki teczek Włochów głoszących w Europie w międzywojniu idee faszyzmu włoskiego. Zgrupowane były one w aktach Ministerstwa Kultury Ludowej. Udostępniał je Costanzo Casucci. Nie zawiodłem chyba jego zaufania i nie rozgłaszałem tego, co wyczytałem tam o żyjących jeszcze Włochach. Ale któregoś dnia nie wytrzymałem i powiedziałem do Tamborry:

– *Wiesz? Czytałem twoje raporty z Polski. Byłeś u Romana Dmowskiego tuż przed jego śmiercią.*

– *Byłem* – przeraził się Tamborra. – *Ale musiałem pisać takie raporty.*

– *Ależ Angelo, ja przecież wiem, że każdy, kto wyjeżdżał za granicę musiał pisać sprawozdanie – czy był, czy nie był faszystą. A ty chyba całe życie pozostałeś chrześcijańskim demokratą. I nie uprawiałeś propagandy faszyzmu.*

– *No właśnie, no właśnie* – uspokoił się Tamborra.

Rozmawiałem z niejednym znaczącym faszystą. W Berlinie Bohdan (Korab) Osadczuk zapoznał mnie z bliskim współpracownikiem „liberalnego faszysty", niegdyś ministra korporacji i szkolnictwa wyższego faszystowskich Włoch – Giuseppe Bottai (1895–1959). Jako młody człowiek między innymi sekretarzował ministrowi. Zerwał z szefem, kiedy zobaczył, do czego prowadzi sojusz z Hitlerem. Ożenił się z Niemką i zamieszkał w Berlinie. Podzielił się ze mną wspomnieniami o tym, że korporacje włoskie miały niwelować różnice majątkowe, o tym, ile możliwości mieli architekci budujący dla Mussoliniego nowoczesny Rzym. Nie najgorzej działo się także filmowcom. A gdy nabrał do mnie zaufania, kiedyś o szarej godzinie częstując mnie herbatą, westchnął raczej nostalgicznie niż ironicznie:

– *Wie pan, Borejsza, ten faszyzm to była piękna rzecz dla nas młodych…*

Przywódcy faszyzmu włoskiego przywiązywali o wiele większą wagę do haseł społecznych niż ich narodowosocjalistyczni odpowiednicy. O tym często zapominamy.

W pociągu z Triestu do Wiednia dzieliłem przedział z ciekawym dyskutantem. Był nim nuncjusz papieski w Niemczech kardynał Guido del Mestri (1911–1993). Ten syn arystokratycznej rodziny, który nazwał mnie „bezwyznaniowym chrześcijaninem", podtrzymał mnie na duchu w jednym z ciężkich momentów w moim życiu osobistym w grudniu 1983 roku.

Pracując długie miesiące w archiwum włoskiego MSZ, słynnym budynku Farnesiny, poznałem wielu dyplomatów. Ich fachowość jest budowana od czasów zjednoczenia Włoch. Służą krajowi całymi rodzinami z dziada pradziada. Dziad, ojciec, syn. Ciągłość, tradycja jest tym, co rzuca się

w oczy Polakowi we wszystkich uniwersytetach, w patrycjatach Rzymu, Turynu, Wenecji czy Triestu.

We Włoszech chciałbym być obywatelem niewielkiego miasta z wielowiekową tradycją. Jakiejś Maceraty czy może enklawy San Marino. Natomiast nie wiem, czy odnalazłbym się w rzeczywistości sycylijskiej.

W roku 1990 nieoczekiwanie okazałem się gościem młodego wykładowcy uniwersyteckiego, Sycylijczyka, któremu nieobca była mafia. Parę razy przebywał jako stypendysta w Polsce. Dzięki niemu wziąłem udział w debacie telewizyjnej w Mesynie. Podczas dyskusji Antonino Calarco, redaktor „Gazzetta del Sud", chrześcijański deputowany do parlamentu czy też senator, rzucił zdanie: *Europa jest wolna, Niemcy są wolne.* Zapominając, że jestem na wizji, zapytałem: – *A co tam robi dwadzieścia pięć dywizji radzieckich?* Sala wybuchnęła śmiechem i znany rysownik włoski uwiecznił tę scenę z ironicznym podpisem.

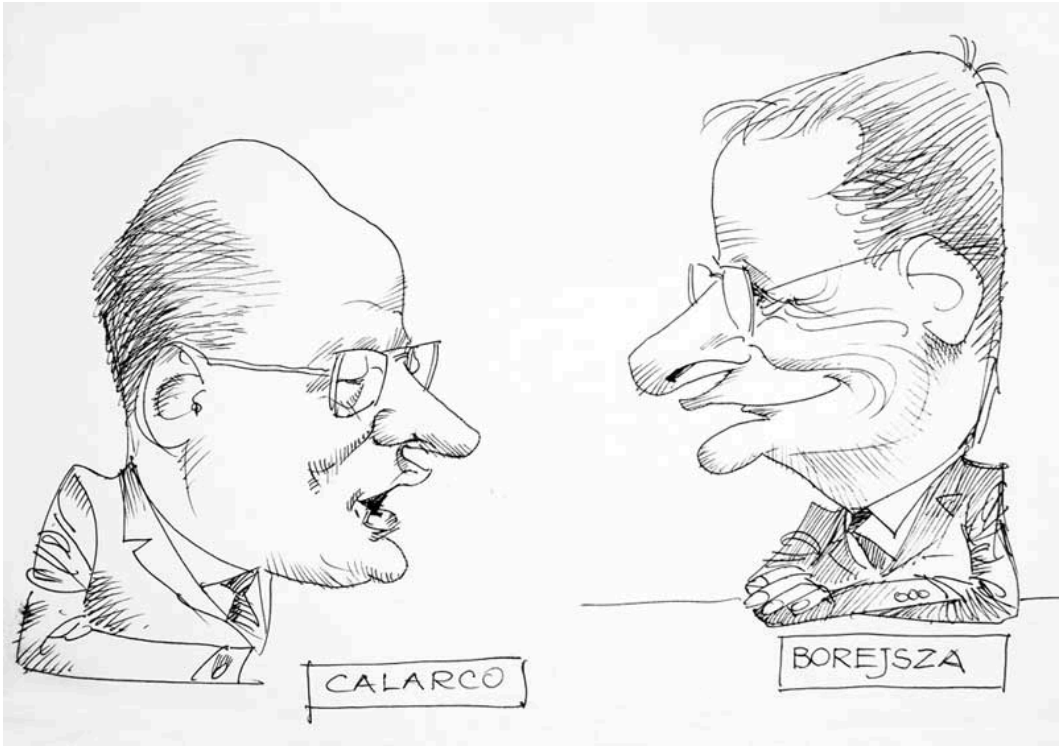

61. Po debacie telewizyjnej na Sycylii z senatorem Antonino Calarco ofiarowano mi karykaturę (1990).

Calarco mówi do mnie: – *Drodzy polscy bracia, jesteśmy wam bliscy, bo połączeni w Chrystusie…Ale jako starsi bracia, bardziej przebiegli, muszę przyznać, że jesteście niezwykle naiwni.*

Dwadzieścia lat później przeżyłem niesamowite chwile w Palermo. Przebudowa i prace remontowe sprawiły, że nie mogłem trafić do wyraźnie wydrukowanego na planie miasta archiwum. Gmach okazał się w remoncie. Pracujący w nim robotnicy budowlani nie znali nowego adresu. Zgłosiłem się na posterunek carabinieri. Żandarmi też nie wiedzieli. Po bezskutecznym półtoragodzinnym krążeniu po starej nadmorskiej dzielnicy natrafiłem nagle na ogromnego mężczyznę, który wyłonił się nie wiadomo skąd, jakby w mnisim brązowym habicie, prowadząc na smyczy brązowego jamnika. Był obwieszony w pasie kluczami. Sprawiał wrażenie przybysza z zaświatów.

– *Tu jest dawna zbombardowana podczas wojny dzielnica żydowska. Trudno się rozeznać. Szukacie zapewne tymczasowej siedziby archiwum? Jestem adwokatem, często tam bywam, prowadząc różne sprawy. Pokażę, gdzie to.*

Pokazał. I zniknął równie nagle, jak się pojawił. Z portierni nie można było zadzwonić do dyrektora archiwum. Telefony nie działały. Jakoś wdarłem się do sekretariatu. Dyrektor, wesolutki jegomość, wyskoczył do mnie. Wskazał ręką stojące koło biurka walizki:

– *Ale ja nie mam czasu. Wyjeżdżam do Bolonii.*

– *Przecież pana uprzedzał chyba profesor Luigi Lotti, mój przyjaciel.*

– *Nie tym razem.*

Nie wytrzymałem. Wymieniłem nazwisko znanego mi ministra, jego najwyższego zwierzchnika.

– *A, to co innego. Siadajmy.*

Ale Sycylia jest chyba za trudna dla mnie. Z chaosu Archiwum Państwowego Palermo nie udało mi się jeszcze do dzisiaj wydobyć dokumentów o Polakach, którzy wśród tysiąca czerwonobluzych Garibaldiego zajmowali Sycylię w 1860 roku.

Kiedy przyjeżdżałem do Włoch w latach 1960–1970, znaczna część społeczeństwa demonstrowała barwy czerwieni. Zaczynało się od „Il Manifesto", kończyło w okolicach socjaldemokratów. Najliczniejsi byli komuniści. Ale po roku 1968 na ulicy czy w pociągu, gdy pytano mnie, skąd mój akcent, deklarowałem się kilka razy jako Czech. Nie kwapiłem się do wysłuchiwania ostrych uwag o interwencji wojska polskiego w Czechosłowacji.

W sierpniu 1971 roku szukałem miejsca na urlop. Zasięgnąłem rady u sprzedawczyni sklepowej Giny:

– Gdzie można najtaniej i daleko od cudzoziemskich turystów odpocząć nad morzem?

– Jedźcie nad Adriatyk. Tam jest moja miejscowość.

Była to zapadła dziura niedaleko Ankony – Porto Potenza Picena. Od razu po przyjeździe na miejsce poszedłem na stacyjkę kolejową. Nabzdurzyłem zawiadowcy, że jedziemy z dalekiego kraju, że nawet tam mówiono mi o wspaniałych możliwościach wypoczynku w Porto Potenza Picena. Zawiadowca przyjął to na serio.

„Polska to komuniści" – załatwił nam tanio i elegancko locum u komunisty Giuseppe, który prowadził na plaży w drewnianym baraku bar pod skromną nazwą „Czerwona Gwiazda". Załatwiał nam wszystko. Ale miał tylko podstawowe przygotowanie ideologiczne, toteż od czasu do czasu prawił banały o komunistycznym raju, który przyjdzie ze Wschodu.

Te pouczenia przeciąłem krótko. Pewnego dnia powiedziałem:

– Zgoda, Pepe. Może przyjdzie raj. Tylko, tak jak u nas w Polsce, twój bar stanie się państwowy.

Giuseppe przestał nas pouczać.

O włoskiej wrażliwości przekonaliśmy się w Porto Potenza Picena oglądając w kinie letnim nowy wtedy film Vittorio De Sici „Ogród rodziny Finzi-Continich" (według powieści Giorgia Bassaniego). W momencie, kiedy ktoś mówi chłopcu, że z uwagi na nowe prawa rasowe nie będzie mógł przychodzić do biblioteki, kilka osób rozpłakało się. Ktoś krzyknął:

– *Co za hańba!*

Zaledwie trzy lata po haniebnym wybuchu antysemityzmu w Polsce pomyślałem sobie, a któż u nas by zapłakał z tak błahego powodu?

41. Renzo De Felice, czyli wielobarwność minionego stulecia

Mine niebawem ćwierć wieku od śmierci jednego z najgłośniejszych historyków włoskich – Renzo De Felice (1929–1996). Był mi mentorem i przyjacielem. Jego wielką zasługą stało się podjęcie kilkanaście lat po upadku faszyzmu szczegółowych, nader szczegółowych studiów nad dziejami Włoch faszystowskich, stałe wydobywanie różnic między nazizmem a faszyzmem. De Felice głosił był, iż najpierw należy dokładnie odtworzyć dzieje, a potem dopiero ewentualnie ferować wyroki. Sprzeciwiał się, aby potępienie polityczne, ideologiczne i moralne faszyzmu włoskiego określało raz na zawsze wszelkie oceny minionego czasu. Z latami coraz donośniej powtarzał za Benedettem Crocem, iż zadaniem historii jest wyjaśniać, a nie osądzać; co więcej, pozwalał sobie w ostatnich latach życia twierdzić, że w historii politycznej trudno określać słuszną czy niesłuszną stronę barykady, że historia powinna szukać przynajmniej zrozumienia, jeżeli nie porozumienia z tymi, którzy wczoraj przegrali. Ryzykowna to teza i łatwo można by ją było obalić przykładami z historii ostatnich stuleci. Czy historia rzeczywiście szuka porozumienia z przegranymi budowniczymi reżimów totalitarnych? Podobnymi opiniami włoski uczony raczej epatował, prowokował do myślenia, niż przedstawiał swoje credo historyka.

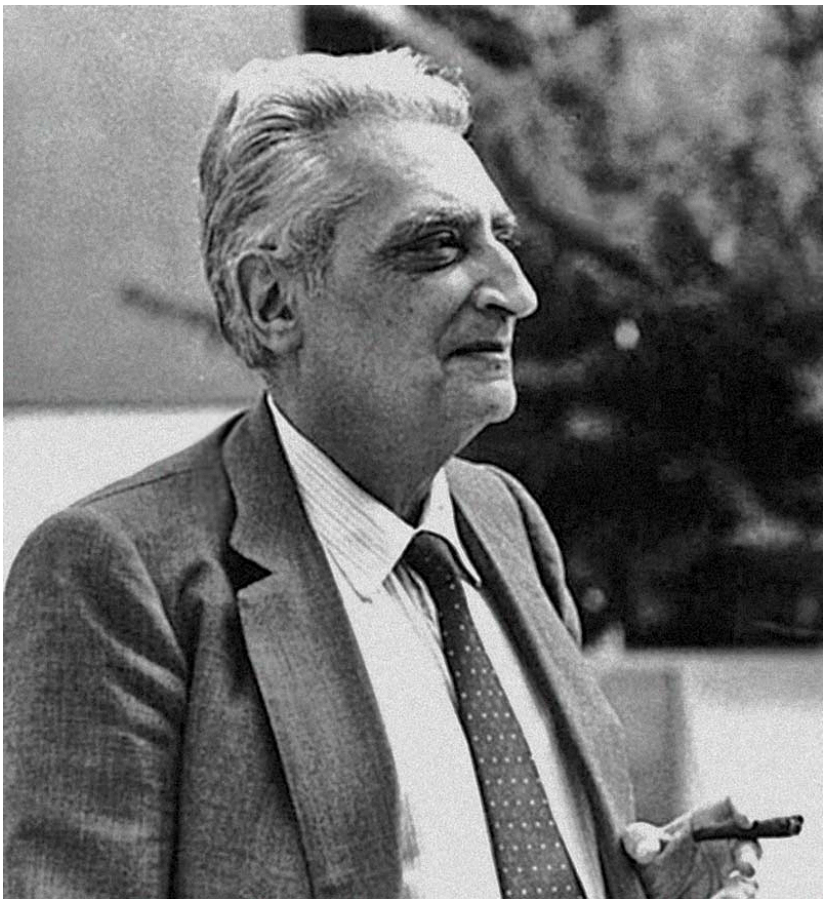

62. Renzo De Felice dla moich studiów nad faszyzmem był postacią najważniejszą.

Do barykady nie podszedł z jej prawej czy faszystowskiej strony (świadomie oddzielam tu te dwa przymiotniki). Pierwszy tom monumentalnej biografii duce zatytułował „Mussolini il rivoluzionario, 1883–1920" (Mussolini rewolucjonista, 1965). Przedmowę do książki młodego historyka napisał znany marksista Delio Cantimori. Przez ponad trzydzieści lat poszczególne tomy biografii ukazywały się w turyńskim lewicującym wydawnictwie „Einaudi".

De Felice wydobył momenty rewolucyjne i idee socjalistyczne faszyzmu włoskiego, odgraniczając go od tradycyjnej prawicy włoskiej. Starał się wykazać, iż faszyzm przejął wiele z demagogii socjalnej liberalizmu włoskiego czasów pierwszej wojny światowej, kiedy to rząd zabiegał o poparcie mas. Włoski historyk przebył długą drogę polityczną: w młodości był komunistą. Wystąpił z Komunistycznej Partii Włoch po

wydarzeniach węgierskich 1956 roku. Jego późniejsze, mniej formalne związki polityczne sprawiały, iż stopniowo przesuwał się w stronę laickiego centrum i prawicy, zaprzyjaźniony z liberałami i republikanami. Jemu powierzali swoje puścizny prywatne hierarchowie faszyzmu, poczynając od wielkości takich jak współorganizator marszu na Rzym i minister spraw zagranicznych Mussoliniego, a później organizator „buntu" Wielkiej Rady Faszystowskiej przeciwko duce – Dino Grandi.

W stronę Emila Zoli

Ponad trzydzieści lat życia poświęcił De Felice studiom nad biografią Mussoliniego. Jest to praca choćby objętościowo monumentalna, liczy bez mała siedem tysięcy gęsto zadrukowanych stron. Jej ósmy, niedokończony tom „La guerra civille, 1943–1945" (Wojna domowa 1943–1945) ukazał się już pośmiertnie.

Biografia Mussoliniego jest w znacznej mierze historią faszyzmu włoskiego. Z upływem czasu pisanie jej postępowało coraz wolniej. Biograf zrastał się niejako z portretowanym bohaterem, czasami zdawało się, iż prowadził sam na sam dialog z duce. Ciekawił go każdy szczegół, każdy nieznany dokument, każda możliwa interpretacja. Może nadmiernie zagłębiał się w szczegóły. Drzewa niekiedy przesłaniały mu las, ale z jakimże pożytkiem dla kolegów po fachu, którzy korzystając z jego benedyktyńskiej pracy, będą tworzyli syntezy dla szerokiej publiczności! Jego epickie zmagania z dokumentacją do wielotomowej książki o Mussolinim i faszyzmie włoskim przypominają postać malarza bohatera „Dzieła" Zoli (prototypem był podobno jego przyjaciel Paul Cézanne), coraz bardziej przytłoczonego perfekcyjnym wykańczaniem obrazu, którego ukończenie stale odkładał.

De Felice zajmował się historią narodową i był narodową wielkością. Jego książki – nie tylko biografia Mussoliniego, ale „Interpretacje faszyzmu" (tłumaczone na polski, niestety ze skrótami cenzuralnymi) czy

„Roso e Nero" (Czerwone i czarne) o włoskim ruchu oporu i Republice Salò oraz ich mistyfikacjach, a także – jeszcze bardziej – wystąpienia prasowe i telewizyjne wywoływały dyskusje już nie tylko środowiskowe, ale powszechne. Na przykład sporo lat przed sukcesami wyborczymi postfaszystów włoskich wystąpił z tezą, iż preambuła powojennej konstytucji Republiki Włoskiej jest przestarzała, albowiem oparta na przebrzmiałym i uporczywym przeciwstawianiu faszyzm–antyfaszyzm.

W odróżnieniu od wielu liberałów czy komunistów De Felice uznał czasy faszyzmu za integralną część dziejów Włoch, a nie za epizod, przypadek czy okres stojący poza nawiasem normalnego rozwoju narodowego. Uważał, iż faszyzm wyrastał z przeszłości kraju, że zamknął proces jednoczenia narodu i unifikacji państwa włoskiego. Faszyzm z książek De Felicego to ustrój cieszący się masowym poparciem. De Felice nie zawahał się przed przeprowadzeniem dowodu, wynikającego z wielu dokumentów – wbrew utartym opiniom – iż w czerwcu 1940 roku społeczeństwo poparło decyzję Mussoliniego o przystąpieniu do wojny, spodziewając się łatwych zdobyczy terytorialnych kosztem francuskiego sąsiada. Dopiero później przyszło otrzeźwienie, iż nie jest to wojna lokalna, ale globalna.

Zaznaczając zasadnicze różnice między sztandarowym antysemityzmem Trzeciej Rzeszy a oficjalnie narzuconym, instrumentalnym i niepopularnym we Włoszech antysemityzmem Mussoliniego, De Felice pokazał obojętność wielu rodaków wobec losu Żydów włoskich, a także elementy wyższości rasowej tkwiące na przykład w stosunku Włochów do Afrykańczyków. Te formy rasizmu wiązał w jedno.

Chętnie operował pojęciami większości i mniejszości. Przydawał wielkie znaczenie pojęciu większości jako twórcy dziejów. Czy nie pobrzmiewały tu mimowolne echa demagogii totalitarnych, zawsze uzasadniających działanie ruchu czy reżimu interesem narodu, ojczyzny, większości? To prowadziło go nieraz na manowce.

W ostatnich publikacjach De Felice pomniejszał wagę ruchu oporu, a także utworzonej na północy Włoch na rozkaz Hitlera Włoskiej Republiki Społecznej – Republiki Salò – pod patronatem często już bezsilnego i marionetkowego Mussoliniego. De Felice twierdził, iż wojna między antyfaszystowskimi partyzantami a fanatykami z Salò była „walką mniejszości" dalekich od tego, co zaprzątało większość Włochów. Zapominał, iż całą historię dziewiętnasto- i dwudziestowiecznych Włoch tworzyły aktywne mniejszości, że najważniejsze jest nie to, czy partyzantów było trzysta pięćdziesiąt tysięcy, czy niewiele ponad sto tysięcy, ale fakt, że ruch partyzancki rozrósł się jako spontaniczna reakcja na bezwarunkową kapitulację rządu królewskiego wobec aliantów 8 września 1943 roku, rządu, który nie kwapił się do walki z wojskami Trzeciej Rzeszy i faszystowskimi oddziałami ostatniej armii Mussoliniego.

Komuniści, rzecz to znana, wykorzystywali zasługi swojej partyzantki, aby w pozornie jednolitym froncie antyfaszystowskim ukryć własne dążenia do władzy totalitarnej. Ale De Felice mocno przesadza, obarczając komunistów i demokratyczną laicką Partito d'Azione całkowitą odpowiedzialnością za to, iż na gruzach faszyzmu nie udało się stworzyć nowej demokratycznej jedności narodowej. Nie sposób zapomnieć, że po roku 1943 istniały we Włoszech dwa społeczeństwa włoskie, których nie można było pogodzić. Faszyzm włoski obalono w rezultacie wojny, a nie długiej pokojowej ewolucji, jak frankizm w Hiszpanii. Antagonizmy w społeczeństwach polskim, węgierskim czy czeskim po roku 1989 były bez porównania słabsze niż we Włoszech w chwili upadku faszyzmu.

Kombatanci i defaszyzacja

Przez wiele dziesięcioleci opinia włoska (w tym i nauki historyczne) oceniała faszyzm przez pryzmat jego upadku, końca, a nie początków i lat rozwoju, lat modernizacji i awansu społecznego.

De Felice poddał surowej krytyce nieoparte na głębszych studiach archiwalnych, pisane po roku 1945 pod nowe gusta publiczności prace historyków z pierwszego dwudziestolecia powojennego. Nie zawahał się wskazać na czysto ideologiczne, a nie naukowe funkcje sieci instytutów historii ruchu wyzwolenia, które wyolbrzymiały znaczenie oporu i walki antyfaszystowskiej, przesłaniając fakty masowego poparcia dla faszyzmu przez dwa długie dziesięciolecia jego trwania. Sieć owych instytutów utworzona została po wojnie przez uczestników walki antyfaszystowskiej i oplotła cały kraj. Szeregi kombatantów antyfaszystowskich, normalną koleją rzeczy, rosły z latami w postępie nieomalże geometrycznym. Szczególnie żenujące były tu przypadki niektórych naukowców, którzy zadebiutowawszy w czasach Mussoliniego, starali się ukryć swoje zaangażowanie po stronie reżimu (egzekwowane zresztą i ewidencjonowane przez władze faszystowskie o wiele bardziej rygorystycznie, niż to było na przykład w PRL). Pracując w archiwach włoskich nad aktami personalnymi, często konfrontowałem mimowolnie na użytek prywatny wypowiedzi moich uniwersyteckich rozmówców, miłych i rzekomo antyfaszystowskich, z ich tekstami czy działaniami z lat faszyzmu.

Poparcie dla faszyzmu było w latach 1920–1930 zbyt powszechne, aby obrachunek z nim nie musiał stać się rozliczeniem ogólnonarodowym. Uniknięto tego rozliczenia. Nie sposób było w latach czterdziestych dokonać wymiany rozrosłego, podniesionego wysoko w hierarchii społecznej za czasów Mussoliniego aparatu urzędniczego. Defaszyzacja we Włoszech stała się z wielu względów wyrywkowa i powierzchowna. Przyczyniły się do tego z jednej strony taktyka komunistów propagujących antyfaszystowską jedność moralną (z włączeniem świeżo nawróconych na nową wiarę faszystów), z drugiej zaś strony – jedność antykomunistyczną narzucaną przez chadecję, która przez dziesięciolecia sprawowała władzę.

Czystką antyfaszystowską zajmowały się częstokroć organy władzy państwowej złożone z byłych urzędników upadłego systemu. Wielu z nich pozornie tylko podpisało się pod nowymi, demokratycznymi hasłami

Republiki Włoskiej, zachowując w istocie dawne więzi z czasów faszyzmu i wzajemną lojalność współodpowiedzialnych za przeszłość.

Zależność historyków

Dzieje faszyzmu włoskiego są zbyt odległe i na tyle nieznane polskiemu czytelnikowi, iż pragnąłbym ograniczyć się tylko do kilku przedstawionych refleksji.

Rewizjonizm historyczny De Felicego wywoływał echa i poza granicami Włoch. Po jego śmierci znany niemiecki historyk myśli politycznej Ernst Nolte zameldował się jako towarzysz broni De Felicego – „rewizjonisty i autora tez niepopularnych".

Nolte w ostatnich latach przedstawiał hitleryzm jako ruch wtórny – przede wszystkim jako odpowiedź na bolszewizm i powstanie Rosji radzieckiej, zaś antysemityzm Hitlera czasu drugiej wojny światowej jako po części przynajmniej ripostę na „wojnę" wypowiedzianą Trzeciej Rzeszy w 1939 roku przez międzynarodowe organizacje żydowskie. Przeciwko Noltemu i jego paru sojusznikom, którzy chcąc czy nie chcąc pomniejszają odpowiedzialność partii nazistowskiej i narodu niemieckiego za zbrodnie masowego ludobójstwa, wystąpiły publicznie dziesiątki najznakomitszych historyków niemieckich. W tak zwanym sporze historyków – „Historikerstreit".

Pozycja De Felicego jest i pozostaje inna. Nigdy nie negował on zbrodniczych stron i samoistności zjawiska faszyzmu włoskiego, odpowiedzialności za nie właśnie samych Włochów. Zawsze też był popierany w swoich rewizjach historycznych przez znaczące grono polityków i historyków, poczynając od komunisty Giorgia Amendolego (jedno z najgłośniejszych nazwisk współczesnych Włoch), nieżyjącego już słynnego liberalnego historyka Rosaria Romeo czy senatora socjalisty Leo Valianiego – jednego z przywódców niekomunistycznego ruchu oporu przeciwko Mussoliniemu.

Rewizje historyczne De Felicego, zarówno zasadne, jak i odrzucone przez historyków, kosztowały go bardzo wiele: jako słynny już badacz miał kłopoty z uzyskaniem stanowiska na Uniwersytecie Rzymskim, a czasami wręcz oskarżano go o sprzyjanie faszystom…

Spory o odtworzenie historii współczesnej dużego państwa postfaszystowskiego, jakie rozpętał zmarły historyk, dają – mimo wielu zasadniczych różnic – dużo do myślenia w realiach państw Europy Środkowej i Wschodniej po 1989 roku.

Czy niewiele lat po upadku tak zwanych reżimów komunistycznych nasi historycy są równie zależni od ciśnienia opinii publicznej, ideologii i nowych układów jak niegdyś ich włoscy koledzy? Czy minione 45-lecie PRL będą oni przez pierwsze dziesięciolecia po roku 1989 przedstawiać głównie w barwach czarno-białych, a wielobarwność odtworzenia minionych lat 1944–1989 stanie się dopiero sprawą przyszłości?

Czy lata 1944–1989, a więc bez mała półwiecze dziejów narodowych, wpisują się w ciągłość wielu procesów politycznych, gospodarczych, społecznych, obyczajowych zachodzących w Polsce od paru stuleci, czy też uznane zostaną za sztuczny okres w życiu narodowym, przerwę w jego ciągłości?

Czy w zależności Polski od jej sąsiadów, Polski położonej niezmiennie między Rosją a Zachodem, i w stosunku Rosji i Zachodu do średniej wielkości narodu w sercu Europy nie ma ciągłości od końca XVIII wieku po dzień dzisiejszy?

Czy dodatnie i ujemne strony masowego awansu społecznego i upolitycznienia mas dokonanego za czasów faszyzmu włoskiego są w pewnej mierze porównywalne z podobnymi procesami w PRL? Nie zapominajmy, iż o rozpoczętej, pół wieku bez mała po upadku faszyzmu włoskiego, akcji „czystych rąk" we Włoszech, która rozlicza – na razie jeszcze wyrywkowo – przestępstwa i nadużycia z całego półwiecza 1945–1995, mówi się, że jest to również rozrachunek z masowym załamaniem się norm etycznych za czasów faszyzmu i drugiej wojny światowej, że

społeczeństwo włoskie w Republice powojennej zachowało wiele z obyczajowości wpojonej przez Mussoliniego. I że czas z tym skończyć.

Analogie i pytania można mnożyć, ale nie ulega kwestii, że z perspektywy półwiecza pojęcia faszyzm–antyfaszyzm–postfaszyzm okazują się o wiele bardziej wycieniowane, niż jawiły się w dwubarwnym schemacie od razu po 1945 roku. Nie oznacza to bynajmniej, że perspektywa zmniejsza głęboką przepaść, dzielącą je w określonym czasie historycznym.

42. Iettatore

Dziwne słowo włoskie. Oznacza człowieka sprowadzającego nieszczęścia, rzucającego urok. Pierwszy raz usłyszałem je z ust filologa klasycznego Bronisława Bilińskiego (1913–1996), który przez dziesięciolecia kierował Stacją Naukową PAN w Rzymie. Słynął z tego, że usiał całe Włochy tablicami pamiątkowymi ku czci znanych Polaków, którzy przewinęli się przez Półwysep Apeniński

Stacja Naukowa zajmuje piętro w Palazzo Doria, o parenaście metrów od serca Rzymu – Piazza Venezia. Otóż, jak opowiadał mi profesor Biliński, postanowił się w niej przechować taki „iettatore" – przynoszący nieszczęście Włoch.

Nazywał się Eugenio Coselschi (1888–1969). Oskarżony o przestępstwa znany faszysta z uwagi na nazwisko mógł udawać Polaka, choć po polsku nie mówił. Ale już w 1932 roku w czasie jednej ze swoich wizyt w Belwederze wepchnął się na zbiorowej fotografii obok marszałka Piłsudskiego. Ambasador polski w Rzymie Alfred Wysocki, wytrawny dyplomata z austriackiej szkoły, ostrzegał, że Coselschi jest Włochem, może pochodzenia słowiańskiego, ale z wybrzeża dalmatyńskiego i z Polską nie ma nic wspólnego. Podawał w wątpliwość wartość tytułu generalskiego (generała milicji faszystowskiej), jakim się chętnie posługiwał Coselschi. *A w rzeczywistości sprytny i zapobiegliwy adwokat florencki, który dorobił się znacznego majątku* – pisał Wysocki.

Zdumiewające, że zarówno Biliński, jak i niewierzący historyk Renzo De Felice i wierzący chyba minister Mussoliniego Fulvio Suvich, kiedy pytałem o Coselschiego, powtarzali niemal zabobonnie: „iettatore".

Działacze faszystowscy, którzy znali Coselschiego, niechętnie przyznawali się do tej znajomości. Za słowem „iettatore" musiała kryć się świadomość, że maczał palce w prowokacjach i aferach wywiadowczych, od których woleli się odżegnywać już za czasów faszyzmu.

Coselschi był faszystą z pierwszego naboru, sekretarzem prywatnym Gabriele'a D'Annunzia w czasie zajmowania Rijeki (Fiume) i jej aneksji (1919), co jak wiadomo, stało się skandalem międzynarodowym. Potem Mussolini powierzał mu misje sondowania Polaków i inspirowania terrorystów bałkańskich. Ułatwiały to Coselschiemu funkcje różnego rodzaju, na jakie osobiście nominował go Mussolini: szefa kombatantów pierwszej wojny światowej i organizatora międzynarodówki faszystów pod egidą Rzymu. Tej międzynarodówki nie udało się powołać do życia. Coselschi uskarżał się, że marksistom i komunistom z ich hasłem: „Proletariusze mają jedną wspólną ojczyznę", jest o wiele łatwiej, niż faszystom, z których każdy głosi odrębny nacjonalizm swojego narodu. Wtedy poznał zapewne chorwackiego wodza – poglavnika ustaszów – Ante Pavelicia. W czasie drugiej wojny stał się doradcą tego arcykrwawego mordercy Serbów, Żydów i Cyganów. Wierny sługa duce do końca w faszystowskiej Republice Salò stał na czele gwardii republikańskiej Mussoliniego. Jak wiadomo, nie próbował go ocalić.

Po wojnie wkradł się w łaski sędziwego premiera Włoch z czasów pierwszej wojny światowej Vittoria Emanuela Orlanda (1860–1952) i występował w jego imieniu. Skompromitował starca. Uchronił się od odpowiedzialności za faszyzm i bezpowrotnie ukrył wiele ze swego udziału w zamachach i skrytobójstwach.

Z czytelni Stacji Naukowej PAN w Rzymie, po zidentyfikowaniu, Bronisław Biliński postarał się go pozbyć.

43. Pablo Neruda

Zatarły się ślady pobytów poety w Polsce. W moim archiwum zachowały się niedatowane fotografie. Lata 1950–1951. Neruda był gościem u mojego ojca w Rucianem, w Warszawie, w Zakopanem. Banalne fotki z ojcem z Zakopanego. Neruda, uciekinier z Chile, odwiedzał zmarginalizowanego przyjaciela. Uważał ojca za takowego, o czym świadczy poświęcony mu rozdział wspomnień z pobytu w drewnianym domostwie pojunkerskim w Rucianem. Zwiedzili wtedy bunkier Göringa. Przyjaźń potwierdzają drukowane i odręczne dedykacje na książkach, które pozostały w naszej bibliotece. Przede wszystkim dla ojca, ale także niedoręczone druki dla Erenburga czy Picassa.

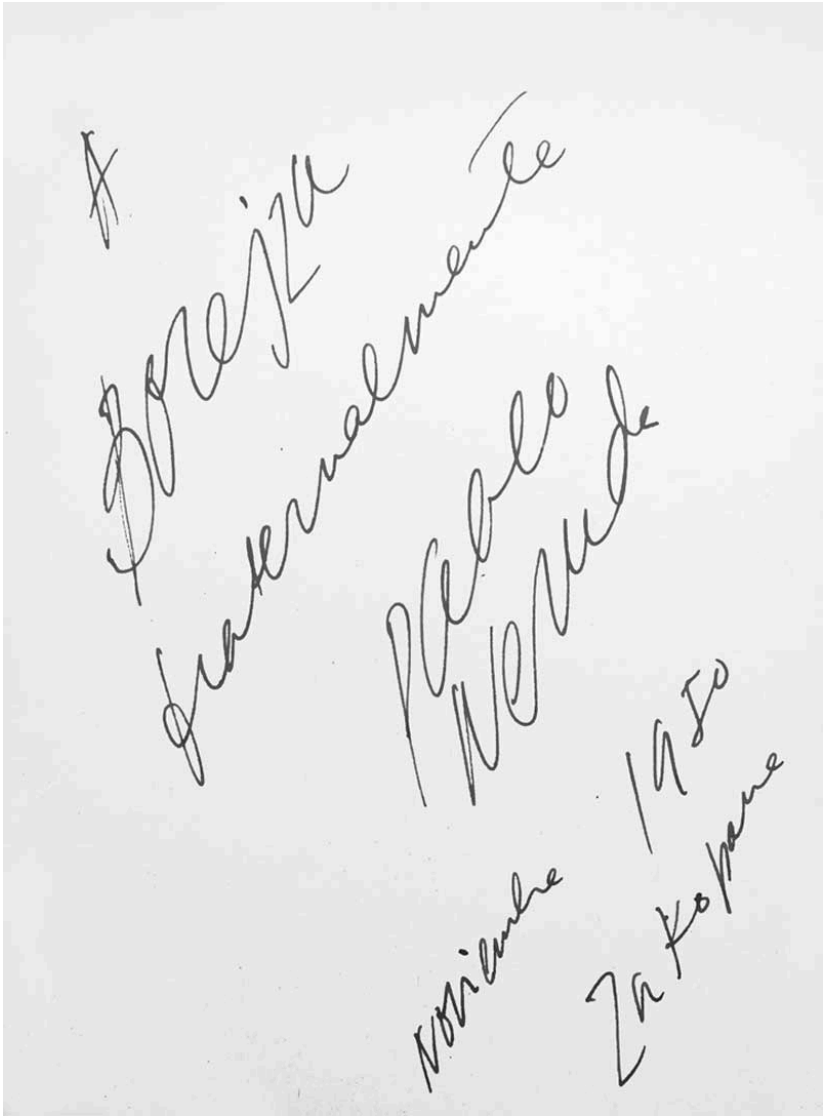

63. *Borejszy po bratersku – Pablo Neruda*. Jedna z licznych dedykacji dla mojego ojca.

Przypuszczam, że dwóch różnych ludzi zbliżyła uproszczona, wręcz naiwna wiara w idee komunistyczne jako panaceum na wszystkie bolączki świata, na wyzwolenie biednych i uciśnionych, nędzników Europy i obu Ameryk. Czy ta wiara pozwalała im przystać na to, że cel uświęca środki? Śmiem w to wątpić. Jeśli czytamy, że Jorge Luis Borges oświadczył kiedyś, że *Neruda jest wyjątkowo podłym człowiekiem i wyjątkowo dobrym poetą*, to nie zapominajmy, że mówił to luminarz, który należał do konserwatywnych przeciwników politycznych Nerudy, człowiek o niesławnych związkach z argentyńskimi dyktatorami. To, że Nerudę wielu uważało za

największego poetę XX wieku, a przynajmniej najwybitniejszego poetę języka hiszpańskiego naszych czasów, pozostaje w mocy po dziś dzień. Tak twierdził i mój ojciec. Często mylił się w polityce, ale był niewątpliwie świetnym znawcą poezji i malarstwa. Pamiętam, jak wygłosił do mnie przy jakiejś okazji apologię nieznanego całkiem w Polsce znakomitego nikaraguańskiego poety sprzed pierwszej wojny światowej – Rubéna Dario (1867–1916).

Nie byłem obecny przy wizytach Nerudy u ojca w Polsce. Wiele lat później, kiedy poeta otrzymał Nagrodę Nobla, zadzwoniłem do niego we wrześniu 1972 roku. Byłem przejazdem w Paryżu. Neruda urzędował tam jako ambasador Chile, osobisty przedstawiciel prezydenta Salvadora Allende (1908–1973). Przedstawiłem się jako syn Jerzego – Jorge. Natychmiast zaprosił mnie. Byłem u niego na dwóch krótkich rozmowach w budynku przy Avenue de la Motte-Picquet. Wypytywał mnie głównie o ostatnie miesiące ojca. Dziwił się, że nie mam żadnej dokumentacji o jego latach francuskich, o hiszpańskich znajomościach. Poprosił o sporządzenie dla niego krótkiego życiorysu ojca. Dostarczyłem go po francusku. Potrzebował go może do wspomnień, które pisał. Nie zdążył z tego curriculum vitae skorzystać lub uznał je za nieistotne. W jego tłumaczonym na wiele języków pamiętniku „Wyznaję, że żyłem" odnajdujemy sympatyczną opowieść o człowieku na dalekich jeziorach mazurskich, mówiącym nieco staroświecką hiszpańszczyzną o Don Kichocie i Sancho Pansie, który na pożegnanie wręcza mu najdłuższego węgorza, jakiego udało się złowić w tamtej krainie. Węgorz w kraju pozbawionym lodówek, jakim była ówczesna Polska, niezmiernie komplikuje podróż Nerudy.

Próbowałem skorzystać z rozmowy z Nerudą, który był w roku 1972 w apogeum sławy i znaczenia. Niewinnie spytałem: czy nie zamierza użyć swojego autorytetu dla obrony prześladowanych intelektualistów w Europie Wschodniej? Spojrzał na mnie wymownie:

– Mój osobisty stosunek do pana ojca to jedna sprawa, a tamto zupełnie inna. Jestem tutaj przedstawicielem dyplomatycznym Salvadora Allende, mojego kraju.

Do takich spraw nie będę się mieszał.

Audiencja była skończona.

Potem dowiedziałem się, że Neruda przyjmując mnie, był już ciężko chory. Czytałem też pogłoski, że jego zgon świadomie przyspieszono po zamachu stanu Pinocheta. Wiele lat później zorientowałem się, że rozpowszechniane wytrwale pogłoski o znacznym udziale Nerudy w przygotowaniach do zamachu na życie Leona Trockiego w roku 1940 w Meksyku były świadomą akcją wywiadu amerykańskiego przeciwko „czerwonej wielkości". Był zbyt popularny i niebezpieczny. Kiedy czytał swoje wiersze na stadionach Meksyku czy Brazylii, gromadził dziesiątki tysięcy ludzi. Parę razy nawet ponad sto tysięcy. Mam na pamiątkę afisz z takiego mityngu.

44. Słońce Paryża

Rok 1959. Paryż. Jestem tu drugi dzień. Przedzimie. Listopad lub grudzień. Siódma rano. Prowadzony prawie za rękę przez mojego „przyszywanego kuzyna" i opiekuna – Leona Anlena – dochodzę do przystanku autobusowego. Na przystanku stoi jedna osoba z walizką. Jak się okazuje – młodziutka Szwedka, która przed chwilą wysiadła z pociągu na dworcu. Pierwszy raz w Paryżu. Ma tu być „fille au pair" (pomagać rodzinie francuskiej w zamian za mieszkanie i utrzymanie, bez wynagrodzenia, a przy okazji uczyć się języka francuskiego). Patrzy z uśmiechem w zimowe słońce, które też wstało wcześnie.

Leon skomentował: – *Jest pełna nadziei. Jeszcze się przekona, że to miasto to bezlitosny moloch.* – Poprzedniego dnia pokazał mi w centrum miasta parę starych ludzi wprzęgniętych do drewnianej dwukółki wyładowanej nędznymi rzeczami. Opuszczali Paryż: – *To eksmisja. Sytuacja emerytów bywa tu straszna.*

Moje pojęcia o Francji i Francuzach zaczął kształtować na żywo właśnie Leon, który ledwo rok temu opuścił Polskę. Nie dowierzałem mu. Natomiast wyrocznią dla mnie stał się od razu tęgi, jowialny Francuz, student chemii Georges Bram, poznany zaledwie miesiąc wcześniej w Strasburgu. Tam studiował. Mieszkał z rodzicami w Paryżu przy bulwarze Barbès 57. Natychmiast zaproponował mi gościnę. Odtąd przez prawie pół wieku, do feralnego 21 czerwca 2004 roku, jego domy były moimi: w Saint-Fargeau nad Sekwaną, w Orsay pod Paryżem.

Georges Bram pochodził z rodziny biednych Żydów polskich z Łaska. Jego rodzice jako młodzi ludzie wywędrowali za chlebem do Francji. Tu w roku 1937 urodził się Georges. Ojciec, wywieziony podczas wojny do Auschwitz, zginął. Matka z dzieckiem ocalała i wyszła powtórnie za mąż za

warszawskiego Żyda, który uratował się w 1945 roku z tegoż samego obozu zagłady. Dobry majster szewski poradził sobie w nowych warunkach. Mozolnie dorobił się statusu drobnego, ale dostatniego kupca, sprzedającego obuwie. Ośmioletniego w 1945 roku chłopca nie adoptował, co później przysporzyło mu kłopotów (piszę o tym w innym miejscu). Ale traktował go jak syna.

Chłopiec ten był Francuzem w pierwszym pokoleniu. Polskiego ani jidysz nie znał. Francuskim władał za to pięknie. Francję, jak większość ówczesnych Francuzów, uważał za najlepszy, najważniejszy kraj Zachodu, jego matrycę intelektualną.

Georges było to sto kilo dobroci i uśmiechu. Dla opowiedzenia dobrego żartu gotów był telefonować do Warszawy z wakacji z Pirenejów. Domeną jego był humor żydowsko-francuski. Kiedyś zbudził nas w Warszawie pytaniem:

– *Wiecie, jaka jest różnica między żydowską matką a palestyńskim terrorystą?*

I sam odpowiedział: – *Z palestyńskim terrorystą można próbować pertraktacji.*

Po czym następował wybuch śmiechu. Śmiał się basowo, głośno, tubalnie. Ten donośny głos odziedziczyła po nim piękna córka Sophie. Jeszcze jako małą dziewczynkę prowadzał ją ze sobą na komedie filmowe. Kiedy wybuchali w kinowych ciemnościach jednoczesnym śmiechem, rozlegały się głosy protestu i okrzyki, którymi ich uciszano.

Przedstawiając przyszłego zięcia, chłopca z rodziny arabskiej, nie mógł sobie darować łatwej po francusku żonglerki słownej:

– *Voici un ami de Sophie, ou peut-être l'ami de Sophie…* (*Nie wiem, jak go przedstawić, to jeden z przyjaciół Sophie czy może przyjaciel Sophie…*).

Głos „Jojo", jak przyjaciele nazywali Georges'a, żyje, uwieczniony na płycie pieśni stalinowskich nagranej przez niego i kolegów po francusku w wieku dojrzałym, dziesięciolecia po rewelacjach Chruszczowa o Stalinie. Chór z udawanym przejęciem odtwarzał zapał i zaślepienie czasów swojej młodości. W owym nadmiernym zapale słychać i sentyment, i ironię. Szczególnie, kiedy wysławiano Stalina, Maurice'a Thoreza i jego żonę.

Albowiem Georges był w latach studenckich francuskim komunistą. Kiedy zamieniłem z nim kilka pierwszych zdań o polityce, czułem, że znał książki André Gide'a, André Malraux, George'a Orwella czy Arthura Koestlera. Ale jeszcze wierzył, że idee komunistyczne zdobędą prawo bytu. A ja, z kolei, też jeszcze sądziłem, że Polskę Gomułki można przerobić na kraj bliższy wyznawanym przeze mnie socjalistycznym utopiom.

Daleki ZSRR, nawet daleka Polska, których nie znał i nie widział, jawiły się Georges'owi prawie jako ziemia obiecana. Chciał wierzyć, że na wschodnioeuropejskim cmentarzysku milionów Żydów powstanie może społeczeństwo internacjonalistów. Słowo „internacjonalista" było wtedy w użyciu. Pozytywnym oczywiście.

Matka Georges'a, poczciwa prosta kobieta bez wykształcenia, od początku naszej znajomości liczyła na to, że wyperswaduję jej synowi pozostałości jego wierzeń. Ojczym tylko machał ręką: w czystej polszczyźnie rzucał ciężkim słowem pod adresem rozpuszczonego jedynaka. Po francusku i matka, i ojczym Georges'a mówili fatalnie. Za szorstkimi uwagami Borysa Holcmana kryła się jednak duma z osiągnięć naukowych (nieprzysposobionego nawet) pasierba. I wzajemnie: Georges nie ukrywał, że bez rodziców wiele by nie osiągnął.

Georges kochał ludzi. Xavier Bataille i Hervé This, znani chemicy, swój artykuł wspomnieniowy opatrzyli tytułem „Georges Bram, chemik i przyjaciel chemików (1937–2004)". I zaczęli od słów: *Któż z chemików nie był jego przyjacielem?* Nie tylko z chemików. Znali go antykwariusze z paryskiego Quartier Latin, z Londynu i z Brukseli. Zajmował się Georges historią chemii i posiadał wspaniały zestaw starodruków z tej dziedziny. Jego kolekcja należała do najcenniejszych we Francji. Znawcy cenili też jego zbiór medalionów słynnego Davida d'Angers. Zgromadził w nim główne postaci rewolucji 1789 roku, a także podobizny uczonych i pisarzy. Nie zabrakło i Adama Mickiewicza.

Georges czytał dużo, eklektycznie i zachłannie. Czuł potrzebę dzielenia się lekturami z otoczeniem. Był niezmiernie towarzyski i przemyśleniami swoimi obdarzał znajomych – najchętniej przy suto zastawionym stole

i butelce wina. Nie gardził i koniakiem. Wmówił mi na całe życie, że najlepszym jest Rémy Martin. Jako chemik był specjalistą od żywienia. Odżywiał się jednak nadmiernie. Skutki tego, przy jego jawnych skłonnościach do tycia, były opłakane. Znano go w wielu restauracjach, poczynając od personelu słynnego „Balzara" przy Sorbonie. Kiedy opuszczając Paryż, poprosiłem go, by trochę doglądał mojego młodszego syna Karola, studenta fizyki, niemal zawsze łączył te spotkania kontrolne z obfitym posiłkiem. Sportów nie uprawiał, chodzić nie lubił. Kiedyś przyjechał do mnie w odwiedziny do Berlina. Nalegałem na dłuższy spacer, Georges zbuntował się: *Quelle déchéance!* (*Jakiż upadek* – wykrzyknął – *czy tu nie ma taksówek?!*). Słowo „déchéance" zajmowało poczesne miejsce w jego słowniku. Gdy popełniłem jakiś błąd po francusku, natychmiast leciało „quelle déchéance!".

Był zacięty i pozornie wytrzymały. Potrafił przez wiele godzin nie wysiadać z samochodu. W 1961 roku pokonał za jednym zamachem swoim małym citroënem 2CV trasę z Warszawy do Paryża. Skończyło się to dwadzieścia lat później rozległym zawałem i czterema by-passami. W ówczesnej Europie był to rzadki przypadek operacyjny.

Georges zapoznał mnie z wieloma ciekawymi ludźmi, poczynając od dowódców francuskiej Résistance z Paryża i Lyonu. W mojej bibliotece zachowała się książka „Libération de Paris" (Wyzwolenie Paryża) podpisana przez pułkownika, komunistę Henri Rol-Tanguy, szefa partyzantki okręgu paryskiego, weterana walk z czasów wojny domowej w Hiszpanii. Środowisko ludzi prześladowanych, antyfaszystów, bohaterów partyzantki, w znacznej części komunistów i cudzoziemców, określiło od lat dziecięcych orientację i zasady etyczne Georges'a.

Za swoje zadanie uważał świadomie czy podświadomie wprowadzanie w życie francuskie cudzoziemców, a więc profesorów z Wietnamu, Szwajcarii, Rumunii, Anglii czy Polski. Nie zawsze odpłacano mu wdzięcznością. Ale niezrażony tym Georges nadal ufnie witał przybyszów. Jego nieschematyczne zachowanie czyniło go popularnym wśród studenterii.

W młodości Georges był bardzo kochliwy. Znałem dwie Polki, które pokpiwały z misiowatego Francuza i – co tu ukrywać – wykorzystywały jego szczodre serce.

Ojczym Borys rwał sobie włosy z głowy, powołując mnie na świadka.

– *Panie Jerzy. Pan widzi, co on wyprawia? Z powodu tej Polki z Kanady musiałem mu kupić bilet lotniczy. Czy pan wie, ile taki bilet kosztuje?*

Serdeczny przyjaciel Georges'a, finezyjny Jean Grobla, znany trockista, wielokrotnie powtarzał aż do ostatnich lat życia już ponad sześćdziesięcioletniego chemika:

– *Zobacz, ile w tym człowieku pozostało z dziecka. Typowy przykład infantylizmu.*

Kiedy rozglądam się po moim mieszkaniu, zewsząd wyziera mój najlepszy przyjaciel Georges. Zaczyna się od mojej żony Katarzyny, której francuszczyzny i manier nie mógł się nachwalić.

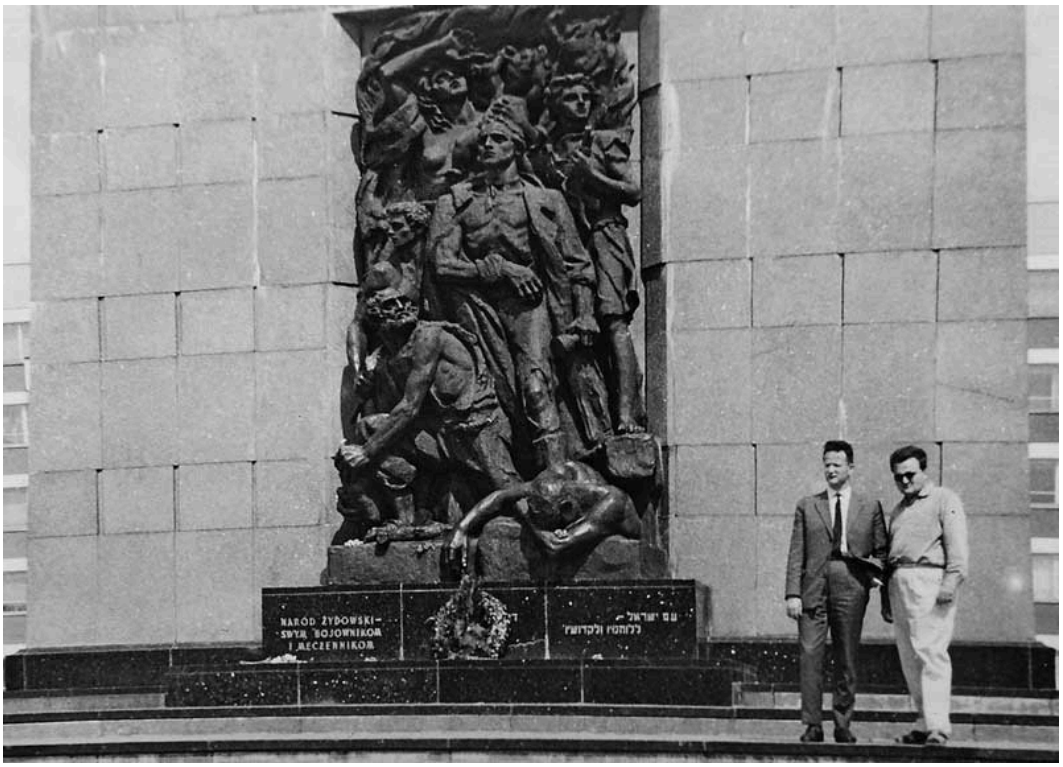

64. Z moim francuskim przyjacielem Georges'em Bramem przed warszawskim pomnikiem Bohaterów Getta (1961).

Po pierwszej kolacji u siebie szepnął mi:

– *To jest prawdziwa dama, żona dla ciebie.*

Na ścianach wiszą u nas stare litografie, które wyszukiwał dla mnie za grosze na nadsekwańskich bulwarach: Francuzi i powstanie styczniowe; mój ulubiony polityk Georges Clemenceau; medalion z podobizną Szwejka i głową Jarosława Haszka służy mi jako przycisk. Georges bardzo sobie Szwejka cenił. Doceniał humor emanujący z powieści.

Czytał najchętniej książki historyczne i kryminały. Kupował dla mnie, do moich badań, co tylko mógł o faszyzmie francuskim, o Pétainie i Lavalu. Były to często drogie pozycje. Wpychał mi je jako prezenty.

Vis comica. To działało na Georges'a. W 1961 roku latem zaprosiłem go do Polski. Mieszkał u mnie w Warszawie przy ulicy Waryńskiego na szóstym piętrze. Żarłok, z rana poganiał mnie, abym wypisał mu po polsku kartkę z zakupami śniadaniowymi do sklepu. Biegł z siatką. Zamiast zapisanych czterech bułek kupował dziesięć i powoli sam je pochłaniał. Czynił to, siedząc w małej loggii i obserwując dom wznoszony po drugiej stronie ulicy. Robotnicy na budowie popijali piwo, rozmawiali, wygrzewali się w słońcu. Lato było ciepłe. Georges przyglądał się codziennie temu widowisku i zanosił się śmiechem:

– *Teraz wiem, że socjalizmu tu się nigdy nie zbuduje.*

Z nieznanych mi przyczyn dom ten nigdy nie powstał. Budowę przerwano.

Uczył mnie Georges piosenek francuskich, starych rewolucyjnych i sprośnych studenckich. Śpiewniki są jeszcze w mojej bibliotece. Mojemu starszemu synowi, wtedy licealiście, zafundował abonament znaczków poczty francuskiej.

Kiedy w roku 1996 kończyłem mój długi pobyt w Paryżu jako dyrektor Stacji Naukowej Polskiej Akademii Nauk, podarował mi książkę „La chimie dans la société" (Chemia w społeczeństwie) z dedykacją: *Jerzemu, który zasługiwałby (niekiedy!), aby być chemikiem. Z wiekową (niestety!) przyjaźnią.*

45. Borys

Mój francuski przyjaciel Georges Bram stracił ojca podczas wojny. Miał wtedy kilka lat. Ojciec, polski Żyd, emigrant z Łaska, został przez francuską policję wydany Niemcom i deportowany do Oświęcimia. Kiedy Georges jako znany profesor chemii zmarł w 2004 roku, jego prochy zgodnie z życzeniem rozsypano bezimiennie (*Tak jak po ojcu, nie będzie po mnie śladu*). Z Oświęcimia natomiast wychynął w 1945 roku człowiek, który został jego ojczymem – Borys Holcman.

Urodził się jako Berysz Holcman. We Francji zmienił imię na Borys. Był człowiekiem twardym. Pochodził z Końskowoli. Ale jako siedemnastoletni chłopiec znalazł się w 1921 roku w Warszawie. Prowadził wytwórnię butów. Natrafiłem na jego list do mnie z 15 maja 1964 roku: *Jestem w procesie z władzami niemieckimi o uzyskanie odszkodowania za poniesione straty materialne. Władze niemieckie wymagają dostarczenia im zaświadczenia, że posiadałem patent przed wojną. Myślę, że Pan by mi mógł wydostać takie zaświadczenie z Izby Rzemieślniczej w Warszawie, gdzie byłem członkiem*.

Podczas wojny Borys stracił całą rodzinę. Nie opowiadał nigdy o przeszłości. Musiał być dobrze wrośnięty w Warszawę. Po polsku mówił jak Polak. Ale kiedy nie chciał, aby pasierb rozumiał, o czym mowa, przechodził z żoną na jidysz. Matka Georges'a, kobieta dużej tuszy i jeszcze większej dobroci, wiele wycierpiała przez szorstkość Borysa. Kiedyś w ogródku przy ich drewnianym domku w St-Fargeau pod Paryżem Borys, patrząc na żonę, puścił głośno taką uwagę: *Cóż, panie Borejsza? Po winie ocet nie smakuje.* Pani Bramowa zrozumiała i rozpłakała się. Jakby powiedział mój „przyszywany" wuj niemieckiego pochodzenia Adolf Capf: – *Borys nie był mięczakiem*.

Może to właśnie pozwoliło mu przeżyć obozy koncentracyjne, dotrzeć po długiej pieszej wędrówce przez Niemcy i Francję do Paryża, trafić tu na wdowę Bramową i z jej małego sklepiku uczynić kwitnącą wytwórnię obuwia. Krok po kroku doszli do małej zamożności.

Matka Georges'a, zanim poznała Borysa, musiała przestrzegać jakichś starych żydowskich obyczajów, wyniesionych z rodzinnego miasteczka Łask koło Łodzi. Wspominała, jak przed wojną wypiekała świąteczną macę razem z matką przyszłego kardynała, arcybiskupa Paryża, Jeana-Marie Lustigera.

Borys jawnie wyzbył się w obozach wszelkich wierzeń religijnych, jeśli takie w ogóle kiedykolwiek posiadał. Na charakter tego suchego kościstego mężczyzny rzuca światło historia jego ucieczki z kolejnego obozu w 1945 roku. Kiedy Amerykanie podeszli blisko, Borys wraz z towarzyszem obozowym zdecydowali się na ucieczkę. Jego kompan był tak wycieńczony, że nie miał siły chodzić. Prosił Borysa, aby zostawić go gdzieś w rowie przydrożnym. Borys nie przystał na to. Ciągnął półumarlaka przez wiele dni na plecach do Francji. Uratował go. Uratowany wyemigrował potem do USA. Przeżył i Borysa, i chyba nawet Georges'a. Pamiętał do końca życia o długu wdzięczności po szosowej epopei, która mnie, wychowanemu na nowelach Jacka Londona, przypomina słynną „Miłość życia".

Borys pozornie kierował tylko krytyczne monosylaby pod adresem rozpuszczanego przez matkę jedynaka. Irytowały go zwłaszcza romantyczne pozy i wzdychania młodziutkiego Georges'a do kolejnych Polek, w których się pasierb zakochiwał, tracąc pieniądze ojczyma na podróże do Polski czy Kanady.

– *Działać trzeba z kobietami, a nie wzdychać! Ręce do przodu! Ryzykować!* – pouczał pasierba Borys.

Ale szorstkość była tylko powłoką. Byłem widzem na obronie rozprawy doktorskiej Georges'a. W dużej sali prestiżowej uczelni paryskiej, wśród tłumu znakomitych uczonych i lewicowych przyjaciół, Georges usadził na dwóch fotelach na podium swoich rodziców. Przedstawiał im swoich profesorów, nie krępując się tym, że rodzice nigdy nie nauczyli się

poprawnej francuszczyzny, że byli z zupełnie innego świata. W czasie obrony widoczne było, że Borysa rozpierała duma z pasierba. Z tego, co się działo podczas obrony, rozumiał chyba więcej niż jego żona.

Stara Bramowa umarła przed swoim mężem. Borys doczekał pełnoletniości prześlicznej wnuczki, która urodę odziedziczyła po rodzinie matki, przybyszach z Rumunii. Wnuczka niekiedy pomieszkiwała u niego. Stał się z wiekiem staroświeckim dziadkiem, wpadającym w panikę, kiedy Sophie czasem nie wracała na noc do domu. Wydzwaniał wtedy, szukając jej po Paryżu. Georges, ojciec Sophie, trochę to wykpiwał.

Ale pewnego dnia, bez kpiny, oznajmił mi, że Borys jest pogrążony w depresji, nie sypia po nocach i przesiaduje wiele u swojego adwokata. Okazało się, że Borys nie usynowił pasierba oficjalnie w odpowiednim czasie i teraz jego majątek, mieszkania w Paryżu i w Nicei mogą przepaść na rzecz państwa. Borys nie miał rodziny poza Georges'em. Prosił mnie o wydobycie z Warszawy odpowiednich zaświadczeń o swoim życiu przed 1939 rokiem. Mieliśmy się w tym celu spotkać w lokalu „Terminus Nord". Tam nieopodal Dworca Północnego w starej restauracji znanej z owoców morza lubił czasem bywać. Ale spotkanie odwołał. Minęło parę długich tygodni.

I nagle Georges zadzwonił do mnie.

– *Stało się. Borys znów śpi spokojnie. Przychodź w sobotę do „Terminus Nord" w południe.*

Na miejscu siedziała cała rodzina Bramów i Borys, spokojny. Uśmiechnięty nie był, co mnie nie dziwiło. Nigdy nie widziałem go uśmiechniętego.

Okazało się, że adwokat znalazł wyjście, które zapewniło Georges'owi dziedziczenie. Wykorzystał przepis, że jako sierota po więźniu Oświęcimia miał we Francji status specjalny „dziecka narodu" („pupille de la nation").

Stary Borys odzyskał w „Terminus Nord" apetyt. Jadł i rybne, i mięsne. Miał dobrą przemianę materii.

46. Biblioteka Polska w Paryżu

Była wiosna 1963 roku. W Paryżu na peronie stacji metra République rozmawiałem po polsku z moją towarzyszką Ireną. Stojąca obok leciwa jejmość nagle odezwała się też po polsku:

– *Państwo z Polski? Co tam nowego w Lublinie? Jak wygląda dzisiaj?*

– *A kiedy szanowna pani wyjechała z Polski?*

– *W 1927 roku.*

Polacy, mówiący po latach bezbłędną polszczyzną i Polacy, którzy zapomnieli języka, ale nie swoich korzeni, stanowili i stanowią jakieś grupki, fragmenty w wielkomiejskiej społeczności paryskiej. Pamiętam rozmowę po francusku z jednym z głównych protektorów Biblioteki Polskiej – André Poniatowskim z września 1972 roku. Toczyła się na najwyższym piętrze gmachu Biblioteki Polskiej na wyspie Świętego Ludwika (6, quai d'Orléans). Mieszkała tam potomkini wielce zasłużonej rodziny emigrantów politycznych z XIX wieku, ujmująca i wytworna Irena Gałęzowska. Oboje byli u kresu swoich dni. Zaproponowali mi nieoczekiwanie dla mnie podjęcie pracy kustosza w Bibliotece Polskiej.

Moi rozmówcy zmarli niemal jednocześnie w 1977 roku. Wcześniej już odszedł kustosz z prawdziwego zdarzenia, Czesław Chowaniec (1899–1968), znawca historii XVII wieku, który czasem korzystał z moich informacji przy porządkowaniu akt polskiej emigracji z drugiej połowy XIX wieku.

Z młodszego nieco pokolenia pochodziła bibliotekarka Wanda Borkowska (1906–1982), uczestniczka powstania warszawskiego.

Po raz pierwszy zetknąłem się z ekipą prowadzącą Bibliotekę Polską jako młody magister na przełomie 1959 i 1960 roku, zbierając materiały

o wychodźstwie polskim po 1863 roku. Okazali mi wiele życzliwości, a ja chętnie szukałem i wysyłałem im z Polski brakujące wydawnictwa. Pozostało po tych czasach sporo korespondencji między nami. Mimo moich komunistycznych paranteli darzyli mnie pewnym zaufaniem, a nawet uznaniem. To ostatnie było związane z moją wiedzą o polskim wychodźstwie politycznym. Za życzliwością dla mnie kryło się i to, że Chowaniec przed drugą wojną spotkał podobno na swojej drodze życiowej mojego ojca. Może na jakimś wykładzie księdza Augustyna Jakubisiaka (1884–1945), związanego z ruchem księży-robotników? Chowaniec powiedział mi tylko tyle, że „Czytelnik" w pierwszych latach po 1945 roku przysyłał bezpłatnie im, emigrantom politycznym, swoje książki.

Podjęcie przeze mnie studiów nad dziewiętnastowieczną polską emigracją było ideą wspólną dwóch profesorów Uniwersytetu Warszawskiego: Henryka Jabłońskiego (1909–2003).) i Rafała Gerbera (1909–1981) Obaj byli ludźmi dużej inteligencji, choć różnej pracowitości. Jabłoński zwykł był mawiać o swoim przyjacielu, że ukończywszy w 1934 roku studia na Uniwersytecie Warszawskim z medalem, stanął w bramie wejściowej uczelni na Krakowskim Przedmieściu i zaczął rozmawiać.

– *I tak tam stoi do dzisiaj* – dodawał Jabłoński w 1958 roku.

Byłem stażystą u Jabłońskiego po powrocie z ZSRR. Temat pracy wymyślił mi nieprzypadkowo. Sam zaczynał karierę historyka jako biograf Aleksandra Waszkowskiego, ostatniego naczelnika Warszawy w powstaniu styczniowym. Pragnął, aby ktoś kontynuował jego badania z tej epoki. W 1962 roku mianował mnie sekretarzem komisji, przygotowującej obchody stulecia powstania, i uśmiechając się, powiedział:

– *W 1938 roku, na siedemdziesięciopięciolecie powstania ja byłem sekretarzem takiej komisji. Teraz będę przewodniczącym.*

Ja, z kolei, śladami Jabłońskiego zostałem w 2012 roku przewodniczącym komisji obchodów 150-lecia powstania. Nie była to udana impreza, albowiem otoczenie urzędującego prezydenta uważało, że obchody takie mogą pobudzać nastroje nacjonalistyczne. Więc je

wyhamowano. Nie przyjęto mojej propozycji, aby zgodnie z pewną tradycją na rocznicę styczniową prezydent wygłosił na Zamku Królewskim w Warszawie przemówienie. Ostatecznie ten zaszczyt przypadł mnie.

Studia nad dziewiętnastowieczną polską emigracją po powstaniach narodowych pozwoliły mi odsłonić niejedną piękną stronę owego udowadniania światu, że Polska niepodległa musi się odrodzić. W piśmie „Niepodległość" w 1868 roku, nie wyolbrzymiając swojej roli, niedawni powstańcy styczniowi pisali: *My służymy więc za podkład tylko dla nowo formujących się warstw, zadanie nasze polega na tym, by wydobyć z siebie cały zasób pozostałych w nas jeszcze sił żywotnych i zasilić nimi naszych następców.*

Bezrozumne fobie moich współczesnych sprawiają, że komunardzi czy Komuna Paryska zniknęli do Anno Domini 2017 z nazewnictwa ulic czy zakładów pracy. I nikt już prócz wiekowych starców nie wie, że komuna („la commune") znaczy po francusku gmina lub wspólnota; i że owa paryska insurekcja z wiosny 1871 roku była ostatnią w dziewiętnastowiecznej Europie, która wypisała na swoich sztandarach hasło „Vive la Pologne". Masowy udział setek Polaków w Komunie Paryskiej był głównie umotywowany nadzieją, że w razie zwycięstwa Francja ujmie się za Polską.

Nie kto inny, a poeta Władysław Bełza, autor „Katechizmu polskiego dziecka" (*Kto ty jesteś?/Polak mały. Jaki znak twój?/Orzeł biały*) pisał w Galicji w 1878 roku o Polakach-komunardach: *Nie pora dziś jeszcze podnosić zbyt świeże wypadki… Skoro się jednak namiętności ukoją – osobistości umilkną, niejedna może hałaśliwa sława pozazdrości heroicznej śmierci i bezinteresownej ofierze zapomnianych ludzi.*

Sporządzając spisy do mojej książki doktorskiej „Emigracja polska po powstaniu styczniowym", widziałem, jak przez pół wieku Francja wypłacała comiesięczne zasiłki uchodźcom z 1831, 1846, 1848 i 1863 roku. A było ich wiele tysięcy. Notowałem, ile pomocy okazywali Polakom Turcy czy Belgowie. Polscy wychodźcy we Francji mieli zawołanie dziękczynne, którym rewanżowali się gospodarzom: „La Pologne reconnaissante

n'oubliera jamais" (Wdzięczna Polska nigdy nie zapomni). Czy dzisiejsza Polska pamięta o tradycji, o rewanżu?

A przecież i w wieku XX wiele tysięcy Polaków znalazło schronienie w Iranie, Indiach czy Meksyku.

W polskiej historiografii od XIX wieku funkcjonuje określenie Wielka Emigracja, sumujące zasługi polityczne, kulturowe, cywilizacyjne kilkunastu tysięcy emigrantów połączonych w organizacjach wychodźczych, a także rozproszeńców, którzy samotnie, często na odległych kontynentach, rozsławiali imię Polski. Dla przykładu: dopiero po drugiej wojnie światowej odtworzono życiorys takiego „rozproszeńca" – Karola Rolow-Miałowskiego (1842–1907). Jako Carlos Roloff-Mialofsky, uczestnik wojny secesyjnej w USA, został generałem kubańskim, bohaterem walk o niepodległość Kuby. Przebył samotną drogę na dalekiej obczyźnie, nie ukrywając bynajmniej swoich słowiańskich korzeni.

A iluż Polaków, poczynając od Józefa Bema, przyjęło w XIX wieku islam, aby zostać tureckimi paszami czy oficerami w armii, która miała długą tradycję walk z Rosją – zaborcą Polski...

Do zatrudnienia mnie w Bibliotece Polskiej nie doszło. Rząd polski procesował się wtedy z emigracją o prawa do tej świątyni. Profesorowie Kieniewicz i Gieysztor zasygnalizowali dosyć wyjątkową wtedy sprawę możliwości mojego tam zatrudnienia w Wydziale Nauki Komitetu Centralnego PZPR. Posługiwali się argumentem, że zbiory Biblioteki Polskiej potrzebują dobrego archiwisty niezależnie od sporów polityczno-procesowych. Bibliotece brakowało fachowych pracowników. Jednym z nielicznych, którzy się jednak o pracę tam nie ubiegali, ale mieli odpowiednie przygotowanie, był emigrant z Wilna – Lucjan Krawiec (1906–1986). Pozostawał ze mną w przyjaznych stosunkach. Z nim oraz z zaglądającym często do Biblioteki Zbigniewem Herbertem chadzałem na smętne rodaków rozmowy do pobliskiej kawiarni. Krawiec, dodajmy – pepesowiec z przekonań, wskazał Irenie Gałęzowskiej na mnie.

Biorąc pod uwagę rozgardiasz w archiwaliach Biblioteki, praca archiwisty czy kustosza mogła pochłonąć całe życie. To nie było moim

celem. Rozmawialiśmy o okresie trzyletnim. Ale urzędnicy od spraw nauki w KC nie tylko nie wyrazili zgody, ale oświadczyli Gieysztorowi, że jeśli się zgodzę tam zostać, mogę stracić polski paszport. Racje naukowe nikogo specjalnie nie wzruszały.

Przypuszczam, że sprawa ta przypomniała się Gieysztorowi, kiedy w 1990 roku jako prezes Polskiej Akademii Nauk zgłosił mnie na dyrektora Stacji Naukowej PAN w Paryżu.

47. Nieoczekiwany przypadek: Lauriston 74

Od dziecka osłuchałem się z francuskim. Kiedy po wojnie chodziłem do szkoły podstawowej, matka zadbała o kształcenie mnie według starych modeli zamożnych rodzin mieszczańskich. A więc trzy lata gry na pianinie, do czego nie przejawiałem ani chęci, ani najmniejszego talentu. Uprosiłem ją wreszcie, aby mi odpuściła. Po latach zrozumiałem, że starała się zapewnić mi to, na co nie było kiedyś stać jej ubogich rodziców. Udzielano mi też domowych lekcji francuskiego i angielskiego. Francuski chwytałem łatwo. Uczyła mnie krewna znakomitego malarza Józefa Pankiewicza – Jadwiga Dmochowska. Starsze pokolenie inteligencji wzrosło jeszcze w kulturze francuskiej, zwłaszcza ludzie pochodzący z zaboru rosyjskiego. Od czasów drugiej wojny dominować zaczął język angielski. W ciągu pół wieku znajomość mowy Kartezjusza stopniowo zanikała w Polsce. Dzisiaj francuski zajmuje dalsze, może czwarte, może piąte miejsce w hierarchii języków obcych, których uczą się młodzi Polacy.

Część winy ponoszą tu sami Francuzi, którzy po wojnie mało troszczyli się o frankofonię w Polsce, o promieniowanie ich mowy nad Wisłą. Nie tylko dyplomaci zdawali się zakładać, że Polacy mają nieomalże genetyczną skłonność do francuskiego. Bodaj w 1971 roku pełniący obowiązki ambasadora w Warszawie zgodził się ze mną, że wiara w polską miłość bez francuskiej wzajemności może się niedobrze skończyć.

Jak mocno stereotypy Polaka-frankofona tkwiły w wyobraźni niektórych Francuzów, przekonałem się w 1991 roku. Zaprowadziłem mojego trzynastoletniego syna Karola do pani prowizor znakomitego paryskiego liceum Janson de Sailly. Przysługiwało nam ono z racji miejsca zamieszkania. Pani prowizor – we Francji znacząca władza – zapytała:

– *Oczywiście jako Polak mówi po francusku?*

– *Jeszcze nie, zna ze sto słów* – odpowiedziałem.

– *No to nie ma o czym mówić.*

– *Ale zna trochę angielski, nieźle niemiecki i rosyjski. Nauczy się.*

Pani prowizor dalej stawiała opór. Już mocno poruszony wypaliłem:

– *Jeszcze stanie się chlubą waszego liceum!*

I rzeczywiście. Okazało się, że miałem rację. Ale rozumiałem staroświecki pogląd pani prowizor na to, co Polak powinien znać.

W naszym domu w Warszawie, wydawałoby się z założenia prosowieckim, nie słyszałem jako dziecko języka rosyjskiego. Natomiast widywałem komunistów francuskich czy hiszpańskich. Nieraz rozbrzmiewały właśnie ich języki. Z Francuzów zapamiętałem przede wszystkim dziennikarzy – Dominique Desanti (1914–2011) i André Wurmsera (1899–1984). Byli to wtedy, jak wyczytałem po latach, zaciekli stalinowcy. Ale Desanti tylko po rok 1956, później, nie porzucając poglądów lewicowych, stała się stałym współpracownikiem „Le Monde". Jako dyrektor podejmowałem ją na jednej z uroczystości w Stacji Naukowej PAN w Paryżu.

W czasie dwóch dłuższych pobytów jako stypendysta naukowy w latach 1959–1960 i 1963 zdążyłem zżyć się z Paryżem i zjeździć znaczną część Francji. Korzystałem czasami i z pokoi hotelowych w Stacji Naukowej PAN przy rue Lauriston 74. Na ogół jednak starałem się mieszkać u Francuzów, poza środowiskiem polskim. Czyniłem tak choćby z uwagi na praktykę językową. Ale powodem dodatkowym była duszna atmosfera oszczędzania za wszelką cenę, zarówno z przyzwoitych, jak i z głodowych stypendiów. W tamtych latach każdy dolar, każdy frank miał niesamowitą wartość w złotówkach. Jeden z inżynierów oszczędził na dwa, co prawda używane, samochody, ale dostał rozstroju nerwowego, bo po stypendium wolno było bez cła wwieźć de Polski tylko jeden. Siedział w wejściu do budynku koło windy i zaczepiał wchodzących słowami:

– *Może weźmiesz na wwóz do Polski jeden z moich samochodów na siebie?*

Inna koleżanka po trzymiesięcznym pobycie popadła bez widocznych powodów w prostrację. Okazało się, że oficer wydający paszport w Warszawie zlecił jej opisanie mostów wokół francuskiej stolicy. Posłaliśmy ją do księgarni. We Francji mostów nie chroniła tajemnica państwowa.

Pewien stypendysta z Politechniki Warszawskiej, nieznający języka francuskiego, chwalił się odkryciem sklepu z tanią żywnością. Nie doczytał się, że były to puszki przeznaczone dla zwierząt. W kuchni lodówki i szafki z jedzeniem zamykano na kłódki, z powodu wzajemnego podkradania.

Przyjeżdżając po roku 1970 do Paryża na jakieś konferencje zauważyłem, że ciepłe gniazdko w zarządzaniu (za dewizy) domami Polskiej Akademii Nauk w Paryżu uwili sobie niektórzy „moczarowcy", między innymi pewien historyk, który w roku 1968 żądał publicznie na zebraniach PAN wyrzucenia mnie z Uniwersytetu jako osoby podejrzanej. Uciszył go wtedy znany ekonomista, uczeń Oskara Langego, Tadeusz Kowalik. Ale ja w latach 1970–1980 uchylałem się od przychodzenia do Stacji Naukowej PAN w Paryżu. Bodaj tylko raz uległem monitom znakomitego Stefana Kieniewicza, który zaapelował, abym z uwagi na obecnych na konferencji cudzoziemców nie wywoływał skandalu.

Nigdy nie sądziłem, że los kiedykolwiek umieści mnie na dłużej przy rue Lauriston, w dawnym pałacu książąt Clermont-Tonnerre. Co więcej, że ich odszukam, poznam i nawet wypożyczę od nich dla Stacji PAN stare obrazy rodzinne.

A sprawy potoczyły się tak oto: od końca roku 1989, po rozwodzie, pozostałem w starym mieszkaniu w Warszawie na Stegnach z dwoma synami (piętnastoletnim Aleksandrem i trzynastoletnim Karolem). Aleksander pragnął za wszelką cenę wyjechać z Polski, aby znaleźć się w strefie anglo- bądź hispanojęzycznej. Od małego marzył o tym, aby być archeologiem w Meksyku. Nie posiadał się z oburzenia, kiedy odrzuciłem propozycję objęcia ambasady w tym kraju. Tłumaczyłem mu, że nie mam żadnej motywacji, aby zostać urzędnikiem dyplomatycznym. Niebawem zaproponowano mi w PAN przystąpienie do konkursu na dyrektora Stacji

Naukowej w Paryżu. Przyznaję, że i tu z początku odmówiłem. Ale mój sąsiad, znany dyplomata Jerzy Maria Nowak, zaczął mnie przekonywać, że powinienem myśleć o korzyściach dla synów. Przyznałem mu rację.

Aleksander, kręcąc głową, oświadczył:

– Jak już niczego lepszego nie umiesz załatwić, to niech będzie Paryż. Spróbuję się dostać do liceum (nb. Paktu Północnoatlantyckiego) w Saint-Germain-en-Laye. Tam nauczają w dziesięciu językach.

Nie bez własnego trudu, a trochę z moją pomocą otworzył sobie drogę na Anglię, Los Angeles i, wreszcie, na Meksyk. Pomocną dłoń wyciągnął nauczyciel Anglik, podrzucając na próbie wstępnej w liceum Paktu temat „Udział polskich lotników w bitwie o Anglię". Do tego, rzecz jasna, byliśmy przygotowani. Gdy piszę te słowa, Aleksander jest profesorem archeologii i paleobotaniki uniwersytetu w San Luis Potosi w Meksyku.

Młodszy Karol po błyskotliwych osiągnięciach w najlepszych liceach Paryża i doktoracie z fizyki pod egidą Ecole Normale Supérieure znalazł się na stałe w Nowym Jorku. Jest bankowcem.

Moim synom Paryż posłużył. Dla mnie stał się nową szkołą życia. Ciekawą, ale dość ciernistą.

Obejmując w roku 1991 funkcję dyrektora Stacji Naukowej PAN w Paryżu nie zdawałem sobie sprawy, kto naprawdę rządzi w Polskiej Akademii Nauk. Z domu wyniosłem szacunek dla samego tytułu „profesor". Profesor – to dla mnie znaczyło Witold Kula, który wraz z żoną mieszkał u nas czas pewien; Józef Chałasiński czy Leopold Infeld, którzy bywali u ojca; Stanisław Lorentz czy rektor UW, fizyk Stefan Pieńkowski, z którymi spędzaliśmy od razu po wojnie święta w Nieborowie. A teraz w Paryżu zrozumiałem, że słowo „profesor" nie zawsze znaczy koryfeusz.

65. Moim synom Paryż posłużył.

Teraz zobaczyłem walkę o tytuły i stołki między profesorami. Mogłem zorientować się, jak niektórzy usadowieni od lat w Polskiej Akademii Nauk urzędnicy manipulują profesorami i ich finansami. Dzięki życzliwości paru osób dla mojej pracy, uchwałą Sejmu przydzielono mi w związku ze stuleciem założenia Stacji Naukowej PAN w Paryżu dodatkowy milion złotych przeznaczony na rozwój działalności ośrodka. Pieniądze wpłynęły do kasy PAN, ale po różnych bojach z centralą i po długim oczekiwaniu otrzymałem jedynie część tej sumy.

Niejeden akademik czy dyrektor traktował Stację jako wygodne noclegowisko usługowe. Jeden z wiceprezesów, walcząc o zajęcie funkcji prezesa, spełniał wszystkie życzenia dyrektorów PAN. Któryś z nich zażyczył sobie wyjazdu „na inspekcję" dokładnie wtedy, gdy we Francji przypadały dni świąteczne. Zaprotestowałem. Bezskutecznie. „Inspekcja" była fikcją, aby dyrektor mógł się zabawić w Paryżu.

Niekończącą się „zabawą” administracji PAN były remonty Lauriston i podlegających ówcześnie Stacji trzech niewielkich budynków historycznej założonej w XIX wieku Szkoły Polskiej przy rue Lamandé w XVII dzielnicy Paryża. Remonty przeprowadzały firmy polskie, nieliczące się z przepisami francuskimi. Protestowałem. Bez rezultatu.

Historyk Patryk Pleskot ogłosił w 2008 roku opracowanie o paryskiej Stacji PAN w latach 1978–2004. Spisał wiele informacji. Resztę dociekliwy poszukiwacz historii drobiazgowej znajdzie w moim archiwum. O sporach o budynki przy rue Lamandé Pleskot wiernie zapisał moją relację:

W pierwszej połowie lat 90. rozgorzały kłótnie, których przedmiotem była posesja przy ulicy Lamandé. Stronami konfliktu byli dyrektor Borejsza oraz rektor Polskiej Misji Katolickiej w Paryżu ksiądz prałat Stanisław Jeż. Ten pierwszy tak przedstawił meritum sprawy: „Misja Katolicka stale żądała zabrania Lamandé, ufna w to, że przy Suchockiej Kościół może wszystko. Prałat Jeż nie miał żadnych tytułów prawnych, usiłował je wmówić, ale natknął się na opór kilku osób, nie tylko mój, ale też np. prof. Aliny Kowalczykowej z IBL. Ja jestem historykiem emigracji polskiej i ja mu spokojnie powiedziałem: „Czyje popiersie jest na dziedzińcu na Lamandé? Seweryna Gałęzowskiego. Kim był Seweryn Gałęzowski? Znakomitym okulistą i znanym masonem. Czy mamy dojść do tego, że to masoneria ufundowała?”. Więc kochać mnie nie kochano, ale nie oddałem żadnego z trzech budynków na Lamandé.

Dodajmy, że w sporze tym Jerzy Giedroyc zajął jasne stanowisko po mojej stronie.

W ćwierć wieku później budynki przy rue Lamandé są już od dawna wyłączone spod administracji PAN. Stacja przy rue Lauriston 74 dość szybko wróciła do swej pierwotnej głównej roli – dobrze położonego hotelu.

Dwa lata po moim powrocie do Polski prasowym newsem dnia stało się zerwanie przez wichurę dachu na niedawno wyremontowanym budynku przy rue Lauriston. Tamten remont również oprotestowałem. Jeszcze jako dyrektor Stacji sam gramoliłem się na dach, by mieć pojęcie o sprawie. Nasz budynek był jedynym na tej ulicy, jaki ucierpiał.

66. Budynek dawnej Szkoły Polskiej przy rue Lamandé, o który toczyły się wieloletnie spory.

Dyrektor administracyjny, którego niebacznie sam sobie wybrałem spośród urzędników Akademii, przetrwał i mnie, i jeszcze niejeden remont.

Dyrektorzy niektórych biur PAN związani byli współdziałaniem jeszcze z lat głębokiego PRL. Języków obcych na ogół nie znali. Znali za to różnych polityków. Kiedy zażądałem wreszcie odwołania mojego dyrektora administracyjnego, w sprawę wdali się po cichu na zapleczu dwaj ministrowie. Jak to ironicznie skomentował Aleksander Gieysztor: – *Dyrektor administracyjny odwołał ze stanowiska dyrektora Stacji.*

Gdybym był złośliwy, powiedziałbym, że skrótowym symbolem stosunku do paryskiej Stacji Naukowej był pewien akademik zoolog, który nieodmiennie wydzwaniał z Polski:

– *Przylatuję. Proszę przysłać samochód na lotnisko.*

Lubił Paryż. Przylatywał często.

Przypominał mi mojego kolegę ze studiów w Moskwie, Mongoła Kombu Mongusza. Mongusz posiadał formalnie paszport Autonomicznej Republiki Tuwińskiej. Istniejąca w latach 1926–1944 udawała ona państwo niezależne na granicy ZSRR i Mongolii. Pozostało po niej jakieś przedstawicielstwo w Moskwie i kilku studentów z Tuwy, wśród nich wspomniany nasz kolega. Kiedy Kombu Mongusz popił sobie, wieszał się na aparacie telefonicznym na szóstym piętrze naszej bursy i regularnie wywoływał przedstawicielstwo.

Jego gromki okrzyk: – *Dawaj maszyna!* (Przysyłajcie samochód!) niósł się po całym piętrze. I nieraz powracał mi jak dalekie echo w Paryżu. Z początku mnie to jeszcze śmieszyło.

Kiedy przedstawiałem w Warszawie w roku 1990 przed Prezydium PAN moje zamiary przekształcenia Stacji w instytut naukowy, ówczesny rektor Politechniki Warszawskiej szepnął mi do ucha: – *Nie zrozumieją.*

I miał rację.

Na czas mojego dyrektorowania podniesiono pracownikom pensje. W Prezydium PAN powiedziałem, że nie będę wodzem kloszardów. Mogłem wówczas stawiać żądania, albowiem moje wynagrodzenie niemieckiego profesora uniwersytetu w Heidelbergu, z którego przechodziłem do Paryża, znacznie przewyższało to, co ofiarowano wówczas Polakom w służbie zagranicznej. Jeszcze chyba przed moim odejściem pensje obniżono.

Stację zaczęły wspomagać finansowo inne instytucje. Na przykład po obejrzeniu jej, delegacja spółki TP SA obiecała duże sumy, uznając ją za opłacalną inwestycję. Zaplanowaliśmy pozyskiwanie pieniędzy spoza PAN na dziesięć długoterminowych stypendiów dla młodych naukowców,

trochę na wzór mającej długą tradycję w Rzymie Ecole Française de Rome. Wsparcie obiecała mi francuska Fundacja Napoleona.

Zakładałem, że Stacja ma służyć nie tylko PAN, ale wszystkim ośrodkom naukowym w Polsce. Ani takie stanowisko, ani pozyskanie tak zwanych środków pozabudżetowych nie spodobało się w Warszawie. Kazano mi tłumaczyć się pisemnie z przyjmowania dla Stacji pieniędzy od TP SA.

67. W sekretariacie Stacji Naukowej PAN (ok. 1992).

Od roku 1993 Stacja posiadała Kolegium Programowe. Przewodniczącym został Aleksander Gieysztor, jego zastępcą Krzysztof Pomian. Kolegium wspierała cała plejada Polaków z kraju i z emigracji (np. fizyk Ryszard Kerner) oraz Francuzów. Jako polsko-francuscy wspierający udzielali się François Chapeville, Jacques Le Goff czy Piotr Słonimski.

Ta autonomia także drażniła kogoś w Warszawie. W 1995 roku Stacji nadano nowy statut. Przekształcono ją z jednostki naukowej w pomocniczą. Była to formalna degradacja. Większość członków Kolegium Programowego podała się do dymisji. Pierwszy list protestacyjny

podpisali Aleksander Gieysztor, Krzysztof Pomian, biochemik Włodzimierz Ostoja-Zagórski i prawnik Hubert Izdebski. Gieysztora nie dopuszczono nawet na posiedzenie Prezydium w sprawie konkursu na nowego dyrektora. Nalegał, abym ponownie kandydował, chociaż dla mnie jasne było, że nie mam szans wobec konfliktu z prezesami PAN. Gieysztor uważał, iż będzie to manifestacja przeciwko nomenklaturze PAN i że nie sposób odwołać mnie ze Stacji. Mylił się. Kiedy dowiedział się o wynikach konkursu był – co mu się niezmiernie rzadko zdarzało – blady ze wzburzenia. Do udziału w konkursie jedni członkowie rzeczywiści PAN zachęcali drugich, aby pozbyć się konkurencji w wyborach do władz akademii. Renomowany dobry chemik, który został nowym dyrektorem, nie znał języka francuskiego.

Jerzy BOREJSZA
Professeur à l'Institut d'Histoire de Varsovie
Directeur du Centre Scientifique
de l'Académie Polonaise des Sciences
74, rue Lauriston, 75116 Paris ☎ (1)45 53 66 91 et (1)47 04 89 63
fax (1) 47 55 46 97 internet 553-7132@mci.com

68. Moja ówczesna wizytówka.

Posypały się protesty.

Jako pierwszy odezwał się Jerzy Giedroyc. Mając już przykre doświadczenia, że lekceważono jego listy do prezesów PAN Kuźnickiego i Wyczańskiego, zwrócił się do najstarszego wiekiem wiceprezesa PAN i PAU Adama Bielańskiego. Pisał między innymi: *Myślę, że chcąc zachować dotychczasowe osiągnięcia Stacji należałoby zakończyć nadzór i kontrolę*

administracyjną nad tą placówką i odblokować możliwości, jakie stara się stworzyć placówce prof. Borejsza [...] *Jeżeli Polska Akademia Nauk nie może sama nadal prowadzić tej placówki, to może wspólna Rada Sponsorów PAN, PAU, MEN i KBN mogłaby tu pomóc?* Ta ostatnia sugestia Giedroycia ogłoszona drukiem mocno wzburzyła nomenklaturę PAN, która przez dziesięciolecia broniła dogmatycznie granic swojego państwa.

Najdobitniejszy tekst ogłosił natychmiast w „Gazecie Wyborczej" Krzysztof Pomian („Nauka i nomenklatura", 18 X 1995):

Dyrektora odwołano, pracownikom, z małymi wyjątkami, wymówiono, część Kolegium Programowego, na czele z przewodniczącym, podała się do dymisji. Jako placówka naukowa Stacja PAN w Paryżu przestała istnieć. Odtąd będzie ponownie, jak była za PRL, domem noclegowym.

Czytelnik „Gazety" ma prawo zapytać, co go to obchodzi. Odpowiem, że w demokracji podatnika powinno obchodzić, jak się wydaje jego pieniądze, a Polska Akademia Nauk nie jest prywatną własnością kilku panów, którzy utrzymują ją z własnej kieszeni. Dodam, że kontakty zagraniczne są istotnym czynnikiem rozwoju nauki polskiej i że należy zrobić wszystko, co możliwe, by utrzymywać je i rozbudowywać. Jeśli władze najważniejszej polskiej instytucji naukowej podejmują decyzje szkodliwe dla nauki polskiej, to winny one spowodować reakcję nie tylko bezpośrednio zainteresowanych, ale również opinii publicznej.

Jako wiceprzewodniczący Kolegium Programowego Stacji miałem wgląd w jej działalność. Zresztą wiedziałbym o niej, nawet gdyby było inaczej. Stacja stała się bowiem znana paryskiemu środowisku naukowemu, zarówno humanistom, jak i przyrodnikom. Podjętych decyzji, które cofają nas do lat 70. i 80., gdy Stacja PAN wegetowała tylko, ale nie istniała na naukowej mapie Paryża, nie sposób więc wytłumaczyć brakiem sukcesu. Cóż zatem je tłumaczy? Podjęto je w pośpiechu, z naruszeniem nie tylko dobrych manier, ale chyba również obowiązujących przepisów. W każdym razie władze PAN nie raczyły spotkać się z Kolegium Programowym, by wytłumaczyć swe poczynania. A przecież same powołały je we wrześniu 1993 r., ono zaś zabiegało od wiosny o takie spotkanie. Czyżby bano się rozmowy na ten temat?

Cały sposób załatwiania tej sprawy przypomina zwyczaje epoki, która wydawała się bezpowrotnie miniona. I zmusza do zapytania o rzeczywiste powody, którymi kierowano się niszcząc dobrze rozwijającą się placówkę naukową. Pozostaje nadzieja, że pytanie to zostanie postawione na forum Zgromadzenia Ogólnego PAN oraz na jednej z kompetentnych w tym zakresie komisji sejmowych. I że da to asumpt do dyskusji na temat całokształtu polityki zagranicznej PAN, zwłaszcza zaś roli, jaką winny odgrywać jej stacje naukowe za granicą. Zapewne kilka osób może na tym stracić przywileje wywodzące się jeszcze z czasów nomenklatury. Ale nauka polska może na tym tylko zyskać.

Po tekście Pomiana posypały się dziesiątki protestów w środkach masowego przekazu. Protestowało założone przez nas liczne Stowarzyszenie Przyjaciół Stacji PAN; emigrant, profesor matematyki z Tulonu Jacek Gilewicz pisał („Gazeta Wyborcza", 27 X 1995):

W 1963 roku decydując się na prawie apolityczną emigrację miałem niezręczność, jako były pracownik PAN-u złożyć wizytę ówczesnemu dyrektorowi Stacji Naukowej PAN w Paryżu. Dowiedziałem się, że moja decyzja opuszczenia kraju kwalifikuje mnie na „parszywą owcę". Należało zapomnieć o tej Stacji aż do lat 90. Od kiedy profesor historii, pan Jerzy Borejsza, renomowany naukowiec, objął dyrekcję Stacji, zaczęliśmy wierzyć w zmiany. Od czterech lat prof. Borejsza, grając rolę ambasadora polskiej nauki we Francji, odzyskał stracony szacunek dla placówek polskiej nauki. Pamiętam, jak w zeszłym roku, z poczuciem nieukrywanej dumy organizowaliśmy w Stacji polsko-francuską konferencję z matematyki, a wiadomo, że była ona tylko jedną z licznych.

W „Gazecie Wyborczej" i w „Rzeczpospolitej" drukowano wypowiedzi w obronie Stacji i mnie personalnie. Pisali z Paryża historyk sztuki Andrzej Wat i przyrodnik Piotr Daszkiewicz, a także dyrektor działu literatury Europy Środkowo-Wschodniej w wydawnictwie Robert Laffont Zofia Bobowicz. Pisała ona między innymi: *pięcioletnia działalność naukowa i administracyjna prof. Jerzego Borejszy jako dyrektora Stacji PAN przekształciła ten niegdyś smętny gmach, odcięty od cywilizacji i języka francuskiego, w placówkę naukowo-humanistyczną o międzynarodowym prestiżu.*

W obronie modelu Stacji wystąpili znani dziennikarze Stefan Bratkowski, Marek Rapacki, Ernest Skalski, pisarze Włodzimierz Odojewski i Władysław Leszek Terlecki, minister w kancelarii jeszcze prezydenta Lecha Wałęsy Andrzej Zakrzewski. I wielu, wielu innych.

Z polityków istotna była moja rozmowa z Lechem Kaczyńskim, ówczesnym prezesem NIK. Powiedział mi wtedy: *Czytam pana raporty i protesty. Marnuje pan talent literacki. Niech pan pisze. Zobaczy pan: i tak pana wyrzucą. I mnie też wyrzucą z NIK* – dodał smętnie.

Prawnik Hubert Izdebski podjął w prasie polemikę z prezesem PAN Leszkiem Kuźnickim, wykazując, iż wybór nowego dyrektora Stacji odbył się ze złamaniem wszelkich przepisów prawnych. Prezes już mu nie odpowiedział.

W marcu 1995 roku w felietonie w „Polityce" znany wszystkim Ludwik Stomma pod tytułem „Lauriston 74" pisał:

Nauka w Polsce, traktowana wciąż jak upierdliwy Kopciuszek, przeszła od dłuższego już czasu na pozycje defensywne. Instytut Sztuki PAN, by móc po prostu kontynuować działalność, zmuszony jest odnajmować zagranicznej firmie połowę pomieszczeń. Polscy astronomowie robią kariery, ale... we Francji i USA przede wszystkim. Prace naukowe ukazują się po latach, w mikroskopijnych i niedostępnych nakładach, zapewniających ich autorom parę milionów złotych (starych!) honorariów za nieraz dwa- trzy lata pracy. Nikt już nawet nie protestuje, kiedy rząd Rzeczypospolitej zamyka attachaty naukowe w swoich ambasadach!!!

W zakończeniu przepowiadał upadek Stacji. *Boję się, że już czekają na Jerzego Borejszę rodzimi Helleni. Toż wiadomo – dwie nasze narodowe specjalności: austriackie gadanie i udawanie Greka.* I rzeczywiście: kiedy jesienią 1996 roku prezydent Chirac za zasługi dla współpracy naukowej francusko-polskiej mianował mnie oficerem Legii Honorowej i miał mi odznaczenie osobiście wręczyć w ambasadzie w Warszawie, urzędnik PAN zapytany o mój adres odpowiedział, że go nie znają...

48. Lauriston 74: Złota Księga

Paryż poznawany dokładniej i dla mnie miał wiele z „ruchomego święta” (według dawnego określenia Ernesta Hemingwaya). Wielość impulsów kulturalnych, ludzkich, historycznych, artystycznych czy politycznych, jakich dostarcza francuska stolica, była oszałamiająca. Przez pięć lat pobytu w Paryżu (1991–1996) jako dyrektor Stacji Naukowej PAN odnowiłem przyjaźnie i znajomości w różnych środowiskach francusko-polsko-żydowskich, zapraszałem na Lauriston Rumunów, Ukraińców, Rosjan, Litwinów, Węgrów. Byli to zarówno dyplomaci nowych rządów w Europie Wschodniej, jak i emigranci-naukowcy, na przykład François Fejtö (1909–2008), od lat trzydziestych osiadły we Francji publicysta i politolog, autor wielu książek o Europie Wschodniej. Był wielkością tak czczoną na Węgrzech po obaleniu reżimu komunistycznego, że po jego śmierci ogłoszono żałobę narodową.

Poznałem nowe znakomitości francuskie występujące u nas: fizyka Georgesa Charpaka (laureata Nagrody Nobla), światowej sławy matematyka Jean-Pierre’a Kahane’a, Jean-Marie Lehna (laureata Nagrody Nobla, jednego z pionierów chemii supramolekularnej); wielu historyków, poczynając od Maurice’a Aymarda, Jeana Tularda, Jacques’a Le Goffa, Antoine’a Marèsa. Naszym gościem był mój stary znajomy i sąsiad z monachijskiego Institut für Zeitgeschichte, Anglik Ian Kershaw, dziś słynny na całym świecie biograf Hitlera.

Musiałbym wyliczyć setki cudzoziemców i jeszcze więcej Polaków. Przez Stację przewinęło się wiele sław francuskich z różnych dziedzin: katolicki pisarz i myśliciel Jean Marie Domenach, prawnik Jean Maurice Verdier, etnolog i antropolog Marc Augé. Często przychodził uznany historyk Polski i Ukrainy Daniel Beauvois. Głośny politolog i antykomunista Alain

Besançon wygłosił dłuższy referat i potknął się na pytaniach o Białoruś, o której niewiele wiedział. Pojawiał się Stéphane Courtois i jego – autorzy „Czarnej księgi komunizmu".

Szczególnie ceniłem sobie znajomość z Constantem Burgiem (1924–1998), prezesem Instytutu Curie, doradcą prezydenta Jacques'a Chiraca. Nicią porozumienia między znanym radiologiem a mną okazały się zainteresowania bibliofilsko-wydawnicze. Burg zaprosił mnie do zapoznania się z jego ogromnym koncernem naukowo-szpitalnym w centrum Paryża. Niejednokrotnie pośredniczyliśmy w umieszczaniu tam chorych na raka.

Wystąpiłem o odznaczenie Burga Medalem Mikołaja Kopernika przez PAN i udekorowanie go w ramach obchodów stulecia Stacji w Paryżu. Prezesi PAN wyrazili zgodę… i pojawili się bez medalu. Co więcej, jeden z nich oświadczył, że o żadnych uzgodnieniach nic mu nie wiadomo.

Rozmowa odbywała się w moim gabinecie, w obecności ówczesnego prezesa PAN Leszka Kuźnickiego i wiceprezesa Mirosława Mossakowskiego. Drzwi sekretariatu, w którym urzędowała sekretarka, pani Chmielowska, były uchylone. Zareagowałem natychmiast:

– *Pani Katarzyno, proszę przedstawić kopię odpowiedzi z podpisem profesora Mossakowskiego.*

Wyjęcie dokumentu z segregatora nie trwało nawet minuty. Wiceprezes PAN poczerwieniał i wydusił z siebie:

– *Ma pan świetnie prowadzony sekretariat.*

Ja natomiast musiałem tłumaczyć Burgowi, iż zwyczajowo PAN wręcza Medale Kopernika w swojej warszawskiej siedzibie. Chyba domyślił się mojej ekwilibrystyki dyplomatycznej.

Burga zaproszono więc do Polski. Bawił tam krótko. Był to człowiek skromny, normalny. Powiedział mi tylko po powrocie: – *Ci panowie niepotrzebnie urządzali wciąż jakieś przyjęcia dla mnie. To była tylko strata czasu. Spodobało mi się natomiast kilku młodych badaczy z Instytutu Biochemii i Biofizyki.*

Constant Burg zmarł kilka lat później. Na jego cześć nazwano jedno z laboratoriów w Instytucie Curie przy rue Lhomond. Podejrzewam, że to on jako doradca prezydenta spowodował mianowanie mnie po moim powrocie do Polski oficerem francuskiej Legii Honorowej.

Wspomagało mnie w pracy z naukowcami francuskimi kilkoro zacnych ludzi, zatrudnionych w Stacji, przede wszystkim romanistka Katarzyna Chmielowska, z którą w niespełna rok po moim powrocie do Polski wzięliśmy ślub. Złośliwcy – jak mój zastępca i przyjaciel, fizyk Wacław Nazarewicz – twierdzili, że nie mając możliwości zapłacenia jej za liczne nadgodziny, postanowiłem się w ten sposób odwdzięczyć.

Z wdzięcznością wspominam charyzmatyczną eseistkę i filozofkę Ewę Bieńkowską, prawnika Marka Pliszkiewicza, oryginała informatyka Andrzeja Śliwowskiego, filologa Remigiusza Foryckiego. Ten ostatni odnalazł ślady wizyt Marcela Prousta w budynku przy Lauriston, dokąd pisarz przychodził, aby skorzystać z nowego wynalazku – telefonu. Na stulecie Stacji PAN w roku 1994 odsłoniliśmy w holu wejściowym dwie tablice pamiątkowe: jedną ku czci Prousta, a drugą na pamiątkę delegacji polskiej – między innymi ludzi Piłsudskiego – która przyjechała na konferencję wersalską i mieszkała w tym budynku. Prawdopodobnie członka tej delegacji, socjalistę Kazimierza Dłuskiego (swojego szwagra) odwiedzała tu Maria Skłodowska-Curie.

Nieco przez przypadek odegraliśmy ważną rolę w zapewnieniu udziału polskiej delegacji z Lechem Wałęsą na czele w uroczystości przeniesienia prochów Marii i Piotra Curie do Panteonu w 1995 roku. Pierwotnie w kancelarii François Mitterranda nie myślano nawet o obecności Polaków. Uwagę na ten brak zwróciła nam znajoma Francuzka z otoczenia prezydenta Francji.

Prywatnie natomiast byłem gościem profesor fizyki nuklearnej Hélène Langevin, córki Ireny Joliot-Curie, a wnuczki Marii, w ich domu w Sceaux pod Paryżem. Zaprosiła mnie do kuchni i powiedziała:

– *Pamiętam, że tutaj siadywał pana ojciec z moją matką.*

Musiały to być lata 1947–1948, kiedy ojciec organizował prokomunistyczny Ruch Obrocców Pokoju.

Poza humanistami w Stacji roiło się od chemików. Owocowały tu umowy z Uniwersytetem w Orsay, gdzie pracował mój najbliższy przyjaciel Georges Bram, członek naszego Kolegium Programowego. Z chemików francuskich bliżej poznałem Gilberta Balavoine'a i Jeana-Michela Cantacuzène'a. Ten ostatni wyemigrował wraz z rodzicami z Rumunii w 1947 roku. Pochodził ze słynnej od czasów Bizancjum historycznej rodziny greckiej, która po zdobyciu Konstantynopola przez Turków służyła i sułtanom (tak zwanych fanariotów). Kiedy „dyrektorowałem", wydał właśnie książkę o tysiącletniej tradycji rodzinnej „Mille ans dans les Balkans" (Tysiąc lat na Bałkanach). Wielostronnie uzdolniony, pełnił też poważne funkcje w dyplomacji francuskiej.

Pozytywnie wspominam współpracę z krakowską Akademią Górniczo-Hutniczą. Od niezwykle rzutkiej pani dziekan Stanisławy Jasieńskiej, poprzez doktora Wiesława Madeja aż po nieocenionego administratora Bolesława Gawliczka byli to wszystko ludzie solidni, którzy do Paryża przyjeżdżali pracować, a nie wycieczkować. Liczne umowy o współpracy AGH z Francją miały dla uczelni swoją wartość finansową. Potwierdzają to dwa medale, jakie hojnie przyznała mi AGH, a jeden z nich wręczył mi na uroczystości w Teatrze Słowackiego w Krakowie ówczesny rektor Mirosław Handtke.

Nieocenionego naszego współpracownika Gawliczka dyrektorzy PAN z Warszawy nie chcieli początkowo zatrudnić na niezaszczytnym stanowisku łączącym funkcje dozorcy, konserwatora i administratora. Niepotrzebnie wpisał do ankiety znajomość czterech języków. Dozorca-poliglota – to się nie mieściło w głowach. Poprosiłem go więc o wykreślenie wszystkich języków poza francuskim. A i tak kiedyś do sekretariatu wpadł ze zjeżonym włosem jakiś profesor z Polski, pytając:

– *Któż to jest ten człowiek, który zamiata schody i sypie łacińskimi sentencjami?!..*

– *A to nasz dozorca* – beztrosko odpowiedziała jedna z pań.

Plejada nie tylko znanych, ale i oryginalnych postaci (czy po prostu namolnych nudziarzy) pojawiała się w naszym ośrodku. Do załatwiania takich interesantów – jak i często skłóconej Polonii – wyznaczyłem dostojnego profesora fizyka Wacława Nazarewicza. Jego olimpijski spokój i nienaganne maniery miały na nich kojący wpływ. Siedział sobie godzinami w swoim gabinecie na parterze i cierpliwie konferował na przykład z pewnym hodowcą mrówek. Kiedyś mocarny stróż parkingowy, Polak-emigrant, objawił się u mnie w gabinecie, oświadczając, że zaplanował sobie napisanie u mnie pracy doktorskiej. Nie miał nawet tytułu magistra. Panie z sekretariatu dyskretnie uchyliły drzwi, bojąc się zostawić mnie z nim sam na sam… Gdy raz na dworcu w Paryżu wylądowały żubry z Polski, przeznaczone dla jakiegoś rezerwatu we Francji, bez wyraźnej specyfikacji, wydzwoniono, oczywiście, Stację Naukową PAN… Stale nawiedzał nasz ośrodek pewien sympatyczny hochsztapler z USA, używający nazwiska polsko-francuskiego z nieodłącznym „de". Przychodził, pchając przed sobą na dowód swych arystokratycznych paranteli sędziwego księcia Lubomirskiego, który ewidentnie nie zdawał sobie sprawy z tego, gdzie jest, a może i jak się nazywa.

Anegdoty można by mnożyć. Ale my poważnie traktowaliśmy naszą misję. Przeprowadziliśmy co najmniej pięćdziesiąt konferencji i sympozjów. Jako historyk pamiętam konferencję o Wielkiej Rewolucji Francuskiej, podczas której znanych uczonych francuskich przyćmił wiedzą i błyskotliwością Jan Baszkiewicz, pamiętam też międzynarodowe spotkanie w pięćdziesiątą rocznicę powstania w getcie warszawskim. Tłumnie świętowaliśmy w Stacji w 1992 roku stulecie paryskiego zjazdu założycielskiego Polskiej Partii Socjalistycznej. Sala była przepełniona. Głos zabierali, z tego co pamiętam, Aleksander Małachowski, Karol Modzelewski, Ryszard Bugaj, Juliusz Bardach, Edward Wnuk-Lipiński.

Najaktywniejszym Polakiem ze wspomagających naszą działalność we Francji był znakomity Krzysztof Pomian, mój niezawodny przyjaciel od szkoły podstawowej, a według niesprawdzonej legendy nawet od

przedszkola. Sugerował, poznawał, przedstawiał. Wprowadził mnie do „Kultury". I odtąd utrzymywaliśmy regularny kontakt z Jerzym Giedroyciem, załatwialiśmy różne jego zlecenia. Wystąpił nawet raz w Stacji dla tłumnie zgromadzonej Polonii. Obie połączone sale reprezentacyjne z trudem zdołały pomieścić około dwustu osób.

Giedroyc mocno mnie chwalił za moimi plecami „jako wzór" propagandy polskiej nauki i kultury za granicą. Opinia ta powtarza się w jego ogłoszonych drukiem listach. A także w nieogłoszonych dokumentach archiwalnych.

69. Promocja pamiętników Jerzego Giedroycia w Stacji Naukowej PAN w Paryżu. Za stołem od lewej: Krzysztof Pomian, Jerzy Giedroyc i autor (1994).

Tak na przykład 12 kwietnia 1995 roku pisał do prezesów PAN Leszka Kuźnickiego i Andrzeja Wyczańskiego:

Szanowni Panowie,

Bardzo dziękuję za przyjemne słowa o „Autobiografii na cztery ręce", które otrzymałem z okazji wieczoru promocyjnego w Stacji Naukowej Polskiej Akademii

Nauk w Paryżu.

Wieczór był bardzo udany dzięki p. Borejszy, który nie tylko doskonale go zorganizował, ale interesująco zagaił.

Współpracując z p. Jerzym Borejszą bardzo ściśle, mogłem zaobserwować, jak Stacja pod jego kierownictwem prowadzi ożywioną i rozległą działalność, nie tylko na odcinku francuskim, ale również stała się pomostem do współpracy z naszymi sąsiadami: Ukraińcami, Rosjanami czy Litwinami. Dzięki tej działalności Polska zaczyna być zauważana w życiu kulturalnym i naukowym Francji.

Dlatego zaniepokoiły mnie pogłoski o jego ewentualnym odejściu. Groziłoby to powrotem do uprzedniej wegetacji, kiedy Stacja, praktycznie biorąc, była tylko hotelem. Mam nadzieję, że plotki te nie mają żadnych podstaw i są rezultatem niezdrowej atmosfery, niestety tak często występującej w naszym społeczeństwie.

Łączę najlepsze pozdrowienia oraz życzenia Świąteczne.

Jerzy Giedroyc

Ale powiedzmy od razu: czcigodni akademicy zlekceważyli nie tylko opinię Giedroycia, ale i podobne interwencje w imieniu Lecha Wałęsy jako prezydenta.

Szczególne miejsce w naszym stacyjnym panteonie zajmował polsko-francuski biochemik François Chapeville. Urodził się w 1924 roku w dawnym województwie lwowskim jako Franciszek Chrapkiewicz. W 1946 roku przedostał się na Zachód. Obronił doktorat z weterynarii, a potem drugi z nauk przyrodniczych. Zainteresował się nim wielki Jacques Monod, noblista. Już jako Chapeville został z jego poręki profesorem Sorbony. Kiedy go poznałem, był bardzo czynnym emerytem. Przez małżeństwo znalazł się w nader wpływowej rodzinie francuskiej. Mojemu synowi Karolowi dopomógł w uzyskaniu obywatelstwa francuskiego jako jeden z wymaganych poręczycieli.

Do największych sukcesów Stacji należało pozyskanie puścizny słynnego tłumacza literatury polskiej Paula Cazina (1881–1963). Po różnych dość sensacyjnych perypetiach, o których piszę oddzielnie, udało mi się sprowadzić archiwum Cazina do Stacji, a następnie przesłać do Muzeum

Adama Mickiewicza w Warszawie. Pod fachowym kierownictwem profesor Danuty Knysz-Tomaszewskiej ukazało się do dzisiaj kilka tomów po polsku i po francusku oraz cenny album jego pocztówek ze zbioru liczącego kilkanaście tysięcy.

Inspirowaliśmy niejedno wydawnictwo francuskie. Zdążył tu jeszcze być przydatny nieodżałowanej pamięci zmarły bardzo młodo filolog Andrzej Siemek (1948–2003).

Pamiętne były dla mnie odwiedziny Tadeusza Kowzana (1922–2010), teatrologa, literata, profesora Uniwersytetu w Caen. Był niegdyś pracownikiem Stacji PAN do 1968 roku. Opuścił ją w warunkach nagonki politycznej. Sam pochodził z rodziny szlacheckiej, w czasie wojny walczył w oddziałach AK. Ale być może był według terminologii hitlerowskiej „jüdisch versippt" (spokrewniony z Żydami), co w polskim 1968 roku było też tropione. Spotkałem go, jeżdżąc z polską telewizją po Normandii i, rzecz jasna, zaprosiłem do Stacji. Siedząc w moim piętrowym gabinecie, pokazał mi, gdzie był tam za czasów PRL zainstalowany podsłuch. *Francuzi pewnie też podsłuchiwali* – powiedział mi – *bo nie bez kozery uważali, że tu pomieszkują i szpiedzy z PRL.*

W Złotej Księdze Stacji pod datą 11 maja 1995 roku widnieje jego wpis: *Z wielkim wzruszeniem – po dwudziestu siedmiu latach – przebywam znowu w murach Stacji Naukowej PAN, na zaproszenie prof. Jerzego Borejszy. Życzę, aby zapoczątkowany w ostatnich latach nurt odnowy wziął zdecydowanie górę ku chwale nauki polskiej i stosunków kulturalnych polsko-francuskich.*

Nasza Stacja tętniła życiem. Wydawała się niejednemu przedsiębiorcy czy politykowi miejscem wartym zachodu. Jednego z krajowych deweloperów udało mi się nawet przekonać, aby ofiarował Stacji nowy fortepian Bechsteina. To zapewniło, dzięki staraniom naszego muzykalnego bibliotekarza Adama Gałkowskiego i wielu innych osób, stałe koncerty, na których udzielała się przede wszystkim utalentowana młodzież z kraju oraz niektórzy emigranci.

Stacja gościła ludzi świata polskiej kultury, że wspomnę tylko Kazimierza Brandysa, zaprzyjaźnionego ze mną Władysława Leszka

Terleckiego, Adama Zagajewskiego, Gustawa Holoubka czy Jana Lenicę. Ten ostatni podarował Stacji (z dedykacją dla mnie) duży rysunek przedstawiający galijskiego koguta. Mam nadzieję, że wisi jeszcze w salonach Lauriston.

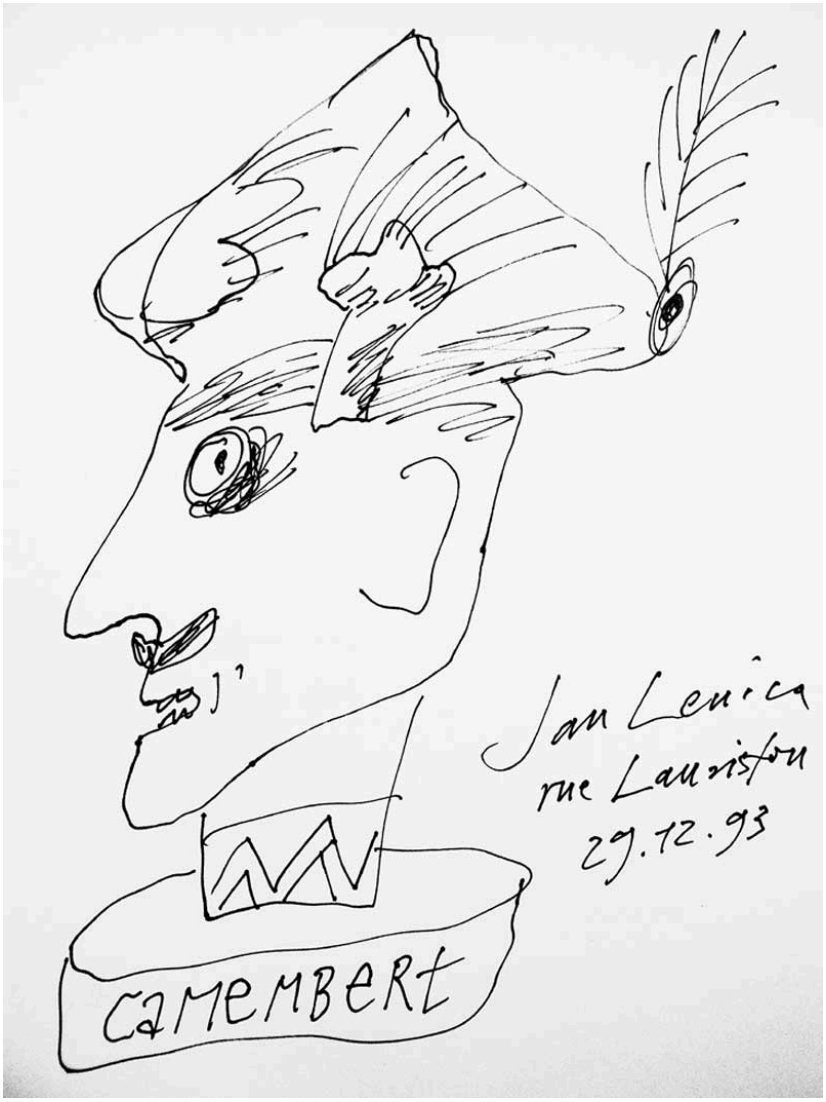

70. Rysunek Jana Lenicy, jednego z wielu gości Stacji, w Złotej Księdze.

Złota Księga Stacji zawiera nagromadzenie autografów znakomitości, słów uznania, a także banałów różnych utytułowanych naukowych nielotów. Tych ostatnich przytaczać nie będę. Pozwolę sobie natomiast zacytować tylko dwa wpisy. Po pierwszym roku mojej pracy wpisał się 28 maja 1992 roku Karol Modzelewski: *Bardzo serdecznie życzę skutecznej obrony*

przed ciężkimi przedmiotami, które u nas w każdym ustroju lecą z góry na głowy tych, co naprawdę robią coś pożytecznego.

I parę miesięcy później Andrzej Kuśniewicz: *Od wielu lat przyjeżdżam do Ośrodka Polskiej Akademii Nauk w Paryżu i z ogromną przyjemnością obserwuję jego obecny rozwój tak od strony naukowej, jak i organizacyjnej. Oby tak dalej! Boję się przechwalić, aby nie zapeszyć...*

Pobyt na rue Lauriston pozwolił mi zobaczyć nowe szaty Polonii we Francji. Wykształceni Polacy z emigracji z lat 1945, 1956, 1968, 1981, uchodzący z powodów politycznych, na ogół zapuszczali korzenie we Francji, przyciągnięci jej atrakcyjnością kulturową. Do „wolnej Polski" po roku 1989 większość z nich nie powróciła, poza nielicznymi czołowymi postaciami.

Za to niemało Polaków z emigracji 1968 i 1981 roku potrafiło zdobyć widoczne miejsca w świecie francuskiej nauki i kultury. Współczesną Złotą Księgę Polaków-emigrantów politycznych w nauce światowej otwierają w humanistyce Leszek Kołakowski, Bronisław Baczko i Krzysztof Pomian.

49. Polski Kossuth

Historii polskiej myśli politycznej, historii polskiej kultury nie ma bez Jerzego Giedroycia (1906–2000). Założony przez niego emigracyjny miesięcznik „Kultura" przetrwał ponad pół wieku (1947–2000). Wygasł wraz ze śmiercią założyciela. Giedroyc nie miał złudzeń części emigracji polskiej po 1945 roku, że trzecia wojna światowa niebawem przywróci Polsce niepodległość. Uparty i zorganizowany Polak-Litwin wiedział, że Polaków czeka długi marsz. I krzewił wiarę, że Polska, choć w odległej perspektywie, musi się odrodzić, tak jak zmartwychwstała po 123 latach w 1918 roku.

Żadnego emigracyjnego pisma polskiego nie udaje się porównać z „Kulturą". Ani w XIX, ani w XX wieku. Za miesięcznikiem „Kultura" stała cała organizacja (głównie złożona z Giedroycia). „Kultura" to było pięćset tomów „Biblioteki Literackiej" twórców emigracyjnych i tych krajowych, których nie puszczały sita cenzury. „Kultura" to było sto kilkadziesiąt „Zeszytów Historycznych" oraz inne serie. Przyswajano nie tylko książki Polaków, ale tłumaczono myślicieli i pisarzy cudzoziemskich.

Jerzy Giedroyc przed rokiem 1989 wrócić nie mógł, bo czekało go jako „wroga Polski Ludowej" więzienie. Po roku 1989 uznawał widocznie, że Trzecia Rzeczpospolita nie spełnia jeszcze wymogów, jakie by jej postawił. I w Polsce nie pojawił się przez lat ponad sześćdziesiąt, od wyjazdu w roku 1939 do śmierci.

Z okazji spotkania Giedroycia z Polakami w Stacji Naukowej PAN w Paryżu ogłosiłem w „Gazecie Wyborczej" artykuł *Polski Kossuth*. Porównałem go do przywódcy węgierskiej rewolucji 1848–1849. Kossuth żył po niej jeszcze czterdzieści pięć lat na emigracji. Nie godził się na powrót do kraju, który uzyskał autonomię w obrębie Austro-Węgier, ale nie pełną

niepodległość. Nie skorzystał z amnestii, nie przyjął mandatu poselskiego. Zmarł w sędziwym wieku we Włoszech, w Turynie. Pozostał jako daleki symbol walki o pełną niepodległość, bohater narodowy.

Giedroyc nigdy nie stał się bohaterem narodowym. Ale jego miesięcznik „Kultura" czytało wielu ludzi z polskich elit, zwolenników Polski tolerancyjnej na wewnątrz i na zewnątrz, otwartej ku Ukrainie i Białorusi.

W roku 1973 mój przyjaciel z Paryża, nieznający zresztą języka polskiego, wysłał mi pocztą paczkę książek, w której znalazła się i „Kultura". Książki zatrzymała cenzura pocztowa. Udałem się na ulicę Żelazną. Poprosiłem o rozmowę z kierownikiem. Wyszedł do mnie i wyliczył, co jest w paczce.

– *Pan czyta* „Kulturę"? – zapytał.

– *A pan nie czyta?* – odparłem.

Wybuchnął śmiechem.

– *Dobrze,* „Kulturę" *może pan zabrać, pozostałych książek nie oddam.*

Dokąd wędrowały książki zabierane przez cenzurę, dowiedziałem się od jednego ze studentów. Dorabiał jako stolarz, produkując półki na książki. U jednego z członków Biura Politycznego PZPR zobaczył całą ścianę wymoszczoną taką zakazaną lekturą. Może więc Aleksander Kwaśniewski, który jako prezydent Polski spotkał się z Giedroyciem i publicznie deklarował pono, że jako działacz komunistyczny wychowywał się na paryskiej „Kulturze", nie całkiem przesadzał?

Nie byłem czynny politycznie. Nie należałem do wygnanych z Polski dysydentów. Czasem podpisywałem w PRL jakiś protest. Zgłosiłem się do Giedroycia dopiero w roku 1991 jako dyrektor Stacji Naukowej PAN w Paryżu. Rekomendował mnie mój przyjaciel Krzysztof Pomian, człowiek bliski Giedroyciowi. Sądzę, że dobre słowo mógł też powiedzieć zaprzyjaźniony ze mną od wielu lat Bohdan (Korab) Osadczuk (1920–2011), współpracownik „Kultury" od jej początków.

Miałem z dziesięć „spotkań służbowych" w Maisons-Laffitte, odebrałem w latach 1991–1996 wiele telefonów od Redaktora. Giedroyc dzwonił sam, pośredników nie używał. Kiedy telefonował, sekretarka wsuwała głowę do

gabinetu, uprzedzając: – *Pułkownik szczeka osobiście…* I dopiero potem łączyła, dając mi chwilę czasu na skupienie się przed rozmową. *Pułkownik szczeka osobiście* to cytat ze słynnego filmu Disneya „101 dalmatyńczyków", w którym w psim społeczeństwie wielkim autorytetem cieszył się pies zwany Pułkownikiem.

Giedroyc, jakby to było rzeczą normalną, dawał mi różne zlecenia do kraju, komenderował, zgłaszał do nas zapotrzebowania na bieżącą informację i prasę z kraju. Zachowałem około trzydziestu listów od Redaktora – ślad tych kontaktów. Rozmowy w oparach papierosowego dymu odbywały się na ogół w jego małym gabinecie. Były suche, rzeczowe, wyciągał czasem z szufladek swoje fiszki. Był przekonany o ich znaczeniu. Czasem pozwalałem sobie korygować, że fiszki są przeterminowane.

Sporo czasu zabrało mi przekonanie Giedroycia, aby przeniósł już zakontraktowane wspomnienia z małego wydawnictwa pallotynów w Paryżu do warszawskiego „Czytelnika". Ukazały się one w 1994 roku jako „Autobiografia na cztery ręce" (rozmowy z Krzysztofem Pomianem). Mimo nader sprawozdawczego, suchego stylu Giedroycia sprzedano dziesiątki tysięcy egzemplarzy. Ludzie byli jeszcze ciekawi, co patriarcha z Francji ma do powiedzenia.

Potem, nie bez moich sugestii, zgodził się Giedroyc na wydawanie całego archiwum „Kultury" w wydawnictwie „Czytelnika". Tomy korespondencji z Juliuszem Mieroszewskim, Witoldem Gombrowiczem, Czesławem Miłoszem, z Andrzejem Bobkowskim i wieloma innymi są niezbędnym źródłem dla historyka myśli i kultury polskiej. Ale kupują je nieliczni, książki te są na ogół wspierane subwencjami państwowymi. Kult Giedroycia i kult „Kultury" pozostały zjawiskiem elitarnym.

Dopóki pracował, póty żył. Dlatego żył długo. W małym gabinecie w swoim podparyskim domu, do którego pielgrzymowano przez dziesięciolecia. Był niewątpliwie tytanem pracy. Wizjonerem tkwiącym mocno w doświadczeniach Drugiej Rzeczypospolitej, czasem w jeszcze starszych, może nawet przestarzałych pojęciach polskiego wieku XIX.

Raz tylko widziałem Giedroycia szeroko uśmiechniętego. Przywiozłem człowieka odeń starszego, jego dobrego znajomego generała Józefa Kuropieskę. Znał go z przedwojnia jako komunizującego rubasznego i niesfornego kapitana. Po wojnie Kuropieska był zastępcą szefa Sztabu Generalnego Wojska Polskiego. W latach 1950–1956 wtrącono go w Polsce do więzienia. Na widok Kuropieski Redaktor rozjaśnił się. Zawołał Zofię Hertzową, przenieśliśmy się na werandę. Na stole pojawiła się whisky. Redaktor nie pił i mnie zlecił dotrzymywać kroku generałowi. Nie było to łatwe. Wtedy chyba jedyny raz Giedroyc był rozradowany, uśmiechnięty. Było to dla Redaktora żywe przypomnienie ojczyzny, do której jeszcze czy już nie chciał wrócić.

50. Pisarz, który nie miał szczęścia we Francji

Z ponad stuletnim byłym prezydentem Polski, Edwardem Raczyńskim, nawiązałem kontakt korespondencyjny z rekomendacji Jerzego Giedroycia. Kontakt dotyczył preceptora braci Raczyńskich z lat ich młodości. Był nim najbardziej zasłużony tłumacz literatury polskiej na język francuski, Paul Cazin (1881–1963). Urodzony w burgundzkiej rodzinie, wychowywany w szkołach duchownych, omal nie został księdzem. Konsekwencją tego, że, jak sam powiadał, był *czystym produktem edukacji religijnej*, stało się wstąpienie do nowicjatu u franciszkanów. Nie zabawił tam długo. Skandal obyczajowy zawrócił go z tej drogi. Jak podkreśla Danuta Knysz-Tomaszewska, jego jakże zasłużona biografka, która przywróciła nam pamięć o Cazinie, wyniósł z tych lat znakomitą znajomość Pisma Świętego, a wszechstronne wykształcenie humanistyczne zwieńczył dyplomem na Sorbonie.

W jaki sposób wychowanek francuskich szkół duchownych, niedoszły ksiądz, związał się na całe życie z Polską? Brakowało mu we Francji znajomości i poparcia, które pomogłyby mu znaleźć odpowiednią pracę. Młody Paul Cazin (dla polskich przyjaciół Pawełek Kaziński) przyjął zatrudnienie jako preceptor młodych Edwarda i Rogera Raczyńskich w Rogalinie. Tam zetknął się z językiem i literaturą polską, co zadecydowało o jego dalszej drodze życiowej.

Utalentowany, ale staroświecki w manierze pisarskiej Cazin nie budził zainteresowania swoich rodaków. Był prowincjuszem i brakowału mu potrzebnych powiązań we Francji. Znalazł je w Polsce, od rodziny i przyjaciół Raczyńskich poczynając, poprzez Gabrielę Zapolską, Józefa

Weyssenhofa, Tadeusza Boya-Żeleńskiego, Władysława Reymonta i dziesiątki innych polskich wielkości. Zapewniły mu one tytuł czołowego francuskiego polonofila. W swoich dziennikach wspominał o tym, że tak jak tradycyjnie ojczyzna jest matką, tak w jego przypadku Polska stała się co najmniej ciotką. I to ciotką kochającą i wspierającą. Także po wojnie, gdy znakomitego tłumacza pamiętników Jana Chryzostoma Paska i „Pana Tadeusza" przygarnęła i hołubiła Polska Ludowa. Kontakt z nim utrzymywali między innymi Mirosław Żuławski, Tadeusz Breza, Jerzy Putrament. To Polska opłacała mu stanowisko wykładowcy cywilizacji polskiej na uniwersytecie w Aix-en-Provence. To w Polsce fetowano go i odznaczano, to nad Wisłą miał wielu przyjaciół, z którymi utrzymywał kontakt korespondencyjny. Zaopatrywali go w polską literaturę, w płyty z muzyką polską. W swoich dziennikach wspomina żartobliwie, że nikt, kto wsłuchał się dokładnie w nagranie polskich kolęd, *nie powinien mieć wątpliwości, że Jezus Chrystus urodził się w Polsce.*

Jego powojenne kontakty z Polakami, z ambasadą polską, odstręczyły od niego większość emigrantów politycznych. Nie wczytali się oni w jego opis wyzwolenia Autun. W swojej książce „La Bataille d'Autun" (1946) pisał wyraźnie, jak waloryzuje dziejące się wydarzenia:

Osobiście nie czuję wstrętu do Sierpa i Młota, są to bowiem wielce użyteczne dla rodzaju ludzkiego narzędzia. Nigdy jednak silniej niż w ów dzień odzyskania wolności nie odczuwałem nienawiści do ponurej farsy internacjonalizmu, który zmierza do likwidacji narodów i podporządkowania całego świata jednemu despotycznemu państwu. I z większym podziwem niż wdzięcznością patrzyłem na sztandar tej wspaniałej Armii Czerwonej, która swoim dwudziestojednomiesięcznym wspólnictwem z Reichem, zapewniwszy nazistom władzę nad Europą, chwyciła się za łby z Wehrmachtem, aby ocalić skórę Rosji, z czego się na nasze szczęście bardzo dobrze wywiązała dzięki własnej odwadze i pomocy amerykańskiej; należało jednak obawiać się, że wskutek jej zwycięstwa wyjdą zwycięsko z tej długiej wojny najczystsze zasady hitlerowskie...

Trudno Cazinowi odmówić przenikliwości politycznej. Jego dorobek tłumacza jest ogromny, a pisarski też niemały. Ale pierwsza żona,

intelektualistka, zmarła szybko, zaś druga, znacznie młodsza, nie bardzo rozumiała, czyją jest żoną i nie potrafiła wpoić córkom szacunku dla osiągnięć ojca.

Cazin pojawił się w moim życiu dyrektora Stacji PAN w Paryżu wraz z profesor Danutą Knysz-Tomaszewską. Usilnie zabiegała o pozyskanie z Aix-en-Provence archiwum po francuskim polonofilu. Tylko fragment jego zdołał ściągnąć do Warszawy wielki szperacz Janusz Odrowąż-Pieniążek. Niestety, córki Cazina, Catherine i Martine, wydawały się nie rozumieć znaczenia posiadanego archiwum i nie były chętne do kontaktów.

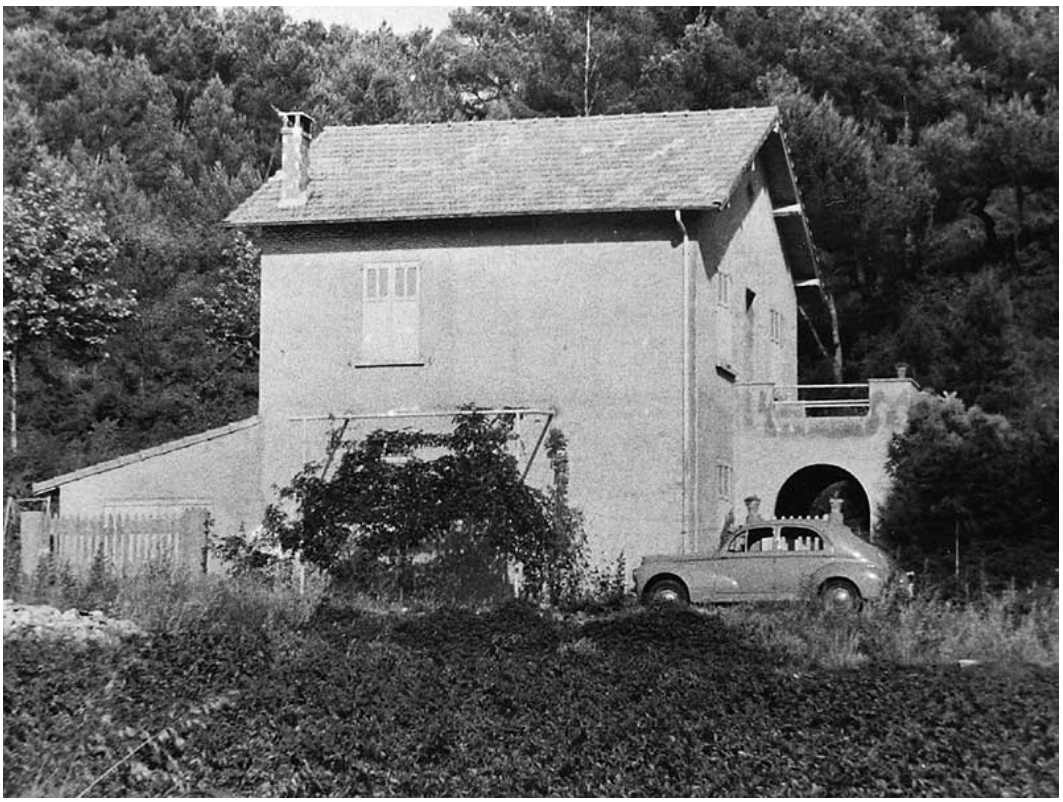

71. Dom Paula Cazina na przedmieściach Aix-en-Provence, w którym odnalazłem całe archiwum pisarza (1958).

Trzydzieści lat po śmierci Cazina jego dzienniki, ogromny blok korespondencji ze znakomitymi i zwykłymi Francuzami oraz Polakami, materiały do jego niesłusznie niedocenianych rękopisów i drukowanych utworów antywojennych, wspaniała kolekcja pocztówek i ilustracji,

biblioteka – wszystko to niszczało w opuszczonym piętrowym domostwie pod Aix-en-Provence. Złodzieje zdołali już wynieść stamtąd cenne obrazy, podobno i impresjonistów. A córki pisarza żyły w biedzie.

I tak otóż przypadło mi zadanie wydobycia i zapewnienia Polsce spadku intelektualnego po Cazinie. Jego starsza przybrana córka Martine pracowała w piekarni. Nie najlepiej było z jej równowagą psychiczną, o czym już wiele lat przedtem wspominał pisarz w swoich dziennikach. Młodsza Catherine po przebytej we wczesnej młodości chorobie Heinego-Mediny też nie była łatwa w kontaktach. Zatrudniało ją muzeum Paula Cezanne'a w Aix.

Rozpocząłem zatem grę o archiwum. Do Aix-en-Provence poszły listy, głoszące, że pracownicy ze Stacji Naukowej PAN w Paryżu nakłaniają swojego szefa, wybitnego archiwistę i profesora, aby wybrał się do Aix celem ocenienia archiwum. Pisano, że jest to okazja wyjątkowa, ale należy się pospieszyć, gdyż profesor jest sędziwy… (Byłem wówczas o prawie dziesięć lat starszy od córek Cazina, nie miałem jeszcze sześćdziesiątki). Córki Cazina uchwyciły się propozycji i zaprosiły mnie do Aix. Przodem pojechali pracownicy Stacji: Katarzyna Chmielowska i Adam Gałkowski. Z trudem znieśli grudniowy chłód w opuszczonym i od lat nieopalanym domu Cazina.

Dopiero w lipcu następnego roku pojawił się wreszcie „sędziwy profesor". Długa przerwa w pertraktacjach zmiękczyła serca Catherine i Martine. Przyjęły mnie bardzo życzliwie i pozwoliły, abym sam przez kilka dni buszował po domostwie. Dokładnie mówiąc, przeprowadziłem regularną rewizję, szafa po szafie, skrytka po skrytce. Zagubione rzekomo dzienniki Cazina znalazłem w zwałach brudnej bielizny damskiej na dnie ogromnej szafy stojącej na schodach na półpiętrze. Ze szpary w podłodze wygrzebałem, ku ogromnej radości obu sióstr, dwie złote obrączki. Przez dwa dni składałem na stos wszystko, co było archiwum pisarza. Sterta papierów rosła.

Na zakończenie poszukiwań podjąłem obie córki oraz brzemienną wnuczkę Cazina obiadem. Mimo upału jadły z apetytem wskazującym na

to, że nieczęsto trafia im się taka okazja. Bez trudu zgodziły się na cesję archiwum i praw do druku za niecałe dziesięć tysięcy franków, zdumione, że takie szpargały mają jakąkolwiek wartość. Polska Akademia Nauk nie miała pieniędzy, dla córek Cazina liczył się zaś każdy grosz. Myślałem także o zakupie lingwistycznego zbioru książek od XVII wieku, które Cazin zgromadził. Ale nie było za co. Doradziłem córkom Cazina, aby porozumiały się w sprawie sprzedaży z jakimiś antykwariatami na południu Francji. Niestety, jak dowiedziałem się później, księgozbiór uległ rozproszeniu.

Archiwum Cazina znalazło schronienie w Warszawie, na łonie „ciotki Polski".

51. Andrzej Nieuważny

Nagła wiadomość o śmierci Andrzeja Nieuważnego (1960–2015) uświadomiła mi, że już nie będę dłużej czekał. Nie będę dalej uprawiał czegoś, co można było nazwać mobbingiem, zmuszaniem. Zawsze się spóźniał, zawsze odkładał na potem pisanie swojego wielkiego dzieła. Regularnie pytałem go przez długie lata, kiedy położy mi na stole swoją rozprawę habilitacyjną. Zaczął ze mną o niej rozmawiać w Paryżu około 1993 roku. Planował mnie jako recenzenta. Temat był świetny i nowatorski: historia wywiadu napoleońskiego. Z latami stworzenie tej księgi oddalało się, zaczął mówić o zbiorze swoich esejów z epoki Napoleona I jako o habilitacji. Ale problem wywiadu nurtował go nadal. Zwracam uwagę, że w obcojęzycznym tomie z międzynarodowej konferencji z 2007 roku, dotyczącej wojny krymskiej, Andrzej Nieuważny jeden podrozdział swojego referatu poświęcił rozważaniom o wywiadach francuskim i rosyjskim (negatywnie) i brytyjskim (pozytywnie).

Tom składa się z dwudziestu pięciu referatów. Wygłoszone zostały w siedemnastowiecznym pałacu w Oborach pod Warszawą. W konferencji, którą organizowałem, wzięli udział przedstawiciele siedmiu krajów. Oprawa była uroczysta. Ostatni referat w drugim dniu konferencji miał wygłosić Andrzej Nieuważny. Nie było go pierwszego dnia. W drugim też się nie pojawiał. Byłem już podminowany. Wpadł jak zawsze zdyszany w ostatniej chwili, aby wygłosić referat zamykający konferencję. Referat był świetny, tytuł znakomity: „La guerre de Crimée: une guerre à l'ancienne au seuil de la modernité?" (Wojna krymska: wojowanie po staremu na progu nowoczesności?). Półprzytomny referent odprężył się dopiero podczas przyjęcia pokonferencyjnego w objęciach Francuzów, Rosjan i Turków.

I w formie, i w treści był często niezrównany. Kiedy około 1991 roku Maurice Aymard, dyrektor paryskiego Maison des Sciences de l'Homme, poprosił, abym wskazał mu dwóch najzdolniejszych młodych humanistów z Polski – wśród kandydatów do stypendium bez wahania jako pierwszego wymieniłem Andrzeja.

52. Samotność Leonidasa

Od lutego 1991 do stycznia 1996 roku byłem dyrektorem Stacji Naukowej Polskiej Akademii Nauk w Paryżu. Do moich obowiązków należały także pertraktacje i rozmowy z setkami osób. Przeciętnie czterech rozmówców indywidualnych dziennie. To czyniło tysiąc osób rocznie, pięć tysięcy podczas całego „dyrektorskiego" pobytu.

Większość spotkań odbywałem w moim stylowym, piętrowym gabinecie wyłożonym starym drewnem. Po schodach wchodziło się do galerii bibliotecznej umieszczonej nad głowami rozmawiających. Był to kiedyś gabinet właścicieli pałacu – książąt Clermont-Tonnerre. Kiedy ich odszukałem, okazali się nader życzliwi. Wypożyczyli do przyozdobienia dużej sali konferencyjnej portret jednego z przodków, członka Akademii Francuskiej.

Dzieje Francji są usłane diukami, markizami, baronami i baronessami z tego rodu. Rodzina otrzymała herb z nadania papieskiego w 1120 roku. Dawnością rodu Clermont-Tonnerrowie mogą się równać z naszymi Piastami. Ale kto zna dzisiaj jakiegoś Piasta? Kiepsko jest w Polsce z ciągłością tradycji. A ja po prostu siedziałem przy kolacji w roku 1992 z kilkoma paniami i panami z rodziny Clermont-Tonnerre. Ich krewna, markiza mieszkająca niedaleko mnie, urządziła wieczorek zapoznawczy w swoim bynajmniej nie kapiącym przepychem mieszkaniu. Było miło i bezpośrednio.

Kiedyśmy wstali od stołu, jeden z gości odciągnął mnie na bok.

– *Jak pan znajduje nasz calvados?*

– *Znakomity.*

– Otóż to. Moja produkcja. Pomyślałem sobie: czy nie mógłby pan pomóc w eksporcie mojego calvadosu do Polski?

Takich nieco dziwnych propozycji było więcej. Dostojnych gości w Stacji nie brakowało. Występowała Irena Krzywicka (1899–1994) rok przed śmiercią. I Jerzy Giedroyc (1906–2000), tuż przed dziewięćdziesiątką. Choć namiętnie zwalczałem palenie papierosów, właśnie ta para gości poprosiła o zezwolenie. Usłużnie podsuwałem popielniczkę.

Francuscy laureaci Nobla czy ambasador Izraela z ogromnym czarnoskórym ochroniarzem (możliwe, że karaimem z Afryki Północnej) sprawiali na nas duże wrażenie. Ale może najbardziej utkwiła mi w pamięci para przyjaciół, którzy pewnego dnia stanęli na progu mojego gabinetu. Obu połączyła wileńska przeszłość. Nieduży i jowialny nazywał się Leon Kurowski (1907–1998). Był znanym prawnikiem, w roku 1945 łączył wykłady w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim z funkcją dyrektora Biura Prezydialnego Krajowej Rady Narodowej. W zmiennej rzeczywistości Polski powojennej poruszał się nader umiejętnie. Wybitny znawca prawa finansowego, wykładał krótko na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika i dziesięciolecia całe w Warszawie. I tu i tam bywał rektorem, prorektorem, dziekanem.

Drugim z przyjaciół okazał się Leonid Pimonow (1908–2000), bardzo wysoki i mimo swego wieku świetnie wysportowany. Fizyk, znany profesor, przewodniczący stowarzyszenia francuskich akustyków, od półwiecza poza Polską i poza Litwą. Kiedy zjawił się u mnie, był honorowym przewodniczącym Naczelnej Rady Staroobrzędowców.

Patrzyłem na Pimonowa z szacunkiem. Jako dziecko jeszcze bywałem z ojcem we wsiach staroobrzędowców na Mazurach. Przeorysza niknącego żeńskiego klasztoru staroobrzędowców przyjeżdżała czasem na rowerze do ojca, który już ciężko chory w latach 1949–1951 w ciepłe miesiące siedział w Rucianem. Według pogłosek była siostrą znanego pisarza rosyjskiego. Przywoziła miód i ogórki. Jej przejazdy przez Ruciane budziły sensację. Ojciec tłumaczył mi, że są to ludzie mocnego charakteru. Prześladowano ich w Rosji od XVII wieku za wierność starym obyczajom cerkwi rosyjskiej.

Nowe reformy patriarchy Nikona z połowy XVII stulecia były wzorowane na pierwowzorach greckich. Doprowadziło to do rozłamu. Staroobrzędowcy nie uznawali żadnej hierarchii cerkiewnej, musieli kryć się i uchodzić na daleką północ Rosji i do Prus. Częściowo zgermanizowani, wyróżniali się prowadzeniem znakomitych sadów, wiernością liturgii starosłowiańskiej i uchylaniem się z pobudek religijnych od służby wojskowej. Kiedy poznałem Pimonowa, odwiedziłem po latach klasztor. Zostały tam tylko dwie stareńkie mniszki.

Obaj panowie – Pimonow i Kurowski – nosili się krzepko i wesoło. I mieli ciekawą propozycję. Pimonow proponował przekazanie na określonych warunkach Polskiej Akademii Nauk swojego domu z ogrodem pod Paryżem. Nie miał dzieci. Żona – jak mi powiedział – choruje. Zaprosił mnie do siebie.

72. Dom w Rucianem, w którym chory już ojciec spędził wiele miesięcy. Pomieszkiwałem tam latem (stan obecny).

Kiedy się zjawiłem, panowie – znowu w parze – wylegli na próg domostwa, aby mnie powitać. Duży i mały. Po francusku nazywa się to „juxtaposition", czyli zestawienie – nieco jak z filmu komicznego. Pimonow jawnie się cieszył z wizyty Kurowskiego, z tego, że nie jest samotny. Żona się nie pokazała. Ale druh z Warszawy wypełniał duży salon swoją krzątaniną.

Zgodnie zaczęli wlewać we mnie koniak. Sami pili równo, rozważnie i z przyjemnością. Perswadując, że jestem od nich o trzydzieści lat młodszy, wyciągnęli ćwierćlitrowy kielich do koniaku:

– A może z tego będzie panu pić wygodniej.

Odmówiłem, ale poprosiłem o obejrzenie kielicha z bliska. Od strony, której mi nie pokazali, było na nim wymalowane prosię. Byłych studentów wileńskiego Uniwersytetu Stefana Batorego nadal trzymały się sztubackie figle.

Polska Akademia Nauk z powodów, których dziś nie odtworzę, obawiała się pertraktacji. Profesor Kurowski wrócił do Warszawy. Osamotniony Pimonow zaprosił mnie wraz ze współpracownikami na śniadanie wielkanocne. Wtedy okazało się, że jego żona, Polka Eugenia z domu Starczewska, cierpi na chorobę Alzheimera. Dla męża przeszła na prawosławie. Dla niego wyjechała na zawsze w 1941 roku z rodziną z Wilna do Niemiec. Tam w latach 1941–1947 Pimonow pracował jako robotnik, a potem dyrektor fabryki, tam też studiował w Berlińskim Instytucie Technicznym.

Epizod niemiecki Pimonowa nie jest dla mnie jasny. Najpewniej korzystał z większej niż Polacy swobody pod okupacją niemiecką jako potencjalny sojusznik (Rosjanin, prawosławny, antykomunista). Jego brat stryjeczny Borys Pimonow (1901–1961) próbował zmobilizować społeczność rosyjską na Litwie do utworzenia proniemieckiego rządu antykomunistycznego. Pod koniec wojny zdążył się ewakuować do Stanów Zjednoczonych. Nie była to mała płotka. W okresie międzywojennym szefował Związkowi Rosyjskich Organizacji Mniejszościowych, był czas jakiś przewodniczącym wileńskiej gminy staroobrzędowców, wreszcie,

posłem na sejm w latach 1930–1939. Jego ojciec Arsenij (1863–1939), stryj Leonida, z listy BBWR uzyskał godność senatora.

Ojciec profesora Pimonowa z kolei, jak się dowiedziałem, ufundował molennę (dom modlitwy) w Wilnie, był znanym filantropem. Wierzchołkiem sygnalizującym bogactwo znanych staroobrzędowych działaczy były należące do nich dwa kinoteatry i wiele nieruchomości w wileńskiej dzielnicy Zwierzyniec. Źródła ich zamożności tkwiły jeszcze w czasach Mikołaja II, przed rewolucją 1917 roku mieli potężne udziały w kopalniach złota w odległych rejonach Rosji. Zapewne również za działalność filantropijną ojca w roku 1991 rząd w Wilnie nadał Leonidowi obywatelstwo litewskie.

Po drugiej wojnie Pimonow szybko przeniósł się z Niemiec do Francji, studiował dalej fizykę na Sorbonie, zdobył tytuł profesora. We Francji spędził pół wieku, stał się postacią zauważalną w życiu paryskim.

Wytworny a zarazem serdeczny, cieszył się wizytą naszej czeredy na wielkanoc w 1993 roku. Przyciągnąłem ze sobą czwórkę studentów. Widać było, że ten stary człowiek jest sam. Uważnie przyglądał się młodzieży. Pani Eugenia ledwo kontaktowała z przyjezdnymi.

Pimonowa ciągnęło do stron rodzinnych. W Suwałkach już w połowie lat osiemdziesiątych założył fundację wspierania tamtejszych staroobrzędowców. Ale jego kontakty z Polską nie układały się. W 1994 roku założył w Wilnie fundację pomocy dla chorych na Alzheimera imienia Eugenii i Leonida Pimonowów. Żona zmarła w 1996 roku w Paryżu. Pochował ją na cmentarzu staroobrzędowców w Wilnie. I tam w wieku dziewięćdziesięciu dwóch lat – 24 marca 2000 roku – zmarł podobno na cmentarzu przy grobie żony. Był obywatelem polskim, francuskim i litewskim, Rosjaninem wzrosłym w kulturze polskiej. Samotny Leonid Wasiliewicz Pimonow został pochowany jako Leonidas Pimonovas.

53. Lwów i Józio K.

Miałem pięć lat. Trzymany za rękę czekałem z mamą na dworcu kolejowym we Lwowie na powrót ojca. Na peron wtoczył się pociąg, budząc mój ogromny zachwyt. Ciągnęły go trzy lokomotywy. Z okna ojciec pomachał nam ręką i zaczął wysiadać i nagle z paczki, którą wyciągał, potoczyły się duże czerwone jabłka. Nie bez trudu próbowaliśmy je zbierać. Kiedy dzisiaj po ponad siedemdziesięciu latach przypominam sobie tę scenę, muszę zadać pytanie: skąd wiózł te jabłka do Lwowa? Z Moskwy? Czyżby przy władzy sowieckiej w żyznej polskiej Galicji natychmiast zaczęło brakować owoców?

Pamiętam, że w domu opowiadał mi potem, że w Moskwie domy jeżdżą na szynach. To, co o tym przeczytałem po latach: zgadzało się, technikę tę stosowano przy budowie moskiewskiego metra.

Po zajęciu Lwowa przez Niemców latem 1941 roku uciekliśmy z mamą do Buczacza. Lwów zobaczyłem potem trzykrotnie. W 1961 roku zapamiętałem obraz kołchoźników leżących w nocy pokotem na tłumokach na dworcu mojego dzieciństwa. W 1968 roku skrycie a w 1988 jawnie już wyzierały antagonizmy ukraińsko-rosyjskie. Nie znając numerów, wiedziony pamięcią dziecka, trafiłem do naszego mieszkania na ulicy Długosza. Wszedłem na półpiętro i zadzwoniłem. Nowymi mieszkańcami okazali się Rosjanie. W przedpokoju spostrzegłem wiszące nasze lustro, które pamiętałem. Na mój okrzyk:

– *Nasze lustro!* – Rosjanie zareagowali lękliwie: – *Możemy oddać.*

– *Nie, dziękuję. Ja tylko wspominam.*

Uosobieniem Lwowa był dla mnie mój przyjaciel Józio Kłoczko. W roku 1988 mieszkał już od dawna we Francji. Od lat uchylał się od odwiedzania

stron ojczystych. Przypuszczam, że posiadał pokaźne dossier w aktach radzieckich (z Armii Czerwonej, ze Lwowa i z Rygi).

Józio zadomowił się w Warszawie w czasach wczesnego Gierka. Był Polakiem z radzieckim paszportem konsularnym. Polecił go mojej matce jako człowieka potrzebującego wsparcia pewien młody Bułgar piszący dla dzieci. Mama była redaktorem w wydawnictwie dla młodzieży. Tam zaczął się pojawiać, prowadząc za rękę małego syna Edzia, polski farmaceuta z ZSRR. Polska Edwarda Gierka miała być w planach Józia krajem godnym małego Edzia. Po zapoznaniu się z pensjami polskich aptekarzy Józio gromko oświadczył: -T*o nie jest kraj dla Edzia*. „Fajne życie dla Edzia" jako busola życiowa miało się wielokrotnie zemścić na Józiu K.

Z Polski Józio K. wywędrował nie całkiem legalnie do Europy Zachodniej. Pierwszym etapem jego podróży stały się Włochy. Tam w Rzymie, w ludowej dzielnicy Monte Sacro spostrzegłem kiedyś w puste niedzielne przedpołudnie Józia pomykającego z butelkami przez miejscowy rynek. Radosne zdziwienie: – *Skąd ty tutaj?*

– *Żona tańczy w Neapolu w teatrze San Carlo. A ja siedzę przy kasie* – dodał smętnie Józio. – *Ale zarabiam „na papierosy". Widzisz, pędzę bimberek dla jednego deputowanego do parlamentu. On lubi to pić. Poznałem go w kościele.*

Józio we wszystkich krajach regularnie uczęszczał do kościołów katolickich. Polak-katolik. Dopiero kiedy go chowano pod Paryżem doprecyzowano, że był grekokatolikiem.

A kim był właściwie?

Określał się jako Polak. Zaprosił mnie zaraz do swojego rzymskiego mieszkanka. Był niemal moim sąsiadem. W jego domu teściowa Lidia, była aktorka, kobieta bardzo słusznego wzrostu, podejmowała wraz z córką tancerką dwóch włoskich dziennikarzy. Rozmowa toczyła się po włosku. A Józio nie znał wówczas żadnego języka zachodniego. Z pewną ironią wskazał palcem swoje kobiety i swoją polsko-ruską mową zapytał mnie po cichu:

– *A jaka u nich nacja? One są poligłoty.*

I Józio stał się po latach pobytu na Zachodzie poliglotą. Opanował francuski i angielski. Ale w żadnym języku poza rosyjskim nie znał zasad ortografii. Pisał na ogół fonetycznie. Jego syn Edward (Edzio) stał się pozującym na wyrafinowanego francuskiego inteligenta wydawcą słowników i książek o literaturze fantastycznej. Czynił to nieraz za pieniądze ojca. Był wykształconym filologiem, ale brzydził się stałą pracą nauczyciela w liceum, choć miał uprawnienia. Brzydził się też „niedouczonym" ojcem.

Ale jak pisał średniowieczny kronikarz polski: niech koło nie wyprzedza powozu. Po kolei.

Józio K. był chłopcem z lwowskiego Łyczakowa. Niebieskie oczy, blond włosy, wyraziste zęby. Szczerzył je często w uśmiechu. Łatwo wybuchał śmiechem. Bardzo gromkim. Miał wesołą i energiczną naturę. Gdyby spytano mnie o jego narodowość, odpowiedziałbym bez wahania: lwowianin, lwowiak. I zaznaczył: z Łyczakowa. Dla starszych Polaków lwowski Łyczaków to synonim zaradności i cwaniactwa. A jednocześnie polskich tradycji patriotycznych. Jakby przedłużeniem Łyczakowa jako dzielnicy jest słynna polska nekropolia narodowa, miejsce pochówku uczniów i studentów-ochotników – tak zwanych Orląt Lwowskich z oddziałów samoobrony walczących w listopadzie 1918 roku z oddziałami ukraińskimi.

Losy mojego przyjaciela, szukającego szczęścia pod różnymi szerokościami geograficznymi, grającego w chowanego z władzą radziecką, uprawniały go chyba do miana Józia K. Ale nie Józefa K. Był antytezą bohatera Franza Kafki: bezsilnego i malutkiego wobec niepojętej potęgi biurokratycznego świata. Tam, dokąd Józio nie dostał się drzwiami, wchodził przez podziemia. Odbył służbę wojskową w jakiejś tajnej jednostce Armii Czerwonej, korespondował z ZSRR z rodziną w USA i na Śląsku. Był kartografem. Wtedy to Amerykanie, jak się okazało dziesiątki lat później, namierzyli go przez swój wywiad jako osobnika do wykorzystania przeciwko władzy radzieckiej. Nie był jej zwolennikiem, ale z pewnością nie miał zadatków na dysydenta. Nie został też wywiadowcą.

W kuluarach lwowskiego teatru opery i baletu długo ubiegał się o względy wykształconej i atrakcyjnej tancerki Diny Joffe. Występowała gościnnie. Potem przeniósł się do jej rodzinnej Rygi. Został tam kierownikiem dużej apteki. Wyczyniał różne brewerie z pozyskanymi tam kumplami – radzieckimi kapitanami żeglugi wielkiej. Ci sowicie opłacani przez władze, aby powracali z podróży zamorskich do „ojczyzny proletariatu", wynajęli kiedyś samolot państwowy na pijacką prywatną wyprawę tam i z powrotem na trasie Ryga–Ural. Józio na aptece za poduszczeniem kapitanów wywiesił tabliczkę: „Remanent 3 dni". W drodze powrotnej rozszalała się śnieżyca. Samolot musiał lądować w Leningradzie. Aby nie zostać nakryty i wyrzucony z pracy, Józio resztę drogi do Rygi odbył taksówką opłaconą dla niego przez kapitanów. Było to bagatela: około sześciuset kilometrów. Cały dzień jazdy.

Jego styl bycia: łatwość w nawiązywaniu kontaktów, uczynność, wesołość i bezpośredniość, sprawiał, że kto go poznał, nazywał go Józiem, nie Józefem. Joseph znał nieoczekiwanie jakichś francuskich malarzy czy rosyjskich śpiewaków. Na przykład dyrygenta słynnego chóru postradzieckiego Aleksandra Pustowałowa, który często bywał u niego w mieszkaniu w podparyskiem Houilles. Kilka lat po śmierci żony Józia mieszkała tam czas jakiś była dziennikarka francuska, potem zakonnica, która powróciła po namyśle do swojego klasztoru.

Jako lwowianin Józio wolałby, aby Lwów był polski. Z pewnością nie radziecki czy rosyjski. Ale sam ucieleśniał złożoność Lwowa – tej bramy europejskiego Wschodu. Lwów – polska Marsylia – był tyglem narodowości: Polacy, Ukraińcy, Żydzi, Ormianie, Grecy, Rumuni, Niemcy. Kogóż tam nie było?

Z konfabulacji Józia – jeśli ktoś chciałby dociekać – trudno było odtworzyć jego genealogię. Czy matka była Słowaczką? Kto w rodzinie był Ukraińcem? Skąd się wzięli hałaśliwi, czarnoskórzy malcy, ukraińscy czy polscy kuzyni, witający go na lotnisku w USA? Opowiadał o tym wielokrotnie w zachwyceniu. Przez pierwsze lata mojej znajomości z Józiem często wspominał o dziadku – pono lwowskim Cyganie – i o tym,

jak biegał czasem na ognisko gdzieś na obrzeżach Lwowa do cygańskich kolegów. Potem dziadka wyparł w opowieściach ojciec – wykładowca Politechniki Lwowskiej. Ale żadne dokumenty lwowskie nie potwierdzają tej relacji.

Józio sam przedstawiał sporo wartości intelektualnych i wiele zdrowego rozsądku. Był dobrze wykształconym farmaceutą, miał pojęcie o chemii. Widziałem jego dobre próby malarza-amatora. Czytałem jego napisane po rosyjsku, z literackim zacięciem, plastyczne wspomnienia ze służby w Czerwonej Armii.

Były żołnierz Józio szybko porzucił Włochy. Tłumaczył mi: – *Tu jest wesoło i brudno. Mężczyźni sikają pod ścianami na ulicach. To mi nie przeszkadza. Ale tu jest taki bałagan, że człowiek nie jest pewien jutra. Na nich wystarczy jeden batalion sowieckich czołgów.*

I dodawał z błyskiem w oku:

– *A za czołgami puścić Polaków. Wszystko wyszabrują.*

Teściowa Józia pochodziła ze znanej żydowsko-rosyjskiej rodziny z Rygi. Nie potrafiła nawet, według relacji Józia, przyzwoicie ugotować obiadu. Gotował Józio. Ale była dostatecznie zaradna, aby w roku 1941 uciec z córką przed inwazją niemiecką z Rygi do Taszkentu. A potem to zapewne ona odnalazła rodzinę w USA i w Europie Zachodniej. I z niepewnych Włoch powędrowali całą karawaną do USA, aby wreszcie osiedlić się we Francji. Tu Józef pokazał swój talent organizacyjny i został szefem działu kosmetyków w jednym z centralnych domów towarowych Paryża.

Matkę swoją, aby mogła łatwo przyjeżdżać do niego do Paryża, wydał za mąż za jakiegoś sędziwego dogorywającego Ukraińca z francuskim paszportem. Kupił mieszkanie dla żony i siebie pod Paryżem, drugie dla syna.

A potem zaczęły po kolei umierać: matka, teściowa, żona. Samotny Józio jeszcze pracował.

Syn też się starzał. Trzydzieści lat, czterdzieści lat. Zjawiał się głównie po pieniądze. Sam zarabiał wtedy, kiedy chciał, i to nie za wiele.

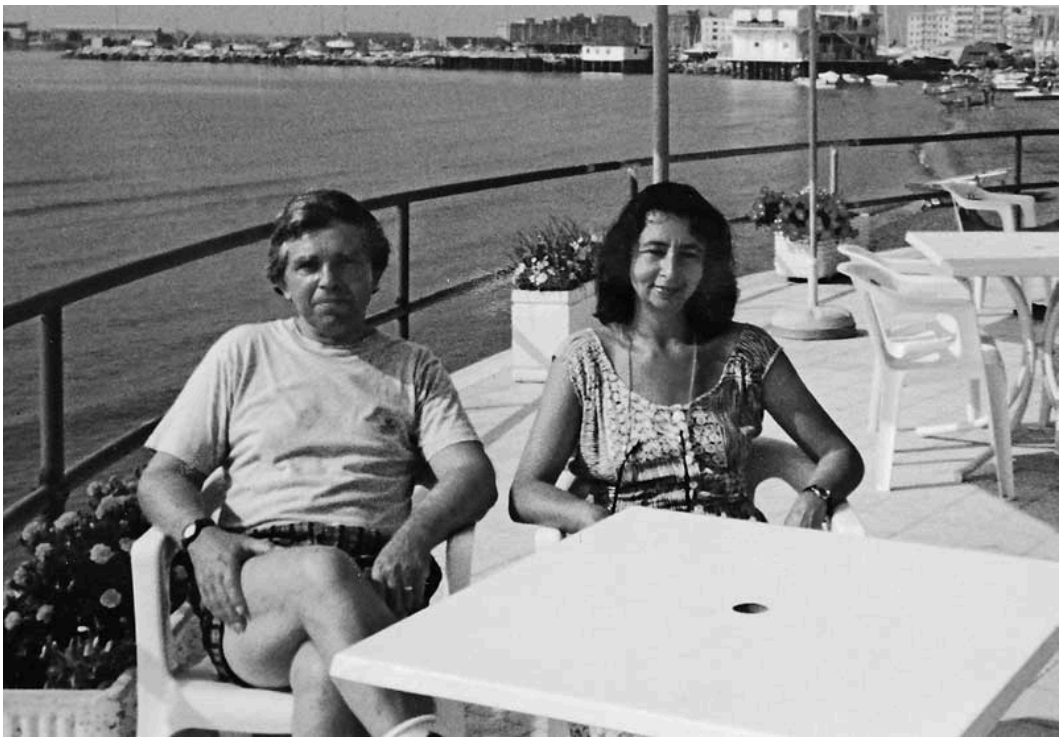

73. Dziecko Lwowa, obieżyświat Józef Kłoczko z żoną Diną na wakacjach.

Józio mimo wielu ulotnych znajomości był coraz bardziej osamotniony. Wierny katolicki mąż zmarłej bezwyznaniowej żony zaczął z wybiciem sześćdziesięciu lat szukać towarzyszek życia na stałe. Szukał wszędzie, nawet w klasztorach, do których jeździł na dłuższe pobyty, na rekolekcje. Ale zapobiegliwy chłopiec z Łyczakowa wcale niemałe oszczędności trzymał tylko dla jednej osoby – dla Edzia. Nie zamierzał więc potencjalnym kandydatkom oferować oficjalnego małżeństwa. Tym bardziej że dopóki pozostawał wdowcem, przysługiwała mu dodatkowa renta po zmarłej żonie.

Samotność w podparyskiej miejscowości Józio zaczął topić w winie. Wino mieszał z lekami. Miesiącami bywał w stanie mało kontaktowym. Nie widziałem ani nie słyszałem Józia od czterech lat. Nagle w kwietniu 2014 roku odnalazł mnie telefonicznie Karol Penson, młodszy kolega, Polak z Francji, znakomity fizyk: – *Czy nie wiesz, jak ma na imię syn Józia K.?* – *Wiem, Edward. A co się stało?*

– Znaleziono zwłoki Józia w stanie całkowitego rozkładu, leżał tak kilka miesięcy. Policję zawiadomił jego znajomy Rosjanin z kabaretu „Rasputin" w Paryżu. Przez trzy miesiące nie mógł się dodzwonić. A teraz policja nie wie, jak szukać syna, jak syn ma na imię.

Ja wiedziałem: *– Niech zajrzą do Internetu. Syn jest osobą znaną.*

54. Jabłonna 1961

W roku 1961 promotor mojej rozprawy doktorskiej Henryk Jabłoński zabrał mnie do pałacu w Jabłonnie na dyskusję o makiecie podręcznika historii Polski XIX wieku. Wystąpiłem w dyskusji. W przerwie obrad podszedł do mnie dyrektor Biblioteki Uniwersytetu Warszawskiego Adam Lewak (1891–1963), wuj moich kolegów szkolnych Piotrka i Jacka Kijkowskich, prawnuków Zygmunta Miłkowskiego (T.T. Jeża). Lewak przedstawił mnie wysokiemu mężczyźnie w okularach. Był nim znany historyk Henryk Wereszycki (1898–1990). Obaj panowie zgodnie pochwalili mnie – absolutnego młokosa pośród czcigodnego grona.

Mój promotor słyszał to. Dał mi znak ręką, abym podszedł. I powiedział:

– *Podzielam ich zdanie. Ale czy pan wie, kto pana chwali? To nie są moi sojusznicy polityczni.*

Tak zaczęły się intensywne, trwające lat trzydzieści przyjazne kontakty z profesorem Wereszyckim. Pozostał po nich cały duży zbiór listów, które obficie cytuję w następnym tekście, moje artykuły o profesorze i jego pracach pisane za jego życia i po śmierci.

Profesor Wereszycki kibicował całej mojej karierze zawodowej i osobistej. Martwił się, abym wśród licznych wojaży zagranicznych nie ugrzązł poza Polską w ramionach jakiejś cudzoziemki.

Byłby więc mój tom wspomnieniowy niepełny bez przypomnienia Henryka Wereszyckiego, kim był i jaki był. A także bez moich szkiców o dwóch pozostałych koryfeuszach polskiej nauki historycznej: Aleksandrze Gieysztorze (1916–1999) i Stefanie Kieniewiczu (1907–1992), którzy zaznaczyli się w moim życiu. Obaj bronili mnie przed usunięciem z Uniwersytetu Warszawskiego, z oboma pozostawałem w kontakcie aż do

końca ich życia. Praca Kieniewicza o powstaniu styczniowym była dla mnie wzorcem w badaniach dziejów polskich XIX wieku.

55. Dole i niedole polskiego historyka

Otwock. Styczeń 1952 roku. Nowy Rok. Szczytowy okres stalinizmu. Terror intelektualny. Wielki strach. Ogólnopolska konferencja metodologiczna historyków polskich, która ma narzucić powszechne rygory „nowej wiary": marksizmu-leninizmu. Dziesiątki profesorów i docentów znanych jeszcze sprzed wojny, kilkudziesięciu młodych, żądnych wiedzy. Część świadomie dążąca przede wszystkim do awansu, do kariery, do lepszego życia po dopiero co zakończonej wojnie. U ilu nowa ideologia łączyła się z oportunizmem i karierowiczostwem, usprawiedliwiała je? Wielu początkujących, którzy dzisiaj należą do najgłośniejszych historyków polskich. Grupa politruków z tytułami profesorów czy redaktorów „Nowych Dróg" – organu teoretycznego PZPR. Delegacja historyków radzieckich, którzy są raczej obserwatorami niż dyrygentami owej orkiestracji nauk historycznych w Polsce. W swoich sprawozdaniach po powrocie do Moskwy podkreślą dojrzałość metodologiczną i „zadziwiająco wysoki poziom" polskich towarzyszy.

W Nowy Rok całe gremium bawi się, rozmawia. Dwóch historyków siedzi na uboczu. Wysoki kontraktowy „zastępca profesora" w okularach (rocznik 1898), czekający na próżno na awans profesorski i jego młody asystent. Obaj są z Uniwersytetu Wrocławskiego. Koledzy omijają ich stolik.

„Zastępca profesora" aż do śmierci w roku 1990 nie uzyska profesury zwyczajnej. Były asystent w czasie sesji naukowej na Uniwersytecie Jagiellońskim pod koniec 1998 roku, poświęconej stuleciu urodzin owego „zastępcy" – Henryka Wereszyckiego przypomni, kto i dlaczego w ogóle odważył się zbliżyć do stolika zadżumionych w czasie noworocznej fety. Niegdysiejszy asystent, potem profesor zwyczajny Uniwersytetu

Wrocławskiego, Adam Galos nazwie ową konferencję otwocką ucztą kiejdańską polskiej historiografii.

Otwock = Kiejdany?

W „Potopie" Sienkiewicz wkłada w usta księcia Janusza Radziwiłła słowa: *Kto nie ze mną, ten przeciw mnie!* Wzywa zgromadzonych w Kiejdanach oficerów, szlachtę do przejścia na służbę szwedzkiego króla, „zaprzedaje ojczyznę". Wtrąca licznych oponentów do więzienia.

74. Henryk Wereszycki w karykaturze Jerzego Świecimskiego.

W Otwocku nie było licznych oponentów. Widmo więzienia krążyło może tylko nad Henrykiem Wereszyckim. Kilku obecnych tam wybitnych polskich historyków na czele z Tadeuszem Manteufflem chwytało się rozmaitych niemal zagłobowych forteli, aby ocalić możliwie najszersze połacie nauki historycznej przed interwencją partyjnych polityków

i cenzorów. Fortele, manewry przed i po 1952 roku, działanie w szczególnych warunkach PRL, której władze, nie skąpiąc subwencji, nawet w najgorszych okresach zabiegały o to, aby przynajmniej część inteligencji mieć po swojej stronie, duży procent ludzi wybitnych naukowo w środowisku – wszystko to sprawiło, iż okres po 1945 roku przyniósł ogromny rozwój historii społecznej, gospodarczej, dziejów dawniejszych, nauk pomocniczych, zapewniając polskiej szkole historycznej po 1956 roku jedno z czołowych miejsc w Europie.

Prym w Otwocku wiedli ci, którzy pod sztandarami nowej wiary lub legitymując się komunistyczną przeszłością, chcieli utrwalić swoje rządy w uniwersytetach, instytutach i czasopismach. Na sali rzesza pokornych, posłusznych, milczących, wierzących, czasem nie całkiem świadomych tego, co się dokonuje, świadków samosądu nad Henrykiem Wereszyckim, autorem wydanej w 1948 roku przez „Wiedzę", wydawnictwo PPS, „Historii politycznej Polski w dobie popowstaniowej 1864–1918". (W siedem lat po konferencji otwockiej, w kwietniu 1959 roku, Wereszycki pisał do Anglii do generała Mariana Kukiela: *Obecna niewola jest w wyższym stopniu hodowlą słabych charakterów niż niewola XIX wieku*).

W Otwocku stało się jasne, iż historia najnowsza miała zostać całkiem podporządkowana wymogom polityki. Sortowano ją według kryterium postępowości i reakcyjności. Wszystko, co antyradzieckie, było reakcyjne, proradzieckie stawało się postępowe. Piłsudski, Druga Rzeczpospolita, jej politycy podlegali automatycznemu potępieniu. Stosunek do bolszewików i komunistów stawał się kryterium wszystkich ruchów lewicowych, robotniczych, socjalistycznych. Kryterium głoszonym na konferencji otwockiej była „partyjność" nauk historycznych. „Partyjnością" nazywano zaangażowanie po stronie nowego ustroju, sposób przedstawiania przeszłości historycznej; nie oznaczało to obowiązku należenia do partii komunistycznej. Kryterium walki o wyzwolenie społeczne chłopów, robotników, proletariatu stawało się głównym, a nieraz jedynym w ocenie przeszłości, nawet bardzo odległej. Odsuwano na dalszy plan hasła wyzwolenia narodowego. Głoszono chwałę mas i przeciwstawiano się

dawnej personalistycznej historii królów i jednostek, spychając zarazem w cień kluczową rolę polskiej inteligencji, elit narodowych. Historię upraszczano według schematu czarne-białe. Bez barw pośrednich. Głoszono hasła „czujności politycznej", „zaostrzającej się walki klasowej", spiskową teorię dziejów, naklejano dowolne etykietki na plecach bohaterów narodowych, często czyniąc z nich szpiegów i agentów w służbie zaborców.

Wśród badaczy historii zaciekle zwalczano tych, którzy nie aprobując teorii komunistycznych, nie cytując Lenina i Stalina, odwoływali się do dziewiętnastowiecznego socjalizmu, do tradycji PPS, do Piłsudskiego sprzed zamachu 1926 roku, do marksizmu spod znaku socjaldemokratycznej Drugiej Międzynarodówki. Wereszycki, legionista, oficer w wojnie bolszewickiej 1920 roku, członek PPS w latach 1925–1936 i 1945–1947, kustosz Instytutu Badania Historii Najnowszej im. Józefa Piłsudskiego w Warszawie i wydawca ostatniego tomu pism zbiorowych Piłsudskiego był znakomitym celem ataków dla tych, którzy kierowali „frontem ideologicznym". Jego przedwojenna działalność w pełni wystarczała, aby go prześladować. Jego były szef z Instytutu im. J. Piłsudskiego Wacław Lipiński, aresztowany za podziemną działalność po 1945 roku, skazany na karę śmierci, zmarł w 1949 roku w więzieniu. Helena Wereszycka wspominała, że mąż liczył się z aresztowaniem, a atmosfera podczas konferencji w samym Otwocku i bezpośrednio później była taka, iż wydawało się, że w każdej chwili może wkroczyć UB.

Kiedy pod szyldem Instytutu Pamięci Narodowej kierowanego przez jego przyjaciela pepesowca Stanisława Płoskiego ukazała się „Historia polityczna Polski w dobie popowstaniowej 1864–1918", stał się Wereszycki pośród historyków, którzy pozostali w kraju, wrogiem numer jeden aktualnej władzy.

Historyk w trybach historii

Elżbieta Orman, biograf i kustosz puścizny rodziny Wereszyckich, określiła to znakomicie: *Latem 1948 roku nieoczekiwanie historyk wpadł w tryby historii.* Wydano „Historię" Wereszyckiego w maju 1948 roku, a w czerwcu na plenum KC PPR Władysław Gomułka pozytywnie ocenił niepodległościowe tradycje PPS, która miała się zjednoczyć z PPR. Po latach, kiedy nagrywałem jego wspomnienia, Wereszycki skłonny był sądzić, że Gomułka czytał „Historię" przed owym plenum czerwcowym.

Od lata 1948 roku Wereszycki staje się obiektem napaści publicznych. Na konferencji w Otwocku Józef Kowalski jednoznacznie połączył treść jego książki z wystąpieniem Gomułki: *Gomułka występował z twierdzeniem, jakoby historia dowiodła słuszności tzw. niepodległościowej koncepcji PPS oraz jej zwycięstwa. To ówczesne poparcie przez Gomułkę nacjonalistycznych koncepcji prawicy PPS miało utorować drogę do połączenia się Polskiej Partii Robotniczej również z prawicą PPS i pchnięcia partii na bezdroża nacjonalizmu. Polska Partia Robotnicza odrzuciła jednak tę koncepcję i rozgromiła jej zwolenników z Gomułką na czele.*

„Rozgromiła" to znaczy, że od 1951 roku Gomułka był już w więzieniu. Dalej Kowalski, autor obowiązujących podówczas tekstów o historii ruchu robotniczego, wzywał do „zdemaskowania wszystkich odmian reakcyjnej historiografii". Przed konferencją w Otwocku jej organizatorzy ustalili między sobą scenariusz, według którego Wereszycki miał złożyć samokrytykę. Paru znajomych gorąco namawiało go do tego. Szło im to nader opornie. Wreszcie, oskarżony powiedział parę ogólnych zdań, między innymi, że pisząc swoją „Historię", nie znał teorii leninizmu. Wyśmiał Wereszyckiego w dłuższym wystąpieniu redaktor „Nowych Dróg" – Roman Werfel: *Prof. Wereszycki mówił o pilnym zamówieniu, na które pisał tę pracę; moim zdaniem chodzi tu o zamówienie* [...] *ze strony tych sił, które utrzymywały w narodzie polskim legendę o rzekomym patriotyzmie antynarodowej zdrady, które chciały utrzymać różnice poglądów i rozbicie w polskim ruchu robotniczym. I zdaje mi się, że tu trzeba mówić o gruźlicy, a nie o katarze.*

Poetyka ideologiczna tego okresu zakładała operowanie ludowymi i pseudoludowymi porzekadłami za przykładem samego Stalina i inwektywami, zwrotami w rodzaju owego „rzekomego patriotyzmu antynarodowej zdrady", co Werfel wyjaśniał, nazywając Piłsudskiego i Dmowskiego reprezentantami interesów poszczególnych zaborców. Werfel odsądzał od czci i wiary prezydenta Stanisława Wojciechowskiego, Stanisława Grabskiego i wielu innych. Mówił, że ci, których Wereszycki nazywa „najwybitniejszymi socjalistami owych lat", byli „najwybitniejszymi zdrajcami socjalizmu w Polsce".

Nie ma sensu lustracyjne wyliczanie nazwisk tych, którzy od roku 1948 po 1983 jawnie i skrycie atakowali Wereszyckiego. Było ich sporo. Czołowe miejsca w tym szeregu zajęli również politycy i historycy z ówczesnego Centralnego Komitetu Wykonawczego PPS. Wystarczy przypomnieć, iż Józef Cyrankiewicz, sekretarz generalny partii i zwolennik zjednoczenia z PPR, potępił od razu „Historię" Wereszyckiego, jako napisaną „pod wpływem II Oddziału". Na Zjeździe Powszechnym Historyków Polskich we Wrocławiu w 1948 roku znowu oskarżono Wereszyckiego jednocześnie o kosmopolityzm i o nacjonalizm. W 1949 roku wycofano „Historię" z obiegu i oddano na przemiał. Podobny los spotkał inne prace Wereszyckiego.

Od wiosny 1947 roku Wereszycki pracował jako kontraktowy samodzielny pracownik nauki – zastępca profesora na Uniwersytecie Wrocławskim. Wybrał świadomie Wrocław, licząc na duże zbiory biblioteczne do historii Niemiec i przyjazne mu środowisko, które przeniosło się tam z jego rodzinnego Lwowa.

Wiosną 1948 roku przeprowadził na Uniwersytecie Warszawskim przewód habilitacyjny, który opóźniły lata wojenne. Habilitacja ta na skutek rozpętanej nagonki nie została zatwierdzona na szczeblu ministerialnym. Zablokowało to awanse naukowe Wereszyckiego

Temat wykładu habilitacyjnego Wereszyckiego brzmiał „Dzieje popowstaniowe jako geneza Polski współczesnej". Wybijając u progu

najgorszych lat stalinowskich jako najważniejszy problem polski – problem niepodległości, musiał się liczyć Wereszycki z wrogością rządzących.

Towarzyszyła mu za to życzliwość kolegów z Uniwersytetu Wrocławskiego. Korzystając z zaczynającej się odwilży politycznej, Uniwersytet Wrocławski przeprowadził nominację Wereszyckiego na profesora nadzwyczajnego. W maju 1955 roku odpowiedni akt podpisał ówczesny minister szkolnictwa wyższego Adam Rapacki. Rapacki wojnę spędził z Wereszyckim w obozie jenieckim dla oficerów w Woldenbergu. Pobierał tam od niego lekcje niemieckiego, odwdzięczał się wprowadzaniem go w tajniki włoskiego. Po wojnie Rapacki parokrotnie przychodził z pomocą starszemu koledze. Inni rządzący mieli mu to za złe.

Życiorysy pod specjalnym nadzorem

W 1956 roku Henryk Wereszycki mógł wreszcie przerwać stałe krążenie między Wrocławiem a Krakowem, gdzie mieszkała jego żona, doktor Helena Waniczek, redaktor Polskiego Słownika Biograficznego. Z tytułem profesora nadzwyczajnego otrzymał kierownictwo zakładu historii powszechnej XIX wieku na Uniwersytecie Jagiellońskim.

Wereszycki często powtarzał, że kto w Polsce chce odgrywać rolę polityczną, musi przejść przez więzienie. Miał dużo uznania dla tych, którzy byli rzeczywistymi więźniami politycznymi. Toteż nic dziwnego, że do zakładu historii powszechnej XIX wieku demonstracyjnie przyjął natychmiast magistra Wacława Felczaka, który dopiero co po ośmiu latach wyszedł w 1956 roku z więzienia stalinowskiego. Osadzono go tam za kontynuowanie w latach 1945–1947 działalności kurierskiej z czasów wojny (łączność z rządem RP na uchodźstwie via Budapeszt). Wereszycki i Felczak stali się z latami parą najbliższych przyjaciół. Mimo że Felczak zajmował się głównie historią dziewiętnastowiecznych Węgier i nie parał więcej polityką, jego awanse były przetrzymywane latami; zakończył karierę uniwersytecką jako docent i dopiero tuż przed śmiercią, na

emeryturze, otrzymał w 1993 roku nominację na profesora. Tej chwili Wereszycki już nie doczekał. Lubił kpić – i to w obecności zainteresowanych – z tego, kto, jak i za co nie może w PRL zostać profesorem, niezależnie od przekształceń systemu totalitarnego w autorytarny i kolejnych odwilży.

W Polsce międzywojennej też miewał kłopoty jako niekonwencjonalny nauczyciel gimnazjalny, krytykujący podręczniki. W karierze uniwersyteckiej temu nieodrodnemu synowi liberalnej, ateizującej, socjalistycznej inteligencji lwowskiej przeszkadzali zwolennicy narodowców. Wytykali mu, że jest Żydem.

Elżbieta Orman odtworzyła wiele nieznanych faktów biograficznych z jego życia: urodził się 13 grudnia 1898 roku z pozamałżeńskiego związku Rozalii Blanki z Altenbergów z Mikołajem Hankiewiczem. Matka pozostawała w formalnym związku z księgarzem i dziennikarzem Jakubem Vorzimmerem. Rozwiedli się oficjalnie w 1907 roku. Wereszycki, podobnie jak brat Tadeusz i siostra Zofia, nosił nazwisko Vorzimmer.

Matka, Róża Altenberg, wywodziła się ze słynnego od XIX wieku rodu spolonizowanych lwowskich księgarzy i wydawców pochodzenia żydowskiego. Ich zasługą było między innymi zbiorowe wydanie Mickiewicza, Słowackiego, cykle Grottgera, pierwsza kompletna edycja Seweryna Goszczyńskiego, głośne albumy „Sztuka Polska", seria popularnonaukowa „Wiedza i Życie" czy tygodnik satyryczny „Szczutek".

Mikołaj Hankiewicz (1869–1931), wybitny socjalista ukraiński z kresowej rodziny szlacheckiej, która zaznaczyła się w historii Kościoła wieloma znakomitymi kaznodziejami, był współtwórcą Ukraińskiej Partii Socjaldemokratycznej, polonofilem, związanym trwale z Limanowskim i Piłsudskim. Hankiewicz zajmował się wychowaniem syna i był dla niego wielkim autorytetem.

W 1923 roku Henryk Vorzimmer na pamiątkę bojów nad rzeką Wereszycą, w których wyróżnili się z bratem w czasie wojny z bolszewikami, przyjął nazwisko Wereszycki. Było to rozwiązaniem kłopotliwej sytuacji wobec ojca i rodzeństwa, a zarazem afirmacją własnej

polskości. W 1930 roku młody oficer, historyk i nauczyciel, wraz z bratem Tadeuszem, zawodowym wojskowym, dokonali dalszego, wtedy dosyć oczywistego kroku na tej drodze, przyjmując chrzest. W przypadku Henryka Wereszyckiego było to przede wszystkim podkreślenie pełnej asymilacji w środowisku polskim. Mimo to endeccy przeciwnicy potrafili mu jako nie-Polakowi odmówić zasiłku z Funduszu Kultury Narodowej na badania naukowe w Londynie.

Od każdej strony, w każdym czasie Wereszycki miał życiorys nie do zaakceptowania. W latach 1948–1956 za przeszłość legionową, za wojnę z bolszewikami, za wydawanie dzieł Piłsudskiego. Po Marcu 1968 roku – za pochodzenie.

W grudniu 1968 roku Ministerstwo Oświaty i Szkolnictwa Wyższego odrzuciło wniosek o nadanie mu tytułu profesora zwyczajnego (tuż przed przejściem na emeryturę). Będący dla wielu wzorcem polskiego patrioty Henryk Wereszycki stał się jeszcze bardziej niewygodny w dobie nagonki antysemickiej i moczarowskiego nacjonalizmu. Ostatecznie, w 1983 roku Centralna Komisja Kwalifikacyjna odrzuciła wniosek o profesurę zwyczajną Wereszyckiego, zarzucając mu, iż jest opiekunem niedozwolonego Towarzystwa Kursów Naukowych w Krakowie i że publikuje we wrogich wydawnictwach na Zachodzie.

Od roku 1969 do końca życia był związany z „Tygodnikiem Powszechnym", gdzie ogłosił serię artykułów o tematyce historycznej. Weszły one później do tomu „Niewygasła przeszłość" (1987). Spotykał się podówczas w ramach prywatnego seminarium z metropolitą krakowskim Karolem Wojtyłą, który jako Jan Paweł II nie zapominał później o sędziwym profesorze.

Pesymizm błędnych tez

W Krakowie pod koniec lat pięćdziesiątych był już Wereszycki postacią publiczną. Jednym z sygnałów odwilży stały się jego teksty: „Pesymizm

błędnych tez", ogłoszony w 1957 roku, oraz referat o powstaniach polskich na tle sytuacji międzynarodowej, wygłoszony we wrześniu 1958 roku na VIII Powszechnym Zjeździe Historyków Polskich w Krakowie. Jako świeżo upieczony magister historii stałem w bocznych drzwiach sali, w której Wereszycki wygłaszał – a oratorem był świetnym – swoją mowę o wielkości powstań narodowych. Kończył słowami: *Widzę we wszystkich klęskach dawniejszych czy bliższych stopień do zwycięstwa przyszłości.* Referat Wereszyckiego wzbudził emocje i entuzjazm obecnych, ale też sporo protestów i zastrzeżeń. Sprzyjał mu niepodległościowy i legionowy genius loci. Obecni wiedzieli, iż o parę kroków od sali obrad znajduje się miejsce wymarszu Pierwszej Kadrowej, że przemawia do nich były oficer z 1920 i 1939 roku. Ale oklaski hamował sceptycyzm i pesymizm zaledwie czternaście lat po tragicznym powstaniu warszawskim.

Wereszycki wskazywał, że historii nie można opisywać według martwych schematów, przenoszonych z kraju do kraju i ze stulecia w stulecie. Za nieporozumienie uznawał ocenianie przeszłości historycznej miarą aktualnie panującego systemu. Podstawowy błąd widział w tym, iż wielu historyków przyjęło jako zasadę, że *Polska Ludowa jest miarą, wedle której osądza się przeszłość*. Podobnie nieco, wiele lat później, w wywiadzie nagranym w listopadzie 1981 roku, wspominał, iż Druga Rzeczpospolita przyniosła wraz z niepodległością wiele goryczy oraz zawodów i nie mogła służyć jako jedyny punkt odniesienia w ocenie wieku XIX – stulecia niewoli. W „Pesymizmie błędnych tez" wybijał Wereszycki prawdę podstawową i oczywistą: *Wszystko musi być oceniane w danym kontekście historycznym* [...] *Zjawiska historyczne muszą być oceniane wedle miary tego czasu i miejsca, w którym się dokonywały.*

Jakże aktualnie brzmią te słowa dzisiaj, kiedy znowu nie brak historyków piszących kolejną genealogię, podporządkowującą przeszłość teraźniejszości lat Trzeciej Rzeczypospolitej bez uwzględnienia realiów historycznych, w jakich przyszło działać ich dziadom i pradziadom.

W swoim „Pesymizmie błędnych tez" mówił Wereszycki o „pesymizmie warsztatu naukowego", o tym, że przypadkowe, publicystyczne cytaty

z Marksa i Engelsa zastępują badania naukowe. Wereszycki pisał, że pogląd Marcelego Handelsmana na historię Polski ma dla niego większą wagę niż opinia Marksa. W roku 1957 było to obrazoburstwo, tym większe, iż Wereszycki dawał jasno do zrozumienia, że takie posługiwanie się Marksem niewiele ma wspólnego z marksizmem. I przypominał, że on sam wyrasta z marksizmu dziewiętnastowiecznego, że wychował go wybitny socjalista Hankiewicz, a pierwszą biblią były mu książki Bolesława Limanowskiego. Takie połączenia osobowe i pojęciowe działały na ówczesne władze jak mieszanina piorunująca.

Wereszycki publicznie ironizował: *Skoro Polska jest państwem robotniczo-chłopskim, państwem, które powstało przeciw panowaniu burżuazji i obszarnictwa, zatem synteza dziejowa ma apoteozować lud, a potępić warstwy posiadające. Zatem chłop musi być pozytywnym bohaterem dziejów, a magnateria, szlachta i burżuazja bohaterem negatywnym.* Pokazał, iż chłopstwo było zacofane i nieraz odgrywało rolę reakcyjną, że burżuazja była częstokroć postępowa, iż ruchy antyfeudalne nie są eo ipso ruchami narodowowyzwoleńczymi i że nie każda koncepcja kontrrewolucyjna jest jednocześnie antynarodowa.

Nadzwyczajny Profesor

W 1983 roku na 85-lecie Henryka Wereszyckiego „Tygodnik Powszechny" ogłosił mój artykuł „Nadzwyczajny Profesor". Pisałem w nim: *Po półwieczu pracy badawczej i pedagogicznej ten znakomity wychowawca młodzieży zostaje skierowany na emeryturę wciąż jako profesor nadzwyczajny. Profesor nadzwyczajny jest nadzwyczajnym profesorem.* Dalszy ciąg zdania, skreślony przez cenzurę brzmiał: *Na swój sposób docenili to jego wrogowie. Potępiająca opinia o Autorze „Historii politycznej Polski 1864–1918" wydana w latach stalinowskich przetrwała i stalinizm, i jego sygnatariuszy. Przetrwała też nieżyczliwość kilku decydentów – humanistów tylko z wykształcenia, dla których postawa Henryka Wereszyckiego, otoczonego powszechnym szacunkiem*

i sympatią, jest bolesnym przypomnieniem, że sami godności zachować nie potrafili. W cytowanym tekście z 1983 roku pisałem dalej: *„Dzisiaj, kiedy 13 grudnia Henryk Wereszycki kończy 85 lat, nie sposób nie zastanowić się nad drogą życiową znakomitego historyka,* [...] *niegdyś członka Polskiej Partii Socjalistycznej, współwydawcy „Pism zbiorowych" Józefa Piłsudskiego, Człowieka, który niezależnie od panujących mód, a często wbrew nim, zaznaczał swój związek z dziewiętnastowiecznym marksizmem i socjalizmem, z metodologią marksistowską".* Ale dalszą część akapitu cenzura zdjęła, a brzmiał on następująco: *„Zaznaczał swój związek wtedy, kiedy w jej imieniu szerzyła się w latach 1949–1956 najpospolitsza wulgaryzacja dziejów narodowych* [...], *zaznaczał i w latach ostatnich, kiedy różnego rodzaju układy i nakazy doprowadziły do tego, że wielu prominentnych niegdyś marksistów odżegnało się od swojej przeszłości, a nawet usiłuje o szkole marksistowskiej, z której wyszli, całkiem zapomnieć".*

Długowieczny, nieprzejednany, ale i niezacietrzewiony świadek fałszowania dziejów, a także małości moralnej wielu kolegów był szalenie niewygodny. Dawał codzienną lekcję tego, że historiografia nie może zastępować polityki, a historycy dzielą się na niezależnych i dworskich. Ci ostatni często przestają być nie tylko uczonymi, ale nawet naukowcami.

Dla Wereszyckiego liczyła się przede wszystkim Sprawa przez duże „S": niepodległość Polski, zachowanie w niewoli wielkości narodu, godne miejsce Polski w Europie, to, co przetrwało z dziedzictwa PPS, ciągłość kultury polskiej, nakaz służenia jej w każdych okolicznościach.

Opowiadał mi Wereszycki w grudniu 1968 roku o tym, jak w 1945 roku zostali wyzwoleni z obozu. Porucznik Adam Rapacki zapytał go wtedy:

– Czy mamy po co wracać do dzisiejszej Polski?

– Jak to, kolego? – oburzył się starszy od niego Wereszycki. *– A kultura polska?*

Apelował do kolegów z oflagu, aby wracali i bronili tego, co jest do obronienia.

Były to trudne wybory. Z emigracji w Wielkiej Brytanii wśród tysięcy Polaków powrócił znany historyk Olgierd Górka, specjalista od spraw

wschodnich i profesor Uniwersytetu Lwowskiego, demaskator sienkiewiczowskich mitów o XVII wieku. Jak pisze w ostatnio wydanej jego biografii Zbigniew Romek: *Górka realnie oceniając rzeczywistość w 1945 roku dowodził słusznie, że pozostanie na emigracji uniemożliwi jakikolwiek wpływ na dalsze losy państwa. Nie chciał być biernym obserwatorem wydarzeń. Nie widząc innego wyjścia, powrócił do kraju, gdzie starał się swe dotychczasowe koncepcje dostosować do aktualnych kierunków polityki władz komunistycznych.*

O ile rozumiał Wereszycki postawę Górki, o tyle nie cierpiał stale wzajemnie rozgrzeszających się z bierności kolegów historyków udających, iż wszystko w środowisku toczy się w ramach przyzwoitości

Mówił o tym, że systemy totalitarne czy autorytarne, które trwają przez dziesięciolecia, wytwarzają więzi współzależności, współodpowiedzialności i współwiny rządzących i rządzonych, w tym i kolegów historyków; iż na rozsupłanie tych związków, wybrnięcie z nich potrzeba będzie też dziesięcioleci.

Wereszycki z rzadka, niekiedy w formie ironicznej, dawał wyraz temu, co myśli o osobach, nie o sprawach. Tak więc pisał w liście prywatnym do mnie 25 lipca 1973 roku: [...] *na nowo zostałem oficjalnie potępiony przez tym razem Werblana (zawsze coś na Wer– skoro idzie o Wereszyckiego; kiedyś był Werfel, ale kto o nim dziś pamięta?!* [...] *Jakkolwiek można teraz w wielu dziedzinach zauważyć pewnego rodzaju rehabilitację okresu kiedyś zwanego minionym, ale jednak ludzie się zmienili: naiwną wiarę zastąpił cynizm. Ogólnie można to uważać za dalsze pogłębianie się naszych nieszczęść narodowych* [...].

W liście z 29 listopada 1975 roku Wereszycki pisał do mnie: *Zapewne każdy z nas ma pamięć „niewierną", ale wielu z nas ma „pamięć usłużną" – to w każdym razie ułatwia życie i... użycie.*

Trzy kategorie historyków

Pamięć niewierna, pamięć usłużna, zapomniane realia epoki, własna rzeczywista rola w trudnych czasach – o tym Henryk Wereszycki mówił

i pisał często. Nie wiedział, czy historyków będzie stać na ocenę własnych możliwości i postaw w dziesięcioleciach Polski Ludowej, czy odróżnią to, do czego ludzi pchnęły złudzenia lat 1945–1948, terror stalinowski, a potem po prostu konformizm po 1956 roku, czy nie będą układali przeszłości w czarne i białe barwy, zapominając o wielkich smugach szarości, o ustępstwach czynionych, aby przeprowadzać rzeczy słuszne.

W listopadzie 1981 roku zastanawiał się nad tym, ile w jego własnym pisarstwie w latach 1945–1948 było autocenzury. Przypominał, że usunął, pisząc o pokoju brzeskim, nazwisko Lwa Trockiego, czy sam łagodził krytyczne wypowiedzi o SDKPiL. Mówił wtedy Henryk Wereszycki:

Znaczna część historyków, szczególnie tych, którzy pisali podręczniki, a zwłaszcza podręczniki dla szkół średnich, zupełnie świadomie fałszowała, przekręcała fakty i dawała naświetlenie, w które sama nie wierzyła. Ale odnosi się to dopiero do okresu po 1948 r. Przedtem była inna jeszcze atmosfera. Można było pisać inaczej. Były pewne rzeczy, które z góry już były – a pozostały one do dziś w pewnym sensie – tabu: to są stosunki polsko-radzieckie.

Był świadom Henryk Wereszycki, że historyk, który żył w kraju po 1945 roku i chciał oddziaływać na szersze rzesze, musiał przystać na pewien język umowny: w polemikach z przeciwnikami legitymującymi się marksizmem udowadniać im, że marksizmu nie znają lub go fałszują, używać zgodnie z wymogami czasu przymiotnika „carski" zamiast „rosyjski", polemizować z wierutnymi bzdurami, przekonywać o sprawach przed rokiem 1939 oczywistych.

7 stycznia 1968 roku pisał do mnie: *Fałszowanie to świadome podawanie niezgodnych z domniemaną rzeczywistością historyczną pewnych spraw z przeszłości. Pod tym względem nasi dzisiejsi najwybitniejsi historycy dzielą się na trzy kategorie. Pierwsza. Ci, którzy mają jasny pogląd na jakieś zagadnienie historyczne i mają zdecydowane poglądy społeczno-polityczne, ale przedstawiają w swoich publikacjach sprawy w innym świetle, mianowicie takim, jaki rzekomo służy sprawie postępu w dniu dzisiejszym, a o którym to „świetle" decydują tzw. „czynniki". Druga kategoria to ci, którzy nie mają żadnych albo prawie żadnych zdecydowanych przekonań społeczno-politycznych, a którzy dlatego z dość czystym*

sumieniem łatwo przedstawiają przeszłość zgodnie z intencjami ludzi władzy. Ci tworzą erudycyjnie dobre książki, są płodni i wielce zasługują się naszej historiografii. Często są katolikami, co ogranicza się do sfery dość odległej od spraw, którymi zajmują się jako historycy [...] *Wreszcie trzecia kategoria to historycy, którzy mają zdecydowane przekonania, a równocześnie piszą, względnie chcą pisać, tak, jak to zgodne jest z ich zrozumieniem danego przebiegu historycznego.*

Do tych ostatnich, rzecz jasna, zaliczał siebie.

Prus by zwariował

Wereszycki zdawał sobie sprawę, że tak jak dawniej oficjalna ideologia marksizmu–leninizmu, tak po 1968 roku odwoływanie się do jedności etnicznej narodu i haseł patriotycznych było kolejnym etapem manipulowania politycznego społeczeństwem. 14 sierpnia 1978 roku pisał do mnie: *Mówi się bez przerwy o patriotyzmie i narodzie, a ma to być walka z opozycją*. Trzy lata później, w okresie pierwszej „Solidarności", stwierdzał w kolejnym liście:

[...] *kłamstwo weszło tak w przyzwyczajenie rządzących, że wydaje im się to najłatwiejsze, a to ma olbrzymie znaczenie dla eksplozywnej sytuacji społecznej. Jeśli szerokie rzesze nie będą wierzyć oświadczeniom władz, to łatwo dojdzie do wybuchu, który będzie ogólnonarodową katastrofą.* [...] *Na pewno są przy władzy i ci, którzy chcą uniknąć katastrofy, ale i targowiczanie, którzy w ten sposób dążą do skończenia z tym eksperymentem, którym jest PRL. Wiele w jej historii zamierzonych poczynań i przypadkowych zbiegów okoliczności. Czy działania ekipy Gierka były przez suzerena świadomie tolerowane, aby doprowadziły do katastrofy, czy też tak się złożyło, a potem to już żywiołowy bieg i sterowany mieszają się nie do rozplątania dla rozeznania.*

Ale stanu obecnego przyszły historyk nie potrafi naprawdę oddać. Na to trzeba genialnego powieściopisarza. Ale nawet gdyby taki Prus żył, to by raczej zwariował, niż potrafił napisać nową „Lalkę".

Straszliwie daje się nam we znaki brak kultury politycznej, ale tak być musi, bo oduczano nas tego od 55 lat. [Jako datę zwrotną przyjmuje tu Wereszycki rok 1926 – J.W.B.]. *W dodatku jak to w Polsce. Na Wielkiej Emigracji zamiast mężów stanu działali wieszczowie, teraz przywódcą jest cudowne dziecko Lech. Ale naturalnie sytuacja jest za trudna, aby dziecko nawet cudowne potrafiło spełniać tę rolę, która jest przywódcy mas potrzebna.*

Czy przyszły historyk zrozumie ramy, w których jego poprzednicy starali się działać, i z których nie potrafili wyjść? W listopadzie 1975 roku pisał w jednobrzmiących listach do kilku osób: *Kieniewicz w wykładzie inauguracyjnym apelował do sumienia polskich historyków. Odpisałem mu na to, że to zagadnienie zostało rozstrzygnięte w Teheranie i Jałcie, więc nie można od wielu ludzi wymagać zbyt wielu wyrzeczeń.*

Nie danym był mu europejski rozgłos Witolda Kuli. Nie miał warunków, aby tak, jak jego młodszy kolega Stefan Kieniewicz, autor dziesiątków monografii i podręczników, kształtować świadomość wielu pokoleń studentów w całej Polsce.

Ale za to dla bardzo wielu ten patriarcha z Krakowa był niepodważalnym autorytetem moralnym. I to sobie cenił najbardziej. W poglądach Wereszyckiego pobrzmiewało echo oświeceniowej wiary w to, że człowiek jest dobry. Tyle tylko może, że mniej wierzył – w odróżnieniu od Jana Jakuba Rousseau – w dobro prostego człowieka czy całego społeczeństwa niż w wartości elity inteligenckiej. Oczywiście elity inteligenckiej w jego ojczyźnie. Skalą odniesienia była dlań Wielka Rewolucja Francuska i ideały ludzi 1848 roku, czasów Wiosny Ludów.

Optymizm Wereszyckiego wynikał z wiary w ideę postępu, w pozytywną rolę elit, ale nie jednostek. Pytany o ulubione postacie historyczne odpowiedział, że nie ma ani jednej: ani fascynujący go Bismarck, którym zajmował się niemal całe życie, ani Napoleon, albowiem *był tyranem i Francję do nieszczęścia doprowadził, nawet Hannibal nie*; z polskich polityków też nie chciał wymieniać nikogo. Ale jego stosunek do Piłsudskiego był szczególny.

Piłsudski – bohater ogólnonarodowy?

Mówił, iż nie może on być ogólnonarodowym, bezapelacyjnym bohaterem, albowiem Polska zbyt dużą cenę zapłaciła za dyktaturę Piłsudskiego w latach 1926–1935, za odebranie wolności obywatelskich, za pacyfikację wsi ukraińskich, za Brześć i Berezę. Gdyby Piłsudski zginął w roku 1926, mówił Wereszycki, pozostałby bohaterem ogólnonarodowym.

W wywiadzie nagranym przeze mnie w listopadzie 1981 roku wspominał: *Do 1926 roku byłem absolutnie piłsudczykiem, ale samodzielnie myślącym, nie tak jak inni, którzy nic poza nim nie widzieli. Odnosiłem się krytycznie.* Warto odrębnie – nie w tym miejscu – zająć się stosunkiem Wereszyckiego do Piłsudskiego; wychował się w kręgu socjaldemokracji galicyjskiej i obozu legionowego, walczył jako kanonier w Pierwszej Brygadzie (między innymi pod dowództwem Józefa Becka), przez dziesięciolecia przebywał w kręgu Moraczewskich, Mościckich, Świtalskich, w Instytucie Piłsudskiego dzielił pokój z Leonem Wasilewskim, rozmawiał nieraz z Walerym Sławkiem, Januszem Jędrzejewiczem, Wacławem Lipińskim i dziesiątkami innych ludzi Piłsudskiego. Jako kustosz zajmujący się tam archiwum wiedział bardzo wiele. Namawiano go do pisania hagiograficznych prac o Piłsudskim. Uchylił się. Pozostawił tylko artykuł biograficzny o Piłsudskim w „Encyklopedii nauk politycznych".

Jego stosunek do Piłsudskiego zmieniał się z latami. Po 1945 roku stał się mniej krytyczny, gdyż kult Piłsudskiego widział jako kult utraconej niepodległości. Postrzegał zarówno wymuszone i dobrowolne pomniejszanie postaci Piłsudskiego w pracach wydawanych oficjalnie w Polsce w latach 1970–1980, jak i wybujałości kultu wyrastającego w podziemiu antypeerelowskim.

16 grudnia 1973 roku pisał w jednym z listów: [...] *Czy Piłsudski chciał dyktatury i jakiej? Na pewno chciał władzy dla siebie, ale na pewno nie chciał żadnego niekontrolowanego totalizmu. Zdawał sobie sprawę z tego, że władca traci kontakt z rzeczywistością polityczno-społeczną, jeśli zdany jest wyłącznie na*

informacje otoczenia uległego i schlebiającego. Można tę wypowiedź jego znaleźć w Pismach Zbiorowych w indeksie pod Napoleon. Ale tak było na początku. Potem stawał się właśnie takim oderwanym od społeczeństwa dyktatorem, chociaż np. nie zgodził się za życia na pewne koncepcje Sławka, kiedy ten układał konstytucję. Rola otoczenia wzrastała w miarę starzenia się Piłsudskiego wyraźnie. O tym wiele wiedziałem w ostatnich latach jego życia, od np. Moraczewskich. Rozmawiałem na te tematy z młodym Moraczewskim, a matka moja była zaprzyjaźniona z żoną premiera i też na te tematy rozmawialiśmy. Oczywiście Sławek szedł daleko w kierunku faszyzmu de facto, ale on nie miał żadnego szerszego poglądu na całość, był uderzająco tępy. Piłsudski o tym wiedział, ale właśnie na starość potrzebował ślepych wykonawców. Ale jeszcze przed 1914 powiedział Wasilewskiemu „co ja poradzę, że Sławek jest tak głupi". Ale Sławek miał tę zaletę, że był niezmiernie lojalny i niezmiernie dyskretny i anachoreta. Należał on do „pułkowników", to znaczy do typu ludzi istniejących na całym świecie, którzy skomplikowane problemy chcą załatwiać „po prostu", czyli przez rozkaz, lub jak inni przez action directe.

Ale to jest wielki i zasadniczy problem. Mianowicie istnieje to, czego mnie w dzieciństwie uczono, a mianowicie „logika faktów". Dyktatura musi być prawicowa. To znaczy ma pogardę dla szerszych kręgów społecznych, chce, bo musi, opierać się na elitach i to coraz węższych. A to, czy uspołecznia środki produkcji czy nie, to wprawdzie bardzo ważne, ale społecznie nie jest tak ważne, jakby się wydawało. Lewicowość czy prawicowość to jest stosunek do mas, a dyktatury pogardzają masami i dlatego de facto są zawsze prawicowe. Tę uwagę warto zapamiętać: dyktatury w ostatecznym rozrachunku zawsze zwracają się przeciwko społeczeństwom, przeciwko masom; lewicowość nie pozwala na taką postawę.

Sumując długie wywody o swoim dawnym Komendancie i Marszałku mówił w 1981 roku: *Piłsudski był rzadką, wielką osobistością, która się od czasu do czasu zjawia w dziejach. W Polsce od czasów Sobieskiego był to pierwszy wódz, który wygrał wojnę, a tej wojnie zawdzięczamy nasze istnienie, bo inaczej bylibyśmy dziś jak Ukraińcy, gdzie całą elitę co pokolenie się wyrzyna, żeby tylko nie było narodowości ukraińskiej* [...]. *Ale w Polsce byłoby strasznie. Wszyscy ci,*

którzy o 1920 roku mówią coś negatywnie, zapominają, że nie byliby przy życiu, gdyby ten 1920 rok wyglądał inaczej. Nie przeszkadzało to zresztą Wereszyckiemu przypominać, że maszerując z towarzyszami broni na Kijów, nie wiedział dokładnie, w imię czego zapuszczają się tak daleko na obce już ziemie.

Swój wywód o roli Piłsudskiego zakończył słowami: *Negatywnie odnosiłem się do Piłsudskiego jako dyktatora* [...], *ale całość jego życia musi się ocenić pozytywnie. To był dar boży dla narodu polskiego*.

Darowane lata

Po najdłuższej nocy przychodzi dzień, kiedy już się robi bardzo ciemno, musi nadejść świt – powtarzał Wereszycki.

Do końca zachował zadziwiającą dalekowzroczność, przenikliwość i obiektywizm w ocenie polityki i polityków. Dotyczyło to również tych, których poglądów nie podzielał, przede wszystkim narodowych demokratów. Tak było z Romanem Dmowskim. Składał hołdy i tym swoim mistrzom w nauce historycznej, od których dzieliły go przepastne różnice ideologiczne. Tak było ze związanym z orientacją narodową Adamem Szelągowskim, który nieraz utrudniał mu karierę naukową. Irytowały go nieprzemyślane analogie historyczne i łatwe mitotwórstwo członków „Solidarności". Nie znosił przyrównywania internowanych Jaruzelskiego do więźniów Hitlera i Stalina.

Wielką otuchą napawał go sojusz opozycji i Kościoła. Podkreślał, że ma to znaczenie nie tylko dla inteligencji, ale dla całego społeczeństwa polskiego. 19 grudnia 1978 roku pisał: *Wybór Polaka na papieża to raczej z dziedziny cudu i trzeba zgodnie z poglądami prymasa nad Wisłą oczekiwać dalszych cudów*. Jak twierdził: w Polsce nawet racjonalista musi się liczyć z cudami. I dodawał, że papież Jan Paweł II odgrywa dla Polaków tę rolę proroka, jaką Adam Mickiewicz odgrywał pod koniec życia.

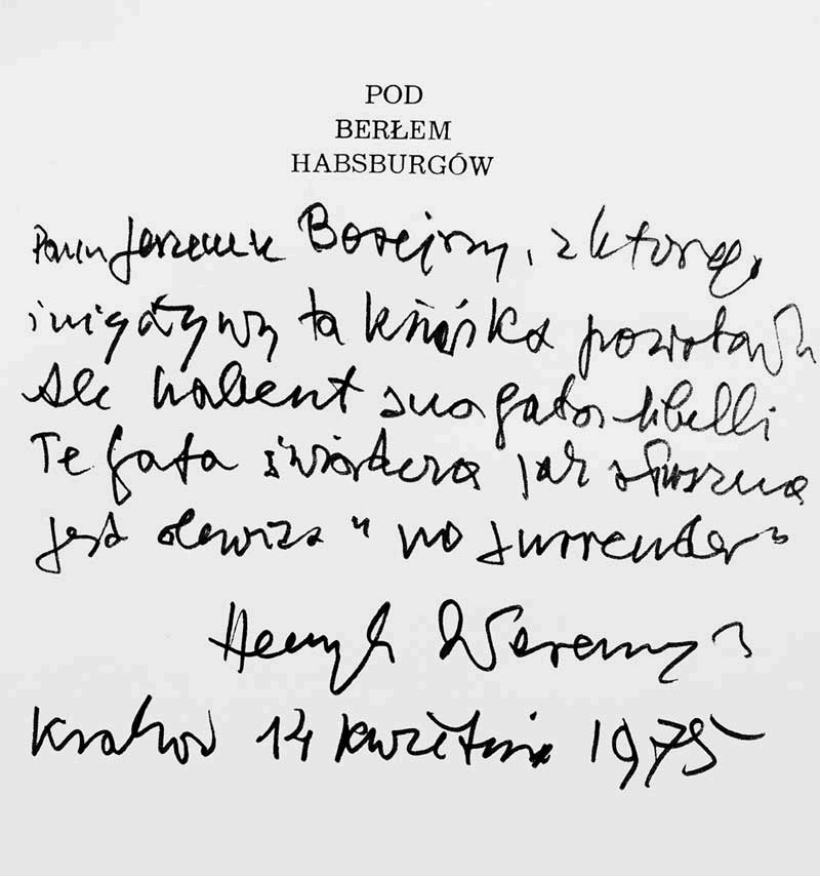
POD
BERŁEM
HABSBURGÓW

75. Jedna z wielu dedykacji dla mnie od Henryka Wereszyckiego.

Nie wierzył w to, że ludzkość jest wieczna. Nie zapomniał nigdy śmierci najbliższych w zawierusze wojennej, śmierci matki i siostry w getcie warszawskim, śmierci brata kapitana Wojska Polskiego w obozie w Starobielsku. Nie zapomniał swego osamotnienia po powrocie z oflagu w Woldenbergu. Nie zapomniał Lwowa – utraconego miasta dzieciństwa i młodości. Ale miał ogromną ciekawość tego, co nastąpi. W roku 1983 pisał w liście do mnie:

[...] *Kiedy skończyłem 80 lat, pewien zaprzyjaźniony lekarz powiedział mi: teraz każdy rok życia pana jest darowany. Na to ja odburknąłem: darowany komu? mnie, który ledwo widzi, ledwo słyszy i ledwo chodzi? Ale zaraz potem przyszła rewolucja 1980-81 i okazało się, że to istotnie dla mnie przeżycie darowane. A co będzie dalej? To pytanie też utrzymuje mnie przy życiu, bo jestem ciekaw. Ale czy dożyję rozwiązania obecnego kryzysu narodowego? Kto wie, jak to wszystko niewyjaśnione*

będzie długo trwało. Dla mnie bezdzietnego najpomyślniejsze byłoby skończyć jako pyłek poatomowy, a nie w mogile przykrytej wiązanką kwiatów. Ale to rzecz gustu.

Henryk Wereszycki zmarł w Krakowie 27 lutego 1990 roku.

56. Stefan Kieniewicz

Stefan Kieniewicz (1907–1992) przeżył niemal cały wiek XX, całą epokę. Jego postawa była uwarunkowana rzeczywistością ziemi, po której stąpał, a nie iluzjami mitologii narodowej. Profesor Kieniewicz był nade wszystko realistą. Patriotycznym, polskim realistą, starającym się osiągnąć wszystko co możliwe – w istniejących warunkach – dla kultury narodowej. Dobro kultury narodowej jako pojęcie nadrzędne, docelowe zbliżało go bardzo z Henrykiem Wereszyckim. Ale różniły ich poglądy na polską powstańczość; przy tym nie trzeba przypominać, że głównym dziejopisem polskich powstań dziewiętnastowiecznych był i pozostał po dziś dzień Stefan Kieniewicz.

Różnice ujawniały się wielokrotnie w ich korespondencji prywatnej, a niekiedy wręcz wybuchały w drukowanych polemikach. W roku 1962, w przededniu stulecia powstania styczniowego, Stefan Kieniewicz ogłosił swoje głębokie studium „Między ugodą a rewolucją (Andrzej Zamoyski w latach 1861–62)".

W konkluzji jego książki czytamy: *W 1862 r. obóz białych po różnych wahaniach uchylił się od poparcia systemu Wielopolskiego. Nie chciał narazić się na zarzut Targowicy, na atak ze strony czerwonych. Lecz dając dowód swego patriotyzmu, biali zdobyli sobie wpływ na kierownictwo spisku i przyczynili się do jego osłabienia. Toż samo, na większą skalę, stało się po wybuchu styczniowym. Biali przeszli na stronę ruchu, podali się do dymisji z rad powiatowych i miejskich, spalili mosty za sobą. Ale zaraz też opanowali Rząd Narodowy, udaremnili rewolucję agrarną, osłabili rozpęd powstania.*

Wystąpienia patriotyczne polskich klas posiadających bywały nieraz, jakeśmy to stwierdzili, podyktowane względami taktyki. Ale nawet w wypadkach, gdy wystąpienia te bywały szczere, mogły one zagrażać sprawie narodowej.

Rewolucyjna droga prowadząca do niepodległości siłą rzeczy kolidowała z interesami wielkich posiadaczy.

Wolno nam żywić szacunek dla odważnej, bezkompromisowej postawy Andrzeja Zamoyskiego, gdy wbrew interesowi swojej klasy odrzucał ugodę z zaborcą. Nie wolno nam zapominać, że jego patriotyczna postawa została zdyskontowana przez obóz kontrrewolucji, że w jakimś stopniu przyczyniła się do zwichnięcia powstania styczniowego.

Rewolucyjna droga prowadząca do niepodległości w XIX wieku mogła istotnie kolidować nieraz z interesami wielkich posiadaczy. Wybór między ugodą a rewolucją pojawiał się w 1830, 1863 czy 1905 roku. Należał do kontekstu historycznego wieku XIX.

Henryk Wereszycki mimo to w setną rocznicę Stycznia twierdził, iż nie było wtedy alternatywy: ugoda czy rewolucja, albowiem rząd carski żadnej ugody nie chciał i czynił Wielopolskiemu jedynie większe ustępstwa taktyczne. Ta dyskusja pięćdziesiąt lat później pozostaje nadal otwarta. I zapewne jeszcze przez wiele dziesięcioleci, niewątpliwie słabnąc, nie doczeka się jednak rozstrzygnięcia. Co mógł osiągnąć Wielopolski dla Królestwa? Czy przekształciłby je nieświadomie w drugi obok Galicji „polski Piemont?" Czy wielki książę Konstanty działał tylko *mala fide*?

Po ogłoszeniu przez Wereszyckiego w „Odrze" w roku 1972 tekstu „Spadek wielkiej niewoli", Kieniewicz zarzucał mu podsycanie megalomanii narodowej, powstańczości wbrew realnemu rachunkowi sił, zbyt mocne wyodrębnianie spośród innych specyfiki *narodu polskiego i istoty polskiego charakteru narodowego* oraz przesadne apoteozowanie oporu wobec *przemocy trzech największych potęg kontynentu europejskiego*. W związku z tym artykułem Henryk Wereszycki pisał w liście prywatnym do Stefana Kieniewicza:

Jeśli idzie o zasadnicze Pańskie nastawienie do tendencji mojej wypowiedzi, to apelowania do dumy narodowej nie uważam za równoznaczne z podsycaniem megalomanii. Podobnie Pański „pesymizm", czyli krytycyzm, nie uważam za propagowanie defetyzmu jak Pan to sam określił. Propagowanie megalomanii byłoby apelowaniem do szaleństwa, a propagowanie defetyzmu byłoby

propagowaniem apostazji narodowej – ani jedno, ani drugie nie leży na pewno w naszych intencjach. Tyle, że tendencje do apostazji narodowej istnieją wśród inteligencji najmłodszego pokolenia – o inteligencję zresztą jedynie tu idzie, bo masy zależne są od czynników „statystycznych", od praw rządzących całymi społeczeństwami i żaden z nas nie ma prawie żadnych możliwości wpływania na postawę mas. Możemy wpływać tylko na elitę inteligencji, co naturalnie ma swoje zresztą trudno uchwytne znaczenie dla postawy mas.

Jeśli więc ja apeluję do dumy narodowej, to propaguję nie szaleństwo, czyli bezrozum, jak mówiono za „naszych czasów", czyli w XIX w., ale raczej do odwagi. Pański zaś „pesymizm", czyli krytycyzm, apeluje do rozwagi. Wydaje mi się, że gdyby istotnie nasze intencje się realizowały, to będą się one uzupełniały, ponieważ odwaga z rozwagą to najlepsza postawa zarówno osobista jak narodowa.

Nieco inaczej Wereszycki rozłożył akcenty o swojej polemice z Kieniewiczem, komentując ją w liście do mnie: *Kieniewicz uważa, że za dużo megalomanii u Polaków, a ja tę megalomanię podsycam. Sam opowiada się – oczywiście przesadnie – za defetyzmem. Oczywiście nie wchodzę w tej chwili w meritum. Moje poglądy na meritum naszego XIX wieku są właśnie takie, jak to napisałem w „Odrze".* [...] *jeśli idzie o społeczno-narodowe skutki głoszenia moich poglądów i poglądów Kieniewicza – obecnie znacznie stonowanych – to wszystko zależy, jak się ocenia nasze obecne położenie. Ja mam przekonanie, że świadomość u tych, którzy o nas decydują, że jesteśmy narodem buntowniczym, wychodzi nam na korzyść. Mamy też najlepszy status w całym obozie, jeśli idzie o margines wolności. Wprawdzie za to niszczy się nas gospodarczo bardziej niż innych, ale to druga sprawa. Czyli starając się podtrzymać postawę pewnej przynajmniej części inteligencji jako nieco oporną – apelowanie do dumy narodowej powinno wedle mnie mieć właśnie ten skutek, może nam tylko przynieść korzyść. Natomiast Kieniewicz najwidoczniej uważa, że przyznany nam status jest najlepszy z możliwych, a wszelkie podskakiwanie może go tylko pogorszyć. Kto wie, czy obie nasze tendencje per saldo nie są korzystne i jakby się wzajemnie uzupełniały. Ale tego nikt z śmiertelnych nie rozstrzygnie, ani oczywiście przyszły historyk, pomimo że będzie o niektórych czynnikach wiedział więcej niż my*.

Od razu po śmierci Stefana Kieniewicza wygłosiłem w Paryżu referat „Stefan Kieniewicz et Henryk Wereszycki. Visions de la Nation Révoltée et de la Nation Soumise" (Wizje narodu zbuntowanego i narodu podległego). Podkreślałem w nim, że o ile Wereszycki zaszczepiał polskiej elicie przede wszystkim nieco irracjonalną wiarę w niezniszczalność narodu i kultury polskiej, o tyle Kieniewicz głównie nauczał realizmu w myśleniu politycznym. Profesor Kieniewicz nie wybierał między ugodą a rewolucją, albowiem nie był nigdy człowiekiem ugody. Ten potomek starej zasłużonej powstańczej rodziny ziemiańskiej był natomiast zwolennikiem zmiany stosunków społecznych w Polsce, nawet zmiany rewolucyjnej. Ale zarazem przeciwnikiem irracjonalnych haseł powstańczych, haseł głoszonych niezależnie od okoliczności wewnętrznych i zewnętrznych. Udział w Biurze Informacji i Propagandy Armii Krajowej jasno określał jego stanowisko wobec konspiracji narodowej. Ale czy uważał decyzję o wybuchu powstania warszawskiego 1 sierpnia 1944 roku za usprawiedliwioną?

Kieniewicz dochodził nieraz do wniosku, że powstania narodowe nie były nieuniknioną koniecznością. O powstaniu styczniowym pisał: *opis wydarzeń ujęty genetycznie prowadził nas stopniowo od wojny krymskiej do przebudzenia politycznego kraju, od manifestacji narodowych do represji oraz koncesji ze strony caratu, od zawiązania się spisku do chwili wybuchu. Opis taki stwarza złudzenie nieuniknionego łańcucha przyczyn i skutków – złudzenia tylko, albowiem nie sposób jest udowodnić, że jakiekolwiek zdarzenie historyczne – w tym również wybuch powstania styczniowego – było absolutnie zdeterminowane przez ciąg wypadków poprzednich.*

Mechaniczny determinizm historyczny? Z pewnością nie. Ale wpływy metodologii marksistowskiej w badaniach społecznych, w odtwarzaniu ruchów masowych – z pewnością tak. Zresztą wbrew niektórym historykom mówiącym, że wymuszano na Stefanie Kieniewiczu odwoływanie się do marksizmu, pragnę przypomnieć, że jeszcze w roku 1988 w ramach spotkania z młodszymi pracownikami naukowymi, które prowadziłem w Instytucie Historii PAN, sam deklarował (a było to już

podówczas niemodne), iż kierował się zawsze *metodologią dialektyczną i zdrowym rozsądkiem,* czerpiąc również z marksizmu.

Obaj znakomici historycy nawiązywali do równościowych haseł polskiej inteligencji. Ale Wereszycki mocno akcentował, iż Polska jest tworem elit, a nie mas. Obraz historyka dziejów społecznych był o wiele bardziej zróżnicowany. Kieniewicz pisał o stosunku społeczeństwa do powstania styczniowego: *Obraz zwartego frontu miast polskich, współdziałających w ukryciu przeciwko zaborcy, wymaga jednak niektórych korektur. W nieprzyjacielskiej policji i żandarmerii służyło wcale sporo Polaków* [...]. *Obok żandamów i szpiclów polskiej narodowości trzeba uwzględnić i tych wielu Polaków, którzy obsługiwali sprawnie i sumiennie zaborczą machinę rządową na odcinkach mniej eksponowanych* [...]. *Dla samego przebiegu rewolucji nie jest może tak bardzo istotne, w jakiej mierze ludność współdziałała z ruchem ze szczerego entuzjazmu, w jakiej zaś pod wpływem interesu (osobistego, grupowego, klasowego), pod wpływem opinii publicznej, wyrachowania politycznego czy wręcz strachu. Historyk tylko z trudem odtwarza motywy działania szerszych grup społecznych* [...]. *Jednolite oblicze miast polskich, naprężonych w upartym oporze, oddychających nadzieją zwycięstwa – oblicze to nie było przecież złudzeniem.*

Odmienna była sytuacja na prowincji, tam mianowicie, gdzie toczyła się partyzantka. [...] *Każda ze stron walczących domagała się posłuszeństwa dla siebie: nie tylko żywności, furażu, podatku, ale też wywieszania odpowiednich godeł i udzielania informacji o nieprzyjacielu* [...]. *Koszmar wojny domowej!*

Stefan Kieniewicz świadomie stronił od zbytniego angażowania się we współczesne mu sprawy polityczne. Ale pisząc o koszmarze zaborów, obcej okupacji, wojny domowej, paroma, dosłownie dwoma słowami wyrażał swoje stanowisko. Posłowie do drugiego wydania „Powstania Styczniowego" z roku 1983 zakończył akapitem następującym: *Pierwsze wydanie niniejszego dzieła nie zaznało deformacji ze strony Urzędu Kontroli ani wewnętrznej cenzury wydawnictwa. Nie jestem też świadomy (w niniejszym przypadku) praktykowania autocenzury. Trzymam się swoich poglądów sprzed dziesięciu lat – w tym przekonaniu, że formułowałem je z pełną swobodą. Jedyny moment aktualizacji pojawia się w ostatnim zdaniu mojej książki.*

Otóż pierwsze wydanie „Powstania Styczniowego" kończyło się odwołaniem do znanego listu otwartego Jarosława Dąbrowskiego do Emiliana Bednarczyka z 1867 roku. Dąbrowski pisał: *Moim zdaniem naród tylko każdy ma prawo wyrokować o sobie. Potrzeba wolności przez naród poczuta daje mu niezaprzeczone prawo do pozbycia się opieki, wszelkie zaś narzucanie obcego wpływu lub władzy jest gwałtem. Gwałt ten tym ohydniejszym się staje, jeżeli jest popełniony przez naród walczący o swoją własną niepodległość.*

W roku 1972 Kieniewicz tekst ten skierowany kiedyś do Polaków odmawiających Ukraińcom prawa do samoistnego bytu opatrzył lapidarnym komentarzem zamykającym jego dzieło: *Słowa te* [...] *zrozumiane zostały i ocenione właściwie dopiero dziś, po ciężkich doświadczeniach nowych wojen i nowych rewolucji – dziś, w Polsce Ludowej*. W wydaniu z roku 1983 dodał tylko dwa słowa *w Polsce Ludowej lat osiemdziesiątych*.

Na te dwa słowa zakończenia zwracał z naciskiem uwagę w posłowiu do drugiego wydania. Przygotował przecież wznowienie „Powstania Styczniowego" w stanie wojennym. Aluzja dla każdego ówczesnego czytelnika była aż nadto oczywista.

To były warunki historyczne, kontekst historyczny epoki, w której działał najznakomitszy historyk powstania styczniowego.

Czy był „wnukiem powstania styczniowego"? Z pewnością tak. Jak liczne pokolenia inteligencji polskiej odwoływał się do niego. Wyciągał wnioski z tego ogromnego doświadczenia historycznego, którego wagę dla Polski porównywano do znaczenia Wielkiej Rewolucji 1789 dla Francji. Wnioski Kieniewicza przeczyły dziewiętnastowiecznemu porzekadłu, że u nas co szesnaście lat, kiedy dorasta nowe pokolenie, musi wybuchać powstanie. Był świadkiem zagłady pokolenia Krzysztofa Kamila Baczyńskiego. Poeta, wzrosły w kulcie powstania 1863, niewiele miesięcy przed warszawskim Sierpniem pisał o rodowodzie ojczyzny – Drugiej Rzeczypospolitej:

W sercach rozwianych z hukiem dwururek
rok sześćdziesiąty trzeci.

Dzisiaj, w Trzeciej Rzeczypospolitej, pod naciskiem stałej presji politycznej i żonglowania historią dla doraźnych celów partyjnych czy partykularnych, a nie ogólnonarodowych, tylko nieliczni podają w wątpliwość celowość hekatomby, do jakiej doprowadził Sierpień 1944. Ale Stefan Kieniewicz czy jego młodszy kolega i zwierzchnik z konspiracji, Aleksander Gieysztor, na gruzach Warszawy wiedzieli, iż zbrojne wystąpienia przeciwko najeźdźcom ze Wschodu są bezrozumne, że należy budować i chronić kulturę narodową i czynić to, co możliwe, że praca organiczna w warunkach powstałych po 1944 roku jest jedyną możliwą drogą do niepodległości. Powracało używanie języka Ezopa niemalże jak za czasów zaboru rosyjskiego. Po roku 1945 mieliśmy protektorat czy ograniczoną suwerenność, ale nie były to jednak czasy generał-gubernatora warszawskiego z lat 1883–1894 Josifa Hurki i zajadłego rusyfikatora Aleksandra Apuchtina, kuratora warszawskiego okręgu szkolnego (1879–1897). Były to czasy nie tłumienia, lecz rozkwitu języka polskiego niesionego istotnie pod każdą strzechę wraz z likwidacją analfabetyzmu. Czasy rozkwitu kultury narodowej w zniewolonym kraju. Tadeusz Manteuffel, Stefan Kieniewicz czy Aleksander Gieysztor nie należeli do umysłów zniewolonych, stali się jednymi z wielu strażników godności narodowej.

Masowe nakłady książek, które tak jak „Historia Polski 1795–1918" Stefana Kieniewicza rozchodziły się w dziesiątkach i setkach tysięcy egzemplarzy uczyły szacunku dla tradycji, a jednocześnie racjonalnego myślenia. Ostatnie zdanie z drugiego wydania „Powstania Styczniowego" w roku 1983 czytały i pojmowały tysiące Polaków.

Jak dalece wykłady i twórczość Stefana Kieniewicza przyczyniały się do szerzenia wiedzy o powstaniu styczniowym, mogę zaświadczyć jako wolny słuchacz na jego seminarium doktoranckim, a również jako sekretarz komisji obchodów stulecia powstania styczniowego. Przewodniczącym komisji był promotor mojej rozprawy o emigracji polskiej po 1863 roku Henryk Jabłoński, jej członkami między innymi Emanuel Halicz, Stanisław Herbst i Stefan Kieniewicz. W opartej na źródłach książce Tadeusza Pawła

Rutkowskiego „Nauki historyczne w Polsce 1944–1970" czytamy czterdzieści pięć lat później: *Obchody stulecia Powstania pokazały siłę tradycji narodowej w społeczeństwie polskim. Pod jej naporem kierownictwo PZPR zdecydowało się na stosunkowo szeroki zakres uroczystości rocznicowych, starając się utrzymać je w granicach obowiązującej wykładni dziejów, co wszakże nie do końca się udało.*

Czy kierownictwo PZPR było pod naporem tradycji i społeczeństwa w sprawie powstania styczniowego? Zachowałem część akt komisji obchodów stulecia i śmiem twierdzić, że nie było „naporu", a decydowały inicjatywy i dobre chęci kilku osób, przede wszystkim Henryka Jabłońskiego. Był on w roku 1938 sekretarzem komisji na 75-lecie powstania, autorem monografii o ostatnim naczelniku powstańczej Warszawy Aleksandrze Waszkowskim, straconym w lutym 1865 roku na stoku warszawskiej Cytadeli. Zajmując wysokie stanowisko w hierarchii PZPR, przekonał do idei obchodów przewodniczącego Rady Państwa Aleksandra Zawadzkiego i inne ówczesne czynniki decyzyjne, wpisując setną rocznicę powstania w program tysiąclecia państwa polskiego. Autor książki, urodzony dwa lata po stuleciu powstania, ma prawo domniemywać presję społeczną, ja zaś jako świadek bardzo złożonej epoki muszę zaprzeczyć. Co więcej, Henryk Jabłoński z sentymentu do tradycji narodowej 1863 roku, ale nie z sentymentu do Stefana Kieniewicza, popierał go nieraz przy kłopotach z poszczególnymi tomami polsko-radzieckiego wydawnictwa źródłowego do dziejów 1863 roku, zaczętego kilka lat przed rocznicą w atmosferze odwilży popaździernikowej. Działaniom komisji obchodów stulecia Stycznia należy zawdzięczać ściągnięcie z ZSRR wielu pamiątek i obrazów, nagrania płytowe pieśni powstańczych i po prostu sygnały, że wolno, a nawet należy tę rocznicę obchodzić.

Napór społeczeństwa? Zimą 1962/1963 mogłem stwierdzić, że nikt nie dbał ani o grób pięciu poległych na starych Powązkach tuż za kościołem Karola Boromeusza, ani o kwaterę weteranów powstania styczniowego na

Cmentarzu Wojskowym. Odnowieniem tej ostatniej zajmowałem się w imieniu komisji.

Na otwarciu wielkiej wystawy poświęconej stuleciu Stycznia stałem na moje szczęście za plecami Kieniewicza i Herbsta – obu dostatecznie wysokich, aby mnie zasłonić. Aleksander Zawadzki, czytając z kartki transmitowaną na całą Polskę mowę rocznicową, pomylił nieco nazwiska i powiedział, że z pomocą powstańcom przyszli Hercen, Garibaldi i… Mussolini (zamiast Mazzini). Mogłem się swobodnie śmiać za drgającymi konwulsyjnie plecami profesorów, którzy patrząc w twarz Zawadzkiemu musieli powstrzymywać śmiech.

Przy okazji zebrań komisji mogłem się przekonać, jak niechętny wszelkiemu wpasowywaniu się w odgórne życzenia był Kieniewicz. I jak ironiczny bywał na osobności mój promotor pod adresem radzieckiej ambasady. Kiedy zaproszono go na przekazanie daru radzieckiego z okazji stulecia powstania do ambasady, zlecił mi, abym szybko sprawdził, skąd pochodzi kilka potężnych tomów dokumentów. Jego podejrzenia okazały się uzasadnione, były to ocalałe szczątki z Biblioteki Raperswilskiej, przeniesione w międzywojniu do Biblioteki Narodowej. Jako zdobycz wojenna zapewne via Trzecia Rzesza znalazły się w ZSRR.

Piszę o tym nie gwoli obrony mojego niegdysiejszego promotora, który odżegnał się ode mnie już w 1964 roku, a po to, aby pokazać, jak skomplikowane były to czasy i jak trudno przykładać do nich tylko dwie barwy: biel i czerń. Stąd też budzi mój sprzeciw niezbyt udany tytuł poważnej książki Rafała Stobieckiego „Historiografia PRL. Ani dobra, ani mądra, ani piękna… ale skomplikowana". Nie jest to tytuł szczęśliwy. Ta skomplikowana historiografia bywała wielokrotnie dobra, mądra i piękna, czy to w przypadku Stefana Kieniewicza, czy Witolda Kuli, czy wielu innych. A że najwybitniejsi historycy szli na kompromisy z władzą? Kompromisy Kieniewicza nie oznaczały jeszcze ugody.

Rafał Stobiecki we wprowadzeniu do swojej książki trafnie uchwycił i skomentował artykuły Kieniewicza z „Tygodnika Powszechnego" – „Rachunek sumienia" (1989) i „Profesorowie i totalitaryzm" (1990).

Stobiecki pisze: *[...] kierowała nim* [Kieniewiczem – J.W.B.] *potrzeba zrozumienia dylematów, przed jakimi stanęło środowisko polskich historyków po 1945 roku, chęć ukazania skomplikowanego społeczno-politycznego kontekstu, w jakim przyszło im działać. Szukając precedensów historycznych, mających wyjaśnić i poniekąd usprawiedliwić decyzje historyków, także ze swojego pokolenia, Kieniewicz nie zawahał się przywołać autorytetu wielkiego Szymona Askenazego. Zacytował fragment jego przedmowy do drugiego wydania Łukasińskiego, w której Askenazy przyznawał, że w wydaniu z 1908 roku „wypadło mu w wykładni i w źródłach wiele przyćmić, byle przemycić".* Zaliczając siebie do ludzi, którzy szli z władzą na różne kompromisy, myślał zapewne Stefan Kieniewicz o swoich przedmowach czy posłowiach „obrończych", rzadziej chyba o tekstach. Jaka była cena tych kompromisów?

Oto jeden przykład. W 1948 roku nakładem Towarzystwa Naukowego Warszawskiego zaczęło się ukazywać staraniami Kieniewicza wielotomowe niedokończone dzieło życia Marcelego Handelsmana – „Adam Czartoryski". W przedmowie pisał Kieniewicz: *trudno zapomnieć, czytając tę książkę, o warunkach, w jakich powstawała. Pisał ją Handelsman w obliczu grożącej mu śmierci, zmuszony do ukrywania się – niestety, nie tylko przed okupantami.* Trudno czytać tragiczną dedykację autorską Handelsmana na tomie pierwszym „Adama Czartoryskiego" (*w najtrudniejszych okolicznościach dokonane dzieło pisarskie*). Otóż tom trzeci ukazał się w atmosferze pełnego stalinizmu, a dotyczył czasów Mikołaja I i wojny krymskiej. Mógł był być interpretowany jako publikacja antyrosyjska. Mimo formalnej daty 1950 wydrukowano go dopiero w marcu 1951 roku. Aby przezwyciężyć trudności cenzuralne, Kieniewicz opatrzył dzieło życia Handelsmana posłowiem, w którym stwierdzał, że *wartość klasyków marksizmu jako interpretatorów historii zostaje dlań zamknięta*, ubolewał nad tym, że Handelsman nie miał możności zapoznania się z historiografią radziecką, było w tym posłowiu i kilka innych wymuszonych niskich ukłonów w stronę panujących nad Polską.

Kieniewicz w niemałym trudzie opracował do druku liczące około tysiąca pięciuset stron dzieło swojego Mistrza, zaopatrzył każdy tom we

francuskie streszczenie, aby funkcjonowało i poza Polską. W ostatnim akapicie posłowia Stefan Kieniewicz napisał o Handelsmanie wprost: *Jego postawa w latach okupacji, Jego tragiczna śmierć nie mogły być zapomniane. Należało się Jego pamięci udostępnienie światu naukowemu głównego dzieła Jego życia.* I za to był gotów płacić kompromisami. Gdyby nie wiele miesięcy pracy Stefana Kieniewicza, nie wiadomo, czy opus magnum Handelsmana kiedykolwiek by się ukazało.

Posłowie do „Adama Czartoryskiego" pisał Kieniewicz parę lat zaledwie po strasznej traumie drugiej wojny światowej, świadom nieszczęść, jakie zawsze na Polskę sprowadzały czasy zaborów, okupacji, nietolerancji i wojen domowych.

Jak Manteuffel, jak Gieysztor bolał, że Polacy nie tylko, używając norwidowskiej formuły, do wrogów strzelają diamentami, ale że Polacy sami własne diamenty gubią, tracą, topią. Trzydzieści lat po zakończeniu drugiej wojny światowej pisał w „Powstaniu Styczniowym" o czerwieńcu Stefanie Bobrowskim, krótkotrwałym przewodniczącym Tymczasowego Rządu Narodowego i zwolenniku uwłaszczenia chłopów. Dwunastego kwietnia 1863 roku zginął on w pojedynku z ręki hrabiego Adama Grabowskiego. Cytuję: *Bobrowski był do tego stopnia krótkowidzem, że pojedynek na pistolety z przeciwnikiem tak pozbawionym skrupułów moralnych jak Grabowski, narażał go na śmierć niechybną. Jakże oceniać ludzi, którzy zmusili do tego pojedynku najwybitniejszego bezsprzecznie z przywódców powstania?*

Pisząc te słowa, być może znowu myślał o swoim mistrzu skazanym na śmierć przez rodaków. Z latami lewicujący katolik Stefan Kieniewicz coraz ostrzej sprzeciwiał się wszelkiej nietolerancji. Żył w epoce, w której dokonał bardzo wiele. Ten, kto potrafi zrozumieć klimat tamtych czasów, pojmie, że więcej dokonać nie mógł.

57. Stowarzyszenie umarłych historyków

Zachowujcie e-maile! Dawniej napisałbym: zachowujcie listy! Nie wyrzucajcie korespondencji osobistej! Wydany teraz opasły, bez mała osiemsetstronicowy tom korespondencji dwóch znakomitych historyków Stefana Kieniewicza (1907–1992) z Henrykiem Wereszyckim (1898–1990) z lat 1947–1990 jest kolejnym dowodem na to, jak ważna była sztuka pisania listów, wyższa półka korespondencji – epistolografia. Ksiażka jest zaopatrzona w bezcenne komentarze kustosza i wydawcy listów Elżbiety Orman.

Wiele z tych listów Wereszycki powtarzał częściowo w korespondencji ze mną, te same problemy pojawiały się powtórnie. Dla mnie ta korespondencja stanowi jeden z kluczy do rozumienia środowiska historyków, tych, z którymi byłem bliżej związany.

6 stycznia 1975 roku Kieniewicz pisał do Wereszyckiego: *Nieraz też rozmyślałem sobie, że kiedyś–kiedyś nasza korespondencja dwustronna, gdyby się dochowała, mogłaby stać się przedmiotem edycji, cennej nie tylko z punktu widzenia historii naszego wąskiego środowiska. Jasne, że chcielibyśmy, aby to była historia kompletna. Pański list ostatni stanowiłby w niej jedną z cenniejszych pozycji. Tylko obawiam się, że przyszły wydawca, nawet w XXI wieku, miałby z tym listem trudności – nie tylko grafologiczne. Wielka szkoda, że nie możemy tej polemiki prowadzić publicznie, włączyliby się do niej nie tylko historycy.*

A polemika, która w warunkach PRL lat siedemdziesiątych odbyć się nie mogła publicznie, toczyła się między dwoma korespondentami w sprawach dla Polaków kluczowych. Kieniewicz ogłosił artykuł „O etyce historyka”. Uwagi w nim zawarte można odnieść częściowo i do ostatniego dwudziestolecia. Pisał w nim o presji politycznej, jakiej poddaje się historyków, o cenzurze i autocenzurze, ale także o presji opinii publicznej,

o tym, że *nie ośmieliłby się wychwalać bezkompromisowości jako jedynie trafnej we wszystkich okolicznościach metody postępowania,* o celowości *posługiwania się kompromisem w granicach jego dopuszczalności,* na koniec przeprowadzał analogie między Królestwem Kongresowym a Polską Ludową. Jego zdaniem istniały wyraźne podobieństwa. Przy tym jego krytycyzm wobec ustroju, w którym przyszło mu żyć, był oczywisty. Jak ujął to w liście z 14 grudnia 1974 roku, czyniąc aluzję do urzędu cenzury mieszczącego się w Warszawie przy ulicy Mysiej, który wykreślił mu jakieś zdanie: *Oto więc klamra spinająca nasze Millennium – od myszy króla Popiela do ulicy Mysiej.* Polemiczny list Wereszyckiego, który Kieniewicz uznał za ważny, ale w dającej się przewidzieć przyszłości niepublikowalny, pochodzi z 29 grudnia 1974 roku.

Napisał go Wereszycki w szpitalu, do którego trafił po potrąceniu go przez samochód na przejściu dla pieszych. Oburzał się: *Cenzor może mieć wg Pana rację. Nigdy. Nie lubię analogii między Królestwem Kongresowym a PRL. Królestwo uważane było za etap do restitutio in integrum. PRL jest w tej chwili w założeniu ostateczną formą naszej niewoli!* Wereszycki zachwycał się artykułem „O etyce historyka": *napisał Pan także rzeczy piękne i znakomite*. Ale Wereszycki występował w todze niezłomnego, bezkompromisowego. Nie zawsze miał rację, ale narzucał wysokie wzorce etyczne.

Po jego śmierci w nekrologu w „Polityce" z 10 marca 1990 roku pisałem: *o Henryku Wereszyckim jako o jednym z nielicznych historyków dziejów współczesnych, bardzo nielicznych, którzy nauczając po roku 1945 nie odstąpili w niczym od swoich poglądów i zasad etycznych swojego zawodu. Stał ponad swarami i waśniami, ponad konformizmem i służalczością dziesiątków swoich kolegów po fachu* [...] *Wereszycki nigdy nie dopasowywał swoich poglądów ani do rządzących, ani do rządzonych.* Jako były żołnierz Legionów i wydawca ostatniego tomu pism Józefa Piłsudskiego potrafił w latach trzydziestych zdystansować się od ekscesów sanacji i zaznaczyć ciągłość swoich socjalistycznych przekonań. Jako członek PPS po roku 1945 odmówił trwania w partii, której znaczna część uległa mirażowi wspólnego z PPR budowania „państwa socjalistycznego", „państwa ludowego". Ale

z korespondencji Wereszyckiego z Kieniewiczem można też wyczytać, jak widział dzieje Polski Ludowej. Podkreślał, że ująć je można w dwóch słowach: „entuzjazm i opór". Początkowy entuzjazm z wyzwolenia od okupacji niemieckiej, entuzjazm odbudowy, entuzjazm płonnych nadziei na państwo demokratyczne po roku 1945 szybko zastąpiło rozczarowanie i trwający dziesięcioleciami bierny i czynny opór. Gdyby w młodszym wieku Wereszycki dożył niezapomnianego roku 1989, pewnie by, będąc całym sercem za przemianami, krytykował nowy system i protestował. Bezkrytyczny nie był nigdy i wobec niemal nikogo.

W roku 1984 na 85-lecie Wereszyckiego pisałem w „Tygodniku Powszechnym" w artykule „Nadzwyczajny profesor": *Na tle koniunkturalizmu, karierowiczostwa, doboru zainteresowań pod gusta kolejnej ekipy sprawującej władzę* [...] *Henryk Wereszycki pozostaje wielkością stałą, rządząc się własnymi zasadami i normami przyjętymi w dawnym pięknym dziewiętnastowiecznym świecie: obiektywizm obowiązuje uczonego jak najbardziej, zwłaszcza wobec przeciwników politycznych, słowo honoru jest zaklęciem absolutnym, służy się nade wszystko prawdzie historycznej.*

Dwie wielkości, dwie postawy, ale jedna etyka zawodowa, która łączyła profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego z profesorem Uniwersytetu Warszawskiego. To przez pryzmat tego kodeksu badacza dziejów i obywatela oceniali ludzi i wydarzenia. I w wielu poglądach na ludzi i sprawy mieli poglądy zbieżne.

Ogromna większość wspominanych przez nich w korespondencji historyków odeszła do wieczności. Ale widać wyraźnie, że postawy Tadeusza Manteuffla (*podwładni wyrażali się o nim z niezwykłym uwielbieniem* – pisze w maju 1968 Wereszycki), Henryka Wereszyckiego czy Stefana Kieniewicza (tego ostatniego zwłaszcza po śmierci Manteuffla w 1970 roku) wywierały znaczący wpływ na etykę środowiska. Po roku 1992 takich wielkości w naszym świecie historyków pozostało niewiele... I mowa tu nie tylko o cechach osobistych patriarchów, ale i o zasięgu ich oddziaływania. Stanowić powinni wzorzec, ale, niestety, już jako stowarzyszenie umarłych historyków.

Postawa Stefana Kieniewicza była uwarunkowana rzeczywistością ziemi, po której stąpał, a nie iluzjami mitologii narodowej. Profesor Kieniewicz był nade wszystko realistą. Patriotycznym, polskim realistą, starającym się osiągnąć wszystko, co możliwe – w istniejących warunkach – dla kultury narodowej. Dobro kultury narodowej jako pojęcie nadrzędne, docelowe zbliżało go bardzo z Henrykiem Wereszyckim.

Kieniewicz wyraźnie odtworzył beznadzieję powstania styczniowego: nieprzygotowanego, sprowokowanego przez władze, z dużym ociąganiem i opóźnieniem popartego przez polskie klasy posiadające, rozdzieranego bratobójczymi sprzecznościami między białymi i czerwonymi. Pokazywał, jak dalece antagonizm szlachta–chłopi, nierozwiązana zawczasu kwestia chłopska ważyła na losach powstań narodowych. Możliwe, że przeceniał znaczenie kwestii społecznych w kontekście walk narodowowyzwoleńczych. Z latami zresztą w swoich dziełach wycieniował znaczenie kwestii włościańskiej.

Kieniewicz zarzucał Wereszyckiemu pobudzanie megalomanii narodowej, uprawianie kultu powstań i uznawanie wyjątkowości narodu polskiego. Wereszycki odpowiadał Kieniewiczowi: *Jeszcze dziś może ktoś widzieć społeczne skutki tego kultu, chociaż na pewno ci, którzy chwytali za broń w 1956, stawiali się w 1968, walczyli w 1970 i opierali w 1976, to jakby dalszy ciąg tych przez przeszłość stworzonych reakcji społeczno-narodowych* (list z 21 lutego 1977).

Wereszycki, polski inteligent pochodzenia żydowskiego, blisko związany z kardynałem Karolem Wojtyłą, przypisujący mu na tronie papieskim rolę Mickiewicza XX wieku dla Polaków – wieszcza narodowego, starał się dożyć odrodzenia Polski niepodległej. I dożył. Ten pepesowiec był prawie skłonny wierzyć w cuda. *Polska powstanie* – lubił powtarzać. Ale po roku 1981, w czasie spotkań ze swoim asystentem i przyjacielem Wacławem Felczakiem, kurierem podziemia podczas wojny i więźniem z czasów stalinowskich, oraz ze mną ponad osiemdziesięcioletni Profesor też wycieniował swoje stanowisko.

Jego dawna teza głosiła, że klęska powstań była uwarunkowana brakiem koniunktur międzynarodowych i pomocy Zachodu. Otóż po roku 1981 liczył na układy międzynarodowe, ale przestał liczyć na interwencje Zachodu w obronie Polski. Zgodził się patronować Towarzystwu Kursów Narodowych, ale zaznaczał, że ludzie „Solidarności" nie mogą porównywać prześladowań w systemie Jaruzelskiego z czasami stalinowskimi czy rządem carskim z doby powstania styczniowego. Uważał powstania za dzieło elit, w chłopach widział klasę zacofaną i powstaniom niechętną.

Stefan Kieniewicz, polski inteligent ze sfery ziemiańskiej o rozległych koligacjach, wywarł największy wpływ na ukształtowanie naszych poglądów na powstanie styczniowe. Jego „Historia Polski 1795–1918" przez dziesięciolecia rozchodziła się w wielu tysiącach egzemplarzy.

Kieniewicz, nazywany przez Wereszyckiego „pesymistą", był przeciwnikiem determinizmu historycznego. Nie uważał, że 1848 rok i wojna krymska przesądzały o tym, iż jako ciąg dalszy musiało wybuchnąć powstanie styczniowe. Sądził, że historia oferuje nam różne rozwiązania, alternatywy. Nie uważał, iż powstańczość XIX wieku wymagała kontynuacji w powstańczości następnego stulecia.

Kto był „pesymistą", a kto „optymistą" w tym duecie?

Wereszycki w wielu listach publikowanych i zachowanych u różnych korespondentów pisał o zagładzie atomowej i ekologicznej naszego świata, o tym, że zostanie tylko pył, że społeczeństwo polskie z wierzchu patriotyczno-religijne jest przepełnione nienawiścią.

U „pesymisty" Kieniewicza takich akcentów raczej nie spotykamy. Może raz w liście z 8 stycznia 1984 roku dał wyraz zwątpieniu: *Bóg w Trójcy Świętej to pewne, wie co robi, ale czy Naród Polski ma zagwarantowane u Niego ocalenie, to w Piśmie zapisane nie jest. Czy i co się ostanie z naszych indywidualnych wysiłków budowania kultury narodowej? Może to i nieważne w ogólnej ekonomii zbawienia, ale godzić się z takimi myślami trudno.*

Henryk Wereszycki wywierał o wiele większy wpływ demonstrowaną postawą etyczną, pięknymi wykładami – sztuką oratorską niż monografiami i podręcznikami historycznymi. Za jeden ze swoich błędów

uznał to, że w okresie stalinowskim nie pisał do szuflady, czekając na lepsze czasy. Dobrze, że w szufladach swoich zachował większość listów. Szkoda, że nie wszystkie. Natomiast „pesymista" Stefan Kieniewicz pozostawił ogromną puściznę, która stanowić będzie zapewne po wydaniu bezcenną kronikę drugiej połowy XX wieku.

Tom korespondencji, który omawiamy, jest źródłem wielorakim: do dziejów dwóch wybitnych historyków, środowiska historycznego w PRL, do historii wieku XIX, do historii Polski po 1945 roku. Niekoniecznie tylko politycznej. Siedemdziesięcioparoletni Kieniewicz pisze o tym, jak wystawał w kolejce do „Orbisu" kilka godzin, pożyczając w tejże kolejce do czytania trudno dostępny „Tygodnik Powszechny" (1984). Pisze, jak delegację historyków włoskich w Płocku mógł żywić tylko kaszanką (1981). Piszą panowie historycy jako świadkowie o Rumunii Ceausescu i Moskwie (Kieniewicz), o roku 1968 (Wereszycki), o katolicyzmie i marksizmie, o tym, jak dalece terror dziewiętnastowieczny różnił się od dwudziestowiecznego, o realizmie politycznym i polskim irracjonalizmie.

Oto 20 października 1981 roku Kieniewicz: *Tu ludzie różni, z którymi się stykam, patrzą czarno w przyszłość – że mianowicie na dogadanie się władzy ze społeczeństwem nie ma co liczyć. Niektórzy wyobrażali sobie, że uda się stworzyć koalicję: Kościół + Solidarność + armia, z odsunięciem na bok Politbiura, ale się oczywiście zawiedli. Jak długo jeszcze trwać można z perspektywą katastrofy odkładanej z tygodnia na tydzień?* Katastrofa, jak wiadomo, nastąpiła w niespełna osiem tygodni później.

Kieniewiczowi, jak widzieliśmy, nieobca była myśl, że jego korespondencja z Wereszyckim może kiedyś zostać upowszechniona. Wereszycki był po 1956 roku świadom, że jego listy staną się źródłem historycznym. Z tą myślą dublował listy do Kieniewicza korespondencją ze swoim przyjacielem, historykiem wrocławskim Władysławem Czaplińskim (1905–1981). Z tą myślą wybrał mnie jako przedstawiciela „pokolenia wnuków" i wymienił ze mną około dwustu pięćdziesięciu listów. Wnuki stały się dziadkami w chwili, gdy ukazuje się ta wielka publikacja. Jej wydawca Elżbieta Orman z pełną racją stwierdziła w nocie edytorskiej:

Korespondencja Stefana Kieniewicza i Henryka Wereszyckiego z lat 1947–1990 jest pierwszą w dziejach polskiej epistolografii tak obszerną prezentacją wymiany myśli między dwoma historykami. Stanowi ona bezcenne źródło do dziejów polskiej historiografii drugiej połowy XX wieku. I nie tylko do niej.

58. Francuski łącznik

Aleksander Gieysztor (1916–1999) i Witold Kula (1916–1988) to chyba dwaj najbardziej znani w Europie historycy polscy. O Kuli mówią i mówić będą jego klasyczne, potężne objętościowo dzieła z metodologii nauk historycznych, z historii gospodarczej. W przypadku Gieysztora – bardziej jego wszechstronna działalność organizatora nauk historycznych na poziomie międzynarodowym, barwny życiorys, magnetyczna osobowość dyplomaty najwyższej klasy, obdarzonego niezwykłą urodą i elegancją. Prace Gieysztora z nauk pomocniczych historii, z dziejów średniowiecza, z muzealnictwa i ochrony zabytków wyróżniają się zaletami wysoce erudycyjnych, często syntetyzujących, inspirujących i błyskotliwych esejów. Dzieła zebrane z jego dorobku unaoczniłyby ten charakter tysiąca sześciuset pozycji, jakie ujęła bibliografia Gieysztora. Pozycji książkowych jest w niej niewiele.

Profesora poznałem jako student bodaj trzeciego roku Wydziału Historycznego Moskiewskiego Uniwersytetu (MGU). Delegacja historyków polskich: Kula, Gieysztor i Bogusław Leśnodorski, przyjechała wtedy do Moskwy. Kula, którego znałem jeszcze jako dziecko (w warunkach powojennych trudności lokalowych mieszkał u nas przez pewien czas wraz z żoną w roku 1945), zaprosił mnie do hotelu „Metropol" na śniadanie z profesorami i przedstawił Gieysztorowi. Gieysztor rzucił wtedy kilka słów, że jeden z hoteli moskiewskich należał do jego rodziny. I zaprosił mnie, abym podczas przerwy letniej spotkał się ze studentami Wydziału Historycznego Uniwersytetu Warszawskiego i opowiedział im o tym, czego i jak się uczymy, o atmosferze studiów. Był rok 1955. Spotkanie odbyło się w lektorium wydziału.

76. Aleksander Gieysztor u schyłku życia.

W Moskwie odczuwalne już były pierwsze podmuchy odwilży. Wrócił z zesłania ojciec naszej starszej koleżanki, były eserowiec. Nie rozmawiał z nikim poza córką. Ale jej powiedział, że był na zesłaniu w tych samych miejscach co za Mikołaja II i życie tam było wtedy nieosiągalnym luksusem w porównaniu z warunkami, w jakich podążali drogą do śmierci zesłańcy Stalina. Nasza koleżanka to powtórzyła. Opowiedziałem o tym i o kilku innych przypadkach polskim studentom. Po zakończeniu spotkania Gieysztor już na korytarzu uniwersyteckim rzucił niby od niechcenia krótkie zdanie: – *U nas jeszcze tak nie mówią.*

Oczywiście stalinizm polski był bez porównania słabszy niż sowiecki, krótkotrwały, w środowisku Gieysztora traktowany jako zło, które trzeba przeżyć, przeczekać, ratując naukę i kulturę polską. Ale wśród studenterii na Wydziale Historycznym Uniwersytetu Warszawskiego działała grupa wierzących w system stalinowski nadgorliwców, którzy kneblowali wszelką dyskusję.

Przy tych pierwszych spotkaniach Gieysztor przejawiał duże zainteresowanie tym, co się dzieje w ZSRR. Mówił po rosyjsku z doskonałym akcentem, bez typowych polskich naleciałości. Z upływem lat zorientowałem się, że rodzina Aleksandra Gieysztora była głęboko związana z Rosją, z kulturą rosyjską. Jak wspominał sam Gieysztor: *Moja matka Barbara, z domu Popiel, pochodziła z drobniejszej szlachty z wielkopańskim rodem Popielów nie związanej. Podejrzewam, że ci drobni Popielowie musieli być greko-katolikami. Jej dziad został zesłany na Sybir, ale nie w 1863 roku, tylko w związku z tajemniczym dla mnie udziałem w powstaniu węgierskim w 1848 roku.* Prawdopodobnie pradziad Eustachy Popiel brał udział w formacjach polskich, które pod dowództwem generałów Józefa Bema i Józefa Wysockiego walczyły po stronie Węgrów przeciwko wojskom austriackim i armii Iwana Paskiewicza. Dziad Aleksandra Gieysztora Bazyli urodził się w Irkucku, ożenił się podobno z Rosjanką. Jak wspominał sam Gieysztor, co odnotował jego biograf Robert Jarocki: *On jeszcze mówił po polsku. Czy moja matka mówiła po polsku przed małżeństwem z mym ojcem, w to powątpiewam, choć może czasem mówiła* [...] *Świetnie była wprowadzona w teatr Stanisławskiego, znała inscenizacje Czechowa, zwłaszcza o „Czajce" opowiadała mi fachowo, jak krytyk teatralny* [...] *Krótko mówiąc, duchowo tkwiła w kulturze, sztuce rosyjskiej.* Według Gieysztora jego dziad Bazyli (1853–1944) w drodze z Irkucka do Polski zatrzymał się w Moskwie. Tam na świat przyszła matka Gieysztora Barbara Popiel (1887–1954). Tam też w roku 1915 wstąpiła w związki małżeńskie z Aleksandrem Gieysztorem (1876–1948), ojcem historyka tego samego imienia. Szlachecka rodzina Gieysztorów wywodzi się, mówiąc skrótowo, z terenów Litwy i Białorusi. Jego dziad po mieczu przeniósł się z rodzinnego majątku koło Berezyny do Mińska, gdzie posiadał kilka kamienic. Ojciec przewędrował dalej na wschód do Moskwy.

Jak wspominał Aleksander Gieysztor: [...] *duchowość ojca zasadzała się na micie historyczno-literackim jakiegoś idealnego obrazu Polski. Ojciec nigdy nie mieszkał na ziemiach z przewagą polskiej kultury, języka* [...] *do czasu przyjazdu do Warszawy, do Polski, myślę, że chyba łatwiej było mu napisać list poprawnym językiem po rosyjsku... niż po polsku* [...].

Korespondencja rodzinna Gieysztorów była jednak prowadzona po polsku. Aleksander Gieysztor senior był wyższym urzędnikiem w zarządzie kolei moskiewsko-kazańskiej, zasiedziałym w Moskwie. Miał rozległe stosunki towarzyskie. Jak wspominał Aleksander junior: *Przypuszczam, że mój ojciec, podobnie jak inni konserwatywni Polacy dobrze urządzeni w Rosji, nie wierzył w jakieś trwalsze skutki przewrotu bolszewickiego.* Sympatyzował z Aleksandrem Lednickim i z partią kadetów. Jak mówił Aleksander Gieysztor: *ojciec zdecydował się na wyjazd do Polski, gdy poczuł się jako Polak, po przegranej przez bolszewików wojnie w 1920 roku, bezpośrednio fizycznie zagrożony.* Nie wyjechał w pierwszej fali reemigrantów. Paradoks sytuacji polegał na tym, że Polakom z otoczenia Lednickiego w wyjazdach z Rosji pomagał osobiście Feliks Dzierżyński.

Rodzina Gieysztorów stanowi przykład owej symbiozy polsko-rosyjskiej w długim wieku XIX, kiedy tysiące Polaków wiązały się węzłami rodzinnymi z Rosją, osiedlały się w niej, często przekształcały w Rosjan o polskich korzeniach. Mamy próby odtworzenia Polonii w Petersburgu; nie ma, niestety, podobnych o Polakach w Moskwie czy Baku. Pozostaje to jako zadanie dla przyszłych historyków. W przypadku Gieysztorów nie wiemy dokładnie, ilu z nich pozostało po 1917 czy raczej po 1921 roku w Związku Radzieckim, ale polski historyk napomykał o swoich krewnych czy powinowatych, którzy mieszkali tam w latach pięćdziesiątych. Szczegółów nie znamy. Gieysztor, jak mogłem zauważyć, interesował się historią Rusi, Rosji, ale zwracał moją uwagę i na Polaków na Kaukazie. Dał mi parę książek o nich. Nie wykluczam, że te zainteresowania były pochodną jego przyjaźni z Ludwikiem Widerszalem, współpracownikiem z Biura Informacji i Propagandy Armii Krajowej, zamordowanym w 1944 roku przez bandytów z prawicy polskiego podziemia w ramach tępienia

„czerwonych elementów". Wydaje mi się, że ogłaszając po roku 2000 po polsku i w językach obcych księgi zbiorowe o wojnie krymskiej, spełniłem w pewnej mierze życzenia profesora.

Jako mediewista zajmował się Gieysztor między innymi obrazem Rusi w Polsce średniowiecznej, analizując pod tym kątem między innymi kronikę Jana Długosza. Pisze o Długoszowym rozróżnieniu Rusi i Moskwy. Czytamy o tym: *W opisie krajoznawczym poprzedzającym „Historię Długoszową" wcale starannie opisano sieć hydrograficzną tej Rusi. Są to zlewnie Dniepru, Dniestru i Prutu, Niemna i Dźwiny. Na stronicach „Historii" nazwa Moskwy pojawiła się po raz pierwszy przed rokiem 1406, w kontekście litewskim, i nadal kilkakrotnie wymienia się terra Mosquitarum, regio Mosquensis, nigdy jednak jako Ruś.*

I dalej:

Wytworzył się na pewno stereotyp główny myślenia i odczuwania ruskiego sąsiada. To Rusin – schizmatyk, oddzielony od Europy i Polski katolickiej swoim rytem i obyczajem. Jednak odczucia otwartej wrogości, wyznawanego głośno wobec pogańskich zwłaszcza najeźdźców, w tym stereotypie nie ma.

I wreszcie, podkreśla Gieysztor, że drugim oprócz schizmy ruskiej dochodzącym do głosu głównym stereotypem myślenia o Rusi wydaje się jej bogactwo.

Ruś, Rosja były obecne w świadomości historycznej Gieysztora. Interesował się nimi jako badacz, ale też nie bez podtekstów rodzinnych. Związek Radziecki był zaś obecny w jego życiu codziennym z uwagi na realia otaczającego nas świata. Jak dalece Gieysztor był znany i ceniony przez historyków w ZSRR, mogłem się przekonać w 1970 roku podczas XIII Kongresu Nauk Historycznych w Moskwie, gdzie miałem referat o latach 1870–1871 jako cezurze w historii europejskiej, osnuty wokół wojny francusko-pruskiej i Komuny Paryskiej. To, że w stulecie tych wydarzeń powołano mnie, młodego historyka świeżo po habilitacji do wygłoszenia ważnego tekstu, zawdzięczam dyplomacji Gieysztora. Pogodził on, przeciwstawiając mnie – młodego referenta – ubiegających się o ten temat zwaśnionych znanych badaczy ze Wschodu i Zachodu. Wykorzystał swoją

pozycję podówczas członka Zarządu Międzynarodowego Komitetu Nauk Historycznych. Uważał, iż referat o tej tematyce powinien być wygłoszony po francusku. Czytał przed wygłoszeniem mój tekst.

Francuskiego zaczął się uczyć jako sześcioletni malec. Jego mistrzem podczas studiów na Uniwersytecie Warszawskim był znakomity historyk i znany frankofil Marceli Handelsman (1882–1945). To on patronował dwóm podróżom naukowym Gieysztora do Francji. W 1938 roku Gieysztor podjął studia w Paryżu w École des Chartes, specjalizując się w naukach pomocniczych historii i jednocześnie w École Pratique des Hautes Études w zakresie historii powszechnej średniowiecznej pod kierunkiem Louisa Halphena. Przerwała je wojna. Ale niebawem po zakończeniu wojny Gieysztor nawiązuje znowu kontakty z Francją. W październiku 1948 roku wyjeżdża na trzymiesięczne stypendium do Francji. Odnawia kontakty z tymi samymi ośrodkami naukowymi i z Louisem Halphenem. Należy pamiętać, że polsko-francuskie stosunki naukowe zostały zahamowane w latach 1949–1955 (szczytowy stalinizm w Polsce), ale nigdy ich nie przerwano. Współpraca historyków polskich z francuskimi była bardzo ożywiona zarówno w latach Drugiej Rzeczypospolitej 1918–1939, jak i jeszcze bardziej przez całą drugą połowę XX wieku, to znaczy w czasach Polski Ludowej (mam tu na myśli stałe stypendia francuskie dla Polaków, obieg książek i czasopism, historyków polskich jeżdżących na wykłady do Francji, tłumaczenia literatury historycznej w obie strony, wykłady francuskich historyków w Polsce). Dawała nadal o sobie znać wieloletnia tradycja polskiego XIX i XX wieku, widząca we Francji centrum nauki i kultury europejskiej.

Gieysztor był mostem łączącym polski świat historyczny z Francją. Związał się na zawsze ze środowiskiem École des Hautes Études en Sciences Sociales (dawna École Pratique des Hautes Études), to znaczy z kierunkiem myśli historycznej zwanym szkołą „Annales", rozpatrującym procesy historyczne w długim działaniu, interdyscyplinarnie, w wymiarze społecznym, a nie jednostkowym, odstępując od prymatu historii politycznej na rzecz cywilizacyjnej, gospodarczej, społecznej. Jej patroni,

Fernand Braudel i Marc Bloch, byli dla niego następnymi francuskimi mistrzami. Najbliższym przyjacielem stał się znakomity historyk francuski Jacques Le Goff. Po śmierci Gieysztora Le Goff złożył mu hołd w „Cahiers de Civilisation Médiévale".

Podczas pierwszych pobytów powojennych we Francji Gieysztor zajął się Europą w przededniu wypraw krzyżowych (między innymi niewolnikami słowiańskimi na zachodzie Europy) oraz studiami nad pismem łacińskim w średniowieczu. Uprawiał też historię porównawczą średniowiecza europejskiego.

Podczas jednego ze swoich pobytów w Paryżu Gieysztor zapoznał mnie ze swoją wieloletnią przyjaciółką Nicole Charbonnel (rocznik 1938). Charbonnel, mediewistka, dzisiaj już emerytowana profesor prawa w Paryżu, redaktorka wielu tekstów francuskich Gieysztora, zapamiętała jego wykład w Centre Scientifique de l'Académie Polonaise des Sciences w Paryżu, drukowany w 1962 roku pod tytułem „La Pologne et l'Europe au Moyen-Age". Pani Charbonnel podkreśla, że francuski stał się niemal drugim językiem ojczystym jej przyjaciela i mistrza Gieysztora. Francuskim posługiwał się w kontaktach międzynarodowych. Niemiecki znał dobrze, angielskiego i włoskiego nauczył się późno. Ten ostatni przyswoił sobie nader lekko, ze względu na doskonałą znajomość łaciny klasycznej i średniowiecznej.

Od roku 1965 Gieysztor pracował dosłownie w dziesiątkach organizacji, stowarzyszeń i redakcji międzynarodowych. Był w latach 1965–1985 kolejno członkiem, wiceprezesem i prezesem Międzynarodowego Komitetu Nauk Historycznych. Pełniąc te funkcje uczynił wiele dla zbliżenia Wschodu i Zachodu. Jego siła polegała na umiejętności inspiracji naukowej i organizacyjnej, na darze syntezy i prowadzenia dyskusji.

Najbliżej mogłem to obserwować już u schyłku kariery naukowej Gieysztora jako dyrektor Centre Scientifique de l'Académie Polonaise des Sciences w Paryżu. Setki listów do Nicole Charbonnel, która zajmując się prawem średniowiecznym we Francji, spotykała się na polu naukowym z polskim profesorem i dobrowolnie pośredniczyła i sekretarzowała mu,

wymagają długiego czasu, aby wydobyć z nich całą rozległość stosunków międzynarodowych Gieysztora. Listy te, przekazane mi przez prof. Charbonnel jako dowód ich trwającej ćwierć wieku przyjaźni, złożyłem w archiwum Polskiej Akademii Nauk w Warszawie.

Dla odtworzenia francuskich szlaków Gieysztora przypomnijmy, że był zaproszony jako profesor do wykładania w Collège de France (największe wyróżnienie w skali francuskiej), został też członkiem stowarzyszonym Académie des Inscriptions et Belles-Lettres. W roku 1976 otrzymał doktorat honoris causa Sorbony (Université de Sorbonne) w towarzystwie takich sław jak Yehudi Menuhin i Mircea Eliade.

Wśród uczonych, z którymi przyjaźnił się, Nicole Charbonnel wymienia poza Jacques'em Le Goffem, klasykiem mediewistyki upowszechniającym studia interdyscyplinarne, ze starszej generacji Michela Mollat du Jourdain, mediewistę, historyka ubogich oraz ludzi morza, Georges'a Duby, współautora słynnej historii kultury francuskiej; z młodszego pokolenia znawcę epoki Karolingów Pierre'a Riché, badacza historii średniowiecznego Paryża Jeana Favier. Piszę o tym, albowiem korzystałem nieco z powiązań Gieysztora jako dyrektor Stacji Naukowej PAN w Paryżu, a wielu swoich ścieżek naukowych i politycznych profesor nie odsłaniał.

Spis ten można by wydłużyć o wiele nazwisk, ale Aleksander Gieysztor był introwertykiem. Nie afiszował się swoimi sprawami osobistymi. Jego etos nakazywał nie ujawniać resentymentów i powściągać uzewnętrznianie sentymentów. Kiedy w początkach roku 1971 nowo obrany sekretarz KC PZPR Edward Gierek zaprosił grupę intelektualistów na spotkanie, przypadkiem natknąłem się na wychodzącego stamtąd Gieysztora. Zapytałem: – *No i jaki jest nowy przywódca*? Gieysztor spojrzał na mnie i powiedział tylko: – *Poważny człowiek. Mówił o religii.*

Był to wyraźny ironiczny sygnał, że ani myśli przykładać do sprawy zmiany Gomułki na Gierka nadmiernej wagi. A powtarzać, co było na spotkaniu, nie zamierzał.

Dyskrecja Gieysztora szła tak daleko, że odmawiał spisania pamiętników. Te ostatnie musiałyby zawierać oceny ludzi. A Gieysztor niezależnie od tego, co myślał, na zewnątrz prawie wszystkim okazywał uprzejmość.

Trzykrotnie zwracałem się do niego jako przewodniczący rady nadzorczej dużego wydawnictwa („Czytelnika") w latach 1989–1992 z propozycją zawarcia umowy na pamiętniki. Trzykrotnie odmawiał. Był głuchy na argument, że pamiętniki blokują pośmiertnych oszczerców, których ludziom z elity, ze świecznika nigdy nie brakuje.

Znał wielu włoskich historyków i polityków. Serdeczna przyjaźń łączyła Gieysztora z młodszym od niego dyrektorem Instytutu Historii Średniowiecza w Rzymie, Girolamo Arnaldim. Zapoznał mnie z nim w 1971 roku i zostaliśmy i my przyjaciółmi. Ale znał również dziesiątki polityków włoskich, między innymi takich jak premierzy Giulio Andreotti i Giovanni Spadolini. Ci dwaj byli zwolennikami bardziej pokojowych stosunków z ZSRR. Czy Aleksander Gieysztor odgrywał jakąś rolę w pertraktacjach nie tylko historyków, ale i polityków Wschodu i Zachodu? Mieszkając w Rzymie w latach 1971–1972 mogłem poczynić trochę obserwacji. Ale w latach dziewięćdziesiątych na moje pytania o kontakty polityczne zaprzeczał wbrew oczywistości. I śmiał się przy tym. Miał dostęp i do otoczenia prezydentów francuskich. Zarówno przed, jak i od razu po 1989 roku byli w Polsce ludzie gotowi wysunąć go na urząd prezydenta. Mówiło się o tym. Odtworzenie politycznej mapy kontaktów i działań Gieysztora będzie niełatwe dla jego przyszłych biografów.

Kiedy na skutek biurokratycznej ślepoty ówczesnego kierownictwa Polskiej Akademii Nauk nie udała się próba przekształcenia przeze mnie Centre Scientifique de l'Académie Polonaise des Sciences w Paryżu w duże centrum prowadzące humanistyczne studia doktoranckie, po raz pierwszy widziałem, jak Gieysztor ledwo opanowywał gniew. Był wtedy przewodniczącym Rady Naukowej Centrum, ale nie był już prezesem PAN i dano mu to odczuć. Zaprosił mnie na spotkanie we dwójkę do kawiarni „Ambasador" i podarował wydaną w Paryżu w 1826 roku książkę „Résumé

de l'histoire des révolutions de l'Amérique Septentrionale". Na załączonej jego wizytówce widnieje data 23 kwietnia 1995.

Ostatni raz spotkałem Gieysztora w 1998 roku, na parę godzin przed fatalnym wylewem, który poraził go po nazbyt forsownej wycieczce do Turcji. Obaj siedzieliśmy w poczekalni tej samej lekarki okulistki. Miał osiemdziesiąt dwa lata.

59. Dezinformacja

Propaganda, kłamstwo, plotka, informacja, wiedza. Jak funkcjonowały i jak wpływały na postawy ludzi? Ich znaczenie zmieniało się ze stulecia na stulecie, z dziesięciolecia na dziesięciolecie, z roku na rok – zależnie od nośników informacji i od systemu polityczno-społecznego, w którym funkcjonowały.

Natalia Lebiediewa, znana rosyjska badaczka eksterminacji polskich jeńców dokonanej w 1940 roku w ZSRR Stalina, zwróciła moją uwagę na to, iż po odkryciu zbiorowych grobów wiosną 1943 roku nie wszyscy, których Sowieci powołali na świadków rzekomo hitlerowskiej zbrodni nazwanej zbiorowo „Katyniem", mieli świadomość, jaka jest prawda. Strona sowiecka czyniła wiele, aby zamordowanie dwudziestu kilku tysięcy polskich jeńców przypisać Niemcom. I niektórzy cudzoziemcy, tacy jak na przykład córka ówczesnego amerykańskiego ambasadora w ZSRR, początkowo w to uwierzyli.

To w „kręgu pierwszym" wtajemniczonych. A dalej – miliony obywateli ZSRR były zdane wyłącznie na stotalitaryzowaną propagandę w odciętym od świata wielkim kraju. W obliczu masowego ludobójstwa uprawianego przez posuwających się na Wschód wojsk hitlerowskich trudno było nie uwierzyć pogrążonym w walce na śmierć i życie w Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej obywatelom ZSRR, że i „Katyń to Niemcy".

Kalka „Katyń = Niemcy" została tak głęboko wbudowana w stereotypy myślenia homo sovieticus, że siedemdziesiąt lat po Katyniu w korytarzu jednego z archiwów moskiewskich mój bardzo stary kolega historyk, Rosjanin z prowincjonalnego miasta, zagadnął mnie:

– *Czy myślisz, że to naprawdę zrobili nasi?*

Przypomnijmy, jak niewiele w czasach blokady i „autoblokady" ZSRR, w dobie „zimnej wojny", w czasach jeszcze beztelewizyjnych, w czasach prymitywnych odbiorników radiowych, w czasach bezinternetowych, przed rewolucjami technologicznymi XX wieku, świat wiedział o Archipelagu Gułag. I dodajmy: miliony obywateli tego świata nie bardzo chciały wiedzieć. Chciały wierzyć w odległą wyspę Utopię – w Związek Radziecki. Szukały nowej, kolejnej religii.

Kiedy potępiamy szerzących ongiś „kłamstwo katyńskie" czy wierzących w nie szczerze, nie zapominajmy, w jakiej epoce je zmontowano. Totalna dezinformacja stanowi część integralną systemów totalitarnych. Ale owej dezinformacji podlegają i społeczeństwa w różnym stopniu demokratyczne.

Przypadek sprawił, że poszukiwałem bezskutecznie w latach dziewięćdziesiątych na terenie Normandii archiwum ukrytego przez sztab hitlerowskiego marszałka Erwina Rommla (1891–1944). Relacje kolejnych świadków – od żołnierza Wehrmachtu, Kaszuba, który archiwum zakopał w roku 1944, po Francuzów współczesnych Rommlowi pokazały mi, jak świadomie i niezgodnie z prawdą po wojnie budowano mit „przyzwoitego generała" w służbie Hitlera. Z gruntu nieprawdziwy. Miało to pośrednio oczyścić jego byłych oficerów, którzy przeszli do armii demokratycznej Republiki Federalnej Niemiec. Zaginione archiwum kryło dowody barbarzyństwa, okrucieństwa i grabieży dokonanych w Afryce i w północnej Francji przez żołnierzy Rommla.

Wierutne kłamstwa i świadomie wytworzone mity zostają na długo lub na zawsze utrwalone w podręcznikach jako prawdy historyczne.

60. Archiwiści

Wiele wspaniałych godzin przeżyłem w archiwum Farnesiny – włoskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych. W latach gdy tam pracowałem, czytałem i kopiowałem głównie dokumenty o faszystach z wielu krajów Europy. Z pomniejszych postaci interesowała mnie teczka totalitarnego kameleona, jakim był Bolesław Piasecki (1915–1979). Dla Polaków emblemat polskiej skrajnej prawicy. Do roku 1939 przywódca polskich bojówek faszystowskich, wspierany przez wywiad Benito Mussoliniego. Podczas wojny uratowany przez włoskich dyplomatów z rąk gestapo, które uwięziło go jako polskiego konspiratora.

Znalazłszy się pod koniec wojny w rękach osławionego szefa NKWD generała Iwana Sierowa, uratował się przed egzekucją, oferując Moskwie współpracę swoich faszystów i antysemitów przefarbowanych na „socjalizujących katolików", zależnych po 1945 roku bezpośrednio od radzieckiej centrali.

Teczki Piaseckiego nie było w żadnym inwentarzu archiwum włoskiego MSZ. Zwróciłem się o pomoc do dyrektora służby historycznej ministerstwa, Franco Valsecchiego, starego badacza o renomie międzynarodowej. Nie dał rady. Ktoś jednak szepnął mi, że w sprawach beznadziejnych trzeba grzecznie podejść do niepozornego woźnego archiwum – Vilelli. Mały Sycylijczyk, woźny archiwalny „od zawsze," niebawem położył mi na biurku cieniutką teczkę. Na okładce widniał napis „Bolesław Piasecki". Wewnątrz nie było ani jednej stroniczki. Woźny dowiódł swojego mistrzostwa. Mistrzostwa dowiedli też wykradający dokumenty. Albowiem nie był to pierwszy przypadek. O wiele bardziej istotny plik dokumentów o próbach zawarcia paktu Stalin–Mussolini z roku 1940 wyparował całkowicie po drugiej wojnie światowej z archiwum

Farnesiny. Ale zniknął – z punktu widzenia obrońców honoru komunistycznej Moskwy i faszystowskiego Rzymu – za późno. Już po ogłoszeniu w książce o „nieudanym porozumieniu" części tych dokumentów zebranych przez wybitnego archiwistę włoskiego Mario Toscano. Któż dorówna prawdziwym archiwistom, nieraz nawet zwykłym woźnym archiwalnym?

W jednym z centralnych archiwów moskiewskich jedynym, który wie wszystko – i w niesłychanie chamski sposób traktuje czytelników – jest młody woźny, chłopak z jakąś niepełnosprawnością umysłową. Wie tyle, że przetrwa tam, jeśli zechce, jeszcze wiele lat. Nie chcąc mu zepsuć niskopłatnej kariery, nie podaję adresu. Ale kilku cudzoziemców ograniczyło pracę w tym archiwum, nie mogąc wytrzymać stałych pohukiwań Wasi na „ idiotów-profesorów".

Mój przyjaciel, nieżyjący już znakomity polski archiwista Zbigniew Pustuła, przez dziesięciolecia pasjonował się dziejami gospodarczymi przemysłu polskiego. Na widok nowych akt do swojej książki tracił czasami głowę z wrażenia. Przydarzyło mu się to bodaj w Piotrkowie Trybunalskim. Tak ugrzązł gdzieś między foliałami, że nie zauważył, jak pracownicy zamknęli budynek na weekend. Wyszedł na wolność zdaje się dopiero w poniedziałek.

Archiwiści są nieraz jak poszukiwacze skarbów. Szukając srebra, natrafiają na złoto, i odwrotnie. Ja sam w pogoni za zaginionym archiwum feldmarszałka Erwina Rommla nieoczekiwanie na strychu dworku w Normandii zobaczyłem niepublikowany dziennik jednego z sędziów z czasu procesu kapitana Alfreda Dreyfusa. Pokazała mi go wnuczka owegoż sędziego. Niestety, nie kwapiła się do jego publikacji.

Udało mi się natomiast już za czasów Jelcyna i Putina skopiować i spisać dla przyszłych badaczy tysiące stron dokumentów z archiwów Trzeciej Międzynarodówki, znajdujących się w Moskwie. Jest to historia ludzi, którzy najczęściej ze szlachetnych pobudek sądzili, że w Rosji radzieckiej i w ZSRR zaczną budować nowy sprawiedliwy świat bez nędzy, a znaleźli się w morderczych obcęgach stalinizmu. Chciałem między innymi

odtworzyć losy Marii Koszutskiej (Wery Kostrzewy, 1876–1939), kluczowej postaci Komunistycznej Partii Polski. Okazało się to niemożliwe z braku wielu dokumentów. Stalin podobno zabrał jej teczkę personalną do swojego gabinetu. Nienawidził jej za to, że już w latach dwudziestych występowała przeciwko niemu. Nie tracę nadziei, że ktoś jeszcze dotrze do tych akt.

Pseudohistorycy wykluczający Komunistyczną Partię Polski i jej sympatyków z dziejów polskich jako „żydokomunę" mijają się z prawdą, o czym świadczy statystyka archiwalna. Maria Koszutska pochodziła z rodziny szlacheckiej. Zastępca Stalina w komisariacie do spraw narodowościowych, poliglota Stanisław Pestkowski (1882–1937) wywodził się z zamożnej rodziny ziemiańskiej z kaliskiego, Jakub Fürstenberg (Hanecki, 1879–1937) ze spolonizowanej rodziny niemieckiej. Był skarbnikiem i bliskim współpracownikiem Lenina. Można ciągnąć tę wyliczankę. Tych Polaków, polskiego, często żydowskiego czy innego pochodzenia, łączyły wspólne ideały i wiara, że działają dla przyszłej równościowej Polski. Okazało się, że idei europejskiego socjalizmu nie można przeszczepić do zacofanej, chłopskiej, zapóźnionej cywilizacyjnie azjatyckiej Rosji.

Z akt Adolfa Warskiego (1868–1937) można się doczytać, że ten współpracownik Róży Luksemburg, jeden z najstarszych działaczy komunistycznych, dostał w areszcie NKWD pomieszania zmysłów i chciał mówić tylko po niemiecku. Sądził, że znalazł się w rękach gestapo.

Polskich komunistów w Związku Radzieckim połączyły wspólne daty „wielkiej czystki", egzekucji: 1937, 1938, 1939. Ilu było świadomych, że nie są w żadnym ustroju komunistycznym, ale w rękach paranoika – *Dżyngis chana z telefonem* – jak go po cichu nazywał niegdysiejszy autor „Abecadła komunizmu", Nikołaj Bucharin (też, jak wiadomo, zamordowany)?

61. Czy Polacy potrzebują historii?

Czyżby współcześni Polacy nie potrzebowali rzeczywistej przeszłości historycznej, wiedzy o niej? Patrząc, jak zapamiętale politycy, ale i dziennikarze, manipulują historią, skracając ją do ostatniego siedemdziesięciolecia, a czasami do stulecia (poczynając nie od 1939, a od 1920 roku), jak ją fałszują, czasami zadaję sobie pytanie: czy w tym samobójczo rozpędzonym świecie Polakom w ogóle potrzebne jest prawdziwe odtwarzanie historii?

O powstaniach

W roku 1966 jedna z moich studentek wydziału filologii francuskiej doskonaliła swój język, pracując jako „jeune fille au pair" (pomoc do wszystkiego) u starszego nobliwego paryskiego małżeństwa. Pan domu – baron Henri Hélain – był po staroświecku uprzejmy. Zapytał więc młodą Polkę:

– *Jaki jest polski sport narodowy?*

– *Przegrane powstania* – odpowiedziała bez wahania zapytana.

Dzisiaj, pół wieku później, odpowiedź może byłaby inna.

Czy potrzebna jest pamięć o powstaniach narodowych?

Powstania, rewolucje, ruchawki, bunty – stanowią od stuleci oś polskiej historii. Od powstania kościuszkowskiego 1794 roku po wystąpienia robotników Gdańska w roku 1970 i 1980. Ale rola poszczególnych powstań w pamięci narodowej jest zmienna i wymienna. Pamięć odtwórcza, szczegółowa, zbliżona do minionej rzeczywistości nie jest równoznaczna

z pamięcią symboliczną, a tym bardziej z pamięcią manipulacyjną, jaką się nagminnie uprawia.

Historia XIX stulecia w ciągu ostatniego półwiecza odsunęła się niebywale daleko. Dwa lata temu na egzaminie na Wydziale Polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego student na pytanie, kim był Feliks Dzierżyński, wydukał: – *Bohater powstania styczniowego.* Niczego o tym powstaniu nie wiedział.

Wiedza zarówno o polskim, ale i o europejskim wieku XIX szybko zanika. Zapytajcie studentów o Komunę Paryską czy kolonializm Wielkiej Brytanii, aby się o tym przekonać.

Pozytywnie pomyślana księga „Białe plamy, czarne plamy. Sprawy trudne w relacjach polsko-rosyjskich (1918–2008)", wydana przez szacowne grono politologów, historyków i ekonomistów, licząca ponad dziewięćset stron dużego formatu i ważąca prawie trzy kilo, zaczyna całe dzieje od roku 1917 w tekście i od 1918 w tytule na okładce. Pominięte zostały imponderabilia o tradycjach, postawach, kompleksach i ogromnych antagonizmach, jakie zrodziły sto dwadzieścia trzy lata Polaków w niewoli od trzeciego rozbioru w roku 1795 po rok 1918.

Przerzedziły się w sposób zastraszający szeregi historyków XIX wieku. Jest to nie tylko swoiste odreagowanie lat cenzury w PRL, kiedy zajmowanie się historią ojczystą po 1917 roku, a stosunkami polsko-rosyjskimi od prawieków było niezmiernie utrudnione. Na owo szczególne dzisiaj skupienie uwagi na czasach od 1920 czy, częściej, od 1939 roku wpływa w sposób bezpośredni i dominujący rynek polityczny i rynek ekonomiczny, zapotrzebowanie kolejnych ekip na genealogię i legitymizację, dyktat mediów i telewidzów. Minimalny jest wpływ czytelników opracowań naukowych. Nie trzeba przypominać, ilu Polaków w ciągu roku nie bierze do ręki ani jednej książki. Jaki procent tych nielicznych czytelników łaknie w miarę obiektywnego i myślącego odtwórstwa przeszłości, a jaki po prostu potwierdzenia utartych stereotypów: że jesteśmy narodem ofiar i bohaterów, że sąsiedzi nieustannie przeciwko nam spiskują, że świat winien nam szczególny

szacunek i pomoc. Przeciętny Polak ma wmontowaną w głowę historię ze szklanego okienka. Kto ma telewizję, ten narzuca wizje historii. *Cuius televisio, eius historia…*

Bohaterstwu i ofierze powstańców 1863 roku poświęciłem moją rozprawę doktorską. Jako bardzo młody historyk byłem sekretarzem komisji obchodów stulecia powstania styczniowego w 1963 roku. Obchody były rozległe i uroczyste. Powstanie styczniowe jako dzieło „czerwonych" włączono do „tradycji rewolucyjnej Polski Ludowej". Ale manipulując pamięcią narodową, jednocześnie odzyskano z ZSRR wiele pamiątek i obrazów, wydano nagrania płytowe, wsparto monumentalne rzetelne wielotomowe polsko-radzieckie wydawnictwo dokumentów osnute wokół roku 1863. Dano sygnały, że wolno, a nawet należy tę rocznicę obchodzić.

Czy był jakiś szczególny napór społeczeństwa, jak zdarzyło mi się kilka razy słyszeć od młodszych ode mnie o dwa pokolenia historyków? Nie było. Zachowałem akta komisji obchodów stulecia. Kilka, dosłownie kilka rodzin ofiarowało pamiątki z okresu powstania, parę osób w podeszłym wieku – potomków powstańców – ubiegało się z tytułu zasług ojców o rentę. W zimie 1962 roku stwierdziłem, że nikt nie dbał ani o grób pięciu poległych na starych Powązkach w Warszawie tuż za kościołem Św. Karola Boromeusza, ani o kwaterę weteranów powstania styczniowego na Cmentarzu Wojskowym. Odnowieniem tej ostatniej zajmowałem się w imieniu komisji.

Zadzwoniła do mnie wtedy towarzyszka zajmująca wysokie stanowisko w tak zwanym aparacie propagandy KC. Od niej zależało przyznanie funduszy. Asekurancko zapytała: – *Słuchajcie, a ten generał Edmund Taczanowski* [1822–1879], *którego grób jest wysunięty na czoło cmentarza weteranów, to do jakiego stronnictwa należał?*

– *Do czerwonych* – skłamałem bez wahania.

77. Grób powstańczego generała Edmunda Taczanowskiego na powązkowskim Cmentarzu Wojskowym. Fałszywie zapewniając, że był „czerwony", otrzymałem pieniądze na renowację kwatery powstańców 1863.

Groby odnowiono. Naporu społecznego nie było i dlatego, że ledwie dwadzieścia lat dzieliło nas od hekatomby powstania warszawskiego, która przesłoniła długi ciąg dawnych insurekcji. Wielu uczestników powstania i polityków rządu londyńskiego uważało powstanie 1944 roku, jak wiadomo, za wielki błąd polityczny. Ale przecież po roku 1863 reakcje były podobne. Polski syndrom powstańczy od roku 1863 po 1944 zdradza wiele symptomów ciągłości.

Czy w ogóle potrzebujemy przypominać historię XIX wieku?

Ostatni weteran

W latach 1864–1944 powstanie styczniowe miało rangę jednego z głównych punktów odniesienia w polskiej historii. Kult powstania wpajał swoim legionistom Józef Piłsudski. Nie tylko legionistom, ale całemu społeczeństwu. W pieśni powstańczej śpiewano:

Obok Orła znak Pogoni,

Poszli nasi w bój bez broni…

Piłsudski pragnął, aby Pogoń towarzyszyła Orłu, bezskutecznie dążył do Polski federacyjnej. Ale czy unikał straceńczego pójścia w bój bez broni? Słynny polityk włoski Carlo Sforza nazwał go, jak wiadomo, *dyktatorem anachronizmu*.

Młodzież wychowana w Polsce Piłsudskiego, wzrastająca w tradycjach powstańczych poszła, niestety, w roku 1944 w bój bez broni.

W Polsce zniewolonej i wolnej zawsze obchodzono rocznice powstania styczniowego. W latach sześćdziesiątych XIX wieku przede wszystkim w Bibliotece Polskiej w Paryżu i w szkole batiniolskiej, w latach siedemdziesiątych w londyńskiej tawernie „Pod Białym Koniem"; na 25- i 50-lecie główne obchody odbyły się we Lwowie. Nawet podczas niemieckiej okupacji w roku 1942 urządzano potajemne uroczystości w rocznicę Stycznia w Warszawie w związku z pogrzebem ostatniego lokatora Domu Weteranów Powstania Styczniowego na warszawskiej Pradze – Władysława Mamerta Wandalii (1845–1942).

Powstanie styczniowe było nie tylko największą wojną partyzancką XIX wieku w Europie. Ale jak pisał w roku 1864 Julian Łukaszewski, komisarz Rządu Narodowego na zabór pruski: *Powstanie roku zeszłego założyło węgielny kamień do niespożytej budowy narodowej* […] *czas od upadku Rzeczypospolitej aż do chwili obecnej był chwilą porodu dziecka, któremu na imię: Naród Polski.* Słowa te sto pięćdziesiąt lat później można powtórzyć.

Polski powstaniec–polska powstańczość stały się składnikiem europejskiego myślenia politycznego przez lat dwieście. Liczyli się z polską

gotowością do powstań carowie i cesarze, sekretarze generalni KPZR, a nawet dalecy prezydenci USA. Ale w XXI wieku, w epoce broni jądrowej i rewolucji technologicznej, stosunków w Europie nie określają już powstania. Nie zbrojenia, ale gospodarka i postęp cywilizacyjny wyznaczają miejsce Polski w rankingu europejskim, nie stanowi o nim w żadnym stopniu bezustanne uprawianie wiktymologii.

Globalizacja polityczna i gospodarcza nie oznacza jednak odżegnania się od różnorodności i odcięcia się od tradycji narodowej. A tradycja polska nie może być i nie była tradycją jednej partii, jednej wiary, jednej klasy, jednej orientacji ku światu. Nie może tradycja zaczynać się od arbitralnie wyznaczonego jednego roku czy dziesięciolecia, od jednego wydarzenia czy jednej postaci.

W galerii Andrzeja Mleczki można znaleźć rysunek przedstawiający trzech mężczyzn, którzy zastanawiają się: *Jeżeli Platforma wybuduje muzeum drugiej wojny światowej, to my wybudujemy muzeum trzeciej wojny światowej!*. Odtwarzanie historii nie może się sprowadzać do walki na muzea i pomniki poszczególnych wydarzeń. Tradycja oznacza ciągłość, tradycja znaczy też wieloprzyczynowość.

Polskiego roku 1980 i 1989 nie zrozumie się bez lekcji roku 1944. Warszawski rok 1944 miał głębokie korzenie w wychowaniu narodowym, w pamięci narodowej, w 150 latach przeszłości – wybuchł zresztą w owe sto pięćdziesiąt lat po powstaniu kościuszkowskim.

Pamięć czy apoteoza?

Piętnaście lat po powstaniu styczniowym, w roku 1878, poeta Władysław Bełza pisał: *Nie pora dziś jeszcze podnosić zbyt świeże wypadki… Skoro się jednak namiętności ukoją – osobistości umilkną, niejedna może hałaśliwa sława pozazdrościć heroicznej śmierci i bezinteresownej ofierze zapomnianych ludzi.*

Nie ma polskiej historii bez lat 1863–1864. Historia narodowa sięga głęboko jak „korzenie palowe”, liczona w stuleciach, a nie

w dziesięcioleciach. I piszę o tym wszystkim, albowiem ostatnio zetknąłem się z traktowaniem 150-lecia powstania jako prywatnego hobby nielicznych historyków, niemalże zainteresowania archeologicznego. Przypominanie powstania jest konieczne, aby pojąć, że zarówno zwolennicy, jak i przeciwnicy walki zbrojnej mieli swoje racje, że okres powstania zapowiadał „zbratnienie wszystkich religii", skutecznie potem skonfliktowanych po klęsce powstania przez carskie organa policyjne.

W PRL wyciszano przypominanie Michaiła Murawjowa Wieszatiela i okrucieństwa wojsk rosyjskich dławiących powstanie oraz opisy rozpętanego wtedy wielkorosyjskiego szowinizmu. Ale w Trzeciej Rzeczypospolitej obrońca powstania, Rosjanin Aleksander Hercen (1812–1870), podówczas pisarz polityczny sławy europejskiej, nie może „dosłużyć się" swojej ulicy czy placu. A przecież nie był sam. Rosjan biernie i czynnie sympatyzujących z powstaniem było wtedy więcej. O niektórych również słynnych, takich jak polonofil Piotr Ławrow (1823–1900), pułkownik, profesor, teoretyk narodników, w ogóle się u nas nie wspomina.

Powstanie styczniowe powinniśmy zobaczyć jako istotną część walk narodowowyzwoleńczych w Europie – od Włoch po Rumunię i Bułgarię, jako przypomnienie, że klęski i hekatomby narodowe należy nazywać po imieniu, że wyzwolenie narodowe, które udało się będącym w o wiele lepszym położeniu Włochom, Niemcom czy Rumunom, nam nie wyszło, że powstanie styczniowe należałoby wpisać w próby współpracy narodów (jeszcze nie rządów) europejskich, jednoczących się przeciwko despotiom europejskim. Dało asumpt do założenia na wiecu w obronie Polaków we wrześniu 1864 roku w Londynie Międzynarodowego Stowarzyszenia Robotników, tak zwanej Pierwszej Międzynarodówki. Że wreszcie między innymi polscy uczestnicy powstania (generał Józef Hauke-Bosak i inni) założyli w 1867 roku w Szwajcarii międzynarodową Ligę Pokoju i Wolności, która głosiła ideę Stanów Zjednoczonych Europy.

Historia, którą nam aplikują w środkach masowego przekazu przez ostatnie lata, jest lekcją mocno skróconą czasowo. Stąd prawie trzydzieści milionów dorosłych i dorastających Polaków może czasami sądzić, że

dzieje to ostatnie półwiecze, już nawet nie ostatnie stulecie, bo o rewolucji 1905 roku, zwanej nieraz czwartym powstaniem narodowym, w roku 2005 było głucho.

Nie jestem rzecznikiem nadmiaru historii w nauczaniu szkolnym czy uniwersyteckim. Jestem zwolennikiem zwięzłych syntez, które by uświadamiały, że im mniej historia służy legitymizacji polityki, tym lepiej, a tradycję liczy się w stuleciach, a nie w dziesięcioleciach, liczy się w wielości i w różnorodności. Wichury często wywracają drzewa płytko ukorzenione. Obok mojego mieszkania trwa dąb „Mieszko Pierwszy" – ostaniec Puszczy Mazowieckiej. Spory o to, czy ma lat tysiąc, czy tylko sześćset nie zmieniają istoty rzeczy. Ma głębokie korzenie i trwa.

62. Lustracja towarzysza Mandarynki

Klątwa ludom, co swoje mordują proroki.
ADAM MICKIEWICZ, „DO PRZYJACIÓŁ MOSKALI”

Moim studentom zawsze polecałem lekturę klasycznej książki Aleksandra Weissberga-Cybulskiego (1901–1964) „Wielka Czystka”. Ostatnie dziesięć stron tego dzieła zatytułowane „Luka pamięci” były obowiązkowe. Znakomity fizyk, więzień Stalina i Hitlera wyjaśniał z rzadką przenikliwością, jak „wielka czystka” miała służyć wytępieniu milionów ludzi dlatego, że pamiętali, jak było i jak mogłoby być. I pomóc tworzeniu powoli nowego, jednostronnego, jednowymiarowego fikcyjnego obrazu przeszłości. Stalin działał według zasady: kto panuje nad teraźniejszością, panuje nad przeszłością. Weissberg wylicza szesnaście kategorii ludzi, których według Stalina należało wymordować, aby masy nie wiedziały już, jakie były fakty, jaka była prawda historyczna. Polecam lekturę książki tego – jak go przedstawiał Gustaw Herling-Grudziński – *jednego z najmądrzejszych i najszlachetniejszych ludzi, jakich w życiu spotkałem.*

Nie mogłem nie przypomnieć sobie rozważań Weissberga, czytając o „małej”, pozornie błahej, ale pieniężnie kosztownej czystce, jaka zaczyna się znowu srożyć w Polsce po roku 1989. Wykreślanie i wymiana nazw ulic i generalnie nazewnictwa pod hasłem dekomunizacji. A w rzeczywistości wykreślanie wszystkiego, co było związane z lewicą i z socjalizmem, nawet w jego dziewiętnastowiecznym rozumieniu.

Kto wykreśla całe strony polskiej historii? Czy ludzie, którzy to czynią, mają odpowiednią wiedzę historyczną? Czy też, parafrazując poetę,

niewiedzę, gdzie myślnik, gdzie kropka zastępuje im instynktowne ideologiczne podejście.

Zacznijmy od lustratorów zmarłego w 1889 roku Ludwika Waryńskiego. Zmarły w Petersburgu, w Twierdzy Szlisselburskiej, twórca partii „Proletariat" podjął walkę po krwawym stłumieniu powstania 1863–1864 roku, w warunkach „nocy postyczniowej", kiedy w zaborze rosyjskim prawie zamarła wszelka działalność polityczna. Było jasne, że ani „rewolucji socjalnej", ani „narodowej walki" (określenie Waryńskiego) z imperium carów Polacy sami nie wygrają. Dlatego mówił Waryński: *Jesteśmy ziomkami, członkami jednej wielkiej narodowości bardziej nieszczęśliwej niż Polska, narodu proletariuszów.* Dlatego za najważniejsze uważał hasła ogólnoeuropejskie, hasła klas uciskanych, prowadzące też do obalenia caratu.

Rozumiał to osławiony satrapa carski i rusyfikator, generał-gubernator warszawski Josif Hurko, który w czasie procesów i sądów wojskowych przeciwko towarzyszom Waryńskiego, członkom partii „Proletariat", pisał w raporcie dla cara Aleksandra III, że to pierwszy od czasów powstania styczniowego bunt Polaków przeciwko caratowi.

I żądał najsurowszych kar. 28 stycznia 1886 roku na stokach Cytadeli warszawskiej straceni zostali Kunicki, Bardowski, Pietrusiński i Ossowski. Potem Kowalewski. Czy możliwe jest, aby nie znaleźli się oni na czele z Waryńskim w powstającym w Cytadeli warszawskiej Muzeum Historii Polski? Aby „wyratować" Waryńskiego od lustracji, może należy przypomnieć, co mieli do czynienia z Pierwszym i Drugim „Proletariatem" wszyscy prezydenci Drugiej Rzeczypospolitej (Narutowicz, Wojciechowski i Mościcki), w czyjej drukarni składali w Londynie ulotki socjalistyczne. Służę aktami archiwalnymi.

Z gazet dowiaduję się, że „chłop martwemu nie przepuści". Okazuje się, że do usunięcia zaproponowano nazwę ulicy Szymona Diksztajna (1858–1884, pseudonim Jan Młot), „proletariatczyka", socjalisty, przyrodnika, tłumacza Darwina i Spencera. Diksztajn zasłynął jako jeden z najlepszych popularyzatorów pierwszego tomu „Kapitału" Karola Marksa. Pod

pseudonimem Jan Młot streścił go pod tytułem „Kto z czego żyje?". Broszura ta była tłumaczona na wiele języków, ukazała się nawet po japońsku.

W tamtych czasach, jak wykazał jeden z angielskich badaczy, pierwszy tom „Kapitału" Marksa wykupili w znacznych ilościach przemysłowcy i finansiści, szukając w nim wskazówek dla swojej działalności. Dzisiaj „Kapitał" Marksa jest przedmiotem studiów na wielu uczelniach amerykańskich. Za cóż więc karać zmarłego w bardzo młodym wieku Szymona Diksztajna? Za to, że sporo lat później zasadnie i bezzasadnie odwoływał się do Marksa niejaki Lenin? To chyba trochę inna bajka. A że warszawska rodzina Diksztajnów zasługuje na ulicę w Warszawie, to chyba nie ulega kwestii. Starszy brat Szymona, Samuel (1851–1939), znany matematyk, wydawca wielu polskich pism matematycznych, dobrze się zapisał, wspomagając między innymi Bibliotekę Publiczną miasta Warszawy.

Iluż polskich uczonych wierzyło w socjalistyczne ideały lub z nimi po prostu sympatyzowało. Na przykład Maria Skłodowska-Curie? Jej imię nadano Mostowi Północnemu w Warszawie. I nie podlega to chyba dyskusji. Moje pokolenie zna powiedzenie przypisywane premierowi Francji Georges'owi Clemenceau: *Kto w młodości nie był na lewicy, na starość zostanie świnią*.

Notabene, pytanie do decydentów od nazewnictwa: dlaczego Clemenceau, przyjaciel i obrońca wielu Polaków, jawnie przychylny odradzającej sie Polsce na konferencji wersalskiej, odznaczony Orderem Orła Białego, nie został uczczony w Warszawie w odróżnieniu od polityków amerykańskich? Obawiam się, że czasem decydentom orientacje ideologiczna i geograficzna zastępują wiedzę historyczną.

Szkoda czasu na mierzenie się z ideologizowanym szaleństwem nazewniczym. Popadają w nie często ludzie bez rzetelnej wiedzy historycznej. W jednym z miast na Pomorzu trafiłem na debatę o usunięciu nazwy „ulica Hanki Sawickiej". Sawicka (1917–1943), ranna w walce z Niemcami, zmarła w więzieniu na Pawiaku. Ale należała do

komunizującej młodzieży. Nie wiemy, co by czyniła po 1945 roku. Rosyjskie porzekadło głosi: *dla większej jasności wykreślić!*. A więc wykreślają.

Ze skrajności wędrujemy w skrajność. Nowi patroni ulic często są bardzo dyskusyjni. Gdy byłem dzieckiem, słyszałem, jak w 1947 roku politycy z Łowicza pytali mojego ojca, posła z Warszawy, co zrobić z ulicą Edwarda Osóbki-Morawskiego.

– *Już nie jest premierem. Czy przemianować na ulicę Józefa Cyrankiewicza?*

– *Najbezpieczniej nazwać ją ulicą Bieżącego Premiera* – rzucił ironizując warszawiak.

78. Ubiegaliśmy się z Grzegorzem P. Bąbiakiem o odnowienie tablicy zapomnianego dzisiaj bohatera i męczennika na gmachu CKW PPS w Warszawie (2018).

Mieszkam na warszawskim Ursynowie. Wielu moich sąsiadów sądzi, że nazwa dużej arterii Rosoła ma pochodzenie kulinarne. Otóż nie. Donoszę: jest tak nazwana na cześć Jana Rosoła (1845–1914), socjaldemokraty, przyjaciela Feliksa Dzierżyńskiego. Ale stop! Nie dekomunizujmy! Rosół był uczestnikiem powstania styczniowego, po roku 1900 został zesłany na Syberię. A sam Dzierżyński, gdyby zginął, gdy szedł na czele demonstracji w czasie rewolucji 1905 roku, trafiłby do Panteonu bohaterów narodowych. Bez niedomówień: nie jestem zwolennikiem placu „żelaznego Feliksa". Ale zdecydowanie optuję za tym, aby na ulicy Ogrodowej w Warszawie odnawiać płaskorzeźby na frontonie dawnego budynku Centralnego Komitetu Wykonawczego PPS.

Kilka lat temu spytałem siedzących na przymurku pod tym budynkiem, akurat pod zatartą podobizną Stefana Żeromskiego, kilku miejscowych piwoszy:

– *Nie wiedzą panowie, skąd te płaskorzeźby?*

– *A to jacyś czerwoni* – odpowiedzieli.

No cóż? Przyzwoici czerwoni też mają prawo do pamięci.

Sporo lat przebywałem we Francji, gdzie dla upamiętnienia przełomowej dla świata klęski Trzeciej Rzeszy jest stacja metra „Stalingrad" (przy placu o tej samej nazwie). W tym kraju z nielicznymi wyjątkami (Pétain, Laval) mają swoje ulice i czarni, zieloni, i czerwoni – bo taka była historia. To samo jest we Włoszech, gdzie istnieje zjawisko pamięci miejscowej, regionalnej: księża, komuniści, chadecy, socjaliści mogą mieć ulice obok siebie. W tej samej miejscowości – bo tak tu się toczyła historia. Antonio Gramsci, założyciel tutejszej partii komunistycznej, zamęczony w faszystowskim więzieniu, może figurować obok monarchistów.

A u nas: wysiadam na moim warszawskim rogu Rosoła i Mandarynki. I myślę, kiedy jakiś gorliwy neofita zainteresuje się: – *A kim był ten Mandarynka?* Bo nie ukrywam: o pobliskiego (w Wilanowie) nader pobożnego Franciszka Klimczaka już mnie pytano. Tak na wszelki wypadek.

79. Tablica z nazwą ulicy Manadrynki na warszawskim Ursynowie.

63. Świątynia Artemidy (Artemizjon)

Jako historyk prowadziłem zespoły czy wydawnictwa międzynarodowe, między innymi zajmujące się wojną krymską (1853–1856) i dziejami oraz przesłaniami dla ludzkości czasów totalitarnych w Europie. Właśnie w związku z tym ostatnim zakresem moich zainteresowań znany historyk Paweł Machcewicz, dyrektor Muzeum II Wojny Światowej (wówczas w budowie), zaproponował mi udział w międzynarodowym Kolegium Programowym wznoszonego w Gdańsku wielkiego centrum. Uczeni tworzący Kolegium pracowali społecznie przez wiele lat, zjeżdżając do Gdańska z całego świata. Powstało muzeum o znaczeniu światowym. Politycy rządzącej w Polsce partii (PiS) postanowili je zawłaszczyć i przerobić na muzeum propagandowe. Ani jeden z likwidatorów nie ma kwalifikacji zawodowego historyka. Główny decydent po dziś dzień (grudzień 2017) muzeum nie widział. Setki podpisów uczonych z całego świata wspierających muzeum zostało zignorowanych. Należałem do pierwszych „protestantów", co tłumaczy poniższy tekst.

Oświadczenie Jerzego W. Borejszy członka Kolegium Programowego Muzeum Drugiej Wojny Światowej (dokument ogłoszony w czerwcu 2016 roku w języku polskim i angielskim)

Z ideą powołania w Polsce Muzeum Drugiej Wojny Światowej wystąpiłem w formie pisemnej w roku 1985. Proponowałem umieszczenie go w Wolfsschanze – kwaterze głównej Hitlera pod Kętrzynem. Idea ta nie znalazła wtedy zrozumienia w Warszawie.

Dzisiaj uważam, że zarówno Wolfsschanze, jak i Westerplatte powinny funkcjonować jako filie Muzeum Drugiej Wojny Światowej, przedstawiając bardzo istotne wycinki dziejów. Ale samo muzeum, jego wystawa jest zbudowana wokół idei uniwersalnej: pokazania całej drugiej wojny światowej, jej grozy dla ludności cywilnej wielu krajów. Wystawa taka jest jak najbardziej na miejscu w środku Europy, w miejscu, które członek naszego Kolegium Programowego Norman Davies nazwał „sercem Europy". Nasza wystawa pokazuje i wspólnotę losu, i całą gradację cierpień, które w nierównej mierze wojna niosła Wschodowi i Zachodowi Europy. Żadne z muzeów europejskich nie stworzyło tak przekrojowej panoramy.

Pozwalam sobie zabrać głos w potrójnej roli: jako członek Kolegium Programowego Muzeum Drugiej Wojny Światowej, jako świadek historii i jako kolekcjoner dokumentów i książek. Nie zamierzam się wdawać w polemiki merytoryczne o drugiej wojnie światowej, hitleryzmie i faszyzmach. Nie ma bardziej fachowych dyskutantów niż członkowie naszego Kolegium Programowego. A my jesteśmy zgodni.

Problematyką, którą pokazuje muzeum, zacząłem się zajmować 45 lat temu, moje książki i artykuły z tego zakresu ukazały się w ponad dziesięciu językach obcych. Mój wykład o napaści ZSRR na Finlandię przesądził ostatecznie w 1975 roku o usunięciu mnie z Instytutu Historii Uniwersytetu Warszawskiego. Odsyłam do moich książek tych, którzy zechcą kwestionować moje kwalifikacje fachowe, a tym, którzy zechcą poddawać próbie mój polski patriotyzm, mogę tylko wskazać moją książkę o poglądach Hitlera na Polaków, Rosjan i cały świat słowiański. Jej internetowa wersja angielska wchodzi latem w obieg. O ile wiem, jest to jedyna tego rodzaju książka w literaturze światowej.

Jako historyk uważam, że dyrekcja i pracownicy Muzeum wykonali wielką znakomitą pracę, wpisując losy szczególne Polski i Polaków w tło europejskie i światowe.

Jestem jedynym żyjącym świadkiem głośnego masowego mordu Żydów dokonanego we Lwowie na ulicy Kopernika latem 1941 roku przez niemieckich i ukraińskich faszystów zaraz po zajęciu miasta przez wojska Hitlera. Miałem wtedy sześć lat. Ocaliła mnie moja matka. Miałem teraz nagrać dla muzeum wspomnienia. Ale pracownik naukowy, który sprawę ze mną omówił, nie zna dnia

ani godziny swojej tu pracy. Zespół muzeum jest od miesięcy utrzymywany w stanie stresu.

I, wreszcie, trzecia racja. Przez bez mała pół wieku tworzyłem swój zbiór archiwalny i biblioteczny o drugiej wojnie światowej i totalitaryzmach. Jak uważał dyrektor Biblioteki Narodowej Michał Jagiełło – jeden z największych w Polsce. Zbiór jest rozrzucony w kilku miejscach. Rozważałem ofiarowanie go jako oddzielnej kolekcji Muzeum. Są to tysiące dokumentów i książek. Mogę je oddać w ręce ludzi, z którymi połączyło mnie kilka dobrych lat doradzania: Profesorom Machcewiczowi, Majewskiemu, Marszalcowi, Wnukowi, ale nie anonimowym recenzentom wystawy, którzy podobno istnieją, ale których w Muzeum nigdy nie widzieliśmy.

Zwracam się więc z apelem: jest ostatni, najwyższy czas, aby zostawić w spokoju zespół, który jest w przededniu otwarcia jednego z najlepszych, moim zdaniem, muzeów polskich. Poparcie dla muzeum zadeklarowało ostatnio dwustu historyków. Kto więc jest przeciwny?

Nie przeciwstawiałbym, jak to czynią niektórzy, idei Muzeum Drugiej Wojny idei Muzeum Historii Polski. Ideę tego drugiego też popierałem jako kluczową. W Polsce jest dosyć miejsca na różne muzea, na prawdę historyczną, ale nie powinno być miejsca dla Herostratosów.

Świątyni Artemidy w Efezie nigdy już nie odbudowano.

64. Amputacja

Stoję na cmentarzu w Hajnówce nad grobem mojego przyjaciela prawosławnego Polaka, doktora nauk filologicznych Janka Pietruczuka (1935–2006). Przypominam sobie sceny z naszych licznych spotkań. Nieraz pomieszkiwałem z żoną i małymi synami u Pietruczuków. Janek nauczał języka polskiego w liceum białoruskim. Czuli się Polakami, ale w Warszawie czy w Zakopanem zaśpiew, z jakim mówili, wyznanie czy imię Pietruczukowej: Zenaida (Zina), budziły nieufność, komentarze, że są Białorusinami, nie Polakami. I w końcu postawa sąsiadów wpłynęła chyba na ich samookreślenie. Ci sąsiedzi katolicy potrafili nawet, co sam widziałem w roku pierwszej „Solidarności" 1980–1981, zaznaczać krzyżykami drzwi nie-katolików, czytaj: potencjalnych wrogów „polskości". Byłem świadkiem rozmowy Janka z prawosławnym oficerem miejscowego garnizonu, który mówił, że może zajść konieczność zorganizowania obrony cywilnej przeciwko ekstremistom z „Solidarności".

Po jednym z moich wykładów dla hajnowieckich pedagogów podeszło do mnie dwóch nauczycieli starszych ode mnie:

– *Chcemy panu jako historykowi powiedzieć parę słów prawdy o Pawle Jasienicy. Jako dzieci widzieliśmy, jak strzelał do mieszkańców naszej wsi Narewki. Teraz, kiedy Gomułka zaatakował Jasienicę, nie zamierzamy o tym mówić. Jest Jasienica świetnym pisarzem. Ale nie zmienia to faktu, że tu w bandzie Łupaszki mordował ludność cywilną.*

Były to lata siedemdziesiąte XX wieku. *Relata refero*. Powtarzam tak, jak wtedy zapisałem. Wmurowanie ostatnio w Hajnówce tablicy ku czci oddziału Łupaszki – Zygmunta Szendzielarza – w miejscowym kościele katolickim tylko zaostrzyło antagonizmy na polskich kresach.

Tadeusz Kotarbiński po roku 1968 podkreślał, iż niesłychanym zubożeniem Polski staje się przekształcenie jej w państwo monoetniczne i monowyznaniowe. W Polsce XVII wieku był czas, kiedy większość ludności wiązała się z prawosławiem, nie z katolicyzmem. Rzeczpospolita stanowiła państwo wielu narodów. Czy i jaką posiadała siłę asymilacyjną pozostaje sprawą otwartą. Nie tutaj miejsce na dywagacje naukowe. Ale różnorodność, wielokulturowość, wielowyznaniowość były przymiotami dawnej Rzeczypospolitej.

Polska odrodzona w 1918 roku z trzydziestoma procentami mniejszości stała się państwem ucisku narodowościowego. Polska Ludowa została wolą Stalina, nie bez udziału zachodnich aliantów, przemodelowana w państwo monoetniczne. Uzasadniona polską gehenną lat 1939–1945 antyniemieckość rzutowała po wojnie na stosunek do Mazurów, do Warmiaków, do Kaszubów, do Ślązaków, do nie władających czystą polszczyzną, do „lutrów-ewangelików".

Znałem dobrze dwóch autochtonów spod Pisza, Gerarda (1930–1987) i Henryka (1934–1980) Skoków. Z licznej rodziny gromadkarzy tylko oni ostali się w Polsce. Uciekali do Niemiec przed Armią Czerwoną, ale połamał się wóz, którym jechali. Uwierzyli w przybyły ze Wschodu ustrój. Gerard został najmłodszym posłem na Sejm Polski Ludowej. Porzucili Kościół Ewangelicki, ale kościół zwany socjalizmem okazał się tyranią w imię utopii, którą starano się realizować siłą.

Wciągnąłem Henryka Skoka do pracy w archiwum w Moskwie nad dziejami polskich zesłańców na Syberii. Odmawiano nam dostępu do wielu akt. Był rok 1957, 1958. Ja ogłosiłem jeden artykuł i zrezygnowałem z tematu. Henryk zaciął się i w latach siedemdziesiątych wydał książkę o „Polakach nad Bajkałem". Ale w tychże latach siedemdziesiątych zaczął się masowy exodus Mazurów do Republiki Federalnej Niemiec, która płaciła od „każdej sztuki" za zezwolenie na emigrację – Mazury pustoszały. Skokowie tracili wszelką wiarę, do końca rozpierzchło się ich środowisko. Obaj popadli w ciężki alkoholizm.

Polska nie umiała ich asymilować. Dokonała się swoista amputacja, pozbycie się i wyrzeczenie całych dużych grup ludnościowych, ich dorobku kulturowego.

Najbardziej jaskrawym przykładem stała się fala pogromów antyżydowskich po roku 1945. Potem przyszły kolejne fale emigracji ludzi pochodzenia żydowskiego często głęboko wrośniętych w Polskę: po roku 1945, po roku 1956 i w pamiętnym roku 1968, roku nienawiści rozpętanej za poduszczeniem władz partyjnych. Kolejne fale wymuszonej emigracji Żydów polskich zakończyły proces amputacji. Według statystyk zachodnich w Polsce z trzech i pół miliona Żydów przed rokiem 1939 pozostało w roku 2015 tysiąc trzystu.

Ukraińcy, Łemkowie, Białorusini zostali zepchnięci na dalekie marginesy życia polskiego społeczeństwa. A stali się w Polsce po 1945 roku najliczniejszą mniejszością. Kilkaset tysięcy ludzi z, niestety, wąziutką warstewką inteligencji. Polska jest krajem, w którym mniejszości odgrywają dzisiaj co najwyżej trzeciorzędną rolę.

65. Pozy polskie

Rok 2016. W Toruniu, mieście o niemałych tradycjach tolerancji, mieście Mikołaja Kopernika, o którym nawet nie wiemy na pewno, czy znał język polski, pobito paru cudzoziemskich studentów. Podobno z Afryki. W pobliskiej Bydgoszczy ucierpieli studenci z Turcji. W Warszawie nie brak ataków słownych i czynnych na obcych, na innych. Ukrywana dotychczas polska ksenofobia rozgościła się w pełnym blasku reflektorów na polskich stadionach. Jak powiedział mi zamieszkały od ćwierć wieku w Polsce inżynier z Kolumbii: – *Mój nieco ciemniejszy kolor skóry zaczyna mi tu sprawiać kłopoty.*

Rasizm to jeszcze nie faszyzm. Epitetów faszyści czy faszyzm nie nadużywałbym. Ale kołacze mi się po głowie przedśmiertna przepowiednia Tony Judta (1948–2010), że: *Faszyzm miałby dziś szanse powodzenia w kraju, który zostałby złapany w pułapkę, jaką jest połączenie społeczeństwa masowego i słabych, pokawałkowanych instytucji politycznych.*

Czy znaleźliśmy się na drodze do jednokolorowego narodu polskiego? To już więcej niż naród jednowyznaniowy. A jednak w Polsce katolicy z Syrii niezależnie od jasnego często koloru skóry też są niemile widziani. Polskie władze uchylają się przed przyjęciem u nas choćby kilku tysięcy uchodźców politycznych. A wieści o stosunku naszego społeczeństwa do cudzoziemców w biedzie zdążyły się już rozejść wśród wielu zainteresowanych. Nie zachęcają do szukania Polski jako ziemi obiecanej.

Postawa szlachetnego narodu walczącego „za waszą i naszą wolność", powtarzającego kiedyś za Francuzami „wolność, równość, braterstwo" staje się – czy stała się już – podręcznikowym stereotypem, polską pozą, która nie znajduje odzwierciedlenia w rzeczywistości.

Historyk może się tylko zadumać nad tym, ile razy Francuzi, Belgowie czy Anglicy udzielali schronienia polskiemu wychodźstwu politycznemu czy zarobkowemu. Uczestnikom powstania listopadowego rząd Francji płacił jeszcze jakieś zasiłki, kiedy dożywali swoich dni pół wieku po 1830 roku.

Powstańcy dziewiętnastowieczni utrwalili w Europie Zachodniej mit Polaka-męczennika, ginącego pod szablami i kulami okupantów i zsyłanego na Sybir. Określenie „la Pologne martyre" stało się idiomem w języku francuskim jeszcze w XIX wieku. Straty ludzkie i materialne, jakie Polska poniosła w drugiej wojnie światowej, były ogromne. I w pełni uzasadniały obraz męczeńskiego narodu polskiego. Ale ponad siedemdziesiąt lat po zakończeniu wojny częste motywowanie postulatów czy roszczeń polskich li tylko przeszłością historyczną niezbyt przystaje do świata XXI wieku.

Polscy politycy nadużywają argumentów historycznych do codziennej walki politycznej w kraju. I tych kryteriów wyolbrzymiających znaczenie polskiej historii starają się używać w stosunkach międzynarodowych. Odblaskiem tych póz są teorie o niezwykłej roli czy misji Polski w Międzymorzu, w Europie Środkowej, o idei prometejskiej.

W świecie robotów i rakiet międzyplanetarnych apologia „szarej piechoty", słabo uzbrojonych i niewyszkolonych ochotniczych formacji wojskowych jest oczywistym anachronizmem. Po zajęciu Polski w 1939 roku Heinrich Himmler zalecił podwładnym zapoznanie się z metodami walki partyzanckiej Polaków na podstawie niemieckojęzycznej relacji świadka o powstaniu 1863 roku. Stalin, Chruszczow, Breżniew, Andropow liczyli się z tym, że Polacy łatwo chwytają za broń, dużo łatwiej ich zdaniem niż za pług czy młot. To minęło. Dziś w świecie sputników i dronów żaden przetrzebiony wycinką las nie ukryje polskiej partyzantki walczącej z domniemanym rosyjskim najeźdźcą.

Pozostał kult i pozy. Sam szerzyłem od wielu dziesięcioleci kult patriotów i bohaterów. Mój duży esej o polskim dziewiętnastowiecznym rewolucjoniście był powielany nie tylko w polskich wydaniach

podręcznikowych. Znalazł się i na okładce czołowego włoskiego czasopisma historycznego. Byłem sekretarzem komisji obchodów stulecia powstania styczniowego (1962–1963) i przewodniczącym podobnej komisji pięćdziesiąt lat później. Ale przedtem jako dziecko przeżyłem grozę czasów powstania warszawskiego 1944 roku. Oddajmy należne bohaterom przeszłości, ale wychowywanie młodzieży w kulcie powstańczości (jak śpiewano – *poszli nasi w bój bez broni*) jako oręża narodowego na dzisiaj uważam za ogromne nadużycie. W Szwecji propagowanie militarnych zabawek i gier dla młodzieży jest karalne. W Polsce dzisiejszej popierane odgórnie. Ma podtrzymywać pozę Polaka – wiecznego żołnierza. Jedną z licznych póz narodu, który od realiów świata dzisiejszego ucieka w przeszłość.

66. Dedykacje żywe i martwe

Składanie ksiąg u stóp władców, poświęcanie im dzieł swego życia, dedykowanie książek bądź tylko znaczenie ich swoim autografem jest pradawnym zwyczajem. Dzisiaj często miewa barwy staroświeckie, zanika wraz z rozwojem komputerowych technik powielania książek. Gdzież podziały się wylewne hołdy Marcina Kromera poświęcającego w wieku XVI swoją łacińską kronikę Stefanowi Batoremu?

Z kilku słów, z jednego zdania dedykacji postronny czytelnik książki niewiele się dowie. Na ogół dedykacje są formą grzecznościową, rodzajem autorskiej autoreklamy lub dowodem czy to hołdu, czy też polowania na autografy osób znanych. Na kiermaszach książki podpisywanie jest zjawiskiem taśmowym. Niekiedy pozwala mierzyć popularność niektórych autorów czy tematów. Często chwilową.

Dedykacje mogą nabrać znaczenia dzięki komentarzom ich autorów bądź odbiorców tych słów. W moim zbiorze stoi na półce książka ambasadora polskiego w ZSRR w latach 1941–1942, profesora Stanisława Kota „Listy z Rosji do generała Sikorskiego" (Londyn 1955). Jest podpisana *Panu Bernardowi Singerowi wspomnienia z wspólnych przeżyć.* Singer (ps. Regnis), znany dziennikarz polsko-żydowski, ceniony sprawozdawca z sejmu Drugiej Rzeczypospolitej, był w Kujbyszewie pracownikiem Biura Prasowego Ambasady. Kiedy Kot ze współpracownikami opuszczał ZSRR w lipcu 1942 roku, Singerowi nie wydano zawizowanego paszportu. Ambasador Kot oświadczył wówczas: *jeżeli nie dadzą zgody na tę wizę, nie wyjadę jutro z Kujbyszewa. O trzeciej nad ranem dostarczono i ten paszport.* Tym samym Kot ocalił Singera od losu jemu podobnych: Wiktora Altera i Wiktora Ehrlicha, działaczy Bundu i Drugiej Międzynarodówki Socjalistycznej, których rozstrzelano na rozkaz Stalina, nie bacząc na

protesty wielu światowych znakomitości, z Albertem Einsteinem na czele. Rozstrzelano za to, że byli ludźmi demokratycznego socjalizmu, a nie paranoicznego systemu Stalina. Za jednym zdaniem profesorsko suchej dedykacji Stanisława Kota kryją się dramatyczne przeżycia całej grupy ludzi. Opowiadał mi o tym syn Bernarda Singera – też znany dziennikarz (brytyjski) – Daniel.

W nielicznych książkach pozostałych po moim ojcu znajduje się wydany w 1946 roku w Moskwie duży tom w języku rosyjskim – wybór poezji Adama Mickiewicza. Na stronie tytułowej krótka dedykacja po rosyjsku: *Krnąbrnemu przyjacielowi, aby na długo zachował mnie w dobrej pamięci. Jakowlew 2.7.47.* Władimir Grigoriewicz Jakowlew był pierwszy po ambasadorze Wiktorze Lebiediewie w nomenklaturze radzieckiej ambasady w Polsce. Po powrocie do Moskwy odgrywał do 1957 roku istotną rolę jako wiceszef Wszechzwiązkowego Towarzystwa Związków Kulturalnych (WOKS) z Zagranicą. W Polsce do obowiązków Jakowlewa należało między innymi nadzorowanie polskiej kultury. Stale domagał się w tych pierwszych latach Polski Ludowej, aby przysyłano więcej radzieckich artystów i nie lekceważono polskiego świata kultury. Starał się wpływać na mego ojca, co nie było łatwe. Inni radzieccy wysłannicy składali na ojca donosy, że jest prozachodni. Jakowlew starał się zrozumieć polską specyfikę. Pamiętam go ze wspólnej podróży do Krakowa służbowym autem ojca, ze zwiedzaniem po drodze Jasnej Góry. W Krakowie byliśmy z pracownikami „Czytelnika" na wspólnej kolacji u „Wierzynka". Zdumiony wykwintnym jedzeniem zapamiętałem jedynie to, jak Czesław Kulesza uczył mnie jedzenia bulionu z jajkiem. I nic więcej. Miałem tylko jedenaście lat.

Postać Jakowlewa, niewątpliwie istotna, pojawiła się ostatnio w książce Patryka Babirackiego, polsko-amerykańskiego historyka „Soviet Soft-Power in Poland. Culture and the Making of Stalin's New Empire 1943–1957". Ciekawe, że nie ma o nim ani słowa w głośnej książce Marci Shore „Kawior i popiół". Po „szarych eminencjach" pozostaje czasem za mało

śladów. Jak widać, nawet najkrótsze dedykacje mogą być ważnym sygnałem, nieomalże źródłem historycznym.

Czasem dedykacje zawierają elementy „odpowiedzialności zbiorowej". W Nowy Rok 1975 spotkałem Edmunda Jana Osmańczyka. Dowiedziawszy się o narodzinach mojego syna Aleksandra Jerzego, obdarował mnie książką „Był rok 1945..." i dedykował ją z rozmachem wszystkim Jerzym i Aleksandrowi Jerzemu, kończąc słowami: *Z wielką sympatią dla całego rodu najserdeczniej*. Za tą dedykacją kryła się przyjazna lojalność Osmańczyka wobec mojego ojca. Pamiętał jego zrozumienie dla spraw Ślązaków i pomoc okazywaną AK-owcom. Pamiętał aż po rok swojej śmierci – 1989. Przypominał to często słowem i piórem.

Inny charakter nosiła wyraźnie pochlebcza dedykacja generała Józefa Kuropieski na tomie jego wspomnień. Otóż wtargnąwszy rano do mojego gabinetu w Paryżu 4 października 1994 roku, wręczył mi świeży tom swoich memuarów i od ręki napisał: *Synowi mego znakomitego Przyjaciela (świetnego publicysty – doskonałego organizatora – wielce rozważnego Polityka), Panu Profesorowi Jerzemu Borejszy – wybitnemu Historykowi z najserdeczniejszymi życzeniami jak największych osiągnięć w Jego niepowszednio cenionej pracy naukowej.*

Generał, jak widać, nie skąpił mi dużych słów ani dużych liter. Natchnienie dziewięćdziesięcioletniego wojskowego wzmagało uznanie, jakie okazywał francuskim winiarzom. Niewiele o mnie wiedział, ale pióro miał dobre. Cel dedykacji był jednak prozaiczny. Generał pragnął jak najszybciej moim autem uciec od delegacji wojskowych, która pod przewodem arcybiskupa chodziła podobno z nabożeństwa na nabożeństwo. Kuropieska znalazł świetny pretekst. Po południu jechałem służbowo do Redaktora Giedroycia pod Paryż. Pragnął się dołączyć. Oczywiście, przystałem na to z przyjemnością. A co do reszty? Rzeczywiście, z ojcem znali się i lubili. Byłem świadkiem ich spotkania na trasie do Olsztyna, kiedy jechałem z ojcem za kolarzami Tour de Pologne, opłacanym wtedy przez „Czytelnika". Ale o przyjaźni niczego nie wiem.

Do najstarszych dedykowanych mi książek należy „Serce" Edmunda De Amicisa. 23 kwietnia 1944 roku otrzymałem ją od matki z dedykacją *Jureczkowi w dniu Imienin Wunia.* I tylko tyle. A i tu komentarz obdarowanego może coś wnieść do wiedzy młodszych czytelników. Książka przy rewizji nie mogła budzić żadnych podejrzeń. Autor był Włochem. Włosi jeszcze cieszyli się (formalnie minioną już wtedy) opinią sojuszników Trzeciej Rzeszy. Co dalej? Rodzice nie obchodzili moich imienin. Ale na czas okupacji należało podkreślić naszą rzekomą katolickość, odwołując się do rzekomego patrona…

Do książek, które budzą we mnie najmocniejsze emocje, należy naukowa monografia „Polacy w Piotrogrodzie 1914–1917" – owoc wieloletniego ślęczenia w bibliotekach i archiwach autorki Ireny Spustek. W tej drodze do książki, która stała się jej pracą doktorską, towarzyszyłem kilka lat. Autorka była moją pierwszą miłością. Miała najdłuższe i chyba najpiękniejsze blond włosy w Warszawie. Była równie nieporadna w życiu codziennym, co uczciwa. Rozstaliśmy się w 1963 roku. Trzy lata później redagowałem jej książkę. Swoim „maczkowym" nieczytelnym pismem napisała *Jurkowi z gorącą prośbą o przyjęcie*. Osoba postronna niczego z tych słów się nie dowie. Dla mnie to przypomnienie burzliwych lat młodości. I tego, że dochowaliśmy sobie przyjaźni aż po jej ostatni rok 2013.

O przyjacielu lat dziecinnych z Łodzi roku 1945–1946 Jarosławie Marku Rymkiewiczu przypomina dedykacja na jego wyborze wierszy o trzydzieści lat późniejszym: *Drogi mój Jurku, przyjmij tę książkę, a czytając pomyśl o tych dwóch chłopcach idących Piotrkowską i Przejazdem / i o nich jeszcze kiedyś napiszę Ci wiersz / Twój Jarosław Marek.* Dodajmy, Jarek Łodzi nie lubił. O tym mówią inne jego listy do mnie.

Świetny pisarz historyczny Jerzy Łojek obdarzał mnie licznymi swoimi publikacjami. Dręczony od czasów szkolnych przez cukrzycę, zmagał się z nią po cichu długo i bohatersko. To wpływało na jego styl pracy. Nie mógł sobie pozwolić na dłuższy wyjazd na Ukrainę, aby badać archiwa Szczęsnego Potockiego, o którym pisał. Niedoskonałości warsztatu nadrabiał talentem literackim i śmiałymi tezami badawczymi. Niekiedy

zbyt śmiałymi. Bolał nad zmarnowanymi, jego zdaniem, szansami powstania listopadowego, bezlitośnie potępiał słabego króla Stanisława Augusta Poniatowskiego. Nie dziwota, że koryfeusze badań XVIII i XIX wieku nieraz odsądzali Jerzego od czci i wiary. Trzeba o tym wiedzieć, czytając na książce „Rok nadziei i rok klęski" jego dedykację dla mnie: *Drogiemu Jerzemu Borejszy, jedynej przyjaznej duszy w oschłym i bezdusznym świecie historyków – 25 lutego 1965.* Kiedy byłem przez prawie cały 1963 rok na stypendium w Paryżu, napisał do mnie prawie sześćdziesiąt stron listów, z których wyzierało jego osamotnienie i ironiczny stosunek do biurokracji Polskiej Akademii Nauk, która obu nam dawała się we znaki. Ostatnia dedykacja Jerzego, jaką odnalazłem, pochodzi z lipca 1980 roku, na drugim wydaniu „Szans powstania listopadowego". Pełen „solidarnościowej" euforii liczył się z możliwością następnego krwawego polskiego powstania. Mitygowałem Łojka, że przelewu krwi nam nie potrzeba. Ale pewne różnice ocen politycznych nie ochładzały naszej przyjaźni, aż po jego przedwczesną śmierć w 1986 roku w wieku pięćdziesięciu czterech lat. Dedykacje czasem sygnalizują związki, których nie podejrzewamy.

Do moich, genetycznych zapewne, zalet, napiszę nieskromnie, należy umiejętność wynajdywania pomysłów wydawniczych. Nie każdy autor chętnie się przyznaje do tego, że nie sam wymyślił książkę czy jej tytuł. Niezbyt liczni, tacy jak senior nauki historycznej Henryk Wereszycki, potrafili dać temu wyraz w dedykacji. Na swojej książce „Pod berłem Habsburgów. Zagadnienia narodowościowe" napisał w kwietniu 1975 roku: *Panu Jerzemu Borejszy, z którego inicjatywy ta książka powstała. Ale habent sua fata libelli. Te fata świadczą, jak słuszna jest dewiza „no surrender".*

„No surrender" – nie poddawać się – było życiową dewizą Henryka Wereszyckiego. Tutaj dotyczyło walk, jakie stoczyliśmy w wydawnictwie (był to PWN po czystkach roku 1968), które zerwało umowę zawartą z Profesorem. Druku podjęło się ostatecznie Wydawnictwo Literackie.

Oprócz tej dedykacji zachowały się i inne, a także około setki listów od Profesora i innych świadectw przyjaznej bliskości. Ale czasami dedykacja jest niemal jedynym sygnałem wieloletnich związków. Po ćwierćwieczu

spotkań i dyskusji z najbardziej znanym historykiem włoskiego faszyzmu Renzo De Felice uchowały mi się bodaj dwie jego dedykacje i dwa krótkie listy. Podobnie ubogo wyglądają pozostałości po mojej wieloletniej przyjaźni z głośnym historykiem rosyjskiego średniowiecza Aronem Gurewiczem. A spotykaliśmy się w Moskwie, w Warszawie i w Paryżu. Moskiewskie mieszkanie Arona było miejscem bardzo antypaństwowych dyskusji.

Więcej wyjaśniają lapidarne dedykacje jednego z najbardziej znanych patronów rosyjskiej pierestrojki i przeciwnika Władimira Putina, Jurija Afanasjewa (1934–2015). Ostatnia pochodzi z 2009 roku i głosi (na książce „Rosyjski system jest skazany"): *Jurkowi! Z ogromnym szacunkiem i pamięcią o przyjaźni, która trwa już 55 lat.* Ów szacunek, jak przypuszczam nie będąc złośliwym, może być związany i z tym, że na studiach pomagałem mu kiedyś w tłumaczeniu z francuskiego. Ale prawdą jest, że kiedy telewizja moskiewska poprosiła go, aby wskazał jej jakiegoś cudzoziemskiego przyjaciela, padło na mnie. W ostatnim dwudziestoleciu odwiedzałem go wielokrotnie w uczelni, którą założył, w Moskiewskim Państwowym Uniwersytecie Humanistycznym, najlepszej uczelni tego typu w Rosji, z filiami w całym kraju.

Czasem trafiają się kuriozalne książki z dziwnymi słowami darczyńcy. W 50-lecie wybuchu drugiej wojny światowej pojechałem na wielką uroczystość zorganizowaną we Frankfurcie nad Menem. Tam poznałem Arno Lustigera, człowieka lewicy i działacza miejscowej gminy żydowskiej. Okazało się, że jest on bratem stryjecznym kardynała Jeana-Marie Lustigera, arcybiskupa Paryża. Jak niebawem ustaliliśmy, matka kardynała, wierząca Żydówka, wypiekała świąteczną macę razem ze swoją sąsiadką, matką mojego przyjaciela Georges'a Brama… Kiedy zaś okazało się, że znam wielu uczestników wojny domowej, broniących republiki hiszpańskiej w latach 1936–1939, Arno Lustiger zadedykował mi pięknie, po hiszpańsku, swoją niemiecką książkę „Shalom Libertad! Juden im Spanischen Bürgerkrieg". Kilka lat temu ukazał się jej polski przekład.

Na dokonanym przez Jana Kotta w 1946 roku przekładzie książki Louisa Aragona „Niewola i wielkość Francji" znalazły się zaledwie cztery słowa: *Jerzemu Borejszy najserdeczniej Janek.* Nie było to podlizywanie się młodego krytyka wszechmocnemu prezesowi „Czytelnika". Stosunki były naprawdę serdeczne, co Kott udowodnił kilkadziesiąt lat po śmierci ojca wstrząsającym szkicem wspomnieniowym. Oto jego fragment:

[...] *Gdyby żył w Ameryce, założyłby najpewniej największy koncern prasowy. Ksawery Pruszyński ogłosił, zdaje się, właśnie w tych wczesnych latach swoją książkę o margrabim Wielopolskim. Ale w peerelu nie było miejsca ani na Wielopolskiego, ani na Księcia Konstantego. Wkrótce nie było nawet miejsca dla Borejszy* [...]

Na rok lub dwa przed śmiercią Borejszy odbyło się z wielką pompą przy udziale dostojników rządu, Partii i zaproszonych pisarzy uroczyste otwarcie Domu Słowa Polskiego (pomysłu Borejszy). Major Borejsza już nie był od miesięcy Prezesem i nie został zaproszony. Tłumaczono potem, że nie pozwolił na to stan jego zdrowia po wylewie. Ciągle tłuką mi się po głowie wielkie i nieubłagane typowości ukazywane przez Lukacsa w powieściach balzakowskich, w których nic nie jest zostawione przypadkowi. W tej powieści balzakowskiej katastrofa samochodowa Borejszy nie była tylko przypadkiem.

Kiedy Mikołajczyk po sfałszowanych wyborach i rozgromieniu Stronnictwa Ludowego przedostał się za granicę, Borejsza napisał głośny wtedy pamflet „Primadonna jednego sezonu". Ilu sezonów Borejsza był primadonną? Czterech, pięciu, sześciu? A jednak po blisko czterdziestu latach myślę o Borejszy z niewygasłym do końca podziwem. Nawet z pewną czułością. Był wielkim wizjonerem na miarę tych pierwszych lat po wojnie, kiedy nadzieje, wszystkie nadzieje, nie zostały jeszcze stracone. W jego księstwie – „Czytelniku" – było miejsce dla Ważyka i dla Gałczyńskiego, dla Kruczkowskiego i dla Żukrowskiego. Obroża zaciskała się powoli, ale nieubłaganie i po czterdziestu latach okazało się, że w Domu Literatów jest miejsce tylko dla Żukrowskiego i Auderskiej. Borejsza sprowadziłby może i pół emigracji londyńskiej i nawet może prochy Stanisława Augusta na Wawel, gdyby nie ta katastrofa samochodowa.

Podobnie można by wykreślić paralele dedykacji i wspomnień oraz listów wielu znakomitych poetów. Za dedykacjami kryła się przyjaźń. Wystarczy zajrzeć do papierów i książek Pabla Nerudy, Konstantego Gałczyńskiego, Adama Ważyka czy Juliana Tuwima. Ale o wielu ludziach pióra brak niekiedy podstawowych przekazów. Dotyczy to miedzy innymi zmarłego tragicznie w sierpniu roku 1944 kapitana Lucjana Szenwalda.

O kobiecie, która była muzą, faktyczną żoną i towarzyszką genialnego poety Lucjana Szenwalda aż do wybuchu wojny na próżno by szukać rozbudowanych informacji. Pielęgniarka Róża, skłonna do największych poświęceń dla Szenwalda, podczas wojny ochotnik – porucznik w Ludowym Wojsku Polskim, porzucona przez poetę wyemigrowała do Australii. Tam wyszła za mąż i zmarła jako Rosa Hamermesh. Znałem ją od dziecka pod jej przezwiskiem „Chinka". Mieszkała z nami w Łodzi i trochę się zajmowała wychowywaniem mnie. Opuszczając Polskę, podarowała 1 grudnia 1946 roku mojej matce świeżo ogłoszony pośmiertnie tom „Utworów poetyckich" Lucjana Szenwalda z podpisem: *Kochanej Ewie dedykuję najdroższą mi książkę. Chinka.*

Dedykacje niewsparte dokumentacją, wyjaśnieniami są często martwe. Ilja Erenburg na przykład składał ojcu od niechcenia autografy na swoich książkach. Pisał niedbale. Na jednej z książek był tylko podpis i kleks. Znali się dobrze, ale łączyły ich gry polityczne, a nie przyjaźń. Stary wyga stalinowskich czasów nie takie wzloty i upadki jak mego ojca już oglądał.

O rozlicznych dedykacjach dla mojego ojca piszą jego biografowie. Nie będę się więc nad tym rozwodził. Niektóre podobizny dedykacji polityków i pisarzy od Józefa Cyrankiewicza, Maurice'a Thoreza aż po Paula Eluarda umieścił w swojej książce „Międzynarodowy komunista" Eryk Krasucki.

O dedykacjach można nieskończenie. Poczciwy stary historyk, mój znajomy od niepamiętnych czasów Michaił Nikołajewicz Maszkin, podarował mi w 2008 roku wielokrotnie wznawianą książkę swojego ojca, klasyka historiografii radzieckiej, „Historia starożytnego Rzymu" w swojej nowej redakcji. Książka, cenna w niektórych fragmentach faktograficznie, zawierała wiele przeinaczeń i fałszerstw i należała pono do ulubionych

lektur Stalina. Ojciec Miszy, Nikołaj Aleksandrowicz, już pośmiertnie laureat Nagrody Stalinowskiej, tworzący w stałym napięciu, zmarł w wieku lat pięćdziesięciu. Ostrożny i bojaźliwy „poczciwy Misza" – jak z pobłażaniem dla jego osiągnięć naukowych mawiał Aron Gurewicz – żył lat bez mała dziewięćdziesiąt, bardzo rzadko dawał się wyprowadzić z równowagi. Był dla mnie symbolem starego kupieckiego mieszczaństwa rosyjskiego. Na książce ojca jego cień Misza napisał mi, żebym we wdzięcznej pamięci zac*hował redaktora książki i Rosję.*

Na dedykację Miszy nałożyła się w tym samym roku 2008 książka Wiktorii i René Śliwowskich „Rosja nasza miłość" ze słowami na karcie tytułowej: *na pohybel rusofobom i im podobnym.*

Wszystkie na ogół dedykacje mają jedną cechę wspólną: są przeniknięte emocjami pozytywnymi, dobrymi życzeniami. Nawet wtedy, kiedy są tylko aktem formalnym.

67. Dziadkowie znani i nieznani

Nie bez trudu przypominam sobie ojca mojej matki – mojego dziadka Abrama Kantora. Ojcowskich rodziców znać nie mogłem: Chana (Anna) Różańska zmarła w roku 1927, dziadek Abraham (Avrum) Goldberg w październiku 1933 roku. W dobie pierwszej wojny światowej rodziny moich dziadków były liczne, wielodzietne, rozgałęzione. Podczas drugiej wojny światowej Niemcy wymordowali niemal wszystkich: na Wołyniu, na Grodzieńszczyźnie i w Warszawie.

Rodzice nie rozmawiali przy mnie o nieżyjących krewnych. I niewiele mówili o żyjących. Ledwo, ledwo docierało do mnie, że istnieją dwaj stryjowie mojego ojca: wydawca i tłumacz Lejb Goldberg w Moskwie i poeta Menachem Borejsza w Nowym Jorku. O pierwszym wiedziałem jako uczeń, że pisał do moich rodziców listy, w których krytykował ojca za nieuporządkowane życie rodzinne. Innych szczegółów nie znałem. Menachem Borejsza, jako mój dziadek stryjeczny, przysłał mi przez ojca w 1947 roku teczkę ze świńskiej skóry z wyciśniętym moim monogramem. Miałem dwanaście lat i w biednej Polsce powojennej był to dar niezwykły. Już do końca moich szkolnych lat koledzy nazywali mnie „Mister Teczka". Wiedziałem, że Menachem był ważną postacią w USA. I niewiele więcej. Zmarł w 1949 roku, Lejb zaś prawie od razu po wyjściu ze stalinowskiego więzienia w 1955 roku.

Żydzi i Zagłada nie byli częstym tematem w naszym domu. Pierwsze lata powojenne wiązały się ze specyficzną ucieczką psychiczną, z wybieganiem myślami i czynami w przyszłość. Pomagało to milionom osób w powrocie do normalnego życia. Pomagało, bez wątpienia, tym ludziom pochodzenia żydowskiego, którzy ocaleli. Ci, którzy byli najciężej

doświadczeni, jeśli potrafili, wypierali ze świadomości wspomnienia o wojnie.

Ojciec, pozujący świadomie czy nieświadomie na polskiego szlachciurę (co było zresztą zgodne z jego temperamentem), nie kwapił się ani do rozmów o semitach czy antysemitach, ani zresztą o swoich przeżyciach frontowych. Idealizował sobie i mnie obraz Polski. Ale z jego frontowego dziennika widać na przykład, że był świadom, iż Polacy i Słowacy na terenach zajętych przez Niemców urządzali pogromy Żydów. Nie był obojętny na polski antysemityzm, ale łudził się, że zjawisko to po Holokauście stopniowo zaniknie. Nie rozmawiał ze mną na ten temat, ale mogę wyciągnąć takie wnioski na podstawie archiwum, które zostawił.

O wojnie, o walkach na froncie też nie chciał rozmawiać. W pierwszym roku „Czytelnika" w Warszawie sypialiśmy czasem razem na jednym tapczanie. Na moje pytania dziesięcioletniego chłopca: – *Czy strzelałeś na froncie? – Czy zabiłeś kogoś?* – padała odpowiedź: – *Nie!* i rozlegało się głośne chrapanie.

Żyjący krewni? Z rodziny mojej matki nie pozostał dosłownie nikt. Miała już lat prawie osiemdziesiąt, kiedy koło 1990 roku odnalazł ją cioteczny kuzyn inżynier, który przez ZSRR i Szwecję dotarł po wojnie do Izraela. Był to duży, kościsty, wysportowany mężczyzna, do tego dobrotliwy wegetarianin. Czczony przez własne dzieci i ich współmałżonków jak święty. Kuzyn Misza Feigelstein. Żyjący krewni? Wojna nauczyła ukrywać żydowskie pochodzenie, a już w żadnym razie nie afiszować się nim na ziemiach Europy Wschodniej.

Kiedy po raz pierwszy w listopadzie 1959 roku znalazłem się na Zachodzie, przeżyłem niemałe zaskoczenie. Przez miesiąc uczestniczyłem w międzynarodowym kursie doskonalenia dziennikarzy na uniwersytecie w Strasburgu. Przy pierwszej kolacji podszedł do mnie, dwudziestoczteroletniego młodego magistra (czytaj: smarkacza), starszy pan po pięćdziesiątce. Mówił po polsku: – *Jestem wiceprzewodniczącym Związku Dziennikarzy Izraela. Pochodzę z Łodzi. W Tel-Awiwie powiedziano mi,*

że gdyby na kursie znalazł się ktoś o nazwisku Borejsza, to mam mu się przedstawić.

Zbaraniałem.

– Przedstawić się mnie? Dlaczego?

– Z uwagi na pańskiego dziadka. Dziadek pana jako redaktor „Hajntu" jest znany wśród założycieli naszego państwa. W Izraelu mógłby pan otrzymać stypendium na dalsze studia.

– Na to już za późno. Jestem Polakiem i dostaję stypendium z Polskiej Akademii Nauk.

Po powrocie do Warszawy zacząłem się trochę interesować nieznaną mi dotychczas rodziną ojca. Przepytałem matkę, potem natrafiłem na ludzi, którzy znali Abrahama Goldberga (1880–1933). Jego grób, jak się okazało, ocalał na cmentarzu żydowskim w Warszawie przy ulicy Okopowej, w Alei Zasłużonych. Pokazano mi także zapadniętą płytę na grobie Chany Różańskiej, jego pierwszej żony.

Do 1968 roku byłem Polakiem. I kropka. Partyjno-państwowy antysemityzm po Marcu 1968 uczynił ze mnie Polaka żydowskiego pochodzenia. Wprawdzie kolega z wydziału, dygnitarz partyjny Jarema Maciszewski, przesączył mi: *– Powiedziano nam, żeby nie poruszać z tobą sprawy pochodzenia, bo się będziesz śmiał.* Ale ja nie miałem ochoty do śmiechu. Od roku 1968 przez pół wieku świadomie zaznaczam moje pochodzenie od Kantorów i Goldbergów.

Spotkałem trzech ludzi, którzy znali mojego dziadka. Najwięcej opowiedział mi o nim znany dziennikarz Florian Sokołów (1888–1967). Spolonizowany syn słynnego przywódcy ruchu syjonistycznego Nachuma Sokołowa, przyjaciel ministra Józefa Becka. W ten sposób wytworzył się mój obraz dziadka Goldberga, potężnego, przystojnego mężczyzny z bujną kruczoczarną czupryną. Na zdjęciu założycieli czasopisma „Hajnt" góruje wzrostem, młodością. Pozostali czterej ojcowie-założyciele są łysi. Pismo przetrwało z różnymi perypetiami trzydzieści lat. Ostatnie numery ukazały się we wrześniu 1939 roku. Były okresy – już przed pierwszą wojną światową – kiedy nakład „Hajntu" sięgał stu tysięcy egzemplarzy. Po

pierwszej wojnie światowej stał się półoficjalnym dziennikiem Organizacji Syjonistycznej w Polsce. Rozchodził się w międzywojniu nie tylko wśród Żydów polskich, ale w środowiskach żydowskich od Rumunii po Brazylię. Tego wszystkiego dowiadywałem się stopniowo. Toteż znowu byłem zaskoczony, kiedy podczas mojej wizyty w Londynie w 1963 roku Florian Sokołów powiedział mi nieoczekiwanie:

– *Dwóch członków Izby Lordów chciałoby pana poznać.*

– *Czemuż to?* – zdziwiłem się.

– *Bo znali pańskiego dziadka.*

Przez ćwierćwiecze, kiedy redagował „Hajnt", dziadek poznał wielu pisarzy, publicystów i polityków nie tylko żydowskich, nie tylko plejadę działaczy syjonistycznych, późniejszych założycieli państwa Izrael. Jako sprawozdawca z procesu Menachema Bejlisa poznał Maksyma Gorkiego. Znał Władimira Korolenkę. Isaac Bashevis Singer jako laureat Nobla podczas pobytu w Warszawie u schyłku życia wspominał, że debiutował jako pisarz u Abrahama Goldberga.

Dziadek od pierwszych chwil rosyjskiej rewolucji bolszewickiej był jej przeciwnikiem. Nieprzypadkowo, według istniejących przekazów, w 1920 roku pełnił funkcję oficera prasowego przy sztabie wojsk polskich odpierających armie Trockiego i Tuchaczewskiego. Między nim a awanturniczym starszym synem, moim ojcem, stosunki bywały bardzo napięte.

Ale kiedy ojciec ogłaszał, często na pierwszej stronie „Wiadomości Literackich", cykl esejów o wojnie domowej w Hiszpanii, esejów, które odbiły się w Polsce głośnym echem, „Pani Ewa" (macocha ojca) powiedziała: *Szkoda, że Abraham tego nie dożył. Jakże by się ucieszył!* Rodzina czuła się już wyraźnie związana z polskością. A publikowanie w „Wiadomościach Literackich" stanowiło nobilitację.

Kiedy przeglądałem u Floriana Sokołowa w Londynie papiery jego ojca, sekretarza, a później prezesa Światowej Organizacji Syjonistycznej, natknąłem się na jego pierwsze wiersze. Młodzieniec z Płocka pisał je po polsku. Mój dziadek stryjeczny Menachem pisał tylko w jidysz. Ale w tym

języku wyrażał swoje przywiązanie do ziem polskich. Nie jest jasne, czy wyjeżdżając do Stanów Zjednoczonych zdecydował się już na emigrację, czy też decyzję tę podjął z czasem. Ale przed wyjazdem w 1915 roku ogłosił przejmujący poemat „Polska". Pisał go po głośnych pogromach Żydów, zawiedziony w swoich nadziejach:

Przybyłem tu do ciebie, tęskniący, surowy
Wierząc chłopięcym sercem, że spiekę mej głowy
I obcy pył boleści spłucze twoja rosa.
I młodzieńczo lękliwej tęsknocie się zdało,
Że tutaj dłoń poczuje braterską i śmiałą [...]
Widziałem, jak pył krwawy dziejowej kurzawy
Pokrywa grubą warstwą ślady twojej sławy.
I twoja stara pieśń tak samo cicho drzemie,
Jak nasza dawna pieśń niosąca żalu brzemię,
Śpiewana smętnie nad Babilonu wodami.

Menachem – były żołnierz w armii carskiej – odgradzał się od stereotypów Żyda handlarza, arendarza, karczmarza. Jego ojciec był nauczycielem hebrajskiego, człowiekiem piszącym.

Nie rosłem na twych, Polsko, szlacheckich rozłogach
Nie widziałaś, by pradziad mój z mgły się wyłaniał
Na twych zasnutych mrokiem bezdrożach i drogach,
Niosąc na plecach nędzny tłumok do sprzedania.
Nie brał pachtów ni arend od ciebie mój dziad.
Nie przychodzili chłopi z twoich ornych włości
Do karczmy ojca mego zimą rozgrzać kości.
A ja ledwie pamiętam z mych dziecięcych lat,
Jakem słyszał w ojczyźnie szarej, w Litwie mojej,

Gdzie z bólu się zrodziła w urodzie jedyna
Wzburzona pieśń twojego najmilszego syna,
Jak szumią twej kobieco miękkiej mowy zdroje.

(przeł. Leopold Lewin)

W 1968 roku ku mojemu zdziwieniu nie wytykano mi mojego dziadka, czołowego działacza syjonistycznego w Polsce. A bądź co bądź słowo Żyd zastępowano w propagandzie oficjalnej najczęściej słowem syjonista. Stąd też sam widziałem w telewizji transmisję bodaj z Rzeszowa, gdzie manifestanci nieśli transparent „Syjoniści do Syjamu". Nie bardzo już wiedziano, co to takiego syjoniści.

Z kart wydanej w 2016 roku książki Joanny Nalewajko-Kulikov „Mówić we własnym imieniu. Prasa jidyszowa a tworzenie żydowskiej tożsamości narodowej" Abraham (Avrum) Goldberg wyłania się jako dobry menedżer, redaktor władający sprawnie piórem, unikający ostrych konfliktów i życzliwy ludziom. Był też dowcipny, czego dowodzi fragment z ogłoszonej przez niego w 1912 roku drukiem modlitwy redaktora „Hajntu" do Boga:

Niech będzie Twoją wolą, żeby [...] *nie było żadnej wiadomości o nowym środku na raka, suchoty albo inne choroby, bo inaczej całymi dniami, tygodniami i miesiącami nie będzie można żyć z powodu telefonów, odwiedzin i listów z pytaniami, jak nazywa się ten doktor, gdzie mieszka i ile bierze za wizytę.*

Niech będzie Twoją wolą, żeby Carnegie nie zakładał więcej żadnych fundacji na rzecz literatury i sztuki, bo inaczej znów będziemy udręczeni listami i zapytaniami o jego adres, pochodzącymi od młodych ludzi, którzy zrobili ładną Gwiazdę Dawida w synagodze albo ładną grzechotkę na Purim i są artystami, i od młodych ludzi, którzy piszą adresy do Ameryki i są pisarzami.

Niech będzie Twoją wolą, żeby Żydzi otrzymali równouprawnienie i wszystkie prawa i odzwyczaili się od „dawania", a jak będą przychodzić do żydowskiej redakcji prosić o „załatwienie" czegoś, i gdy im się odmówi, żeby więcej nie mrugali, pytając „Może to coś kosztuje?"...

Dziadek, z wykształcenia prawnik, był, jak mi mówił jego znajomy Fryc (Fryderyk) Towbin, znany zarówno jako obrońca prześladowanych, jak i z akcji filantropijnych. Liczył się z jego słowami niemiecki generał gubernator Warszawy Hans von Beseler, a po 1918 roku niejeden polityk Drugiej Rzeczpospolitej. Kiedy zmarł, tysiące Żydów warszawskich przerwały pracę, aby wziąć udział w uroczystościach pogrzebowych. Dzieciom materialnie zostawił niewiele. Jedyną pamiątką po nim, która przetrwała prawie sto lat i pożogę wojenną i znajduje się w moim posiadaniu, jest laska dziadka. Po odkręceniu jej zewnętrznej bambusowej warstwy ukazuje się parasol, którego mechanizm działa bez zarzutu po dziś dzień (pokrycie kazałem kilka lat temu wymienić na nowe). *Habent sua fata*...

Policjanci Moczara nie mieli czasu na bawienie się w historię syjonizmu przed 1939 rokiem, ale inteligenci z przedwojnia kojarzyli, kim był dziadek i jego rodzina. Planując podróż do USA, promotor mojej pracy doktorskiej (ówcześnie minister szkolnictwa wyższego) Henryk Jabłoński spytał mnie:

– *Czy żyje jeszcze amerykański Borejsza?*

Pytanie nie było przypadkowe. Menachem miał znaczne koneksje polityczne, między innymi z senatorem Jacobem K. Javitsem. Znany z twórczości poetyckiej jako Borejsza lub po prostu Menachem, wyemigrował podczas pierwszej wojny światowej do USA. Pseudonim Borejsza (Borejszo, Boreisha, Boraisha) przyjął, jak twierdzą, od nazwiska panieńskiego swojej matki, a mojej prababki Fanny (bądź Fejgi) Borejszo. Wyjechawszy, na kilka lat zostawił w Warszawie pod opieką mojego dziadka swoją malutką córkę Adah.

Dziadek Abraham był bardzo rodzinny. Po rozwodzie z Anną Różańską wziął na siebie trud wychowania trójki dzieci. Adah była jeszcze jednym. Początkowo pomagała mu rodzina zamieszkałego w Warszawie starszego brata Israela. Po kilku latach Abraham ożenił się ponownie z Ewą Glass z inteligenckiej, bardzo zamożnej rodziny zasymilowanych Żydów

warszawskich. Pani Ewa z ogromnym oddaniem prowadziła ten szczególny dom.

W latach dwudziestych, po wizycie w Europie, Menachem zerwał z komunistami. Podczas swego pobytu odwiedził Warszawę i Moskwę, dotarł aż do Birobidżanu, chcąc poznać sytuację Żydów zamieszkujących tam na Dalekim Wschodzie w wydzielonym autonomicznym okręgu. Zawadził i o Paryż, w którym mieszkał po studencku z moim ojcem, wówczas anarchistą. Mimo różnic w poglądach, przyjaźń ich przetrwała do końca życia, nawet wtedy gdy stryj potępiał swego bratanka za to, że nazbyt ulega stalinowskiemu ZSRR.

Bracia Abrahama rozpierzchli się po świecie. Lejb z kolei, związany z rosyjskimi socjaldemokratami, znalazł się w Moskwie. Według niesprawdzonych danych miał zakaz wjazdu na ziemie polskie. Podobno nawet siedział w Polsce w więzieniu, z którego wyreklamował go Abraham.

Nad moim biurkiem wisi zbiorowa fotografia rodziny Goldbergów. Jedna z nielicznych, które posiadam. Między dwoma chłopcami stoi pani Ewa. W centrum potężna sylwetka Abrahama, obok młodszy o dwanaście lat jego brat Lejb i najstarsza z dzieci Abrahama – Jula. Wszyscy są młodzi. Zdjęcie wykonano w Berlinie. Rodzina Abrahama pojechała w czasie ferii świątecznych 1923 roku w odwiedziny do Lejba, który pracował tam wtedy w radzieckim przedstawicielstwie handlowym. Chłopcy noszą krawaty. Według tego, co zapisała z relacji Jacka Różańskiego Barbara Fijałkowska, Abraham dyskutował z Lejbem na temat rewolucji rosyjskiej. Lejb podobno dostrzegał terror i dyktaturę, ale nie dał się przekonać mojemu dziadkowi, że Moskwa nie jest miejscem dla niego. Pozostał podobno formalnie – czy tylko formalnie? – wierny ideologii bolszewickiej. Z Berlina powrócił do Związku Radzieckiego, został sekretarzem, potem zastępcą redaktora naczelnego gazety w jidysz „Der Emes". Później przez wiele lat stał na czele centralnego wydawnictwa literatury żydowskiej w ZSRR – „Der Emes". Udzielał się w żydowskim społecznym komitecie pomocy ofiarom pogromów. W czasie drugiej wojny światowej odgrywał poważną rolę w Żydowskim Komitecie Antyfaszystowskim (EAK). Utworzony w 1942

roku EAK propagował pomoc międzynarodową dla ZSRR i uzyskał wsparcie finansowe z USA, Wielkiej Brytanii i Palestyny. Prawie wszystkich przywódców tego komitetu, zwanego w skrócie po rosyjsku „Antifą", po wojnie Stalin nakazał zgładzić.

Wśród nielicznych, którzy przeżyli „wodza", znalazł się Lejb Goldberg. Dane o jego losach po 1948 roku są niepewne. Wiadomo, że był aresztowany i więziony. Zmarł w 1955 roku, w niewiele miesięcy po wyjściu na wolność. Jego nazwisko figuruje wśród tych, którzy opracowali słynną „Czarną Księgę" o eksterminacji Żydów na terenach ZSRR i Polski zajętych przez Hitlera. Lejb opracował relacje o Oświęcimiu i Czerniowcach. Książka pod redakcją Wasilija Grossmana i Ilji Erenburga miała się ukazać w 1947 roku. Stalin nie zezwolił na to, uważając, że Holokaustu Żydów nie należy wyróżniać z losów ogólnych. Udostępnienie maszynopisu książki Amerykanom – wtedy jeszcze sojusznikom – uznał za przestępstwo. Posłużył się tym jako jednym z pretekstów do rozpętania kampanii antysemickiej. Żydowski Komitet Antyfaszystowski został zlikwidowany. W sensie dosłownym. „Czarna Księga" ukazała się w Rosji w pełnej wersji rosyjskiej dopiero w 2015 roku.

Może Lejba od natychmiastowej śmierci ocaliły jego zasługi jako tłumacza Stalina na jidysz? Od razu po ich ukazaniu się, przełożył „Podstawy Leninizmu" Stalina (1924). Ale rok później tłumaczył, z kolei, teksty Nikołaja Bucharina, a w 1929 roku „Palę Paryż" Brunona Jasieńskiego. Był Lejb zapalonym tłumaczem literatury politycznej i pięknej z rosyjskiego i polskiego na jidysz i z jidysz na rosyjski. Karierę zaczął od przekładów Lwa Tołstoja i Elizy Orzeszkowej. Potem tłumaczył Szolema Alejchema na rosyjski. Zaś z francuskiego na jidysz dokonał przekładów i socjalisty Paula Lafargue'a, zięcia Karola Marksa, i Guy'a de Maupassanta.

Jak opowiadała mi ciotka Izabela Różańska, Lejb na tle siermiężnej Moskwy lat trzydziestych wyróżniał się elegancją, tym, że grywał w tenisa i unikał politykowania. Ślad po jego potomstwie zaginął. Stosunki komunisty Lejba i antykomunisty Menachema czekają jeszcze na

opracowanie. Formalnie Lejb wyrzekł się w stalinowskiej Moskwie brata. Podobno dziadek bardzo ubolewał nad tym. Menachem, z kolei, jako jeden z nielicznych działaczy żydowskich w USA publicznie wytykał podczas wojny członkom EAK, że pracują na zlecenie Stalina. Ale wydaje się, że kontakty prywatne nie zostały całkiem zerwane.

Po Menachemie pozostały w USA wnuki – syn i córka jego córki Adah po mężu Fogel. Urodzony w roku 1947 Aron Fogel jest dosyć znanym poetą amerykańskim, profesorem uniwersytetu w Bostonie. Jak mówiła mi podczas mego pobytu w USA nieżyjąca już obecnie Adah – nie interesują go ani dziadek Menachem, ani tradycje żydowsko-polskie.

Z linii mojej babki Chany Różańskiej pozostało wielu dalekich kuzynów, dzisiaj osiedlonych i urodzonych w Izraelu czy w Australii. Kiedy byłem po raz pierwszy w 1996 roku w Izraelu, poznałem moją małą i fertyczną cioteczną ciotkę Hannę (Chomę) Leuchter, która z mężem kapitanem Wojska Polskiego zdecydowała się na opuszczenie Polski od razu po pogromie kieleckim. Jednostka jej męża stacjonowała w pobliżu Kielc. Widzieli, co się działo w pociągach i w okolicach Kielc. Mąż nie zaaklimatyzował się w Izraelu i wcześnie zmarł. Choma dożyła wieku stu dwóch lat i zmarła nie tak dawno w domu spokojnej starości pod Tel Awiwem. Była żwawa prawie do końca życia i mówiła świetną polszczyzną.

W jednym z jej listów do mnie odnalazłem przekaz, którego nie sposób zweryfikować. Twierdziła tam, że rodzina Jankiela Różańskiego, dziadka mojego ojca, była spokrewniona ze słynnym Gaonem z Wilna (1720–1797). Uczony ten rabin był matematykiem, astronomem i przede wszystkim komentatorem żydowskich ksiąg religijnych. Gaon – Elijah ben Szlomo Zalman – rozsławił imię Wilna jako litewskiej Jerozolimy. Choma zamieszkała od powojnia w Izraelu powtarzała legendę zasłyszaną w rodzinie. Nie wiedziała, że w dwustulecie śmierci zasłużonego myśliciela – w roku 1997 – stanął w Wilnie jego pomnik. Tytuł Gaon pochodził z bardzo odległej tradycji babilońskiej, zaś w czasach nowożytnych, jak mi wyjaśniono, Żydzi nadawali go wyjątkowo znakomitościom szczególnie biegłym w komentowaniu Talmudu.

Przyznaję, że pojawienie się tej postaci było dla mnie pełnym zaskoczeniem i musiałem sięgnąć do encyklopedii. Jak dowiedziałem się ostatnio z polskiej prasy, na rok 2020 Litwini szykują wielkie obchody trzechsetlecia jego urodzin.

Dziwną rolę wyznaczyło mi życie. Jako ostaniec staram się zlepić skrawki pamięci o mojej rodzinie. Dla kogo?

Jestem w Polsce ostatnim żyjącym z dwóch bardzo niegdyś licznych rodzin. Nie mam tu nawet żadnego kuzyna czy kuzynki. Moi synowie od lat są w Meksyku i w USA. Po co i dla kogo piszą ostańcy?

Może kiedyś, po latach, zainteresuje się tymi wspomnieniami moja wnuczka. Ale w chwili obecnej (lipiec 2018) ma ona zaledwie dziesięć miesięcy...

68. Dziadek Kantor

Po ucieczce z Warszawy w roku 1939 rodzice zostawili mnie na Wołyniu, a sami pojechali urządzać się do Lwowa. Na Wołyniu mieszkała rodzina mojej matki. Wydaje mi się, że z głębi wspomnień wydobywam dziadka Abrama Kantora i jego dom w Bereznem nad Słuczą.

Słowo „Berezne", „Berezna", „Berezno" koło Równego. Na jego dźwięk powracał mi kiedyś obraz tęczy rozpiętej łukiem nad domem, daleko po drugiej stronie pustego placu przed naszym długim drewnianym domostwem. To pierwsza tęcza w moim życiu, jaką pamiętam.

W tym miasteczku (o największym podobno procencie ludności żydowskiej w Drugiej Rzeczypospolitej) budziłem zaciekawienie dzieciaków. Wykrzykiwały podobno za mną i dziadkiem: *O, idzie, idzie stary Kantor ze swoim gojem!* Miałem pięć lat, mówiłem tylko po polsku, a naokoło przeważały jidysz, ukraiński i rosyjski. Moja babka, żona Abrama, polskiego nie znała. Podobno krępowała się mnie. Mówiła po rosyjsku. Ciotki i dziadek rozmawiali ze mną po polsku. Dziadek miał może około lat pięćdziesięciu. Był szczupły, chyba drobniejszy od dużej kobiety, jaką była babcia Bejła. Ten spokojny, zrównoważony mężczyzna w soboty wypłacał mi „pensję" bezwartościowymi carskimi rublami ze skrzyni, która stała pod oknem w sypialni. Potem chował je znowu do skrzyni. Dom był drewniany, spory, parterowy. Dziadek podobno, jak to często się twierdzi, a jeszcze częściej zmyśla u Żydów, był potomkiem rabinackiej rodziny. (Tak jak w polskich rodzinach, z kolei, modne jest wynajdowanie prawdziwych czy rzekomych szlacheckich przodków). A może ten przekaz dotyczył babci? W każdym razie Kantorowie byli biedni. Przy domu było gospodarskie obejście. Dosyć puste. W szopie czy oborze trzymano kozę, którą dziadek kupił specjalnie dla mnie, abym pił zdrowe kozie mleko i rósł

na chwałę rodziny. Kozę wraz ze stadem innych zwierząt domowych należących do sąsiadów pędzono na pastwisko nad rzekę Słuczę. Byłem do niej bardzo przywiązany. Wieczorami czekałem na nią na pagórku koło domu dziadka, rzucałem się jej na szyję. I trzymając kozę za szyję, wpadałem na podwórko.

80. Moja koza z Bereznego. Zdjęcie cudem zachowane w papierach matki (1940).

Dziadek, aby uprzyjemnić mi życie, kupował kolejne szczeniaki – brązowego i czarnego. Trzymaliśmy je w budzie przed domem. Niestety, kradli je, ku mojej rozpaczy, sąsiedzi.

Z opowiadań matki wiem, że dziadek dużo czytał. W czasie pierwszej wojny służył w armii carskiej. Dostał się do niewoli austriackiej. Rok, który spędził jako jeniec na Węgrzech, wspominał podobno jako najszczęśliwsze chwile swojego życia.

Mieszkała z nami starsza siostra mojej matki, Perełka (Perla?), z mężem i małym niemowlakiem. A w dni świąteczne przyjeżdżała z jakiejś szkoły czy uczelni najmłodsza dwudziestoletnia ciocia Sonia. Ona i pomagająca w gospodarstwie Ukrainka Łukeria sporo się mną zajmowały. Na Boże Narodzenie 1940 roku Łukeria zawiozła mnie na sankach do siebie na wieś czy do jakiejś osady na skraju Bereznego. Pamiętam tylko oświetlone w ciemności okna chałup, które mijaliśmy, śnieg i gwiazdy.

Co robiła poczciwa Łukeria latem 1941 roku, kiedy Ukraińcy zaraz po wkroczeniu Niemców urządzili pogrom Żydów w Bereznem?

Zostałem u dziadków w Bereznem na wiele miesięcy. Rodzice urządzali się we Lwowie. Pamiętam, że dziadek zawołał mnie raz do radia na końcu domu w małym pokoiku.

– *Tata mówi.*

Wiele lat później ustaliłem, że mogło to być wystąpienie związane z 85-leciem śmierci Adama Mickiewicza, którego obchody ojciec zainicjował i za zezwoleniem najwyższych władz sowieckich zorganizował. Był to sygnał z Moskwy, że czas wielkich wywózek i prześladowań Polaków może się skończy, że Polacy mogą być potrzebni przeciwko Niemcom.

Dziadka zobaczyłem po raz ostatni na wiosnę 1941 roku. Odwiedził nas we Lwowie. Zabrał mnie na ciastka. Schodziliśmy w dół od ulicy Długosza i dziadek pouczał mnie, żebym nie szurał nogami.

– *Mężczyzna podnosi nogi wysoko.*

Kazał mi wybrać ciastko w sklepie. Wskazałem dwa. Powiedział:

– *Mogę ci kupić tylko jedno.*

Jak czytam w encyklopedii rosyjskojęzycznej Holokaustu (Moskwa 2011), 25 sierpnia 1942 roku Einsatzgruppen SS wespół z niemiecką żandarmerią i ukraińską policją wymordowały w lesie pod Bereznem 3680 Żydów.

Czy tam i wtedy zginęła cała rodzina Kantorów? Według przekazu znajomych mojej matki z Wołynia, Niemcy zgładzili ich wcześniej. Podobno od razu po wkroczeniu do Bereznego. Podobno zakopali ich jeszcze żywych razem z niemowlętami.

W miejscu masowej zbrodni pod Bereznem w latach dziewięćdziesiątych postawiono na terenie miejscowego technikum leśnego dwa kamienie pamiątkowe z napisami po rosyjsku i w jidysz. Napis w języku rosyjskim mówi o rozstrzelaniu 3680 obywateli radzieckich.

Po 1945 roku matka zrzekła się na piśmie wszelkich roszczeń do budynku po rodzicach. Nie wystąpiła też o odszkodowanie za to na ziemiach zachodnich w nowych granicach Polski. Wszystko w imię internacjonalistycznej zgody narodów, według ideologii, w którą wierzyła.

Ukraińscy sąsiedzi z Bereznego nie wiedzieli o tym i zaraz po wojnie zawiadomili matkę przez uciekinierów z Wołynia, że jeśli zjawi się i upomni o swoje domostwo, zostanie zamordowana.

69. Ciotka Jula

We wrześniu 1939 roku miałem cztery lata. Zapamiętałem, że byliśmy u rodziny ojca na ulicy Chłodnej i schodziliśmy po białych, chyba marmurowych schodach do schronu. Pewnie był nalot niemiecki na Warszawę. Szedłem obok siostry ojca, Juli. Dziwiłem się, że schodzi tak powoli, trzymając się poręczy. Szła bardzo sztywno. Nie widziałem jej nigdy później. Wiele lat po wojnie, kiedy byłem już studentem, matka dopowiedziała mi resztę życiorysu ciotki. Jula była studentką medycyny, kiedy jej niewydarzony brat a mój ojciec wylądował w więzieniu. Biegła z paczką dla brata do więzienia. Wpadła pod tramwaj, który obciął jej nogi. Rzuciła studia. Była wtedy atrakcyjną dziewczyną, już zaręczoną. Zerwała zaręczyny. Ojciec Abraham czynił wszystko, aby ją chronić w tym nieszczęściu. Ale tragedia przyspieszyła śmierć chorego na serce Abrahama. Jula miała znakomite protezy, na których w mojej obecności małego dziecka, jedynego wówczas w bliskiej rodzinie, posuwała się powoli, tak abym nie zauważył jej kalectwa. Zachowałem jej mglisty obraz jako wysokiej pani. Wyobrażenie małego dziecka. Raz w tygodniu przyjeżdżała dorożką do nas, mieszkających na tak zwanej trzeciej kolonii na Żoliborzu, przywożąc kosz najlepszych owoców z ekskluzywnego sklepu dla małego bratanka. Rodzice byli na bakier z pieniędzmi. A dziadek Abraham zapewnił Julii zabezpieczenie materialne.

W październiku 1933 roku macocha ojca Ewa Glass przyrzekła leżącemu na łożu śmierci Abrahamowi Goldbergowi, że będzie się zawsze opiekowała Julą. Słowa dotrzymała aż do śmierci w płomieniach warszawskiego getta.

81. Ciotka Jula (ok. 1920).

Matka, jak mi opowiedziała, po naszym powrocie z Buczacza do Warszawy odszukała rodzinę ojca w getcie. Jula mieszkała nadal z macochą i jej bratem, doktorem Bronisławem Glassem. Glassowie i spokrewnieni z nimi Przeworscy należeli do spolonizowanych, zamożnych rodzin Żydów warszawskich. Mogli się ratować, ukryć, ale „Pani Ewa", jak nazywano ją w rodzinie, z kaleką Julą nie bardzo mogła się przemieszczać.

Doktor Glass był świadom nieuchronności zagłady. Dał matce pieniądze na przetrwanie poza murami getta i cyjankali na wypadek ostatecznego

zagrożenia i poprosił, żeby więcej do getta nie przychodziła. Powiedział:

– *Ty z twoim ukraińskim wyglądem, z tym małym blondynkiem przeżyjesz* (Długie lata byłem rzeczywiście jasnowłosy). *Nie przychodź do getta. Próbuj telefonować.*

Kiedy matka ostatni raz zadzwoniła, doktor Glass zawołał:

– *To koniec. Nasz dom płonie. Za chwilę nas nie będzie.*

Była wiosna 1943 roku.

Dwadzieścia lat później znalazł się na krótko przejazdem w Warszawie znany w USA i w Polsce lekarz Jerzy, syn Bronisława Glassa. Ocalał, jak doszły mnie słuchy, uchodząc przez ZSRR szlakiem Armii Andersa. Szukał mnie przez Uniwersytet Warszawski. Koleżanka, która przyjęła telefon, powtórzyła mi wiadomość dopiero po kilku dniach. Rozminęliśmy się. Nigdy nie dowiedział się o ostatnich chwilach swojego ojca. Z prasy wyczytałem poniewczasie, że w 1979 roku został doktorem honoris causa Uniwersytetu Jagiellońskiego. O ciotce Juli przypominają już tylko tabliczki umieszczone przy grobach Abrahama Goldberga i Chany Różańskiej na warszawskim cmentarzu żydowskim przy ulicy Okopowej.

Glassowie i spokrewnieni z nimi Przeworscy położyli duże zasługi dla polskiej ojczyzny. Wydawcy, księgarze, filantropi, lekarze. Duże sumy na Ligę Obrony Powietrznej Polski zapisano pod ich nazwiskiem. Jakub Przeworski (1875–1935) znany był z przewożenia polskich książek patriotycznych z liberalnej Galicji do zaboru rosyjskiego. Jego syn Marek (1903–1943) kontynuował dzieło ojca, prowadząc w Warszawie przy ulicy Leszno księgarnię i czytelnię. Został zamordowany przez polskich szmalcowników jeszcze przed wybuchem powstania w getcie. Nie symboliczne, ale prawdziwe groby obu Przeworskich istnieją, przetrwały przy ulicy Okopowej.

70. Prawdziwy wuj

Mój prawdziwy wuj cioteczny, czyli syn ciotki mojego ojca, wywodzi się z rodziny Różańskich. Możliwe, że rodzina ta nazwisko swoje wiedzie od małego miasteczka Różan na Mazowszu. Osiadły w Iwacewiczach na Grodzieńszczyźnie kupiec Jankiel Różański miał osiem córek. Od nich pochodzą potomkowie rozsiani od Izraela do Australii. Ci, którzy ocaleli, znaleźli się czy to w partyzantce na ziemiach polskich (dwie moje ciotki), czy też w głębi Związku Radzieckiego.

Tam właśnie w ZSRR ocalał wśród innych brat cioteczny mojego ojca Izio Landsberg, młody sportowiec (mistrz pływacki) z miasta Łucka na Wołyniu.

Nie garnął się ani do polityki, ani do nauki. Unikał też w sposób szczególny powołania do Armii Czerwonej po wybuchu wojny niemiecko-radzieckiej. Wybitnie przystojny i wysportowany, zapisywał się podobno po ucieczce w głąb ZSRR na uczelnie, gdzie adorowały go sekretarki w dziekanatach. One to gubiły jego kolejne wezwania do wojska. Miał zrozumiały uraz, albowiem jego brat Jakub, wcielony do Armii Czerwonej w trybie przymusowym, zginął od razu w pierwszych walkach z Niemcami. Izio został jedyną oporą rodziców, których wyratował i od razu po zakończeniu wojny wywiózł do Polski. Tu szybko przyjrzał się tworzonym porządkom i pojął, że szykuje się przymusowe naśladownictwo ustroju, z którym zapoznał się w stalinowskim państwie. Wobec tego w niewiele miesięcy po wojnie przedostał się nielegalnie z rodzicami i poślubioną niedawno żoną na Zachód. W ucieczce z Polski pomagał mu kolejny brat cioteczny – wysoki funkcjonariusz Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, podówczas kapitan, a później osławiony pułkownik Jacek Różański. Adiutant tego ostatniego towarzyszył Landsbergom aż do granicy.

Dziś już nikt nie odpowie na pytanie, czy kapitan Różański kierował się tylko sentymentami rodzinnymi, czy zdawał sobie też sprawę, że nieskłonny do popierania ustroju młodzieniec i jemu, i sobie w nowej rzeczywistości przysporzy tylko kłopotów.

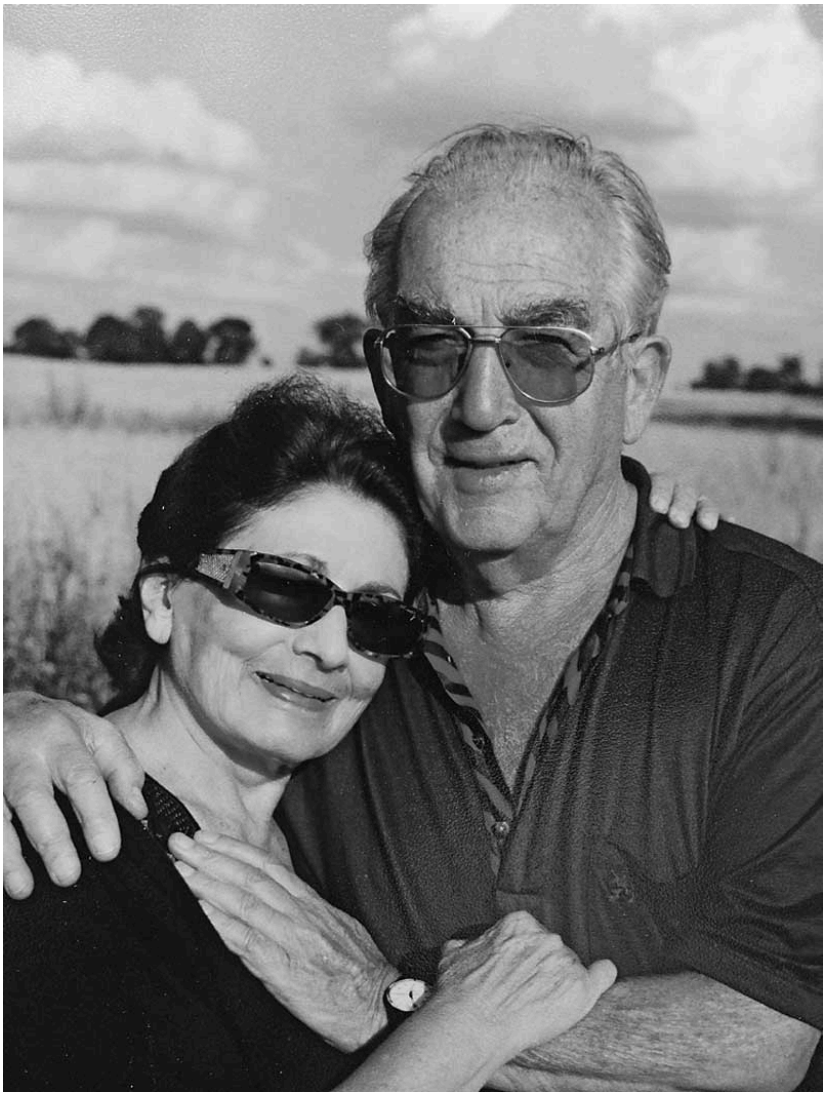

82. Prawdziwy wuj z żoną Idą na Kaszubach (1997).

Wuj Landsberg na Zachodzie wziął się do nauki, został znanym stomatologiem, specjalistą od chirurgii szczękowej. Powędrował przez Niemcy i Szwajcarię do Izraela. Dochował się dwóch synów i bardzo licznych wnuków i wnuczek. Potomstwo od służby wojskowej w Izraelu bynajmniej się nie uchylało. Młodszy z synów, odziedziczywszy widocznie

po ojcu zdolności pływackie, był „człowiekiem-żabą”, oficerem wyspecjalizowanym w wysadzaniu okrętów nieprzyjacielskich. Typowy Izraelczyk, sabra. Wziął udział jako lekarz opiekun grupy młodzieży w „marszu żywych” do Auschwitz.

Spytałem go o wrażenia z pobytu.

– *A lot of fun* – odpowiedział. – *Autobusem od obozu do obozu, a po drodze w autobusie filmy o obozach. Więcej na coś takiego nie przyjadę.*

71. Kuzyn Misza

Jedyny krewny mojej mamy, który ocalał z wojny i Holokaustu, kuzyn Misza, nie żyje już od kilku lat. Ujmujący, wysoki, ciepły człowiek, silny duchowo i fizycznie. Pochodził z biednej żydowskiej rodziny z małego miasteczka na Wołyniu. Rodzice jego byli wegetarianami. On kontynuował tę tradycję. Ale kiedy wojenne losy rzuciły go pod Ural, na jakiś czas musiał zawiesić swoje przyzwyczajenia. Samymi kartoflami by się nie wyżywił. Po wojnie przez Szwecję wywędrował do Izraela. Powrócił do wegetarianizmu. W Izraelu jego zdolności techniczne znalazły pełne zastosowanie. Kiedy go bliżej poznałem, przekroczył już lat osiemdziesiąt. Mimo dużej, dostatniej rodziny, która go uwielbiała: syna, synowej, córki, zięcia, licznych wnucząt i prawnucząt, po śmierci żony wyniósł się do domu dla ludzi starszych. Nie chciał być dla bliskich ciężarem na co dzień. Odwiedzali się często. Miał tam małe mieszkanko, „dłubał" w swoich komputerach i korzystał z zawsze dostępnej opieki lekarskiej. Był jeszcze na tyle aktywny, że bardziej czynnym współmieszkańcom udzielał lekcji obsługi komputera. Standard tych domów przewidywał, że będą schronieniem przede wszystkim dla ludzi pozbawionych rodzin, kalekich, samotnych. Kuzyn Misza należał do nielicznych szczęśliwców, którzy mieli rodzinę.

Po pół wieku nieobecności w Polsce mówił nienaganną staroświecką polszczyzną wzorowego niegdyś ucznia gimnazjalnego. Gdy wybieraliśmy się na wycieczkę na wzgórza Golan, przestrzegał nas: – *Nie jedźcie tam! Tam działa biją!*

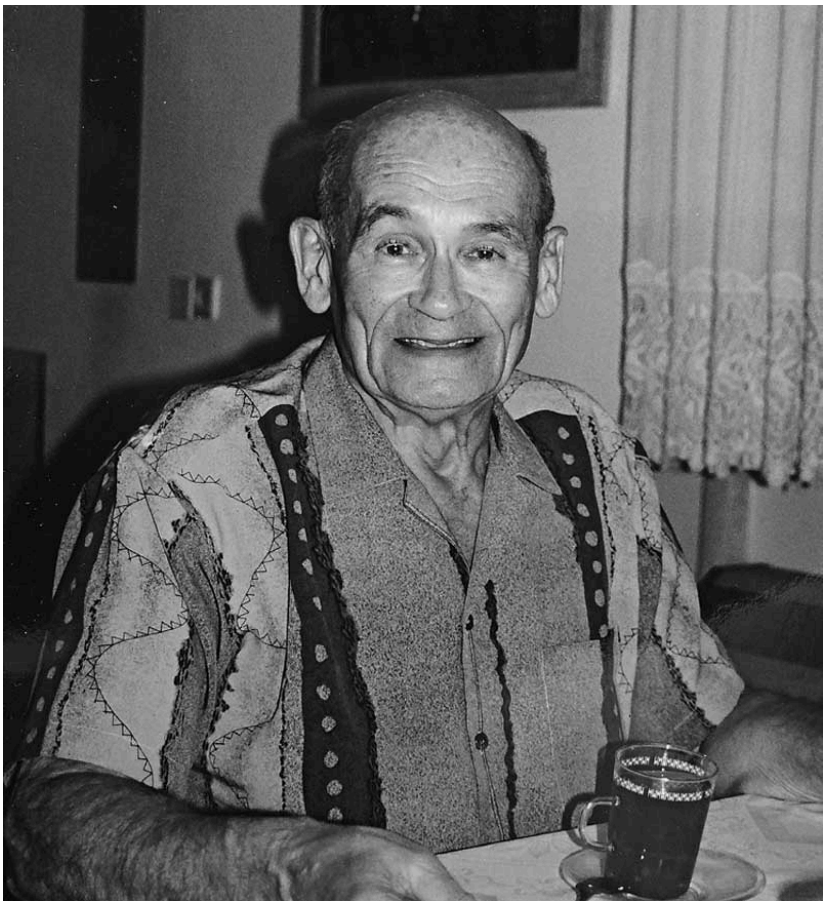

83. U schyłku życia kuzyn Misza odnalazł moją matkę. Był jedynym jej krewnym, który ocalał z Holokaustu (ok. 1989).

Podczas pobytu w Izraelu odwiedziliśmy go wieczorem w owym domu spokojnej starości, otoczonym parkiem. Było duszno. Dla przewiewu otworzyliśmy więc drzwi na korytarz. I w tym akurat momencie zaczęli się przesuwać do swoich mieszkań pensjonariusze powracający z kolacji. Rzadko który bez podpórki, bez laski. Niektórzy jechali na wózkach.

Kuzyn Misza wychylił się na korytarz i ogłosił:

– *Mam gości z Polski.*

Zrobił się zator. Ludzie zaczęli się zatrzymywać, zwracać do nas:

– *Ja byłem w Stutthofie. Jestem z Gdańska.*

– *Przeżyłam Oświęcim.*

– *Uciekłem po pogromie kieleckim. Pan wie, tym który był w 1946 roku. Czy w Polsce o tym jeszcze mówią?*

– Byłem żołnierzem i tam, i tu. Ta noga to po kontuzji.

Jednorodny tragizm tego pochodu dogorywających przywodził na myśl makabryczne rysunki Francisco Goi z jego ostatnich lat na wygnaniu w Bordeaux.

72. Niedoszły samobójca

Rosyjskie porzekadło głosi: *w każdej rodzinie znajdzie się potwór*. Niemcy mówią, że każda rodzina ma jakieś nieprawości do ukrycia – „trupa w szafie". Nie tylko historycy wiedzą, że moim stryjem był Józef (Jacek) Różański, osławiony pułkownik aparatu bezpieczeństwa.

Zdaję sobie sprawę, że poszukiwacze sensacji będą zaglądać najpierw do rozdziału o pułkowniku Jacku-Józefie Różańskim. Zawiodą się. Wiem o nim niewiele. Jedna ze spóźnionych lustratorek doczytała się, że widziano mnie bawiącego się na podłodze ze stryjkiem w naszym mieszkaniu na ulicy Frascati. No cóż? Przyznaję się! Miałem lat trzynaście, kiedy wyprowadziliśmy się stamtąd na aleję Róż. W nowym mieszkaniu pułkownik już prywatnie nie bywał.

Jego kuzyni i kuzynki z rodziny Różańskich potępiali go jednogłośnie. Dwie moje cioteczne ciotki były podczas wojny w partyzantce: jedna na Białorusi, druga wraz z Włodzimierzem Sedlakiem, przyszłym księdzem i uczonym, w Polsce centralnej. Wyemigrowały jednak zaraz po 1945 roku do Izraela oraz Australii. Ale rozmawialiśmy jeszcze po roku 2008, nie zmieniając zdania.

Według stalinowskiej zasady odpowiedzialności zbiorowej, za poglądy i działania jednostki odpowiadają wszyscy jej krewni, powinowaci i znajomi, od niemowlaków po starców. Mógłbym i ja podpadać pod te biorące swój początek z Kaukazu kryteria rodzinne, klanowe, rodowe.

Stalin ową rodową (nie rasową – co było domeną Hitlera) odpowiedzialność stosował z azjatycką logiką w wymiarze większym niż Hitler czy Mussolini. W paranoicznym szale mordował członków własnej rodziny.

Nie odpowiadam za mojego stryja, ale jako historyk mogę sobie wyrzucać, że uważając działalność Różańskiego za hańbę rodzinną, przez dwadzieścia siedem lat od jego aresztowania w 1954 roku do śmierci w 1981 widziałem go tylko raz, przez jedną godzinę. Mogłem przezwyciężyć moją repulsję i próbować wyegzekwować od niego relacje ważne dla historii. Nie zrobiłem tego.

Dwaj znani historycy, Andrzej Paczkowski i Antoni Dudek, w wydawnictwie Instytutu Pamięci Narodowej „Czekiści. Organy bezpieczeństwa w europejskich krajach bloku sowieckiego 1944–1989" napisali kilka lat temu: *W grudniu 1955 roku rozpoczął się proces aresztowanego rok wcześniej dyrektora Departamentu Śledczego Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego płk. Józefa Różańskiego, który – wraz z kilku innymi oficerami – wystąpił w roli kozła ofiarnego odpowiedzialnego za wszystkie zbrodnie aparatu bezpieczeństwa. W listopadzie 1957 r. Różańskiego skazano na 14 lat więzienia* [...].

Wyrok zbiegł się z moim powrotem ze studiów w Związku Radzieckim. Pułkownik Różański był młodszym o dwa lata bratem mojego ojca. Urodzili się jako Goldbergowie: Beniamin (rocznik 1905) i Josek (zwany w rodzinie Jackiem, a po drugiej wojnie w oficjalnych papierach Józefem – rocznik 1907). Josek vel Jacek przybrał w 1944 roku nazwisko panieńskie swojej matki – Różański. Miało polskie brzmienie, co było istotne dla przybywających z ZSRR komunistów, których znaczny procent był pochodzenia żydowskiego. W kraju po Holokauście, pełnym antysemickich skojarzeń, starali się zaprzeczać schematowi, że przyniesiony na radzieckich bagnetach ustrój to „żydokomuna". Pragnęli być rodakami-wyzwolicielami. Nie udało się.

– *Patrz pan, ten Żyd zapaskudził takie dobre polskie nazwisko Różański* – powiedział do mojego przyjaciela warszawski taksówkarz kilka miesięcy po moim powrocie do Polski. Przypadek chciał, że przyjacielem tym był Jakub Gutenbaum (rocznik 1929), sześćdziesiąt lat później honorowy przewodniczący Stowarzyszenia Dzieci Holocaustu. Nieraz spolszczone imię i nazwisko oraz sfałszowane dokumenty pomagały im uratować się przed Niemcami i polskimi szmalcownikami. Tych dzieci w Polsce dożyło

roku 2000 może pięćset, a może jeszcze mniej. Żydzi jako mniejszość narodowa w dzisiejszej Polsce się nie liczą. Z trzech i pół miliona obywateli polskich wyznania mojżeszowego, pochodzenia żydowskiego w statystykach nie udało się ujawnić nawet jednej dziesiątej procenta, to znaczy trzech i pół tysiąca w kraju z trzydziestoma ośmioma milionami ludności. Żydzi zniknęli, a antysemityzm się jeszcze w Polsce pleni – nie tylko skrycie.

Pamiętam, jak dalece Jacek Różański poczuwał się do swoich żydowskich korzeni i nie zamierzał ich ukrywać za polsko brzmiącym nazwiskiem. Tę mimikrę nakazywały władze partii świadome siły polskiego antysemityzmu. Żona Gomułki – Zofia – jako odpowiedzialna za kadry partii radośnie powitała wracającą z wygnania w Samarkandzie Izabelę Różańską, żonę Jacka.

– *Wy to przynajmniej macie całkiem aryjski wygląd.*

Wszyscy wiedzieli, że przerabiająca towarzyszy na aryjczyków Zofia takiego wyglądu była przeciwieństwem.

W ostatnich rozmowach ze mną, kiedy jako osiemnastolatek przyjeżdżałem do Polski na wakacje, Jacek nawiązywał do tych spraw. Nie znałem żadnych szczegółów działalności Różańskiego. Raz pokazał mi model statku stojący u niego w mieszkaniu i powiedział:

– *To zrobili dla mnie więźniowie.*

Kiedy indziej wspomniał przy mnie, że przesłuchuje gestapowca Adlera, który *idzie w zaparte*. Była to uwaga tak niezwykła, że ją zarejestrowałem. Więcej jakichkolwiek aluzji do jego działalności nie pamiętam.

Byłem naiwny i nie rozumiałem, dlaczego musieliśmy pojechać jego służbowym citroënem na Powiśle, zostawić tam samochód i pójść na spacer wzdłuż Wisły.

Dopiero później zrozumiałem, że rozmawiał na ulicy, albowiem obawiał się podsłuchów. A powiedział mi właściwie tylko tyle:

– *Zobaczysz, że przyjdzie czas, kiedy Żydzi na tej ziemi będą się czuli pełnoprawnymi obywatelami.*

Dużo później zrozumiałem, że nawiązywał do antysemityzmu nie tylko w Polsce. Jestem pewien, że pamięć o Holokauście go nie odstępowała. Zakładał, że jego moskiewski stryj Lejb Goldberg (1888–1955) został rozstrzelany jako sekretarz Żydowskiego Komitetu Antyfaszystowskiego w ZSRR. Potem okazało się, że przeżył więzienie i zmarł niebawem po wyjściu na wolność. O istnieniu krewnych w Moskwie dowiedziałem się dopiero, czytając nekrolog Lejba Goldberga z jakiejś gazety podpisany przez grono jego znajomych pisarzy.

Kiedy indziej stryj umówił się ze mną w centrum miasta, na Marszałkowskiej. Pokazał mi Pałac Kultury i Nauki w budowie, i powiedział:

– *Te wszystkie ozdóbki i płaskorzeźby się zetnie, a pożyteczna budowla pozostanie.*

Bez ogródek kpił ze starań radzieckich architektów, aby pałacowi nadać ludowy i polski charakter.

Dzisiaj jako stary człowiek muszę sobie postawić pytanie: dlaczego Jacek popierał mój wyjazd na studia do kraju, w którym mordowano członków jego rodziny (w 1952 roku rozstrzelano jego szwagra Józefa Frenkiela)? Czy posyłano mnie w janczary? Jako zakładnika?

Dopiero teraz odtwarzam z pamięci scenę mojego odjazdu w grupie paruset osób z dworca w Warszawie. Było to w sierpniu 1952 roku. Pułkownik Różański z żoną towarzyszyli mojej matce. Byli jawnie smutni, przygnębieni. Czy ciotka wiedziała już o śmierci brata? Kupili mi półbuty, w których jechałem. Do Kazania nie pisali do mnie. Aby nie przypominać o swoim istnieniu poprzez wykazy cenzury pocztowej? Przez dziesięć miesięcy dali jeden znak życia: ciotka przysłała mi trzy tabliczki czekolady przez znajomego lotnika.

Odjeżdżając do ZSRR, nie miałem pojęcia o katowskiej działalności stryja. Kiedy zaczęły do mnie i do matki docierać wiadomości, z początku jeszcze urywkowe, że osobiście bił ludzi, że zlecał tortury, że był sadystą, odcięliśmy się całkowicie od jakichkolwiek z nim stosunków.

Ciotka Izabela Frenkiel była twardym człowiekiem, gotowym na wszystko dla męża i córki. Przeszła szkołę wojskową Kominternu w Związku Radzieckim, miała za sobą głośny proces w Polsce za dywersję komunistyczną i kilka lat ciężkiego więzienia w podbydgoskim Fordonie. Usiłowała mnie namówić, żebym odebrał w jej imieniu jakieś dokumenty w prokuraturze. Chciała przypomnieć, czyim bratem był Jacek, wykorzystać zasługi jednego dla pomniejszenia win drugiego. Zrobiliśmy z matką wszystko, aby wygrodzić pamięć ojca od tej infamii.

Sąsiad mojej matki, minister Włodzimierz Sokorski, znajomy rodziców jeszcze z przedwojennego Żoliborza, człowiek wszystkich nomenklatur Polski Ludowej, powiedział mi około 1960 roku, spotkawszy mnie na schodach:

– *Postać Jacka będzie zawsze rzucała długi cień przesłaniający zasługi Jerzego.*

Miał rację. Ojciec zostawił nie dziesiątki, ale setki zwolenników i dłużników życiowych, którym pomógł. Niektórzy z nich pamiętali o tym i w wiele lat po jego śmierci podkreślali, jak różnymi ludźmi byli bracia. Inni łączyli braci w jedno. Niektórzy z oddali jako emigranci i antykomuniści. Tak uczynił jeden z lekarzy asystujących przy śmierci ojca w klinice rządowej. Był wtedy bardzo młody. Po wielu latach na wychodźstwie w USA opisał ojca w druku jako „wyedukowanego oprycha", którego w szpitalu często odwiedzał brat. To ostatnie się zgadzało, pozostałe szczegóły mniej. Mogę to uściślić, bo chodziłem do szpitala i pamiętam na przykład, że nie mógł nie tylko krzyczeć, (co podkreśla ów lekarz), ale nawet mówić. Sam Różański, według jego biografki Barbary Fijałkowskiej, powtarzał po wyjściu z więzienia, że chciałby, aby o nim zapomniano, ale by pamiętano o zasługach Borejszy. Mimowolnie jednak, mając pewien kompleks słynnego brata, podkreślał wspólnotę ich poglądów i drogi życiowej, co odbija się w książce Fijałkowskiej: „Borejsza i Różański. Przyczynek do dziejów stalinizmu w Polsce" (1995). Nie zawsze odpowiada to prawdzie. Różański sam zresztą mówił Fijałkowskiej, że brata trudno uznać za stalinowca, bo nie potrafił nienawidzić. Rosjanie dzielą ludzi na „czełowiekolubow" i „czełowiekonienawistników", na

kochających oraz nienawidzących ludzi. Ojciec był niewątpliwie „człowiekolubem", potomkiem ideologicznym Jana Jakuba Rousseau, idealizującym „prostych ludzi", spieszącym z pomocą ludziom w biedzie, podobnie jak jego ojciec Abraham.

Zapamiętałem opowieść mojego starszego kolegi, dziennikarza katolickiego Andrzeja Krasińskiego, o tym, jak prezes „Czytelnika" wyciągnął go z aresztu. Tuż po umocnieniu się „Polski lubelskiej" przybiegł do ojca Dominik Horodyński z wieścią, że jego przyjaciel Krasiński został ujęty z pieniędzmi na działalność podziemną od rządu londyńskiego. Prosił, aby go ratować. Prezes zadzwonił do jakiegoś oficera, odbyła się taka rozmowa:

– *Ja gwarantuję za niego. On jest z rodziny Zygmunta Krasińskiego. Aresztowanie takich ludzi to błąd.*

– *Sprawdzę.*

Po chwili nastąpiła odpowiedź:

– *Dobrze. Zwolnimy. Nie jest groźny. Dawał słowo, że nie wie, skąd pochodzą pieniądze. A na moją propozycję* – ciągnął dalej oficer, prawdopodobnie Różański – *żeby dał słowo honoru polskiego szlachcica, odpowiedział: „A co to, to nie".*

Trzeba było znać Andrzeja Krasińskiego, aby w to uwierzyć. I trzeba było wiedzieć, że takie metody, które nazywał „psychologicznymi", Różański też stosował, o czym wiem na ogół z lektur, nie z autopsji.

Znam z opowieści ludzi kilka aktów „łaski" Jacka i ze wspomnień i opublikowanych ex post protokołów niepomiernie więcej świadectw o sadyzmie i torturach. Opowiadał mi germanista Emil Adler, bliski przedwojenny współpracownik Melchiora Wańkowicza w jego wydawnictwie „Rój", jak Różański, jadąc swoim służbowym citroënem, zauważył go na szosie do Wilanowa. Zatrzymał wóz i zawołał:

– *Chcesz wiedzieć, co robię? Jestem zwykłym gliną od czyszczenia ścieków. Takich w rewolucji też potrzebują. Tylko ich się nie pokazuje.*

Opowieści o konieczności terroru jakobińskiego należały do podstawowych wierzeń komunistów. Czy każdy mógł się stać narzędziem stalinowskiego terroru? Moim zdaniem, raczej nie każdy. To już wkracza w dyskusję o banalności zła. Mam do niej duże zastrzeżenia. Fijałkowska kończy swoją książkę gorzką konkluzją:

Wyidealizowany mit Borejszy, jako niepowtarzalnej osobowości, wybitnego publicysty i organizatora kultury (co niewątpliwie było prawdą), a przede wszystkim wielkiego polskiego patrioty zawdzięczamy głównie Kazimierzowi Koźniewskiemu, który po prostu pomijał wszystko, co mu do takiego obrazu bohatera nie pasowało. Z kolei stereotyp Różańskiego-kata, który wręcz własnymi rękami zamordował setki polskich patriotów, wyrywał włosy i paznokcie, stworzyli przede wszystkim jego towarzysze partyjni, czyniąc zeń klasycznego kozła ofiarnego, wielce przydatnego w rozliczeniach z niesławną przeszłością na kolejnych zakrętach dziejowych. Prawda jest jednak o wiele bardziej złożona.

Zarówno Borejsza, jak Różański byli wytworem stalinizmu, mimo że z racji swego rodowodu i wychowania wydawać by się mogli nader niepodatni na wszelkie wpływy totalitarne.

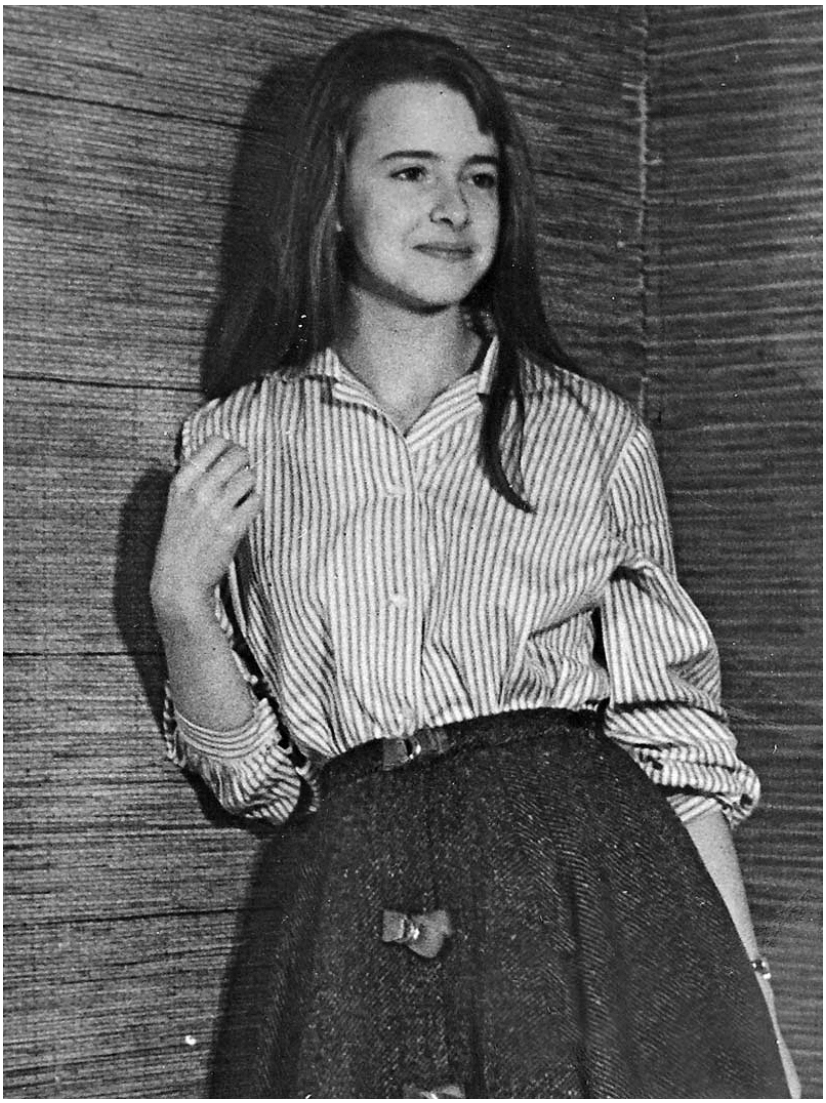

84. Stefania Różańska-Żebrowska (ok. 1956).

Tak, polski stalinizm to był nie tylko terror, propaganda i wielkie oszustwo ideologiczne. To była też likwidacja analfabetyzmu, książka dla wszystkich, elektryfikacja i modernizacja, likwidacja przedwojennego bezrobocia i skrajnej nędzy.

Za działalność pułkownika Różańskiego tragicznie zapłaciła swoim nieszczęśliwym życiem jego jedyna, piękna i ukochana córka Stefania (rocznik 1940). Pomagałem jej jeszcze przy maturze, matka raz czy dwa zabrała ją na wakacje. Ale stosunki nasze z ciotką zostały zerwane po tym, jak ta tłumacząc męża gdzieś po 1957 roku, opowiedziała matce, że Jacek

chciał popełnić samobójstwo, kiedy pojął, że czeka go proces i powszechne potępienie.

– *Wpadłam do pokoju w ostatnim momencie. Trzymał w ręku pistolet. Wyrwałam mu broń.*

Na co matka wypaliła:

– *Szkoda, że to zrobiłaś.*

Panie nigdy więcej się nie zobaczyły.

Nie było tajemnicą, że moja matka i brat ojca od początku znajomości odnosili się do siebie z dużą rezerwą. Matka, która od wieku lat szesnastu zarabiała ciężko na życie, uważała go chyba przed wojną za warszawskiego „złotego młodzieńca" z zamożnej rodziny. Nadto, jako pielęgniarka ze szpitala psychiatrycznego zwracała uwagę na to, że Jacek przeszedł przed wojną ciężkie zapalenie opon mózgowych, które ujemnie odcisnęło się na jego psychice. Przy zmęczeniu jedno z jego oczu zapadało się jakby w głąb.

Nie przeszkadzało mu to w licznych romansach. Powodzeniem u kobiet cieszył się podobno nawet po wyjściu z więzienia w 1964 roku. Znałem dwie jego przyjaciółki z lat studenckich – prawniczkę i pisarkę, które stały się potem znanymi i bardzo pozytywnymi osobistościami, i nie opuściły go do śmierci. Potępiały go, ale obie, jak słyszałem, były na jego pogrzebie. Pewne zauroczenie Różańskim można zauważyć i u historyka Barbary Fijałkowskiej, która w swojej książce oparła się przeważnie na relacjach ustnych pułkownika, których udzielał jej przez wiele miesięcy (ostatnich w jego życiu). Fijałkowska ocaliła mnóstwo faktów bezcennych dla historyków. Utrwaliła też świadomie interpretacje Różańskiego, a bezwiednie niemało jego jawnych zmyśleń i przeinaczeń.

Ja niestety niewiele mam tu do powiedzenia. Odmawiałem jakichkolwiek spotkań z Różańskim. Od roku 1954 do jego śmierci w roku 1981 rozmawiałem z nim tylko raz godzinę w 1964 roku. W roku 1981 przeszliśmy obok siebie na ulicy Jarosława Dąbrowskiego, nie zatrzymując się. Było to krótko przed jego śmiercią.

Po jego śmierci zaczęła do mnie dzwonić ciotka Bela. Byłem kilka razy w jej ostatnim malutkim mieszkanku na ulicy Jarosława Dąbrowskiego.

Dorabiała od lat przepisywaniem na maszynie tekstów polskich i rosyjskich. Jeden z dziennikarzy (rocznik 1937), który bywał u Różańskich po wyjściu pułkownika z więzienia, opisał ją jako cichą, szarą kobiecinę. Bardziej dociekliwa była Barbara Fijałkowska, która odtworzyła jej obraz z przekazów i fotosów z lat 1935–1941: *Była wysoką, zielonooką blondynką bardzo urodziwą, obdarzoną nieprzeciętną inteligencją i humorem. Była zdeklarowaną, wręcz fanatyczną komunistką, której żadne z przeżytych już ciężkich doświadczeń nie zdołało zniechęcić do bolszewickich ideałów.*

A doświadczeń jej nie brakowało. Córka wielodzietnej rodziny biednego poznańskiego szewca została komunistką wcześniej niż bracia Goldbergowie. W 1931 roku partia posłała ją do szkoły wojskowej pod Moskwę, której komendantem był Karol Świerczewski. W szkole tej bywali najznaczniejsi ludzie z międzynarodowego ruchu komunistycznego Była jedyną kobietą wśród prawie czterdziestu kursantów. Jak pisze historyk Bogdan Gadomski: *Ta 24-letnia rudowłosa, ostrzyżona na chłopczycę piękność występująca na kursie pod przybranym nazwiskiem Lipska, a znana przez wszystkich jako Lida (był to jeden z jej pseudonimów) miała prawie tylu adoratorów, ilu było kursantów.* Została w końcu żoną Bronisława Bermana (Wiktora Stasiaka). Wróciła do Polski do „wojskówki" KPP w Warszawie i Poznaniu. Trafiła szybko pod sąd. Skazano ją po dramatycznym procesie na cztery lata więzienia. Odsiedziała je w podbydgoskim Fordonie. Tymczasem w Kijowie w stalinowskim procesie został skazany i niebawem stracony jej pierwszy mąż. Rzuciło to cień na jej komunistyczną prawowierność. Zniosła to. W tym czasie poznała Joska/Józefa Goldberga, który stał się jej wielką miłością.

W czasie dwóch-trzech ostatnich rozmów ciotka opowiedziała mi zaledwie kilka fragmentów ze swojego życiorysu. O tym, że rozstrzelanie pierwszego męża naznaczyło ją na całe życie. Bała się stale o życie Jacka. Opowiedziała także o tym, że pewnego razu komendant szkoły Świerczewski dosiadł się do niej w pociągu podmiejskim z Moskwy i powiedział jej do ucha:

– *Dziewczyno, nie gadaj tyle na zebraniach*.

I na następnym przystanku wysiadł. Wielki strach był obecny wszędzie w Moskwie już w 1931 roku. Ciotka opowiadała mi o biedzie robotnic moskiewskich. Występowała na masówkach, mówiąc o przyszłości idei komunistycznej, a kobiety w przerwach podziwiały tylko materiał, z jakiego była uszyta w Polsce jej letnia sukienka. W Moskwie takiego nie widywano.

Od ciotki dowiedziałem się też, że Różański zbierał materiały o pogromie kieleckim. Przeciwko komu? Podobno miał je nawet w mikrofilmach. Ciotka nie potrafiła – czy też nie chciała – ich odnaleźć. Niejasne poszlaki wskazują na to, że Jacek mógł je przekazać komuś, kto w ramach emigracji 1968 roku wyjechał do USA. Ciotka zmarła w 1988 roku. Jej córka w 2010. Papiery po Różańskich zostały spalone. Co i kto palił nie wiem. W mieszkaniu ich córki Stefki w Krakowie zostało zaledwie kilka fotografii.

Na prośbę ciotki zabrałem do niej raz – chyba w 1982 roku? – mojego młodszego syna, małego Karola, wtedy może pięcioletniego. Bawił się tam z małym pieskiem, nieświadom u kogo jest. Moja żona Maria złościła się na telefony Beli:

– *Mówi cioteczna babka.*

Maria nie chciała słyszeć o takich krewnych. Miała dodatkowe powody. Jej ojciec, dyplomata rządu londyńskiego, niebacznie powrócił po wojnie do Polski. Osadzono go bezprawnie pod błahym pretekstem w więzieniu. Młoda matka Marii, chora na serce, zmarła po aresztowaniu męża. Paroletnie dziecko błąkało się po ludziach do czasu przyjazdu z Austrii babci – matki jej matki. Jak opowiadała mecenas Walentyna Markowska-Gałach (1911–2007), poszła razem z małą Marysią na interwencję do Różańskiego na ulicę Koszykową – do Ministerstwa Bezpieczeństwa. Pułkownik popatrzył na dziewczynkę i podobno powiedział:

– *Jest podobna do mojej córki.*

Stanisława de Rosseta zwolniono z więzienia.

Z kolei moja siostra stryjeczna Stefka demonstracyjnie nie interesowała się moimi synami. Miała mi za złe totalne potępienie jej ojca.

Z tragicznymi splotami układów rodzinnych nie zawsze sobie radziłem.

Córka Jacka i Beli była równie piękna jak niegdyś matka, lotna i inteligentna. W niejasnych okolicznościach została kiedyś pod Warszawą napadnięta i ciężko pobita. Czy wiedziano, czyją jest córką? Nie wiem. Ale po tych przejściach straciła do reszty równowagę psychiczną. Nie mogła mieć dzieci. I mimo że ukończyła jakieś studia prawnicze, nie potrafiła zagrzać miejsca w żadnej pracy. Popadała w depresję, była leczona w szpitalach psychiatrycznych. Kontakt z nią bywał bardzo trudny. Pierwsze małżeństwo miała nieudane. Drugi mąż, Maciek Janiszewski-Żebrowski, uroczy, utalentowany, ale bardzo nerwowy chłopak, popełnił samobójstwo. Znałem go jeszcze jako malucha podczas okupacji. Mieszkaliśmy jesienią 1944 roku w chałupie u gospodarza Pawlaka w Jaktorowie pod Żyrardowem w jednym pokoju: dwie matki, dwóch chłopców. Ja jako ten starszy przynosiłem w zimie mleko ze wsi dla nas obu.

Kiedy w moim życiu pojawili się stryj i ciotka? Pierwsze moje świadome wspomnienie dotyczy listopada 1940 roku we Lwowie, kiedy to dorożką przyjechała Bela z małym zawiniątkiem. Wynajmowaliśmy wtedy dwa pokoje przechodnie u rodziny słynnego aktora Mieczysława Bonawentury Frenkla. W drugim pokoju, w którym ja gospodarowałem, położono zawiniątko. Był w nim noworodek, Stefania. Druga migawka jest już, jak ustaliłem na podstawie danych z książki Fijałkowskiej, z wiosny 1941 roku. Pamiętam, że ja – niespełna sześcioletnie dziecko – byłem zdziwiony, jak biednie mieszkali Jacek z Belą. Zajmowali ciemne pomieszczenie w długim parterowym szeregowcu z wyjściem na jakiś chyba szerszy trawnik. Na nim siedzieliśmy przed domem. Tyle migawka, może niedokładna, z mojej pamięci. Ale muszę od razu powiedzieć, że stryj i ciotka nigdy – także w Polsce Ludowej – nie dbali o swój prywatny dobrobyt.

Następny raz zobaczyłem Jacka dopiero w 1945 roku w Łodzi. Ale jakimiś drogami zdążył wcześniej przesłać mi wspaniały stary album „Świat w obrazach". Na albumie widnieje dedykacja *Kochanemu Jerzykowi – stryjek. Lublin 28.II.1945*. Ten album wstrząsnął mną, niespełna dziesięcioletnim

chłopcem, który z biedy okupacyjnej wyniósł tylko dwie skromne książki: „Strasznego dziadunia" Marii Rodziewiczówny i „Serce" Edmunda De Amicisa. Stryj wyłudził również dla mnie od jakiegoś swojego przyjaciela dwa przedwojenne klasery ze znaczkami pocztowymi. Chyba po prostu cieszył się, żeśmy ocaleli.

Może się cieszył podwójnie. W czerwcu 1941 roku uciekł z rodziną ze Lwowa, nie myśląc o swoim bratanku i jego matce. Niemcy zajęli Lwów błyskawicznie. Ojciec był w Kijowie i nie mógł już zdążyć z pomocą po wybuchu wojny 22 czerwca. Nas, uciekających, straże radzieckie w Tarnopolu zawróciły z powrotem, bo matka nie miała odpowiednich według nich dokumentów (tzn. radzieckiego paszportu). Tak zaczęliśmy gehennę okupacyjną. Jacek (jeszcze wtedy Goldberg) pracował jako tłumacz w NKWD. Mógł był pomóc. Nie zrobił tego. Ojciec miał mu to bardzo za złe. Podobno zawiesił z nim stosunki w początkach wojny. Ale potem, jak ustaliłem z dziennika frontowego ojca, zaczął jednak korespondować z bratem.

Informacje o napięciach między braćmi, o tym, że Jacek był „tylko" bratem przyrodnim, wymagają uściśleń.

Ojciec mógł uważać za konieczną i pożyteczną dla nowego systemu pracę w wywiadzie czy w policji, ale karierą brata się nie chlubił. Zdarzało mu się wykorzystywać ją dla wyciągania ludzi z więzień. Czy to w 1945 roku przed Stanisławem Witoldem Balickim, czy w roku 1948 francuskiej (wtedy komunistycznej) dziennikarce Dominique Desanti wspominał o Jacku jako o bracie przyrodnim. To określenie spotyka się i u niegdyś bardzo poczytnego pisarza Romana Bratnego, i gdzie indziej. Sprzyjała temu różnica nazwisk i wyglądu zewnętrznego. Jacek nie był podobny ani do ojca Abrahama, ani do brata, ani też – wbrew temu co sam twierdził – do najstarszej z rodzeństwa Judyty (Juli). Kreowaniu go jako brata przyrodniego sprzyjał i fakt, że po jego urodzeniu Abraham Goldberg rozszedł się z Anną Różańską. Starsze dzieci zostały przy nim. Konsekwentnie nie utrzymywał stosunków z byłą żoną aż do jej śmierci w 1927 roku. Kiedy Josek podrósł, zabrał go do siebie. I mimo różnych

przekazów, nikt z rozsianych po świecie krewnych Anny Różańskiej, z którymi rozmawiałem, nie nawiązał do tej sprawy. Córka Menachema Borejszy (brata Abrahama) Adah, która kilka lat chowała się w domu Abrahama Goldberga, zaprzeczyła temu jako plotkom. Rozmawiałem z nią, kiedy byłem u niej w Nowym Jorku w 1989 roku.

Wśród legend rodzinnych kołatały się opowieści o wszechstronnych uzdolnieniach Anny Różańskiej, a także o tym, że nie umiała czy nie chciała zajmować się domem i wychowaniem dzieci. Co więcej, że sama poleciła na swoje miejsce Ewę Glass z zasymilowanej inteligenckiej rodziny Żydów warszawskich.

Pani Ewa stała się lubianą i szanowaną przez dzieci macochą. Na staroświecką modłę dzieci zwracały się do niej per „Pani Ewo". Jula z powodu kalectwa, słabowity Jacek z wygodnictwa pozostali po śmierci dziadka razem z nią w mieszkaniu przy Chłodnej 17.

Moi rodzice przenieśli się do własnego małego mieszkania w Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej na tak zwanej trzeciej kolonii przy ulicy Krasińskiego w dzielnicy Żoliborz. Skupiło się tam wielu spośród polskiej lewicującej inteligencji.

Stryj i ojciec nie obracali się w tych samych kręgach towarzyskich, co mogłem stwierdzić po 1945 roku. Jacek nieco ironizował na temat nieżyciowego brata, który żył w nieustannym pośpiechu:

– *Nie poprawił artykułu. I już krzyczał: do drukarni!*

Jacek szczerze podziwiał talenty brata, jego wiedzę i kontakty intelektualne. Wspominał jak kiedyś, żeby mu pomóc w pisaniu pracy na wydziale prawa, Nioma (tak w rodzinie nazywano ojca – zdrobnienie od Benjamin) przez miesiąc nauczył się włoskiego. Sam Różański po odwołaniu z bezpieki jako dyrektor Państwowego Instytutu Wydawniczego snobował się na podróbkę brata, pijał z Markiem Hłasko, który nocował u niego w domu przy ulicy Narbutta 6. Bratał się z kilkoma chętnymi widocznie pisarzami, mimo że na jego widok w nowej roli niedawna więźniarka zasłabła w PIW-ie. Odwołanie Różańskiego z Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego i powołanie go najpierw do

radia, a potem na dyrektora PIW-u miało odwrócić uwagę od jego zbrodni? A może przesłaniało nie tylko zbrodnie Różańskiego, ale i jego rozkazodawców: Bolesława Bieruta i Jakuba Bermana. Czy tylko ich? Zapewne było tu jakieś sprzężenie zwrotne. Faktem pozostaje, że Różański bał się Bermana i go nienawidził. Wiedział o nim zapewne więcej niż znani dotychczas biografowie odpowiedzialnego jednocześnie za bezpieczeństwo i kulturę członka Biura Politycznego. Kogo bał się, z kolei, poza Stalinem, Berman? Nad wszystkimi komunistami, zwłaszcza pochodzenia żydowskiego, od dawna wisiał strach wykluczenia ze stalinowskiego zakonu, niemal zakonu religijnego wierzących w nieziszczalną utopię. Wisiał nad nimi strach śmierci z rąk towarzyszy mocniejszy niż strach przed śmiercią z rąk wrogów.

Kontrapunktem stosunków ojca z bratem jest scena ze szpitala rządowego przy ulicy Emilii Plater w Warszawie. Opowiedział mi ją w 1981 roku Mirosław Hegeman, dyrektor gabinetu ojca jako prezesa „Czytelnika". Są nagrania tej relacji. 1 stycznia 1949 roku ojciec doznał ciężkiego wstrząsu mózgu w wypadku samochodowym. Przez pewien czas się jąkał, źle kojarzył. Kiedy Mirek wszedł do sali, w której ojciec leżał w szpitalu, aby odwiedzić przyjaciela i szefa, ojciec krzyknął:

– *Mirek, uważaj! Wszędzie są ludzie Jacka!*

Hegeman tak skomentował to po latach: ojciec bał się, ale kogo i czego? Agentów bezpieki czy agentów osobistych Jacka? Uważał, że Jacek nadzoruje go? Po co? Czy było to prawdą? Ojciec po wypadku miał zachwianą równowagę psychiczną, były momenty, kiedy obawiał się zamachu na swoje życie. Można to było zauważyć.

A może Różański bał się, iż mogą brata zgładzić, że wypadek samochodowy nie był przypadkowy? Znał dostatecznie sowieckie metody. Może ulegał powszechnej wtedy szpiegomanii i postanowił brata chronić za wszelką cenę? Niebawem przecież, w marcu 1953 roku, przyjaciel ojca, francuski radykał Yves Farge miał zginąć w sfingowanym wypadku samochodowym w Tbilisi, po tym, kiedy zwrócił się z prośbą o spotkanie z uwięzionymi lekarzami pochodzenia żydowskiego (kremlowscy lekarze)

i spostrzegł paranoję systemu Stalina. Ale prawdę o tym wypadku ujawniono w Moskwie dopiero czterdzieści lat później.

Pułkownik polskiego wywiadu, dąbrowszczak Max Darewski (Minc), zmarły kilkanaście lat temu w Niemczech, opowiadał mi już na emeryturze we Frankfurcie nad Menem, że podobno między braćmi doszło w ostatnich miesiącach życia ojca do jakiejś scysji, kiedy zaczęto szykować procesy dąbrowszczaków. Mimo że ojciec nie brał udziału w wojnie domowej w Hiszpanii, to był tam czynny w latach dwudziestych. Utrwaliło się, co było prawdą, że nic co hiszpańskie nie było mu obce. Powszechnie wiązano go z ludźmi wojny domowej 1936–1939. Podobno chciano jakichś zeznań ojca, a wówczas ten spoliczkował Różańskiego. Po tym incydencie odstąpiono rzekomo od planów przesłuchania ojca, uznając, iż jest nieobliczalny i może tylko przysporzyć kłopotów. Można snuć – moim zdaniem – nieco fantasmagoryczne przypuszczenia, że jeśli w tym paranoicznym systemie ojcu groził jakiś proces, obaj bracia byli może zdolni, aby taką scenę odegrać, aby go ratować? Teresa Torańska pisze wprost o groźbie procesu.

W roku 1951 ojciec był już umierający. Lato spędzał w Rucianem. Pamiętam, że stryj zabrał mnie z wizytą do niego. Tym razem Jacek nie prowadził auta sam. Kierowca był zapewne jego obstawą. Gdy wyjeżdżaliśmy, ojciec dał nam dla matki kosz węgorzy. Nie uprzedził, że są żywe. Węgorze rozpełzły się niebawem po całym citroënie. Musieliśmy zatrzymać wóz, wyłapać je i porządnie zamknąć. Jacek podwiózł mnie pod nasze mieszkanie w alei Róż. Na piętro do matki nie wszedł.

73. Stary słownik Larousse'a

W moim „Ostańcu" rzadko piszę o żyjących przyjaciołach. Jakub Gutenbaum wspomniany jest tylko raz, w szkicu „Niedoszły samobójca" jako pasażer rozmawiający z kierowcą warszawskiej taksówki. Niestety, mój przyjaciel bardzo mały wzrostem i wielki hartem ducha, słusznie nazywany przez przyjaciół „małym wielkim człowiekiem", żywy jak iskra, dowcipny i utykający na jedną nogę po wojennych przejściach zmarł w grudniowym przedświcie 2017 roku. Miał osiemdziesiąt osiem lat. Ale dla mnie był symbolem żywotności, chodzącym dowodem na to, że można przejść przez piekło i próbować żyć z uśmiechem. To, co piszę o nim, to swoiste postscriptum do tej książki.

Przez kilka ostatnich lat rozmawialiśmy tylko przez telefon. Mieszkaliśmy na dwóch przeciwległych krańcach stolicy. Jakub cierpiał na chorobę Parkinsona i miewał kłopoty z wysławianiem się. Koniecznie chciał mi podarować bardzo stare francuskie wydanie encyklopedycznego słownika Larousse'a. Widząc, że nasze spotkanie nie dochodzi do skutku, powlókł się na pocztę i nadał książkę jako paczkę.

– *Tobie się jeszcze przyda.*

Czuł wyraźnie zbliżający się koniec. Ale doskonale pamiętał, że ja przygodnie kolekcjonuję słowniki. Dawno temu, kiedy byliśmy jeszcze sąsiadami, przeglądał u mnie francuski słownik biograficzne Vapereau z 1861 roku. Ten, z kolei, podarował mi Georges Bram. Georges i Jakub Gutenbaum – dzieci Holokaustu – poznali się latem 1961 roku i bardzo sobie przypadli do gustu. Jakub mówił po francusku, co upraszczało kontakt między nimi.

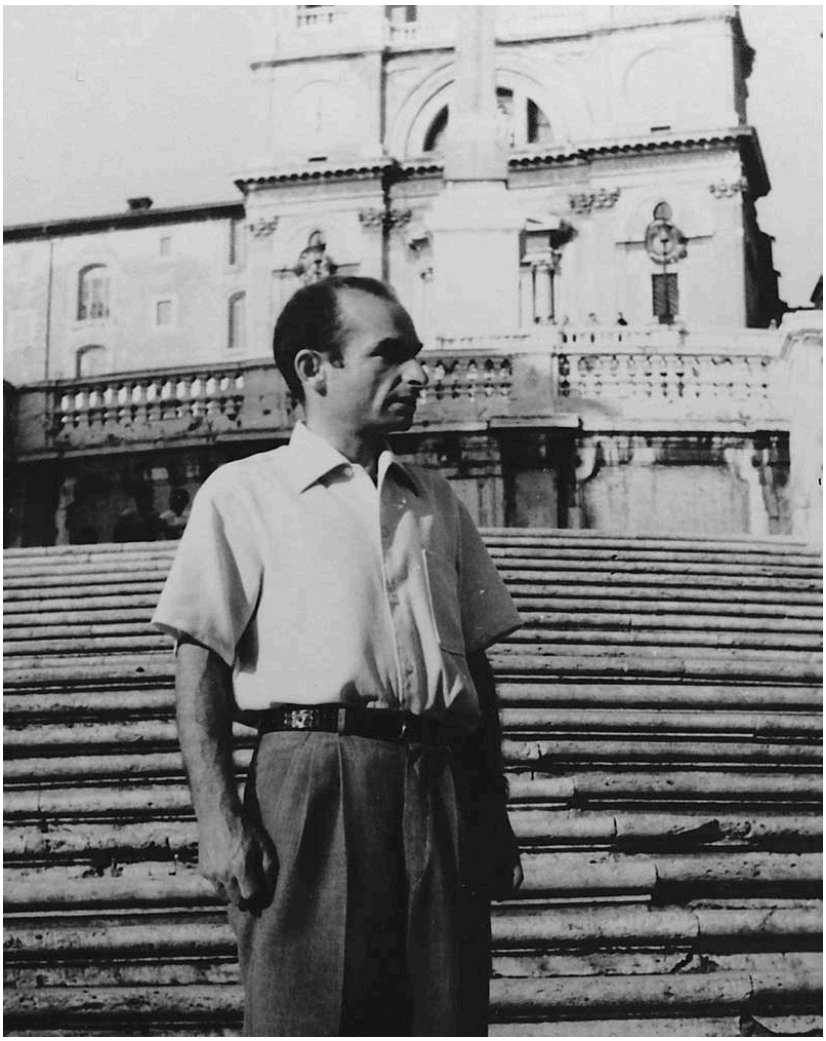

85. Jakub Gutenbaum, wieloletni przewodniczący Stowarzyszenia Dzieci Holocaustu w Polsce. Tu po wojnie na placu Hiszpańskim w Rzymie (ok. 1970).

Latem 1961 roku jeździliśmy z Bramem jego citroënem 2CV po Polsce. Chciałem mu jak najlepiej pokazać kraj jego przodków. Kiedy dotarliśmy na Warmię w okolice jeziora Jeziorak, lał ulewny deszcz. Pamiętałem nazwę wsi, do której udał się na wakacje Jakub z żoną. Postanowiłem go odnaleźć. Ale wieś ciągnęła się w nieskończoność. Bram był sceptyczny:

– *Jak ty go znajdziesz?*

Odpowiedziałem:

– *Szukajmy najbiedniejszej chałupy.*

Miałem rację. Skromny Jakub nie lubił rzucać się w oczy. Znaleźliśmy go. Tak zaczęła się znajomość Jakuba i Georges'a.

Co mógł mu Jakub opowiedzieć o sobie, najlepiej wyjaśni odpisana przeze mnie nota encyklopedyczna, którą współredagował:

Jakub Gutenbaum, polski inżynier żydowskiego pochodzenia, specjalizujący się w automatyce i robotyce, inicjator powstania i wieloletni przewodniczący Stowarzyszenia Dzieci Holocaustu w Polsce, urodził się w Warszawie (1929) w rodzinie żydowskiej, jako syn nauczycieli Arona i Rywy Gutenbaumów. Miał o trzy lata młodszego brata. Po rozpoczęciu okupacji Warszawy jego ojciec, obawiając się niemieckich represji, przedostał się na tereny zagarnięte przez Związek Radziecki. Deportowany na Syberię (Novosibirskaja oblast) zmarł z wycieńczenia w 1943.

W 1940 wraz z matką i bratem został przesiedlony do getta warszawskiego. Zamieszkali w mieszkaniu ciotki przy ulicy Franciszkańskiej 6. Rodzina utrzymywała się z pracy matki w Centosie oraz z wyprzedaży posiadanych rzeczy. Po pewnym czasie został zatrudniony jako goniec w Wydziale Szkolnym Gminy Żydowskiej, a później jako doręczyciel nakazów płatniczych.

Po zmniejszeniu obszaru getta Jakub Gutenbaum wraz z rodziną przeniósł się do mieszkania stryja na rogu ulic Zamenhofa i Niskiej. Podczas wielkiej akcji wysiedleńczej latem 1942 ukrywał się na strychu kamienicy, w której mieszkał, a następnie przy ul. Zamenhofa 24 w pokoju, którego drzwi były zamaskowane ciężkim kredensem. W tym czasie wywiezieni zostali i zamordowani w Treblince członkowie jego najbliższej rodziny: dwie siostry matki z rodzinami oraz dwie siostry i brat ojca z rodzinami. Po zakończeniu akcji wysiedleńczej Jakub Gutenbaum stał się jedynym żywicielem rodziny. Sprzedawał papierosy w bramie domu przy ul. Muranowskiej 44. Kolejną akcję wysiedleńczą w styczniu 1943 przeżył również w kryjówce przy ul. Zamenhofa. W tym okresie utrzymywał kontakt z syjonistyczną grupą ruchu oporu Akiba, której przywódcą był Lutek Rotblat. Pomagał mu w przeprowadzeniu udanego zamachu na agenta Gestapo Alfreda Nossiga.

Po wybuchu powstania w getcie wraz z matką i bratem ukrywał się w bunkrze przy ul. Zamenhofa. Była to piwnica z zamaskowanym wejściem, bez źródła wody

i prądu. 30 kwietnia lub 1 maja 1943 bunkier został zdekonspirowany, a osoby w nim przebywające pognane na Umschlagplatz. Po kilku dniach deportowano wszystkich do Lublina, skąd trafili do obozu koncentracyjnego na Majdanku. Tam Gutenbaum został skierowany do grupy mężczyzn zdolnych do pracy, zaś matkę z bratem zgładzono w komorze gazowej. Przebywał w obozie koncentracyjnym na Majdanku ponad dwa miesiące.

W lipcu 1943 został wysłany do obozu w Skarżysku-Kamiennej, gdzie pracował w fabryce amunicji przy rozbrajaniu pocisków przeciwlotniczych. Zachorował wówczas na tyfus plamisty. Podczas selekcji obozowej jako chory znalazł się w grupie osób do rozstrzelania. Życie uratował mu lekarz dentysta Alter Rozenberg.

W sierpniu 1944 obóz ewakuowano, a część więźniów zdolnych do pracy, w tym Gutenbauma, wysłano do Buchenwaldu. Stamtąd został deportowany do obozu w Schlieben, gdzie pracował w fabryce amunicji. Głód, ciężka praca i trudne warunki sanitarne doprowadziły do ropienia ran na jego nogach. Znalazł się w lazarecie, gdzie pomagał mu belgijski lekarz Horace Leleux z Ath, deportowany do obozu koncentracyjnego za udział w belgijskim ruchu oporu. Na kilka tygodni przed końcem wojny obóz zlikwidowano, a żydowskich więźniów przetransportowano do Theresienstadt. Obóz został wyzwolony przez Armię Czerwoną w maju 1945.

Po zakończeniu wojny znalazł się w żydowskim domu dziecka w Helenówku pod Łodzią. Następnie przez kilkanaście miesięcy przebywał we Francji i Belgii. Po powrocie do Polski zamieszkał w Warszawie u stryja, który przeżył wojnę w Związku Radzieckim. W 1955 ukończył Instytut Energetyczny w Moskwie i rozpoczął pracę w Polskiej Akademii Nauk. Doktorat (1962) i habilitację (1968) uzyskał na Politechnice Warszawskiej. W 1976 otrzymał tytuł profesora.

Nawet w okresach jawnego antysemityzmu w Polsce nie ośmielono się atakować antypartyjnego i bezpartyjnego Jakuba. Za prezydentury Aleksandra Kwaśniewskiego odznaczono go Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski. Przedstawiano go cudzoziemcom.

Kiedyś musiał wyjaśniać oficjalnej delegacji japońskiej, dlaczego wśród „Dzieci Holocaustu" tak wyraźnie przeważają dziewczynki: – *To z powodu obrzezania chłopców. – Niemcom było łatwiej ich identyfikować*. Tłumacz nie

poradził sobie ze słownictwem. Przerażeni Japończycy zrozumieli, że chłopcom wierzący Żydzi ucinali cały członek. Jakub musiał wyjaśniać nieporozumienie. Bardzo lubił powtarzać tę historię.

74. „Przyszywany” wuj

Mój przyszywany wujek we Lwowie i Buczaczu nosił paskudne imię. Ale to imię bardzo pomagało pod okupacją niemiecką. Adolf Capf (rocznik 1895) był dwujęzyczny. Pochodził z Łodzi, ze spolonizowanej rodziny niemieckiej. Był wykwalifikowanym robotnikiem, znał się na włókiennictwie, na księgowości, znał, jak się okazało już po roku 1945, esperanto i inne języki. Ale przede wszystkim był starym aktywistą w polskim i niemieckim ruchu robotniczym: w socjaldemokracji polskiej i niemieckiej, w Komunistycznej Partii Polski.

Uważał za swój obowiązek chronić matkę i mnie, przedstawiając nas w Buczaczu jako rodzinę. Matka w sfałszowanych dokumentach nosiła to samo nazwisko panieńskie „Jaskólska”, co jego żona. Przez kilka miesięcy mieszkaliśmy razem z nim, jego młodszą o lat ponad dwadzieścia żoną Halinką, ich małym dzieckiem oraz dorosłą córką z pierwszego małżeństwa Gretą. Nasza kamienica stała na wzgórzu nad rzeką Strypą. Pamiętam stamtąd zimę 1941/1942 i wiosnę 1942 roku. Chłodno bywało i bardzo głodno. Kiedyś przez kilka tygodni jadłem tylko podpiekane w plastrach na płycie kuchennej buraki cukrowe.

Rozchorowałem się na czerwonkę. Schodząc z naszego drugiego piętra natknąłem się na dole na rówieśnika z parteru, Ukraińca, który powoli smakował chleb ze smalcem. Uderzyłem go. Kromka wypadła mu na schody. Poszedłem dalej. Była pewnie w tym odruchu podświadoma nienawiść głodnego do sytego. Rodzice chłopca nie zrobili z tego sprawy. A kamienica zrozumiała. Nasza młoda sąsiadka, romansująca z jakimś niemieckim wojskowym, przyleciała do nas z tacą ciastek dla głodnego chłopca. Matka i Adolf nie pozwolili na ten szok żywieniowy.

Z czego żyliśmy wtedy? Adolf pracował jako księgowy w ośrodku maszyn rolniczych. Dwujęzyczna Greta była zatrudniona w zarządzie miasta. Halinka miała dopiero co urodzone niemowlę przy piersi. Matka prowadziła gospodarstwo. Co utkwiło mi w pamięci? Zapamiętałem, jak w rozgwieżdżoną noc zimową Adolf zabrał mnie na wieś ukraińską. Wracaliśmy stamtąd niby niefrasobliwie. Siedziałem na sankach. Adolf rozłożył równomiernie pode mną kawałki rąbanki przykryte kocem. Było chyba po godzinie policyjnej. Ukraińscy policjanci zatrzymali nas pod samym domem. Z wrażenia zsikałem się w spodnie. Adolf odesłał mnie do domu, a sam poczłapał po śniegu z policją. Wrócił rano. Chyba ocaliły go znajomości Grety.

Ale znajomości Grety miały swoje granice. Ojciec mój był już osobą publiczną. Matkę jako jego żonę rozpoznali w Buczaczu jacyś pracujący dla władz niemieckich Polacy przybyli ze Lwowa. Uciekliśmy przez Lwów, Kraków do Warszawy. Z tej podróży zapamiętałem zmierzch nad dworcem kolejowym w Buczaczu i jakieś pohukujące tam czy gruchające ptaki.

Ze Lwowa została mi, z kolei, uśmiechnięta twarz Karola Kuryluka. Nie miałem jeszcze siedmiu lat. Dał mi dla zajęcia uwagi jakąś mechaniczną zabawkę. Ułożono mnie na kanapie i zamknięto. Zdaje się, że poszli wtedy z matką na założycielskie zebranie Polskiej Partii Robotniczej. Wiem, że byliśmy we Lwowie bardzo krótko. Obecność matki na tym zebraniu wynika z relacji, jakie składała oficjalnie po wojnie.

Z Buczacza utkwił mi na całe życie obraz owej nieszczęsnej gwiaździstej nocy zimowej i zaraz obok radosne, ukwiecone brzegi rzeki Strypy, kiedy wybuchła wiosna. Takich wielokolorowych, naturalnych dywanów kwietnych jak na Ukrainie nie widziałem potem nigdzie.

Adolf Capf i Karol Kuryluk pozostali w moim dorosłym życiu. Z opowieści zasłyszanych, nie ręczę jak dalece dokładnych, niemłody już, solidny Adolf we Lwowie w latach sowieckich 1939–1941 zajmował się księgowością w jakiejś fabryce spirytualiów. Podliczając kolumny cyfr, doszedł do wniosku, że w Kraju Rad fałszują alkohole. Zameldował się z tym odkryciem u dyrektora fabryki. W nagrodę chyba został usunięty

z pracy. Podobna historia, choć bardziej elegancko załatwiona, przydarzyła mu się po 1945 roku jako ekspertowi w sprawach włókienniczych.

W 1984 roku Adolf i Halina Capfowie zostali uhonorowani przez Yad Vashem jako Sprawiedliwi wśród Narodów Świata. Matki i mnie nie ma w motywacji tego wielkiego wyróżnienia. Są nazwiska paru Żydówek, które ukrywali po naszym wyjeździe w 1943 roku.

Życiorys Adolfa nie jest łatwy do odtworzenia. Po wyparciu Niemców sprawował z ramienia Armii Czerwonej funkcję pierwszego zarządcy Buczacza. Przez dwa tygodnie. Potem Niemcy odbili miasto i Adolf musiał się ukrywać. Po wojnie powrócił do rodzinnej Łodzi. Miał z Halinką troje dzieci. Młodsze już kiedy był po pięćdziesiątce.

Adolf dbał o zdrowie. Do późnych lat uprawiał codzienną gimnastykę, brał zimne prysznice. Czytał. Mam jego długi list, w którym ocenia moje pierwociny historyczne.

Któregoś dnia – chyba wiosną 1971 roku – byłem z moją młodziutką, inteligentną i ładną przyjaciółką Marią w mieszkaniu matki w Warszawie. Stukanie do drzwi. Z początku ciche, potem głośniejsze. Gość nie użył dzwonka. Otwieram drzwi. W progu misiowaty, barczysty Adolf. Zbliżał się wtedy do osiemdziesiątki.

– *Witaj, Jerzyku. Ewa jest w domu?*

– *Niestety, na urlopie.*

– *No tak.*

Adolf zobaczył za moimi plecami młodą osobę. I natychmiast:

– *Wiesz, nie zastałem córki w domu. Ale nie będę przeszkadzał. Uciekam.*

– *Zostań. Może zrobić ci herbaty?*

Adolf został.

– *Czemu nie użyłeś dzwonka?*

– *Ach, wiesz, stare głupie przyzwyczajenie, żeby zbytecznie nie hałasować.*

Postanowiłem w pełnej krasie przedstawić mojej narzeczonej, jak wyglądają weterani ruchu robotniczego.

– Po co przyjechałeś z Łodzi?

– A, czasem zjawiam się na zebraniach Związku Bojowników o Wolność i Demoracje.

Ta w założeniu zacna kiedyś organizacja od lat sześćdziesiątych stała się dźwignią władzy komunistycznego nacjonalisty i antysemity, generała Mieczysława Moczara (1913–1980).

– Dzisiaj właśnie wchodzę na zebranie – mówił Adolf – *a Mietek wita mnie otwierając potężne ramiona i woła: – To jest towarzysz Capf, który w więzieniu w Łęczycy uczył nas przed wojną algebry! – Jakiej algebry, Mietek* – mówię – *jakiej algebry! Czterech podstawowych działań arytmetycznych.*

– A Gomułka? – zapytałem.

– Co Gomułka – obruszył się Adolf. *– Już grubo przed wojną uchwaliliśmy, że do pracy partyjnej się nie nadaje. Co najwyżej do związkowej. Widzisz, co narobił w Gdańsku! Użył broni przeciwko klasie robotniczej! Nie ma teraz przywódców wysokiego lotu, takich jak Róża Luksemburg czy Karol Liebknecht.*

– A Walter Ulbricht? – prowokowałem dalej „przyszywanego" wuja, chcąc się popisać przed dziewczyną.

– Ulbricht? To mięczak. Mieszczuch. Byłem w latach dwudziestych u niego w mieszkaniu: cztery pokoje, antyki. Czy tak mieszka komunista?

Wieczorem, żegnając się ze mną, Adolf mruknął:

– Jadę jeszcze na lotnisko.

– Po co?

– Umówiłem się tam w pewnej sprawie z towarzyszami z Wietnamu.

Mogłem wyczuć, że na stare lata mój „przyszywany" wuj przeniósł swoje sympatie na „prawdziwych komunistów" azjatyckich.

75. Bronek i Zosia

Matka zachowała z przedwojnia kilka trwałych przyjaźni. Były to przede wszystkim ocalałe pielęgniarki z żydowskiego szpitala na Czystem w Warszawie. Z tym kręgiem związany był Bronisław Elkana Anlen, znakomity technik dentystyczny. Chłopak z żydowskiej biedoty z warszawskiej dzielnicy Nalewki, która była przysłowiowym zagłębiem nędzy, brudu i zacofania, miał niesłychany talent w rękach. Fachu wyuczył się przed wojną podobno u znanego w Warszawie chirurga stomatologa Jerzego Edwarda Luksemburga (1898–1940), bratanka Róży Luksemburg. Jerzy Edward zginął w Katyniu z rąk NKWD. Nie był to przypadek. Spolonizowana rodzina Róży Luxemburg miała swoje zasługi dla odrodzonej po 1918 roku Polski. Bronek głodny wiedzy uczęszczał do Wolnej Wszechnicy Polskiej, prywatnej szkoły wyższej. Pisał tam u słynnego socjologa Ludwika Krzywickiego pracę o prostytucji na Starym Mieście w Warszawie na podstawie obserwacji bezpośrednich. Stary już wówczas Krzywicki napominał go złośliwie:

– *Tylko niech pan się zbytnio nie zagłębia w temat...*

Bronek miał żonę i młodszą ode mnie o parę miesięcy córkę. Obie zginęły w getcie. On sam ocalał cudem. Osadzony w więzieniu na Pawiaku, został przez innego więźnia – księdza Anatola Sałagę – przysposobiony na ministranta. Był obrzezany i łatwy do zidentyfikowania. Po prostu miał szczęście.

Ksiądz Sałaga, starszy od Bronka, zaczynał swoją drogę życiową w Legionach Piłsudskiego. W 1945 roku z I Armią Wojska Polskiego dotarł do Szczecinka, gdzie został pierwszym powojennym proboszczem. Jest uwieczniony w kronikach miejskich. Z Pomorza czynił czasem wypady do Warszawy. Braterstwo broni tych dwóch tak różnych ludzi, byłych

więźniów Pawiaka, było wzruszające. Raz na prośbę Bronka zaprowadziłem księdza na film „Giuseppe w Warszawie". Ta komedia o włoskim żołnierzu zabłąkanym w okupowanej Polsce nie za wiele mówiła o grozie minionej wojny. Ale ksiądz Sałaga po wyjściu z kina dobrotliwie kiwając głową, powiedział:

– *Tak też bywało.*

Bronek przepadał za małymi dziećmi, umiał się z nimi bawić. Ochoczo godził się na siedzenie przy naszych dwóch przedszkolakach, jeśli chcieliśmy wieczorem wyskoczyć do teatru. Własnych dzieci po wojnie już nie miał. Pomagał za to finansowo dziesiątkom młodych ludzi, sierot polskich, żydowskich i żydowsko-polskich. Zarabiał świetnie, ale dobra materialne po przeżyciach wojennych były mu całkiem obojętne. Ubierał się niedbale, auta nie miał, pieniądze rozdawał. Zmarł w lutym 1984 roku. Został nagle częściowo sparaliżowany po wylewie. Umierał z pełną świadomością przez wiele dni. Kiedy przychodziłem do niego do szpitala, powtarzał:

– *Nie przychodź. To nie jest widok dla ciebie.*

Traktował mnie, mężczyznę bez mała pięćdziesięcioletniego, jak smarkacza.

Byłem wykonawcą jego nienapisanego testamentu. Pozostałe po Bronku pieniądze przekazałem na mieszkania dla niewidomych dzieci opuszczających zakład w Laskach. Bronek jeździł czasem do zakonnic prowadzących ten niezwykły ośrodek. Mogłem domniemywać, że taka byłaby jego wola.

Na pogrzeb Bronka na cmentarzu żydowskim na Okopowej ludzie stawili się tłumnie. Jeszcze trzydzieści lat później na grobie tego człowieka, który w Polsce nie ma żadnych krewnych, co roku pamiętający kładą kamyczki i kamienie, nadal dużo kamieni.

Bronek był komunistą ponad dwadzieścia lat. Ale kiedy dowiedział się o zbrodniach Stalina i zobaczył zdławienie rewolucji węgierskiej 1956 roku, wystąpił ze swojej partii. Był niezwykle prawdomówny. Z obsesyjną natarczywością toczył spory o to, aby nie idealizować stosunku

społeczeństwa polskiego do Żydów podczas drugiej wojny światowej. Pisał o tym, co widział w czasie powstania warszawskiego, o nie zawsze chlubnej roli Armii Krajowej, zebrał o tych sprawach listy od jej przywódców, w tym od więźniów gestapo i więźniów z czasów stalinowskich. Ale uważał, że są to sprawy wewnętrzne obywateli polskich.

Po niesławnym roku 1968, po nagonce antysemickiej, odnalazła go grupa dalekich powinowatych z Izraela. Pojechał w odwiedziny. Postanowił zobaczyć i ocenić z bliska państwo i społeczeństwo Izraela. Podczas jednego ze spotkań powinowaci zaczęli potępiać w czambuł wszystko, co polskie. Bronek uniósł się honorem, obraził za Polskę i wyjechał przed czasem z Izraela.

Droga powrotna wiodła przez Neapol. Kiedy dotarł do Warszawy, poleciałem zobaczyć, co się z nim dzieje. Bronek nie chciał mówić. Ale nagle wypalił:

– Co za złodziejstwo w tym Neapolu!

– O co ci chodzi?

– Wyobraź sobie: w porcie fotograf zrobił mi zdjęcie na pamiątkę. Zapłaciłem. Dał kwit. Miałem odebrać następnego dnia odbitkę. Oczywiście w umówionym miejscu nikogo nie było. Rozglądałem się przez dwa dni. Szukaj wiatru w polu! Tacy są Włosi!

– Nie znasz Włochów. Są sentymentalni i szanują tytuły. Spróbujemy zagrać na tej strunie.

Napisałem w imieniu Bronka łzawy list do mera Neapolu: *Ja, stary profesor u schyłku swych dni postanowiłem odwiedzić miasto Neapol i oto jak zostałem pozbawiony najdroższej mi pamiątki z najpiękniejszego z miast…*

Nie uwierzycie… Po kilku tygodniach odbitka nadeszła z krótkim listem mera Neapolu. Leży teraz w moim archiwum.

Odtąd nieraz przychodząc do Bronków na ulicę Marszałkowską 18, już od progu witałem się słowami:

– Ja stary profesor u schyłku swoich dni postanowiłem odwiedzić miasto Neapol…

Piszę „do Bronków". Bowiem po okupacji niemieckiej Bronek zszedł się w związku partnerskim, jak byśmy dzisiaj powiedzieli, z Zosią Hampel. Zosia – świetny lekarz pediatra i dentystka – była damą z innego świata, ze świata zasymilowanej w polskości burżuazji pochodzenia żydowskiego. Jej ojciec miał fabryczkę czekolady. Mógł jej opłacić studia na dwóch wydziałach. W młodości grała w tenisa i została jego fanką na całe życie. Nie wiem, jak Zosia trafiła do getta. Nie wiem, w jakich okolicznościach straciła tam córkę i syna – dzieci uczęszczające już do szkoły. Po ocaleniu nigdy się o tym nie mówiło. Z osiłkiem z biedoty żydowskiej musiała zbliżyć tę wytworną kobietę wspólnota tragedii gettowej. I jeszcze jedno: umiłowanie muzyki klasycznej. U Bronków poznałem kilku znanych pianistów, między innymi Raula Koczalskiego.

86. Radość z odnalezionych po wojnie przyjaciół. Od lewej stoją: Ewa Borejszyna, Bronisław Anlen, Zofia Hampel, siedzą: Leon Rozen-Anlen i autor (ok. 1950).

Moi mali synowie uwielbiali „jazdy" na fotelu dentystycznym cioci Zosi – podnosili się i opuszczali na przemian za pomocą pedału. Przymusowe wyprawy z Bronkami do Filharmonii nie zawsze do nich przemawiały. Zosia znosiła cierpliwie dziwactwa i niechlujstwo Bronka. W jego pokoju bibliotecznym książki leżały na podłodze, zwalone do wysokości pół metra. Nie wiadomo, jakim cudem zalęgła się tam i ukrywała ku uciesze dzieci biała mysz.

Bronek coraz bardziej nudził się formowaniem protez zębowych, coraz częściej zalegał z terminami wykonania prac. Pochłaniało go badanie

historii Żydów podczas drugiej wojny światowej. Zbiór pięciuset książek po nim przekazałem do Muzeum Historii Żydów Polskich. Są tam białe kruki. Bronek mocno kibicował mojej karierze historyka. Pomniejsze artykuły i większe książki określał na ogół zbiorczą nazwą „przyczynki".

– *Wyjdź ze mną na spacer i opowiedz, jaki przyczynek piszesz.*

Założywszy ręce na plecach maszerował po Alejach Ujazdowskich, stawiając wielkie kroki i dopytując się, czy aby zebrałem wszystkie potrzebne dokumenty.

Dosyć późno zorientowałem się, że za moimi plecami wykupywał moje książki i rozsyłał po całym świecie swoim znajomym. A znajomych miał wielu.

Należał do nich znany stary historyk Artur Eisenbach, autor podstawowych książek o Żydach polskich w XIX wieku. W pewnym momencie zauważyłem, że Eisenbach zaczął regularnie raz na tydzień bywać u Bronka. Znikoma ilość zębów historyka nie usprawiedliwiała tak częstych wizyt. Ale nie o leczenie tu chodziło. Jak mnie poinformował ktoś po cichu: Bronkowi złamała się igła w zębie mądrości Eisenbacha i odłamek wyciągał stamtąd podobno za pomocą magnesu przez długie miesiące. Jak twierdzili złośliwi, Bronek przemyślnie zapewnił sobie bezpłatne konsultacje zawodowego historyka.

Pozostała po Bronku pamięć o wielu jego dokonaniach charytatywnych i kilka szkiców historycznych, głównie o Pawiaku. Cyzelował je latami. Jego bratnią duszą z innej półki wydaje się Grand w „Dżumie" Camusa, stale zaczynający od nowa pierwsze zdanie opowieści.

76. Babcia Feo

Teodora Lazarewić-Petrović, primo voto Lesiecka, secundo voto Niesiołowska istnieje w moim życiu jako Babcia Feo. Była jedną z najbarwniejszych postaci, jakie spotkałem na swojej drodze. A wszystko zaczęło się od tego, że w lipcu 1968 roku zakochałem się w pięknej jak marzenie literackie Marysi de Rosset, studentce historii, która usiadła koło mnie w autobusie kierującym się z Warszawy na wycieczkę objazdową historyków przez Rumunię i Ukrainę. Maria została cztery lata później moją żoną i matką naszych dwóch synów. A niejako w posagu wniosła między innymi swoją babcię, która zastępowała jej zmarłą przedwcześnie w jej przedszkolnych latach matkę. Babcia przedstawiała ją zresztą omownie: to jest dziecko mojego dziecka.

Babcia Feo była Austriaczką w całym tego słowa znaczeniu. Wychowała się w Wiedniu u dziadka, znanego generała. Wśród jej przodków znalazła się większość narodów upadłej monarchii naddunajskiej: Serbowie, Czarnogórcy, Rumuni, Albańczycy, a nawet jedna węgierska mieszczka o nazwisku Horvath. O tej mieszczańskiej domieszce babcia mówiła z błyskiem ironii w oku. Ironia adresowana była do nieobecnych arystokratycznych przodków Feo, na przykład książąt mołdawskich Ghica lub królewskiej rodziny z Czarnogóry, Petroviciów-Niegoszów. Dla mnie Ion i Dimitrie Ghica, rumuńscy premierzy, byli niemal żywymi postaciami z ostatnich dziesięcioleci XIX wieku. Pisałem o nich w mojej książce „Sekretarz Adama Mickiewicza", zanim jeszcze poznałem Babcię Feo.

Z kolei papiery dynastii Niegoszów przeglądałem jeszcze jako student w archiwach Moskwy. Dla mnie uosabiali bohaterstwo Czarnogórców, których nigdy nie udało się do końca ujarzmić Turkom. A Feo pokazywała mi zdjęcia domostw przy błotnistej drodze w Cetinje i śmiała się, mówiąc

o standardzie życia czarnogórskich kuzynów: – *U tych pastuchów spędzałam wakacje.*

Patrzyła na nich oczyma dziewczyny z cesarskiego Wiednia. Urodzona w roku 1895 stała się młodziutką, chyba ostatnią, damą dworu cesarza Franciszka Józefa. Ciemnowłosa drobna piękność trafiła na okładki niemieckojęzycznych żurnali. Nie dziwiłem się temu: mieszanka wielu narodowości dawała przepiękne rezultaty.

Donnerstag, 7. Juli
Der Welt Spiegel
Illustr. Halbwochen-Chronik des Berliner Tageblatts
Fräulein v. X., eine bekannte Schönheit der Wiener Aristokratie

87. Okładka berlińskiego magazynu ilustrowanego z fotografią młodziutkiej frejliny na dworze Franciszka Józefa – Teodory Lazarewić-Petrović (1910).

Głoszono nad Dunajem ideę zgodnego współżycia narodów i wyznań. Prawosławna w młodości Feo pobierała nauki w znanej w Wiedniu szkole

Notre Dame de Sion, przyjmującej dziewczęta różnych wyznań, założonej przez Zgromadzenie Sióstr Matki Bożej Syjonu.

Dla mężów Polaków Feo wyuczyła się polskiego. Mówiła nim bardzo płynnie, czasem jednak przekręcając słowa. Znał ją dobrze w międzywojniu ziemiański Kraków. Wiem o tych czasach niewiele.

Ktoś ze starych krakowian opowiadał mi, że Feo Niesiołowska wsławiła się, wpadając do jednego z klubów z okrzykiem:

– *Słuchajcie! Potocki zerżnął swoją żonę!*

Chodziło tu o słynne zabójstwo i Feo chciała oczywiście powiedzieć „zarżnął".

W czasie wojny w Budapeszcie obracała się wśród polskich oficerów, co skończyło się aresztowaniem, wędrówką po obozach i wywózką do Auschwitz. Tam poddano ją doświadczeniom medycznym. Odszkodowanie z tego tytułu dostała w ostatnich latach życia. Rozmarzała się w rozmowach ze mną:

– *Teraz kupię auto. Tobie sprawię liberię i będziesz mnie woził.*

Po wyzwoleniu Oświęcimia ważyła zaledwie trzydzieści cztery kilo. Zgłosiła się na wyjazd do Austrii przez żydowską organizację Joint.

Koleżanki obozowe, Żydówki, zwracały jej uwagę:

– *Pani Niesiołowska, pani nie jest Żydówką.*

– *Z takim nosem?!* – odpowiadała babcia, wskazując na swój dynarski organ powonienia.

Kiedy poznałem Feo, była chodzącą o lasce starszą panią, dzielącą czas między Wiedniem i Warszawą. Była pełna tolerancji dla ludzi i świata. Za dużo widziała i przeżyła. Jej ulubionymi wtrętami z austriacka było: „das ist mir Wurst" lub „Schmarren", czyli jest to mi obojętne, bzdury, bez znaczenia. Z dawnych majątków i świetności pozostało jej niewiele. W Warszawie kupiła sobie kawalerkę. W Wiedniu korzystała z gościny u swojej byłej dozorczyni oraz u kuzynki Isabelli von Schmidt, wdowy po austriackim generale wcielonym do niemieckiego Wehrmachtu.

Z kilku jej ocalałych obrazów rodzinnych w oczy rzucał się portret serbskiego biskupa prawosławnego, Stefana Stratimirovića (1757–1836), który odegrał znaczną rolę w serbskim ruchu narodowym, wspierając powstania 1804 i 1815 roku, zakładając szkoły i uczelnie. W przekazie Babci Feo tę wybitną postać nazywano „kozłem" ze względu na jego skłonność do płci pięknej.

Feo uznała mnie za rokującą partię dla wnuczki i okazywała mi swoją życzliwość. Po naszym ślubie z Marią w Rzymie, gdzie byłem czas dłuższy jako stypendysta, przyjechała z wizytą. Była nieco podenerwowana przez swoich znajomych Żydów wiedeńskich, właścicieli dużego sklepu z futrami. Dowiedziawszy się o ślubie jej wnuczki ze mną, mieli jej powiedzieć, że według ich hierarchii ja, jako wnuk Abrahama Goldberga, popełniłem mezalians.

88. Ponad sześćdziesiąt lat później babcia Teodora z wnuczką na ulicy w Rzymie (1972).

– *Czy ty, Jureczek, też tak myślisz?*

– *Ależ Feo* – odpowiedziałem zgodnie z prawdą – *to dla mnie wielkie szczęście i zaszczyt.*

Nie doczekała o trzy miesiące do narodzin pierwszego prawnuka. Zmarła po nagłym wylewie nieomal na moich rękach, w szpitalu w Otwocku. W ostatnich godzinach życia mówiła już tylko po niemiecku.

Zdążyła mnie uprzedzić, że jeśli nasz syn będzie miał znamię na udzie, będzie to dowodem jego arystokratycznego pochodzenia od dynastii Nassau. Drugi z naszych synów ma takie znamię. Ale tę dziwną informację wkładam jednak między bajki.

77. Wuj mojej żony

Był rok 1995. Późne lato. Na późnym urlopie poznałem wuja mojej żony. Skończył wtedy lat osiemdziesiąt, a ja sześćdziesiąt. Poznaliśmy się na piaszczystej ulicy kaszubskiej wsi. Daleko od Warszawy. O zmierzchu.

Wuj mojej żony Katarzyny – Jerzy Krąkowski – ożeniony był z siostrą jej matki Aleksandrą. Katarzyna przypomniała sobie nagle, podczas urlopu na Kaszubach, że jej wujostwo od lat spędzają wakacje u znajomych Kaszubów, namiętnie zbierając grzyby. Telefony komórkowe nie były jeszcze w użyciu, a nazwę ich miejscowości wczasowej pamiętała, jak się okazało, niezbyt dokładnie. Wdzydze Kiszewskie? Kiszewo? Stara Kiszewa? W tej ostatniej w jedynym czynnym sklepie wypytywaliśmy o parę bardzo wysokich, nobliwych starszych ludzi. (Urodziwy wuj Jerzy miał 1,93 m wzrostu. I 64 kilo wagi). Panna sklepowa nie spostrzegła nikogo takiego. Kilka godzin później okazało się, że była tam tylko na zastępstwie i nie miała rozeznania. Po stu kilkudziesięciu kilometrach błąkania się po Kaszubach zdecydowałem się zajechać do nadleśnictwa w Kościerzynie. Gościnnemu nadleśniczemu nazwiskiem Francuz wywiodłem zaraz jego genealogię od ciągnących „duktem napoleońskim" spod Moskwy rozbitków Wielkiej Armii. Oczywiście były to czyste zmyślenia. Ale wdzięczny nadleśniczy rezolutnie nakazał obdzwonić wszystkie leśniczówki w okolicy. Wreszcie znaleźliśmy. Wróciliśmy o zmierzchu do miejscowości, w której już byliśmy.

Wuj jawnie ucieszył się na mój widok. Jął mnie to poklepywać po ramieniu, to brać nieomal pod boki. Dużo później dowiedziałem się, że mógł być to nawyk z czasów, kiedy po 1945 roku zajmował się skupem świń. I tego wytwornego ziemianina przyuczono, jak mierzyć niepostrzeżenie palcami grubość świńskiej słoniny…

Wuj był zadowolony, bo w rodzinie złożonej z samych kobiet nareszcie pojawił się jakiś mężczyzna. A wychowany na Polesiu w klimacie patriarchalnym wuj o pewnych sprawach rozmawiał tylko z mężczyznami. A o niektórych w ogóle nie rozmawiał. Na jego pogrzebie w mroźny lutowy dzień roku 2003 pojawiły się trzy panie zachowujące się jak wdowy (ciotka zmarła nagle w roku 1997). Po ceremonii szybko opuściły cmentarz, nie witając się z nikim.

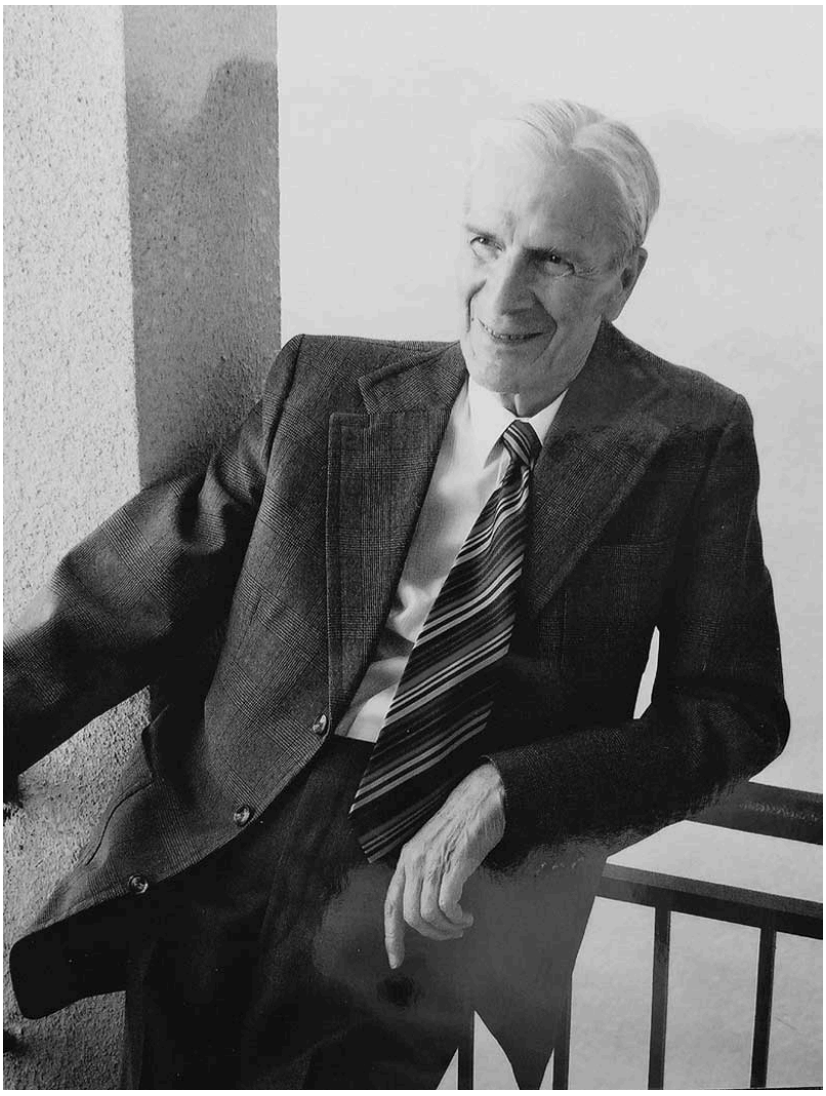

89. Jerzy Krąkowski – życiorys od Andersa do Gierka (2000).

Kilka tygodni przed śmiercią, zanim poszedł do szpitala, spędził wuj trochę czasu u nas w mieszkaniu. Pewnego dnia odwołał mnie na rozmowę

w cztery oczy:

– *Muszę przed śmiercią zwierzyć się z czegoś, co mi ciąży na sumieniu. Tymi rękami zadusiłem kiedyś człowieka.* – Wuj wyciągnął przed siebie długie wypielęgnowane dłonie.

– *A było tak. W 1939 roku, w parę tygodni po klęsce wrześniowej znalazłem się z moją siostrą cioteczną, córką Andersa, u jej ojca w szpitalu we Lwowie. Trzymało go tam, jak wiesz, NKWD. Andersa znałem doskonale. Był wtedy mężem siostry mego ojca, mojej ukochanej ciotki Ireny, którą zresztą niegodnie porzucił po wojnie. Lubiłem go. Anders podał mi wtedy jakieś namiary kontaktowe do Warszawy i powiedział: „Szkolono cię w wojsku inaczej, ale teraz będziesz pewnie w wywiadzie". I tak się stało. Wróciłem do Warszawy. Przed wojną szkolono mnie w japońskich sztukach walki. I wyobraź sobie, w jakimś momencie dostałem rozkaz przechwycenia dokumentów ze sztabu niemieckiego pod Warszawą. A żeby się tam dostać, musiałem „zdjąć" wartownika. I tak zabiłem człowieka. To mi ciąży do dzisiaj.*

Wuj był oficerem AK. Pokazał mi kiedyś okładkę tygodnika „Stolica" ze swoim zdjęciem z czasów powstania. I uśmiechając się powiedział: *W latach sześćdziesiątych można było już o tym mówić, ale nikt nie zorientował się, że byłem w wywiadzie AK. O tym mówię dopiero tobie. UB o tym też nie wiedziało. Podlegałem bezpośrednio Londynowi. Tu są odznaczenia, które dostałem z Londynu.*

Po wojnie wuja mojej żony poinstruował jego dziadek cioteczny, były prezydent Rzeczypospolitej Stanisław Wojciechowski:

– *Masz skończoną wyższą szkołę handlową (SGH). Schowaj się w jakiejś spółdzielczości, zajmij pracą u podstaw.*

I Jerzy zaległ w oczekiwaniu lepszych czasów. Chyba w „Społem". Pracował w rzeźni, rozwoził towar po Polsce jako kierowca ciężarówki, trudnił się skupem żywca. Po roku 1956 został dyrektorem w państwowej centrali towarów importowanych (POSTI). Jego zwierzchnik z ministerstwa handlu, przed wojną podobno żydowski krawiec, biadał nieraz:

– Co ja z wami mam, Krąkowski. W KC mi często wytykają: czemu wy zatrudniacie siostrzeńca Andersa?

Wuj był człowiekiem fachowym i długo utrzymał się na stanowisku dyrektorskim. Jego niektóre opowieści warte były skeczów komediowych. Na przykład o tym, jak Władysław Gomułka usiłował zakazać importu kawy brazylijskiej i zastąpić ją tańszą, afrykańską, i jak wuj musiał wozić do ówczesnego premiera rządu Józefa Cyrankiewicza termosy z zaparzoną kawą dla rzekomej degustacji. I Cyrankiewicz odgrywał komedię, orzekając iż, niestety, jakość kawy z Afryki jest nie do przyjęcia.

„Siostrzeniec Andersa" nie był nigdy członkiem rządzącej Polską partii. Natomiast opowiadał z ubolewaniem, że przed 1939 rokiem zdarzyło mu się drukować jakieś wiersze w profaszystowskim tygodniku. Wojna i tragedia powstania warszawskiego zmieniła dogłębnie jego poglądy. A kiedy Komitet Wojewódzki w Katowicach chciał odwołać ze stanowiska członka PZPR, dobrego dyrektora delegatury jego centrali, wuj pojechał z interwencją:

– Założyłem sygnet na palec i ostentacyjnie postukiwałem nim po stole w trakcie rozmowy z sekretarzem ekonomicznym Komitetu. Ten patrzył na mnie i pewnie myślał sobie: „wiem, że on jest bezpartyjny. Bezpartyjny głównym szefem centrali importu towarów luksusowych? Kawy, koniaki, cytrusy. Rozjeżdża po świecie. I jeszcze świeci sygnetem. Ani chybi, jest z naszego wywiadu".

Bezpartyjny wuj utrzymał partyjnego szefa delegatury na stanowisku. Sam zrzekł się dyrektorstwa jeszcze przed końcem lat siedemdziesiątych. Uważał, że polityka gospodarcza Edwarda Gierka prowadzi w ślepy zaułek. Nie chciał choćby w najmniejszej cząstce należeć do grona współodpowiedzialnych.

Na moim biurku widnieją drobiazgi od wuja. Na przycisku do papieru z salamandrą przyklejona jest karteczka *dla Jerzego. Stary gzichowski przycisk, stał zawsze na biurku Taty – może teraz postoi u Ciebie?* Gzichów pod Będzinem był jednym z majątków Krąkowskich. Wywodzili się chyba z Polesia. W każdym razie w skromnym dwupokojowym mieszkanku wujostwa Katarzyny w wejściu smucił się wielki obraz: jakaś kałuża

(Polesie?), nad którą stały wychudzone krowy. Obraz był mocno przykurzony. Często wchodząc do tego mieszkania pozwalałem sobie na kpiny:

– *Nie dość, żeście chłopów głodzili, to i krowy miały nie lepiej.*

Cichy, małomówny, skromny wuj zemścił się na swój sposób. Przed śmiercią wydał dyspozycję:

– *Obraz będzie dla Jerzego. Często mu się przyglądał.*

Prezent był za duży i za smutny na mój gabinet. Chciałem go przekazać znajomym gospodarzom na wsi. Ale na wszelki wypadek oddałem przedtem do renowacji. Spod warstwy kurzu wyłonił się pies pasterski, krowy nieco przybrały na wadze, w tle pojawiły się zarysy ludzi. Obraz okazał się jednym z nielicznych zachowanych dzieł cenionego przed stu laty malarza i grafika Jana Małachowskiego. Jego kolekcja spłonęła w powstaniu warszawskim. Kiedy myślę o samobójstwie Warszawy, powraca mi postać wuja mojej żony. I nie tylko wtedy.

78. Zapomniani rzeźbiarze zapomnianych ludzi

W Warszawie, przy ulicy Okopowej pogrąża się w coraz gęstszej, zdziczałej roślinności i miejscami gęstym drzewostanie niezwykłe cmentarzysko – ocalały ślad żydowskiej części Warszawy. Przed drugą wojną światową w stolicy Polski żyły setki tysięcy Żydów. Zginęli w obozach zagłady, w niemieckich obozach koncentracyjnych, spłonęli w gettach, padli w egzekucjach. Ile jest tu w początkach XXI wieku pochówków rocznie? Kilkanaście, kilkadziesiąt? Chowają tu nie tylko wierzących Żydów, ale i tych, którzy na znak protestu przeciwko nadal żywemu polskiemu antysemityzmowi tak manifestują swoje żydowskie korzenie, ludzi, którzy nie byliby w stanie powiedzieć ani jednego zdania po hebrajsku czy w jidysz. Czuli się i byli Polakami. Chowają tu ostatnich łączników z przeszłością wielkiej żydowskiej nekropolii, może największej w Europie.

Są jeszcze w Warszawie Polacy i Żydzi, którzy dbają o to, aby ten monument historyczny został zachowany, aby groby czy imiona Ludwika Zamenhofa, Janusza Korczaka i setek małych i wielkich twórców historii polskiej i żydowskiej były tu przypominane. Tylko kto jeszcze wie, że nagrobek Henryka Wohla (1836–1907) mówi o skarbniku polskiego powstańczego Rządu Narodowego w roku 1863, który dwadzieścia lat spędził na syberyjskim zesłaniu? Pogrzeb Wohla zgromadził takie tłumy, że Szymon Askenazy powiedział: – *Nie mogę zrozumieć, czy tu Żydzi chowają Polaka, czy Polacy Żyda.*

Pomnik, jaki siostry wystawiły Stanisławowi Mendelsonowi (1857–1913), przypomina założyciela Polskiej Partii Socjalistycznej i jednego z najgłośniejszych rewolucjonistów europejskich końca XIX wieku.

Na cmentarzu tym w Alei Zasłużonych został pochowany w październiku 1933 mój dziadek Abraham Goldberg. Jego grób zobaczyłem dopiero jako dyplomowany historyk. Dziadek był jednym ze współtwórców czołowego nie tylko w Polsce, ale w Europie dziennika w jidysz „Hajnt" („Dziś", 1908–1939), długi czas jego redaktorem naczelnym; pełnił też funkcje w Komitecie Centralnym Organizacji Syjonistycznej. Podobno podczas wojny polsko-bolszewickiej w 1920 roku był czynny przy sztabie Wojska Polskiego.

Grób Abrahama Goldberga w postaci skromnego baldachimu z prostego kamienia wydawał mi się nijaki, banalny. Ale właściciel zakładu kamieniarskiego pan Krzysztof Ruta znający ten cmentarz na wylot, zwrócił mi uwagę, że pod baldachimem znajdował się zapewne centralny fragment nagrobka – rzeźba, którą skradziono. Za czasów okupacji hitlerowskiej cmentarz dewastowano, tu było miejsce masowych pochówków Żydów, miejsce egzekucji ludności Warszawy.

Nagrobek Abrahama Goldberga, chowanego z wielkimi honorami przez społeczność żydowską Warszawy, okazał się dziełem znanego kiedyś rzeźbiarza Abrahama Ostrzegi (1889–1942), ucznia Henryka Kuny (1879–1945), współzałożyciela Stowarzyszenia Artystów Polskich „Rytm", profesora uniwersytetów w Wilnie i, w ostatnim roku życia, już w wyzwolonym Toruniu. Ostrzega przyjaźnił się z moim dziadkiem stryjecznym Menachemem Borejszą (Goldbergiem).

Ostrzega największy rozgłos zyskał jako twórca rzeźby sepulkralnej. Ale projektował też między innymi pomnik Ludwika Zamenhofa w Białymstoku. Podczas drugiej wojny światowej uwięziony w warszawskim getcie, uruchomił tam, aby przeżyć, fabrykę osełek. W sierpniu 1942 roku Niemcy wywieźli go do obozu zagłady w Treblince. Po Ostrzedze zostały po zniszczeniach wojennych prawie wyłącznie pomniki na cmentarzu żydowskim w Warszawie przy ulicy Okopowej.

Jego mistrz miał więcej szczęścia. Kuna był również pochodzenia żydowskiego. Ochrzcił się jednak w roku 1912, aby poślubić katoliczkę, znaną aktorkę. Tego Polaka, znakomitego rzeźbiarza, prześladowano

w latach trzydziestych z powodu jego pochodzenia. Nie zrealizowano jego zwycięskiego projektu na pomnik Adama Mickiewicza w Wilnie, bo tępiła Kunę ksenofobiczna część prasy polskiej. Przetrwało natomiast w parku w Rzymie popiersie Piłsudskiego jego dłuta. Przetrwały rzeźby i ich repliki w Polsce i w Paryżu. Mimo że sam Kuna musiał się podczas wojny ukrywać, los dla jego dzieł był łaskawszy niż dla jego ucznia.

79. Jehuda Pen

W starej warszawskiej restauracji „Pod Samsonem” przez lata siadywałem pod obrazem „Zegarmistrz”. Była to kopia dzieła rosyjsko- czy białorusko-żydowskiego znanego malarza Jehudy Pena (1854–1937). Oryginał wraz z dziesiątkami innych obrazów Pena posiada muzeum w Witebsku. Znam z reprodukcji dwie zbliżone wersje tego obrazu. Druga wersja jest w Mińsku. Jehuda Pen doczekał się pośmiertnie reprodukcji, plakatów, znaczków pocztowych. Portret żydowskiego zegarmistrza siedzącego za stołem z budzikiem i przyborami do pracy i czytającego z jawnym zadziwieniem gazetę nieodmiennie kojarzył mi się z fotosami szwajcarskich zegarmistrzów z XIX wieku. Zajmowałem się ich historią. Często byli anarchistami. Tyle tylko, że na ogół nie nosili jarmułek na głowach.

Nie znając żydowskiego alfabetu długo nie byłem świadom, że zegarmistrz z Witebska czyta gazetę mojego dziadka Abrahama Goldberga „Hajnt” („Dziś”). Dziadek związany był z nią przez cały niemal czas jej istnienia, od 1908 roku aż po swoją śmierć w roku 1933. Ostatnie numery pisma drukowano już pod niemieckimi bombami we wrześniu 1939 roku. „Hajnt” rozchodził się szeroko po świecie, miał wiernych czytelników od Rumunii po Brazylię. Obraz Jehudy Pena pochodzi jeszcze z pierwszych lat gazety. Należy do licznej galerii portretów żydowskiej biedoty, jakie stworzył malarz: „Stary krawiec”, „Stary żołnierz”, „Szwaczka”, „Piekarz”, „Po strajku”.

Portrety i pejzaże. W Akademii Sztuki w Petersburgu Jehuda Pen, występujący też jako Judel Mojsiejewicz Pen, ukończył klasę malarstwa pejzażowego ze srebrnym medalem. Ale droga życiowa do Akademii

półsieroty, który w wieku lat trzynastu musiał już zarabiać na życie jako malarz pokojowy, była wyboista.

W 1891 roku Pen osiadł w Witebsku i otworzył tam szkołę rysunku i malarstwa. Niebawem stała się ona znana w całej Rosji. Skupiała głównie artystyczną młodzież żydowską. Najsłynniejszym uczniem stał się Marc Chagall. W roku 1914 Pen namalował portret swojego ucznia.

W 1917 roku Chagall został z nominacji władzy bolszewickiej komisarzem sztuk pięknych swojego obwodu i szkołę swojego mistrza przekształcił w Witebską Szkołę Artystyczną. Ale niebawem, na początku lat dwudziestych, młody malarz porzucił kraj, do którego nie mógł się przystosować.

Jako niepełnoletni uczęszczał do szkoły Pena syn rodziny żydowsko-szkockiej z Witebska Ossip Zadkine, słynny później rzeźbiarz francuski, autor „Rozdartego miasta", pomnika w Rotterdamie. Wyemigrował jeszcze z carskiej Rosji – kraju pogromów.

Nauczycielem w szkole Pena był twórca suprematyzmu Kazimierz Malewicz, też związany z Witebskiem. Znany w Europie, miał swoje wystawy w Berlinie i Warszawie. Popierany przez „oświeconego bolszewickiego liberała" Anatola Łunaczarskiego, zaangażowany wielokrotnie po stronie nowej władzy Malewicz został na krótko w 1929 roku ludowym komisarzem sztuki wizualnej Rosyjskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej. Oryginalna to była funkcja, którą wymyślił Łunaczarski. Nie uchroniło to Malewicza od aresztowania w 1930 roku i oskarżenia o szpiegostwo na rzecz Niemiec. Przyjaciele po paru miesiącach ledwo wyciągnęli go z więzienia. Musiał zacząć przystosowanie swojego malarstwa do obowiązującego realizmu. Zmarł wkrótce, w 1935 roku, żegnany przez tłumy w Leningradzie i w Moskwie.

Sam Jehuda Pen doczekał strasznego roku 1937. W nocy z 28 lutego na 1 marca 1937 roku osiemdziesięciotrzyletni starzec został zamordowany we własnym domu w bardzo niejasnych okolicznościach.

Emigranci komisarz Chagall oraz Zadkine z należytym pośpiechem porzucili ojczyznę. Polak-Rosjanin-Ukrainiec Malewicz (wymiennie

składał deklaracje narodowościowe) nie dożył na swoje szczęście roku „wielkiej czystki". Był idealnym kandydatem do „najwyższego wymiaru kary".

Pen dożył.

Kiedy patrzę na laserową kopię obrazu „Zegarmistrz", która wisi u nas w domu, myślę nie tylko o wieku XIX, o moim dziadku Abrahamie, ale również o działającym wśród Żydów rosyjskich tłumaczu i dziennikarzu, moim stryjecznym dziadku z Moskwy, Lejbie Goldbergu. Tłumaczył on na jidysz Elizę Orzeszkową, Janusza Korczaka, a także Lenina, Stalina, Bucharina.

Nie zdążyłem go poznać. Zmarł w 1955 roku, w parę miesięcy po powrocie ze stalinowskiego zesłania.

80. Portret umierającego komunisty

Ołówkowy szkic głowy mojego ojca powstał w styczniu 1952 roku, w ostatnich chwilach Jerzego Borejszy. Rysował go znakomity Tadeusz Kulisiewicz. Przez pewien czas malarz sąsiadował z ojcem drzwi w drzwi. Głowa portretowanego jakby zanika. Wpatrzony jest w jakąś odległą dal. Niewyraźnie.

Jest to portret umierającego komunisty. Człowieka, ale nie idei. Ojciec wierzył do końca, że służy słusznej sprawie. Że idea ta zwycięży i że partia jest rodzajem zakonu, który wymaga bezwzględnej dyscypliny. W imię zwycięstwa tej idei tłumił w sobie i ukrywał wątpliwości i opory, poskramiał swoją anarchistyczną naturę. I on i całe pokolenia jego współwyznawców wzrosły w logice walki dwóch systemów: albo wszechwładny kapitalizm, albo komunizm na całym świecie. Wzrosły w obliczu zagrożenia bronią chemiczną i atomową, zagrożenia zagładą.

Ich komunizm zagarniał i wchłaniał propagandowo i w istocie rzeczy tylko pozornie wiele haseł socjalistycznych: klasom społecznym, całym społeczeństwom, krajom i kontynentom obiecywał likwidację nędzy, zniesienie granic i nacjonalizmów, równość, walkę z rasizmem i wytępienie antysemityzmu. I, wreszcie, pokój powszechny.

Pierwsze dziesięciolecia po rosyjskim roku 1917 nie odsłaniały jeszcze myślącym jednostkom, w jakim stopniu leninowsko-stalinowski komunizm okazał się daleki od dziewiętnastowiecznych rojeń o socjalizmie. Utożsamianie pojęć: komunizm ze stalinizmem, komunizm ze Związkiem Radzieckim, komunizm z bolszewizmem, ujawniało się stopniowo jako całkowite fałszerstwo.

Dziś, sto lat po rewolucji październikowej, wiemy, że na gruzach imperium carów zbudowano wielki model systemu totalitarnego, a nie wolnościowego państwa dobrobytu. Co z tego pojmował zaledwie trzydzieści pięć lat po roku 1917 mój ojciec, umierający w Warszawie na łóżku szpitalnym w wieku czterdziestu sześciu lat?

Jest to portret umierającego komunisty z 1952 roku. Zabrano mu jego ukochany twór – Spółdzielnię Wydawniczo-Oświatową „Czytelnik" – koncern na miarę niesłychaną w Europie Środkowowschodniej, koncern, który jednoczył sto tysiecy ludzi. Zabrano mu światowy Ruch Obrońców Pokoju, który zaczął tworzyć. Przekształcono go w wielomilionowy prokomunistyczny ruch wspierający otwarcie stalinowski ZSRR. Jego samego odsunięto od wszelkich poważnych funkcji. A Borejsza dążył do ruchu masowego, ludowego, lewicowego, ale nie do jawnie propagandowej tuby ZSRR. Uważał to za wypaczenie swojej idei, za wielki błąd polityczny. I w czasie zakulisowych pertraktacji dał temu wyraz.

W Moskwie trafił na listę podejrzanych. Jak pisała w dedykowanej mu książce „Les Staliniens 1944–1956" francuska dziennikarka Dominique Desanti, zakwalifikowano go jako prozachodniego. I zaraz potem, 1 stycznia 1949 roku, przyszedł wypadek samochodowy. Czy był to przypadek? Nie wiemy. Ten młody przecież mężczyzna, w chwili wypadku czterdziestotrzyletni, po wydarzeniu na szosie wilanowskiej całkiem rozchwiał się i fizycznie, i psychicznie. Nie był już sobą dawnym. Zaznaczają to w swoich wspomnieniach Ziemowit Fedecki i Irena Szymańska – młodzi i podówczas bliscy mu ludzie.

Wokoło trwała zimna wojna, groźba wojny atomowej przygniatała miliony ludzi. Groziły nią obie strony. Ale to USA użyły jako pierwsze i jedyne broni atomowej. W tych warunkach równania upraszczały się i w Moskwie, i w Waszyngtonie. Ogłoszone niedawno rezolucje radzieckiego Biura Politycznego pokazują, że nie ono stało za wrocławskim Kongresem Intelektualistów w Obronie Pokoju i za początkami tego ruchu. Natomiast za berlińskim Kongresem Wolności Kultury z czerwca 1950 roku, zwołanym w odpowiedzi na Wrocław, stał, jak

się potem okazało, wywiad amerykański. I nie zmienia to pozytywnej oceny tego ruchu demokratycznych intelektualistów na Zachodzie, który organizowali słynny socjolog James Burnham, autor „Rewolucji menedżerskiej" i Arthur Koestler znany przede wszystkim z „Ciemności w południe". Obaj byli kiedyś komunistami, obaj stali się czołowymi antykomunistami. Widziałem, jak ojciec zaglądał do książki Burnhama, którą sobie przywiózł z Zachodu. Mam ją.

Chory Borejsza niezdarnie próbował wrócić do gry politycznej za cenę organizowania stalinowskiego numeru tygodnika „Odrodzenie" na 70-lecie wodza, za cenę paru innych deklaracji pasujących do stalinowskiej paranoi. Ale Moskwy to już nie obchodziło. Był skreślony. Mógł najwyżej doczekać się procesu.

Mogę podłożyć pod portret Kulisiewicza różne treści, ale wiem, że mój odchodzący ojciec wierzył nadal, że racja jest po stronie czerwonych, nie zaciekłych stalinowców, ale socjalistów czy prawdziwych komunistów, może anarchosyndykalistów z lat jego idealistycznej młodości, to znaczy ludzi, którzy w ostatecznym rozrachunku zlikwidują kapitalistyczny wyzysk i nędzę, zwalczą nacjonalizmy i zbratają narody. Działanie, tworzenie było żywiołem tego urodzonego charyzmatycznego menedżera. A co i z kim mógł tworzyć w Polsce lat 1944–1950?

Józef Tejchma, „liberalny komunista", były członek Biura Politycznego PZPR, czytając w 1994 roku w „Gazecie Wyborczej" artykuł o wielkim „Czytelniku" – wydawnictwie-partii, które stworzył Jerzy Borejsza, nie rozumiał: *Autorka jakoś dziwnie akcentuje właśnie zasługi Borejszy, w czym jej nie przeszkadza jego stalinowska służba.* Autorka po prostu odtwarzała kontekst historyczny pierwszego powojnia w Europie. Możliwości działania były wtedy mocno ograniczone.

Pełna wiedza o latach stalinizmu przyszła w wiele lat po śmierci gruzińskiego paranoika z Kremla: rok 1956, książki Sołżenicyna, zawalenie się Związku Radzieckiego.

W 1957 roku spotkałem na placu Konstytucji w Warszawie przyjaciela ojca, byłego wojewodę szczecińskiego Leonarda Borkowicza:

– *Co by robił ojciec, gdyby pożył te kilka lat dłużej?*

– *No cóż* – odpowiedział Lusiek – *wyjechałby pewnie do Willy'ego Brandta, do niemieckich socjaldemokratów. A czy by go przyjęli?*

A może doszedłby do wniosku, że jego idee poniosły generalny krach? Tak zwanego chińskiego komunizmu za swoją utopię z pewnością nie mógłby uznać.

Portret umierającego ojca jest dla mnie zarazem symboliczną śmiercią idei, którą ludzie leninowsko-stalinowskiej Moskwy nazywali komunizmem, ale którą całkowicie wypaczyli i uczynili zbrodniczą, dyskredytując wiele marzeń i idei wspólnotowych i równościowych XIX i XX wieku.

81. Bert Andréas, czyli stracone złudzenia

We wrześniu 1972 roku siedziałem w ogródku małej restauracji pod Genewą. Tam zaprosił mnie na obiad Bert Andréas (1914–1984), Niemiec z Hamburga o burzliwym życiu. Był to nie byle kto. Pierwotnie nazywał się Herbert Friedrich Andreas. Ale na początku lat trzydziestych skrócił swoje imię do Bert na cześć Bertolta Brechta. Zaś do nazwiska, kiedy po roku 1957 zaczął dążyć do osiedlenia się w kantonie Genewy, dodał francuski „accent aigu".

Ile miał pseudonimów czy fałszywych nazwisk, trudno mi dociec. Kiedy w roku 1935 partia wysłała go jako młodego komunistę do Brazylii, funkcjonował tam jako „wujaszek Bello". Ścigany w Niemczech za działalność komunistyczną, tułał się po Francji, Belgii i Holandii. Uzyskał paszport nansenowski – człowieka bez ojczyzny – w 1934 roku. Holandia stała się na długie lata jego drugą ojczyzną, bazą, z której nielegalnie i legalnie tłukł się po Europie, nawiedzając i swoje Niemcy. W 1938 roku odszedł z podziemnej organizacji Komunistycznej Partii Niemiec. W podziemiu związał się z socjaldemokratami i socjalistami kilku narodowości. Czy był później oficjalnie i w jakich partiach?

Od wczesnej młodości Andréas pasjonował się historią, dokumentami, poszukiwaniami archiwalnymi. Uczęszczał na wykłady najpierw w uczelniach Berlina, a potem Amsterdamu. Na całe życie stał się współpracownikiem prestiżowego Międzynarodowego Instytutu Historii Społecznej w Amsterdamie.

Po zajęciu Holandii przez Wehrmacht, zgodnie z polityką „infiltracji od wewnątrz organizacji nazistów", proklamowaną przez Komunistyczną Partię Niemiec, zgłosił się jako tłumacz do armii okupacyjnej. Wysłano go w mundurze do Danii. Potem zmobilizowano go w lutym 1941 roku

i pomaszerował na wojnę przeciwko ZSRR. Tam gestapo połapało się, z kim ma do czynienia. W grudniu 1941 roku ściągnięto go z frontu wschodniego do więzienia w Hamburgu. Ze swojej kompanii z frontu wschodniego odnalazł po wojnie żywych chyba tylko dwóch żołnierzy.

Pobyt Andréasa w więzieniu w latach 1941–1943 jest osobliwy. Brakowało, zwłaszcza od 1943 roku, personelu nadzorującego. Gestapo musiało korzystać z usług policjantów nie będących nazistami. I tak nadzorcą więźniów został były komisarz policji portowej Hamburga, socjaldemokrata Hermann Will. Ten czynił wszystko, co mógł, aby ratować więźniów. Skazanych na śmierć powoływał na świadków w przewlekłych procesach innych więźniów. Wykorzystywał skodyfikowane biurokratyczne przepisy hitlerowskiego bezprawia. W tych warunkach Andréas wyplątał się z sieci więziennych. Wygląda to dziwacznie, ale jeździł między podziemnymi ośrodkami antyhitlerowskimi na przepustkach z więzienia.

Wojenne dzieje Andréasa powodują wiele plotek: o prawdopodobnej pracy dla wywiadu Armii Czerwonej, o powiązaniach ze szpiegowską siatką „Czerwonej Orkiestry". Byłby to zresztą tytuł do chwały jako walka z hitleryzmem. Ale oficjalna broszura-biografia Andréasa pióra znanego francuskiego historyka Jacques'a Grandjonc, któremu jako przyjacielowi zapisał swoje papiery osobiste, nie wspomina o tym. Dokumenty po Andréasie są rozproszone: żenił się i rozwodził parokrotnie w Holandii i w Szwajcarii. Plotkom mógł sprzyjać fakt, że pracował w latach 1932–1934 w jakiejś firmie handlowej radziecko-niemieckiej.

Po wojnie samouk Bert kontynuował studia historyczne i zaczął gromadzić bibliotekę o dziewiętnastowiecznym socjalizmie, coraz więcej o Marksie i Engelsie. Odnalazł w jakiejś zapuszczonej piwnicy bezcenne zbiory z lat czterdziestych XIX wieku. Odkrył wiele nieznanych rękopisów i druków Marksa i Engelsa. Nawiązał kontakt z różnymi znakomitościami nauki i literatury, między innymi z Thomasem Mannem. W październiku 1947 roku zorganizował Rosjance Marii Kudaszewej – wdowie po Romain

Rollandzie – objazd po Holandii. Ta kilkanaście lat później przyznała się, że była radzieckim szpiegiem podesłanym znakomitemu pisarzowi.

Andréas ze swoją pogmatwaną przeszłością wojenną dopiero pod koniec 1953 roku odzyskał utracone obywatelstwo niemieckie (jako obywatel NRF. Do NRD jakoś się nie kwapił). A jednocześnie został wydalony z Holandii, dostał zakaz wjazdu do Francji, Wielkiej Brytanii, Włoch i Belgii.

Wywiady wielu krajów podejrzewały go nie wiadomo dokładnie o co, posługując się jakimiś danymi z przeszłości. A tymczasem stał się najlepszym w Europie Zachodniej znawcą rękopisów młodego Marksa i młodego Engelsa oraz druków socjalistycznych pierwszej połowy XIX wieku. Od lat pięćdziesiątych do śmierci pracował dla Instytutu Giangiacomo Feltrinelli w Mediolanie. Pieniądze włoskiego milionera pozwalały mu utrzymywać się na powierzchni. Sytuację paszportową Andréasa w Szwajcarii wyjaśnił ostatecznie dopiero rok 1968. Zawarł wtedy kontrakt z genewskim Institut Universitaire des Hautes Etudes Internationales (IUHEI). Scedował swoją liczącą już dwadzieścia tysięcy tomów bibliotekę w zamian za etat badacza ze stałą dożywotnią pensją bez obowiązków wykładania.

Andréas upublicznił swoją bibliotekę będąc już bibliografem o światowej renomie. Jego znanym osiągnięciem jest ogłoszona w 1963 roku po francusku kilkusetstronicowa historia i bibliografia wydań „Manifestu Komunistycznego" Marksa i Engelsa.

W 1970 roku Andréas spędził cztery tygodnie w Moskwie jako gość Instytutu Marksizmu-Leninizmu. Pojechał tam jeszcze raz pięć lat później. Był niezbędny przy wydawaniu tomów Marksa, odczytywaniu jego rękopisów. Wiem od dawna, że w Moskwie patrzono na niego podejrzliwie. „Ciotki rewolucji" z Instytutu Marksizmu-Leninizmu w Moskwie nie uważały go za komunistę. Ale był paleografem może lepszym od nich.

I oto rozmawiam z najgłośniejszym w Europie Zachodniej znawcą rękopisów klasyków marksizmu. Rozmawiamy po francusku o tym, jak naprawdę wyglądała walka Marksa z Bakuninem w Pierwszej

Międzynarodówce, jak bezwzględny był niemiecki genialny brodacz. Bert opowiada o fatalnych wrażeniach z niedawnej wyprawy do ZSRR. A potem nagle sumuje:

– *Ils nous ont eus.* (Daliśmy się nabrać.)

I chyba w zdaniu tym zawarł i ocenę marksowskich wizji raju na ziem, rzeczywistości ZSRR Breżniewa. I drogi życiowej tych wszystkich, którzy dali się wciągnąć na straszny szlak od dziewiętnastowiecznych pięknych ideałów socjalizmu do krainy zeków.

82. I mnie bije dzwon...

Moi przyjaciele i koledzy umierają jeden po drugim. Najbliżsi Georges Bram i Leon Anlen, Józef Kłoczko, Jakub Gutenbaum, Józek Paszta, Ludwik Mieczkowski, Janek Pietruczuk, Romek Maksymiuk, Costanzo Casucci, Jurij Afanasjew, Zbyszek Pustuła. Zginął młodo w wypadku samochodowym mój tłumacz Federico Sternini. Daleko w USA zmarł przedwcześnie mój wierny przyjaciel, historyk wielkich nadziei, Lawrence Dwight Orton. O czterech pierwszych piszę oddzielnie, ale ślady po pozostałych zacierają się. A byli to ludzie nietuzinkowi.

Po kilku, kilkunastu latach tylko w niektórych przypadkach dzieci dbają jeszcze o pamięć o rodzicach. Z dawnych lat zachowały się listy przyjaciół do mnie, ich fotografie. Niektóre istotne. Chciałem je oddać rodzinom. Nieraz nie było zainteresowania lub brakowało zstępnych. W Europie pojęcie więzi rodzinnych, dziedzictwa, tradycji po drugiej wielkiej wojnie białych ludzi zmieniły swoją treść.

Na żadnym z przekaźników nie utrwalono muzykującego Ludwika, śpiewającego Romka, perorującego przeciwko naszym nikczemnościom narodowym Zbyszka czy rozważającego losy Białorusinów w Polsce Janka. Janka, doktora nauk filologicznych, chłopskiego syna, który, kiedy zjawiałem się w Hajnówce, nigdy nie omieszkał podejść do mojego samochodu, poklepać po bagażniku niczym po zadzie końskim i zadać sakramentalnego pytania:

– *No, i jak się sprawuje?*

Dzięki rodzinie Ziny i Janka oraz jego przyjaciołom przez lat trzydzieści poznawałem przyrodę i ludzi Puszczy Białowieskiej, czyli ładniejszą część mojej ojczyzny. I także jej brzydszą twarz.

90. Książki, dokumenty – czy cokolwiek przetrwa?

Wrzesień. Idziemy o zmierzchu Tropinką – jedną z najdłuższych ulic Białowieży. Chodniki dopiero co wyłożone nową kostką. Pośrodku wąskich chodników świecą w regularnych odstępach latarnie. Jeśli idzie się po chodniku, to obok latarni trzeba się niemal przeciskać. Wzdłuż ulicy ciągną się szeregi starych i nowych, często drewnianych i ładnych, domów i domków. Wszędzie ciemno. W żadnym nie świeci się światło. Czyżby osada się wyludniła? Ludzie uciekają do miast? Przedziwny to widok – setki metrów ciągną się ciemne domy. Dochodzimy do pensjonatu Ireneusza Bochenki. Pani Bochenkowa wyjaśnia: – *Policzyliśmy, że przy Tropince mieszkają czterdzieści dwie wdowy*. Cóż? Alkoholizm mężów robi

swoje. Biedne kobiety oglądają w głębi domów telewizję. Ale świateł już nie zapalają. Zarządzeniem wójta latarnie gasną o północy. Wracający nocą chodnikiem pijacy rozbijają się o latarnie…

Zacząłem osiemdziesiąty trzeci rok życia. Strefa wdów, strefa wymierania. Niewielu moich równolatków jest zdrowych i gotowych do kontaktów, do wymiany myśli. Niezbyt wielu zaś młodszych o dwa, trzy pokolenia pojmuje dokładniej świat moich myśli, odczuć i wspomnień. A więc na wszelki wypadek je spisałem.

Zasłużę może na klepsydrę w wejściu do Instytutu Historii Polskiej Akademii Nauk na Rynku Starego Miasta w Warszawie. Nie stworzyłem żadnego przełomowego dzieła. Nie należałem do żadnej koterii historyków. Byłem często indywidualistą, outsiderem. W Paryżu chodziłem kiedyś na recitale Georges'a Brassensa i powtarzałem za nim:

Na liczbę mnogą człowiek nie jest gotów
I gdy zbierze się nas ponad czterech
Zamiast stworzyć regularny szereg,
Stajemy się bandą idiotów…

Miałem chyba sporo dobrych pomysłów i dobre pióro. Niespełniony pisarz, który został historykiem.

A więc jeśli nie klepsydra, to kilka anonsów gazetowych, że zmarł profesor historii, znawca dziejów polskiej emigracji dziewiętnastowiecznej i historii europejskich faszyzmów?

Skąd się wzięło moje zainteresowanie XIX wiekiem? Jest on dzisiaj bardzo odległy. Dla mnie urodzonego w roku 1935 był stuleciem bliskim, czasem idealizowanym w opozycji do Drugiej Rzeczpospolitej, ostro potępianej w Polsce po 1945 roku. Był epoką, kiedy inteligencja polska odgrywała rolę dominującą w społeczeństwie, kreśliła jego przyszłość i określała postawy narodowe. Etyka inteligencji wyznaczała wtedy normy postępowania, przyzwoitości, patriotyzmu. Aby zrozumieć moją fascynację XIX wiekiem, przypomnę, że w moich szkolnych czasach

podawano młodzieży nie tylko propagandową literaturę radziecką, ale w masowych nakładach Balzaca i klasykę francuską, Żeromskiego, Kraszewskiego czy Teodora Tomasza Jeża. Nieczytelny dzisiaj Żeromski pokazywał Polskę bohaterską i patriotyczną.

Jeśli zająłem się potem po roku 1970 jako zawodowy historyk faszyzmami to dlatego, że pisanie o nich pokazywało, jak dalece spokrewniony z nimi jest cały system obozu radzieckiego, którego stałem się zdecydowanym przeciwnikiem, i jak niewiele wspólnego ma on ze starymi utopiami socjalistycznymi i komunistycznymi.

Czasem pytano mnie, co napiszę o środowisku historyków. O środowisku jako takim generalnie niewiele, ale szkicuję miniportrety kilku ważnych dla mnie mistrzów nauk historycznych, z którymi stykałem się przez wiele lat. Wpływ najlepszych naukowców, prawdziwych badaczy, krócej mówiąc – uczonych historyków na szersze rzesze, na imaginarium narodowe, był po odzyskaniu niepodległości w roku 1918 wyraźnie ograniczony. Długi wiek XIX, kiedy historycy urastali do rangi wieszczów narodowych, zakończył się wraz z pierwszą wojną światową. Joachim Lelewel czy Szymon Askenazy stali w centrum dziejów narodowych, tworzyli je. Pisanie zaś dzisiaj o środowisku historyków jest przeważnie przeznaczone dla wąskiego kręgu zainteresowanych bardziej warsztatem niż jego produktami. Wyobraźnię historyczną, niewiedzę i wiedzę o historii politycznej transplantują milionom głównie nowoczesne środki masowego przekazu, politycy i mitomani, a nie zawodowi historycy.

Mój bilans: odtworzyłem spore fragmenty europejskiego „Pięknego wieku XIX" oraz biografie dwóch drugo- czy trzecioplanowych postaci – pułkownika powstania styczniowego i generała Komuny Paryskiej Walerego Wróblewskiego (1836–1908) oraz znaczącego masona europejskiego Armanda Lévy'ego (1827–1891), który wiele zdziałał dla europejskiej renomy Adama Mickiewicza. Był jego francuskim sekretarzem i łącznikiem z socjalistami, został mentorem syna poety – Władysława Mickiewicza.

Nie sądzę, aby do kalejdoskopowo zestawionych szczegółów tych biografii ktokolwiek wiele mógł kiedykolwiek dodać. Ale rzecz ciekawa – jak trwałe są w Polsce uprzedzenia i stereotypy konserwatystów. Prawdy o tym, co biografia Lévy'ego poświadcza – że Adam Mickiewicz i jego synowie Władysław i Aleksander mieli ścisłe związki z socjalistami, że wieszcz narodowy wysoce sobie cenił środowisko frankistów polskich i poczuwał się do powinowactwa z nim – nadal z trudem przebijają się do opracowań historycznych. I tak to już trwa ponad sto lat...

Pół wieku temu ustaliłem, że któryś z wielce zasłużonych profesorów literatury polskiej wyrwał z francuskiego pamfletu na masonerię z początków minionego stulecia przechowywanego w Bibliotece Jagiellońskiej strony o tym, jak ważnym masonem był Armand Lévy. Dla obrazu katolickiego wieszcza narodu polskiego było traktowane jako obrazoburstwo to, że Mickiewicz z kimś takim jak Lévy mógł się wiązać.

Może jeszcze ten i ów zauważy, iż wzbogaciłem nieco wiedzę o europejskich totalitaryzmach, o niedoszłej międzynarodówce faszystowskiej („Rzym a wspólnota faszystowska"), a do polskiego słownictwa historycznego wprowadziłem pojęcia „piękny wiek dziewiętnasty" i „antyslawizm Adolfa Hitlera" i że zawsze jak najgorzej reagowałem na posługiwanie się „polityką historyczną" zamiast „prawdy historycznej". Wystarczy zajrzeć do mojej książki „Stulecie zagłady". Jako historyk nadal uparcie twierdzę, że to pojęcie czekającej nas zagłady rozciągnąć musimy i na XXI wiek. Niestety.

83. Notatka biograficzna

Urodziłem się w roku 1935 w Warszawie. Jako dziecko przebywałem od jesieni 1939 kolejno w Bereznem, Lwowie i Buczaczu. W latach 1942–1944 mieszkałem z matką w Warszawie, w 1945–1946 w Łodzi. Maturę zdałem w szkole TPD nr 3 przy ulicy Wiktorskiej w Warszawie w 1952 roku. W latach 1952–1957 studiowałem historię w Kazaniu (1952/53) i w Moskwie (1953–1957). Doktorat (1962) i habilitację (1968) obroniłem na Wydziale Historycznym Uniwersytetu Warszawskiego. W latach 1964–1975 byłem tam wykładowcą. Od roku 1975 do chwili obecnej (2018) jestem zatrudniony w Instytucie Historii PAN im. Tadeusza Manteuffla. Jednocześnie w latach 2004–2014 byłem profesorem w Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu. W latach 1991–1996 przebywałem w Paryżu jako dyrektor Stacji Naukowej PAN.

Pracowałem w archiwach ośmiu krajów europejskich. Prowadziłem wykłady na wielu uczelniach poza Polską (Moskwa, Paryż, Rzym, Berlin, Heidelberg, Monachium, Dijon i in.). Jestem autorem kilkunastu książek i ponad 350 artykułów drukowanych w dwunastu językach. Najbardziej znane to: „Emigracja polska po powstaniu styczniowym", „Piękny wiek XIX", „Sekretarz Adama Mickiewicza", „Patriota bez paszportu", „Mussolini był pierwszy", „Stulecie zagłady", „Rzym a wspólnota faszystowska" (również w wersji włoskiej), „Szkoły nienawiści" (również w wersji niemieckiej i hiszpańskiej), „Śmieszne sto milionów Słowian. Wokół światopoglądu Adolfa Hitlera" (również w wersji anglojęzycznej). Niektóre z tych książek były nagradzane (m.in. „Sekretarz Adama Mickiewicza" otrzymał nagrodę Kościelskich w 1974 roku).

Jestem członkiem polskiego PEN-Clubu, międzynarodowych redakcji oraz organizacji. W roku 1996 zostałem odznaczony orderem oficera

francuskiej Legii Honorowej; w roku 2017 – orderem kawalera włoskiej Stella d'Italia.

Mam dwóch synów ze związku małżeńskiego z Marią Zofią de Rosset-Borejszą: archeologa i paleobotanika Aleksandra (ur. 1974), osiadłego na stałe w Meksyku, i fizyka Karola (ur. 1977), dzielącego swój czas między Francją, USA i Polską.

28 sierpnia 2017 roku przyszła na świat w Nowym Jorku moja pierwsza wnuczka Sara Antonina, córka Karola i jego żony Joanny.

Od roku 1996 jestem żonaty z Katarzyną Haliną Dunin-Borejszą.

Spis ilustracji

1. Pierwszy z lewej Loniek jako syn pułku (1944).

2. Przeżył wojnę. Dwa lata później na tle ruin Wrocławia.

3. Najlepsze lata we Francji. Leon ze słynną tancerką Christiane Vaussard.

4. Na rękach matki. Trzecia kolonia na warszawskim Żoliborzu (1937).

5. Jeden z niewielu zachowanych znaczków Szkoły Pielęgniarstwa w Warszawie (przed 1939). Odnaleziony w pamiątkach po matce (stan obecny).

6. Na prawdziwym radzieckim blankiecie paszportowym wpisane po zajęciu Lwowa przez Niemców fałszywe dane personalne matki. Paszport ten wydany dla Jadwigi (córki Andrzeja) Kantorczak posłużył za podstawę do wyrobienia później niemieckich dokumentów (faktycznie 1941).

7. Zdjęcie z Krościenka z Włodkiem Launbergiem. Nawet gestapo nie miało wątpliwości, że jestem aryjskim blondynem (lato 1939).

8. Siostra sławnego aktora Mieczysława Frenkla rysuje mnie w 1941 we Lwowie. Mieszkamy u nich przy ul. Długosza (stan obecny).

9. Redaktor Abraham Goldberg – dziadek, którego nie poznałem.

10. Jerzy Borejsza przy budowie imperium „Czytelnika" (1946).

11. Większość domów przy ul. Wiejskiej należała do Spółdzielni Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik" (widok obecny).

12. Prezes Borejsza z Ireną Joliot-Curie podczas obrad Światowego Kongresu Intelektualistów w Obronie Pokoju we Wrocławiu (sierpień 1948).

13. W Wilanowie Jerzy Borejsza z zaprzyjaźnionymi gośćmi z Francji. Od lewej Paul Eluard i Pablo Picasso.

14. Znaczek kongresu z polskiego Wrocławia (1948).

15. Niektórzy nazywali go „czerwonym Hearstem”. Podpisanie w Nowym Jorku umowy o współpracy „Czytelnika” z United Press (1947).

16. Ślązacy, jeńcy z Wehrmachtu, pozują z numerem „Nowych Widnokręgów” na froncie kalinińskim (ok. 1943).

17. *Nasza sprawa słuszna. Zwyciężyliśmy*. Medal „Za zwycięstwo nad Niemcami w Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej 1941–1945” nadany za bezpośredni udział w walkach prawie piętnastu milionom żołnierzy. Pierwsze medale przyznano 15 czerwca 1945.

18. Dziennik pisany na gorąco. Zapiski ze stycznia i lutego 1945 z zanotowanymi słowami Jarosława Iwaszkiewicza: *Chcą mnie kupić.*

19. Oficerskie biurko polowe Jerzego Borejszy, produkcji amerykańskiej, przekazane Armii Czerwonej w ramach pomocy wojskowej lend-leas (ok. 1942).

20. Maria Michajłowna Szkapska, „dobry duch” Jerzego Borejszy podczas wojny.

21. Start wskrzeszonego przez „Czytelnika” Tour de Pologne z ul. Wiejskiej. Na trybunie pierwszy z lewej prezydent Warszawy Stanisław Tołwiński. Przemawia Jerzy Borejsza (22 VI 1948).

22. Program VII Tour de Pologne. Nieprzypadkowo trasa przebiegała przez Ziemie Zachodnie (22 VI–4VII 1948).

23. Wmurowanie kamienia węgielnego pod nigdy nieukończony kompleks Domu Słowa Polskiego przy ul. Miedzianej 11 w Warszawie (1948).

24. *I co ty myślisz, że ja nie pamiętam, że się nazywam Borejsza?* Sfałszowany akt, w którym prawdziwa była tylko data mojego urodzenia.

25. Na rękach ojca. Trzecia kolonia na warszawskim Żoliborzu (1937).

26. Marek Arczyński obdarował mnie „Małym Piłsudczykiem” (ok. 1944).

27. Pierwsze powojenne zdjęcie na koloniach „Czytelnika” w Tuszynku pod Łodzią. Po doświadczeniach wojennych ogolony na zero (1945).

28. Ewa Borejszyna zaraz po wojnie.

29. Siedemdziesiąt lat po maturze spotkanie kolegów ze szkoły TPD nr 3. Od lewej: Walerian Majewski, Leon Kasman, Wojciech Salski, autor, Ernest

Skalski (lipiec 2017).

30. Jedna z wielu kartek od sąsiada Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego (1949).

31. Dedykacja Władysława Broniewskiego na „Wierszach zebranych", ślad wznowienia przyjaźni po trudnych latach w ZSRR (1948).

32. Grób Jerzego i Ewy Borejszów na powązkowskim Cmentarzu Wojskowym (widok obecny).

33. Pięć lat po zakończeniu wojny przed bunkrem w kwaterze Göringa na Mazurach. Jerzy Borejsza oprowadza Pabla Nerudę (pierwszy z lewej) i architekta Manuela Sàncheza Arcasa, którego autor znał od dzieciństwa.

34. Na zakopiańskich Krupówkach Jerzy Borejsza z hiszpańskimi przyjaciółmi (1950): Pablem Nerudą i Ignacio Hidalgo de Cisneiros y López de Montenegro, dowódcą lotnictwa republikańskiego w czasie wojny domowej w Hiszpanii.

35. Ziomkostwo studentów polskich w Kazaniu liczyło sto osób. Na zdjęciu zrobionym przed wejściem do bursy od lewej: Eugeniusz Michalak, autor, Alfred Małecki (1952).

36. Prawie sześćdziesiąt lat później w tym samym miejscu niewiele się zmieniło.

37. Dom, w którym mieszkał młody Lenin. Wiele podobnych przetrwało w Kazaniu do dzisiaj.

38. Odsłonięcie tablicy w trzech językach (polskim, rosyjskim i tatarskim) upamiętniającej Jana Baudouina de Courtenaya. W uroczystości na Uniwersytecie Kazańskim wzięli udział przedstawiciele rządu Tatarstanu, ambasady polskiej i rektoratu uczelni (2011).

39. Obraz „Poranek naszej Ojczyzny" wisiał wszędzie w ZSRR i krajach satelickich. Mnie towarzyszył przez pięć długich lat studiów.

40. Spotkanie w Paryżu (1949). Od lewej: Jerzy Borejsza, Ołeksandr Kornijczuk i Ilja Erenburg. Czy autor „Odwilży", spotykając się w 1956 z nami, studentami na Uniwersytecie Moskiewskim, uważał nas za przygłupów?

41. Album rozpoczynały zdjęcia rektora i dziekana mojego wydziału. Tym ostatnim był znany w świecie archeolog Artiemij Arcichowski.

42. Pamiątkowa księga absolwentów Uniwersytetu Moskiewskiego z fotografiami profesorów i nas studentów (1957).

43. Po XX Zjeździe KPZR Bolesław Bierut spotkał się w gmachu uniwersytetu z polskimi studentami. To amatorskie zdjęcie jest zapewne jednym z ostatnich, jakie mu zrobiono. Widziałem go, ale stałem przy jawnie zadowolonym i wesołym Józefie Cyrankiewiczu.

44. Nad jeziorem Rica na Kaukazie z przyjaciółką Ireną Spustek. W tle znana willa Stalina (1957).

45. Przyjaźń z Ireną przetrwała do końca jej życia. Zmarła w 2013.

46. Zaproszenie na spotkanie z okazji stulecia Komuny Paryskiej firmowane przez Radziecką Akademię Nauk z udziałem członków Biura Politycznego KPZR (1971).

47. Współautor „Krótkiego kursu historii WKP(b)", a później referatu Nikity Chruszczowa o zbrodniach stalinowskich – Piotr Pospiełow.

48. Mój przyjaciel na zesłaniu w południowych Chinach. Fotografia z ostatnich listów, które mógł przesłać.

49. Notatka Chań Cuń-li na kopercie z 1964 r.: *To był ostatni list od ciebie. Już ci nie odpowiedziałem. Między nami było długie milczenie „22 lata".* Przechował ją i przekazał mi podczas spotkania, kiedy udało mu się przyjechać do Warszawy dopiero w 1987.

50. Chań Cuń-li z żoną Walentyną Jefremową na Żółtej Rzece. Odnaleźliśmy się po ponad dwudziestu latach i podtrzymujemy kontakty telefonicznie i mailowo.

51. Po powrocie do Warszawy zacząłem chodzić na zebrania Klubu Krzywego Koła. Imienne zaproszenie na spotkanie z Pawłem Jasienicą o polskiej anarchii w gomułkowskiej rzeczywistości miało swój smak dla byłego studenta w ZSRR (lata 60.).

52. Bywali u nas w domu Niemcy i Włosi, co skutkowało zainteresowaniem służb. Nie ominęło ono, jak widać z fotografii zachowanej w aktach IPN,

nie tylko mnie, ale i mojej żony Marii, i dwóch malców.

53. Leokadia Zaleska, zaprzyjaźniona gospodyni z okolic Treblinki, która opowiadała mi o okupacyjnej rzeczywistości tych terenów.

54. Podczas konferencji na Uniwersytecie Warszawskim rozmawiam z patronem francuskiej historii społecznej Ernestem Labroussem i polskim klasykiem Stefanem Kieniewiczem (1971).

55. Jako stypendysta Alexander von Humboldt Stiftung w Kolonii.

56. Przyjaźń wielopokoleniowa trwa już pół wieku. Nastoletni Aleksander z rodziną Gelfertów (Barbara, Hans-Dieter i Axel).

57. Mój dziadek Abraham Goldberg, pierwszy z prawej, z braćmi, Izraelem i poetą Menachemem.

58. Ćwierć wieku później Franco Venturi został moim oficjalnym patronem we Włoszech.

59. Okładka książki Paola Gallego.

60. Po moim wykładzie w Stacji Naukowej PAN w Rzymie z Angelo Tamborrą, z którym mimo różnicy pokoleń połączyła mnie wieloletnia przyjaźń.

61. Po debacie telewizyjnej na Sycylii z senatorem Antonino Calarco ofiarowano mi karykaturę (1990).

62. Renzo De Felice dla moich studiów nad faszyzmem był postacią najważniejszą.

63. *Borejszy po bratersku – Pablo Neruda*. Jedna z licznych dedykacji dla mojego ojca.

64. Z moim francuskim przyjacielem Georges'em Bramem przed warszawskim pomnikiem Bohaterów Getta (1961).

65. Moim synom Paryż posłużył.

66. Budynek dawnej Szkoły Polskiej przy rue Lamandé, o który toczyły się wieloletnie spory.

67. W sekretariacie Stacji Naukowej PAN (ok. 1992).

68. Moja ówczesna wizytówka.

69. Promocja pamiętników Jerzego Giedroycia w Stacji Naukowej PAN w Paryżu. Za stołem od lewej: Krzysztof Pomian, Jerzy Giedroyć i autor (1994).

70. Rysunek Jana Lenicy, jednego z wielu gości Stacji, w Złotej Księdze.

71. Dom Paula Cazina na przedmieściach Aix-en-Provence, w którym odnalazłem całe archiwum pisarza (1958).

72. Dom w Rucianem, w którym chory już ojciec spędził wiele miesięcy. Pomieszkiwałem tam latem (stan obecny).

73. Dziecko Lwowa, obieżyświat Józef Kłoczko z żoną Diną na wakacjach.

74. Henryk Wereszycki w karykaturze Jerzego Świecimskiego.

75. Jedna z wielu dedykacji dla mnie od Henryka Wereszyckiego.

76. Aleksander Gieysztor u schyłku życia.

77. Grób powstańczego generała Edmunda Taczanowskiego na powązkowskim Cmentarzu Wojskowym. Fałszywie zapewniając, że był „czerwony", otrzymałem pieniądze na renowację kwatery powstańców 1863.

78. Ubiegaliśmy się z Grzegorzem P. Bąbiakiem o odnowienie tablicy zapomnianego dzisiaj bohatera i męczennika na gmachu CKW PPS w Warszawie (2018).

79. Tablica z nazwą ulicy Manadrynki na warszawskim Ursynowie.

80. Moja koza z Bereznego. Zdjęcie cudem zachowane w papierach matki (1940).

81. Ciotka Jula (ok. 1920).

82. Prawdziwy wuj z żoną Idą na Kaszubach (1997).

83. U schyłku życia kuzyn Misza odnalazł moją matkę. Był jedynym jej krewnym, który ocalał z Holokaustu (ok. 1989).

84. Stefania Różańska-Żebrowska (ok. 1956).

85. Jakub Gutenbaum, wieloletni przewodniczący Stowarzyszenia Dzieci Holocaustu w Polsce. Tu po wojnie na placu Hiszpańskim w Rzymie (ok. 1970).

86. Radość z odnalezionych po wojnie przyjaciół. Od lewej stoją: Ewa Borejszyna, Bronisław Anlen, Zofia Hampel, siedzą: Leon Rozen-Anlen i autor (ok. 1950).

87. Okładka berlińskiego magazynu ilustrowanego z fotografią młodziutkiej frejliny na dworze Franciszka Józefa – Teodory Lazarewić-Petrović (1910).

88. Ponad sześćdziesiąt lat później babcia Teodora z wnuczką na ulicy w Rzymie (1972).

89. Jerzy Krąkowski – życiorys od Andersa do Gierka (2000).

90. Książki, dokumenty – czy cokolwiek przetrwa?

Zdjęcia nr: 58, 62 i 76 pochodzą z domeny publicznej, nr 84 jest własnością Adama Gutenbauma, nr 86 – Marii de Rosset-Borejszy, a 88 – Katarzyny Dunin-Borejszy. Pozostałe pochodzą ze zbiorów autora i Grzegorza P. Bąbiaka.

Spis treści

Dedykacja

1. Zanikło, zapomniano, zostało…
2. Nieistnienie
3. Moja matka
4. Egzekucja 1941
5. Niepokorny wyznawca szatana
6. Citizen Hearst czy agent radziecki?
7. Kapitan z Wielkich Łuków
8. Dziennik ojca 1941–1944
9. Barwy totalitarnego czasu
10. Miejsce urodzenia
11. Imiona
12. Wariacje wokół nazwiska
13. Dzieciństwo
14. Szkoła
15. Aleja Róż 6 i literaci
16. Grypsy z Konzentrationslager Auschwitz
17. Moi Hiszpanie
18. Przygłup w kraju Sowietów
19. Kazań sentymentalny
20. Telefon z Kazania
21. Kazań codzienny
22. Pod portretem Waltera
23. Lektor ambasady
24. Studium wojskowe
25. Białe małżeństwo Leona
26. Archipo-Osipowka

27. Bracia Lewoniewscy
28. Riepin, Komuna Paryska i Chińczycy
29. Moskwa 1971
30. Czy znieczulica?
31. Drugi na liście
32. Daleko od konspiracji
33. Protekcja filozofa
34. Okolice Treblinki
35. Rok 1968: świadkowie odchodzą
36. Strasburg 1959
37. Moi Niemcy
38. „Śmieszne sto milionów Słowian”...
39. „Szanujcie wiek sędziwy!”
40. Moi Włosi
41. Renzo De Felice, czyli wielobarwność minionego stulecia
42. Iettatore
43. Pablo Neruda
44. Słońce Paryża
45. Borys
46. Biblioteka Polska w Paryżu
47. Nieoczekiwany przypadek: Lauriston 74
48. Lauriston 74: Złota Księga
49. Polski Kossuth
50. Pisarz, który nie miał szczęścia we Francji
51. Andrzej Nieuważny
52. Samotność Leonidasa
53. Lwów i Józio K.
54. Jabłonna 1961
55. Dole i niedole polskiego historyka
56. Stefan Kieniewicz
57. Stowarzyszenie umarłych historyków
58. Francuski łącznik
59. Dezinformacja
60. Archiwiści

61. Czy Polacy potrzebują historii?
62. Lustracja towarzysza Mandarynki
63. Świątynia Artemidy (Artemizjon)
64. Amputacja
65. Pozy polskie
66. Dedykacje żywe i martwe
67. Dziadkowie znani i nieznani
68. Dziadek Kantor
69. Ciotka Jula
70. Prawdziwy wuj
71. Kuzyn Misza
72. Niedoszły samobójca
73. Stary słownik Larousse'a
74. „Przyszywany" wuj
75. Bronek i Zosia
76. Babcia Feo
77. Wuj mojej żony
78. Zapomniani rzeźbiarze zapomnianych ludzi
79. Jehuda Pen
80. Portret umierającego komunisty
81. Bert Andréas, czyli stracone złudzenia
82. I mnie bije dzwon...
83. Notatka biograficzna

Spis ilustracji

Karta redakcyjna

Projekt okładki
Frycz i Wicha

Opracowanie zdjęć
Grzegorz P. Bąbiak

Redakcja
Ryszarda Krzeska

Korekta
Karolina Koszek

Skład i łamanie
TYPO Jolanta Ugorowska

Copyright © by Jerzy W. Borejsza, 2018
Copyright © Wielka Litera Sp. z o.o., Warszawa 2018

ISBN 978-83-8032-274-5

Wielka Litera Sp. z o.o.
ul. Kosiarzy 37/53
02-953 Warszawa

Odwiedź nas na

POBIERZ NA TELEFON APLIKACJĘ WIELKA LITERA AR
Aplikacja WielkaLitera wykorzystuje technologię rozszerzonej rzeczywistości (AR) i umożliwia odtwarzanie wideo, audio oraz e-booków, a także przekierowuje na wybrane strony www. Aplikacja WielkaLitera jest dostępna w wersjach na Android oraz iOS. Pobierz ją za darmo i zobacz więcej.

Konwersja: eLitera s.c.